ANDRZEJ

SAPKOWSKI

WIEŻA JASKÓŁKI

WIEDŹMIN

superNOWA

Plik jest zabezpieczony znakiem wodnym

ANDRZEJ
SAPKOWSKI

WIEŻA JASKÓŁKI

WIEDŹMIN

superNOWA
WARSZAWA

Opracowanie graficzne Tomasz Piorunowski

ISBN 978-83-7578-086-4

Copyright © by Andrzej Sapkowski, Warszawa 2014

Niezależna Oficyna Wydawnicza NOWA sp. z o.o.

Biuro Handlowe
ul. Nowowiejska 10/12
00-653 Warszawa
e-mail: redakcja@supernowa.pl

Redaktor naczelny Mirosław Kowalski

Przygotowanie wersji elektronicznej LogoScript sp z o.o.

Nocą jak kir czarną przybyli do Dun Dâre
Gdzie się młoda wiedźminka skrywała
Z każdej jednej strony sioło otoczyli
Aby ucieknąć im nie zdołała
Nocą jak kir czarną chcieli ją wziąć zdradą
Atoli im się to nie udało
Nim blade słonko wzeszło na zmarzłym gościńcu
Trzydzieści trupów leżało

Pieśń dziadowska o rzezi straszliwej, która w Dun Dâre w noc Saovine się zdarzyła

Spis treści

Rozdział 1
Rozdział 2
Rozdział 3
Rozdział 4
Rozdział 5
Rozdział 6
Rozdział 7
Rozdział 8
Rozdział 9
Rozdział 10
Rozdział 11

– Mogę dać ci wszystko, czego zapragniesz – powiedziała wróżka. – Bogactwo, władzę i sceptr, sławę, długie i szczęśliwe życie. Wybieraj.

– Nie chcę bogactwa ni sławy, władzy ni sceptru – odrzekła wiedźminka. – Chcę mieć konia, który byłby czarny i niedościgły jak nocny wicher. Chcę mieć miecz, który byłby jasny i ostry jak promień księżyca. Chcę nocą czarną przebiegać na mym czarnym koniu świat, chcę porażać moce Zła i Ciemności moim świetlistym mieczem. Tego pragnę.

– Dam ci konia, który będzie czarniejszy niż noc i lotniejszy od nocnego wichru – przyrzekła wróżka. – Dam ci miecz, który będzie jaśniejszy i ostrzejszy aniżeli księżycowy promień. Ale żądasz niemało, wiedźminko, będziesz więc musiała drogo mi zapłacić.

– Czym? Wszakże nie mam niczego.

– Twoją krwią.

Flourens Delannoy, *Bajki i klechdy*

Rozdział pierwszy

Jak powszechnie wiadomo, wszechświat – podobnie jak życie – toczy się kołem. Kołem, na którego obręczy zaznaczono osiem magicznych punktów, dających pełny obrót, czyli cykl roczny. Punktami tymi, leżącymi na obręczy koła w parach dokładnie naprzeciw siebie, są: Imbaelk – czyli Kiełkowanie, Lammas – czyli Dojrzewanie, Belleteyn – Rozkwit oraz Saovine – Zamieranie. Są także na kole zaznaczone dwa Solstycja, czyli Przesilenia – zimowe, zwane Midinvaerne, oraz Midaëte, letnie. Są także dwa Ekwinokcja, czyli Równonoce – Birke, wiosenna, i Velen, jesienna. Daty te dzielą okrąg na osiem części – i tak też w kalendarzu elfów dzieli się rok.

Lądując na plażach w okolicach ujść Jarugi i Pontaru, ludzie przywieźli tu ze sobą własny kalendarz, oparty na księżycu, dzielący rok na dwanaście miesięcy, dających cykl rocznej pracy rolnika – od początku, od wykonywanych w styczniu tyk, aż do końca, do czasu, gdy mróz zamieni ziemię w twardą grudę. Ale choć ludzie inaczej dzielili rok i liczyli daty, zaakceptowali elfie koło i osiem punktów na jego okręgu. Przejęte z elfiego kalendarza Imbaelk i Lammas, Saovine i Belleteyn, oba

Przesilenia i obie Równonoce również wśród ludzi stały się ważnymi świętami, datami uroczystymi. Wyróżniały się wśród innych dat tak bardzo, jak samotne drzewo wyróżnia się wśród łąki.

Daty te wyróżnia bowiem magia.

Nie było – i nie jest – żadną tajemnicą, że owych osiem dat to dni i noce, podczas których niezwykle nasila się czarodziejska aura. Nikogo nie dziwią już magiczne fenomeny i zagadkowe zjawiska, które towarzyszą tym ośmiu datom, zwłaszcza zaś Ekwinokcjom i Solstycjom. Do fenomenów takich wszyscy już się przyzwyczaili i rzadko budzą one większą sensację.

Ale tego roku było inaczej.

Tego roku ludzie jak zwykle uczcili jesienne Ekwinokcjum uroczystą rodzinną wieczerzą, podczas której na stole znaleźć się musiało jak najwięcej płodów z tegorocznych zbiorów, choćby po odrobinie każdego. Tak kazał zwyczaj. Spożywszy wieczerzę i podziękowawszy bogini Melitele za urodzaj, ludzie udali się na spoczynek. I wówczas zaczęła się makabra.

Tuż przed północą zerwała się straszliwa zawierucha, zadął potępieńczy wicher, w którym poprzez szum przyginanych niemal do ziemi drzew, skrzyp krokwi i łomot okiennic słychać było upiorne wycia, krzyki i zawodzenia. Pędzone po niebie chmury przybrały fantastyczne kształty, wśród których najczęściej powtarzały się sylwetki galopujących koni i jednorożców. Wieja nie cichła przez dobrą godzinę, a w nagłej ciszy, jaka po niej nastąpiła, noc ożyła trylem i furkotem skrzydeł setek lelków kozodojów, owych tajemniczych ptaków, które według ludowych wierzeń grupują się, by nad kimś, kto dogorywa, odśpiewać demoniczną konającz kę. Tym razem chór lelków był tak wielki i głośny, jak gdyby skonać miał cały świat.

Lelki dzikimi głosami wyśpiewywały konającz kę, nieboskłon zaś pokryły chmury, gasząc resztki księżycowego światła. Wówczas zaskowyczała straszna beann'shie, zwiastunka czyjejś rychłej i gwałtownej śmierci, a przez czarne niebo pocwałował Dziki Gon – orszak płomiennookich upiorów na kościotrupach koni, szumiący strzępami płaszczy i sztandarów. Jak co kilka lat, Dziki Gon zebrał swe żniwo, ale od dziesięcioleci nie było ono tak straszliwe – w samym tylko Novigradzie doliczono się dwudziestu kilku osób zaginionych bez śladu ni wieści.

Gdy Gon przegalopował i rozwiały się chmury, ludzie zobaczyli księżyc – malejący, jak zwykle w czas Zrównania. Ale tej nocy księżyc miał barwę krwi.

Lud prosty miał dla ekwinokcyjnych fenomenów wiele wytłumaczeń, różniących się zresztą znacznie, stosownie do specyfik regionalnych demonologii. Astrologowie, druidzi i czarodzieje też mieli wytłumaczenia, ale w większości błędne i sklecone na wyrost. Mało, niezwykle mało było ludzi, którzy potrafili zjawiska te powiązać z rzeczywistymi faktami.

Na Wyspach Skellige, dla przykładu, nieliczni bardzo zabobonni widzieli w kuriozalnych ewenementach zapowiedź Tedd Deireadh, końca świata, poprzedzonego bitwą Ragh nar Roog, finalną walką Światła i Ciemności. Gwałtowny sztorm, który w noc Jesiennego Zrównania wstrząsnął Wyspami, zabobonni uznali za falę pchaną dziobem potwornego Naglfara z Morhöggu, wiozącego armię widm i demonów Chaosu drakkara o burtach zbudowanych z trupich paznokci. Ludzie światlejsi lub lepiej poinformowani łączyli jednak szaleństwo niebios i morza z osobą złej czarownicy Yennefer – i jej straszną śmiercią. Jeszcze inni – jeszcze lepiej poinformowani – widzieli we wzburzonym morzu znak, że oto kona ktoś, w czyich żyłach płynie krew królów Skellige i Cintry.

Jak świat długi i szeroki, była też noc jesiennego Ekwinokcjum nocą zmór, koszmarów i widziadeł, nocą raptownych, duszących i roztętnionych grozą przebudzeń wśród mokrych od potu i starganych prześcieradeł. Widziadła i przebudzenia nie omijały i głów najjaśniejszych – w Nilfgaardzie o Złotych Wieżach przebudził się z krzykiem cesarz Emhyr var Emreis. Na Północy, w Lan Exeter, zerwał się z łoża król Esterad Thyssen, budząc małżonkę, królową Zuleykę. W Tretogorze zerwał się i sięgnął po sztylet arcyszpieg Dijkstra, budząc małżonkę ministra skarbu. W zamczysku Montecalvo zerwała się z adamaszkowej pościeli czarodziejka Filippa Eilhart, nie budząc małżonki hrabiego de Noailles. Przebudzili się – mniej lub bardziej gwałtownie – krasnolud Yarpen Zigrin w Mahakamie, stary wiedźmin Vesemir w górskiej warowni Kaer Morhen, klerk bankowy Fabio Sachs w mieście Gors Velen, jarl Crach an Craite na pokładzie drakkara „Ringhorn". Przebudziła się czarodziejka Fringilla Vigo w zamku Beauclair, przebudziła się kapłanka Sigrdrifa w świątyni bogini Freyji na wyspie

Hindarsfjall. Przebudził się Daniel Etcheverry, hrabia Garramone, w oblężonej twierdzy Maribor. Zyvik, dziesiętnik Burej Chorągwi, w forcie Ban Gleann. Kupiec Dominik Bombastus Houvenaghel w miasteczku Claremont. I wielu, wielu innych.

Mało było jednak ludzi zdolnych wszystkie te zjawiska i fenomeny połączyć z rzeczywistym, konkretnym faktem. I z konkretną osobą. Traf sprawił, że troje z tych ludzi spędzało noc jesiennego Ekwinokcjum pod jednym dachem. W świątyni bogini Melitele w Ellander.

•

– Kozodoje... – jęknął pisarczyk Jarre, wpatrzony w ciemność zalegającą świątynny park. – Tysiące chyba ich są, całe chmary... Krzyczą na czyjąś śmierć... Na jej śmierć... Ona umiera...

– Nie gadaj bzdur! – Triss Merigold odwróciła się gwałtownie, uniosła zaciśniętą pięść, przez moment wyglądało, że pchnie lub uderzy chłopca w pierś. – Wierzysz w głupie zabobony? Wrzesień się kończy, lelki grupują się przed odlotem! To całkiem naturalne!

– Ona umiera...

– Nikt nie umiera! – krzyknęła czarodziejka, blednąc z wściekłości. – Nikt, pojmujesz? Przestań pleść!

W bibliotecznym korytarzu przybywało adeptek, pobudzonych nocnym alarmem. Ich twarze były poważne i blade.

– Jarre. – Triss uspokoiła się, położyła chłopcu dłoń na ramieniu, ścisnęła silnie. – Jesteś jedynym mężczyzną w świątyni. Wszystkie patrzymy na ciebie, szukamy w tobie oparcia i pomocy. Nie wolno ci się bać, nie wolno ci panikować. Opanuj się. Nie rób nam zawodu.

Jarre odetchnął głęboko, próbując uspokoić drżenie rąk i warg.

– To nie strach... – wyszeptał, unikając wzroku czarodziejki. – Ja się nie boję, ja się martwię! O nią. Widziałem we śnie...

– Ja też widziałam – zacisnęła wargi Triss. – Śniliśmy ten sam sen, ty, ja i Nenneke. Ale ani słowa o tym.

– Krew na jej twarzy... Tyle krwi...

– Milcz, prosiłam. Nenneke nadchodzi.

Arcykapłanka podeszła do nich. Twarz miała zmęczoną. Na nieme pytanie Triss odpowiedziała przeczącym ruchem głowy. Zauważywszy, że Jarre otwiera usta, uprzedziła go.

– Niestety, nic. Gdy Dziki Gon przelatywał nad świątynią, zbudziły się prawie wszystkie, ale żadna nie miała wizji. Nawet tak mglistej, jak nasze. Idź spać, chłopcze, nic tu po tobie. Dziewczęta, proszę do dormitorium!

Oburącz potarła twarz i oczy.

– Ech... Ekwinokcjum! Cholerna noc... Idź się położyć, Triss. Nic nie możemy zrobić.

– Ta bezsiła – zacisnęła pięści czarodziejka – doprowadza mnie do szału. Na myśl, że ona tam gdzieś cierpi, że krwawi, że grozi jej... Psiakrew, gdybym wiedziała, co zrobić!

Nenneke, arcykapłanka świątyni Melitele, odwróciła się.

– A próbowałaś się modlić?

•

Na Południu, hen za górami Amell, w Ebbing, w krainie zwanej Pereplutem, na rozległych mokradłach przeciętych rzekami Veldą, Lete i Arete, w miejscu oddalonym od miasta Ellander i świątyni Melitele o osiemset mil lotem wrony, koszmar senny gwałtownie zbudził nad ranem starego pustelnika Vysogotę. Przebudzony Vysogota za nic nie mógł przypomnieć sobie treści snu, ale dziwny niepokój nie pozwolił mu już usnąć.

•

– Zimno, zimno, zimno, brrr – gadał do siebie Vysogota, maszerując ścieżką wśród trzcin. – Zimno, zimno, brrrr.

Kolejna pułapka była pusta. Ani jednego piżmaka. Wyjątkowo nieudany połów. Vysogota oczyścił pułapkę ze szlamu i rzęsy, mamrocząc przekleństwa i pociągając zziębniętym nosem.

– Zimno, brrr, hu-ha – gadał, idąc w kierunku skraju bagna. – A przecie to jeszcze wrzesień! Przecie dopiero cztery dni po Ekwinokcjum! Ha, takich chłodów w końcu września nie pamiętam, jak długo żyję. A żyję przecież dość długo!

Kolejna – przedostatnia już – pułapka też była pusta. Vysogocie nie chciało się nawet kląć.

– Niechybnie tak jest – ględził, idąc – że klimat oziębia się z roku na rok. A teraz wygląda, że efekt oziębiania będzie postępował lawinowo. Ha, elfy przewidziały to już dawno temu, ale kto wierzył w przepowiednie elfów?

Nad głową starca znowu zafurkotały skrzydełka, mignęły szare, niesamowicie szybkie kształty. Mgła nad moczarami znowu rozdzwoniła się dzikim, urywanym trylem lelków kozodojów, szybkim klaskaniem skrzydełek. Vysogota nie zwracał na ptaki uwagi. Zabobonny nie był, a kozodojów zawsze było sporo na bagnach, zwłaszcza o świcie latały tak gęsto, że aż strach brał, że o głowę zawadzą. No, może nie zawsze było ich tak wiele jak dziś, może nie zawsze wołały tak potępieńczo... Ale cóż, ostatnimi czasy przyroda wyprawiała dziwne figle, a kuriozum goniło kuriozum, każde bardziej kuriozalne od poprzedniego.

Wyciągał właśnie z wody ostatnią – pustą – pułapkę, gdy usłyszał rżenie konia. Lelki zamilkły nagle, jak na komendę.

Na mokradłach Pereplutu były kępy, suche, wyżej położone miejsca, porośnięte czarną brzozą, olchą, świdwą, dereniem i tarniną. Większość kęp trzęsawiska otaczały tak dokładnie, że było absolutnie niemożliwe, by dotarł tam koń lub nie znający ścieżek jeździec. A jednak rżenie – Vysogota usłyszał je znowu – dobiegało właśnie z takiej kępy.

Ciekawość przemogła ostrożność.

Vysogota słabo znał się na koniach i ich rasach, ale był estetą, umiał rozpoznać i docenić piękno. A kary koń o sierści lśniącej jak antracyt, którego zobaczył na tle brzezinowych pni, był przedziwnie piękny. Był istną kwintesencją piękna. Był tak piękny, że wydawał się nierealny.

Ale był realny. I całkiem realnie schwytany w pułapkę, zaplątany wodzami i uździenicą w krwistoczerwone, chwytne gałęzie świdwy. Gdy Vysogota podszedł bliżej, koń stulił uszy, tupnął tak, że aż zadygotał grunt, zatarmosił zgrabną głową, obrócił się. Teraz było widać, że jest to klacz. Było widać coś jeszcze. Coś, co sprawiło, że serce Vysogoty zaczęło łomotać jak oszalałe, a niewidzialne kleszcze adrenaliny zacisnęły się na gardle.

Za koniem, w płytkim wykrocie, leżał trup.

Vysogota rzucił na ziemię worek. I zawstydził się pierwszej myśli, którą było: odwrócić się i uciekać. Podszedł bliżej, zachowując ostrożność, bo kara klacz tupała, kładła uszy, szczerzyła zęby na munsztuku i tylko czekała na okazję, by go ugryźć lub kopnąć.

Trup był trupem kilkunastoletniego chłopca. Leżał twarzą ku ziemi, z jedną ręką przygniecioną ciałem, drugą wyciągniętą w bok i wpitą palcami w piach. Chłopiec miał na sobie zamszowy kubraczek, obcisłe skórzane spodnie i wysokie do kolan miękkie elfie buty z klamerkami.

Vysogota pochylił się i w tym momencie trup głośno jęknął. Kara klacz zarżała przeciągle, łupnęła kopytami o ziemię.

Pustelnik ukląkł, ostrożnie obrócił rannego. Odruchowo cofnął głowę i syknął na widok potwornej maski z brudu i zakrzepłej krwi, jaką chłopak miał w miejscu twarzy. Delikatnie zgarnął mech, liście i piasek z pokrytych śluzem i śliną warg, spróbował oderwać od policzka zbite w twardy kołtun, sklejone krwią włosy. Ranny zajęczał głucho, wyprężył się. I zaczął dygotać. Vysogota odlepił mu włosy od twarzy.

– Dziewczyna – powiedział głośno, nie mogąc uwierzyć w to, co miał wprost przed nosem. – To jest dziewczyna.

•

Gdyby tego dnia po zapadnięciu zmroku ktoś zdołał cichaczem podkraść się do zagubionej wśród moczarów chaty z zapadniętą i obrośniętą mchem strzechą, gdyby zajrzał przez szpary w okiennicach, zobaczyłby w skąpo oświetlonym łojówkami wnętrzu kilkunastoletnią dziewczynę z głową grubo omotaną bandażami, spoczywającą w martwym, niemal trupim bezruchu na zasłanej skórami pryczy. Zobaczyłby też starca z siwą klinowatą brodą i długimi białymi włosami, opadającymi na ramiona i plecy od granic potężnej łysiny przedłużającej pobrużdżone czoło daleko poza ciemię. Spostrzegłby, jak starzec zapala jeszcze jedną łojówkę, jak stawia na stole klepsydrę, jak ostrzy pióro, jak pochyla się nad arkuszem pergaminu. Jak zamyśla się i mówi coś do siebie w zadumie, nie spuszczając oka z leżącej na pryczy dziewczyny.

Ale to nie było możliwe. Nikt nie mógł tego zobaczyć. Chata pustelnika Vysogoty była dobrze ukryta wśród mokradeł. Na wiecznie pokrytym mgłą pustkowiu, na które nikt nie odważał się zapuszczać.

•

– Zapiszmy – Vysogota zanurzył pióro w inkauście – co następuje. Jest trzecia godzina po zabiegu. Rozpoznanie: *vulnus incisivum*, rana cięta, zadana z dużą siłą niewiadomym ostrym narzędziem, przypuszczalnie o zakrzywionym ostrzu. Obejmuje część lewą twarzy, zaczyna się w regionie podoczodołowym, biegnie poprzez policzek i sięga aż do regionu przyuszniczo-żwaczowego. Najgłębsza, bo sięgająca okostnej, jest rana w części początkowej, poniżej oczodołu, na kości jarzmowej.

Przypuszczalny czas, jaki minął od zranienia do momentu pierwszego zaopatrzenia rany: dziesięć godzin.

Pióro zaskrzypiało na pergaminie, ale skrzypienie trwało nie dłużej niż kilka chwil. I linijek. Vysogota nie wszystko, co mówił do siebie, uznawał za warte zapisania.

– Wracając do zaopatrzenia rany – podjął po chwili starzec, wpatrzony w migotliwy i kopcący płomień łojówki – zapiszmy, co następuje. Nie wycinałem brzegów skaleczenia, ograniczyłem się jedynie do usunięcia kilku nieukrwionych strzępów i oczywiście skrzepliny. Przemyłem ranę wyciągiem z kory wierzbowej. Usunąłem zanieczyszczenia i ciała obce. Założyłem szwy. Konopne. Innym rodzajem nici, niechajże zapisane to będzie, nie dysponowałem. Zastosowałem okład z arniki górskiej i założyłem formowany opatrunek muślinowy.

Na środek izby wybiegła mysz. Vysogota rzucił jej kawałeczek chleba. Dziewczyna na pryczy oddychała niespokojnie, jęczała przez sen.

•

– Ósma godzina po zabiegu. Stan chorej bez zmian. Stan lekarza... To znaczy, mój, poprawił się, albowiem zaznałem nieco snu... Mogę kontynuować notatki. Godzi się bowiem przelać na te karty nieco informacji o mojej pacjentce. Dla potomności. O ile jakakolwiek potomność dotrze na te moczary, zanim wszystko tu zbutwieje i rozpadnie się w proch.

Vysogota westchnął ciężko, zamoczył pióro i otarł je o brzeg kałamarza.

– Co się zaś tyczy pacjentki – zamruczał – to niechaj zanotowane zostanie, co następuje. Lat, jak się zda, około szesnastu, wysoka, budowy pomiernie szczupłej, lecz bynajmniej nie cherlawej, nie wskazującej na niedożywienie. Umięśnienie i konstrukcja fizyczna typowa raczej dla młodej elfki, ale nie stwierdzono żadnych cech metyski... do kwarteronki włącznie. Niższy procent elfiej krwi może, jak wiadomo, nie pozostawiać śladów.

Vysogota jakby teraz dopiero przypomniał sobie, że nie zapisał na arkuszu ani jednej runy, ani jednego słowa. Przyłożył pióro do papieru, ale inkaust wysechł. Starzec wcale się tym nie przejął.

– Niechże zanotowane zostanie i to – podjął – że dziewczyna nigdy nie rodziła. A także i to, że na ciele nie ma żadnych zastarzałych znamion, blizn, szram, żadnych śladów, jakie zostawiają ciężka praca, wypadki, hazardowne życie. Podkreślam: mowa o śladach zastarzałych. Śladów świeżych nie brakuje na jej ciele. Dziewczyna była bita. Chłostana, i to bynajmniej nie ojcowską ręką. Kopana była prawdopodobnie też.

– Znalazłem też na jej ciele dość dziwny znak szczególny... Hmmm... Zapiszmy to, dla dobra nauki... W pachwinie, tuż przy wzgórku łonowym, dziewczyna ma wytatuowaną czerwoną różę.

Vysogota w skupieniu obejrzał zaostrzony koniec pióra, po czym zanurzył je w kałamarzu. Tym razem nie zapomniał jednak, w jakim celu to uczynił – szybko zaczął pokrywać arkusz równymi linijkami pochyłego pisma. Pisał, dopóki pióro nie oschło.

– Półprzytomna, mówiła i krzyczała – podjął. – Jej akcent i sposób wysławiania się, jeśli pominąć gęste wtręty w obscenicznym żargonie kryminalistów, są dość konfundujące, trudne do umiejscowienia, ale zaryzykowałbym stwierdzenie, że pochodzą raczej z Północy niż z Południa. Niektóre słowa...

Znowu poskrzypiał piórem po pergaminie, niezbyt długo, o wiele za krótko, by móc zapisać wszystko, co przed chwilą wyrzekł. Po czym podjął monolog, dokładnie tam, gdzie go przerwał.

– Niektóre słowa, imiona i nazwy, które dziewczyna wybełkotała w malignie, warte są zapamiętania. I zbadania. Wszystko wskazuje na to, że bardzo, ale to bardzo niecodzienna osoba znalazła drogę do chaty starego Vysogoty...

Milczał przez chwilę, nasłuchując.

– Oby tylko – zamruczał – chata starego Vysogoty nie okazała się kresem jej drogi.

•

Vysogota pochylił się nad pergaminem i nawet przyłożył do niego pióro, ale nie zapisał nic, ani jednej runy. Rzucił pióro na stół. Przez chwilę sapał, mruczał gniewnie, posmarkiwał. Patrzył na pryczę, słuchał dobiegających stamtąd odgłosów.

– Trzeba stwierdzić i zapisać – powiedział zmęczonym głosem – że jest bardzo niedobrze. Wszystkie moje starania i zabiegi mogą okazać

się niewystarczające, a wysiłki płonne. Moje obawy były uzasadnione. Rana jest zakażona. Dziewczyna silnie gorączkuje. Wystąpiły już trzy z czterech kardynalnych objawów ostrego stanu zapalnego. *Rubor*, *calor* i *tumor* łatwo już w tej chwili stwierdzić okiem i dotykiem. Gdy minie szok pozabiegowy, pojawi się i objaw czwarty: *dolor*. Niechże zapisane zostanie, że minęło blisko pół wieku, od kiedy zajmowałem się praktyką medyczną, czuję, jak lata te ciążą na mej pamięci i na zręczności mych palców. Niewiele umiem zrobić, jeszcze mniej mogę zrobić. Środków i medykamentów mam mniej niż mało. Cała nadzieja w mechanizmach obronnych młodego organizmu...

•

– Dwunasta godzina po zabiegu. Zgodnie z oczekiwaniami, przyszedł czwarty kardynalny objaw zakażenia: *dolor*. Chora krzyczy z bólu, gorączka i dreszcze wzmagają się. Nie mam niczego, żadnego środka, który mógłbym jej podać. Dysponuję niewielką ilością eliksiru daturowego, ale dziewczyna jest za słaba, by przeżyć jego działanie. Mam też nieco akonitum, ale akonitum zabiłoby ją niechybnie.

•

– Piętnasta godzina po zabiegu. Świt. Chora jest nieprzytomna. Gorączka wzrasta gwałtownie, dreszcze nasilają się. Ponadto występują silne skurcze mięśni twarzy. Jeśli to tężec, dziewczyna jest zgubiona. Miejmy jednak nadzieję, że to tylko nerw twarzowy... Albo trójdzielny. Albo obydwa... Dziewczyna będzie wówczas oszpecona... Ale będzie żyła...

Vysogota spojrzał na pergamin, na którym nie zapisał ani jednej runy, ani jednego słowa.

– Pod warunkiem – powiedział głucho – że przeżyje zakażenie.

•

– Dwudziesta godzina po zabiegu. Gorączka wzmaga się. *Rubor*, *calor*, *tumor* i *dolor* sięgają, jak mi się zdaje, granic przesilenia. Ale dziewczyna nie ma szans, by przeżyć, by dożyć choćby do tych granic. Oto więc zapisuję... Ja, Vysogota z Corvo, nie wierzę w istnienie bogów. Ale gdyby przez przypadek istnieli, niechaj mają w opiece tę dziewczynę. I niech wybaczą mi to, co zrobiłem... Jeśli to, co zrobiłem, okaże się pomyłką.

Vysogota odłożył pióro, potarł spuchnięte i swędzące powieki, przycisnął pięści do skroni.

– Podałem jej mieszankę datury i akonitum – powiedział głucho. – Najbliższe godziny rozstrzygną wszystko.

•

Nie spał, drzemał tylko, gdy z drzemki wyrwał go stuk i łomot, któremu towarzyszył jęk. Bardziej wściekłości niż bólu.

Na zewnątrz dniało, szpary okiennic sączyły nikłe światełko. Klepsydra przesypała się do końca, i to dawno – Vysogota jak zwykle zapomniał ją obrócić. Kaganek ledwo pełgał, rubinowy żar z paleniska słabo oświetlał kąt izby. Starzec wstał, odsunął zaimprowizowany parawan z koców, którym odgrodził pryczę od reszty pomieszczenia, by zapewnić chorej spokój.

Chora zdążyła już pozbierać się z podłogi, na którą przed chwilą upadła, siedziała zgarbiona na brzegu barłogu, usiłując podrapać się w twarz pod opatrunkiem. Vysogota chrząknął.

– Prosiłem, byś nie wstawała. Jesteś zbyt osłabiona. Jeśli czegoś chcesz, zawołaj. Jestem zawsze w pobliżu.

– Ja akurat nie chcę, byś był w pobliżu – powiedziała cicho, półgębkiem, ale zupełnie wyraźnie. – Chcę się wysikać.

Gdy wrócił, by zabrać nocnik, leżała na pryczy na wznak, obmacując opatrunek przymocowany do policzka opasującymi czoło i szyję wstęgami bandaża. Gdy po chwili podszedł do niej ponownie, nie zmieniła pozycji.

– Cztery doby? – spytała, patrząc w powałę.

– Pięć. Minęła prawie doba od naszej ostatniej rozmowy. Przespałaś całą dobę. To dobrze. Potrzebujesz snu.

– Czuję się lepiej.

– Rad jestem słyszeć. Zdejmiemy opatrunek. Pomogę ci usiąść. Uchwyć moją rękę.

Rana goiła się ładnie i sucho, tym razem prawie obyło się bez bolesnego odrywania opatrunku od strupa. Dziewczyna ostrożnie dotknęła policzka. Skrzywiła się, ale Vysogota wiedział, że to nie tylko ból. Za każdym razem na nowo upewniała się o rozległości skaleczenia, zdawała sobie sprawę z powagi rany. Upewniała się – z przerażeniem –

że to, co czuła dotykiem poprzednio, to nie był wywołany gorączką koszmar.

– Masz tu jakieś lustro?

– Nie mam – skłamał.

Spojrzała na niego, po raz pierwszy chyba całkowicie przytomnie.

– To znaczy, że jest aż tak źle? – spytała, ostrożnie wodząc palcami po szwach.

– To bardzo rozległe skaleczenie – wybąkał, zły na siebie, że tłumaczy się i usprawiedliwia przed smarkulą. – Twarz wciąż masz bardzo opuchniętą. Za kilka dni zdejmę szwy, do tego czasu będę przykładał arnikę i wyciąg z wierzbiny. Nie będę już owijał ci całej głowy. To się ładnie goi. Naprawdę ładnie.

Nie odpowiedziała. Poruszała ustami i żuchwą, marszczyła i krzywiła twarz, wypróbowując, na co rana pozwala, a na co nie.

– Ugotowałem rosołu z gołębia. Zjesz?

– Zjem. Ale tym razem spróbuję sama. To upokarzające, być karmiona jak paralityczka.

Jadła długo. Drewnianą łyżkę donosiła do ust ostrożnie i z takim wysiłkiem, jak gdyby ważyła ze dwa funty. Ale poradziła sobie bez pomocy Vysogoty obserwującego ją z zainteresowaniem. Vysogota był ciekawski – i płonął ciekawością. Wiedział, że wraz z powrotem dziewczyny do zdrowia zaczną się wymiany zdań mogące rzucić światło na tajemniczą sprawę. Wiedział o tym i nie mógł doczekać się tej chwili. Zbyt długo mieszkał sam na pustkowiu.

Dziewczyna skończyła jeść, opadła na poduszki. Przez chwilę martwo patrzyła w sufit, potem obróciła głowę. Niezwykle duże zielone oczy, stwierdził po raz kolejny Vysogota, nadawały jej twarzy wyraz niewinnie dziecięcy, w tej chwili kłócący się krzykliwie z paskudnie okaleczonym policzkiem. Vysogota znał ten typ urody – wielkookie wieczne dziecko, fizjonomia wywołująca instynktowną reakcję sympatii. Wieczna dziewczynka, nawet gdy dwudzieste, ba, trzydzieste urodziny już dawno zapadną w niepamięć. Tak, Vysogota dobrze znał ten typ urody. Jego druga żona była taka. Jego córka była taka.

– Muszę stąd uciekać – powiedziała nagle dziewczyna. – I to pilnie. Jestem ścigana. Przecież wiesz o tym.

– Wiem – kiwnął głową. – Były to twoje pierwsze słowa, które wbrew pozorom nie były majaczeniem. Dokładniej, jedne z pierwszych.

Najpierw spytałaś o twego konia i o twój miecz. W tej kolejności. Gdy zapewniłem cię, że i koń, i miecz są pod dobrą opieką, nabrałaś podejrzeń, że jestem wspólnikiem jakiegoś Bonharta i nie leczę cię, lecz poddaję torturze nadziei. Gdy nie bez trudu wyprowadziłem cię z błędu, przedstawiłaś się jako Falka i podziękowałaś mi za ratunek.

– To dobrze. – Obróciła głowę na poduszce, jak gdyby chciała uniknąć konieczności patrzenia mu w oczy. – To dobrze, że nie zapomniałam podziękować. Ja tamto pamiętam jak przez mgłę. Nie wiem, co było jawą, a co snem. Bałam się, że nie podziękowałam. Nie nazywam się Falka.

– Tego też się dowiedziałem, choć raczej przypadkowo. Mówiłaś w gorączce.

– Jestem zbiegiem – powiedziała, nie odwracając się. – Uciekinierem. Niebezpiecznie jest dawać mi schronienie. Niebezpiecznie jest wiedzieć, jak się naprawdę nazywam. Ja muszę wsiadać na konia i uciekać, zanim mnie tu wytropią...

– Przed chwilą – powiedział łagodnie – miałaś kłopoty z siąściem na nocnik. Nie bardzo widzę cię siadającą na konia. Ale zapewniam, tutaj jesteś bezpieczna. Nikt cię tu nie wytropi.

– Z pewnością mnie ścigają. Idą po śladach, przetrząsają okolicę...

– Uspokój się. Codziennie pada, nikt nie odnajdzie śladów. Ty zaś jesteś na pustkowiu, w pustelni. W domu pustelnika, który odciął się od świata. Tak, by światu też niełatwo było go odnaleźć. Jeśli jednak sobie życzysz, mogę poszukać sposobu, by wieść o tobie przekazać bliskim lub przyjaciołom.

– Nie wiesz nawet, kim jestem...

– Jesteś ranną dziewczyną – przerwał. – Uciekającą przed kimś, kto nie waha się ranić dziewczyn. Czy życzysz sobie, bym przekazał jakąś wiadomość?

– Nie ma komu – odrzekła po chwili, a Vysogota złowił uchem zmianę głosu. – Moi przyjaciele nie żyją. Wszystkich zamordowano.

Nie skomentował.

– Ja jestem śmiercią – podjęła dziwnie brzmiącym głosem. – Każdy, kto styka się ze mną, umiera.

– Nie każdy – zaprzeczył, przyglądając się jej bacznie. – Nie Bonhart, ten, którego imię wykrzykiwałaś w gorączce, ten, przed którym chcesz

teraz uciekać. Wasz styk zaszkodził raczej tobie, nie jemu. To on... zranił cię w twarz?

– Nie – zacisnęła usta, by stłumić coś, co było albo jękiem, albo przekleństwem. – W twarz zranił mnie Puszczyk. Stefan Skellen. A Bonhart... Bonhart zranił mnie znacznie poważniej. Głębiej. Czy i o tym mówiłam w gorączce?

– Uspokój się. Jesteś osłabiona, powinnaś unikać silnych wzruszeń.

– Nazywam się Ciri.

– Zrobię ci okład z arniki, Ciri.

– Wstrzymaj się... chwilę. Daj mi jakieś zwierciadło.

– Mówiłem ci...

– Proszę!

Usłuchał, dochodząc do wniosku, że tak trzeba, że dłużej zwlekać niepodobna. Przyniósł nawet kaganek. By mogła lepiej widzieć, co zrobiono z jej twarzą.

– No, tak – powiedziała zmienionym, łamiącym się głosem. – No, tak. Właśnie tak, jak myślałam. Prawie tak, jak myślałam.

Wyszedł, zaciągając za sobą zaimprowizowany z derek parawan.

Starała się szlochać cicho, tak by nie słyszał. Bardzo się starała.

•

Nazajutrz Vysogota zdjął połowę szwów. Ciri obmacała policzek, posyczała jak żmija, narzekając na silny ból ucha i przeczulicę szyi w okolicy żuchwy. Wstała jednak, ubrała się i wyszła na podwórze. Vysogota nie protestował. Towarzyszył jej. Pomagać ani podtrzymywać nie musiał. Dziewczyna była zdrowa i o wiele silniejsza, niż można było przypuszczać.

Zachwiała się dopiero na zewnątrz, przytrzymała ościeżnicy i odrzwi.

– Ależ... – gwałtownie zachłysnęła się wdechem. – Ależ ziąb! Mróz, czy jak? Już zima? Jak długo ja tu przeleżałam? Kilka tygodni?

– Dokładnie sześć dni. Mamy piąty dzień października. Ale zapowiada się bardzo zimny październik.

– Piąty października? – zmarszczyła się, syknęła z bólu. – To jak to? Dwa tygodnie...

– Co? Jakie dwa tygodnie?

– Nieważne – wzruszyła ramionami. – Może to ja coś mylę... A może i nie mylę. Powiedz, co tu tak okropnie śmierdzi?

– Skóry. Łowię piżmaki, bobry, nutrie i wydry, garbuję skóry. Nawet pustelnicy muszą z czegoś żyć.

– Gdzie jest mój koń?

– W obórce.

Kara klacz powitała wchodzących głośnym rżeniem, a koza Vysogoty zawtórowała beczeniem, w którym pobrzmiewało wielkie niezadowolenie z konieczności dzielenia lokum z innym lokatorem. Ciri objęła konia za szyję, poklepała, pogładziła po zagrzywku. Klacz prychała i grzebała słomę kopytem.

– Gdzie moje siodło? Czaprak? Uprząż?

– Tutaj.

Nie protestował, nie czynił uwag, nie wygłaszał swego zdania. Milczał, wsparty na kosturze. Nie poruszył się, gdy zastękała, próbując unieść siodło, nie drgnął, gdy zachwiała się pod ciężarem i ciężko, z głośnym jękiem klapnęła na zasypaną słomą polepę. Nie podszedł, nie pomógł jej wstać. Patrzył uważnie.

– No, tak – powiedziała przez zaciśnięte zęby, odpychając klacz, usiłującą wsunąć jej nos za kołnierz. – Wszystko jasne. Ale ja muszę stąd uciekać, cholera! Po prostu muszę!

– Dokąd? – spytał chłodno.

Pomacała twarz, nadal siedząc na słomie obok upuszczonego siodła.

– Jak najdalej.

Kiwnął głową, jak gdyby odpowiedź satysfakcjonowała, wszystko czyniła jasnym i nie pozostawiała miejsca na domysły. Ciri wstała z trudem. Po siodło i uprząż nawet nie próbowała się schylać. Sprawdziła tylko, czy klacz ma siano i owies w żłobie, zaczęła wycierać grzbiet i boki konia wiechciem słomy. Vysogota czekał w milczeniu i doczekał się. Dziewczyna zatoczyła się na słup podtrzymujący strop, zbladła jak płótno. Bez słowa podał jej kostur.

– Nic mi nie jest. Tylko...

– Tylko w głowie ci się zakręciło, bo jesteś chora i słaba jak noworodek. Wracajmy. Musisz się położyć.

•

O zachodzie słońca, przespawszy ładnych kilka godzin, Ciri wyszła ponownie. Vysogota, wracając znad rzeki, natknął się na nią przy naturalnym jeżynowym żywopłocie.

– Nie odchodź zbyt daleko od chałupy – powiedział cierpko. – Po pierwsze, jesteś zbyt osłabiona...

– Czuję się lepiej.

– Po drugie, to niebezpieczne. Dookoła jest ogromne mokradło, nie kończące się pole trzcin. Nie znasz ścieżek, możesz zabłądzić lub utonąć w trzęsawisku.

– A ty – wskazała na worek, który taszczył – ścieżki znasz, oczywiście. I nawet niedaleko nimi chadzasz, a zatem mokradło wcale nie jest takie wielkie. Garbujesz skóry, aby żyć, jasne. Kelpie, moja klacz, ma owies, a pola tu nie widzę. My jedliśmy kurę i krupy. I chleb. Prawdziwy chleb, nie podpłomyki. Chleba nie dostałbyś od trapera. A zatem w okolicy jest wieś.

– Bezbłędnie wydedukowane – potwierdził spokojnie. – Rzeczywiście, dostaję prowianty z najbliższej wsi. Najbliższej, ale wcale nie bliskiej, leżącej na skraju bagien. Mokradło przylega do rzeki. Wymieniam skóry na żywność, którą przywożą mi łodzią. Chleb, kaszę, mąkę, sól, ser, czasami królika lub kurę. Czasami wiadomości.

Nie doczekał się pytania, więc kontynuował.

– Wataha konnych w pościgu dwukrotnie była w osadzie. Za pierwszym razem ostrzegano, by cię nie ukrywać, grożono chłopom mieczem i ogniem, jeśli zostaniesz w osadzie schwytana. Za drugim obiecywano nagrodę. Za odnalezienie trupa. Twoi prześladowcy są przekonani, że leżysz martwa w lasach, w jakimś jarze czy wądole.

– I nie spoczną – mruknęła – dopóki nie odnajdą zwłok. Wiem o tym dobrze. Muszą mieć dowód, że nie żyję. Bez tego dowodu nie zrezygnują. Będą szperać wszędzie. Wreszcie trafią i tutaj...

– Bardzo im zależy – zauważył. – Powiedziałbym, niezwykle im zależy...

Zacięła usta.

– Nie lękaj się. Odjadę, zanim mnie tu znajdą. Nie narażę cię... Nie bój się.

– Skąd przypuszczenie, że się boję? – wzruszył ramionami. – Że jest powód, by się lękać? Tutaj nikt nie trafi, nikt cię tu nie wyśledzi. Jeśli jednak ty wystawisz nos z trzcin, trafisz twoim prześladowcom prosto w ręce.

– Innymi słowy – podrzuciła hardo głowę – muszę tu zostać? To chciałeś powiedzieć?

– Nie jesteś więźniem. Możesz odjechać, gdy zechcesz. Dokładniej: gdy zdołasz. Ale możesz też zostać u mnie i przeczekać. Ścigający zniechęcą się kiedyś. Zawsze się zniechęcają, prędzej lub później. Zawsze. Możesz mi wierzyć. Znam się na tym.

Jej zielone oczy błysnęły, gdy spojrzała na niego.

– Zresztą – powiedział szybko, wzruszając ramionami i uciekając przed jej wzrokiem – uczynisz, jak zechcesz. Powtarzam, nie więżę cię tu.

– Dzisiaj chyba jednak nie odjadę – prychnęła. – Słaba jestem... I zaraz słońce zajdzie... A ja przecież nie znam ścieżek. Chodźmy więc do chaty. Zmarzłam.

•

– Powiedziałeś, że leżałam u ciebie sześć dób. To jest prawda?

– Dlaczego miałbym kłamać?

– Nie unoś się. Staram się doliczyć dni... Ja uciekłam... Zraniono mnie... w dzień Zrównania. Dwudziestego trzeciego września. Jeśli wolisz liczyć według elfów, ostatniego dnia Lammas.

– To niemożliwe.

– Dlaczego miałabym kłamać? – krzyknęła i jęknęła, chwytając się za twarz. Vysogota patrzył na nią spokojnie.

– Nie wiem, dlaczego – powiedział zimno. – Ale ja byłem kiedyś lekarzem, Ciri. Dawno temu, ale nadal umiem odróżnić ranę zadaną przed dziesięcioma godzinami od rany zadanej przed czterema dniami. Znalazłem cię dwudziestego siódmego września. Zraniona zostałaś więc dwudziestego szóstego. Trzeciego dnia Velen, jeśli wolisz liczyć według elfów. Trzy dni po Ekwinokcjum.

– Zostałam zraniona w samo Ekwinokcjum.

– To nie jest możliwe, Ciri. Musiałaś pomylić daty.

– Na pewno nie. To ty masz tu jakiś przestarzały pustelniczy kalendarz.

– Niech ci będzie. Aż tak wielkie ma to znaczenie?

– Nie. Nie ma żadnego.

•

Trzy dni później Vysogota zdjął ostatnie szwy. Miał wszelkie powody, by być zadowolony i dumny ze swego dzieła – linia zszycia była równa i czysta, nie należało obawiać się tatuażu wrośniętym w ranę brudem.

Satysfakcję psuł jednak chirurgowi widok Ciri, w posępnym milczeniu kontemplującej szramę w ustawianym pod różnymi kątami zwierciadle i usiłującej zakrywać ją – bezskutecznie – zaczesywanymi na policzek włosami. Blizna szpeciła. Fakt był faktem. Nie było na to rady. W niczym nie mogło pomóc udawanie, że jest inaczej. Wciąż czerwona, napuchnięta jak powróz, napunktowana śladami ukłuć igły i poznaczona odciskami nitek, szrama wyglądała iście makabrycznie. Ten stan miał szansę ulegać stopniowej i nawet szybkiej poprawie. Vysogota wiedział jednak, że nie było żadnych szans na to, by blizna znikła i przestała szpecić.

Ciri czuła się znacznie lepiej, ale ku zdziwieniu i zadowoleniu Vysogoty w ogóle nie mówiła o odjeździe. Wywiodła z obórki swą karą Kelpie – Vysogota wiedział, że na Północy nazwę „kelpie" nosił morszczyniec, groźny potwór morski, wedle przesądu mogący przybrać postać pięknego rumaka, delfina, a nawet urodziwej kobiety, w rzeczywistości zaś zawsze wyglądający jak kupa zielska. Ciri osiodłała klacz i kilkakrotnie obkłusowała podwórko i chatę dookoła, po czym Kelpie wróciła do obórki, by dotrzymywać towarzystwa kozie, Ciri zaś do chaty, by dotrzymywać towarzystwa Vysogocie. Pomagała mu nawet – prawdopodobnie z nudów – w pracy przy skórach. Gdy on segregował nutrie według rozmiarów i odcieni, ona dzieliła piżmaki na grzbieciki i brzuszki, rozcinając skórki wzdłuż wprowadzanej do środka deszczułki. Palce miała nad wyraz zręczne.

Właśnie przy tym zajęciu doszło między nimi do dość dziwnej rozmowy.

•

– Nie wiesz, kim jestem. Nawet się nie domyślasz, kim jestem.

Kilkakrotnie powtórzyła to banalne stwierdzenie i rozdrażniła go tym lekko. Rzecz jasna, nie dał po sobie poznać rozdrażnienia – uwłaczało by mu, gdyby zdradził swe uczucia przed taką smarkulą. Nie, do tego dopuścić nie mógł, nie mógł też zdradzić ciekawości, która go drążyła.

Ciekawości w sumie bezzasadnej, bo przecież bez trudu mógł się domyślić, kim była. W czasach Vysogoty młodzieżowe bandy również nie były rzadkością. Lata, które minęły, nie mogły też wyeliminować magnetycznej siły, z jaką takie szajki przyciągały żądną przygód i silnych wrażeń szczeniaterię. Nader często na jej zgubę. Smarkacze

wykręcający się blizną na twarzy mogli mówić o szczęściu – na tych mniej szczęśliwych czekały tortury, stryczek, hak lub pal.

Ha, od czasów Vysogoty tylko jedno uległo zmianie – postępująca emancypacja. Do band ciągnęły nie tylko wyrostki, ale i zwariowane podlotki, przedkładające konia, miecz i przygodę nad szydełko, kądziel i czekanie na swatów.

Vysogota nie powiedział jej tego wszystkiego wprost. Powiedział to ogródkami. Ale tak, by wiedziała, że on wie. By uświadomić jej, że jeśli ktoś tu jest zagadką, to z pewnością nie ona – cudem zbiegła z obławy małoletnia grasantka z bandy grasantów małolatów. Oszpecona smarkula próbująca otaczać się nimbem tajemniczości...

– Nie wiesz, kim jestem. Ale nie obawiaj się. Odjadę wkrótce. Nie narażę cię na niebezpieczeństwo.

Vysogota miał dość.

– Nie grozi mi żadne niebezpieczeństwo – powiedział sucho. – Bo i jakież? Nawet jeśli pościg tu się zjawi, w co wątpię, cóż złego może mnie spotkać? Udzielanie pomocy zbiegłym przestępcom jest karalne, ale nie w przypadku pustelnika, albowiem pustelnik jest rzeczy świeckich nieświadom. Moim przywilejem jest gościć każdego, kto trafia do mej pustelni. Dobrze rzekłaś: nie wiem, kim jesteś. Skąd ja, pustelnik, mogę wiedzieć, kim jesteś, co przeskrobałaś i za co ściga cię prawo? I jakie prawo? Przecież ja nawet nie wiem, czyje prawo w tych okolicach obowiązuje, jaka i czyja jurysdykcja. I nie obchodzi mnie to. Jestem pustelnikiem.

Trochę zbyt wiele razy mówił o pustelnictwie, czuł to. Ale nie rezygnował, jej wściekle zielone oczy kłuły go niczym ostrogi.

– Jestem ubogim eremitą. Umarłym dla świata i dla spraw jego. Jestem człekiem prostym i niewykształconym, rzeczy światowych nieświadomym...

Przesadził.

– Akurat! – wrzasnęła, ciskając skórkę i nóż na podłogę. – Za głupią mnie masz, czy jak? Ja głupia nie jestem, nie myśl sobie. Pustelniku, eremito ubogi! Gdy cię nie było, rozejrzałam się. Zajrzałam tam, o, do kąta, za tę niezbyt czystą kotarę. Skąd wzięły się tam na półkach uczone księgi, hę, człeku prosty i nieświadomy?

Vysogota odrzucił skórę nutrii na stertę.

– Mieszkał tu kiedyś poborca podatków – powiedział niefrasobliwie. – To są katastry i księgi buchalteryjne.

– Kłamiesz. – Ciri skrzywiła twarz, pomasowała bliznę. – Kłamiesz w żywe oczy!

Nie odpowiedział, udając, że ocenia odcień kolejnej skóry.

– Myślisz może sobie – podjęła po chwili dziewczyna – że jeśli masz białą brodę, zmarszczki i sto lat na karku, to bez trudu oszukasz naiwną młódkę, hę? To ci powiem: pierwszą lepszą może i zwiódłbyś. Ale ja nie jestem pierwsza lepsza.

Uniósł wysoko brwi w niemym, lecz prowokacyjnym pytaniu. Nie kazała mu długo czekać.

– Ja, mój pustelniku, uczyłam się w miejscach, gdzie było sporo ksiąg, także i tych samych tytułów, co na twoich półkach. Sporo z tych tytułów znam.

Vysogota jeszcze wyżej uniósł brwi. Patrzyła mu prosto w oczy.

– Dziwne rzeczy – wycedziła – wygaduje brudny kocmołuch, oberwana sierota, musi złodziejka lub bandytka znaleziona w krzakach z rozwaloną gębą. A jednak trzeba ci wiedzieć, panie pustelniku, że ja czytywałam *Historię* Rodericka de Novembre. Przeglądałam, i to nieraz, dzieło o tytule *Materia medica*. Znam *Herbarius*, taki sam, jak ten na twojej półce. Wiem też, co oznacza na grzbietach ksiąg gronostajowy krzyż na czerwonej tarczy. To znak, że księgę wydał uniwersytet w Oxenfurcie.

Urwała, wciąż bacznie go obserwując. Vysogota milczał, starając się, by jego twarz nie zdradzała niczego.

– Dlatego myślę – powiedziała, podrzucając głowę zwykłym dla niej, dumnym i gwałtownym nieco ruchem – żeś ty wcale nie prostak i nie pustelnik. Żeś wcale nie umarł dla świata, ale uciekł przed nim. I ukrywasz się tu, na pustkowiu, zamaskowany pozorami i bezkresnym trzcinowiskiem.

– Jeżeli tak jest – uśmiechnął się Vysogota – to w istocie przedziwnie splotły się nasze losy, moja ty oczytana panno. Wielce zagadkowym sposobem zbratało nas oto przeznaczenie. Wszakże i ty się tu ukrywasz. Wszakże i ty, Ciri, umiejętnie snujesz wokół siebie woale pozorów. Jam jest jednak człekiem starym, pełnym podejrzeń i zgorzkniałej starczej nieufności...

– Nieufności do mnie?

– Do świata, Ciri. Do świata, w którym szachrajski pozór wkłada maskę prawdy, by wywieść w pole inną prawdę, fałszywą, nawiasem mówiąc, i też próbującą szachrować. Do świata, w którym herb uniwersytetu w Oxenfurcie maluje się na drzwiach zamtuzów. Do świata, w którym ranne grasantki podają się za bywałe, uczone, może i szlachetnie urodzone panny, intelektualistki i erudytki, czytujące Rodericka de Novembre i obeznane z godłem Akademii. Wbrew wszelkim pozorom. Wbrew temu, że same noszą inny znak. Bandycki tatuaż. Czerwoną różę wykłutą w pachwinie.

– Faktycznie, miałeś rację. – Przygryzła wargę, a jej twarz pokrył pąs tak głęboki, że linia szramy wydawała się czarna. – Jesteś zgorzkniały staruch. I wścibski dziadyga.

– Na mojej półce, za kotarą – wskazał ruchem głowy – stoi *Aen N'og Mab Taedh'morc*, zbiór elfich baśni i wierszowanych przypowieści. Jest tam, jakże pasująca do naszej sytuacji i rozmowy, historyjka o sędziwym kruku i młodziutkiej jaskółce. Ponieważ podobnie jak ty, Ciri, jestem erudytą, pozwolę sobie przypomnieć stosowny fragment. Kruk, jak niezawodnie pamiętasz, zarzuca jaskółce płochość i nieprzystojną frygowatość.

Hen Cerbin dic'ss aen n'og Zireael
Aark, aark, caelm foile, te veloe, ell?
Zireael...

Urwał, oparł łokcie o stół, a podbródek na splecionych palcach. Ciri szarpnęła głową, wyprostowała się, spojrzała na niego wyzywająco. I dokończyła.

...Zireael veloe que'ss aen en'ssan irch
Mab og, Hen Cerbin, vean ni, quirk, quirk!

– Zgorzkniały i nieufny staruch – powiedział po chwili Vysogota, nie zmieniając pozycji – przeprasza młodą erudytkę. Sędziwy kruk, wszędzie węszący podstęp i oszustwo, prosi o wybaczenie jaskółkę, której jedyną winą jest to, że jest młoda i pełna życia. I ładniutka.

– Teraz pleciesz – żachnęła się, odruchowo zakrywając dłonią bliznę na policzku. – Takie komplementy możesz sobie darować. Nie poprawią one koślawych ściegów, którymi sfastrygowałeś mi skórę. Nie myśl też sobie, że zdobędziesz w ten sposób moją ufność. Ja nadal nie wiem, kim

ty właściwie jesteś. Dlaczego okłamałeś mnie w sprawie tych dat i dni. I w jakim celu zaglądałeś mi między nogi, choć ranna byłam w twarz. I czy na zaglądaniu się skończyło.

Tym razem udało się jej wyprowadzić go z równowagi.

– Co ty sobie wyobrażasz, smarkulo?! – krzyknął. – Mógłbym być twoim ojcem!

– Dziadkiem – poprawiła zimno. – Albo i pradziadkiem. Ale nie jesteś. Ja nie wiem, kim jesteś. Ale na pewno nie jesteś tym, za kogo chciałbyś uchodzić.

– Jestem tym, kto znalazł cię na bagnie, niemal przymarzniętą do mchu, z czarną skorupą zamiast twarzy, nieprzytomną, zapaskudzoną i brudną. Jestem tym, kto zabrał cię do domu, choć nie wiedział, kim jesteś, a domyślać się miał prawo najgorszego. Kto opatrzył cię i położył do łóżka. Leczył, gdy konałaś z gorączki. Pielęgnował. Mył. Dokładnie. W okolicach tatuażu również.

Znowu spąsowiała, ale z jej oczu ani myślało znikać bezczelne wyzwanie.

– Na tym świecie – warknęła – szachrajskie pozory czasem udają prawdę, sam tak powiedziałeś. Ja też już trochę znam świat, wyobraź sobie. Uratowałeś mnie, opatrzyłeś, pielęgnowałeś. Dzięki ci za to. Wdzięczna ci jestem za... za dobroć. Ale przecież ja wiem, że nie ma czegoś takiego, jak dobroć bez...

– Bez wyrachowania i nadziei na korzyść – dokończył z uśmiechem. – Tak, tak, wiem, bywały ze mnie człek, kto wie, czy nie znam świata równie dobrze jak ty, Ciri. Ranne dziewczyny, jak wiadomo, ograbia się ze wszystkiego, co ma jakąkolwiek wartość. Jeśli są nieprzytomne lub zbyt słabe, by się bronić, zwyczajowo popuszcza się cugli własnym chuciom i żądzom, nierzadko na występne i przeciwne naturze sposoby. Prawda?

– Nic nie jest takie, na jakie wygląda – odrzekła Ciri, po raz kolejny oblewając się rumieńcem.

– Jakżeż prawdziwe twierdzenie. – Dorzucił kolejną skórę na właściwą kupkę. – I jakżeż bezlitośnie wiodące nas do wniosku, że my, Ciri, nie wiemy o sobie niczego. Znamy tylko pozory, a te mylą.

Odczekał chwilę, ale Ciri nie spieszyła się, by powiedzieć cokolwiek.

– Chociaż obojgu nam udało się przeprowadzić coś w rodzaju wstępnej inkwizycji, nadal nie wiemy o sobie nic. Ja nie wiem, kim ty

jesteś, ty nie wiesz, kim ja jestem...

Tym razem czekał z wyrachowaniem. Patrzyła na niego, a w jej oczach czaiło się pytanie, którego oczekiwał. Coś dziwnego błysnęło w jej oczach, gdy owo pytanie zadała.

– Kto zacznie?

•

Gdyby po zmroku ktoś podkradł się do chaty z zapadniętą i omszałą strzechą, gdyby zajrzał do wnętrza, w świetle płomieni i żaru paleniska zobaczyłby siwobrodego starca zgarbionego nad stertą skór. Zobaczyłby też popielatowłosą dziewczynę z paskudną szramą na policzku, szramą zupełnie nie pasującą do wielkich jak u dziecka zielonych oczu.

Ale nikt nie mógł tego zobaczyć. Chata stała wśród trzcin, na moczarach, na które nikt nie odważał się zapuszczać.

•

– Nazywam się Vysogota z Corvo. Byłem lekarzem. Chirurgiem. Byłem alchemikiem. Byłem badaczem, historykiem, filozofem, etykiem. Byłem profesorem w Akademii Oxenfurckiej. Musiałem stamtąd uciekać po opublikowaniu pewnego dzieła, które uznano za bezbożne, za co wówczas, pięćdziesiąt lat temu, groziła kara śmierci. Musiałem emigrować. Moja żona emigrować nie chciała, więc porzuciła mnie. A ja zatrzymałem się dopiero daleko na południu, w Cesarstwie Nilfgaardzkim. Zostałem wreszcie wykładowcą etyki w Akademii Imperialnej w Castell Graupian, godność tę piastowałem blisko dziesięć lat. Ale i stamtąd musiałem uciekać po opublikowaniu pewnego traktatu... Nawiasem mówiąc, dzieło traktowało o totalitarnej władzy i zbrodniczym charakterze zaborczych wojen, ale oficjalnie zarzucano dziełu i mnie metafizyczny mistycyzm i schizmę klerykalną. Uznano, że działałem z poduszczenia ekspansywnych i rewizjonistycznych ugrupowań kapłańskich, faktycznie rządzących królestwami Nordlingów. Dość zabawne w świetle mojego wyroku śmierci za ateizm sprzed dwudziestu lat! Było zresztą akurat tak, że na Północy ekspansywni kapłani dawno już poszli w zapomnienie, ale w Nilfgaardzie nie przyjmowano tego do wiadomości. Łączenie mistycyzmu i zabobonu z polityką było ścigane i surowo karane.

– Dziś, oceniając z perspektywy lat, myślę, że gdybym się ukorzył i okazał skruchę, może afera rozwiałaby się, a cesarz ograniczył do niełaski, bez sięgania po środki drastyczne. Ale ja byłem rozgoryczony. Pewny swych racji, które miałem za ponadczasowe, nadrzędne wobec tej czy innej władzy lub polityki. Czułem się skrzywdzony, skrzywdzony niesprawiedliwie. Tyrańsko. Nawiązałem więc aktywne kontakty z dysydentami, tajnie zwalczającymi tyrana. Zanim się obejrzałem, siedziałem razem z dysydentami w lochu, a niektórzy, gdy pokazano im narzędzia, wskazali na mnie jako na głównego ideologa ruchu.

– Cesarz skorzystał z prawa łaski, zostałem jednak skazany na banicję... pod groźbą natychmiastowej kary śmierci w przypadku powrotu na ziemie cesarskie.

– Wówczas obraziłem się na cały świat, na królestwa, cesarstwa i uniwersytety, na dysydentów, urzędników, prawników. Na kolegów i przyjaciół, którzy jak za dotknięciem magicznej różdżki przestali być nimi. Na drugą żonę, która podobnie jak pierwsza uważała, że kłopoty męża to zasadniczy powód do rozwodu. Na dzieci, które się mnie wyrzekły. Zostałem pustelnikiem. Tu, w Ebbing, na bagnach Pereplutu. Przejąłem sadybę w schedzie po pewnym eremicie, którego zdarzyło mi się kiedyś poznać. Pech chciał, że Nilfgaard zaanektował Ebbing i ni z tego, ni z owego znalazłem się znowu w Cesarstwie. Nie mam już ani sił, ani chęci na dalsze wędrowanie, dlatego muszę się ukrywać. Cesarskie wyroki nie ulegają przedawnieniu, nawet w sytuacji, gdy imperator, który je wydał, dawno nie żyje, a obecny cesarz nie ma powodów, by mile wspominać tamtego i podzielać jego poglądy. Wyrok śmierci pozostaje w mocy. Takie jest prawo i zwyczaj w Nilfgaardzie. Wyroki za zdradę stanu nie przedawniają się i nie podlegają amnestii, którą każdy cesarz ogłasza po koronacji. Po wstąpieniu na tron nowego cesarza amnestionowani zostają wszyscy, których jego poprzednik skazał... za wyjątkiem winnych zdrady stanu. Nie ma znaczenia, kto rządzi w Nilfgaardzie: jeśli wyda się, że żyję i łamię wyrok banicji, przebywając na cesarskim terytorium, moja głowa spadnie na szafocie.

– Jak zatem widzisz, Ciri, znajdujemy się w całkiem podobnej sytuacji.

•

– Co to jest etyka? Wiedziałam to, ale zapomniałam.

– Nauka o moralności. O prawidłach postępowania obyczajnego, szlachetnego, poczciwego i uczciwego. O wyżynach dobra, na które wynosi duszę ludzką prawość i moralność. I o otchłaniach zła, w które strąca niepoczciwość i niemoralność...

– Wyżyny dobra! – parsknęła. – Prawość! Moralność! Nie rozśmieszaj mnie, bo mi się szrama na pysku rozpęknie. Miałeś szczęście, że cię nie tropili, że nie posłali za tobą łowców nagród, takich jak... Bonhart. Zobaczyłbyś, co to są otchłanie zła. Etyka? Łajno warta jest twoja etyka, Vysogoto z Corvo. To nie złych i niepoczciwych strąca się na dno, nie! O, nie! To źli, ale zdecydowani, strącają tam takich, którzy są moralni, uczciwi i szlachetni, ale niezdarni, wahający się i pełni skrupułów.

– Dzięki za naukę – zadrwił. – Wierę, choćbyś cały wiek przeżył, nigdy nie jest za późno, by czegoś się nauczyć. Zaiste, zawsze warto posłuchać osób dojrzałych, bywałych i doświadczonych.

– A kpij sobie, kpij – szarpnęła głową. – Póki możesz. Bo teraz moja kolej. Teraz ja zabawię cię opowieścią. Opowiem ci, jak to było ze mną. A gdy skończę, zobaczymy, czy nadal będziesz miał ochotę drwić.

•

Gdyby tego dnia po zmroku ktoś podkradł się do chaty z zapadniętą strzechą, gdyby zajrzał przez szparę w okiennicy, zobaczyłby w skąpo oświetlonym wnętrzu białobrodego starca, w skupieniu słuchającego opowieści popielatowłosej dziewczyny siedzącej na kłodzie przy kominie. Spostrzegłby, że dziewczyna mówi wolno, jak gdyby z trudem znajdowała słowa, że nerwowo pociera zeszpecony paskudną blizną policzek, że przeplata długimi momentami milczenia opowieść o swych losach. Opowieść o naukach, które odebrała, a które wszystkie, co do jednej, okazały się kłamliwe i bałamutne. O obietnicach, które jej złożono i których nie dotrzymano. Opowieść o tym, jak przeznaczenie, w które kazano jej wierzyć, zdradziło ją niecnie i wyzuło z dziedzictwa. O tym, jak za każdym razem, gdy już zaczynała wierzyć, spadały na nią poniewierka, ból, krzywda i upokorzenie. O tym, jak ci, którym ufała i których kochała, zdradzili, nie przyszli z pomocą, gdy cierpiała, gdy groziły jej pohańbienie, męka i śmierć. Opowieść o ideałach, którym zalecano jej być wierną, a które zawiodły, zdradziły, opuściły wtedy, gdy ich potrzebowała, dowodząc, jak niewiele były warte. O tym, jak pomoc,

przyjaźń – i miłość – znalazła wreszcie u tych, u których z pozoru nie należało szukać ani pomocy, ani przyjaźni. Nie wspominając o miłości.

Ale tego nikt nie mógł zobaczyć ani tym bardziej usłyszeć. Chata z zapadniętą i omszałą strzechą była dobrze ukryta wśród mgieł, na moczarach, na które nikt nie odważał się zapuszczać.

Wkraczając w wiek dojrzewania, młoda dziewczyna zaczyna podejmować próby penetracji dziedzin życia uprzednio jej niedostępnych, co w baśniach symbolizuje wejście do tajemniczej wieży i poszukiwanie ukrytej tam komnaty. Dziewczyna wspina się na szczyt wieży, stąpając po kręconych schodach – schody w snach są symbolem przeżycia erotycznego. Zakazana komnata, ów mały zamknięty na klucz pokój, symbolizuje vaginę; przekręcenie klucza w zamku to symbol aktu seksualnego.

Bruno Bettelheim, *The Uses of Enchantment, the Meaning and Importance of Fairy Tales*

Rozdział drugi

Zachodni wiatr przyniósł nocną burzę.

Czarnofioletowe niebo pękło wzdłuż linii błyskawicy, eksplodowało przeciągłym łoskotem gromu. Nagły deszcz uderzył w kurz drogi kroplami gęstymi jak olej, zaszumiał na dachach, rozmazał brud na okiennych błonach. Ale silny wiatr szybko przepędził ulewę, odegnał burzę gdzieś hen, daleko, za płonący błyskawicami horyzont.

I wtedy rozszczekały się psy. Zadudniły kopyta, zabrzęczała broń. Dzikie hałłakowania i gwizdy zjeżyły włos rozbudzonym wieśniakom, zrywającym się w popłochu, zapierającym drągami drzwi i okiennice. Spocone dłonie zaciskały się na styliskach siekier, na trzonkach wideł. Zaciskały się mocno. Ale bezsilnie.

Terror, terror leci przez wieś. Ścigani czy ścigający? Szaleni i okrutni z wściekłości czy ze strachu? Przelecą, nie wstrzymując koni? Czy też rozjarzy się za chwilę noc ogniem gorejących strzech?

Cicho, cicho, dzieci...

Mamo, czy to demony? Czy to Dziki Gon? Zmory z piekła rodem? Mamo, mamo!

Cicho, cicho, dzieci. To nie demony, nie diabły...

Gorzej.

To ludzie.

Psy ujadały. Dął wicher. Rżały konie, łomotały podkowy.

Przez wieś i noc leciała hulajpartia.

•

Hotsporn wjechał na wzgórek, wstrzymał i obrócił konia. Był przezorny i ostrożny, nie lubił ryzyka, zwłaszcza wtedy, gdy czujność nic nie kosztowała. Nie spieszył się ze zjazdem w dół, nad rzeczkę, do stacji pocztowej. Wolał pierwej dobrze się przypatrzyć.

Przed stacją nie było koni ani zaprzęgów, stał tam wyłącznie jeden furgonik zaprzężony w parę mułów. Na płachcie widniał napis, którego Hotsporn nie mógł z daleka odczytać. Ale niebezpieczeństwem nie pachniało. Hotsporn potrafił wyczuwać niebezpieczeństwo. Był zawodowcem.

Zjechał nad zakrzaczony i zarośnięty łozą brzeg, zdecydowanie wparł konia w rzekę, przebrodził galopem wśród bijących powyżej siodła rozbryzgów wody. Taplające się przy brzegu kaczki uciekły z głośnym kwakiem.

Hotsporn ponaglił konia, przez rozgrodzony płot wjechał na podwórze stacji. Teraz mógł już odczytać napis na płachcie furgonu głoszący: „Mistrz Almavera, Kunsztownik Tatuażu". Każdy wyraz napisu wymalowany był innym kolorem i zaczynał się od przesadnie wielkiej, ozdobnie iluminowanej litery. A na skrzyni wozu, powyżej prawego przedniego koła, widniała wymalowana purpurową farbą nieduża rozdarta strzała.

– Z konia! – usłyszał zza pleców. – Na ziemię, a żywo! Ręce z daleka od rękojeści!

Podeszli go i otoczyli bezszelestnie – z prawej Asse, w czarnej skórzanej kurtce nitowanej srebrem, z lewej Falka, w zielonym zamszowym kubraczku i berecie z piórkami. Hotsporn ściągnął kaptur i zasłonę z twarzy.

– Ha! – Asse opuścił miecz. – To wy, Hotsporn. Poznałbym, ale zmylił mnie ten kary koń!

– Ależ kobyłka śliczna – powiedziała z zachwytem Falka, odsuwając beret na ucho. – Czarna i lśniąca jak węgiel, ani włoska jaśniejszego. A zgrabna! Ech, krasawica!

– Ano, taka się trafiła za niecałe sto florenów – uśmiechnął się niedbale Hotsporn. – Gdzie Giselher? W środku?

Asse kiwnął głową. Falka, patrząc na klacz jak urzeczona, poklepała ją po szyi.

– Gdy biegła przez wodę – uniosła na Hotsporna wielkie zielone oczy – to była niczym istna kelpie! Gdyby z morza się wynurzyła, a nie z rzeczki, nie uwierzyłabym, że to nie prawdziwa kelpie.

– A widziała panna Falka kiedy prawdziwą kelpie?

– Na obrazku – dziewczyna spochmurniała nagle. – Dużo by o tym gadać. Chodźcie do środka. Giselher czeka.

•

Przy oknie, dającym nieco światła, stał stół. Na stole półleżała Mistle, wsparta na łokciach, od pasa w dół goła, nie mająca na sobie nic prócz czarnych pończoch. Między jej nieskromnie rozkraczonymi nogami klęczał chudy i długowłosy osobnik w burym chałacie. Nie mógł być to nikt inny jak mistrz Almavera, kunsztownik tatuażu, albowiem właśnie zajęty był wykłuwaniem na udzie Mistle kolorowego obrazka.

– Chodź bliżej, Hotsporn – zaprosił Giselher, odsuwając zydel od dalszego stołu, za którym siedział z Iskrą, Kayleighem i Reefem. Dwaj ostatni, jak Asse, też odziani byli w czarną cielęcą skórę usianą klamerkami, ćwiekami, łańcuszkami i innymi wymyślnymi ozdobami ze srebra. Jakiś rzemieślnik musiał na nich potężnie zarobić, pomyślał Hotsporn. Szczury, gdy napadła ich zachcianka wystroić się, płaciły krawcom, szewcom i rymarzom iście po królewsku. Jasna rzecz, nigdy też nie były od tego, by po prostu zedrzeć z napadniętej osoby odzież lub biżuterię, która wpadła im w oko.

– Znalazłeś, jak widzę, naszą wiadomość w ruinach starej stacji? – przeciągnął się Giselher. – Ha, co gadam, inaczej przecie nie byłoby cię tu. Szybko nawet zjechałeś, przyznać muszę.

– Bo klacz śliczna – wtrąciła Falka. – Założę się, że i rącza!

– Ja waszą wiadomość znalazłem. – Hotsporn nie spuszczał oka z Giselhera. – A co z moją? Dotarła do ciebie?

– Dotarła... – zająknął się herszt Szczurów. – Ale... No, krótko mówiąc... Nie było wtedy czasu. A potem żeśmy się popili i mus był się trochę wywczasować. A później inna nam droga wypadła...

Cholerni gówniarze, pomyślał Hotsporn.

– Krótko mówiąc, nie wykonałeś polecenia?

– Ano nie. Wybacz, Hotsporn. Nie było jak... Ale następnym razem, ho, ho! Niezawodnie!

– Niezawodnie! – potwierdził z emfazą Kayleigh, choć nikt nie prosił go, by potwierdzał.

Cholerni, nieodpowiedzialni gówniarze. Popili się. A później inna droga im wypadła. Do krawców po frymuśne ciuszki, ani chybi.

– Napijesz się?

– Dziękuję, nie.

– A może tego skosztujesz? – Giselher wskazał stojące wśród gąsiorków i kubków ozdobne puzdereczko z laki. Hotsporn już wiedział, czemu w oczach Szczurów jarzył się tak dziwny blask, czemu ich ruchy były tak nerwowe i szybkie.

– Pierwszorzędny proch – zapewnił Giselher. – Nie weźmiesz szczypty?

– Dziękuję, nie. – Hotsporn wymownie spojrzał na plamę krwi i niknący w komorze ślad na trocinach, wyraźnie wskazujący, którędy i dokąd powleczono trupa. Giselher zauważył spojrzenie.

– Jeden pachoł zucha tu chciał odgrywać – parsknął. – Aż go Iskra skarcić musiała.

Iskra zaśmiała się gardłowo. Od razu było widać, że jest mocno podniecona narkotykiem.

– Tak go skarciłam, że się krwią zachłysnął – pochwaliła się. – A wtedy inni z miejsca spokornieli. To się nazywa terror!

Była jak zwykle obwieszona klejnotami, diamentowy kolczyk miała nawet w skrzydełku nosa. Nie nosiła skóry, lecz wiśniowy kaftanik z brokatowym wzorkiem, już na tyle słynny, by być ostatnim krzykiem mody wśród złotej młodzieży z Thurn. Podobnie jak jedwabna chusta, którą owijał głowę Giselher. Hotsporn słyszał już nawet o dziewczynach, które strzygły się „na Mistle".

– To się nazywa terror – powtórzył w zamyśleniu, wciąż patrząc na krwawy zaciek na podłodze. – A gospodarz stacji? Jego żona? Syn?

– Nie, nie – skrzywił się Giselher. – Sądzisz, żeśmy wszystkich zarąbali? Gdzie tam. W spiżarni ich chwilowo zawarliśmy. Teraz stacja, jak widzisz, nasza.

Kayleigh głośno przepłukał usta winem, wypluł na podłogę. Maleńką łyżeczką nabrał ze szkatułki odrobinę fisstechu, pieczołowicie nasypał na pośliniony opuszek palca wskazującego i wtarł sobie narkotyk w dziąsło. Podał puzdereczko Falce, która powtórzyła rytuał i przekazała fisstech Reefowi. Nilfgaardczyk odmówił, zajęty przeglądaniem katalogu

kolorowych tatuaży, oddał pudełko Iskrze. Elfka przekazała je Giselherowi, nie zażywając.

– Terror! – warknęła, mrużąc błyszczące oczy i pociągając nosem. – Stację mamy pod terrorem! Cesarz Emhyr trzyma tak cały świat, my jeno tę budę. Ale zasada ta sama!

– Auuuuu, psiakrew! – wrzasnęła ze stołu Mistle. – Uważaj, w co żgasz! Zrób mi tak raz jeszcze, to ja ciebie żgnę! Tak, że na wylot przejdzie!

Szczury – oprócz Falki i Giselhera – ryknęły śmiechem.

– Chce się być piękną, trzeba cierpieć! – zawołała Iskra.

– Kłuj ją, mistrzu, kłuj – dodał Kayleigh. – Ona między nogami zahartowana!

Falka zaklęła paskudnie i rzuciła w niego kubkiem. Kayleigh uchylił się, Szczury znowu zaryczały śmiechem.

– Tak tedy – Hotsporn zdecydował się położyć kres wesołości – stację trzymacie pod terrorem. A po co? Pomijając satysfakcję, jaka z terroryzowania wypływa?

– My tutaj – odrzekł Giselher, wcierając sobie fisstech w dziąsło – na czatach leżymy. Gdy kto tu stanie, by konie zmienić albo wypocząć, to się go obedrze. Tu wygodniej, niźli gdzie na rozstaju albo w chaszczach przy gościńcu. Atoli, jak to Iskra dopiero co powiedziała, zasada ta sama.

– Ale dziś, od świtu, tylko ten nam popadł – wtrącił Reef, wskazując mistrza Almaverę, skrytego niemal z głową między rozwiedzionymi udami Mistle. – Golec, jak każdy sztukmistrz, nie było go z czego ograbić, więc go z jego kunsztu ograbiamy. Rzućcie okiem, jaki on zmyślny do rysunku.

Obnażył przedramię i pokazał tatuaż – nagą kobietę, ruszającą pośladkami, gdy zaciskał pięść. Kayleigh też się pochwalił – dookoła jego ręki, powyżej kolczastej bransolety, wił się zielony wąż z rozwartą paszczą i szkarłatnym, rozwidlonym językiem.

– Gustowna rzecz – rzekł obojętnie Hotsporn. – I pomocna przy identyfikacji trupów. Atoli z grabieżą nie wyszło wam, drogie Szczury. Przyjdzie wam zapłacić artyście za jego kunszt. Nie było kiedy was uprzedzić: od siedmiu dni, od pierwszego września, znakiem jest purpurowa rozdarta strzała. On ma taką wymalowaną na wozie.

Reef zaklął pod nosem, Kayleigh zaśmiał się. Giselher obojętnie machnął ręką.

– Trudno. Jeśli mus, to się mu zapłaci za jego igły i farby. Purpurowa strzała, mówisz? Zapamiętamy. Gdyby tu do jutra jeszcze jaki ze znakiem strzały nadjechał, nie będzie mu krzywdy.

– Zamierzacie tu tkwić do jutra? – zdziwił się nieco przesadnie Hotsporn. – Nierozsądnie, Szczury. Ryzykownie i niebezpiecznie!

– Że jak?

– Ryzykownie i niebezpiecznie.

Giselher wzruszył ramionami, Iskra parsknęła i wysmarkała się na podłogę. Reef, Kayleigh i Falka patrzyli na kupca tak, jak gdyby właśnie oznajmił im, że słońce wpadło do rzeczki i trzeba je szybko wyłowić, zanim je raki oszczypią. Hotsporn zrozumiał, że właśnie odwołał się do rozsądku szalonych smarkaczy. Że ostrzegł przed ryzykiem i niebezpieczeństwem pełnych szaleńczej brawury fanfaronów, którym pojęcia te były całkowicie obce.

– Pościg za wami idzie, Szczury.

– No i co z tego?

Hotsporn westchnął.

Dyskurs przerwała Mistle, która podeszła do nich, nie zadając sobie trudu, by się ubrać. Postawiła nogę na ławie i kręcąc biodrami zademonstrowała wszem i wobec dzieło mistrza Almavery: pąsową różę na zielonej łodyżce z dwoma listkami, usytuowaną na udzie – tuż przy pachwinie.

– Ha? – spytała, biorąc się pod boki. Jej sięgające niemal łokci bransolety błysnęły brylantowo. – Co powiecie?

– Śliczności! – parsknął Kayleigh, odgarniając włosy. Hotsporn zauważył, że Szczur nosił kolczyki w przekłutych małżowinach usznych. Nie ulegało wątpliwości, że wkrótce takie kolczyki będą – podobnie jak nabijana metalem skóra – w modzie wśród złotej młodzieży w Thurn i w całym Geso.

– Twoja kolej, Falka – powiedziała Mistle. – Co każesz sobie wykłuć?

Falka dotknęła jej uda, pochyliła się i przyjrzała tatuażowi. Z bliska. Mistle pieszczotliwie poczochrała jej popielate włosy. Falka zachichotała i bez żadnych ceregieli zaczęła się rozbierać.

– Chcę taką samą różę – oznajmiła. – W tym samym miejscu, co u ciebie, kochana.

•

– Ależ myszy tu u ciebie, Vysogoto. – Ciri przerwała opowieść, patrząc na podłogę, gdzie w kręgu rzucanego przez kaganek światła trwał istny mysi turniej. Można było sobie jedyne wyobrazić, co działo się poza kręgiem, w ciemnościach. – Przydałby ci się kot. Albo lepiej: dwa koty.

– Gryzonie – odchrząknął pustelnik – lezą do chałupy, bo zima nadciąga. A kota miałem. Ale powędrował gdzieś, niecnota, przepadł.

– Pewnie zagryzł go lis albo kuna.

– Nie widziałaś tego kota, Ciri. Jeśli coś go zagryzło, to smok. Nic mniejszego.

– Taki był? Ha, szkoda. On by tym myszom nie pozwolił łazić mi po łóżku. Szkoda.

– Szkoda. Ale ja myślę, że on wróci. Koty zawsze wracają.

– Dorzucę do ognia. Zimno.

– Zimno. Diabelnie chłodne teraz noce... A przecież to jeszcze nawet nie połowa października... Opowiadaj dalej, Ciri.

Ciri przez chwilę siedziała nieruchomo, zapatrzona w palenisko. Ogień ożył na podrzuconym drewnie, zatrzeszczał, zahuczał, cisnął na oszpeconą twarz dziewczyny złoty blask i ruchliwe cienie.

– Opowiadaj.

•

Mistrz Almavera kłuł, a Ciri czuła, jak łzy wiercą się jej w kącikach oczu. Choć przezornie oszołomiła się przed zabiegiem winem i białym proszkiem, ból był nieznośny. Zaciskała zęby, by nie pojękiwać. Ale nie jęczała, ma się rozumieć, udawała, że nie zwraca uwagi na igły, a ból ma w pogardzie. Starała się jak gdyby nigdy nic brać udział w rozmowie, jaką Szczury wiodły z Hotspornem, osobnikiem pragnącym uchodzić za kupca, a który – oprócz faktu, że żył z handlowców – nic wspólnego z handlem nie miał.

– Czarne chmury ściągnęły nad wasze głowy – mówił Hotsporn, wodząc po twarzach Szczurów ciemnymi oczyma. – Nie dość, że poluje na was prefekt z Amarillo, mało, że Varnhagenowie, mało, że baron Casadei...

– Ten? – wykrzywił się Giselher. – Prefekta i Varnhagenów rozumiem, ale czego ten jakiś Casadei na nas zawzięty?

– Okręcił się wilk owczą skórą – uśmiechnął się Hotsporn – i beczy żałośnie, bee, bee, nikt mnie nie lubi, nikt mnie nie rozumie, gdzie się

nie pokażę, kamieniami rzucają, „huź-ha" krzyczą, za co tak, za co taka krzywda i niesprawiedliwość? Córka barona Casadei, drogie Szczury, po przygodzie nad rzeczką Pliszką do dziś dnia słabuje, gorączkuje...

– Aaaa – przypomniał sobie Giselher. – Kareta z czwórką tarantów! To ta panna?

– Ta. Teraz, jakem mówił, choruje, w nocy z krzykiem się zrywa, pana Kayleigha wspomina... Ale osobliwie pannę Falkę. I broszkę, pamiątkę po mamusi nieboszczce, którą to broszkę panna Falka przemocą jej z sukienki zdzierała. Słowa różne przy tym powtarzając.

– To wcale nie o to idzie! – wrzasnęła ze stołu Ciri, mając okazję wrzaskiem odreagować ból. – Okazaliśmy baronównie kontempt i despekt, pozwalając, by na sucho uszła! Trzeba było wychędożyć pannicę!

– W samej rzeczy. – Ciri czuła wzrok Hotsporna na swych gołych udach. – Wielki to zaiste dyshonor, nie wychędożyć. Nie dziwota, że obrażony Casadei skrzyknął zbrojną hassę, wyznaczył nagrodę. Zaklinał się publicznie, że wszyscy zawiśniecie głowami w dół z krokształynów na murach jego zamku. Zapowiedział też, że za ową zdartą z córki broszkę z panny Falki zedrze skórę. Pasami.

Ciri zaklęła, a Szczury zaryczały dzikim śmiechem. Iskra kichnęła i okropnie się usmarkała – fisstech drażnił jej śluzówkę.

– My te pościgi lekce sobie ważymy – oznajmiła, wycierając szalikiem nos, usta, podbródek i stół. – Prefekt, baron, Varnhageny! Ścigają, ale nie doścignąą! My jesteśmy Szczury! Za Veldą zrobiliśmy trzy zygzaki i teraz ci durnie w piętkę gonią, wstecz zimnego tropu. Nim się połapią, będą za daleko, by zawracać.

– A niechby i zawrócili! – rzekł zapalczywie Asse, który jakiś czas temu przyszedł z warty, na której nikt go nie zastąpił i nie zamierzał zastąpić. – Poszczerbim ich i tyle!

– Pewnie! – krzyknęła ze stołu Ciri, zapomniawszy już, jak zeszłej nocy wiali przed pogonią przez wioski nad Veldą i jakiego miała wtedy stracha.

– Dobra. – Giselher walnął otwartą dłonią w stół, raptownie kładąc kres hałaśliwej gadaninie. – Gadaj, Hotsporn. Bo przecież widzę, że chcesz nam o czymś powiedzieć, o czymś ważniejszym od prefekta, Varnhagenów, barona Casadei i jego wrażliwej córeczki.

– Bonhart idzie waszym tropem.

Zapadła cisza, niezwykle długa. Nawet mistrz Almavera przestał na chwilę kłuć.

– Bonhart – powtórzył przeciągle Giselher. – Stary siwy szubrawiec. Musieliśmy komuś fest dokuczyć.

– Komuś bogatemu – stwierdziła Mistle. – Nie każdego stać na Bonharta.

Ciri już miała spytać, kim jest ów Bonhart, ale uprzedzili ją – prawie jednocześnie, jednym głosem – Asse i Reef.

– To łowca nagród – wyjaśnił ponuro Giselher. – Dawniej podobno żołnierką się parał, potem wędrownym handlem, wreszcie wziął się za zabijanie ludzi dla nagrody. To sukinsyn, jakich mało.

– Gadają – powiedział dość niefrasobliwie Kayleigh – że gdyby wszystkich, których Bonhart zaciukał, na jednym żalniku chcieć pochować, musiałby żalnik mieć z pół morgi.

Mistle nasypała szczyptę białego proszku w zagłębienie pomiędzy kciukiem i palcem wskazującym, ostro wciągnęła do nosa.

– Bonhart rozbił hanzę Dużego Lothara – powiedziała. – Zasiekł jego i jego brata, tego, co go wołali Muchomorek.

– Powiadają: ciosem w plecy – dorzucił Kayleigh.

– Zabił też Valdeza – dodał Giselher. – A gdy Valdez zginął, rozpadła się jego hanza. Jedna z lepszych była. Porządna, ostra hulajpartia. Druhy dobre. Myślałem swego czasu przystać do nich. Zanim myśmy się spiknęli.

– Wszystko prawda. – rzekł Hotsporn. – Takiej hanzy, jak hanza Valdeza drugiej nie było i nie będzie. Pieśń śpiewają o tym, jak wyrwali się obławie pod Sardą. Ot, głowy bujne, ot, kawalerska fantazja! Mało komu z nimi w paragon iść.

Szczury zamilkły nagle i utkwiły w nim oczy, błyszczące i złe.

– Myśmy – wycedził po chwili ciszy Kayleigh – w szóstkę przedarli się kiedyś przez szwadron nilfgaardzkiej jazdy!

– Odbiliśmy Kayleigha Nissirom! – warknął Asse.

– Z nami – zasyczał Reef – też nie każdemu w paragon!

– Tak jest, Hotsporn – wypiął pierś Giselher. – Nie gorsze Szczury od żadnej innej hulajpartii, nie gorsze i od Valdezowej hanzy. Kawalerska fantazja, mówiłeś? To ja ci coś o panieńskiej fantazji opowiem. Iskra, Mistle i Falka we trzy, jak tu siedzą, przejechały w biały dzień środkiem miasteczka Druigh, a wywiedziawszy się, że stoją w traktierni

Varnhagenowie, przecwałowały przez traktiernię! Na wskroś! Wjechały od frontu, wyjechały od podwórza. A Varnhagenowie zostali z otwartymi gębami, nad pobitymi kuflami i rozlanym piwskiem. Powiesz może, że to mała fantazja?

– Nie powie – uprzedziła odpowiedź Mistle, uśmiechając się złośliwie. – Nie powie, bo wie, kto zacz Szczury. Jego gildia też to wie.

Mistrz Almavera skończył tatuować. Ciri podziękowała z dumną miną, ubrała się i dosiadła do kompanii. Prychnęła, czując na sobie dziwny, taksujący – i jakby kpiący – wzrok Hotsporna. Łypnęła na niego złym okiem, manifestacyjnie przytulając się do ramienia Mistle. Zdążyła już wypraktykować, że takie manifestacje peszą i skutecznie chłodzą zapały panów, którym w głowie były amory. W przypadku Hotsporna działała nieco na wyrost, bo niby-kupiec nie był w tym względzie natrętny.

Hotsporn był dla Ciri zagadką. Widziała go przedtem tylko jeden jedyny raz, resztę opowiedziała jej Mistle. Hotsporn i Giselher, wyjaśniła, znają się i kumają od dawna, mają umówione sygnały, hasła i miejsca spotkań. Podczas tych spotkań Hotsporn daje informacje – i wtedy jedzie się na wskazany trakt i napada na wskazanego kupca, konwój lub karawanę. Niekiedy zabija się wskazaną osobę. Zawsze też umawiany jest znak – na kupców z takim znakiem na wozach napadać nie wolno.

Ciri początkowo była zdumiona i lekko rozczarowana – patrzyła na Giselhera jak w tęczę, miała Szczury za wzór swobody i niezależności, sama pokochała tę swobodę, tę pogardę dla wszystkiego i wszystkich. Aż tu niespodzianie przyszło wykonywać robotę na zamówienie. Jak najemnym zbirom, ktoś rozkazywał im, kogo bić. Mało tego – ktoś kogoś zakazywał im bić, a oni słuchali, spuściwszy uszy.

Coś za coś, wzruszyła ramionami indagowana Mistle. Hotsporn wydaje nam rozkazy, ale i daje informacje, dzięki którym przeżywamy. Swoboda i pogarda mają swoje granice. W końcu zawsze jest tak, że jest się czyimś narzędziem.

Takie jest życie, Sokoliczko.

Ciri była zdziwiona i rozczarowana, ale przeszło jej szybko. Uczyła się. Także tego, by nie dziwić się za dużo i za dużo nie oczekiwać – bo wtedy rozczarowanie bywa mniej dotkliwe.

– Ja, drogie Szczury – mówił tymczasem Hotsporn – miałbym remedium na wszystkie wasze kłopoty. Na Nissirów, baronów,

prefektów, na Bonharta nawet. Tak, tak. Bo choć zaciska się na waszych szyjach arkan, ja miałbym sposób na to, by się z pętli wyśliznąć.

Iskra parsknęła, Reef zarechotał. Ale Giselher uciszył ich gestem, pozwolił Hotspornowi kontynuować.

– Wieść głosi – powiedział po chwili kupiec – że lada dzień ogłoszona będzie amnestia. Jeśli nawet na kim ciąży kondemnata, ba, jeśli nawet nad kimś stryczek wisi, będzie miał darowane, jeśli tylko się ujawni i wyzna winy. Was też to dotyczy.

– Pieprzenie! – krzyknął Kayleigh, załzawiony nieco, bo właśnie wciągnął był do nosa szczyptę fisstechu. – Nilfgaardzka sztuczka, fortel! Nie nas, starych wróblów, na takie plewy chcieć brać!

– Powoli – powstrzymał go Giselher. – Nie gorączkuj się, Kayleigh. Hotsporn, jak go znamy, nie zwykł klimkiem rzucać ni z gęby cholewy czynić. Zwykł wiedzieć, co i dlaczego gada. Tedy pewnie wie i powie nam, skąd ta nagła nilfgaardzka łaskawość.

– Cesarz Emhyr – rzekł spokojnie Hotsporn – bierze małżonkę. Cesarzową wkrótce będziemy mieli w Nilfgaardzie. Dlatego amnestię mają ogłosić. Cesarz ponoć ogromnie szczęśliwy, więc i dla innych pragnie szczęścia.

– Gdzieś mam cesarskie szczęście – oznajmiła wyniośle Mistle. – A z amnestii pozwolę sobie nie skorzystać, bo mi coś ta nilfgaardzka łaska świeżym wiórem pachnie. Coś jakby pal w szpic strugali, he, he!

– Wątpię – wzruszył ramionami Hotsporn – by to był podstęp. To jest sprawa polityczna. I duża. Większa, niźli wy, Szczury, niźli wszystkie tutejsze hulajpartie do kupy wzięte. Tu o politykę chodzi.

– Znaczy, o co? – zmarszczył brwi Giselher. – Bom ni czarta nie zrozumiał.

– Mariaż Emhyra jest polityczny i polityczne sprawy mają być za pomocą tego mariażu wygrane. Cesarz unię tworzy małżeństwem, chce jeszcze mocniej Cesarstwo zjednoczyć, położyć kres pogranicznym tumultom, zaprowadzić pokój. Bo wiecie, z kim on się żeni? Z Cirillą, następczynią tronu Cintry.

– Kłamstwo! – wrzasnęła Ciri. – Bujda!

– Jakim czołem raczy panna Falka zadawać mi kłam? – Hotsporn uniósł na nią oczy. – Czyżby była lepiej poinformowana?

– Pewnie!

– Ciszej, Falka – skrzywił się Giselher. – Kłuli cię na stole w kuperek, cicho byłaś, a teraz się drzesz? Co to za Cintra, Hotsporn? Co to za Cirilla? Czemu to niby ma być takie ważne?

– Cintra – wtrącił Reef, sypiąc sobie fisstech na palec – to państewko na północy, o które Cesarstwo wojowało z tamtejszymi władykami. Ze trzy albo cztery lata temu to było.

– Zgadza się – potwierdził Hotsporn. – Cesarscy podbili Cintrę i nawet przeszli rzekę Yarrę, ale później musieli się wycofać.

– Bo dostali lanie pod Wzgórzem Sodden – warknęła Ciri. – Wycofywali się tak, że mało gaci nie pogubili!

– Panna Falka, jak widzę, obeznana z historią najnowszą. Chwali się, chwali w tak młodym wieku. Wolno spytać, gdzie panna Falka do szkół uczęszczała?

– Nie wolno!

– Dosyć! – upomniał znowu Giselher. – Praw o tej Cintrze, Hotsporn. I o amnestii.

– Imperator Emhyr – rzekł kupiec – postanowił stworzyć z Cintry państwo bluszczowe...

– Jakie?

– Bluszczowe. Jak bluszcz, nie mogące istnieć bez potężnego pnia, wokół którego się owija. A pniem tym, oczywista, jest Nilfgaard. Już są takie państwa, weźmy choćby Metinnę, Maecht, Toussaint... Królują tam lokalne dynastie. Na niby, ma się rozumieć.

– To się nazywa pazerna automonia – pochwalił się Reef. – Słyszałem.

– Problem z ową Cintrą wszelakoż był taki, że tamtejsza królewska linia wygasła...

– Wygasła?! – Z oczu Ciri, zdawałoby się, sypną się za chwilę zielone iskry. – Ładnie mi wygasła! Nilfgaardczycy zamordowali królową Calanthe! Zwyczajnie zamordowali!

– Przyznaję – Hotsporn gestem pohamował Giselhera, zamierzającego znów zgromić Ciri za wtrącanie się – że ustawicznie błyska nam tu panna Falka wiedzą. Królowa Cintry faktycznie poległa w czasie wojny. Zginęła też, jak mniemano, jej wnuczka Cirilla, ostatnia z królewskiej krwi. Tedy nie bardzo miał Emhyr z czego zrobić owej, jak to mądrze rzekł pan Reef, pozornej autonomii. Aż tu nagle ni z tego, ni z owego owa Cirilla odnalazła się.

– Bajeczki to są jakieś – parsknęła Iskra, opierając się o ramię Giselhera.

– Rzeczywiście – kiwnął głową Hotsporn. – Trochę to jak w bajce, trzeba przyznać. Mówią, że ową Cirillę zła czarownica więziła gdzieś na dalekiej Północy, w magicznej wieży. Ale udało się jej, Cirilli, nie wieży, zbiec i poprosić o azyl w Cesarstwie.

– To jest jedna wielka, cholerna, nieprawdziwa bujda i bzdura! – rozdarła się Ciri, roztrzęsionymi rękoma sięgając po puzdereczko z fisstechem.

– Zaś imperator Emhyr, jak głosi fama – ciągnął nie speszony Hotsporn – gdy tylko ją ujrzał, zakochał się w niej bez pamięci i chce pojąć za żonę.

– Sokoliczka ma rację – powiedziała twardo Mistle, akcentując wypowiedź walnięciem pięścią w stół. – To jest cholerna bzdura! Za cholerną cholerę pojąć nie mogę, o co tu chodzi. Jedno jest pewne: opierać na tej bzdurze nadzieje na nilfgaardzką łaskę byłoby jeszcze większą bzdurą.

– Tak jest! – poparł ją Reef. – Nic nam po cesarskim ożenku. Choćby nie wiem z kim się cesarz żenił, na nas zawsze będzie inna narzeczona czekała. Konopna!

– Nie w waszych szyjach sprawa, drogie Szczury – przypomniał Hotsporn. – To jest polityka. Na północnych rubieżach Cesarstwa wciąż rebelie, bunty i ruchawki, zwłaszcza w owej Cintrze i okolicach. A pojmie imperator za żonę dziedziczkę Cintry, to Cintra się uspokoi. Będzie uroczysta amnestia, to rebelizanckie partie zejdą z gór, przestaną cesarskich szarpać i dyzgusty czynić. Ba, jeśli Cintryjka zasiądzie na cesarskim tronie, to buntownicy wstąpią do cesarskiej armii. A wiecie wszak, że na północy, za rzeką Yarrą, trwa wojna, każdy żołnierz się liczy.

– Aha – wykrzywił się Kayleigh. – Teraz pojąłem! Taka to amnestia! Dadzą do wyboru: tu pal zaostrzony, tu cesarskie barwy. Albo pal w rzyć, albo barwy na grzbiet. I na wojenkę, umierać za imperium!

– Na wojence – powiedział wolno Hotsporn – w istocie bywa różnie, jak to w tej piosence. Wszelakoż nie wszystkim mus wojować, drogie Szczury. Możliwy jest, oczywiście po spełnieniu warunków amnestii, to jest ujawnieniu się i wyznaniu win, pewien rodzaj... służby zastępczej.

– Czego?

– Ja wiem, w czym rzecz. – Zęby Giselhera błysnęły krótko w ogorzałej, sinej od zgolonego zarostu gębie. – Gildia kupiecka, dzieci, miałaby chęć przygarnąć nas. Przytulić i przyhołubić. Jak pani matka.

– Kurwa mać raczej – burknęła pod nosem Iskra. Hotsporn udał, że nie słyszał.

– Masz w pełni słuszność, Giselher – powiedział zimno. – Gildia może, jeśli zechce, zatrudnić was. Oficjalnie, dla odmiany. I przyhołubić. Dać ochronę. Też oficjalnie i też dla odmiany.

Kayleigh chciał coś powiedzieć, Mistle chciała coś powiedzieć, ale szybkie spojrzenie Giselhera odebrało obojgu mowę.

– Przekaż gildii, Hotsporn – powiedział lodowato herszt Szczurów – że za ofertę jesteśmy wdzięczni. Podumamy, zastanowimy się, pogadamy. Uradzimy, co uczynić.

Hotsporn wstał.

– Jadę.

– Teraz, na noc?

– Przenocuję we wsi. Tu mi jakoś nieporęcznie. A jutro prościutko do granicy z Metinną, potem głównym gościńcem do Forgeham, gdzie zabawię do Ekwinokcjum, a kto wie, czy nie dłużej. Będę tam bowiem oczekiwał na takich, co już się zastanowili, gotowi są ujawnić się i pod moją opieką czekać amnestii. I wy też nie mitrężcie, radzę dobrze, z zastanawianiem się i dumaniem. Bo gotów Bonhart amnestię wyprzedzić.

– Ciągle nas straszysz tym Bonhartem – rzekł wolno Giselher, wstając również. – Myślałby kto, że łotr już za węgłem... A on pewnie za górami, za lasami...

– ...w Zazdrości – dokończył spokojnie Hotsporn. – W zajeździe „Pod Głową Chimery". Jakieś trzydzieści mil stąd. Gdyby nie wasze zygzaki nad Veldą, pewnie wpakowalibyście się na niego wczoraj. Ale was to nie frasuje, wiem. Bywaj, Giselher. Bywajcie, Szczury. Mistrzu Almavera? Jadę do Metinny, a zawsze chętny jestem kompanii w drodze... Co mówiłeś, mistrzu? Że chętnie? Tak myślałem. Pakuj więc twój kram. Zapłaćcie mistrzowi, Szczury, za jego artystyczny trud.

•

Stacja pocztowa pachniała smażoną cebulką i zalewajką, gotowaną przez żonę gospodarza stacji, czasowo wypuszczoną ze spiżarnianego

aresztu. Świeca na stole pryskała, tętniła, zamiatała wąsem płomienia. Szczury pochyliły się nad stołem tak, że płomień grzał ich niemal stykające się głowy.

– Jest w Zazdrości – mówił cicho Giselher. – W zajeździe „Pod Głową Chimery". Raptem dzień drogi stąd. Co o tym myślicie?

– To, co i ty – warknął Kayleigh. – Jedźmy tam i zabijmy skurwysyna.

– Pomścimy Valdeza – powiedział Reef. – I Muchomorka.

– I nie będą nas – zasyczała Iskra – różni Hotspornowie w oczy kłuć cudzą sławą i fantazją. Zakatrupimy tego Bonharta, tego trupojada, tego wilkołaka. Przybijemy jego głowę nad drzwiami oberży, żeby do nazwy pasowało! I żeby wszyscy widzieli, że nie charakternik, ale śmiertelny był, jak inni, i że w końcu na lepszych się porwał. Pokaże się, która hanza najlepsza od Korathu po Pereplut!

– Pieśni zaśpiewają o nas po jarmarkach! – rzekł zapalczywie Kayleigh. – Ba, i po zamkach!

– Jedźmy. – Asse palnął w blat dłonią. – Jedźmy i zabijmy drania.

– A później – zastanowił się Giselher – pomyślimy o owej amnestii... O Gildii... Czego gębę wykrzywiasz, Kayleigh, jakbyś pluskwę rozgryzł? Po piętach nam depczą, a zima idzie. Myślę tak, Szczurki: przezimujemy, grzejąc dupy przy kominie, amnestią od chłodu nakryci, amnestyjne grzane piwo pociągając. Wytrwamy w tej amnestii przyzwoicie i grzecznie... tak jakoś do wiosny. A wiosną... Gdy trawka spod śniegu wyjrzy...

Szczury zaśmiały się chórem, cicho, złowieszczo. Oczy gorzały im jak prawdziwym szczurom, gdy nocą, w ciemnym zaułku podchodzą do rannego, niezdolnego się bronić człowieka.

– Wypijmy – rzekł Giselher – Bonhartowi na pohybel! Zjedzmy tej zupy, a potem spać. Wypocząć, bo do dnia ruszymy.

– Jasne – parsknęła Iskra. – Bierzcie przykład z Mistle i Falki, te już od godziny w łóżku.

Żona gospodarza stacji pocztowej zadygotała przy saganie, znowu słysząc od stołu cichy, zły, paskudny chichot.

•

Ciri uniosła głowę, przez dłuższą chwilę milczała, zapatrzona w ledwo pełgający płomyk kaganka, w którym wypalała się już reszteczka tranu.

– Wymknęłam się wtedy ze stacji jak złodziejka – podjęła opowieść. – Nad ranem, w zupełnych ciemnościach... Ale nie zdołałam uciec niepostrzeżenie. Mistle musiała przebudzić się, gdy wstawałam z łóżka. Przydybała mnie w stajni, gdy siodłałam konia. Ale nie okazała zdziwienia. I wcale nie próbowała mnie zatrzymać... Zaczynało już świtać...

– Teraz też niezbyt daleko do świtu – ziewnął Vysogota. – Czas spać, Ciri. Jutro wznowisz opowieść.

– Może i masz słuszność. – Ziewnęła również, wstała, przeciągnęła się mocno. – Bo i mnie już powieki ciążą. Ale w tym tempie, pustelniku, to ja nigdy nie skończę. Ile to już wieczorów mamy za sobą? Co najmniej dziesięć. Obawiam się, że cała opowieść może zająć tysiąc i jedną noc.

– Mamy czas, Ciri. Mamy czas.

•

– Przed kim chcesz uciec, Sokoliczko? Przede mną? Czy przed sobą?

– Skończyłam z uciekaniem. Teraz chcę coś dogonić. Dlatego muszę wrócić... tam, gdzie wszystko się zaczęło. Muszę. Zrozum to, Mistle.

– To dlatego... Dlatego byłaś dziś miła dla mnie. Po raz pierwszy od tylu dni... Ostatni pożegnalny raz? A potem zapomnieć?

– Ja cię nigdy nie zapomnę, Mistle.

– Zapomnisz.

– Nigdy. Przyrzekam ci. A to nie był ostatni raz. Odnajdę cię. Przyjadę po ciebie... Przyjadę poszóstną złotą karetą. Z orszakiem dworzan. Zobaczysz. Ja niedługo będę miała... możliwości. Duże możliwości. Sprawię, że odmieni się twój los... Zobaczysz. Przekonasz się, jak wiele będę mogła uczynić. Jak wiele zmienić.

– Wielkiej do tego trzeba by mocy – westchnęła Mistle. – I potężnej magii...

– I to też jest możliwe. – Ciri oblizała wargi. – Magia też... Mogę odzyskać... Wszystko, co niegdyś straciłam, może wrócić... I znowu być moje. Obiecuję ci, zdziwisz się, gdy spotkamy się znowu.

Mistle odwróciła ostrzyżoną głowę, wpatrzyła się w błękitno-różowe smugi, które brzask wymalował już nad wschodnim krańcem świata.

– W samej rzeczy – powiedziała cicho. – Bardzo będę zdziwiona, jeśli się jeszcze kiedyś spotkamy. Jeśli jeszcze kiedyś cię zobaczę, malutka. Jedź już. Nie przeciągajmy tego.

– Czekaj na mnie. – Ciri pociągnęła nosem. – I nie daj się zabić. Pomyśl o tej amnestii, o której mówił Hotsporn. Nawet gdyby Giselher i inni nie chcieli... Ty jednak pomyśl o tym, Mistle. To może być sposób na przetrwanie... Bo ja wrócę po ciebie. Przyrzekam.

– Pocałuj mnie.

Świtało. Rosła jasność, potęgowało się zimno.

– Kocham cię, Jemiołuszko.

– Kocham cię, Sokoliczko. Jedź już.

•

– Oczywiście, że nie wierzyła mi. Była przekonana, że stchórzyłam, że pognałam za Hotspornem, by szukać ratunku, błagać o tę amnestię, którą tak nas nęcił. Skąd mogła wiedzieć, jakie uczucia owładnęły mną, gdy słuchałam tego, co Hotsporn gadał o Cintrze, o mojej babce Calanthe... I o tym, że jakaś „Cirilla" zostanie żoną cesarza Nilfgaardu. Tego samego cesarza, który babkę Calanthe zamordował. A za mną posłał tego czarnego rycerza z piórami na hełmie. Opowiadałam ci, pamiętasz? Na wyspie Thanedd, gdy wyciągnął po mnie rękę, utoczyłam mu krwi! Powinnam go wówczas zabić... Ale jakoś nie mogłam... Głupia byłam! A, co tam, może się zresztą tam na Thanedd wykrwawił i zdechł... Czemu tak na mnie patrzysz?

– Opowiadaj. Opowiedz, jak pojechałaś za Hotspornem, by odzyskać dziedzictwo. Odzyskać to, co ci się należało.

– Niepotrzebnie mówisz z przekąsem, niepotrzebnie drwisz. Tak, ja wiem, to było głupie, teraz to widzę, wtedy też... Ja mądrzejsza byłam w Kaer Morhen i w świątyni Melitele, tam wiedziałam, że to, co minęło, nie może już wrócić, że nie jestem już księżniczką Cintry, lecz kimś zupełnie innym, że żadnego dziedzictwa już nie mam, że to stracone i że trzeba się z tym pogodzić. Wyjaśniono mi to mądrze i spokojnie, a ja to przyjęłam. Też spokojnie. I nagle to zaczęło wracać. Najpierw, gdy mi próbowano w oczy zaświecić tytułem tej baronówny Casadei... Nigdy nie przejmowałam się takimi sprawami, a wtedy nagle wściekłam się, nosa zadarłam i nawrzeszczałam, że jestem jeszcze bardziej utytułowana i dużo lepiej urodzona. I od tamtej pory zaczęłam o tym myśleć. Czułam, jak rośnie we mnie gniew. Pojmujesz to, Vysogoto?

– Pojmuję.

– A opowieść Hotsporna dopełniła miary. Mało się nie zagotowałam od złości... Tyle mi dawniej gadali o przeznaczeniu... A tu z tego przeznaczenia ma korzystać ktoś inny, dzięki zwykłemu szalbierstwu. Ktoś się podał za mnie, za Ciri z Cintry, i będzie miał wszystko, będzie opływał w luksusy... Nie, nie mogłam myśleć o niczym innym... Nagle uświadomiłam sobie, że nie dojadam, że marznę, sypiając pod gołym niebem, że myć intymne miejsca muszę w lodowatych strumieniach... Ja! Ja powinnam mieć wannę ze złotej blachy! Wodę pachnącą spikanardem i różami! Ogrzewane ręczniczki! Czystą pościel! Rozumiesz, Vysogoto?

– Rozumiem.

– Nagle byłam gotowa pojechać do najbliższej prefektury, do najbliższego fortu, do tych Czarnych Nilfgaardczyków, których tak się bałam i których tak nienawidziłam... Byłam gotowa powiedzieć: „To ja jestem Ciri, wy nilfgaardzkie matoły, to mnie powinien wziąć za żonę wasz głupi cesarz, podetkali waszemu cesarzowi jakąś bezczelną oszustkę, a ten idiota nie poznał się na szachrajstwie". Byłam tak zawzięta, że zrobiłabym to, gdyby była okazja. Bez zastanowienia. Rozumiesz, Vysogoto?

– Rozumiem.

– Na szczęście ochłonęłam.

– Na wielkie twoje szczęście – poważnie kiwnął głową. – Sprawa tego cesarskiego ożenku nosi wszelkie znamiona afery stanu, walk stronnictw albo frakcji. Gdybyś się ujawniła, psując szyki jakimś wpływowym siłom, nie uniknęłabyś sztyletu lub trucizny.

– Też to pojęłam. I zapamiętałam. Dobrze zapamiętałam. Wyznać, kim jestem, oznaczało śmierć. Miałam sposobność przekonać się o tym. Ale nie uprzedzajmy faktów.

Milczeli jakiś czas, pracując przy skórkach. Przed kilkoma dniami połów udał się nadspodziewanie dobrze, w pułapki i wnyki wpadło wiele piżmaków i nutrii, dwie wydry i jeden bóbr. Mieli więc mnóstwo roboty.

– Dogoniłaś Hotsporna? – spytał wreszcie Vysogota.

– Dogoniłam. – Ciri otarła czoło rękawem. – Nawet szybko, bo on nie spieszył się w drodze. I wcale się nie zdziwił, gdy mnie zobaczył!

•

– Panna Falka! – Hotsporn ściągnął wodze, tanecznie obrócił karą klacz. – Cóż za przyjemna niespodzianka! Chociaż przyznam, że wcale nie tak wielka. Spodziewałem się, nie kryję, że się spodziewałem. Wiedziałem, że panna dokonasz wyboru. Mądrego wyboru. Dostrzegłem błysk inteligencji w panny przepięknych i pełnych uroku oczach.

Ciri podjechała bliżej, tak że niemal zetknęli się strzemionami. Potem odcharknęła przeciągle, pochyliła się i splunęła na piasek gościńca. Nauczyła się pluć w taki sposób – ohydny, ale skuteczny, gdy trzeba było ostudzić czyjś uwodzicielski zapał.

– Rozumiem – uśmiechnął się lekko Hotsporn – że chcesz skorzystać z amnestii?

– Źle rozumiesz.

– Czemu mam zatem przypisać radość, jaką sprawia mi widok urodziwego liczka panny?

– A mus, żeby było czemu? – prychnęła. – Gadałeś na stacji, żeś chętny kompanii w drodze.

– Niezmiennie – uśmiechnął się szerzej. – Ale jeśli mylę się w sprawie amnestii, to nie jest pewne, czy w kompanii będzie nam po drodze. Znajdujemy się, jak panna widzi, na rozstajach dróg. Rozdroże, cztery strony świata, konieczność wyboru... Symbolika, jak w tej znanej legendzie. Na wschód pojedziesz, nie wrócisz... Na zachód pojedziesz, nie wrócisz... Na północ... Hmmm... Na północ od tego słupa jest amnestia...

– Wypchać się każ twoją amnestią.

– Co tylko panna rozkaże. Dokąd zatem, jeśli wolno spytać, droga prowadzi? Którą z dróg symbolicznego rozdroża? Mistrz Almavera, artysta igły, popędził swe muły na zachód, ku miasteczku Fano. Wschodni gościniec prowadzi do osady Zazdrość, ale ja bardzo bym ten kierunek odradzał...

– Rzeka Yarra – powiedziała wolno Ciri – o której mówiło się na stacji, to nilfgaardzka nazwa rzeki Jarugi, prawda?

– Taka panna uczona – pochylił się, zajrzał jej w oczy – a nie wie tego?

– Nie możesz po ludzku odpowiedzieć, gdy po ludzku pytają?

– Żartowałem przecie, po co zaraz się gniewać? Tak, to ta sama rzeka. Po elfiemu i po nilfgaardzku Yarra, na Północy Jaruga.

– A ujście tejże rzeki – ciągnęła Ciri – to Cintra?

– Tak jest. Cintra.

– Stąd, gdzie teraz jesteśmy, jak daleko do Cintry? Ile mil?

– Niemało. I zależy, w jakich milach liczyć. Każda bez mała nacja ma inne, nietrudno o pomyłkę. Wygodniej, metodą wszystkich wędrownych kupców, liczyć takie dystanse w dniach. Żeby stąd dojechać do Cintry, trzeba jakichś dwudziestu pięciu, trzydziestu dni.

– Którędy? Prosto na północ?

– Bardzo coś panna Falka tej Cintry ciekawa. Czemu?

– Na tron tamtejszy chcę wstąpić.

– Dobrze, dobrze – Hotsporn uniósł dłoń obronnym gestem. – Delikatną aluzję zrozumiałem, nie będę już zadawał pytań. Najprostsza droga do Cintry paradoksalnie nie wiedzie prosto na północ, bo przeszkadzają bezdroża i bagniste pojezierza. Najpierw trzeba by skierować się ku miastu Forgeham, a później jechać na północny zachód, do Metinny, stolicy identycznie nazywającego się kraju. Potem należałoby jechać przez równinę Mag Deira, kupieckim szlakiem aż do miasta Neunreuth. Dopiero stamtąd skierować się trzeba na szlak północny, wiodący doliną rzeki Yeleny. Stamtąd już łatwo trafić: szlakiem bez przerwy ciągną oddziały i transporty wojskowe, przez Nazair i Schody Marnadalu, przełęcz wiodącą na północ do Doliny Marnadal. A Dolina Marnadal to już Cintra.

– Hmmm... – Ciri wpatrzyła się w zamglony horyzont, w rozmazaną linię czarnych wzgórz. – Do Forgeham, a później na północny zachód... To znaczy... Którędy?

– Wie panna co? – Hotsporn uśmiechnął się lekko. – Ja właśnie ku Forgeham się kieruję, a potem do Metinny. O, tą dróżką, co się między sosenkami piaskiem złoci. Niechaj panna jedzie ze mną, a nie pobłądzi. Amnestia amnestią, ale miło mi będzie z tak uroczą panną podróżować.

Ciri zmierzyła go najzimniejszym wzrokiem, na jaki było ją stać. Hotsporn przygryzł wargę w szelmowskim uśmiechu.

– Jakże więc?

– Jedźmy.

– Brawo, panno Falko. Mądra decyzja. Mówiłem, panna tyleż mądra, co piękna.

– Przestań tytułować mnie panną, Hotsporn. W twoich ustach brzmi to jakoś obraźliwie, a ja nie pozwalam się bezkarnie obrażać.

– Co tylko panna rozkaże.

•

Piękny świt nie spełnił oczekiwań, wprowadził w błąd. Dzień, który po nim nastąpił, był szary i mokry. Wilgotna mgła skutecznie przyćmiewała jaskrawość jesiennego listowia pochylonych nad drogą drzew płonących tysiącem odcieni ochry, czerwieni i żółci.

W wilgotnym powietrzu pachniało korą i grzybami.

Jechali stępa po dywanie opadłych liści, ale Hotsporn często popędzał swą karą klacz do lekkiego kłusa lub galopu. Ciri wówczas przyglądała się z zachwytem.

– Czy ona ma jakieś imię?

– Nie – błysnął zębami Hotsporn. – Ja traktuję wierzchowce użytkowo, zmieniam je bardzo często, nie przywiązując się. Nadawanie koniom imion, jeśli nie prowadzi się stadniny, uważam za pretensjonalne. Zgodzisz się ze mną? Koń Wronek, pies Burek, a kot Mruczek. Pretensjonalne!

•

Ciri nie podobały się jego spojrzenia i wieloznaczne uśmiechy, a zwłaszcza lekko drwiący ton, jakim zagadywał i odpowiadał na pytania. Przyjęła zatem prostą taktykę – milczała, mówiła półsłówkami, nie prowokowała. Jeśli się dało. Nie zawsze się dało. Zwłaszcza gdy gadał o tej swojej amnestii. Gdy zaś po raz kolejny – i dość ostro – wyraziła niechęć, Hotsporn zaskakująco zmienił front: zaczął nagle dowodzić, że w jej przypadku amnestia jest zbędna, wręcz jej nie dotyczy. Amnestia obejmuje przestępców, powiedział, nie zaś ofiary przestępstw. Ciri ryknęła śmiechem.

– Sam jesteś ofiara, Hotsporn!

– Mówiłem najzupełniej poważnie – zapewnił. – Nie po to, by wzbudzić twą ptaszęcą wesołość, lecz by zasugerować ci sposób na ocalenie skóry w przypadku pojmania. Ma się rozumieć, że na barona Casadei coś takiego nie podziała, także od Varnhagenów nie masz co oczekiwać klemencji, ci w najkorzystniejszym dla ciebie razie zlinczują cię na miejscu, szybko i, jak dobrze pójdzie, bezboleśnie. Gdybyś jednak wpadła w ręce prefekta i stanęła przed surowym, lecz sprawiedliwym obliczem cesarskiego prawa... Ha, wówczas sugerowałbym taką właśnie linię obrony: zalejesz się łzami i oświadczysz, że jesteś niewinną ofiarą splotu okoliczności.

– A kto w to uwierzy?

– Każdy. – Hotsporn pochylił się w kulbace, zajrzał jej w oczy. – Bo taka jest przecież prawda. Ty przecież jesteś niewinną ofiarą, Falko. Nie masz jeszcze szesnastu lat, według praw Cesarstwa jesteś niepełnoletnia. W bandzie Szczurów znalazłaś się przypadkowo. Nie twoją jest winą, że wpadłaś w oko jednej z bandytek, Mistle, której nienaturalne upodobania nie są żadną tajemnicą. Zostałaś przez Mistle zdominowana, wykorzystana seksualnie i zmuszona do...

– No i wyjaśniło się – przerwała Ciri, sama dziwiąc się swemu spokojowi. – Nareszcie wyjaśniło się, o co ci chodzi, Hotsporn. Widywałam już takich jak ty.

– Doprawdy?

– Jak każdemu kogucikowi – nadal była spokojna – grzebyk ci się podnosi na myśl o mnie i o Mistle. Jak każdemu głupiemu samczykowi świta ci w głupim łbie myśl, by spróbować wyleczyć mnie z przeciwnej naturze choroby, nawrócić zboczoną na drogę prawdy. A wiesz, co w tym wszystkim jest wstrętne i przeciwne naturze? Takie myśli właśnie!

Hotsporn przyglądał się jej w milczeniu i z dość zagadkowym uśmieszkiem na wąskich wargach.

– Moje myśli, droga Falko – rzekł po chwili – może i nie są przyzwoite, może i nie są ładne, ba, w sposób oczywisty nie są niewinne... Ale, na bogów, są one zgodne z naturą. Z moją naturą. Czynisz mi despekt, mniemając, że mój pociąg ku tobie ma podłoże w jakiejś... perwersyjnej ciekawości. Ha, czynisz również sobie samej despekt, nie zauważając lub nie chcąc przyjąć do wiadomości faktu, że twój zniewalający urok i niecodzienna uroda są w stanie rzucić na kolana każdego mężczyznę. Że czar twego spojrzenia...

– Słuchaj, Hotsporn – przerwała. – Czy ty dążysz to tego, by się ze mną przespać?

– Cóż za inteligencja – rozłożył ręce. – Po prostu brak mi słów.

– To ja ci pomogę. – Lekko popędziła konia, by móc spojrzeć na niego przez ramię. – Bo ja mam słów dostatek. Czuję się zaszczycona. W każdych innych warunkach, kto wie... Gdyby to był kto inny, ha! Lecz ty, Hotsporn, w ogóle mi się nie podobasz. Nic, ale po prostu nic mnie w tobie nie pociąga. A nawet, powiedziałabym, odwrotnie jest: wszystko mnie od ciebie odstręcza. Sam widzisz, że w takich warunkach akt płciowy byłby aktem przeciwnym naturze.

Hotsporn roześmiał się, też popędzając konia. Kara klacz zatańczyła na dukcie, wdzięcznie unosząc kształtną głowę. Ciri zawierciła się w siodle, walcząc z dziwnym uczuciem, które nagle ożyło w niej, ożyło gdzieś głęboko, w dole brzucha, ale szybko i wytrwale rwało się na zewnątrz, na drażnioną ubraniem skórę. Powiedziałam mu prawdę, pomyślała. On mi się nie podoba, do diabła, to jego koń mi się podoba, ta kara klacz. Nie on, lecz koń... Co za cholerna głupota! Nie, nie, nie! Nie biorąc nawet pod uwagę Mistle, byłoby śmiesznym i głupim ulec mu tylko dlatego, że podnieca mnie widok tańczącej na trakcie karej klaczy.

Hotsporn pozwolił jej podjechać, patrzył jej w oczy z dziwnym uśmieszkiem. Potem znowu szarpnął wodze, zmusił klacz do drobienia nogami, obrotów i tanecznego stąpania w bok. Wie, pomyślała Ciri, stary łajdak wie, co ja odczuwam.

Psiakrew. Jestem zwyczajnie ciekawa!

– Sosnowe igiełki – rzekł łagodnie Hotsporn, podjeżdżając bardzo blisko i wyciągając rękę – wczepiły ci się we włosy. Wyjmę je, jeśli pozwolisz. Dodam, że gest wypływa z mej galanterii, nie z perwersyjnych żądzy.

Dotyk – wcale to Ciri nie zdziwiło – sprawił jej przyjemność. Była jeszcze bardzo daleka od decyzji, ale dla pewności porachowała dni od ostatniego krwawienia. Tego nauczyła ją Yennefer – liczyć z wyprzedzeniem i z chłodną głową, bo potem, gdy robi się gorąco, występuje dziwna niechęć do liczenia połączona z tendencją do lekceważenia wyniku.

Hotsporn patrzył jej w oczy i uśmiechał się, zupełnie jak gdyby wiedział, że rachunek wypadł na jego korzyść. Gdyby jeszcze nie był taki stary, westchnęła ukradkiem Ciri. Ale on ma chyba ze trzydzieści lat...

– Turmaliny. – Palce Hotsporna delikatnie dotknęły jej ucha i kolczyka. – Ładne, ale tylko turmaliny. Z chęcią podarowałbym ci i przypiął szmaragdy. Bardziej drogocenne i intensywniej zielone, o ileż więc bardziej pasujące do twej urody i koloru oczu.

– Wiedz – wycedziła, patrząc na niego bezczelnie – że gdyby nawet przyszło co do czego, zażądałabym szmaragdów z góry. Bo pewnie nie tylko konie traktujesz użytkowo, Hotsporn. Rankiem po upojnej nocy przypominanie sobie mojego imienia jak nic uznałbyś za pretensjonalne. Pies Burek, kot Mruczek, a panna: Maryśka!

– Na honor – zaśmiał się sztucznie. – Potrafisz zmrozić najbardziej gorące pragnienie, Królowo Śniegu.

– Miałam dobrą szkołę.

•

Mgła podniosła się nieco, ale nadal było ponuro. I sennie. Senność została brutalnie przerwana przez wrzask i tupot. Zza dębów, które właśnie mijali, wypadli konni.

Obydwoje zadziałali tak szybko i w sposób tak zgrany, jakby ćwiczyli to tygodniami. Spięli i zawrócili konie, momentalnie poszli w galop, w cwał, we wściekły karier, przywierając do grzyw, nagląc wierzchowce krzykiem i uderzeniami pięt. Nad ich głowami zafurczały lotki strzał, wzbił się krzyk, brzęk, tętent.

– W las! – krzyknął Hotsporn. – Skręcaj w las! W gąszcz!

Skręcili, nie zwalniając. Ciri płasko i jeszcze mocniej przywarła do końskiej szyi, bo chlaszczące w pędzie gałęzie groziły zwaleniem z siodła. Zobaczyła, jak bełt z kuszy odłupał szczapę z pnia mijanej olchy. Popędziła wrzaskiem konia, w każdej chwili oczekując uderzenia grotu w plecy. Jadący tuż przed nią Hotsporn stęknął nagle dziwnie.

Przesadzili głęboki wykrot, karkołomnie zjechali urwiskiem, w ciernistą gęstwinę. I wtedy nagle Hotsporn zsunął się z siodła i runął w żurawiny. Kara klacz zarżała, wierzgnęła, miotnęła ogonem i popędziła dalej. Ciri nie zastanawiała się. Zeskoczyła, trzepnęła swego konia po zadzie. Gdy pobiegł za karą klaczą, pomogła Hotspornowi wstać, obydwoje nurknęli w krzaki, w olszynę, przewrócili się, stoczyli po pochyłości i wpadli w wysokie paprocie na dnie jaru. Mech zamortyzował upadek.

Z góry, z urwiska, łomotały kopyta pogoni – szczęściem idącej wysokim lasem, za uciekającymi końmi. Ich zniknięcia wśród paproci, jak się zdawało, nie dostrzeżono.

– Co to za jedni? – syknęła Ciri, wygrzebując się spod Hotsporna i wytrząsając z włosów rozgniecione surojadki. – Ludzie prefekta? Varnhagenowie?

– Zwykli bandyci... – Hotsporn wypluł liście. – Grasanci...

– Zaproponuj im amnestię – zgrzytnęła piaskiem w zębach. – Obiecaj im...

– Bądź cicho. Usłyszą.

– Hoooo! Hooooo! Tuutaaaaaj! – dobiegało z góry. – Z lewa zachooooodź! Z lewaaaaa!

– Hotsporn?

– Co?

– Masz krew na plecach.

– Wiem – odrzekł zimno, wyciągając zza pazuchy zwitek płótna i odwracając się do niej bokiem. – Wepchnij mi to pod koszulę. Na wysokość lewej łopatki...

– Gdzie dostałeś? Nie widzę bełtu...

– To był arbalet... Żelazny siekaniec, najprawdopodobniej ucięty hufnal. Zostaw, nie dotykaj. To jest tuż przy kręgosłupie...

– Psiakrew. Co więc mam zrobić?

– Zachować ciszę. Wracają.

Załomotały kopyta, ktoś przeszywająco gwizdnął. Ktoś wrzeszczał, nawoływał, rozkazywał komuś, by zawracał. Ciri nadstawiła uszu.

– Odjeżdżają – mruknęła. – Zaniechali pościgu. Nie złapali koni.

– To dobrze.

– My też ich nie złapiemy. Będziesz mógł iść?

– Nie będę musiał – uśmiechnął się, pokazując jej zapiętą na przegubie, dość tandetnie wyglądającą bransoletkę. – Kupiłem tę błyskotkę razem z koniem. Jest magiczna. Klacz nosiła ją od źrebaka. Gdy pocieram, o, w ten sposób, to tak, jakbym ją przyzywał. Jakby słyszała mój głos. Przybiegnie tu. Trochę to potrwa, ale przybiegnie z pewnością. Przy odrobinie szczęścia twoja dereszka przybiegnie za nią.

– A przy odrobinie pecha? Odjedziesz sam?

– Falko – powiedział, poważniejąc. – Ja nie odjadę sam, ja liczę na twoją pomoc. Mnie trzeba będzie podtrzymywać w siodle. Palce u nóg już mi martwieją. Mogę stracić przytomność. Posłuchaj: ten wąwóz doprowadzi cię do doliny strumienia. Pojedziesz w górę, pod prąd, na północ. Zawieziesz mnie do miejscowości o nazwie Tegamo. Tam znajdziemy kogoś, kto będzie umiał wyciągnąć mi żelastwo z pleców, nie przyprawiając przy tym o śmierć lub paraliż.

– To jest najbliższa miejscowość?

– Nie. Bliżej jest Zazdrość, kotliną jakieś dwadzieścia mil, w stronę przeciwną, z biegiem strumienia. Ale tam nie jedź pod żadnym pozorem.

– Dlaczego?

– Pod żadnym pozorem – powtórzył, marszcząc twarz. – Nie chodzi tu o mnie, lecz o ciebie. Zazdrość to dla ciebie śmierć.

– Nie rozumiem.

– Nie musisz. Zaufaj mi po prostu.

– Giselherowi powiedziałeś...

– Zapomnij o Giselherze. Jeśli chcesz żyć, zapomnij o nich wszystkich.

– Dlaczego?

– Zostań ze mną. Dotrzymam obietnicy, Królowo Śniegu. Przystroję cię w szmaragdy... Obsypię cię nimi...

– Zaiste, świetna pora do żartów.

– Zawsze jest pora do żartów.

Hotsporn objął ją nagle, przycisnął ramieniem i zaczął rozpinać jej bluzkę. Bezceremonialnie, acz bez pośpiechu. Ciri odepchnęła rękę.

– Zaiste – warknęła. – Świetna pora i na to!

– Na to też każda pora jest dobra. Zwłaszcza dla mnie, teraz. Mówiłem ci, to kręgosłup. Jutro mogą pojawić się trudności... Co robisz? Ach, cholera...

Tym razem odepchnęła go mocniej. Za mocno. Hotsporn pobladł, zagryzł wargi, zastękał z bólu.

– Przepraszam. Ale jeśli ktoś jest ranny, powinien leżeć spokojnie.

– Bliskość twego ciała sprawia, że zapominam o bólu.

– Przestań, do cholery!

– Falko... Bądź miła dla człowieka cierpiącego.

– Będziesz cierpiący, jeśli nie zabierzesz ręki. Zaraz!

– Ciszej... Grasanci gotowi nas usłyszeć... Twoja skóra jest jak atłas... Nie wierć się, u licha.

Ach, do diabła, pomyślała Ciri, a niech tam. W końcu jakie to ma znaczenie? Jestem ciekawa. Wolno mi być ciekawą. W tym nie ma żadnego uczucia. Potraktuję go użytkowo i tyle. I bezpretensjonalnie zapomnę.

Poddała się dotykowi i przyjemności, jaką przynosił. Odwróciła głowę, ale uznała to za przesadnie skromne i oszukańczo pruderyjne – nie chciała uchodzić za uwodzoną cnotkę. Spojrzała mu prosto w oczy, ale wydało się jej to zbyt śmiałe i wyzywające – takiej także nie chciała udawać. Przymknęła więc zwyczajnie powieki, objęła go za szyję i pomogła przy guzikach, bo szło mu niesporo i marnował czas.

Do dotyku palców dołączył się dotyk warg. Była już bliska tego, by zapomnieć o całym świecie, gdy nagle Hotsporn znieruchomiał w bezwładzie. Przez chwilę leżała cierpliwie, pamiętała, że jest ranny i że rana musi mu dokuczać. Ale to trwało trochę zbyt długo. Jego ślina stygła jej na sutkach.

– Hej, Hotsporn? Śpisz?

Coś pociekło jej na pierś i bok. Dotknęła palcami. Krew.

– Hotsporn! – Zepchnęła go z siebie. – Hotsporn, umarłeś?

Głupie pytanie, pomyślała. Przecież widzę.

Przecież widzę, że umarł.

•

– Umarł z głową na moich piersiach – Ciri odwróciła głowę. Żar z komina czerwono zagrał na jej okaleczonym policzku. Być może był tam też rumieniec. Vysogota nie był tego pewien.

– Jedyne, co wtedy czułam – dodała, nadal odwrócona – to rozczarowanie. Szokuje cię to?

– Nie. To akurat nie.

– Rozumiem. Staram się nie ubarwiać opowieści, niczego nie poprawiać. Niczego nie zatajać. Choć czasem mam ochotę, zwłaszcza na to ostatnie. – Pociągnęła nosem, podłubała knykciem w kąciku oka.

– Przywaliłam go gałęziami i kamieniami. Byle jak, wyznaję. Ściemniało, musiałam tam przenocować. Bandyci wciąż kręcili się w okolicy, słyszałam ich okrzyki i byłam już więcej niż pewna, że to nie byli zwyczajni bandyci. Nie wiedziałam tylko, na kogo polowali: na mnie czy na niego. Musiałam jednak siedzieć cicho. Całą noc. Do świtu. Obok trupa. Brrrrr.

– O świcie – podjęła po chwili – po pościgu dawno przepadł słuch, a już mogłam wyruszyć. Miałam już wierzchowca. Magiczna bransoletka, którą zdjęłam z ręki Hotsporna, faktycznie działała. Kara klacz wróciła. Teraz należała do mnie. To był mój prezent. Jest taki zwyczaj na Wyspach Skellige, wiesz? Dziewczynie należy się kosztowny podarek od jej pierwszego kochanka. Co z tego, że mój umarł, zanim zdążył nim zostać?

•

Klacz łupnęła przednimi kopytami o ziemię, zarżała, stanęła bokiem, jakby każąc się podziwiać. Ciri nie mogła powstrzymać westchnienia

zachwytu na widok tej delfiniej szyi, prostej i smukłej, ale mocno umięśnionej, małej kształtnej głowy o wypukłym czole, wysokiego kłębu, budowy zachwycającej proporcjonalnością.

Zbliżyła się ostrożnie, pokazując klaczy bransoletkę na napięstku. Klacz prychnęła przeciągle, stuliła ruchliwe uszy, ale pozwoliła chwycić za tręzle i dała się pogłaskać po aksamitnym nosie.

– Kelpie – powiedziała Ciri. – Jesteś czarna i zwinna jak morska kelpie. Jesteś czarodziejska jak kelpie. Będziesz więc nazywać się Kelpie. I nie dbam, czy to pretensjonalne, czy nie.

Klacz zaparskała, postawiła uszy, strzepnęła jedwabistym ogonem, sięgającym pęcin. Ciri – lubiąca wysoki dosiad – skróciła rzemienie puślisk, obmacała nietypowe, płaskie siodło bez terlicy i kuli przedniego łęku. Dopasowała but do strzemienia i chwyciła konia za grzywę.

– Spokojnie, Kelpie.

Siodło, wbrew pozorom, było całkiem wygodne. I z oczywistych względów dużo lżejsze od zwykłych kawaleryjskich kulbak.

– Teraz – powiedziała Ciri, klepiąc klacz po gorącej szyi – zobaczymy, czy jesteś równie rącza, jak piękna. Czy jesteś prawdziwa dzianetka, czy tylko blenderka. Co powiesz na dwadzieścia mil galopu, Kelpie?

•

Gdyby głęboką nocą ktoś zdołał cichaczem podkraść się do tej zagubionej wśród moczarów chaty z zapadniętą i obrośniętą mchem strzechą, gdyby zajrzał przez szpary w okiennicach, zobaczyłby siwobrodego starca słuchającego opowieści kilkunastoletniej dziewczyny o zielonych oczach i popielatych włosach.

Zobaczyłby, jak dogasający żar w palenisku ożywa i jaśnieje, jakby w przeczuciu tego, co będzie opowiedziane.

Ale to nie było możliwe. Nikt nie mógł tego zobaczyć. Chata starego Vysogoty była dobrze ukryta wśród trzcin na moczarach. Na wiecznie pokrytym mgłą pustkowiu, na które nikt nie odważał się zapuszczać.

•

– Dolina strumienia była równa, dogodna do jazdy, więc Kelpie szła jak wicher. Oczywiście nie jechałam w górę, ale w dół rzeczki. Pamiętałam tę szczególną nazwę: Zazdrość. Przypomniałam sobie, co Hotsporn mówił na stacji do Giselhera. Pojęłam, dlaczego mnie ostrzegał przed tą osadą. W Zazdrości musiała być zasadzka. Gdy

Giselher zbagatelizował ofertę amnestii i pracy dla gildii, Hotsporn celowo napomknął mu o kwaterującym w osadzie łowcy nagród. Wiedział, że taką przynętę Szczury połkną, że pojadą tam i wpadną w potrzask. Musiałam dotrzeć pod Zazdrość przed nimi, przeciąć im drogę, uprzedzić. Zawrócić. Wszystkich. Albo chociaż samą Mistle.

– Domyślam się – mruknął Vysogota – że ci się nie udało.

– Wówczas – powiedziała głucho – sądziłam, że w Zazdrości czeka liczny i uzbrojony po zęby oddział. W najśmielszych myślach mi nie postało, że ta zasadzka to jeden człowiek...

Zamilkła, zapatrzona w ciemność.

– Nie miałam też pojęcia, jaki to człowiek.

•

Birka była niegdyś wsią bogatą, uroczą i nadzwyczaj malowniczo położoną – jej żółte strzechy i czerwone dachówki szczelnie wypełniały kotlinę o stromych, lesistych zboczach, zmieniających kolory w zależności od pory roku. Zwłaszcza jesienią widok Birki cieszył estetyczne oko i wrażliwe serce.

Było tak do czasu, gdy osada zmieniła nazwę. A stało się to tak:

Młody rolnik, elf z pobliskiej elfiej kolonii, kochał się na zabój w młynareczce z Birki. Młynareczka-figlareczka wyśmiała zaloty elfa i dalej intensywnie puszczała się z sąsiadami, znajomymi, a nawet krewnymi. Ci zaczęli podrwiwać sobie z elfa i jego ślepej jak kret miłości. Elf – dość nietypowo, jak na elfa – eksplodował gniewem i zemstą, eksplodował strasznie. Którejś nocy przy sprzyjającym silnym wietrze podłożył ogień i puścił całą Birkę z dymem.

Zrujnowani pogorzelcy upadli na duchu. Jedni powędrowali w świat, inni popadli w nieróbstwo i pijaństwo. Pieniądze zbierane na odbudowę były regularnie defraudowane i przepijane, a osada przedstawiała teraz sobą obraz nędzy i rozpaczy: była zbiorowiskiem paskudnych i byle jak skleconych ruder pod gołym i czarno osmalonym zboczem kotliny. Przed pożarem Birka miała kształt owalny z centralnym ryneczkiem, teraz z nielicznych porządniej odbudowanych domów, spichrzy i gorzelni uformowało się coś w rodzaju długiej uliczki, którą zamykał front postawionego społecznym trudem zajazdu „Pod Głową Chimery” zarządzanego przez wdowę Goulue.

I od siedmiu lat nikt już nie używał nazwy Birka. Mówiło się: Ognista Zazdrość, dla skrótu – po prostu Zazdrość.

Uliczką Zazdrości jechały Szczury. Był chłodny, pochmurny, ponury poranek.

Ludzie pierzchali do domów, kryli się w budach i lepiankach. Kto miał okiennice, ten zamykał je z trzaskiem, kto miał drzwi, ten zapierał je kołkiem. Kto jeszcze miał wódkę, pił dla kurażu. Szczury jechały stępa, demonstracyjnie wolno, strzemię przy strzemieniu. Na ich twarzach malowała się obojętna pogarda, ale zmrużone oczy bacznie obserwowały okna, podsienia i węgły.

– Jeden bełt z kuszy! – ostrzegł Giselher, gromko i na zapas. – Jedno szczęknięcie cięciwy, a będzie się tu rżnąć!

– I jeszcze raz puści się tu kura czerwonego! – dorzuciła dźwięcznym i wysokim sopranem Iskra. – Ziemię i wodę się zostawi!

Niektórzy z mieszkańców z pewnością mieli kusze, ale nie znalazł się nikt, kto chciałby sprawdzić, czy Szczury nie mówią na wiatr.

Szczury pozsiadały z koni. Dzielące ich od zajazdu „Pod Głową Chimery" ćwierć stajania przeszły pieszo, bok w bok, rytmicznie dzwoniąc i brzęcząc ostrogami, ozdobami i biżuterią.

Ze schodków zajazdu zemknęło na ich widok trzech zazdroszczan, kojących wczorajszego kaca piwem.

– Żeby tylko jeszcze tu był – mruknął Kayleigh. – Zmitrężyliśmy. Nie trzeba było popasać, trzeba było wpaść tu choćby nocą...

– Głupiś – wyszczerzyła ząbki Iskra. – Jeśli chcemy, by o tym bardowie pieśni śpiewali, to nie można tego zrobić nocą i po ciemku. Muszą ludzie widzieć! Ranek jest najlepszy, bo wszyscy jeszcze trzeźwi, prawda, Giselher?

Giselher nie odpowiedział. Podniósł kamień, zamachnął się i łomotnął nim w drzwi oberży.

– Wyłaź, Bonhart!

– Wyłaź, Bonhart! – podjęły chórem Szczury. – Wyłaź, Bonhart!

Z wnętrza dobiegły kroki. Powolne i ciężkie. Mistle poczuła dreszcz, biegnący po karku i ramionach.

Bonhart stanął w drzwiach.

Szczury odruchowo cofnęły się o krok, obcasy wysokich butów wparły się w ziemię, dłonie skoczyły ku rękojeściom mieczy. Łowca

nagród swój miecz trzymał pod pachą. W ten sposób miał wolne ręce – w jednej trzymał obrane ze skorupki jajko, w drugiej glonek chleba.

Wolno podszedł do barierki, spojrzał na nich z góry, z wysoka. Stał na ganku, a sam był wielki. Olbrzymi, choć chudy jak ghul.

Patrzył na nich, wodził wodnistymi oczyma po wszystkich po kolei. Odgryzł potem najpierw kawałek jajka, potem kawałek kromki.

– A gdzie Falka? – spytał niewyraźnie. Drobinki żółtka spadły z mu z wąsów i warg.

•

– Pędź, Kelpie! Pędź, śliczna! Pędź, ile sił!

Kara klacz zarżała głośno, wyciągając szyję w karkołomnym cwale. Żwir gradem bił spod kopyt, choć wydawało się, że kopyta ledwo dotykają ziemi.

•

Bonhart przeciągnął się leniwie, skrzypiąc skórzanym kubrakiem, powoli naciągnął i starannie poprawił łosiowe rękawice.

– Jakże to tak? – wykrzywił się. – Chcecie mnie zabić? A za co niby?

– A za Muchomorka, żeby daleko nie szukać – odrzekł Kayleigh.

– I dla zabawy – dodała Iskra.

– I dla świętego spokoju – dorzucił Reef.

– Aaaa – powiedział wolno Bonhart. – To o to się rozchodzi! A jak obiecam, że wam spokój dam, poniechacie mnie?

– Nie, ty siwy psie, nie poniechamy – uśmiechnęła się uroczo Mistle. – Znamy cię. Wiemy, że nie darujesz, że będziesz się wlókł naszym tropem i czekał na okazję, by któreś z nas pchnąć w plecy. Wychodź!

– Pomału, pomału – Bonhart uśmiechnął się, rozciągając złowrogo usta pod siwymi wąsami. – Zapląsać zawsze zdążymy, nie ma się co ekscytować. Wpierw złożę wam propozycję, Szczury. Pozwolę wam wybrać, wy zaś zrobicie podług woli.

– Co tam mamroczesz, stary grzybie? – krzyknął Kayleigh, garbiąc się. – Gadaj wyraźniej!

Bonhart pokiwał głową i podrapał się w udo.

– Nagroda za was jest, Szczury. Niemała. A żyć trzeba.

Iskra parsknęła jak żbik, po żbiczemu rozwierając oczy. Bonhart skrzyżował ramiona na piersi, biorąc miecz w zgięcie łokcia.

– Niemała nagroda – powtórzył – jest za martwych, za żywych zaś niewiele wyższa. Mnie zatem, szczerze powiedziawszy, wszystko jedno. Nic nie mam do was osobiście. Jeszcze wczoraj myślałem, że zakatrupię was ot tak, gwoli rozrywki i uciechy, ale sami przyszliście, zaoszczędzając mi fatygi, za serce żeście mnie tym ujęli. Pozwolę wam tedy wybierać. Jak wolicie, bym was wziął: po dobroci czy po złości?

Mięśnie na szczękach Kayleigha zadrgały. Mistle pochyliła się, gotowa do skoku. Giselher chwycił ją za ramię.

– Chce nas rozwścieczyć – syknął. – Pozwól gadać kanalii.

Bonhart parsknął.

– No? – powtórzył. – Po dobroci czy po złości? Ja to pierwsze radzę. Bo widzicie: po dobroci znacznie, ale to znacznie mniej boli.

Szczury dobyły broni jak na komendę. Giselher machnął klingą na krzyż, zamarł w szermierczej postawie. Mistle soczyście splunęła na ziemię.

– Chodź tu, kościany dziadygo – powiedziała pozornie spokojnie. – Chodź, szubrawcze. Zabijemy cię jak starego, siwego psa.

– A więc wolicie po złości. – Bonhart, patrząc gdzieś ponad dachy domostw, powoli dobył miecza, odrzucił pochwę. Niespiesznie zszedł z ganku, pobrzękując ostrogami.

Szczury szybko rozstawiły się w poprzek uliczki. Kayleigh odszedł najdalej w lewo, prawie pod mur gorzelni. Obok niego stanęła Iskra, krzywiąc wąskie wargi w swym zwykłym, strasznym uśmiechu. Mistle, Asse i Reef odeszli w prawo. Giselher został pośrodku, wpatrzony w łowcę nagród spod zmrużonych powiek.

– No, dobra, Szczury – Bonhart rozejrzał się na boki, spojrzał w niebo, potem uniósł miecz i popluł na ostrze.

– Jak pląsać, to pląsać. Graj, muzyko!

Skoczyli ku sobie jak wilki, błyskawicznie, cicho, bez ostrzeżenia. Zawyły w powietrzu klingi, wypełniając uliczkę jękliwym szczękiem stali. Początkowo słychać było tylko szczęk kling, westchnienia, jęki i przyspieszone oddechy.

A potem, nagle i niespodziewanie, Szczury zaczęły krzyczeć. I umierać.

Reef wyleciał z kłębowiska pierwszy, plasnął plecami o mur, bryzgając krwią na brudnobiałe wapno. Za nim wytoczył się chwiejnym krokiem Asse, zgiął się i upadł na bok, na przemian kurcząc i rozprężając kolana.

Bonhart zwijał się i skakał jak fryga, otoczony migotem i świstem klingi. Szczury cofały się przed nim, doskakując, tnąc i odskakując, wściekle, zajadle, bezlitośnie. I bezskutecznie. Bonhart parował, uderzał, parował, uderzał, atakował, bez przerwy atakował, nie dawał wytchnienia, narzucał tempo. A Szczury się cofały. I umierały.

Iskra, cięta w szyję, padła w błoto, kuląc się jak kocię, krew z tętnicy siknęła na łydki i kolana przechodzącego nad nią Bonharta. Łowca szerokim zamachem odbił ataki Mistle i Giselhera, po czym zawirował i błyskawicznym uderzeniem rozpłatał Kayleigha, tnąc go samym końcem miecza – od obojczyka aż po biodro. Kayleigh upuścił miecz, ale nie upadł – skurczył się tylko i oburącz chwycił za pierś i brzuch, a spod dłoni buchnęła krew. Bonhart znowu wywinął się spod ciosu Giselhera, sparował atak Mistle i rąbnął Kayleigha jeszcze raz, tym razem zamieniając mu bok głowy w szkarłatną miazgę. Jasnowłosy Szczur upadł, rozbryzgując kałużę krwi zmieszanej z błotem.

Mistle i Giselher zawahali się na moment. I zamiast uciekać, wrzasnęli jednym głosem, dziko i wściekle. I rzucili się na Bonharta.

Znaleźli śmierć.

•

Ciri wpadła do osady i pocwałowała uliczką. Spod kopyt karej klaczy poleciały bryzgi błota.

•

Bonhart pchnął obcasem Giselhera, leżącego pod murem. Herszt Szczurów nie dawał znaków życia. Z rozwalonej czaszki przestała już posikiwać krew.

Mistle, na kolanach, szukała miecza, macała obu rękami błoto i gnój, nie widząc, że klęczy w powiększającej się szybko czerwonej kałuży. Bonhart podszedł do niej wolno.

– Nieeeeeee!

Łowca uniósł głowę.

Ciri w biegu zeskoczyła z konia, zatoczyła się, upadła na jedno kolano.

Bonhart uśmiechnął się.

– Szczurzyca – powiedział. – Siódma Szczurzyca. Dobrze, że jesteś. Brakowało mi ciebie do kompletu.

Mistle znalazła miecz, ale nie była w stanie go unieść. Zacharczała i rzuciła się pod nogi Bonharta, rozdygotanymi palcami wpiła się w

cholewy jego butów. Otworzyła usta, by krzyknąć, zamiast krzyku z ust wyrwała się lśniąca karminowa struga. Bonhart kopnął ją silnie, zwalając w gnój. Mistle, trzymając się oburącz za rozcięty brzuch, zdołała jednak podnieść się znowu.

– Nieeeeee! – wrzasnęła Ciri. – Miiiiiiistle!

Łowca nagród nie zwrócił uwagi na jej wrzask, nawet nie odwrócił głowy. Zawinął mieczem i uderzył zamaszyście, jak kosą, potężnym ciosem, który poderwał Mistle z ziemi i cisnął nią aż pod mur, miękką jak szmaciana lalka, jak zababrany czerwienią łachman.

Krzyk skonał w gardle Ciri. Ręce jej dygotały, gdy sięgała po miecz.

– Morderca – powiedziała, dziwiąc się obcości swego głosu. Obcości warg, które nagle zrobiły się potwornie suche.

– Morderca! Kanalia!

Bonhart obserwował ją ciekawie, przekrzywiając lekko głowę.

– Będziemy umierać? – spytał.

Ciri szła ku niemu, otaczając go półkolem. Miecz w uniesionych i wyprostowanych rękach poruszał się, mylił, zwodził.

Łowca nagród zaśmiał się gromko.

– Umierać! – powtórzył. – Szczurzyca chce umierać!

Obracał się powoli, stojąc w miejscu, nie dając się zwabić w pułapkę półkola. Ale Ciri było wszystko jedno. Gotowała się z wściekłości i nienawiści, dygotała z żądzy mordu. Chciała dopaść tego strasznego starca, poczuć, jak klinga wcina się w ciało. Chciała widzieć jego krew, chlustającą z pociętych tętnic w rytmie ostatnich uderzeń serca.

– No, Szczurzyco. – Bonhart podniósł ubroczony miecz i popluł na ostrze. – Zanim zdechniesz, pokaż, co w tobie siedzi! Graj, muzyko!

•

– Naprawdę nie wiada, jak to się stało, że nie pozabijali się w tym pierwszym starciu – opowiadał sześć dni później Nycklar, syn trumniarza. – Bardzo chcieli się pozabijać, dało się to zmiarkować. Ona jego, on ją. Nalecieli na siebie, zwarli ledwo na mgnienie oka i poszedł walny szczęk od mieczów. Może po dwa, może po trzy ciosy wymienili. Nie było człeka, który zdołał to policzyć, wzrokiem alboli uchem. Tak szybko bili, panie złoty, że oko ludzkie ni ucho tego nie chwytało. A tańcowali i skakali kole siebie jak te dwie łasice!

Stefan Skellen, zwany Puszczykiem, słuchał uważnie, bawiąc się nahajką.

– Odskoczyli od siebie – ciągnął chłopak – a żadne nie było draśnięte. Szczurzyca, dało się to widzieć, wściekła była jak sam czart, a syczała jak kocur, gdy mu chcieć myszę odebrać. A jegomość pan Bonhart był całkiem spokojny.

•

– Falka – powiedział Bonhart, uśmiechnięty i wyszczerzony jak prawdziwy ghul. – Umiesz zaiste tańczyć i mieczem obracać! Zaciekawiłaś mnie, dzierlatko. Kim ty jesteś? Powiedz mi, zanim umrzesz.

Ciri dyszała. Czuła, jak zaczyna ogarniać ją przerażenie. Zrozumiała, z kim ma do czynienia.

– Powiedz, kim jesteś, a daruję ci życie.

Mocniej ścisnęła rękojeść w dłoni. Musiała, musiała przejść przez jego parady, rąbnąć go, nim się zastawi. Nie mogła pozwolić, by odbijał jej ciosy, nie mogła przyjmować mieczem jego uderzeń, nie mogła już ani razu zaryzykować bólu i paraliżu, który przeszywał i ogarniał przy paradach łokieć i przedramię. Nie mogła tracić energii na bierne wymykanie się spod jego cięć, chybiających ją ledwo o grubość włosa. Wyminąć zastawę, pomyślała. Zaraz. W tym starciu. Albo umrzeć.

– Umrzesz, Szczurzyco – powiedział, idąc ku niej z wyciągniętym daleko do przodu mieczem. – Nie boisz się? To dlatego, że nie wiesz, jak wygląda śmierć.

Kaer Morhen, pomyślała, skacząc. Lambert. Grzebień. Salto.

Zrobiła trzy kroki i półpiruet, a gdy zaatakował, lekceważąc fintę, wywinęła salto w tył, padła w zwinny przyklęk i natychmiast runęła na niego, nurkując pod jego klingę i wykręcając przegub do cięcia, do strasznego ciosu, popartego mocnym skrętem bioder. Nagle ogarnęła ją euforia, już prawie czuła, jak ostrze wgryza się w ciało.

Zamiast tego było twarde, jękliwe zderzenie metalu z metalem. I nagłe błyśnięcie w oczach, wstrząs i ból. Poczuła, że pada, poczuła, że upadła. Sparował i odwrócił, pomyślała. Umieram, pomyślała.

Bonhart kopnął ją w brzuch. Drugim kopniakiem, precyzyjnie i boleśnie wymierzonym w łokieć, wytrącił jej miecz. Ciri chwyciła się za głowę, czuła tępy ból, ale pod palcami nie było rany i krwi. Dostałam

pięścią, pomyślała ze zgrozą. Zwyczajnie dostałam pięścią. Albo głowicą miecza. Nie zabił mnie. Sprał jak smarkulę.

Otworzyła oczy.

Łowca stał nad nią, straszny, chudy jak kościotrup, górujący nad nią jak chore i bezlistne drzewo. Śmierdział potem i krwią.

Chwycił ją za włosy na karku, uniósł przemocą, zmusił do powstania, ale zaraz potem szarpnął, wytrącając ziemię spod stóp, i powlókł, wrzeszczącą jak potępieniec, ku leżącej pod murem Mistle.

– Nie boisz się śmierci, co? – warknął, przyginając jej głowę do dołu. – To popatrz sobie, Szczurzyco. To jest śmierć. Tak się umiera. Popatrz, to są flaki. To krew. A to gówno. To człowiek ma w środku.

Ciri wyprężyła się, zgięła, uczepiona jego ręki, zacharczała w suchych wymiotach. Mistle żyła jeszcze, ale oczy miała już zamglone, zeszklone, rybie. Jej dłoń, jak jastrzębi szpon, zwierała się i rozwierała, zaryta w błocie i nawozie. Ciri poczuła ostry, przenikliwy odór uryny. Bonhart zarechotał.

– Tak się umiera, Szczurzyco. We własnych szczynach!

Puścił jej włosy. Ciri osunęła się na czworaki, miotana suchym, urywanym szlochem. Mistle była tuż obok. Dłoń Mistle, wąska, delikatna, miękka, mądra dłoń Mistle...

Nie poruszała się już.

•

– Nie zabił mnie. Przywiązał do koniowiązu, za obie ręce.

Vysogota siedział nieruchomo. Od dłuższej chwili tak siedział. Wstrzymywał nawet oddech. Ciri kontynuowała opowieść, a jej głos robił się coraz bardziej głuchy, coraz bardziej nienaturalny i coraz bardziej nieprzyjemny.

– Rozkazał tym, co się zbiegli, by mu przynieśli worek soli i antałek octu. I piłę. Nie wiedziałam... Nie mogłam zrozumieć, co zamierza... Jeszcze wtedy nie wiedziałam, do czego jest zdolny. Ja byłam przywiązana... do koniowiązu... Zawołał jakichś pachołków, rozkazał im, by trzymali mnie za włosy... i za powieki. Pokazał im, jak... Tak, żebym nie mogła odwrócić głowy ani zamknąć oczu... Bym musiała patrzeć na to, co robi. Trzeba zadbać, by towar się nie zepsuł, powiedział. By nie uległ rozkładowi...

Głos Ciri załamał się, sucho uwiązł w gardle. Vysogota, wiedząc nagle, co usłyszy, poczuł, jak ślina wzbiera mu w ustach jak fala powodzi.

– Oderżnął im głowy – powiedziała głucho Ciri. – Piłą. Giselher, Kayleigh, Asse, Reef, Iskra... I Mistle. Odrzynał im głowy... Po kolei. Na moich oczach.

•

Gdyby tej nocy ktoś zdołał podkraść się do zagubionej wśród moczarów chaty z zapadniętą i obrośniętą mchem strzechą, gdyby zajrzał przez szpary w okiennicach, zobaczyłby w skąpo oświetlonym wnętrzu siwobrodego starca w kożuchu i popielatowłosą dziewczynę z twarzą zeszpeconą przez bliznę na policzku. Zobaczyłby, jak dziewczyna trzęsie się od płaczu, jak dławi się szlochem w ramionach starca, a ten próbuje ją uspokoić, niezgrabnie i machinalnie głaszcząc i poklepując dygoczące od spazmów ramiona.

Ale to nie było możliwe. Nikt nie mógł tego zobaczyć. Chata była dobrze ukryta wśród trzcin na moczarach. Na wiecznie pokrytym mgłą pustkowiu, na które nikt nie odważał się zapuszczać.

Często stawiano mi pytanie, jak to się stało, że zdecydowałem się spisywać me wspomnienia. Wielu ludzi zdawał się interesować moment, w którym memuary moje zaczęły powstawać – jaki mianowicie fakt, wydarzenie czy też ewenement początkowi spisywania towarzyszył lub dał asumpt do niego. Poprzednio różnych udzielałem wyjaśnień i łgałem nierzadko, teraz atoli prawdzie oddam hołd, albowiem dziś, gdy mi włos pobielał i przerzedł tęgo, wiem, że prawda to cenne ziarno, łeż zaś – niegodne plewy.

A prawda jest taka: ewenementem, który wszystkiemu dał asumpt, któremu zawdzięczam pierwsze zapiski, z jakich zaczęło się formować późniejsze dzieło mego życia, było przypadkowe znalezienie papieru i ołówka wśród rzeczy, które ja i moi kompani ukradliśmy z lyrijskich wojskowych taborów. Zdarzyło się to...

Jaskier, *Pół wieku poezji*

Rozdział trzeci

...zdarzyło się to piątego dnia po wrześniowym nowiu księżyca, dokładnie trzydziestego dnia naszej wyprawy, licząc od wyruszenia z Brokilonu, a sześć dni po Bitwie na Moście.

Teraz, drogi przyszły czytelniku, cofnę się nieco w czasie i opiszę wydarzenia, jakie miały miejsce bezpośrednio po sławetnej i brzemiennej w skutki Bitwie na Moście. Pierwej jednak oświecę to liczne grono czytelników, którzy o Bitwie na Moście nic nie wiedzą – już to z powodu innych zainteresowań, już skutkiem ogólnej ignorancji. Wyjaśniam: bitwę ową stoczono ostatniego dnia miesiąca sierpnia Roku Wielkiej Wojny w Angrenie, na moście łączącym oba brzegi rzeki Jarugi w okolicach stanicy o nazwie Czerwona Binduga. Stronami tego zbrojnego konfliktu były: armia Nilfgaardu, dowodzony przez królową Meve korpus z Lyrii oraz my, nasza wspaniała drużyna – ja, czyli niżej podpisany, a także wiedźmin Geralt, wampir Emiel Regis Rohellec Terzieff-Godefroy, łuczniczka Maria Barring zwana Milvą i Cahir Mawr Dyffryn aep Ceallach, Nilfgaardczyk, lubiący z uporem godnym lepszej sprawy dowodzić, że Nilfgaardczykiem nie jest.

Niejasnym może być też dla ciebie, czytelniku, skąd wzięła się w Angrenie królowa Meve, o której wonczas mniemano, że wraz ze swą armią zginęła i przepadła w czasie nilfgaardzkiej lipcowej inkursji na Lyrię, Rivię i Aedirn zakończonej całkowitym podbojem tych krain i ich okupacją przez imperialne wojska. Atoli Meve nie zginęła, jak sądzono, w boju, nie dostała się do nilfgaardzkiej niewoli. Skrzyknąwszy pod swój sztandar grzeczny komunik ocalałego lyrijskiego wojska i zaciągnąwszy kogo się da, w tym najemników i zwyczajnych bandytów, waleczna Meve podjęła z Nilfgaardem partyzancką wojnę. A do takiej gerylasówki dziki Angren idealnie się nadawał – już to by z zasadzki uderzyć, już to by utaić się gdzie w chaszczach jakich, bo w Angrenie chaszczów dostatek, prawdę rzekłszy, prócz chaszczów nie masz w onej krainie niczego, co warte wymienienia.

Hufiec Meve – nazywanej już przez jej wojsko Białą Królową – rychło urósł w siły i takiej fantazji nabrał, że bez strachu przeprawić się na lewy brzeg Jarugi potrafił, by tam, na głębokich tyłach wroga, hałasować i grasować do woli.

Tu powracamy do naszych baranów, to jest do Bitwy na Moście. Sytuacja taktyczna wyglądała, jak następuje: partyzanci królowej Meve, pograsowawszy sobie na lewym brzegu Jarugi, chcieli uciec na prawy brzeg Jarugi, ale nadziali się na Nilfgaardczyków, którzy grasowali na prawym brzegu Jarugi i chcieli właśnie uciec na lewy brzeg Jarugi. Na powyższe nadzialiśmy się my, z pozycji centralnej, to znaczy z samego środka rzeki Jarugi, z każdej strony, lewej czy prawej, jakimś ludem zbrojnym otoczeni. Nie mając tedy dokąd uciekać, zostaliśmy bohaterami i okryliśmy się nieśmiertelną chwałą. Bitwę, nawiasem mówiąc, wygrali Lyrijczycy, albowiem udało im się to, co zamierzyli, to znaczy ucieczka na prawy brzeg. Nilfgaardczycy uciekli w niewiadomym kierunku i tym samym bitwę przegrali. Zdaję sobie sprawę, że wszystko to brzmi wielce konfundująco, i nie omieszkam przed publikacją skonsultować tekstu z jakimś teoretykiem wojskowości. Na razie opieram się na autorytecie Cahira aep Ceallach, jedynego żołnierza w naszej drużynie – a Cahir potwierdził, że wygrywanie bitew poprzez szybką ucieczkę z pola walki jest dopuszczalne z punktu widzenia większości doktryn militarnych.

Udział naszej drużyny w bitwie był bezspornie chwalebny, ale miał też złe skutki. Milva, która była w odmiennym stanie, uległa tragicznemu

wypadkowi. Reszcie nas pofortuniło na tyle, że nikt poważniejszych obrażeń nie odniósł. Ale nikt też i profitu nie zdobył i nawet podziękowania nie doczekał. Wyjątek stanowił wiedźmin Geralt. Bo wiedźmin Geralt, wbrew wielokrotnie – a widać obłudnie – głoszonemu indyferentyzmowi i nie raz deklarowanej neutralności przejawił oto w bitwie ferwor tyleż wielki, co przesadnie spektakularny, innymi słowy: bił się iście pokazowo, żeby nie powiedzieć: na pokaz. Dostrzeżono go, a Meve, królowa Lyrii, własną ręką pasowała go na rycerza. Z tego pasowania, jak się rychło okazało, było więcej nieprzyjemności niż awantaży.

Trzeba ci bowiem wiedzieć, miły czytelniku, że wiedźmin Geralt był zawsze człowiekiem skromnym, rozważnym i opanowanym, o wnętrzu prostym i nieskomplikowanym niby trzonek od halabardy. Niespodziewany awans i pozorna łaskawość królowej Meve zmieniły go jednak – a gdybym go lepiej nie znał, powiedziałbym, że wbiły w pychę. Miast co rychlej i anonimowo zniknąć ze sceny, Geralt plątał się przy królewskim orszaku, cieszył honorem, rozkoszował łaską i nasładzał sławą.

A nam sława i rozgłos były akurat najmniej potrzebne. Przypominam tym, którzy nie pamiętają, że tenże sam wiedźmin Geralt, teraz pasowany rycerz, ścigany był przez organa bezpieczeństwa wszystkich Czterech Królestw w związku ze sprawą rebelii magików na wyspie Thanedd. Mnie, osobę niewinną i czystą niby łza, próbowano obciążyć zarzutem szpiegostwa. Do tego dodać trzeba Milvę, kolaborującą z driadami i Scoia'tael, zamieszaną, jak się okazało, w osławione masakry ludzi na rubieżach Lasu Brokilon. Do tego dołożyć należy Cahira aep Ceallach, Nilfgaardczyka, obywatela wrogiej bądź co bądź nacji, którego obecność po niewłaściwej stronie frontu niełatwo dałoby się eksplikować i usprawiedliwić. Tak się składało, że jedyny członek naszej drużyny, którego życiorysu nie paprały sprawy polityczne lub kryminalne, był wampirem. Takim to sposobem zdemaskowanie i rozpoznanie kogokolwiek z nas groziło wszystkim pozostałym wbiciem na zaostrzone osinowe kołki. Każdy dzień spędzony – początkowo mile zresztą, syto i bezpiecznie – w cieniu lyrijskich sztandarów zwiększał owo ryzyko.

Geralt, gdym mu o tym dobitnie przypomniał, zmarkocił się lekko, ale przedstawił swoje racje, których miał dwie. Po pierwsze, Milva po jej przykrym wypadku wciąż wymagała opieki i starań, a w wojsku byli

felczerzy. Po drugie, armia królowej Meve kierowała się na wschód, w kierunku Caed Dhu. A nasza drużyna, zanim zmieniła kierunek i wpakowała się w opisaną powyżej bitwę, również zmierzała do Caed Dhu – od bytujących tam druidów mieliśmy bowiem nadzieję zdobyć jakieś informacje mogące pomóc w poszukiwaniach Ciri. Z prostej drogi ku wzmiankowanym druidom zepchnęły nas grasujące po Angrenie podjazdy i swawolne kupy. Teraz, pod ochroną przyjaznego lyrijskiego wojska, w łasce i przychylności królowej Meve, droga do Caed Dhu stała otworem, ba, wydawała się prosta i bezpieczna.

Ostrzegałem wiedźmina, że tylko się tak wydaje, że to pozór jeno, że łaska królewska jest złudna i na pstrym koniu jeździ. Wiedźmin słuchać nie chciał. A po czyjej stronie była słuszność, wnet się pokazało. Gdy oto gruchnęła wieść, że od wschodu, od przełęczy Klamat, w dużej potędze idzie na Angren nilfgaardzka karna ekspedycja, wojsko Lyrii, nie mieszkając, zawróciło na północ, w stronę gór Mahakamu. Geraltowi, jak łatwo się domyślić, zupełnie nie konweniowała ta zmiana kierunku – spieszyło mu się do druidów, nie do Mahakamu! Naiwny jak dziecko, poleciał do królowej Meve z zamiarem uzyskania zwolnienia z armii i królewskiego błogosławieństwa dla jego prywatnych interesów. I w tym momencie skończyła się królewska miłość i przychylność, a szacunek i podziw dla bohatera Bitwy o Most rozwiały się jak ten dym. Rycerzowi Geraltowi z Rivii chłodnym, acz twardym tonem przypomniano o jego rycerskich obowiązkach wobec Korony. Wciąż słabującą Milvę, wampira Regisa i niżej podpisanego polecono włączyć do kolumny ciągnących za taborami zbiegów i cywilów. Cahir aep Ceallach, rosły młodzian, który z żadnej strony na cywila nie wyglądał, został przepasany biało-błękitną szarfą i wcielony do tak zwanej wolnej kompanii, to znaczy oddziału jazdy złożonego z przeróżnej maści hultajstwa zbieranego po drogach przez lyrijski korpus. Tym sposobem rozdzielono nas i wszystko wskazywało na to, że nasza wyprawa zakończyła się definitywnie i z kretesem.

Jak jednak domyślasz się, drogi czytelniku, nie był to wcale koniec, ba, nie był to nawet początek! Milva, gdy dowiedziała się o rozwoju wypadków, natychmiast ogłosiła się zdrową i sprawną – i pierwsza dała hasło do rejterady. Cahir cisnął w krzaki królewskie barwy i zwiał z wolnej kompanii, a Geralt wymknął się z luksusowych namiotów doborowego rycerstwa.

Nie będę rozwodził się nad szczegółami, a modestia nie pozwala mi na nadmierne eksponowanie mych własnych – niemałych – zasług w opisywanym przedsięwzięciu. Stwierdzę fakt: nocą z piątego na szósty września cała nasza drużyna cichaczem opuściła korpus królowej Meve. Przed pożegnaniem z lyrijskim wojskiem nie omieszkaliśmy zaopatrzyć się obficie, wcale przy tym nie pytając o zgodę szefa służb kwatermistrzowskich. Słowo „rabunek", którego użyła Milva, uważam za zbyt dosadne. Należała się nam wszakże jakaś gratyfikacja za nasz udział w wiekopomnej Bitwie o Most. A jeśli nie gratyfikacja, to choćby zadośćuczynienie i wyrównanie poniesionych strat! Pomijając tragiczny wypadek Milvy, nie licząc skaleczeń i potłuczeń Geralta i Cahira, w bitwie zabito lub okaleczono nam wszystkie konie – prócz mego wiernego Pegaza i narowistej Płotki, klaczy wiedźmina. W ramach rekompensaty pobraliśmy więc trzy pełnokrwiste kawaleryjskie wierzchowce i jednego podjezdka. Pobraliśmy też tyle różnego ekwipunku, ile nam w ręce wlazło – gwoli sprawiedliwości dodam, że połowę przyszło nam później wyrzucić. Jak rzekła Milva, tak bywa, gdy kradnie się po ciemku. Najwięcej pożytecznych rzeczy pobrał z kazionnych zapasów wampir Regis, który po ciemku widzi lepiej niż za dnia. Regis dodatkowo obniżył obronność lyrijskiej armii o grubego myszatego muła, którego wywiódł z zagrody tak sprytnie, że ni jeden zwierzak nie zaparskał ani nie tupnął. Opowieści o zwierzętach wyczuwających wampiry i reagujących na ich woń panicznym strachem należy zatem włożyć między bajki – chyba że chodzi o niektóre ze zwierząt i niektóre z wampirów. Dodam, że owego myszatego muła mamy do dziś. Po stracie podjezdka, który zaginął nam później w lasach Zarzecza, spłoszony przez wilki, muł niesie nasz dobytek – a raczej to, co z niego zostało. Muł nosi imię Draakul. Został tak nazwany przez Regisa zaraz po kradzieży i tak już zostało. Regisa najwyraźniej bawi to imię, niezawodnie mające jakieś dowcipne znaczenie w kulturze i mowie wampirów, ale nam wyjaśnić tego nie zechciał, twierdząc, że to nieprzetłumaczalna gra słów.

W taki oto sposób drużyna nasza znowu znalazła się na szlaku, a długa już przedtem lista ludzi, którzy nas nie lubili, wydłużyła się jeszcze bardziej. Geralt z Rivii, rycerz bez skazy ni zmazy, porzucił szeregi rycerstwa, zanim jeszcze pasowanie potwierdzono patentem i zanim jeszcze nadworny herold wymyślił mu herb. A Cahir aep Ceallach w wielkim konflikcie Nilfgaardu z Nordlingami zdążył już walczyć w obu

armiach i z obu zdezerterować, w obu zarabiając zaoczny wyrok śmierci. Reszta z nas wcale nie była w lepszej sytuacji – w końcu stryczek jest stryczkiem i drobna to nader różnica, za co się wisi: za ujmę czci rycerskiej, dezercję czy nazwanie wojskowego muła imieniem Draakul.

Niech cię więc nie zdziwi, czytelniku, że czyniliśmy iście tytaniczne wysiłki, by maksymalnie powiększyć odległość dzielącą nas od korpusu królowej Meve. Co sił w koniach gnaliśmy na południe, ku Jarudze, zamierzając przeprawić się na lewy brzeg. Wcale nie tylko po to, by odgrodzić się rzeką od królowej i jej partyzantów, ale dlatego, że pustkowia Zarzecza były mniej groźne od objętego wojną Angrenu – do druidów w Caed Dhu o wiele rozumniej było podróżować lewym, a nie prawym brzegiem. Paradoksalnie – albowiem lewy brzeg Jarugi to już było wrogie Cesarstwo Nilfgaardzkie. Ojcem owej lewobrzeżnej koncepcji był wiedźmin Geralt, który po wystąpieniu z bractwa pasowanych hucpiarzy odzyskał w znacznej mierze rozsądek, zdolność logicznego myślenia i zwykłą sobie przezorność. Przyszłość pokazała, że plan wiedźmina brzemienny był w skutki i zaważył na losach całej ekspedycji. Ale o tym później.

Nad Jarugą, gdyśmy tam dotarli, pełno już było Nilfgaardczyków, którzy przeprawiali się po odbudowanym moście w Czerwonej Bindudze, kontynuując ofensywę na Angren – a zapewne i dalej, na Temerię, Mahakam i diabli wiedzą na co jeszcze, co tam zaplanował nilfgaardzki sztab generalny. Nie mogło być mowy o forsowaniu rzeki z marszu, musieliśmy utaić się i czekać na przejście wojsk. Przez bite dwie doby siedzieliśmy więc w nadrzecznej łozinie, kultywując reumatyzm i karmiąc moskity. Pogoda na domiar złego wkrótce popsuła się, mżyło, wiało jak cholera, a z chłodu ząb na ząb trafiał z rzadka jeno. Podobnie zimnego września nie przypominam sobie wśród licznych utkwionych w mej pamięci wrześni. Wówczas to właśnie, drogi czytelniku, odnalazłszy wśród wypożyczonego z lyrijskich taborów ekwipunku papier i ołówek, zacząłem – dla zabicia czasu i zapomnienia o niewygodach – spisywać i uwieczniać niektóre z naszych przygód.

Dokuczliwa słota i przymusowa bezczynność popsuły nam humory i pobudziły różne czarne myśli. Zwłaszcza u wiedźmina. Geralt już dawniej zwykł był bilansować dni, oddzielające go od Ciri – a każdy dzień nie na szlaku oddalał go, w jego mniemaniu, od dziewczyny coraz bardziej. Teraz, w mokrej łozie, na zimnie i na deszczu, wiedźmin niemal z godziny

na godzinę robił się coraz bardziej ponury i zacięty. Zauważyłem też, że kusztykał mocno, a gdy sądził, że nikt nie widzi i nie słyszy, klął i posykiwał z bólu. Trzeba ci bowiem wiedzieć, miły czytelniku, że Geraltowi połamano kości podczas rokoszu czarodziejów na wyspie Thanedd. Fraktury zrosły się i wyleczyły magicznym staraniem driad z Lasu Brokilon, ale dokuczać widać nie przestały. Wiedźmin cierpiał więc, jak to mówią, zarówno ból cielesny, jak i duszny, a zły był przez to jak chrzan, ani przystąp.

I znowu zaczęły prześladować go sny. Dziewiątego września, rano, bo odsypiał wartę, przeraził nas wszystkich, zrywając się z krzykiem i dobywając miecza. Wyglądało to na amok, ale na szczęście przeszło mu momentalnie.

Odszedł na stronę, wkrótce wrócił z ponurą gębą i oznajmił ni mniej, ni więcej, a to, że ze skutkiem natychmiastowym rozwiązuje drużynę i w dalszą drogę rusza samotnie, albowiem tam gdzieś dzieją się rzeczy straszne, że czas nagli, że robi się niebezpiecznie, a on nikogo nie chce narażać i za nikogo ponosić odpowiedzialności. Gadał i rezonował tak nudnie i tak bez przekonania, że nikomu nie chciało się z nim dyskutować. Nawet elokwentny zwykle wampir zbył go wzruszeniem ramion, Milva splunięciem, Cahir suchym przypomnieniem, że odpowiada sam za siebie, zaś co do ryzyka, to nie po to nosi miecz, by mu pas obciągał. Potem jednak wszyscy zamarli w milczeniu i znacząco utkwili oczy w niżej podpisanym, niechybnie oczekując, że skorzystam z okazji i wrócę do domu. Nie muszę chyba dodawać, że bardzo się zawiedli.

Wydarzenie skłoniło nas jednak do przerwania marazmu i popchnęło do śmiałego czynu – do sforsowania Jarugi. Wyznam, że przedsięwzięcie wzbudziło mój niepokój – plan zakładał bowiem nocną przeprawę wpław, cytując Milvę i Cahira: „za końskimi ogonami". Nawet jeśli była to metafora – a podejrzewam, że nie była – nie wyobrażałem sobie jakoś podczas takiej przeprawy ani siebie, ani mego rumaka, Pegaza, na którego ogonie przyszłoby mi polegać. Pływanie, mówiąc oględnie, nie było i nie jest moją najmocniejszą stroną. Gdyby Matka Natura chciała, bym pływał, w akcie stworzenia i procesie ewolucji nie omieszkałaby wyposażyć mnie w błony między palcami. To samo dotyczyło Pegaza.

Me niepokoje okazały się płonne – przynajmniej jeśli chodzi o pływanie za końskim ogonem. Przeprawiliśmy się bowiem inną modą. Kto wie, czy

nie bardziej wariacką. W sposób iście bezczelny – po odbudowanym moście w Czerwonej Bindudze, pod samym nosem nilfgaardzkich straży i patroli. Przedsięwzięcie, jak się okazało, jeno z pozoru pachniało szaleńczą efronterią i śmiertelnym hazardem, w rzeczywistości poszło jak z płatka. Po przejściu jednostek liniowych mostem w tę i w tamtą stronę wędrował transport za transportem, wehikuł za wehikułem, stado za stadem, tłumy rozmaitej, w tym i cywilnej zbieraniny, wśród której nasza drużyna zgoła się nie wyróżniała i w oczy nie rzucała. Tak to dziesiątego dnia miesiąca września przejechaliśmy wszyscy na lewy brzeg Jarugi, raz tylko okrzyknięci przez straż, której Cahir, władczo zmarszczywszy brew, odwarknął groźnie coś o cesarskiej służbie, popierając wypowiedź klasycznie wojskową i zawsze skuteczną kurwą waszą macią. Zanim ktoś jeszcze zdążył się nami zainteresować, byliśmy już na lewym brzegu Jarugi, w głębi lasów zarzeczańskich – był tu bowiem jeden tylko gościniec, wiodący na południe, a nam nie konweniowały ani kierunek, ani obfitość pętających się tam Nilfgaardczyków.

Na pierwszym biwaku w lasach Zarzecza mnie również nawiedził nocą dziwny sen – w odróżnieniu od Geralta nie przyśniła mi się jednak Ciri, lecz czarodziejka Yennefer. Sen był dziwny, niepokojący – Yennefer, jak zwykle w czerni i bieli, unosiła się w powietrzu nad ponurym górskim zamczyskiem, a z dołu inne czarodziejki wygrażały jej pięściami i rzucały wyzwiska. Yennefer zamachała długimi rękawami sukni i uleciała, niby czarny albatros, nad bezkresne morze, prosto we wschodzące słońce. Od tego momentu sen zmienił się w koszmar. Po przebudzeniu szczegóły znikły z mej pamięci, pozostały niewyraźne, mało sensowne obrazki, ale były to obrazki potworne – tortury, krzyk, ból, strach, śmierć... Jednym słowem: horror.

Nie pochwaliłem się Geraltowi tym snem. Słowa nie pisnąłem. Jak się później okazało, słusznie.

•

– Yennefer się zwała! Yennefer z Vengerbergu. I przesławną była czarodziejką! Żebym tak jutra nie doczekała, jeśli łżę!

Triss Merigold drgnęła, odwróciła się, próbując przebić wzrokiem tłok i siny dym, szczelnie wypełniające główną salę tawerny. Wreszcie wstała zza stołu, z lekkim żalem porzucając filet z soli z masełkiem sardelowym, lokalny specjał i prawdziwy delikates. Po tawernach i

oberżach Bremervoord włóczyła się jednak nie po to, by jeść delikatesy, lecz by zdobywać informacje. Poza tym musiała dbać o linię.

Wianuszek ludzi, w który przyszło jej się wcisnąć, był już gęsty i zbity – w Bremervoord ludzie kochali opowieści i nie przepuszczali żadnej okazji, by posłuchać nowej. A licznie przybywający tu żeglarze nigdy nie zawodzili – zawsze mieli nowy i świeży repertuar morskich bajań i historyjek. Rzecz jasna, w przeważającej większości zełganych, ale to przecież nie miało najmniejszego znaczenia. Opowieść to opowieść. Ma swoje prawa.

Tą, która właśnie opowiadała – i która napomknęła o Yennefer – była rybaczka z Wysp Skellige, tęga, barczysta, krótko ostrzyżona, podobnie jak jej cztery towarzyszki ustrojona w wytartą do połysku kamizelę ze skóry narwala.

– Było to dziewiętnastego dnia miesiąca sierpnia, ranek po drugiej nocy pełni – podjęła opowieść wyspiarka, podnosząc do ust kufel piwa. Jej dłoń, jak zauważyła Triss, była barwy starej cegły, a obnażone, węźlasto umięśnione ramię miało jak nic dwadzieścia cali w obwodzie. Triss miała dwadzieścia dwa cale w talii.

– Świtem bladziuteńkim – prawiła rybaczka, wodząc oczami po twarzach słuchaczy – wyszedł nasz barkas w morze, na sund między An Skellig a Spikeroog, na ostrygowisko, gdzie zwykle stawiamy łososiowe przestawki. Duży był pośpiech, bo na sztorm się miało, niebo mocno ciemniało od zachodu. Trzeba było co żywiej wybrać łososia z siatek, bo inaczej sami wiecie, gdy po sztormie wreszcie znowu w morze da się wyjść, w siatkach tylko łby zgnite zostają, poobgryzane, wszystek połów idzie na zatracenie.

Słuchacze, w większości mieszkańcy Bremervoord i Cidaris, w większości żyjący z morza i egzystencją od niego zależni, pokiwali i pomruczeli ze zrozumieniem. Triss łososie widywała zwykle w postaci różowych plasterków, ale też pokiwała i pomruczała, bo nie chciała się wyróżniać. Była tu incognito, w tajnej misji.

– Przypłynęliśmy... – Rybaczka odstawiła kufel, dając znać, że któryś ze słuchaczy może jej postawić drugi. – Przypłynęliśmy i wybieramy siatki, aż tu naraz Gudrun, córka Sturli, jak ci nie wrzaśnie w cały głos! I palcem od sterburty pokazuje! Patrzymy, a tu leci coś powietrzem, a nie ptak! Aż mi serce na moment stanęło, bom zrazu myślała, wyvern albo mały gryf, przylatują takie czasami na Spikeroog, prawda, że zimą

przeważnie, osobliwie przy zachodnim wietrze. Ale to czarne coś tymczasem: chlup w wodę! I z falą: smyr! Prosto w nasze sieci. Zaplątało się w sieć i brzechta we wodzie jak foka, tedy my kupą, ile nas było, a było nas bab osiem, za sieć i dawaj toto na pokład! I tu dopiero gęby rozdziawiłyśmy! Bo to niewiasta okazała się! W sukni czarnej i sama czarna, jak ta wrona. Siecią omotana, między dwoma łososiami, z czego jeden, żebym tak zdrowa była, miał czterdzieści dwa i pół funta!

Rybaczka ze Skellige zdmuchnęła pianę z kufla i pociągnęła tęgo. Żaden ze słuchaczy nie komentował ani nie wyrażał niedowierzania, choć faktu złowienia łososia o tak imponującej wadze najstarsi ludzie nie pamiętali.

– Czarnowłosa w sieci – relacjonowała dalej wyspiarka – kaszle, wodą morską pluje i targa się, a Gudrun, nerwowa, bo przy nadziei jest, we wrzask: „Kelpie! Kelpie! Havfrue!" A przecie każdy głupi widział, że to nie kelpie, bo kelpie dawno by już sieć podarła, gdzie by się tam potworzyca na barkas wytaszczyć dała! I nie havfrue to, bo rybiego ogona nie ma, a panna morska zawżdy ogon rybi ma! I przecie do morza z nieba spadła, a widział kto, żeby kelpie albo havfrue po niebie latały? Ale Skadi, córka Uny, ta zawsze się gorącuje, też we krzyk: „Kelpie!" i jak nie złapie za gaf! I z gafem do sieci! A z sieci jak nie błyśnie sino, a Skadi jak nie zakwiczy! Gaf w lewo, ona w prawo, niech zdechnę, jeśli łżę, trzy kozły magnęła i łubudu dupą o pokład! Ha, pokazało się, że taka czarodziejka w sieci gorsza niźli meduza, skorpena albo węgorz drętwik! A do tego wrzeszczeć wiedźma zaczęła a kurwić, że zgroza! A z sieci aż syczy, śmierdzi i para idzie, takie ona tam w środku czarownictwo uskutecznia! Widzimy, że to nie przelewki...

Wyspiarka dopiła kufel i nie mieszkając sięgnęła po następny.

– Nie przelewki to – beknęła gromko, otarła nos i usta – magiczkę ułowić w sieci! Czujemy, że od tej magii, żebym tak zdrowa była, aż się barkas zaczyna mocniej kołysać. Nie było co zwlekać! Britta, córka Karen, przycisła sieć bosakiem, a jam chwyciła wiosło i pierdut! Pierdut! Pierdut!!!

Piwo bryznęło wysoko i polało się po blacie, kilka przewróconych kufli spadło na podłogę. Słuchacze wycierali policzki i brwi, ale żaden nie uronił słowa skargi czy upomnienia. Opowieść to opowieść. Ma swoje prawa.

– Pojęła wiedźma, z kim ma do czynienia. – Rybaczka wypięła obfity biust i rozejrzała się wyzywająco. – Że z babami ze Skellige szucić nie lza! Powiedziała, że się poddaje nam z dobrawoli i obiecała zaklęć ni uroków nie rzucać. I imię swoje nazwała: Yennefer z Vengerbergu.

Słuchacze zaszemrali. Od wypadków na wyspie Thanedd minęły zaledwie dwa miesiące, pamiętano imiona przekupionych przez Nilfgaard zdrajców. Imię słynnej Yennefer również.

– Zawieźliśmy ją – kontynuowała wyspiarka – na Ard Skellig, do Kaer Trolde, do jarla Cracha an Craite. Więcej żem jej już nie widziała. Jarl był na wyprawie, mówili, że gdy powrócił, przyjął magiczkę zrazu surowo, ale później traktował uprzejmie i grzecznie. Hmmm... A jam tylko czekała, jaką to mi czarownica siurpryzę wyszykuje za to, żem ją wiosłem natłukła. Myślałam, że mnie przed jarlem obszczeka. Ale nie. Słowa nie uroniła, nie poskarżyła się, wiem to. Honorna baba. Później, gdy się zabiła, to mi jej było nawet żal...

– Yennefer nie żyje? – krzyknęła Triss, z wrażenia zapominając o swym incognito i tajności misji. – Yennefer z Vengerbergu nie żyje?

– Ano, nie żyje. – Rybaczka dopiła piwo. – Martwa jest jak ta makrela. Zabiła się własnymi czarami, sztuki magiczne wyczyniając. Całkiem niedawno się to stało, ostatniego dnia sierpnia, tuż przed nowiem. Ale to jest zupełnie inna historia...

•

– Jaskier! Nie śpij w siodle!
– Ja nie śpię. Ja twórczo myślę!

•

Jechaliśmy więc, miły czytelniku, lasami Zarzecza, zmierzając na wschód, ku Caed Dhu, szukając druidów, którzy mieli nam pomóc w odnalezieniu Ciri. Jak to z tym było, opowiem. Pierwej jednak, gwoli historycznej prawdy, zapiszę co nieco o naszej drużynie – o poszczególnych jej członkach.

Wampir Regis miał ponad czterysta lat. Jeśli nie łgał, oznaczało to, że był z nas wszystkich najstarszy. Oczywiście mogła to być zwyczajna bujda, któż był w stanie to sprawdzić? Wolałem jednak zakładać, że nasz wampir był prawdomówny, albowiem deklarował nam także, że na dobre i nieodwołalnie zarzucił wysysanie z ludzi krwi – dzięki tej deklaracji jakoś spokojniej usypialiśmy na nocnych biwakach. Zauważyłem, że

początkowo Milva i Cahir zwykli po przebudzeniu lękliwie i niespokojnie obmacywać szyje – ale rychło zaprzestali. Wampir Regis był – lub zdawał się być – wampirem absolutnie honorowym. Jeśli mówił, że nie będzie wysysał, to nie wysysał.

Posiadał on jednak wady, i to nie wynikające bynajmniej z jego wampirzej natury. Regis był intelektualistą – i lubił to demonstrować. Miał denerwujący zwyczaj wygłaszania twierdzeń i prawd tonem i z miną proroka, na co rychło jednak przestaliśmy reagować, albowiem wygłaszane twierdzenia były albo faktycznymi prawdami, albo brzmiały jak prawda, albo były niesprawdzalne, co w sumie na jedno wychodziło. Iście nieznośna natomiast była Regisowa maniera odpowiadania na pytanie, zanim pytający skończył pytanie formułować – ba, niekiedy nawet zanim pytający zdążył zacząć je formułować. Ja ów mniemany przejaw wysokiej jakoby inteligencji zawsze miałem bardziej za przejaw chamstwa i arogancji, a cechy te, pasujące do środowiska uniwersyteckiego lub kół dworskich, są trudne do zniesienia u towarzysza, z którym przez całe dnie podróżuje się strzemię w strzemię, a w nocy śpi pod tą samą derką. Do poważniejszych kwasów nie doszło jednak, a to za sprawą Milvy. W odróżnieniu od Geralta i Cahira, którym wrodzony widać oportunizm nakazywał dopasować się do maniery wampira, a nawet konkurować z nim pod tym względem, łuczniczka Milva przedkładała rozwiązania proste i bezpretensjonalne. Gdy Regis po raz trzeci udzielił jej odpowiedzi na pytanie w połowie zadawania, sklęła go ciężko, używając słów i określeń zdolnych wywołać rumieńce zażenowania nawet u starego lancknechta. O dziwo, poskutkowało – wampir w mgnieniu oka pozbył się denerwującej maniery. Z czego wypływa, że najskuteczniejszą obroną przed intelektualną dominacją jest solidne obsobaczenie próbującego dominować intelektualisty.

Milva, jak mi się zdaje, dość ciężko przeżyła swój tragiczny wypadek – i stratę. Piszę: jak mi się zdaje, bom świadom, że będąc mężczyzną, żadnego wyobrażenia mieć nie mogę, czym jest dla niewiasty taki wypadek i taka strata. Choć jestem poetą i człekiem pióra, nawet moja szkolona i ćwiczona wyobraźnia zawodzi tu i nic na to nie poradzę.

Fizyczną sprawność łuczniczka odzyskała szybko – z psychiczną było gorzej. Zdarzało się, że cały dzień, od brzasku do zmroku, nie odezwała się ni słowem. Lubiła znikać i trzymać się na uboczu, co trochę wszystkich niepokoiło. Aż wreszcie przyszedł przełom. Milva

odreagowała jak driada lub elfka – gwałtownie, impulsywnie i niezbyt zrozumiale. Któregoś ranka na naszych oczach dobyła noża i bez słowa obcięła sobie warkocz przy samym karku. „Nie przystoi, bom nie panna" rzekła, widząc nasze opadnięte żuchwy. „Ale żem i nie wdowa", dodała, „tedy koniec żałobie". Od tego momentu była już taka, jak dawniej – opryskliwa, kąśliwa, pyskata i do słów nieparlamentarnych skora. Z czego wywnioskowaliśmy, że kryzys miała już fortunnie za sobą.

Trzecim, nie mniej dziwnym członkiem drużyny był Nilfgaardczyk, lubiący dowodzić, że nie jest Nilfgaardczykiem. Nazywał się, jak twierdził, Cahir Mawr Dyffryn aep Ceallach...

•

– Cahirze Mawr Dyffryn, synu Ceallacha – oświadczył dobitnie Jaskier, wycelowując w Nilfgaardczyka ołowiany sztyfcik. – Z wieloma rzeczami, których nie lubię, wręcz nie znoszę, przyszło mi pogodzić się w tej szacownej kompanii. Ale nie ze wszystkimi! Nie znoszę, gdy podczas pisania ktoś zagląda mi przez ramię! I godzić się z tym nie zamierzam!

Nilfgaardczyk odsunął się od poety, po chwili namysłu chwycił swe siodło, kożuch i derkę, przeciągnął wszystko bliżej zdającej się drzemać Milvy.

– Przepraszam – powiedział. – Wybacz natręctwo, Jaskier. Zajrzałem odruchowo, ze zwykłej ciekawości. Myślałem, że mapę kreślisz lub rachunki jakieś sporządzasz...

– Nie jestem buchalterem! – Poeta uniósł się, w przenośni i dosłownie. – Ani kartografem! A nawet jeśli byłbym, nie usprawiedliwia to zapuszczania żurawia w moje zapiski!

– Już przeprosiłem – przypomniał sucho Cahir, moszcząc legowisko na nowym miejscu. – Z wieloma rzeczami pogodziłem się w tej szacownej kompanii i do wielu przyzwyczaiłem. Ale przepraszać nadal zwykłem jeno raz.

– W istocie – odezwał się wiedźmin, zupełnie nieoczekiwanie dla wszystkich, dla siebie również, biorąc stronę młodego Nilfgaardczyka. – Sakramencko drażliwy się zrobiłeś, Jaskier. Nie da się nie zauważyć, że wiąże się to jakoś z papierem, który od niedawna zacząłeś brudzić na biwakach kawałkiem ołowiu.

– Fakt – potwierdził wampir Regis, dokładając do ognia brzezinowych gałęzi. – Drażliwy zrobił się ostatnio nasz minstrel, do tego skryty,

dyskretny i szukający samotności. O, nie, w załatwianiu potrzeb naturalnych świadkowie bynajmniej mu nie przeszkadzają, czemu zresztą w naszej sytuacji dziwić się nie sposób. Wstydliwa skrytość i drażliwość na czyjś wzrok obejmują wyłącznie zapisywany maczkiem papier. Czyżby w naszej przytomności powstawał poemat? Rapsod? Epos? Romanca? Kancona?

– Nie – zaprzeczył Geralt, przysuwając się do ogniska i okutując plecy derką. – Ja go znam. To nie może być mowa wiązana, bo on nie bluźni, nie mamrocze i nie liczy sylab na palcach. Pisze w cichości, a zatem to proza.

– Proza! – Wampir błysnął kończystymi kłami, czego zwykle starał się nie robić. – Powieść może? Lub esej? Moralitet? Do pioruna, Jaskier! Nie poddawaj nas męczarniom! Wyjaw, co piszesz?

– Memuary.

– Co takiego?

– Z tych oto notatek – Jaskier zademonstrował napchany papierem tubus – powstanie dzieło mego życia. Memuary, noszące tytuł *Pięćdziesiąt lat poezji*.

– Bzdurny tytuł – stwierdził sucho Cahir. – Poezja nie ma wieku.

– A jeśli przyjąć, że ma – dorzucił wampir – to jest zdecydowanie starsza.

– Nie rozumiecie. Tytuł oznacza, że autor dzieła spędził pięćdziesiąt lat, nie mniej i nie więcej, w służbie Pani Poezji.

– W takim razie to jeszcze większa bzdura – orzekł wiedźmin. – Ty, Jaskier, nie masz wszak jeszcze czterdziestki. Umiejętność pisania wbito ci rózgą do rzyci w świątynnej infimie, w wieku lat ośmiu. Nawet przyjmując, że pisałeś rymy już w infimie, twojej Pani Poezji służysz nie dłużej niż lat trzydzieści. Ale ja akurat dobrze wiem, boś sam niejeden raz o tym opowiadał, że zacząłeś poważnie rymować i układać melodie, gdyś miał lat dziewiętnaście, zainspirowany miłością do kontessy de Staël. Czyni to mniej niż dwudziestoletni staż w twych służbach, Jaskier. Skąd tedy wytrzasnąłeś te tytułowe pięćdziesiąt lat? Czy to ma być jakaś metafora?

– Ja – nadął się bard – zakreślam myślą szerokie horyzonty. Opisuję teraźniejszość, ale wybiegam w przyszłość. Dzieło, które poczynam pisać, zamierzam wydać za jakieś dwadzieścia do trzydziestu lat, a

wówczas nikt nie będzie mógł poddawać w wątpliwość tytułowej kalkulacji.

– Ha. Teraz rozumiem. Jeśli mnie coś dziwi, to zapobiegliwość. Dzień jutrzejszy zwykle mało cię obchodził.

– Dzień jutrzejszy nadal mało mnie obchodzi – oznajmił z wyższością poeta. – Myślę o potomności. I o wieczności!

– Z punktu widzenia potomności – zauważył Regis – niezbyt jest etycznym zaczynać pisanie już teraz, na zapas. Potomność ma po takim tytule prawo oczekiwać dzieła napisanego z faktycznie półwiecznej perspektywy, przez osobę, mającą prawdziwie półwieczny zasób wiedzy i eksperiencji...

– Ktoś, kogo eksperiencja liczy pół wieku – przerwał obcesowo Jaskier – musi być z samej natury rzeczy siedemdziesięcioletnim spróchniałym dziadem z mózgiem wyerodowanym przez jędzę sklerozę. Siedzieć takiemu na werandzie i bąki na wiatr puszczać, nie memuary dyktować, bo tylko ludzie się śmieją. Ja tego błędu nie popełnię, spiszę me wspomnienia wcześniej, w pełni sił twórczych. Później, przed samym wydaniem, wprowadzę jedynie kosmetyczne poprawki.

– Ma to swoje zalety. – Geralt pomasował i ostrożnie zgiął bolące kolano. – Zwłaszcza dla nas. Bo choć bez wątpienia figurujemy w jego dziele, choć bez wątpienia nie pozostawił na nas suchej nitki, za pół wieku nie będzie nam to już robiło większej różnicy.

– Cóż to jest, pół wieku? – uśmiechnął się wampir. – Chwilka, mgnienie ulotne... Aha, Jaskier, mała uwaga: *Pół wieku poezji* brzmi moim zdaniem lepiej niż *Pięćdziesiąt lat*.

– Nie przeczę. – Trubadur schylił się nad kartką i pobazgrał po niej ołówkiem. – Dzięki, Regis. Nareszcie coś konstruktywnego. Ktoś jeszcze ma jakieś uwagi?

– Ja mam – odezwała się niespodzianie Milva, wystawiając głowę spod derki. – Czego gały wytrzeszczacie? Żem niegramotna? Alem też i nie durna! My na wyprawie są, idziem Ciri na odsiecz, z bronią w ręku przez wraże ziemie idziem. Może tak być, że w łapy wraże popadnie ta Jaskrowa pisanina. A znamy wierszokletę, nie sekret, że papla jest, sensat tudzież plotkarz. Niechże tedy baczenie ma, o czym gryzmoli. By nas za te jego gryzmoły nie powiesili wypadkiem.

– Przesadzasz, Milvo – rzekł łagodnie wampir.

– I to nawet grubo – stwierdził Jaskier.

– Też mi się tak wydaje – dodał niefrasobliwie Cahir. – Nie wiem, jak to z tym jest u Nordlingów, ale w Cesarstwie posiadanie rękopisów nie jest uważane za *crimen*, a działalność literacka nie podlega karze.

Geralt pokosił na niego oczy i z trzaskiem złamał patyk, którym się bawił.

– Ale w miastach zdobytych przez tę kulturalną nację biblioteki podlegają puszczaniu z dymem – powiedział niezaczepnym tonem, ale z wyraźnym przekąsem. – Mniejsza z tym, wszelakoż. Mario, też mi się zdaje, że przesadzasz. Pisanina Jaskra nie ma, jak zwykle, żadnego znaczenia. Dla naszego bezpieczeństwa także.

– Jużci, akurat! – zaperzyła się łuczniczka, siadając. – Ja swoje wiem! Mój ojczym, gdy królewskie komorniki spis ludności u nas robili, to nogi wziął za pas, w matecznik zapadł i dwie niedziele tam siedział, nosa nie wysuwał. Gdzie pergament, tam jurament, zwykł mawiać, a kto dziś inkaustem zapisany, ten jutro kołem połamany. I praw był, choć parszywiec był z niego, ino hej! Dufam, że się w piekle smaży, kurwi syn!

Milva odrzuciła koc i przysiadła się do ognia, definitywnie wybita ze snu. Zanosiło się, zauważył Geralt, na kolejną długą nocną rozmowę.

– Nie lubiłaś twego ojczyma, miarkuję – zauważył Jaskier po chwili milczenia.

– Nie lubiłam – Milva słyszalnie zgrzytnęła zębami. – Bo parszywiec był. Gdy matuś nie baczyła, dobierał się, z łapami pchał. Mowy nie słuchał, tom wreszcie nie zdzierżywszy, grabiami do niego przemówiła, a gdy padł, jeszcze żem go kopła razik albo drugi, w żebra i w słabiznę. Dwa dni potem leżał i krwią plwał... A ja z domu precz w świat dunęłam, nie czekając, aż ozdrowieje. Potem słuchy mię doszły, że pomarł, a matuś moja skoro po nim... Ejże, Jaskier! Ty to zapisujesz? Ani śmiej! Ani śmiej, słyszysz, co mówię?

•

Dziwnym było, że wędrowała z nami Milva, zaskakującym był fakt, że towarzyszył nam wampir. Wszelakoż najdziwniejszymi – i zgoła niepojętymi – były motywy Cahira, który nagle z wroga stał się jeśli nie druhem, to sprzymierzeńcem. Młodzik dowiódł tego w Bitwie na Moście, bez wahania stając z mieczem w dłoni u boku wiedźmina przeciwko swym rodakom. Czynem tym pozyskał sobie naszą sympatię i ostatecznie rozwiał nasze podejrzenia. Pisząc „nasze”, mam na myśli siebie, wampira

i łuczniczkę. Geralt bowiem, choć walczył z Cahirem ramię w ramię, choć u jego boku zaglądał śmierci w oczy, nadal był wobec Nilfgaardczyka nieufny i sympatią go nie darzył. Ze swym resentymentem starał się, co prawda, kryć, ale że był – chyba już napomykałem o tym – osobnikiem prostym jak drzewce dzidy, udawać nie umiał i antypatia wyłaziła na każdym kroku niczym węgorz z dziurawego więcierza.

Przyczyna była ewidentna, a była nią Ciri.

Los sprawił, że byłem na wyspie Thanedd podczas lipcowego nowiu, kiedy to doszło do krwawej rozprawy między czarodziejami wiernymi królom a zdrajcami podburzonymi przez Nilfgaard. Zdrajców wspomogły Wiewiórki, buntownicze elfy – i Cahir, syn Ceallacha. Cahir był na Thanedd, posłano go tam w specjalnej misji – miał pojmać i uprowadzić Ciri. Broniąc się, Ciri zraniła go – Cahir ma na lewej dłoni bliznę, na widok której zawsze robi mi się sucho w ustach. Boleć to musiało diabelnie, a dwa palce nadal nie zginają mu się.

A po tym wszystkim to myśmy go uratowali, nad Wstążką, gdy jego właśni rodacy wieźli go w pętach na okrutną kaźń. Za co, pytam, za jakie przewiny chcieli go stracić? Czy tylko za porażkę na Thanedd? Cahir nie jest gadatliwy, ale ja ucho mam czułe nawet na półsłówka. Chłop nie ma jeszcze trzydziestki, a wygląda, że był w armii nilfgaardzkiej oficerem wysokiego stopnia. Ponieważ językiem wspólnym posługuje się nienagannie, a to u Nilfgaardczyków nieczęste, mniemam, że wiem, w jakim rodzaju wojsk Cahir służył i dlaczego tak szybko awansował. I dlaczego zlecano mu tak dziwne misje. W tym zagraniczne.

Bo przecież właśnie Cahir był tym, kto już raz usiłował uprowadzić Ciri. Blisko cztery lata temu, podczas rzezi Cintry. Wówczas po raz pierwszy dało o sobie znać kierujące losami tej dziewczyny przeznaczenie.

Przypadek sprawił, że rozmawiałem o tym z Geraltem. Było to trzeciego dnia po przekroczeniu Jarugi, dziesięć dni przed Ekwinokcjum, podczas przeprawy przez lasy Zarzecza. Rozmowa ta, choć bardzo krótka, pełna była nieprzyjemnych i niepokojących nut. A na twarzy i w oczach wiedźmina już wówczas malowała się zapowiedź okropieństwa, które eksplodowało później, w noc Ekwinokcjum, po tym, jak dołączyła do nas jasnowłosa Angoulême.

•

Wiedźmin nie patrzył na Jaskra. Nie patrzył przed siebie. Patrzył na grzywę Płotki.

– Calanthe – podjął – tuż przed śmiercią wymogła na kilku rycerzach przysięgę. Mieli nie pozwolić, by Ciri dostała się w ręce Nilfgaardczyków. Podczas ucieczki tych rycerzy zabito, a Ciri została sama wśród trupów i pożogi, w pułapce zaułków płonącego miasta. Nie uszłaby z życiem, to nie ulega kwestii. Ale on ją odnalazł. On, Cahir. Wywiózł ją z czeluści ognia i śmierci. Ocalił ją. Bohatersko! Szlachetnie!

Jaskier wstrzymał nieco Pegaza. Jechali z tyłu, Regis, Milva i Cahir wyprzedzali ich o jakieś ćwierć stajania, ale poeta nie chciał, by choć słowo z tej rozmowy dotarło do uszu towarzyszy.

– Problem w tym – ciągnął wiedźmin – że nasz Cahir był szlachetny na rozkaz. Był szlachetny jak kormoran: nie połknął ryby, bo miał na grdyce pierścionek. Miał zanieść rybę w dziobie do swego pana. Nie udało mu się, więc pan zagniewał się na kormorana! Kormoran jest teraz w niełasce! Czy dlatego szuka przyjaźni i towarzystwa ryb? Jak myślisz, Jaskier?

Trubadur pochylił się w siodle, unikając nisko zwisającej gałęzi lipy. Gałąź miała już zupełnie żółte liście.

– Jednak uratował jej życie, sam powiedziałeś. Dzięki niemu Ciri uszła z Cintry cało.

– I krzyczała po nocach, widząc go we śnie.

– Jednak to on ją uratował. Przestań rozpamiętywać, Geralt. Za dużo się zmieniło, ba, co dnia się zmienia, rozpamiętywanie nie da nic oprócz zgryzot, które wyraźnie ci nie służą. On uratował Ciri. Fakt był, jest i pozostanie faktem.

Geralt oderwał wreszcie wzrok od grzywy, podniósł głowę. Jaskier rzucił okiem na jego twarz i prędko uciekł oczami w bok.

– Fakt zostanie faktem – powtórzył wiedźmin złym, metalicznym głosem. – O, tak! On ten fakt wykrzyczał mi w twarz na Thanedd, a ze zgrozy głos wiązł mu w gardle, bo patrzył na klingę mojego miecza. Ten fakt i ten krzyk, to miały być argumenty, bym go nie mordował. Cóż, stało się i chyba się nie odstanie. A szkoda. Bo należało już wtedy, na Thanedd, rozpocząć łańcuch. Długi łańcuch śmierci, łańcuch zemsty, o której jeszcze po upływie stu lat krążyłyby opowieści. Takie, których bano by się słuchać po zmroku. Rozumiesz to, Jaskier?

– Nie bardzo.

– To do diabła z tobą.

•

Paskudna była to rozmowa i paskudną wiedźmin miał wtedy gębę. Oj, nie podobało mi się, gdy popadał w taki nastrój i zaczynał z takiej beczki.

Przyznać jednak muszę, że obrazowe porównanie z kormoranem swą rolę spełniło – zacząłem się niepokoić. Ryba w dziobie, niesiona tam, gdzie ją ogłuszą, wypatroszą i usmażą! Sympatyczna prawdziwie analogia, radosne perspektywy...

Rozsądek przeczył jednak takim obawom. W końcu, jeśli dalej trzymać się rybnych metafor, to kim my byliśmy? Płotkami, małymi, ościstymi płotkami. W zamian za tak lichą zdobycz kormoran Cahir nie mógł liczyć na cesarską łaskę. Sam zresztą pewnie też wcale nie był aż takim szczupakiem, za jakiego chciał uchodzić. Był płotką, tak jak i my. W czasach, gdy wojna orała niczym żelazna brona tak ziemię, jak i ludzkie losy, kto w ogóle zwraca uwagę na płotki?

Głowę dam, że w Nilfgaardzie nikt już o Cahirze nie pamięta.

•

Vattier de Rideaux, szef nilfgaardzkiego wywiadu wojskowego, z opuszczoną głową wysłuchiwał cesarskiej reprymendy.

– Tak więc – ciągnął zjadliwie Emhyr var Emreis – instytucja, która pochłania trzykroć tyle budżetu państwa, co szkolnictwo, kultura i sztuka razem wzięte, nie jest w stanie odnaleźć jednego człowieka. Człowiek, ot, znika sobie po prostu, ukrywa się, chociaż ja wydaję bajońskie sumy na instytucję, przed którą nic nie ma prawa się ukryć! Jeden winny zdrady człowiek kpi sobie w żywe oczy z instytucji, której dałem dość przywilejów i środków, by mogła spędzać sen z powiek nawet niewinnym. O, możesz mi wierzyć, Vattier, gdy następnym razem w radzie mówić się zacznie o konieczności obcięcia funduszy na tajne służby, nadstawię chętnego ucha. Możesz mi wierzyć!

– Wasza Cesarska Mość – odchrząknął Vattier de Rideaux – podejmie, nie wątpię w to, właściwą decyzję, rozważywszy pierwej wszystkie za i przeciw. Zarówno niepowodzenia, jak i sukcesy przez wywiad odniesione. Wasza Wysokość może też być pewna, że zdrajca Cahir aep Ceallach nie uniknie kary. Podjąłem starania...

– Nie płacę wam za podejmowanie, lecz za efekty starań. Te zaś są mierne, Vattier, mierne! Co ze sprawą Vilgefortza? Gdzie, u diabła, jest

Cirilla? Co ty tam mruczysz? Głośniej!

– Myślę, że Wasza Wysokość powinien poślubić tę dziewczynę, którą trzymamy w Darn Rowan. Potrzebny nam jest ten ślub, legalność suwerennego lenna Cintry, uspokojenie Wysp Skellige i rebeliantów z Attre, Streptu, Mag Turga i Stoków. Potrzebna jest powszechna amnestia, spokój na tyłach i na liniach zaopatrzenia... Potrzebna jest neutralność Esterada Thyssena z Koviru.

– Wiem o tym. Ale ta z Darn Rowan nie jest tą właściwą. Nie mogę jej poślubić.

– Wasza Cesarska Mość raczy wybaczyć, ale czy to ma znaczenie, bardziej właściwa czy mniej właściwa? Sytuacja polityczna wymaga uroczystych zaślubin. Pilnie. Panna młoda będzie w woalu. A gdy odnajdziemy wreszcie prawdziwą Cirillę, oblubienice się po prostu... wymieni.

– Czyś ty oszalał, Vattier?

– Tę fałszywą pokazano u nas przelotnie. Tej prawdziwej w Cintrze nikt nie widział od czterech lat, zresztą wieść głosi, że ona więcej przebywała na Skellige niż w samej Cintrze. Gwarantuję, że nikt nie pozna się na podstępie.

– Nie!

– Wasza Cesarska...

– Nie, Vattier! Znajdź mi prawdziwą Ciri! Ruszcie wreszcie tyłki. Znajdźcie mi Ciri. Znajdźcie Cahira. I Vilgefortza. Przede wszystkim Vilgefortza. Bo to on ma Ciri, jestem tego pewien.

– Wasza Cesarska Wysokość...

– Słucham, Vattier! Cały czas słucham!

– Miałem swego czasu podejrzenie, że tak zwana sprawa Vilgefortza to zwykła prowokacja. Że czarodziej został zabity lub jest więziony, a spektakularne i hałaśliwe polowanie służy Dijkstrze do oczerniania nas i usprawiedliwienia krwawych represji.

– Ja też miałem takie podejrzenia.

– A jednak... W Redanii nie podano tego do publicznej wiadomości, ale ja wiem od moich agentów, że Dijkstra odnalazł jedną z kryjówek Vilgefortza, a w niej dowody prowadzenia przez czarodzieja bestialskich eksperymentów na ludziach. Dokładniej, na płodach ludzkich... i niewiastach brzemiennych. Jeśli więc Vilgefortz miał Cirillę, to obawiam się, że dalsze poszukiwanie jej...

– Milcz, do diabła!

– Z drugiej strony – rzekł szybko Vattier de Rideaux, patrząc na zmienioną przez wściekły gniew twarz imperatora – to wszystko może być dezinformacja. By zohydzić czarodzieja. To podobne do Dijkstry.

– Macie znaleźć Vilgefortza i odebrać mu Ciri! Do cholery ciężkiej! Nie dywagować i snuć przypuszczenia! Gdzie jest Puszczyk? Nadal w Geso? Przecież podobno odwrócił już tam każdy kamień i zajrzał do każdej dziury w ziemi? Przecież podobno dziewczyny tam nie ma i nie było? Przecież astrolog się pomylił albo kłamie? To wszystko są cytaty z jego raportów. Co on więc tam jeszcze robi?

– Koroner Skellen, ośmielę się zauważyć, podejmuje działania niezbyt jasne... Swój oddział, ten, który Wasza Wysokość rozkazał mu zorganizować, werbuje do Maecht, do fortu Rocayne, gdzie założył bazę. Oddział ten, pozwolę sobie dodać, to wielce podejrzana zgraja. Zaś nader już dziwnym jest, że pod koniec sierpnia pan Skellen wynajął osławionego najemnego mordercę...

– Co?

– Wynajął najemnego zbira, z poleceniem zlikwidowania grasującej po Geso bandyckiej szajki. Rzecz sama w sobie chwalebna, ale czy to jest zadanie cesarskiego koronera?

– Czy przez ciebie nie przemawia przypadkiem inwidia, Vattier? I czy to nie ona dodaje twoim doniesieniom koloru i ferworu?

– Stwierdzam jedynie fakty, Wasza Wysokość.

– Fakty – cesarz wstał gwałtownie – to ja chcę widzieć. Znudziło mi się już słuchać o nich.

•

To był naprawdę ciężki dzień. Vattier de Rideaux był zmęczony. W rozkładzie dnia zaplanował jeszcze, co prawda, godzinkę lub dwie roboty papierkowej, mającej zabezpieczyć go przed utonięciem w nie załatwionych dokumentach, ale na samą myśl o tym aż go zatrzęsło. Nie, pomyślał, nic na siłę. Robota nie zając. Idę do domu... Nie, nie do domu. Żona poczeka. Ja idę do Cantarelli. Do słodziutkiej Cantarelli, przy której tak dobrze się odpoczywa.

Nie zastanawiał się długo. Po prostu wstał, wziął płaszcz i wyszedł, pełnym odrazy gestem powstrzymując sekretarza, usiłującego wcisnąć

mu safianową teczkę z pilnymi dokumentami do podpisu. Jutro! Jutro też jest dzień!

Opuścił pałac tylnym wyjściem, od strony ogrodów, poszedł cyprysową alejką. Minął sztuczny staw, w którym sędziwego wieku stu trzydziestu dwu lat dożywał karp wpuszczony przez cesarza Torresa, o czym świadczył złoty pamiątkowy medal, przyczepiony do pokrywy skrzelowej olbrzymiej ryby.

– Dobry wieczór, wicehrabio.

Vattier krótkim ruchem przedramienia zwolnił ukryty w rękawie sztylet. Rękojeść sama wsunęła się do dłoni.

– Bardzo ryzykujesz, Rience – powiedział zimno. – Bardzo ryzykujesz, pokazując w Nilfgaardzie twoją poparzoną gębę. Nawet jako magiczną teleprojekcję.

– Zauważyłeś? A Vilgefortz gwarantował mi, że jeśli nie dotkniesz, to nie zgadniesz, że to iluzja.

Vattier schował sztylet. Wcale nie zgadł, że to iluzja, ale teraz już wiedział.

– Zbyt wielkim jesteś tchórzem, Rience – powiedział – by pokazać się tu własną realną osobą. Wiesz wszakże, co by cię wówczas spotkało.

– Cesarz nadal taki na mnie zawzięty? I na mojego mistrza Vilgefortza?

– Twoja bezczelność jest rozbrajająca.

– Do diabła, Vattier. Zapewniam, że nadal stoimy po waszej stronie, ja i Vilgefortz. No, przyznaję, oszukaliśmy was, dając fałszywą Cirillę, ale to w dobrej wierze było, w dobrej wierze, niech mnie utopią, jeśli łżę. Vilgefortz zakładał, że skoro prawdziwa przepadła, lepsza będzie fałszywa aniżeli żadna. Sądziliśmy, że jest wam wszystko jedno...

– Twoja bezczelność przestała rozbrajać, zaczęła znieważać. Nie mam zamiaru tracić czasu na rozhowory ze znieważającym mnie mirażem. Kiedy wreszcie dopadnę cię w prawdziwej postaci, pokonwersujemy, i to długo, przyrzekam. Do tej zaś pory... *Apage*, Rience.

– Nie poznaję cię, Vattier. Dawniej, choćby nawet sam diabeł ci się objawił, przed egzorcyzmem nie omieszkałbyś zbadać, czy nie da się z tego przypadkiem czegoś uzyskać.

Vattier nie zaszczycił iluzji spojrzeniem, miast tego obserwował obrosłego glonami karpia, leniwie mącącego muł w stawie.

– Uzyskać? – powtórzył wreszcie, wydymając pogardliwie wargi. – Od ciebie? A cóż ty mógłbyś mi dać? Może prawdziwą Cirillę? Może twojego patrona, Vilgefortza? Może Cahira aep Ceallach?

– Stop! – Iluzja Rience'a uniosła iluzoryczną rękę. – Wymieniłeś.

– Co wymieniłem?

– Cahir. Dostarczymy wam głowę Cahira. Ja i mój mistrz, Vilgefortz...

– Zlituj się, Rience – parsknął Vattier. – Odwróćże kolejność.

– Jak chcesz. Vilgefortz, z moją skromną pomocą, da wam głowę Cahira, syna Ceallacha. Wiemy, gdzie on jest, możemy go wyjąć jak raka z saka, podług woli.

– Aż takie macie możliwości, proszę, proszę. Aż tak dobre wtyczki w wojsku królowej Meve?

– Próbujesz mnie? – wykrzywił się Rience. – Czy naprawdę nie wiesz? Chyba to drugie. Cahir, mój drogi wicehrabio, jest... My wiemy, gdzie jest. Wiemy, dokąd zmierza, wiemy, w jakiej kompanii. Chcesz jego głowy? Dostaniesz ją.

– Głowę – uśmiechnął się Vattier – która nie będzie mogła opowiedzieć, co naprawdę wydarzyło się na Thanedd.

– Chyba tak będzie lepiej – rzekł cynicznie Rience. – Po co dawać Cahirowi możność mówienia? Naszym zadaniem jest załagodzić, a nie pogłębić animozje między Vilgefortzem a cesarzem. Dostarczę ci milczącą głowę Cahira aep Ceallach. Załatwimy to tak, że będzie to wyglądało na twoją, i wyłącznie twoją, zasługę. Dostawa w ciągu najbliższych trzech tygodni.

Prastare karpisko w stawie wachlowało wodę płetwami piersiowymi. Bestia, pomyślał Vattier, musi być bardzo mądra. Tylko co mu po tej mądrości? Wciąż ten sam muł i te same nenufary.

– Twoja cena, Rience?

– Drobiazg. Gdzie jest i co knuje Stefan Skellen?

•

– Powiedziałem mu, co chciał wiedzieć. – Vattier de Rideaux wyciągnął się na poduszkach, bawiąc się puklem złotych włosów Carthii van Canten. – Widzisz, moja słodka, do pewnych spraw trzeba podchodzić mądrze. A mądrze, to znaczy konformistycznie. Jeśli będzie się postępować inaczej, nie będzie się miało nic. Tylko zgniłą wodę i

śmierdzący muł w basenie. I co z tego, że basen z marmuru i że trzy kroki od pałacu? Czyż nie mam racji, moja słodka?

Carthia van Canten, pieszczotliwie zwana Cantarellą, nie odpowiedziała. Vattier wcale nie oczekiwał odpowiedzi. Dziewczyna miała osiemnaście lat i – oględnie mówiąc – nie była geniuszem. Jej zainteresowania – przynajmniej obecnie – sprowadzały się do uprawiania miłości z – przynajmniej obecnie – Vattierem. Cantarella była w sprawach seksu naturalnym talentem, łączącym zapał i zaangażowanie z techniką i artyzmem. Nie to było jednak najważniejsze.

Cantarella mówiła mało i rzadko, świetnie i chętnie natomiast słuchała. Przy Cantarelli można było wygadać się, odpocząć, odprężyć się duchowo i zregenerować psychicznie.

– Człowiek w tej służbie może doczekać się tylko reprymend – powiedział z goryczą Vattier. – Bo nie odnalazł jakiejś tam Cirilli! A to, że dzięki pracy moich ludzi armia odnosi sukcesy, to mało? A to, że sztab generalny zna każde posunięcie wroga, to nic? A mało to twierdz, które trzeba by zdobywać tygodniami, otwarli cesarskim wojskom moi agenci? Ale nie, za to nikt nie pochwali. Ważna jest tylko jakaś tam Cirilla!

Sapiąc gniewnie, Vattier de Rideaux wziął z rąk Cantarelli kielich napełniony znakomitym Est Est z Toussaint, winem o roczniku pamiętającym czasy, gdy cesarz Emhyr var Emreis był małym, wyzutym z praw do tronu i okrutnie skrzywdzonym chłopcem, a Vattier de Rideaux młodym i mało liczącym się w hierarchii oficerem wywiadu.

To był dobry rocznik. Dla win.

Vattier popijał, bawił się kształtnymi piersiami Cantarelli i opowiadał. Cantarella wspaniale słuchała.

– Stefan Skellen, moja słodka – mruczał szef cesarskiego wywiadu – to kombinator i spiskowiec. Ale ja będę wiedział, co on kombinuje, zanim jeszcze dotrze tam Rience... Ja już mam tam człowieka... Bardzo blisko Skellena... Bardzo blisko...

Cantarella rozwiązała szarfę spinającą szlafrok Vattiera, pochyliła się. Vattier poczuł jej oddech i jęknął w przewidywaniu rozkoszy. Talent, pomyślał. A potem miękkie i gorące dotknięcie aksamitnych warg wypędziło mu z głowy wszelkie myśli.

Carthia van Canten powoli, zręcznie i z talentem dostarczała rozkoszy Vattierowi de Rideaux, szefowi cesarskiego wywiadu. Nie był to

wszelako jedyny talent Carthii. Ale Vattier de Rideaux nie miał o tym pojęcia.

Nie wiedział, że wbrew pozorom Carthia van Canten dysponowała doskonałą pamięcią i inteligencją żywą jak rtęć.

Wszystko, o czym opowiadał jej Vattier, każdą informację, każde słowo, które przy niej uronił, Carthia już nazajutrz przekazywała czarodziejce Assire var Anahid.

•

Tak, głowę stawię, że w Nilfgaardzie z pewnością dawno już wszyscy zapomnieli o Cahirze, w tym i narzeczona, o ile takową miał.

Ale o tym później, na razie cofnijmy się do dnia i miejsca przekroczenia Jarugi. Jechaliśmy oto w miarę pospiesznie na wschód, chcąc dotrzeć w okolice Czarnego Lasu, zwanego w Starszej Mowie Caed Dhu. Tam bowiem bytowali druidzi, zdolni wyprorokować miejsce przebywania Ciri, ewentualnie wywróżyć owo miejsce z dziwnych snów, które trapiły Geralta. Jechaliśmy przez lasy Górnego Zarzecza, zwanego również Lewobrzeżem, dzikiej i praktycznie bezludnej krainy usytuowanej pomiędzy Jarugą i położoną u podnóża Gór Amell krainą zwaną Stokami, od wschodu ograniczoną doliną Dol Angra, a od zachodu bagnistym pojezierzem, nazwa którego jakoś mi uleciała z pamięci.

Do krainy owej nigdy nikt nie rościł sobie szczególnych pretensji, stąd też nigdy nie było dobrze wiadomym, do kogo kraj tak naprawdę należy i kto nim włada. Trochę do powiedzenia w tym względzie mieli, jak się zdaje, kolejni władcy Temerii, Sodden, Cintry i Rivii, z różnym efektem traktujący Lewobrzeże jako lenno własnej korony i czasami próbujący dochodzić swych racji ogniem i żelazem. A potem zza Gór Amell nadeszły armie Nilfgaardu i nikt więcej nie miał niczego do powiedzenia. Ani wątpliwości względem spraw lenna czy własności ziemskiej. Wszystko na południe od Jarugi należało do Cesarstwa. W chwili, gdy piszę te słowa, do Cesarstwa należy już także sporo ziem na północ od Jarugi. Z braku dokładnych informacji nie wiem, ile i jak daleko na północ położonych.

Wracając do Zarzecza, pozwól, miły czytelniku, na dygresję tyczącą się procesów historycznych: historia danego terytorium często tworzona jest i kształtowana niejako przypadkowo, jako uboczny produkt konfliktów sił zewnętrznych. Historię danego kraju nader często tworzą

nietutejsi. Nietutejsi bywają zatem przyczyną – jednak skutki ponoszą zawsze i niezmiennie tutejsi.

Zarzecza prawidło to dotyczyło w całej rozciągłości.

Zarzecze miało swoją ludność, rdzennych Zarzeczan. Tych ciągłe, trwające latami przepychanki i walki zmieniły w dziadów i zmusiły do migracji. Wsie i osady poszły z dymem, ruiny sadyb i zamienione w ugory pola wchłonęła puszcza. Handel podupadł, karawany omijały zaniedbane drogi i szlaki. Ci nieliczni z Zarzeczan, którzy zostali, zmienili się w zdziczałych gburów. Od rosomaków i niedźwiedzi różnili się głównie tym, że nosili spodnie. Przynajmniej niektórzy. To znaczy: niektórzy nosili, a niektórzy się różnili. Był to – w swej masie – naród nieużyty, prostacki i grubiański.

I totalnie wyprany z poczucia humoru.

•

Ciemnowłosa córka bartnika odrzuciła na plecy zawadzający jej warkocz, wróciła do wściekle energicznego obracania żaren. Wysiłki Jaskra pozostawały daremne – słowa poety zdawały się w ogóle nie trafiać do adresatki. Jaskier mrugnął do reszty kompanii, udał, że wzdycha i wznosi oczy ku powale. Ale nie rezygnował.

– Daj – powtórzył, szczerząc zęby. – Daj, ać ja pobruszę, a ty skocz do piwnicy po piwo. Przecież musi tu gdzieś być ukryty loszek, a w loszku antałek. Mam rację, ślicznotko?

– Dalibyście spokój dziewce, panie – powiedziała gniewnie bartnikowa, krzątająca się przy kuchni wysoka i szczupła kobieta zaskakującej urody. – Przeciem już wam powiadała, że nie ma tu u nas nijakiego piwa.

– Z tuzin razy wam to było mówione, panie – poparł żonę bartnik, przerywając rozmowę z wiedźminem i wampirem. – Nagotowim wam naleśników z miodem, tegdy pojecie. Ale wprzód niechże dziewczyna w spokoju ziarno na mąkę zmiele, wszak bez mąki i czarodziej naleśnika nie uczyni! Niechajcie jej, niechże brusi w pokoju.

– Słyszałeś, Jaskier? – zawołał wiedźmin. – Odczep się od dziewczyny i zajmij czymś pożytecznym. Albo memuary pisz!

– Pić mi się chce. Napiłbym się czegoś przed jedzeniem. Mam trochę ziół, przyrządzę sobie naparu. Babko, znajdzie się tu w chacie ukrop? Ukrop, pytam, znajdzie się?

Siedząca na przypiecku staruszka, matka bartnika, podniosła głowę znad cerowanej skarpety.

– Znajdzie, gołąbeczku, znajdzie – zamamlała. – Ino, że wystudzony.

Jaskier jęknął, zrezygnowany dosiadł się do stołu, gdzie kompania gawędziła z bartnikiem, wczesnym rankiem napotkanym w boru. Bartnik był niski, krępy, czarny i potwornie zarośnięty, nie dziwota więc, że wyłaniając się niespodzianie z kniei napędził drużynie stracha – został wzięty za lykantropa. Żeby było śmieszniej, tym, który pierwszy zawrzasnął: „Wilkołak, wilkołak!", był wampir Regis. Powstało trochę zamieszania, ale sprawa rychło się wyjaśniła, a bartnik, choć z pozoru gburowaty, okazał się gościnny i uprzejmy. Drużyna bez ceregieli przyjęła zaproszenie do jego sadyby. Sadyba – zwana w bartniczym żargonie stanem – stała na wykarczowanej polanie, bartnik mieszkał w niej z matką, żoną i córką. Dwie ostatnie były kobietami o nieprzeciętnej, acz dziwnej nieco urodzie, ewidentnie wskazującej, że wśród przodków była driada albo hamadriada.

Podczas rozmów, jakie się wywiązały, bartnik zrazu sprawiał wrażenie, że można z nim pogadać wyłącznie o pszczołach, barciach, dzieniach, leziwach, podkurach, woskach, miodach i miodobraniach, ale i to był jedynie pozór.

– W polityce? A co ma w niej być? To, co zwykle. Daniny coraz większe trza oddawać. Trzy urny miodu, a cały wrąb wosku. Ledwo dycham, by nastarczyć, od świtu do zmierzchu na leziwie siedzę, barcie podmietam... Komu dań płacę? A temu, kto woła, skąd mnie wiedzieć, przy kim nynie władza? Ostatnimi czasy, ten, tego, w nilfgaardzkiej mowie wołają. Pono my tera impyrialna prowencja, czy jakoś tak. Za miód, jeśli co przedam, płacą impyrialnym pieniądzem, na którym cysorz jest wybity. Z gęby taki więcej nadobny, choć surowy, zrazu poznasz. Ten, tego...

Oba psy – czarny i rudy – usiadły naprzeciw wampira, zadarły głowy i zaczęły wyć. Bartnikowa hamadriada odwróciła się od paleniska i zdzieliła je miotłą.

– Zły znak – orzekł bartnik – kiedy psi w środku dnia wyją. Ten, tego... O czym to ja miał gadać?

– O druidach z Caed Dhu.

– He! Tak to nie byli szutki, jaśnie pany? Wy prawie chcecie do druidów iść? Żywot wam obrzydł, czyli jak? Toć tam śmierć! Jemiolarze

każdego, kto się na ich polany wejść poważy, łapią, we wiklinowe pałuby wsadzają i na wolnym ogniu palą.

Geralt spojrzał na Regisa, Regis mrugnął do niego. Obaj doskonale znali krążące o druidach plotki, co do jednej zmyślone. Milva i Jaskier zaczęli natomiast słuchać z większym niż dotychczas zainteresowaniem. I wyraźnym zaniepokojeniem.

– Jedni mówią – kontynuował bartnik – że jemiolarze mszczą się, bo im Nilfgaardczyki pierwsze dokuczyły, wszedłszy na święte dąbrowy przez Dol Angra i zacząwszy druidów bić bez dania racji. Wtórzy zaś powiadają, że to druidzi zaczęli, capnąwszy i na śmierć umęczywszy paru cysarskich, tedy im Nilfgaard odpłaca. Jak ono po prawdzie jest, nie wiedzieć. Ale rzecz to pewna, druidzi łapią, we Wiklinową Babę kładą i palą. Iść między nich: pewna zguba.

– My się nie boimy – rzekł spokojnie Geralt.

– Pewnie – bartnik zmierzył wzrokiem wiedźmina, Milvę i Cahira, który właśnie wchodził do chałupy, oporządziwszy konie. – Widać, żeście nielękliwe ludzie, bitne a zbrojne. He, z takimi, jak wy, nie strach podróżować... Ten, tego... Ale nie masz już jemiolarzy w Czarnym Gaju, próżny tedy wasz trud i wasza droga. Przycisnął ich Nilfgaard, wyżenął z Caed Dhu. Nie masz ich tam już.

– Jak to?

– Tak to. Uciekli jemiolarze precz.

– Dokąd?

Bartnik popatrzył na swą hamadriadę, milczał chwilę.

– Dokąd? – powtórzył wiedźmin.

Pręgowaty kot bartnika usiadł przed wampirem i przeraźliwie zamiauczał. Hamadriada zdzieliła go miotłą.

– Zły znak, gdy kocur w środku dnia miauczy – wybąkał bartnik, dziwnie zmieszany. – A druidzi... Ten, tego... Uciekli na Stoki. Tak. Dobrze mówię. Na Stoki.

– Dobre sześćdziesiąt mil na południe – ocenił Jaskier dość swobodnym, a nawet wesołym głosem. Ale zamilkł natychmiast pod spojrzeniem wiedźmina.

W ciszy, która zapadła, słychać było jedynie złowróżące miauczenie wypędzonego na dwór kota.

– W zasadzie – odezwał się wampir – to co nam za różnica?

•

Ranek dnia następnego przyniósł dalsze niespodzianki. I zagadki, które jednak bardzo szybko znalazły rozwiązanie.

– Niech mnie zaraza – powiedziała Milva, która pierwsza wygramoliła się z brogu, rozbudzona rozgardiaszem. – Niech mnie pokręci. Popatrz no na to, Geralt.

Polana pełna była narodu. Na pierwszy rzut oka widać było, że zebrało się tu z pięć albo sześć bartniczych stanów. Wprawne oko wiedźmina wyłowiło też z tłumu kilku traperów i co najmniej jednego smolarza. Łącznie gromadę należało ocenić na jakichś dwunastu chłopa, dziesięć bab, dziesięcioro wyrostków płci obojga i tyleż małoletnich dzieci. Na wyposażeniu gromada miała sześć wozów, dwanaście wołów, dziesięć krów i cztery kozy, sporo owiec, a także niemało psów i kotów, których szczeki i miauki należało w tych warunkach bezwzględnie uznać za niedobry omen.

– Ciekawym – przetarł oczy Cahir – co to może oznaczać?

– Kłopoty – rzekł Jaskier, wytrzepując siano z włosów. Regis milczał, ale minę miał dziwną.

– Prosimy śniadać wielmożne państwo – powiedział ich znajomy bartnik, podchodząc do brogu w towarzystwie barczystego mężczyzny. – Gotowe już śniadanie. Owsianka na mleku. I miód... A to, pozwólcie przedstawić: Jan Cronin, starosta nasz bartny...

– Miło mi – skłamał wiedźmin, nie odpowiadając na ukłon, także dlatego, że kolano bolało go wściekle. – A ta gromada, to skąd się tu wzięła?

– Ten, tego... – bartnik podrapał się w ciemię. – Widzicie, zima idzie.... Barcie już połaźbione, zadziatki poczynione... Czas już nam wracać na Stoki, do Riedbrune... Miód odstawić, przezimować... Ale w lasach niebezpiecznie... Samemu...

Starosta bartny zachrząkał. Bartnik spojrzał na minę Geralta i jakby lekko się skurczył.

– Wyście konni i zbrojni – wystękał. – Bitni a śmiali, zrazu poznać. Z takimi jak wy wędrować nie strach... A i wam wygoda będzie... My każdą ścieżkę, każdy dukt, każdy grąd i czahar znamy... I karmić was będziemy...

– A druidzi – powiedział zimno Cahir – wywędrowali z Caed Dhu. Właśnie na Stoki. Cóż za niebywały zbieg trafów.

Geralt powoli podszedł do bartnika. Oburącz ujął go za kabat na piersi. Ale po chwili rozmyślił się, puścił, wygładził odzienie. Nic nie powiedział. O nic nie zapytał. Ale bartnik i tak pospieszył z wyjaśnieniami.

– Prawdę gadałem! Przysięgam! Niech się pod ziemię zapadnę, jeślim zełgał! Uszli jemiolarze z Caed Dhu! Nie masz ich tam!

– I są na Stokach, tak? – zawarczał Geralt. – Tam, dokąd wam droga, całej waszej hałastrze? Dokąd chcecie załatwić sobie zbrojną eskortę? Gadaj, chłopie. Ale uważaj, ziemia gotowa naprawdę się rozstąpić!

Bartnik spuścił wzrok i z niepokojem popatrzył na grunt pod nogami. Geralt wymownie milczał. Milva, zrozumiawszy nareszcie, w czym rzecz, zaklęła paskudnie. Cahir parsknął pogardliwie.

– No? – ponaglił wiedźmin. – Dokąd wywędrowali druidzi?

– A kto ich, panie, wie, dokąd – wybełkotał wreszcie bartnik. – Ale na Stokach mogą być... Równie dobrze, jak gdzie indziej. Obfitość przecie na Stokach dużych dąbrów, a druidzi radzi dąbrowy mają...

Za bartnikiem stały już, oprócz starosty Cronina, obie hamadriady, matka i córka. Dobrze, że córka wdała się w matkę, nie w ojca, pomyślał machinalnie wiedźmin, bartnik pasuje do żony jak odyniec do klaczy. Za hamadriadami, jak zauważył, stanęło jeszcze kilka kobiet, znacznie mniej urodziwych, ale o podobnie błagalnym spojrzeniu.

Spojrzał na Regisa, nie wiedząc, śmiać się czy kląć. Wampir wzruszył ramionami.

– Na dobry porządek – powiedział – to bartnik ma rację, Geralt. W sumie jest całkiem prawdopodobne, że druidzi wywędrowali na Stoki. To rzeczywiście dość odpowiedni dla nich teren.

– Owo prawdopodobieństwo – wzrok wiedźmina był bardzo, bardzo zimny – jest według ciebie dostatecznie duże, by nagle zmienić kierunek i powędrować na oślep razem z tymi tu?

Regis znowu wzruszył ramionami.

– A co to za różnica? Zastanów się. Druidów nie ma w Caed Dhu, a zatem ten kierunek należy wykluczyć. Powrót za Jarugę też, jak mniemam, nie może być przedmiotem debaty. Wszystkie pozostałe kierunki są zatem równie dobre.

– Doprawdy? – Temperatura głosu wiedźmina dorównała temperaturze wzroku. – A z tych wszystkich pozostałych, który, według ciebie, byłby najbardziej wskazany? Ten wspólny z bartnikami? Czy jakiś

całkiem przeciwny? Podejmujesz się określić to w swej bezbrzeżnej mądrości?

Wampir wolno odwrócił się w stronę bartnika, starosty bartnego, hamadriad i innych bab.

– A czegóż to – spytał poważnie – tak lękacie się, dobrzy ludzie, że zabiegacie o eskortę? Co budzi w was strach? Mówcie szczerze.

– Oj, panoczku – zajęczał Jan Cronin, a w oczach jego pojawiła się najprawdziwsza zgroza. – Że też jeszcze pytacie... Nam droga przez Zwilgłe Uroczysko! A tam, panoczku, straszno! Tam, panoczku, są brukołaki, liścionosy, endriagi, inogi a insze plugastwo! Toż ledwo dwie niedziele temu capnął leszy zięcia mego, a tak, że zięć ino zacharczeć zdołał i już było po nim. Dziwota wam, że strach nam tamtędy z babami a dziećmi? Hę?

Wampir spojrzał na wiedźmina, a twarz miał bardzo poważną.

– Moja bezbrzeżna mądrość – powiedział – zaleca mi jako najbardziej wskazany określić kierunek najbardziej właściwy dla wiedźmina.

•

I ruszyliśmy na południe, ku Stokom, krainie położonej u podnóża Gór Amell. Ruszyliśmy wielkim orszakiem, w którym było wszystko: młode dziewczyny, bartnicy, traperzy, baby, dzieci, młode dziewczyny, gadzina domowa, domowe parafernalia, młode dziewczyny. I cholernie dużo miodu. Wszystko się od tego miodu lepiło, nawet dziewczyny.

Tabor szedł z prędkością pieszych i wozów, tempo marszu nie spadło jednak, bo nie błądziliśmy, lecz szliśmy jak po sznurku – bartnicy znali drogi, ścieżki i groble między jeziorami. A przydała się ta znajomość, oj, przydała, bo zaczęło siąpić i nagle całe cholerne Zarzecze utonęło w gęstej jak śmietana mgle. Bez bartników pobłądzilibyśmy bez ochyby albo i potopili się gdzieś na bagnach. Nie musieliśmy też tracić czasu i energii na organizowanie i przyrządzanie spyży – karmiono nas trzy razy dziennie, suto, choć niewyszukanie. I pozwalano po jedzeniu poleżeć chwil kilka brzuchem do góry.

Krótko mówiąc, było cudownie. Nawet wiedźmin, ten stary ponurak i nudziarz, zaczął częściej uśmiechać się i cieszyć życiem, bo wyliczył, że pokonujemy po piętnaście mil dziennie, a od wyruszenia z Brokilonu nie udało nam się ani razu dokonać podobnej sztuki. Roboty wiedźmin nie miał żadnej, bo choć Zwilgłe Uroczysko było zwilgłe tak, że wyobrazić

sobie trudno coś bardziej zwilgłego, monstrów żadnych nie napotkaliśmy. Ot, trochę wyły po nocach upiory, zawodziły leśne płaczki i błędne ogniki tańczyły na trzęsawiskach. Nic sensacyjnego.

Troszeczkę, prawda, niepokoiło, że znowu jedziemy w dość przypadkowo wybranym kierunku i znowu bez dokładnie sprecyzowanego celu. Ale, jak wyraził się wampir Regis, lepiej bez celu iść naprzód niż bez celu stać w miejscu, a z pewnością o niebo lepiej niż bez celu się cofać.

•

– Jaskier! Przytrocz porządniej ten twój tubus! Byłaby szkoda, gdyby pół wieku poezji urwało się i zagubiło w paprociach.

– Nie ma strachu! Nie zgubię, bądźcie pewni. I odebrać sobie nie dam! Każdy, kto chciałby mi ten tubus odebrać, pierwej będzie musiał przestąpić nad mym stygnącym trupem. Można wiedzieć, Geralt, co wywołuje twój perlisty śmiech? Pozwól, niech zgadnę... Wrodzony kretynizm?

•

Zdarzyło się tak, że ekipa archeologów z uniwersytetu w Castell Graupian, prowadząca wykopaliska w Beauclair, dokopała się pod warstwą węgla drzewnego, wskazującego na wielki pożar, do warstwy jeszcze starszej, obliczanej na XIII wiek. W tejże warstwie odkopano utworzoną przez resztki murów i uszczelnioną gliną i wapnem kawernę, w niej zaś, ku wielkiemu podnieceniu uczonych, odkryto dwa doskonale zachowane szkielety ludzkie: kobiety i mężczyzny. Obok szkieletów – oprócz broni i niezliczonej liczby drobnych artefaktów – znaleziono długi na trzydzieści cali tubus wykonany z utwardzanej skóry. Na skórze wytłoczony był herb o zatartych barwach przedstawiający lwy i rauty. Kierujący ekipą profesor Schliemann, wybitny specjalista od sfragistyki Wieków Mrocznych, zidentyfikował ten herb jako godło Rivii, starożytnego królestwa o nie potwierdzonej lokalizacji.

Podniecenie archeologów sięgnęło szczytu, albowiem w tubusach takich w Wiekach Mrocznych przechowywano rękopisy, a ciężar pojemnika pozwalał przypuszczać, że wewnątrz jest sporo papieru lub pergaminu. Świetny stan tubusa dawał nadzieję na to, że dokumenty będą czytelne i rzucą światło na pogrążoną w mrokach przeszłość.

Miały oto przemówić wieki! Była to niebywała gratka, zwycięstwo nauki, którego nie wolno było zaprzepaścić. Przezornie wezwano z Castell Graupian lingwistów i badaczy języków martwych, a także specjalistów umiejących otworzyć tubus bez ryzyka najmniejszego choćby uszkodzenia cennej zawartości.

Wśród ekipy profesora Schliemanna rozeszły się tymczasem pogłoski o „skarbie". Trzeba trafu, że słowa te dotarły do trzech wynajętych do kopania w glinie osobników, znanych jako Zdyb, Cap i Kamil Ronstetter. Przekonani, że tubus dosłownie wypchany jest złotem i kosztownościami, trzej wymienieni kopacze gwizdnęli nocą bezcenny artefakt i uciekli z nim do lasu. Tam rozpalili malutkie ognisko i siedli wokół.

– Na co czekasz? – powiedział do Zdyba Cap. – Otwiraj te rure!

– Kiedy się nie da – poskarżył się Capowi Zdyb. – Trzymie jak gamracki syn!

– To butem jo, chędożono gamratke! – poradził Kamil Ronstetter.

Pod obcasem Zdyba zamknięcie bezcennego znaleziska puściło i na ziemię wypadła zawartość.

– O żeż gamratka chędożona! – krzyknął zdumiony Cap. – Co to takie jest?

Pytanie było głupie, albowiem na pierwszy rzut oka widać było, że są to arkusze papieru. Dlatego Zdyb, miast odpowiadać, wziął jeden z arkuszy do ręki i zbliżył go do nosa. Przez dłuższą chwilę przyglądał się obco wyglądającym znakom.

– Zapisany – stwierdził wreszcie autorytatywnie. – To są litery!

– Litery? – wrzasnął Kamil Ronstetter, blednąc ze zgrozy. – Zapisane litery? O żeż gamratka!

– Zapisane, znaczy czary! – wybełkotał Cap, z przerażenia dzwoniąc zębami. – Litery, znaczy gusła! Nie dotykajta tego, gamratka jego chędożona mać! Tym się zarazić można!

Zdyb nie dał sobie dwa razy powtarzać, cisnął arkusz do ognia i nerwowo wytarł drżące dłonie o spodnie. Kamil Ronstetter kopniakiem wtrącił do ogniska resztę papierów – w końcu jakieś dzieci mogły napatoczyć się na to cholerstwo. Potem cała trójka pospiesznie oddaliła się z niebezpiecznego miejsca.

Bezcenny zabytek piśmiennictwa Wieków Mrocznych palił się jasnym, wysokim płomieniem. Przez kilka krótkich chwil wieki przemawiały

cichutkim szeptem czerniejącego w ogniu papieru. A potem płomień zgasł i gamrackie ciemności okryły ziemię.

***Houvenaghel Dominik Bombastus**, * 1239, zbogacił się w Ebbing prowadzonym na ogromną skalę handlem i osiadł w Nilfgaardzie; szanowany od poprzednich cesarzów, mianowany został za rządów imperatora Jana Calveita burgrabią i żupnikiem venendalskim, a w nagrodę położonych zasług miał sobie nadane starostwo neweugeńskie. Wierny doradca cesarza, posiadał **H.** jego względy i i brał udział w wielu sprawach publicznych. † 1301. Jeszcze w Ebbing prowadził **H.** szeroką działalność charytatywną, wspierał potrzebujących i niemajętnych, zakładał sierocińce, szpitale i ochronki, łożył na nie niemałe summy. Wielki miłośnik sztuk pięknych i sportu, ufundował w stolicy teatr komiczny oraz stadion, oba jego imię noszące. Uchodzi za przysłowiowy wzór prawości, uczciwości i zacności kupieckiej.*

Effenberg i Talbot,
Encyclopaedia Maxima Mundi, tom VII

Rozdział czwarty

– Nazwisko i imię świadka?
– Selborne, Kenna. Znaczy się, przepraszam: Joanna.
– Profesja?
– Świadczenie usług różnych.
– Świadka żarty się trzymają? Świadkowi przypomina się, że staje przed cesarskim trybunałem w procesie o zdradę stanu! Od zeznań świadka zależy życie wielu ludzi, albowiem karą za zdradę jest śmierć! Świadkowi przypomina się, że sama stoi przed trybunałem bynajmniej nie z wolnej stopy, ale doprowadzona z cytadeli, z miejsca odosobnienia, a to, czy tam powróci, czy wyjdzie na swobodę, zależy między innymi od zeznań świadka. Trybunał pozwolił sobie na tę długą tyradę, aby unaocznić świadkowi, jak dalece niestosowne są na tej sali krotochwile i facecje! Są one nie tylko niesmaczne, ale też grożą bardzo poważnymi konsekwencjami. Świadkowi daje się pół minuty na przemyślenie tej sprawy. Po tym czasie trybunał zada pytanie powtórnie.
– Już, wielmożny sędzio.

– Proszę zwracać się do nas „wysoki trybunale”. Profesja świadka?

– Jestem czujna, wysoki trybunale. Ale głównie na usługach cesarskiego wywiadu, znaczy się...

– Proszę udzielać odpowiedzi konkretnych i krótkich. Gdy sąd zapragnie szerszych wyjaśnień, sam o nie poprosi. Sądowi znany jest fakt współpracy świadka z sekretnymi służbami Cesarstwa. Proszę jednak podać do protokołu, co oznacza określenie „czujna”, którego świadek użyła na określenie swego zawodu?

– Mam czystą pe-pe-es, znaczy się psi pierwszego typu, bez możności pe-ka. Konkretnie, to ja mogę tak: słyszeć cudze myśli, rozmawiać na odległość z czarodziejem, elfem albo inną czujną. I przekazać myślą rozkaz. Znaczy się, zmusić kogo, by zrobił to, co ja chcę. Mogę też robić pre-kog, ale tylko uśpiona.

– Proszę dodać do protokołu, że świadek Joanna Selborne jest psioniczką mającą zdolność percepcji pozasensorycznej. Jest telepatką i telempatką, pod hipnozą zdolną do prekognicji, ale nie mającą zdolności psychokinezy. Świadka upomina się, że używanie magii i mocy pozazmysłowych na tej sali jest surowo zabronione. Kontynuujemy przesłuchanie. Kiedy, gdzie i w jakich okolicznościach zetknęła się świadek ze sprawą osoby podającej się za Cirillę, księżniczkę Cintry?

– O tym, że to jakaś tam Cirilla, dowiedziałam się dopiero w pudle... Znaczy się, w miejscu odosobnienia, wielmożny trybunale. W śledztwie. Wtedy mnie uświadomili, że to ta sama, którą przy mnie zwali Falką albo Cintryjką. A okoliczności były takie, że muszę je za kolejnością wyłożyć, dla jasności, znaczy się. Było tak: zahaczył mnie w karczmie w Etolii Dacre Silifant, o, ten, który tam siedzi...

– Proszę o zaprotokołowanie, że świadek Joanna Selborne wskazała oskarżonego Silifanta bez wzywania. Proszę kontynuować.

– Dacre, wielmożny trybunale, werbował hanzę... Znaczy się, oddział zbrojny. Same morowe chłopy i baby... Dufficey Kriel, Neratin Ceka, Chloe Stitz, Andres Vierny, Til Echrade... Żadne już nie żyje, proszę trybunału... A z tych, co przeżyli, większość tutaj, o, pod strażą siedzi...

– Proszę podać dokładnie, kiedy miało miejsce spotkanie świadka z oskarżonym Silifantem.

– Zeszłego roku to było, w miesiącu sierpniu, tak gdzieś pod koniec, dokładnie nie pamiętam. W każdym razie nie we wrześniu, bo tamten

wrzesień, ha, dobrze mi w pamięć zapadł! Dacre, który wywiedział się gdzieś o mnie, rzekł, że do hanzy potrzeba mu czujnej, takiej, co się czarów nie ulęknie, bo przyjdzie z czarownikami mieć sprawę. Robota, gadał, jest dla cesarza i Cesarstwa, nadto płatna dobrze, a komendę nad hanzą obejmie własną osobą nie kto inny, a sam Puszczyk.

– Mówiąc o Puszczyku, świadek ma na myśli Stefana Skellena, koronera cesarskiego?

– Jego mam na myśli, a jakże.

– Proszę to zaprotokołować. Kiedy i gdzie zetknęła się świadek z koronerem Skellenem?

– A już we wrześniu, czternastego, w forciku Rocayne. Rocayne, proszę wielmożnego trybunału, to przygraniczna stanica, która strzeże szlaku handlowego wiodącego z Maecht do Ebbing, Geso i Metinny. Tam właśnie przyprowadził naszą hanzę Dacre Silifant, w piętnaście koni. Było nas więc wszystkich razem dwadzieścioro i dwoje, bo reszta już w Rocayne gotowa stała, pod komendą Oli Harsheima i Berta Brigdena.

•

Drewniana podłoga zahuczała pod ciężkimi butami, zabrzęczały ostrogi, zadzwoniły metalowe sprzączki.

– Powitać, panie Stefanie!

Puszczyk nie tylko nie wstał, ale nawet nie zdjął nóg ze stołu. Kiwnął tylko ręką, bardzo wielkopańskim gestem.

– Nareszcie – powiedział cierpko. – Długo kazałeś na siebie czekać, Silifant.

– Długo? – zaśmiał się Dacre Silifant. – A to paradne! Daliście mi, panie Stefanie, cztery niedziele czasu, bym wam skrzyknął i przyprowadził więcej tuzina najlepszych mołojców, jakich wydało Cesarstwo z przyległościami. Bym wam przywiódł taką hanzę, na której zebranie i roku mało! A jam się w dwadzieścia dwa dni uwinął. Pochwalić by warto, hę?

– Wstrzymajmy się – rzekł chłodno Skellen – z pochwałami do czasu, aż tę twoją hanzę obejrzę.

– A choćby i zaraz. Oto moi, a teraz wasi, panie Stefanie, porucznicy: Neratin Ceka i Dufficey Kriel.

– Czołem, czołem. – Puszczyk wreszcie zdecydował się wstać, wstali również jego adiutanci. – Poznajcie się, panowie... Bert Brigden, Ola Harsheim...

– My się znamy dobrze. – Dacre Silifant mocno uścisnął prawicę Oli Harsheima. – Myśmy pod starym Braibantem rebelię w Nazairze tłumili. Paradnie było, co, Ola? Ech, paradnie! Konie wyżej pęcin chodziły we krwi! A pan Brigden, jeśli się nie mylę, z Gemmery? Z Pacyfikatorów? A, to będą w oddziele znajomkowie! Kilku Pacyfikatorów tam mam.

– Niecierpliwię się już, by zobaczyć – wtrącił Puszczyk. – Możemy iść?

– Małą chwilę – powiedział Dacre. – Neratin, idź i postaw bractwo w ordynku, by paradnie przed mości koronerem wyglądali.

– Ten czy ta, Neratin Ceka? – zmrużył oczy Puszczyk, patrząc w ślad za wychodzącym oficerem. – To kobieta czy mężczyzna?

– Panie Skellen. – Dacre Silifant odkaszlnął, ale gdy przemówił, głos miał pewny, a wzrok zimny. – Dokładnie to ja tego nie wiem. Z pozoru jest to mężczyzna, ale pewności nie mam. Co do tego zaś, jakim Neratin Ceka jest oficerem, mam pewność. To, o coście zapytać raczyli, miałoby znaczenie, gdybym zamiarował o rękę go prosić. A nie zamiaruję. Wy, tuszę, też nie.

– Masz rację – przyznał po krótkim namyśle Skellen. – Nie ma o czym gadać. Chodźmy przypatrzeć się twej szajce, Silifant.

Neratin Ceka, osobnik niepewnej płci, nie tracił czasu. Gdy Skellen i oficerowie wyszli na podwórzec fortu, oddział stał w porządnym szyku, wyrównawszy linię tak, by żaden koński łeb nie wystawał na więcej niż piędź. Puszczyk chrząknął, zadowolony. Niezła banda, pomyślał. Ech, żeby nie ta polityka, skrzyknąć by taką hulajpartię i pójść na pogranicze, rabować, gwałcić, mordować i palić... Znowu człowiek poczułby się młody... Ech, żeby nie ta polityka!

– No i jak, panie Stefanie? – spytał Dacre Silifant, zarumieniony ze skrywanego podniecenia. – Jak ich cenicie, paradnych krogulczyków moich?

Puszczyk jechał wzrokiem od twarzy do twarzy, od sylwetki do sylwetki. Niektórych znał osobiście – lepiej lub gorzej. Innych, których rozpoznawał, znał ze słyszenia. Z reputacji.

Til Echrade, jasnowłosy elf, zwiadowca gemmerskich Pacyfikatorów. Rispat La Pointe, wachmistrz z tej samej formacji. I następny

Gemmerczyk: Cyprian Fripp Młodszy. Skellen był przy egzekucji Starszego. Obaj bracia słynęli z sadystycznych skłonności.

Dalej, swobodnie przegięta na kulbace srokatej klaczy, Chloe Stitz, złodziejka, czasami wynajmowana i wykorzystywana przez tajne służby. Puszczyk szybko uciekł wzrokiem przed jej bezczelnymi oczyma i złośliwym uśmiechem.

Andres Vierny, Nordling z Redanii, rezun. Stigward, pirat, renegat ze Skellige. Dede Vargas, diabeł wie, skąd pochodzący, zawodowy morderca. Kabernik Turent, morderca z zamiłowania.

I inni. Podobni. Wszyscy oni są podobni, pomyślał Skellen. Bractwo, konfraternia, w której po zabiciu pierwszych pięciu ludzi wszyscy robią się tacy sami. Takie same ruchy, takie same gesty, taka sama maniera mowy, ruchów i stroju.

Takie same oczy. Beznamiętne i chłodne, płaskie i nieruchome jak u węży oczy, których wyrazu nic, nawet najpotworniejsza okropność, nie jest już w stanie zmienić.

– I jak? Panie Stefanie?

– Nieźle. Niezła hanza, Silifant.

Dacre jeszcze bardziej pokraśniał, zasalutował po gemmersku, pięścią przyłożoną do kołpaka.

– Specjalnie życzyłem sobie – przypomniał Skellen – kilku takich, którym nieobca jest magia. Którzy się nie zlękną ani czarów, ani czarowników.

– Pamiętałem. Jest przecie Til Echrade! A prócz niego, o, ta wysoka panna na paradnej kasztance, ta obok Chloe Stitz.

– Później przyprowadzisz ją do mnie.

Puszczyk oparł się o balustradę, stuknął w nią okutym trzonkiem nahajki.

– Czołem, kompania!

– Czołem, panie koroner!

– Wielu z was – podjął Skellen, gdy przebrzmiało echo chóralnego ryku bandy – pracowało już ze mną, zna mnie i moje wymagania. Ci zechcą wyjaśnić tym, którzy mnie nie znają, czego oczekuję od podkomendnych, a czego u podkomendnych nie toleruję. Ja nie będę więc strzępić sobie niepotrzebnie gęby.

– Już dziś niektórzy z was otrzymają zadania i jutro o świcie wyruszą, by je wykonać. Na terytorium Ebbing. Przypominam, że Ebbing jest

formalnie królestwem autonomicznym i formalnie nie mamy tam żadnej jurysdykcji, toteż nakazuję działać rozważnie i dyskretnie. Pozostajecie w służbie cesarskiej, ale zakazuję obnosić się z tym, chełpić i arogancko traktować miejscowe władze. Nakazuję zachowywać się tak, by nie ściągać niczyjej uwagi. Jasne?

– Tak jest, panie koroner!

– Tu, w Rocayne, jesteście gośćmi i macie zachowywać się jak goście. Zakazuję opuszczania przydzielonych kwater bez koniecznej potrzeby. Zakazuję kontaktów z załogą fortu. Zresztą oficerowie wymyślą coś, byście się nie biesili z nudów. Panie Harsheim, panie Brigden, proszę rozkwaterować oddział!

•

– Ledwom co zdążyła z kobyły zleźć, wysoki trybunale, a Dacre cap mnie za rękaw. Pan Skellen, prawi, chce z tobą gadać, Kenna. Co było robić. Idziemy. Puszczyk za stołem siedzi, nogi na stole trzyma, nahajem się po cholewach chlaszcze. I prosto z mostu do mnie, czy to ja jestem tą Joanną Selborne zaplątaną w zniknięcie statku „Gwiazda Południa". Ja mu na to, że nic mi nie udowodniono. On w śmiech. „Lubię, mówi, takich, co im niczego udowodnić nie można". Potem spytał, czy talent pe-pe-es, czujności, znaczy się, wrodzony mam. Gdym potwierdziła, zasępił się i rzecze: „Myślałem, że mi się ten twój talent na czarodziejów przyda, ale wpierw z inną przyjdzie mieć sprawę personą, nie mniej zagadkową".

– Świadek jest pewna, że koroner Skellen użył tych właśnie słów?

– Pewna. Przecież ja czujna jestem.

– Proszę kontynuować.

– Rozmowę przerwał nam wtedy goniec, zakurzony, widać, że konia nie żałował. Pilne miał dla Puszczyka wieści, a Dacre Silifant, gdyśmy na kwaterę szli, rzekł, że nosem czuje, że nas te gońca wieści jeszcze przed wieczorem na siodła wsadzą. I praw był, wysoki trybunale. Jeszcze nim kto o wieczerzy pomyślał, połowa hanzy była już na kulbakach. Mnie się upiekło, wzięli Tila Echrade, elfa. Rada byłam, bo po tych paru dniach w drodze rwała mnie dupa, że aż strach... I miesiączka mi się akurat zaczęła jak na złość...

– Świadek zechce powstrzymać się od malowniczych opisów własnych intymnych przypadłości. I trzymać się tematu. Kiedy świadek

dowiedziała się, kto jest ową „zagadkową personą”, o której wspominał koroner Skellen?

– Zaraz powiem o tym, lecz przecie jakaś kolejność być musi, bo się wszystko zwikła tak, że nie rozwikłać! Ci, co wtedy przed wieczerzą w takim pośpiechu konie kulbaczyli, pognali z Rocayne do Malhoun. I przywieźli stamtąd jakiegoś wyrostka...

•

Nycklar był zły na siebie. Tak bardzo, że miał ochotę się rozpłakać.

Gdybyż chciał pamiętać przestrogi dawane mu przez rozumnych ludzi! Gdybyż chciał pamiętać przysłowia albo chociaż tę bajkę o gawronie, który nie umiał trzymać dzioba na kłódkę! Gdybyż załatwił, co było do załatwienia, i wrócił do domu, do Zazdrości! Ale gdzie tam! Podekscytowany przygodą, dumny z posiadania wierzchowego konia, czując w trzosie miły ciężar monet, Nycklar nie wytrzymał, by się nie popisać. Miast z Claremont wrócić prosto do Zazdrości, pojechał do Malhoun, gdzie miał licznych znajomków, w tym i kilka panien, do których smalił cholewki. W Malhoun puszył się jak gąsior wiosną, hałasował, buszował, czwanił koniem po majdanie, stawiał kolejki w zajeździe, rzucając pieniądz na kontuar z miną i postawą jeśli nie księcia krwi, to co najmniej grafa.

I opowiadał.

Opowiadał o tym, co cztery dni wcześniej wydarzyło się w Zazdrości. Opowiadał, co i rusz zmieniając wersje, dokładając, konfabulując, łżąc wreszcie w żywe oczy – co wcale nie przeszkadzało słuchaczom. Bywalcy zajazdu, ci lokalni i ci przyjezdni, słuchali chętnie. A Nycklar opowiadał, udając dobrze poinformowanego. I coraz częściej stawiając swą własną osobę w centrum skonfabulowanych wydarzeń.

Już trzeciego wieczora jego własny język ściągnął mu na kark kłopoty.

Na widok ludzi, którzy weszli do karczmy, zapadła grobowa cisza, w ciszy tej brzęk ostróg, szczęk metalowych sprzączek i zgrzyt okuć broni zabrzmiały jak złowróżbny dzwon wieszczący nieszczęście ze szczytu dzwonnicy.

Nycklarowi nie dano nawet szansy próbować odgrywać bohatera. Został chwycony i wyprowadzony z karczmy tak szybko, że chyba tylko ze trzy razy zdołał dotknąć obcasami podłogi. Znajomkowie, którzy jeszcze wczoraj, pijąc za jego pieniądze, deklarowali dozgonną przyjaźń,

teraz w milczeniu głowy niemalże pod blaty stołów powtykali, jakby tam, pod stołami, nie wiadomo jakie cuda się wyprawiały albo gołe baby tańcowały. Nawet obecny w zajeździe zastępca szeryfa odwrócił się ku ścianie i nie pisnął słówka.

Nycklar też nie pisnął słówka, nie zapytał, kto, co, za co i dlaczego. Przerażenie zmieniło mu język w sztywny i suchy kołek.

Wsadzili go na konia, kazali jechać. Kilka godzin. Potem był fort z palisadą i wieżą. Podwórzec pełen butnego, hałaśliwego, obwieszonego bronią żołdactwa. I izba. W izbie trzech ludzi. Dowódca i dwóch podwładnych, zrazu było widać. Dowódca, nieduży, czarniawy, bogato odziany, był stateczny w mowie i nad podziw grzeczny. Nycklar aż gębę rozdziawił, gdy usłyszał, że przeprasza się go za kłopot i niewygody tudzież upewnia, że nie będzie mu krzywdy. Ale nie dał się nabrać. Ci ludzie za bardzo przypominali mu Bonharta.

Skojarzenie okazało się zadziwiająco trafne. Właśnie Bonhart ich interesował. Nycklar mógł się tego spodziewać. Bo przecież to jego własny jęzor wpędził go w tę kabałę.

Wezwany, zaczął opowiadać. Upomniano go, by mówił prawdę, by nie ubarwiał. Upomniano grzecznie, ale surowo i dobitnie, a ten, który upominał, ten bogato odziany, cały czas bawił się okutą pletnią, a oczy miał paskudne i złe.

Nycklar, syn trumniarza z osady Zazdrość, opowiedział prawdę. Całą prawdę i tylko prawdę. O tym, jak to w dniu dziewiątego września rankiem w osadzie Zazdrość Bonhart, łowca nagród, wyrżnął w pień bandę Szczurów, darowując życie tylko jednej rozbójniczce, najmłodszej, tej, którą nazywano Falką. Opowiedział, jak cała Zazdrość się zbiegła, by patrzeć, jak Bonhart będzie pojmaną sprawiał i kaźnił, ale zawiedli srodze się ludziska, bo Bonhart, o dziwo, Falki nie utrupił, nie torturował nawet! Nie uczynił jej nic nadto, co zwykły chłop czyni żonie w sobotę wieczorem, wracając z oberży – ot, zwyczajnie skopał, w papę strzelił kilka razy – i więcej nic.

Bogato odziany panek z pletnią milczał, a Nycklar opowiedział, jak później Bonhart na oczach Falki urzynał pozabijanym Szczurom głowy i jak z tych głów, niczym rodzynki z ciasta, wyskubywał złote kolczyki z kamykami. Jak Falka, patrząc na to, darła się i rzygała przywiązana do koniowiązu.

Opowiedział, jak potem Bonhart zapiął Falce na szyi obrożę, jak suce, jak zawlókł za tę obrożę do zajazdu „Pod Głową Chimery”. A potem...

•

– A potem – gadał chłopak, co i rusz oblizując wargi – jegomość pan Bonhart piwa zaordynował, bo spocił się okrutnie i w gardle mu zaschło. Potem zasię zakrzyknął, że chętka go bierze, by kogoś obdarować dobrym koniem i całymi pięcioma florenami gotowizny. Tak właśnie rzekł, tymi właśnie słowy. To jam się zgłosił od razu, nie czekając, aż kto inny mię ubiegnie, bom okrutnie chciał konia mieć i trochę grosza własnego. Ojciec nie dają nic, cięgiem przepijają, co na trumnach zarobią. Zgłosiłem się tedy i pytam, który ten koń, pewnikiem jeden z tych Szczurowych, mogęż wziąć? A jegomość pan Bonhart popatrzył, aż ciarki mię przeszły i rzecze, pry, że wziąć to ino mogę kopa w rzyć, na insze rzeczy trza zapracować. Co było czynić? Kobyłka u płota, jako w przysłowiu, tak i naprawdę, bo Szczurze konie u koniowiązu stały, osobliwie ta kara Falki klacz, piękności rzadkiej koń. Tom się skłonił i pytam, co czynić przyjdzie, by zapracować. A pan Bonhart, że do Claremont trza jechać, po drodze do Fano wstępując. Na koniu, co go sobie wybiorę. Musiał widzieć, że mi się oko do onej karej kobyłki świeci, ale mi tej rychtyk zakazał brać. Tom sobie wybrał kasztankę z białą łysinką...

– Mniej o końskich maściach – upomniał sucho Stefan Skellen. – Więcej o konkretach. Gadaj, co ci Bonhart zlecił?

– Jegomość pan Bonhart pisania napisał, schować kazał dobrze. Do Fano i Claremont zlecił jechać, tamój wskazanym osobom pisania do rąk własnych oddać.

– Listy? Co w nich było?

– A mnie skąd to znać, panie złoty? Z czytaniem u mnie nie szybko, a to i zapieczętowane były listy pana Bonhartowym sygnetem.

– Ale do kogo listy były, pamiętasz?

– A jakżeby, pamiętam. Pan Bonhart z dziesięć razy powtarzać kazał, bym nie przepomniał. Dotarłem bez błądzenia, dokąd trzeba, komu trzeba pisania oddałem do własnych ich rąk. Owi chwalili mnie, żem łebski parob, a ów wielmożny pan kupiec nawet denara dał...

– Komu listy przekazałeś? Gadajże składniej!

– Pierwsze pisanie było do mistrza Esterhazy'ego, miecznika i płatnerza z Fano. Drugie zasię do wielmożnego Houvenaghela, kupca z Claremont.

– Listy przy tobie może otwierali? Może który co rzekł, czytając? Wytęż pamięć, chłopie.

– Kiedy nie pomnę. Nie uważałem tegdy, a i tera pamiętać się jakoś nie chce...

– Mun, Ola – Skellen skinął na adiutantów, wcale nie podnosząc głosu. – Wziąć chama na podwórze, spuścić portki, wyliczyć trzydzieści odlewanych nahajów.

– Pamiętam! – wrzasnął chłopak. – Wspomniałem zaraz!

– Na pamięć – wyszczerzył zęby Puszczyk – nie masz to jak orzechy z miodem albo nahajka nad dupą. Gadaj.

– Gdy w Claremont pan kupiec Houvenaghel pisanie czytał, to był tamój inny jeszcze jegomość, mały taki, istny niziołek. Pan Houvenaghel do onego rzekł... Eeee... Rzekł, że właśnie mu piszą, że tu wnet może być taka w szwalni heca, jakiej świat nie widział. Tak powiedział!

– Nie zmyślasz?

– Na matki mej mogiłę się klnę! Nie każcież mnie bić, panie złoty! Pomiłujcie!

– No, no, podnieś się, nie śliń butów! Naści tu denara.

– Stokrotne dzięki... Łaskawco...

– Mówiłem, nie śliń mi butów. Ola, Mun, wy pojmujecie coś z tego? Co ma wspólnego szwalnia...

– Szczwalnia – powiedział nagle Boreas Mun. – Nie szwalnia, ale szczwalnia.

– Ano! – krzyknął chłopak. – Tak rzekł! Jakbyście byli przy tym, panie złoty!

– Szczwalnia i heca! – Ola Harsheim uderzył pięścią o pięść. – Umówiony szyfr, ale nie nadto wymyślny. Łatwy. Heca, szczucie to ostrzeżenie przed pościgiem albo obławą. Bonhart ostrzegł ich, by umykali! Ale przed kim? Przed nami?

– Kto wie – powiedział w zamyśleniu Puszczyk. – Kto wie. Trzeba będzie posłać ludzi do Claremont... I do Fano też. Zajmiesz się tym, Ola, przydzielisz zadania grupom... Słuchaj no, chłopie...

– Na rozkaz, panie złoty!

– Gdy odjeżdżałeś z Zazdrości z listami Bonharta, on tam, jak rozumiem, nadal był? A sposobił się do drogi? Spieszył? Mówił może, dokąd zmierza?

– Nie mówił. A i do drogi nijak mu było się sposobić. Przyodzienie, co miał krwią okrutnie pobryzgane, prać i czyścić sobie nakazał, tedy sam w koszuli i gaciach jeno chodził, ale z mieczem przypasanym. Wżdy myślę, że spieszył. Przecie Szczurów pobił i głowy im urzezał dla nagrody, mus mu było jechać i się o oną upomnieć. A i tę Falkę też przecie po to ujął, by żywcem komuś dostarczyć. Taka przecie jego profesja, nie?

– Ta Falka... Przyjrzałeś się jej dobrze? Czego rechoczesz, durniu?

– Oj, panie złoty! Czy ja się jej przyjrzał? I jeszcze jak! Z detalami!

•

– Rozbieraj się – powtórzył Bonhart, a w jego głosie było coś takiego, że Ciri skuliła się odruchowo. Ale bunt natychmiast wziął górę.

– Nie!

Nie zobaczyła pięści, nawet nie złowiła okiem jego ruchu. W oczach błysnęło, ziemia zakołysała się, uciekła spod nóg i nagle boleśnie łupnęła w biodro. Policzek i ucho paliły jak ogniem – zrozumiała, że uderzył nie kułakiem, lecz wierzchem otwartej dłoni.

Stanął nad nią, przysunął do twarzy zaciśniętą pięść. Widziała ciężki sygnet w kształcie trupiej główki, który przed chwilą uciął ją w twarz jak szerszeń.

– Jesteś mi dłużna jeden przedni ząb – powiedział lodowato. – Dlatego następnym razem, gdy usłyszę od ciebie słowo „nie", wybiję ci od razu dwa. Rozbieraj się.

Wstała chwiejnie, trzęsącymi się rękoma zaczęła rozpinać klamry i guziki. Obecni w oberży „Pod Głową Chimery" osadnicy zaszemrali, zachrząkali, wybałuszyli oczy. Właścicielka zajazdu, wdowa Goulue, schyliła się pod kontuar, udając, że czegoś tam szuka.

– Ściągaj z siebie wszystko. Do ostatniej szmatki.

Ich tu nie ma, myślała, rozbierając się i tępo patrząc w podłogę. Nikogo tu nie ma. I mnie też tu nie ma.

– Stań w rozkroku.

W ogóle mnie tu nie ma. To, co się zaraz stanie, w ogóle mnie nie dotyczy. W ogóle. Ani trochę.

Bonhart zaśmiał się.

– Ty, zdaje mi się, pochlebiasz sobie zbytnio. Muszę rozwiać te mrzonki. Rozbieram cię, idiotko, by sprawdzić, czyś nie ukryła na sobie magicznych sigli, heksów albo amuletów. Nie po to, by radować oczy twą pożałowania godną golizną. Nie wyobrażaj sobie diabeł wie czego. Jesteś chudym, płaskim jak decha niedorostkiem, na domiar złego brzydkim jak trzydzieści siedem nieszczęść. Wierę, gdyby nawet bardzo mnie sparło, wolałbym wychędożyć indyka.

Zbliżył się, rozrzucił jej odzież czubkiem buta, otaksował wzrokiem.

– Mówiłem, wszystko! Kolczyki, pierścionki, naszyjnik, bransoletka!

Skrzętnie pozbierał jej biżuterię. Kopnięciami odrzucił w kąt kubraczek z kołnierzem z niebieskiego lisa, rękawiczki, kolorowe chustki i pasek ze srebrnych łańcuszków.

– Nie będziesz paradować jak papuga albo półelfka z zamtuza! W resztę szmatek możesz się ubrać. A wy, czego się gapicie? Goulue, przynieś jakiej strawy, bom zgłodniał! A ty, brzuchaty, sprawdź, co z moim odzieniem!

– Jam jest tutejszym eldormanem!

– Dobrze się składa – wycedził Bonhart, a pod jego spojrzeniem eldorman Zazdrości, zdawałoby się, zaczął chudnąć. – Gdyby coś zniszczono w praniu, jako osobę urzędową pociągnę cię do konsekwencji. Jazda do pralni! Wy, reszta, też precz stąd! A ty, chłystku, czego tu jeszcze stoisz? Listy masz, koń osiodłany, ruszaj tedy na gościniec i w galop! I pamiętaj: skrewisz, listy zgubisz lub adresy poplączesz, odnajdę cię i tak oszelmuję, że matka rodzona nie pozna!

– Już pędzę, panie złoty! Już pędzę!

•

– Tego dnia – Ciri zacisnęła usta – bił mnie jeszcze dwa razy: pięścią i harapem. Potem mu się odechciało. Siedział tylko i gapił się na mnie bez słowa. Oczy miał takie... rybie jakieś. Bez brwi, bez rzęs... Takie wodniste kulki, w każdej zatopione czarne jądro. Wpijał we mnie te oczy i milczał. Przeraził mnie tym bardziej, niż biciem. Nie wiedziałam, co kombinuje.

Vysogota milczał. Po izbie biegały myszy.

– Wciąż pytał, kim jestem, ale ja milczałam. Jak wtedy, gdy na pustyni Korath schwytali mnie Łapacze, tak i teraz uciekłam głęboko w siebie, tak do środka, jeśli wiesz, co mam na myśli. Łapacze wtedy mówili, że

jestem kukła i ja byłam taką kukłą z drewna, nieczułą i martwą. Na wszystko, co z tą kukłą robiono, patrzyłam jakoś tak z góry. Co z tego, że biją, co z tego, że kopią, że zakładają na szyję obrożę jak psu? To przecież nie ja, mnie tu w ogóle nie ma... Rozumiesz?

– Rozumiem – kiwnął głową Vysogota. – Rozumiem, Ciri.

•

– Wtenczas, proszę wysokiego trybunału, przyszła kolej na nas. Na naszą grupę. Komendę nad nami objął Neratin Ceka, przydzielili nam też Boreasa Muna, tropiciela. Boreas Mun, wielmożny trybunale, rybę we wodzie, mówią, potrafił wytropić. Taki był! Opowiadają, że razu pewnego Boreas Mun...

– Świadek zechce powstrzymać się od dygresji.

– Słucham? Ach, tak... Pojmuję. Znaczy się, kazali nam wówczas co koń wyskoczy lecieć do Fano. Było to szesnastego września rankiem...

•

Neratin Ceka i Boreas Mun jechali przodem, za nimi, bok w bok, Kabernik Turent i Cyprian Fripp Młodszy, dalej Kenna Selborne i Chloe Stitz, na końcu Andres Vierny i Dede Vargas. Dwaj ostatni śpiewali modną ostatnio żołnierską piosenkę, sponsorowaną i lansowaną przez Ministerstwo Wojny. Nawet pośród żołnierskich piosenek ta wyróżniała się przeraźliwą nędzą rymów i rozbrajającym brakiem poszanowania dla zasad gramatyki. Nosiła tytuł *Na wojence*, albowiem wszystkie zwrotki – a było ich ponad czterdzieści – zaczynały się od tych właśnie słów.

Na wojence bywa różnie,
Raz ktoś komuś głowę urżnie,
Raz znów dadzą znać o zmierzchu,
Że ktoś flaki ma na wierzchu.

Kenna cicho pogwizdywała do taktu. Była zadowolona, że została wśród znajomych, dobrze poznanych podczas długiej podróży z Etolii do Rocayne. Po rozmowie z Puszczykiem spodziewała się raczej przydziału przypadkowego, jakiejś doczepki do grupy złożonej z ludzi Brigdena i Harsheima. Do takiej grupy przydzielono Tila Echrade, ale elf znał większość swych nowych towarzyszy, a oni znali jego.

Jechali stępa, choć Dacre Silifant przykazał gnać co koń wyskoczy. Ale oni byli zawodowcami. Pogalopowali, wzbijając kurz, póki widziano ich z fortu, potem zwolnili. Zajeżdżanie koni i wariacki cwał dobre są dla smarkaczy i amatorów, a pośpiech, wiadomo, sprawdza się ino przy łapaniu pcheł!

Chloe Stitz, zawodowa złodziejka z Ymlac, opowiadała Kennie o swej dawnej współpracy z koronerem Stefanem Skellenem. Kabernik Turent i Fripp Młodszy wstrzymywali konie, przysłuchiwali się, oglądając często.

– Znam go dobrze. Kilka razy służyłam już pod nim...

Chloe zająknęła się lekko, połapawszy się w dwuznacznym charakterze wypowiedzi, ale natychmiast roześmiała się swobodnie i niefrasobliwie.

– Pod jego komendą też służyłam – parsknęła. – Nie, Kenna, nie lękaj się. Z tym nie ma musu u Puszczyka. Nie narzucał się, to ja sama wtedy okazji szukałam i znalazłam. A dla jasności rzeknę: nie da rady taką modą załatwić sobie u niego protekcji.

– Nie planuję niczego w tym guście – wydęła wargi Kenna, wyzywająco patrząc na obleśne uśmiechy Turenta i Frippa. – Okazji szukała nie będę, alem się też i wcale nie zlękła. Ja się nie dam przestraszyć byle czym. A już z pewnością nie kuśką!

– Wy o niczym innym nie umiecie gadać – stwierdził Boreas Mun, zatrzymując bułanego ogiera i czekając, aż Kenna i Chloe się z nim zrównają.

– A tu nie na kuśki wojować się będzie, moje panie! – podjął, kontynuując jazdę obok dziewczyn. – Bonhart, kto go zna, mało ma w mieczu sobie równych. Radbym, gdyby się pokazało, że nie ma między nim a panem Skellenem zwady ni wróżdy. Gdyby się wszystko po kościach rozlazło.

– A ja nie chwytam tego rozumem – przyznał się z tyłu Andres Vierny. – Podobnież czarownika jakiegoś mieliśmy tropić, po temu przecie nam czujną dali, Selborne Kennę tu obecną. Teraz zaś o jakimś Bonharcie się mówi i o jakiejś dziewczynie!

– Bonhart, łowca nagród – odchrząknął Boreas Mun – miał z panem Skellenem umowę. I skrewił. Choć przyobiecał panu Skellenowi, że ową dziewczynę ubije, przy życiu ją ostawił.

– Bo mu pewnie ktoś inszy większe pieniądze za żywą dawał, niźli Puszczyk za martwą – wzruszyła ramionami Chloe Stitz. – Tacy oni są,

łowcy nagród. Honoru u nich nie szukaj!

– Bonhart był inny – zaprzeczył, oglądając się, Fripp Młodszy. – Bonhart z raz danego słowa nie kłamał.

– Tym jest rzecz dziwniejsza, że nagle zaczął.

– A dlaczego to niby – spytała Kenna – ta dziewka taka ważna? Ta, co miała być zabita, a nie jest zabita?

– A nam co do tego? – skrzywił się Boreas Mun. – My mamy rozkazy! A pan Skellen w prawie jest swego dochodzić. Miał Bonhart Falkę zaciukać, nie zaciukał. Prawo pana Skellena jest zażądać, by mu z tego zdał sprawę.

– Ów Bonhart – powtórzyła z przekonaniem Chloe Stitz – zamiaruje za żywą wziąć większe pieniądze niż za martwą. Ot, cała tajemnica.

– Pan koroner – powiedział Boreas Mun – też zrazu tak myślał. Że Bonhart jednemu baronowi z Geso, co się na bandę Szczurów okrutnie zawziął, żywą Falkę przyobiecał, gwoli poswawolenia i umęczenia powolnego. Ale pokazało się, że to nieprawda. Nie wiada, dla kogo Bonhart żywą Falkę chowa, ale na pewno nie dla owego barona.

•

– Panie Bonhart! – Gruby eldorman Zazdrości wtoczył się do zajazdu, sapiąc i dysząc. – Panie Bonhart, zbrojni w osadzie! Na koniach jadą!

– Też mi sensacja. – Bonhart wytarł talerz chlebem. – Byłoby się czemu dziwować, gdyby jechali, dajmy na to, na małpach. Ilu?

– Czterech!

– A odzienie moje gdzie?

– Ledwo co wyprane... Nie wyschło...

– Niech was zaraza. Przyjdzie gości w gaciach powitać. Ale po prawdzie, jacy goście, takie i powitanie.

Poprawił zapięty na bieliźnie pas z mieczem, wetknął troczki od kalesonów w cholewy butów, szarpnął za łańcuch przytwierdzony do obroży Ciri.

– Na nogi, Szczurzyco.

Gdy wyprowadził ją na ganek, czwórka konnych już zbliżała się do zajazdu. Widać było, że mieli za sobą długą drogę przez bezdroża i niepogody – odzienie, uprząż i konie upstrzone były zeskorupiałym kurzem i błotem.

Było ich czterech, ale prowadzili luzaka. Na widok luzaka Ciri poczuła, że robi się jej nagle gorąco, choć dzień był bardzo chłodny. Była to jej własna dereszka, wciąż nosząca jej własny rząd i siodło. I naczółek, podarunek od Mistle. Konni należeli do tych, którzy zabili Hotsporna.

Zatrzymali się przed oberżą. Jeden, zapewne przywódca, podjechał bliżej, skłonił się Bonhartowi kunim kołpakiem. Był smagły i nosił czarny wąsik, wyglądający jak nakreślona węglem kreska nad górną wargą. Górna warga, zauważyła Ciri, kurczyła mu się co jakiś czas – tik powodował, że typ stale wyglądał na rozwścieczonego. A może i był wściekły?

– Czołem, panie Bonhart!

– Czołem, panie Imbra. Czołem waćpanom. – Bonhart, nie spiesząc się, zaczepił łańcuch Ciri o hak na słupie. – Wybaczcie, żem w inekssprymablach, alem się nie spodziewał. Daleka droga za wami, oj, daleka... Z Geso aż tu, do Ebbing was przygnało? A jak szanowny baron? Zdrówli?

– Jako ogóreczek – odrzekł obojętnie smagły, znowu kurcząc górną wargę. – Ale nie ma co czasu na gadki trawić. Pilno nam.

– Ja – Bonhart podciągnął pas i gacie – wcale was nie zatrzymuję.

– Doszła nas wieść, żeś Szczurów pobił.

– Prawda jest.

– I zgodnie z obietnicą baronowi daną – smagły nadal udawał, że nie widzi Ciri na ganku – Falkę żywą wziąłeś.

– I to też prawdą mi się widzi.

– Poszczęściło ci się tedy tam, gdzie nam się nie powiodło. – Smagły spojrzał na dereszkę. – Dobra. Zabierzem dziewkę i jedziem do dom. Rupert, Stavro, zabierzcie ją.

– Wolnego, Imbra – uniósł dłoń Bonhart. – Nikogo nie zabierzecie. A to z tej prostej przyczyny, że wam nie dam. Rozmyśliłem się. Zostawię tę dziewczynę sobie, do mego własnego użytku.

Nazwany Imbrą smagły pochylił się w kulbace, charknął i splunął, imponująco daleko, niemal na schody ganku.

– Przecie panu baronowi obiecałeś!

– Obiecałem. Alem się rozmyślił.

– Co? Czy ja dobrze słyszę?

– Jak ty słyszysz, Imbra, nie mój to frasunek.

– Trzy dni na zamku goszczony byłeś. Za dawane panu baronowi obietnice trzy dni piłeś i żarłeś. Najlepsze wina z piwniczki, pawie pieczone, sarninę, pasztety, karasie w śmietanie. Trzy noce jak król w puchach spałeś. A teraz żeś się rozmyślił? Tak?

Bonhart milczał, zachowując obojętny i znudzony wyraz twarzy. Imbra zacisnął zęby, by stłumić drganie wargi.

– A wiesz ty, Bonhart, że my możem Szczurzycę siłą ci odjąć?

Twarz Bonharta, do tej pory znudzona i rozbawiona, stężała momentalnie.

– Spróbujcie. Was czterech, ja jeden. I do tego w gaciach. Ale ja na takich zasrańców portek nie muszę odziewać.

Imbra znowu splunął, szarpnął wodze, obrócił konia.

– Tfu, Bonhart, co się z tobą porobiło? Zawsześ tym słynął, żeś solidny był, prawy zawodowiec, żeś słowa danego niezawodnie dotrzymywał. A nynie wychodzi, że twoje słowo mniej gówna warte! A że po słowie człeka się ocenia, tedy wychodzi, żeś ty...

– Jeśli już o słowach mowa – przerwał zimno Bonhart, opierając dłonie na sprzączce pasa – to bacz, Imbra, by ci się wypadkiem w trakcie gadania zbyt grube nie wypsło. Bo może boleć, gdy ci je będę na powrót w grdykę wtłaczał.

– Śmiały jesteś na czterech! A starczy ci na czternastu śmiałości? Bo to ci zaręczyć mogę, że baron Casadei zniewagi płazem nie puści!

– Powiedziałbym ci, co ja robię sobie z barona twego, ale ot, tłum się zbiega, a w nim niewiasty są i dzieci. Tedy powiem ci tylko, że ja za jakieś dziesięć dni w Claremont stanę. Kto chce praw dochodzić, zniewag mścić albo Falkę mi odbierać, niechaj do Claremont przybywa.

– Ja tam przybędę!

– Będę tam czekał. A teraz wynoście się stąd.

•

– Bali się go. Potwornie się go bali. Czułam bijący od nich strach.

Kelpie zarżała głośno, szarpnęła łbem.

– Było ich czterech, uzbrojonych po zęby. A on jeden, w pocerowanych kalesonach i wystrzępionej koszulinie z przykrótkimi rękawami. Byłby śmieszny, gdyby... Gdyby nie był straszny.

Vysogota milczał, mrużąc załzawione od wiatru oczy. Stali na wzniesieniu, górującym nad bagnami Pereplutu, niedaleko od miejsca,

gdzie dwa tygodnie temu starzec znalazł Ciri. Wiatr kładł trzciny, marszczył wodę na rozlewiskach rzeki.

– Jeden z tych czterech – podjęła Ciri, pozwalając klaczy wejść w wodę i pić – miał taką małą kuszę u siodła, ręka mu się w stronę tej kuszy wyciągała. Niemal słyszałam jego myśli, czułam jego przerażenie. „Czy zdążę napiąć? Strzelić? I co będzie, jeśli chybię?" Bonhart też widział tę kuszę i tę rękę, też słyszał te myśli, pewna jestem. I pewna jestem, że ten jeździec nie zdążyłby napiąć kuszy.

Kelpie uniosła łeb, zaparskała, zadzwoniła kółkami munsztuka.

– Coraz lepiej rozumiałam, w czyje ręce wpadłam. Ciągle nie rozumiałam jednak jego motywów. Słyszałam ich rozmowę, pamiętałam, co wcześniej mówił Hotsporn. Ten cały baron Casadei chciał mnie żywą i Bonhart mu to obiecał. A potem się rozmyślił. Dlaczego? Czy chciał wydać komuś, kto zapłaci więcej? Czy niewiadomym sposobem rozpoznał, kim naprawdę jestem? I zamierzał wydać Nilfgaardczykom?

– Odjechaliśmy z tej osady przed wieczorem. Pozwolił mi jechać na Kelpie. Ale ręce mi skrępował i cały czas trzymał za łańcuch przy obroży. Cały czas. A jechaliśmy, nie zatrzymując się prawie, calutką noc i calutki dzień. Myślałam, że umrę z wycieńczenia. A po nim w ogóle nie było zmęczenia widać. To nie człowiek. To wcielony diabeł.

– Dokąd cię zawiózł?

– Do mieściny, która nazywała się Fano.

•

– Gdyśmy wjechali do Fano, wielmożny trybunale, mrok już był, ćma choć oko wykol, niby dopiero szesnasty września, ale dzień pochmurny i zimny jak diabli, rzekłbyś, listopad. Długo szukać warsztatu płatnerza nie musieliśmy, bo największe to obejście w całym miasteczku, a do tego dzwon młotów kujących żelazo nieprzerwanie szedł stamtąd. Neratin Ceka... Próżno pan pisarz to imię zapisuje, bo nie pamiętam, czy mówiłam o tym, ale Neratin nie żyje już, zabili go we wsi zwanej Goworożec...

– Proszę nie pouczać protokolanta. Proszę kontynuować zeznania.

– Neratin do wrót zakołatał. Grzecznie rzekł, kto my i z czym my, grzecznie posłuchania prosił. Wpuścili. Warsztat miecznika piękną był

budowlą, wręcz warownia to była, palisada z sosnowych tramów, wieżyczki z dębowej klepki, wewnątrz na ścianach gładzony modrzew...

– Sądu nie interesują szczegóły architektury. Świadek zechce przejść do rzeczy. Przedtem zaś proszę powtórzyć do protokołu nazwisko miecznika.

– Esterhazy, wielmożny trybunale. Esterhazy z Fano.

•

Miecznik Esterhazy długo patrzył na Boreasa Muna, nie spiesząc się z odpowiedzią na zadane pytanie.

– Może Bonhart tu był – powiedział wreszcie, bawiąc się zawieszoną na szyi kościaną gwizdawką. – A może go tu nie było? Kto wie? Tutaj, moi państwo, mamy warsztat produkujący miecze. Na wszelkie pytania dotyczące mieczów odpowiemy chętnie, szybko, płynnie i wyczerpująco. Ale nie widzę powodu, by odpowiadać na pytania dotyczące naszych gości i klientów.

Kenna wyciągnęła z rękawa chustkę, udała, że wyciera nos.

– Powód może się znaleźć – powiedział Neratin Ceka. – Możecie go znaleźć wy, panie Esterhazy. Mogę ja. Zechcecie wybrać?

Pomimo pozorów zniewieściałości twarz Neratina potrafiła być twarda, a głos złowróżbny. Ale miecznik tylko parsknął, bawiąc się gwizdawką.

– Wybrać między przekupstwem a groźbą? Nie zechcę. Jedno i drugie uważam za warte wyłącznie plunięcia.

– Tylko jedna maleńka informacja – odchrząknął Boreas Mun. – Czy to tak wiele? Znamy się przecie nie od dziś, panie Esterhazy, a i nazwisko koronera Skellena obce wam przecie też nie jest...

– Nie jest – przerwał miecznik. – Żadną miarą nie jest. Sprawki i wyczyny, z którymi to nazwisko się kojarzy, też nie są nam obce. Ale tu mamy Ebbing, królestwo autonomiczne i samorządne. Choć pozornie, ale zawsze. Dlatego nic wam nie powiemy. Idźcie sobie w swoją drogę. Na osłodę przyrzekamy wam, że jeśli za tydzień lub miesiąc ktoś będzie wypytywał o was, usłyszy od nas równie mało.

– Ależ, panie Esterhazy...

– Trzeba wyraźniej? Proszę bardzo. Wynocha stąd!

Chloe Stitz syknęła wściekle, dłonie Frippa i Vargasa popełzły ku rękojeściom, Andres Vierny oparł pięść o wiszący na udzie nadziak.

Neratin Ceka nie poruszył się, twarz nie drgnęła mu nawet. Kenna widziała, że nie spuszcza oka z kościanej gwizdawki. Nim weszli, Boreas Mun ostrzegł ich – gwizd gwizdawki był hasłem dla czekających w ukryciu ochroniarzy, zawołanych rębajłów, których w warsztacie miecznika nazywano „kontrolerami jakości wyrobów".

Ale przewidziawszy wszystko, Neratin i Boreas zaplanowali następny ruch. Mieli w zanadrzu kozerną kartę.

Kennę Selborne. Czujną.

Kenna już wcześniej sondowała miecznika, delikatnie kłuła go impulsami, ostrożnie zapuszczała się w gąszcz jego myśli. Teraz była gotowa. Przyłożywszy do nosa chustkę – zawsze istniało niebezpieczeństwo krwotoku – wdarła się do mózgu pulsacją i rozkazem. Esterhazy zakrztusił się, poczerwieniał, oburącz ucapił blat stołu, za którym siedział, jak gdyby bał się, że stół uleci do ciepłych krajów razem z plikiem faktur, kałamarzem i przyciskiem do papierów przedstawiającym nereidę, w ciekawy sposób figlującą z dwoma trytonami naraz.

Spokojnie, rozkazała Kenna, *to nic, nic się nie dzieje. Po prostu masz ochotę opowiedzieć nam o tym, co nas ciekawi. Przecież wiesz, co nas ciekawi, a słowa aż rwą się z ciebie na wolę. Dalejże więc. Zaczynaj. Zobaczysz, gdy tylko zaczniesz mówić, w głowie przestanie ci szumieć, w skroniach huczeć, a w uszach kłuć. I skurcz szczęk też odpuści.*

– Bonhart – powiedział chrapliwie Esterhazy, otwierając usta częściej, niż wynikałoby z sylabicznej artykulacji – był tu cztery dni temu, dwunastego września. Miał ze sobą dziewczynę, którą nazywał Falką. Spodziewałem się tej wizyty, bo dwa dni wcześniej dostarczono mi list od niego...

Z lewej dziurki nosa pociekła mu cieniutka strużka krwi.

Mów, rozkazała Kenna. *Mów. Mów wszystko. Zobaczysz, jak ci ulży.*

•

Miecznik Esterhazy z ciekawością przypatrywał się Ciri, nie wstając zza dębowego stołu.

– Dla niej – odgadł, postukując obsadką pióra w przedstawiający dziwaczną grupę przycisk do papierów – ten miecz, o który prosiłeś w liście. Prawda, Bonhart? No, tedy oceńmy... Sprawdźmy, czy zgadza się z tym, co napisałeś. Wzrostu pięć stóp i dziewięć cali... I tak jest. Wagi stu

dwunastu funtów... No, dalibyśmy jej mniej niż sto dwanaście, ale to drobny detal. Ręka, pisałeś, na którą rękawiczka numer piąty pasuje... Pokażmy rękę, jaśnie panno. No, i to zgadza się.

– U mnie zawsze się zgadza – rzekł sucho Bonhart. – Masz dla niej jakieś przyzwoite żelazo?

– W mojej firmie – odrzekł dumnie Esterhazy – nie wytwarza się i nie oferuje żelaza innego niż przyzwoite. Rozumiem, że chodzi o miecz do walki, nie do galowej dekoracji. Ach, prawda, pisałeś. Jasna rzecz, broń dla tej panny znajdzie się bez trudności. Do takiego wzrostu i takiej wagi idą miecze trzydzieści osiem cali, wykonanie standard. Ona do jej lekkiej budowy i małej ręki potrzebuje minibastarda z rękojeścią przedłużoną do dziewięciu cali i kulistą głowicą. Moglibyśmy też zaproponować elfią taldagę albo zerrikańską saberrę, względnie lekką viroledankę...

– Pokaż towar, Esterhazy.

– W gorącej wodzie kąpani jesteśmy, hę? No, to pozwólmy. Pozwólmy tędy... Ejże, Bonhart? Co to jest, u czarta? Dlaczego ty ją prowadzisz na smyczy?

– Pilnuj swego zasmarkanego nosa, Esterhazy. Nie suń go, gdzie nie należy, bo jeszcze coś go przytrzasnąć gotowo!

Esterhazy, bawiąc się zawieszoną na szyi gwizdawką, patrzył na łowcę bez strachu ni respektu, choć patrzeć musiał mocno w górę. Bonhart podkręcił wąsa, odchrząknął.

– Ja – powiedział, ciszej nieco, lecz nadal złowrogo – nie wtrącam się do twoich spraw i interesów. Dziwi cię, że żądam wzajemności?

– Bonhart. – Miecznikowi nie drgnęła nawet powieka. – Gdy opuścisz mój dom i moje podwórze, gdy zamkniesz za sobą moją bramę, wtedy uszanuję twą prywatność, sekretność twoich interesów, specyfikę profesji. I nie wtrącę się do nich, bądź pewny. Ale w moim domu nie pozwolę na poniewieranie ludzkiej godności. Zrozumiałeś mnie? Za moją bramą możesz tę dziewczynę włóczyć za koniem, jeśli wola. W moim domu zdejmiesz jej tę obrożę. Natychmiast.

Bonhart sięgnął do obroży, odpiął ją, nie odmawiając sobie szarpnięcia, które omal nie zwaliło Ciri na kolana. Esterhazy, udając, że tego nie widział, wypuścił gwizdawkę z palców.

– Tak lepiej – powiedział sucho. – Chodźmy.

Przeszli galeryjką na drugi, mniejszy nieco dziedziniec, przylegający do zaplecza kuźni i jedną stroną otwarty na sad. Pod wspartym na

rzeźbionych słupach zadaszeniem stał tu długi stół, na który pachołkowie kończyli właśnie wykładać miecze. Esterhazy gestem dał znać, by Bonhart i Ciri podeszli do ekspozycji.

– Proszę, oto moja oferta.

Podeszli.

– Tutaj – Esterhazy wskazał dłuższy rząd mieczów na stole – mamy moją produkcję, wszystkie głownie tutaj kute, widać zresztą podkowę, moją puncmarkę. Ceny w przedziale od pięciu do dziewięciu florenów, bo to standardy. Te natomiast, które o, tutaj leżą, są u mnie tylko montowane i wykańczane. Głownie są z importu. Skąd, poznać po puncach. Te z Mahakamu mają wypuncowane skrzyżowane młoty, te z Poviss koronę albo głowę konia, a te z Viroledy słońce i słynną firmową inskrypcję. Ceny zaczynają się od dziesięciu florenów.

– A kończą?

– Różnie. O, ta dla przykładu piękna viroledanka. – Esterhazy wziął z lady miecz, zasalutował nim, potem przeszedł do pozycji szermierczej, zręcznie obracając dłonią i przedramieniem w skomplikowanej fincie zwanej „angelika". – Ta kosztuje piętnaście. Dawna robota, kolekcjonerska głownia. Widać, że robiona na zamówienie. Motyw wycyzelowany na zastawie wskazuje, że broń była przeznaczona dla kobiety.

Obrócił mieczem, zatrzymał dłoń w tercji, płazem klingi do nich.

– Jak na wszystkich głowniach z Viroledy, tradycyjny napis: „Nie dobywaj bez przyczyny, nie chowaj bez honoru". Ha! Wciąż cyzeluje się w Viroledzie takie napisy. A jak świat długi i szeroki, kling tych dobywają szubrawcy i głupcy. Jak świat długi i szeroki, honor bardzo staniał, bo niechodliwy to dzisiaj towar...

– Nie gadaj tyle, Esterhazy. Daj jej ten miecz, niech zamierzy do ręki. Weź broń, dziewczyno.

Ciri ujęła lekki miecz, od razu czując, jak jaszczurcza rękojeść pewnie przyrasta do dłoni, a ciężar klingi zaprasza ramię do złożenia i cięcia.

– To minibastard – przypomniał Esterhazy. Niepotrzebnie. Umiała posługiwać się dłuższą rękojeścią, trzema palcami na kulistej głowicy.

Bonhart cofnął się o dwa kroki, na dziedziniec. Wyciągnął swój miecz z pochwy, zawinął nim, aż zasyczało.

– Nuże! – powiedział do Ciri. – Zabij mnie. Masz miecz i masz okazję. Masz szansę. Wykorzystaj. Bo nieprędko dam ci drugą.

– Czy wyście poszaleli?

– Zamknij się, Esterhazy.

Zmyliła go spojrzeniem w bok i oszukańczym drgnieniem barku, uderzyła jak piorun, z płaskiego sinistru. Klinga zadzwoniła o paradę, tak silną, że Ciri zachwiała się, musiała odskoczyć, zawadzając biodrem o stół z mieczami. Próbując odzyskać równowagę, odruchowo opuściła miecz – wiedziała, że w tym momencie, gdyby chciał, zabiłby ją bez najmniejszego problemu.

– Czy wyście poszaleli? – podniósł głos Esterhazy, a gwizdawkę znowu miał w ręku. Służący i rzemieślnicy przyglądali się w osłupieniu.

– Odłóż żelazo. – Bonhart nie spuszczał Ciri z oka, na płatnerza w ogóle nie zwracał uwagi. – Odłóż, mówię. Bo odrąbię ci rękę!

Usłuchała po chwili wahania. Bonhart uśmiechnął się upiornie.

– Ja wiem, kim ty jesteś, żmijo. Ale zmuszę cię, byś sama mi to wyznała. Słowem albo czynem! Zmuszę cię, byś wyznała, kim jesteś. I wtedy cię zabiję.

Esterhazy syknął, jakby ktoś go zranił.

– A ten miecz – Bonhart nawet nie spojrzał na niego – był dla ciebie za ciężki. Przez to byłaś zbyt wolna. Byłaś wolna jak ślimak w ciąży. Esterhazy! To, co jej dałeś, było za ciężkie o co najmniej cztery uncje.

Miecznik był blady. Wodził oczami od niej do niego, od niego do niej, a twarz miał dziwnie zmienioną. Wreszcie skinął na pachołka, półgłosem wydał mu rozkaz.

– Mam coś – powiedział wolno – co powinno cię usatysfakcjonować, Bonhart.

– Dlaczego więc nie pokazałeś mi tego od razu? – warknął łowca. – Pisałem, że chcę czegoś ekstra. Może sądzisz, że na lepszy miecz mnie nie stać?

– Ja wiem, na co ciebie stać – rzekł z naciskiem Esterhazy. – Nie od dziś to wiem. A że nie pokazałem od razu? Nie mogłem przecież wiedzieć, kogo do mnie przyprowadzisz... na smyczy, z obrożą na szyi. Nie mogłem się domyślić, dla kogo ma być miecz i do czego ma służyć. Teraz już wiem wszystko.

Pachołek wrócił, niosąc podłużne pudło.

– Zbliż się, dziewczyno – powiedział cicho Esterhazy. – Spójrz.

Ciri zbliżyła się. Spojrzała. I westchnęła głośno.

•

Obnażyła miecz, szybkim ruchem. Ogień z komina oślepiająco zapłonął na faliście zarysowanym szwie ostrza, zajarzył się czerwono w ażurowaniach zastawy.

– To ten – powiedziała Ciri. – Jak się pewnie domyślasz. Weź do ręki, jeśli chcesz. Ale uważaj, jest ostrzejszy od brzytwy. Czujesz, jak rękojeść klei się do dłoni? Zrobiona jest ze skóry takiej płaskiej ryby, co ma na ogonie jadowity kolec.

– Raja.

– Chyba. Ta ryba ma w skórze malutkie ząbki, dlatego rękojeść nie ślizga się w ręku, nawet gdy się ręka spoci. Zobacz, co jest wytrawione na klindze.

Vysogota pochylił się, przyjrzał, mrużąc oczy.

– Elfia mandala – powiedział po chwili, unosząc głowę. – Tak zwana *blathan caerme*, girlanda losu: stylizowane kwiaty dębu, tawuły i żarnowca. Wieża, rażona piorunem, u Starszych Ras symbol chaosu i destrukcji... A nad wieżą...

– Jaskółka – dokończyła Ciri. – Zireael. Moje imię.

•

– Faktycznie, niebrzydka rzecz – powiedział wreszcie Bonhart. – Gnomia robota, od razu widać. Tylko gnomy takie ciemne żelazo kuły. Tylko gnomy ostrzyły płomieniście i tylko gnomy ażurowały klingi, by zmniejszyć wagę... Przyznaj się, Esterhazy. To replika?

– Nie – zaprzeczył miecznik. – Oryginał. Prawdziwy gnomi gwyhyr. Ta głownia ma ponad dwieście lat. Oprawa, ma się rozumieć, jest o wiele młodsza, ale repliką bym jej nie nazwał. Gnomy z Tir Tochair robiły ją na moje zamówienie. Według dawnych technik, metod i wzorców.

– Cholera. Może być, że faktycznie nie będzie mnie stać. Ileż to zawinszujesz sobie za ten brzeszczot?

Esterhazy milczał czas jakiś. Twarz miał nieprzeniknioną.

– Ja go oddam za darmo, Bonhart – powiedział wreszcie głuchym głosem. – W podarunku. Żeby wypełniło się, co ma się wypełnić.

– Dziękuję – rzekł Bonhart, wyraźnie zaskoczony. – Dziękuję ci, Esterhazy. Królewski podarunek, iście królewski... Przyjmuję, przyjmuję. I jestem twym dłużnikiem...

– Nie jesteś. Miecz jest dla niej, nie dla ciebie. Podejdź, dziewczyno nosząca obrożę na szyi. Przyjrzyj się znakom wytrawionym na klindze.

Nie rozumiesz ich, to oczywiste. Ale ja ci je objaśnię. Spójrz. Linia wytyczona przez los jest kręta, ale wiedzie ku tej oto wieży. Ku zagładzie, ku zniszczeniu ustalonych wartości, ustalonego porządku. Ale oto nad wieżą, widzisz? Jaskółka. Symbol nadziei. Weź ten miecz. Niechaj wypełni się, co ma się wypełnić.

Ciri ostrożnie wyciągnęła rękę, delikatnie pogładziła ciemny brzeszczot z lśniącymi jak lustra krawędziami.

– Weź go – rzekł powoli Esterhazy, patrząc na Ciri szeroko rozwartymi oczami. – Weź go. Weź go do ręki, dziewczyno. Weź...

– Nie! – krzyknął nagle Bonhart, doskakując, chwytając Ciri za ramię, odpychając ją gwałtownie i mocno. – Precz!

Ciri upadła na kolana, żwir podwórza boleśnie zakłuł dłonie, którymi się podparła.

Bonhart zatrzasnął pudło.

– Jeszcze nie teraz! – zawarczał. – Jeszcze nie dziś! Jeszcze nie nadszedł czas!

– Najwidoczniej – przytaknął spokojnie Esterhazy, patrząc mu w oczy. – Tak, najwidoczniej jeszcze nie nadszedł. Szkoda.

•

– Nie na wiele to się zdało, wielmożny trybunale, myśli tego miecznika czytać. Myśmy tam szesnastego września byli, trzy dni przed pełnią. A gdyśmy wracali z Fano do Rocayne, doszedł nas podjazd, Ola Harsheim i siedem koni. Nakazał pan Ola co koń wyskoczy gnać za resztą oddziału. Bo dzień wcześniej, piętnastego września, była masakra w Claremont... Niepotrzebnie ja chyba o tym, wielmożny trybunał niechybnie wie o masakrze w Claremont...

– Proszę zeznawać, nie troszcząc się o to, co trybunał wie.

– Bonhart nas o dzień wyprzedził. Piętnastego września przywiózł Falkę do Claremont...

•

– Claremont – powtórzył Vysogota. – Znam to miasteczko. Dokąd cię zawiózł?

– Do wielkiego domu w rynku. Z kolumnami i arkadami przy wejściu. Od razu było widać, że mieszka tam bogacz...

•

Ściany komnat pokrywały bogate arrasy i przepyszne tapiserie przedstawiające sceny religijne, myśliwskie i sielanki z udziałem rozebranych kobiet. Meble lśniły intarsjami i mosiądzem okuć, a dywany były takie, że przy stąpnięciu stopa zagłębiała się po kostkę. Ciri nie zdążyła zaobserwować szczegółów, bo Bonhart kroczył szparko i ciągnął za łańcuch.

– Witaj, Houvenaghel.

W tęczy kolorów, rzucanej przez witraż, na tle myśliwskiej tapiserii, stał mężczyzna o imponującej tuszy, ubrany w kapiący od złota kaftan i obszywaną wyporkami delię. Choć w sile wieku męskiego, był mocno łysy, a policzki zwisały mu jak u ogromnego buldoga.

– Witaj, Leo – powiedział. – I ty, pani...

– Żadna pani. – Bonhart pokazał łańcuch i obrożę. – Witać nie trzeba.

– Grzeczność nic nie kosztuje.

– Oprócz czasu. – Bonhart pociągnął za łańcuch, podszedł, bezceremonialnie poklepał grubasa po brzuchu.

– Ładnieś przybrał – ocenił. – Na honor, Houvenaghel, gdy stoisz na drodze, łatwiej cię przeskoczyć, niż obejść.

– Dobrobyt – wyjaśnił jowialnie Houvenaghel i zatrząsł policzkami. – Witaj mi, witaj, Leo. Miłym mi jesteś gościem, bom też dziś i radosny niezmiernie. Interesy idą nad podziw dobrze, że aż się chce od uroku pluć, kassa tylko brzęczy! Tylko dziś, daleko nie szukając, jeden nilfgaardzki rotmistrz rezerwy, prowiant-majster zajmujący się transportami sprzętu na front, opylił mi sześć tysięcy wojskowych łuków, które ja z dziesięciokrotnym przebiciem sprzedam w detalu myśliwym, kłusownikom, zbójcom, elfom i innym bojownikom o wolność. Tanio kupiłem też od jednego tutejszego markiza zamek...

– A na cholerę ci zamek?

– Muszę mieszkać reprezentacyjnie. Wracając do interesów: jeden wręcz zawdzięczam tobie, Leo. Beznadziejny zdawałoby się dłużnik uiścił. Dosłownie przed chwilą. Ręce mu się trzęsły, gdy uiszczał. Typ widział cię i myślał...

– Wiem, co myślał. Dostałeś mój list?

– Dostałem. – Houvenaghel usiadł ciężko, potrącając brzuchem stół, aż zadzwoniły karafki i puchary. – I wszystko przygotowałem. Nie widziałeś afiszów? Pewnie hołota zdarła... Ludzie już schodzą się do

teatru. Kassa brzęczy... Siadaj, Leo. Mamy czas. Pogadamy, napijemy się wina...

– Nie chcę twojego wina. Pewnie kazionne, ukradzione z nilfgaardzkich transportów.

– Kpisz chyba. To Est Est z Toussaint, grona zebrane, gdy nasz miłościwy cesarz Emhyr był o, takim maleńkim pędrakiem srywającym w becik. Był to dobry rok. Dla win. Twoje zdrowie, Leo.

Bonhart w milczeniu odsalutował roztruchanem. Houvenaghel zamlaskał, nader krytycznie przyglądając się Ciri.

– Ta więc oto wielkooka sarenka – powiedział wreszcie – ma zagwarantować przyrzeczoną w liście zabawę? Wiadomym mi jest, że Windsor Imbra jest już pod miastem. Że prowadzi ze sobą kilku niezłych rezunów. A i paru lokalnych rębajłów widziało afisze...

– Czyś ty się kiedy zawiódł na moim towarze, Houvenaghel?

– Nigdy, fakt. Alem też i dawno nic od ciebie nie miał.

– Pracuję rzadziej niż dawniej. Myślę też o tym, by całkiem przejść na emeryturę.

– Do tego potrzebny kapitał, by mieć się z czego sustentować. Miałbym może na to sposób... Wysłuchasz?

– Z braku innej rozrywki. – Bonhart nogą podsunął krzesło, zmusił Ciri, by usiadła.

– Nie myślałeś, żeby ruszyć na północ? Do Cintry, na Stoki albo i za Jarugę? Czy wiesz, że każdemu, kto tam pociągnie i zechce osiedlić się na zdobytych terenach, Cesarstwo gwarantuje nadział czterech łanów gruntu? I wolniznę od podatku na lat dziesięć?

– Ja – odrzekł spokojnie łowca – nie nadaję się na rolnika. Nie mógłbym kopać w ziemi ani hodować żadnych bydląt. Jestem zbyt wrażliwy. Na widok gówna albo glizdy zbiera mi się na rzyganie.

– To tak jak mnie – zatrząsł policzkami Houvenaghel. – Z całego rolnictwa toleruję jedynie bimbrownictwo. Reszta jest odrażająca. Mówią, że rolnictwo to podstawa ekonomiki i że gwarantuje dobrobyt. Uważam jednak za niegodne i upokarzające, by o moim dobrobycie przesądzało coś, co śmierdzi nawozem. Poczyniłem w tym kierunku starania. Ziemi nie ma musu uprawiać, Bonhart, nie ma musu hodować na niej bydląt. Wystarczy ją mieć. Jeśli ma się odpowiednio dużo, można ładne ciągnąć intraty. Można, wierz mi, żyć naprawdę dostatnio. Tak, poczyniłem w tym kierunku pewne starania, stąd zresztą moje pytanie o

podróż na północ. Bo widzisz, Bonhart, ja miałbym tam dla ciebie zajęcie. Stałe, dobrze płatne, nie absorbujące. I w sam raz dla człeka wrażliwego: żadnych gówien, żadnych dżdżownic.

– Gotów jestem wysłuchać. Niezobowiązująco, oczywista.

– Z nadziałów, które cesarz gwarantuje osadnikom, można przy odrobinie przedsiębiorczości i niewielkim kapitale zakładowym złożyć do kupy całkiem ładne latyfundium.

– Pojmuję. – Łowca przygryzł wąs. – Pojmuję, ku czemu zmierzasz. Już wiem, jakie to starania czynisz względem własnego dobrobytu. Trudności nie przewidujesz?

– Przewiduję. Dwojakie. Po pierwsze, trzeba znaleźć najmitów, którzy udając osadników, pojadą na północ brać od osadźców i obejmować nadziały. Formalnie dla siebie, praktycznie dla mnie. Ale znalezieniem najmitów zajmę się ja. Ciebie dotyczy druga z trudności.

– Zamieniam się w słuch.

– Niektórzy najmici obejmą ziemię i nie będą skłonni oddać. Zapomną o umowie i o pieniądzach, jakie wzięli. Nie uwierzysz, Bonhart, jak głęboko oszustwo, podłość i skurwysyństwo zakorzenione są w naturze ludzkiej.

– Uwierzę.

– Trzeba będzie więc przekonywać nieuczciwych, że nieuczciwość nie popłaca. Że jest karana. Tym zajmiesz się ty.

– Brzmi pięknie.

– Brzmi tak, jakie jest. Ja mam praktykę, ja już robiłem takie przekręty. Po formalnej inkluzji Ebbing do Cesarstwa, gdy rozdawano nadziały. I później, gdy wszedł w życie Akt o Ogradzaniu. Tym sposobem Claremont, to urocze miasteczko, stoi na mojej ziemi, a więc należy do mnie. Cały ten teren należy do mnie. Aż tam, hen, po zasnuty siwą mgiełką horyzont. Wszystko to jest moje. Całe sto pięćdziesiąt łanów. Łanów cesarskich, nie kmiecych. To daje sześćset trzydzieści włók. Czyli osiemnaście tysięcy dziewięćset mórg.

– O nierządne Cesarstwo i zginienia bliskie – wyrecytował szyderczo Bonhart. – Upaść musi imperium, w którym wszyscy kradną. W prywacie i samolubstwie słabość jego tkwi.

– W tym tkwi moc jego i siła. – Houvenaghel znowu zatrząsł policzkami. – Ty, Bonhart, mylisz złodziejstwo z indywidualną przedsiębiorczością.

– Nader często – przyznał beznamiętnie łowca nagród.

– Jak więc będzie z naszą spółką?

– A nie za wcześnie dzielimy te północne grunta? Może by tak dla pewności zaczekać, aż Nilfgaard wygra tę wojnę?

– Dla pewności? Nie żartuj sobie. Wynik wojny jest przesądzony. Wojny wygrywa się pieniędzmi. Cesarstwo je ma, Nordlingowie ich nie mają.

Bonhart chrząknął wymownie.

– Jeśli już o pieniądzach mowa...

– Załatwione. – Houvenaghel pogrzebał w leżących na stole dokumentach. – Tu jest czek bankierski na sto florenów. Tu akt umowy o cesji zobowiązań, na mocy którego wyciągnę od Varnhagenów z Geso nagrodę za głowy bandytów. Podpisz. Dziękuję. Należy ci się jeszcze procent z wpływów z przedstawienia, ale nie zamknięto jeszcze rachunków, kassa wciąż brzęczy. Jest duże zainteresowanie, Leo. Naprawdę duże. Ludziom w moim miasteczku okrutnie dokuczają nuda i chandra.

Urwał, popatrzył na Ciri.

– Mam szczerą nadzieję, że się nie mylisz co do tej osoby. Że zapewni nam ona godziwą rozrywkę... Że zechce kooperować gwoli wspólnego zysku...

– Dla niej – Bonhart zmierzył Ciri obojętnym spojrzeniem – nie będzie w tym żadnego zysku. Ona o tym wie.

Houvenaghel skrzywił się i żachnął.

– To niedobrze, do diabła, niedobrze, że o tym wie! Nie powinna wiedzieć! Co z tobą, Leo? A jeśli ona nie zechce być rozrywkowa, jeśli okaże się złośliwie niespolegliwa? Co wtedy?

Bonhart nie zmienił wyrazu twarzy.

– Wtedy – powiedział – poszczujemy na nią na arenie twoje brytany. One, jak pamiętam, zawsze były rozrywkowo spolegliwe.

•

Ciri milczała długo, trąc okaleczony policzek.

– Zaczynałam rozumieć – powiedziała wreszcie. – Zaczynałam pojmować, co chcą ze mną zrobić. Spięłam się, byłam zdecydowana uciekać przy pierwszej sposobności... Gotowa byłam na każde ryzyko. Ale nie dali mi okazji. Pilnowali mnie dobrze.

Vysogota milczał.

– Zawlekli mnie na dół. Tam czekali goście tego grubego Houvenaghela. Następne oryginały! Skąd na świecie bierze się tylu dziwacznych rarogów, Vysogoto?

– Mnożą się. Dobór naturalny.

•

Pierwszy z mężczyzn był niski i grubiutki, przypominał raczej niziołka niż człowieka, nawet nosił się jak niziołek – skromnie, ładnie, schludnie i pastelowo. Drugi mężczyzna, choć niemłody, miał strój i postawę żołnierza, był przy mieczu, a na ramieniu jego czarnego kubraka błyszczał srebrny haft przedstawiający smoka o nietoperzych skrzydłach. Kobieta była jasnowłosa i chuda, miała lekko haczykowaty nos i wąskie wargi. Jej pistacjowej barwy suknia była mocno wydekoltowana. Nie był to najlepszy pomysł. Dekolt miał do pokazania niewiele, jeśli nie liczyć pomarszczonej i pergaminowo suchej skóry pokrytej grubą warstwą różu i blanszu.

– Jaśnie urodzona markiza de Nementh-Uyvar – przedstawił Houvenaghel. – Pan Declan Ros aep Maelchlad, rotmistrz rezerwy wojsk konnych jego imperatorskiej mości cesarza Nilfgaardu. Pan Pennycuick, burmistrz Claremont. A to pan Leo Bonhart, mój krewniak i dawny komiliton.

Bonhart ukłonił się sztywno.

– To więc jest owa mała rozbójniczka, która ma nas dziś zabawić – stwierdziła fakt chuda markiza, wpijając w Ciri bladoniebieskie oczy. Głos miała chrapliwy, seksownie wibrujący i okropnie przepity.

– Niezbyt piękna, rzekłabym. Ale nieźle zbudowana... Całkiem przyjemne... ciałeczko.

Ciri szarpnęła się, odepchnęła natrętną rękę, blednąc ze wściekłości i sycząc jak wąż.

– Proszę nie dotykać – rzekł zimno Bonhart. – Nie karmić. Nie drażnić. Nie biorę odpowiedzialności.

– Ciałeczko – markiza oblizała wargi, nie zwracając na niego uwagi – można zawsze przywiązać do łóżka, wtedy jest bardziej przystępne. Może byście mi ją odsprzedali, panie Bonhart? Lubimy z moim markizem takie ciałeczka, a pan Houvenaghel czyni nam wyrzuty, gdy chwytamy tutejsze pasterki i chłopskie dzieci. Markiz zresztą nie może

już polować na dzieciaki. Nie może biegać, a to z powodu tych szankrów i kondylomatów, które mu się w kroczu pootwierały...

– Dość, dość, Matyldo – rzekł łagodnie, ale szybko Houvenaghel, widząc na twarzy Bonharta wyraz rosnącego obrzydzenia. – Musimy już iść do teatru. Panu burmistrzowi doniesiono właśnie, że do miasta wjechał Windsor Imbra z oddziałem knechtów barona Casadei. Znaczy, na nas czas.

Bonhart wyciągnął z kalety flakonik, przetarł rękawem onyksowy blat stoliczka, wysypał na niego malutki wzgórek białego proszku. Przyciągnął Ciri za łańcuch przy obroży.

– Wiesz, jak tego używać?

Ciri zacisnęła zęby.

– Wciągnij do nosa. Albo weź na pośliniony palec i wetrzyj w dziąsło.

– Nie!

Bonhart nawet nie odwrócił głowy.

– Zrobisz to sama – powiedział cicho – albo zrobię to ja, ale takim sposobem, by wszyscy obecni mieli uciechę. Masz śluzówkę nie tylko w ustach i w nosie, Szczurzyco. W kilku innych zabawnych miejscach również. Zawołam pachołków, każę cię rozebrać, przytrzymać i użyję tych zabawnych miejsc.

Markiza de Nementh-Uyvar zaśmiała się gardłowo, patrząc, jak Ciri drżącą ręką sięga po narkotyk.

– Zabawne miejsca – powtórzyła i oblizała wargi. – Ciekawy pomysł. Warto by któregoś dnia wypróbować! Ejże, ejże, dziewczyno, ostrożnie, nie trwoń dobrego fisstechu! Zostaw trochę dla mnie!

•

Narkotyk był o wiele silniejszy od tego, którego próbowała u Szczurów. W kilka chwil po użyciu Ciri ogarnęła oślepiająca euforia, kształty wyostrzyły kontury, światło i barwy zakłuły oczy, zapachy podrażniły nos, dźwięki zrobiły się nieznośnie głośne, a wszystko dookoła stało się nierealne, ulotne niczym senne marzenie. Były schody, były śmierdzące ciężkim kurzem arrasy i tapiserie, był chrapliwy śmiech markizy de Nementh-Uyvar. Było podwórze, były szybkie krople deszczu na twarzy, szarpnięcie obroży, którą wciąż miała na szyi. Ogromny budynek z drewnianą wieżą i wielkim, obrzydliwie kiczowatym malunkiem na frontonie. Malunek przedstawiał psy kąsające potwora –

ni to smoka, ni to gryfa, ni to wiwernę. Przed wejściem do budynku byli ludzie. Jeden krzyczał i gestykulował.

– To wstrętne! Wstrętne i grzeszne, panie Houvenaghel, by będący niegdyś świątynią przybytek wykorzystywać do tak bezbożnego, nieludzkiego i obrzydliwego procederu! Zwierzęta też czują, panie Houvenaghel! Też mają swą godność! To zbrodnia, by dla zysku szczuć jedne na drugie ku uciesze gawiedzi!

– Uspokójcie się, świątobliwy mężu! I nie wtrącajcie mi się do prywatnej przedsiębiorczości! A tak w ogóle, to nie będzie się tu dziś szczuć zwierząt. Ani jednego zwierzęcia! Wyłącznie ludzie!

– A to przepraszam.

Wewnątrz budynku pełno było ludzi siedzących na rzędach ław tworzących amfiteatr. W jego centrum był wykopany w ziemi dół, koliste zagłębienie o średnicy jakichś trzydziestu stóp, ostemplowane grubymi balami, otoczone balustradą. Smród i hałas oszałamiały. Ciri znowu poczuła szarpnięcie obroży, ktoś chwycił ją pod pachy, ktoś popchnął. Nie wiedząc kiedy znalazła się na dnie ostemplowanego balami dołu, na mocno ubitym piasku.

Na arenie.

Pierwsze uderzenie minęło, teraz narkotyk jedynie podniecał i wyostrzał zmysły. Ciri przycisnęła dłonie do uszu – wypełniająca ławy amfiteatru ciżba huczała, buczała, gwizdała, hałas był nieznośny. Zobaczyła, że prawy przegub i przedramię opina jej ciasno skórzany ochraniacz. Nie pamiętała momentu, kiedy go jej zapinano.

Usłyszała znajomy przepity głos, zobaczyła chudą pistacjową markizę, nilfgaardzkiego rotmistrza, pastelowego burmistrza, Houvenaghela i Bonharta, zajmujących górującą nad areną lożę. Znowu chwyciła się za uszy, bo ktoś walnął nagle w miedziany gong.

– Spojrzyjcie, ludzie! Dziś na arenie nie wilk, nie goblin, nie endriaga! Dziś na arenie mordercza Falka z bandy Szczurów! Zakłady przyjmuje kassa przy wejściu! Nie żałujcie grosza, ludzie! Rozrywki nie zjesz, nie wypijesz, ale jeśli na nią poskąpisz, nie zyskasz, a stracisz!

Tłum ryczał i klaskał. Narkotyk działał. Ciri dygotała z euforii, jej wzrok i słuch rejestrowały wszystko, każdy szczegół. Słyszała rechot Houvenaghela, przepity śmiech markizy, poważny głos burmistrza, zimny bas Bonharta, wrzaski kapłana obrońcy zwierząt, piski kobiet, płacz dziecka. Widziała ciemne zacieki krwi na ogradzających arenę

balach, ziejącą w nich zakratowaną, śmierdzącą dziurę. Błyszczące od potu, bydlęco wykrzywione gęby nad balustradą.

Nagłe poruszenie, podniesione głosy, przekleństwa. Zbrojni ludzie, rozpychający tłum, ale grzęznący, utykający na murze straży uzbrojonej w partyzany. Jednego z tych ludzi widziała już, pamiętała smagłą twarz i czarny wąsik wyglądający jak kreska namalowana węglem nad drgającą w tiku górną wargą.

– Pan Windsor Imbra? – głos Houvenaghela. – Z Geso? Seneszal jaśnie urodzonego barona Casadei? Witamy, witamy zagranicznych gości. Zajmijcie miejsce, widowisko zaraz się zacznie. Ale nie zapomnijcie, proszę, zapłacić przy wejściu!

– Ja tu nie na rozrywki, panie Houvenaghel! Ja tu po sprawach służby! Bonhart wie, o czym mówię!

– Doprawdy? Leo? Wiesz, o czym mówi pan seneszal?

– Bez kpin! Nas tu piętnastu jest! Po Falkę przyjechaliśmy! Dawajcie nam ją, bo będzie źle!

– Nie pojmuję twej ekscytacji, Imbra – zmarszczył brwi Houvenaghel. – Ale zwracam uwagę, tu nie Geso ani ziemie waszego barona sobiepana. Będziecie hałasy czynić i inkomodować, to was każę stąd bizunami przepędzić!

– Bez urazy, panie Houvenaghel – zmitygował się Windsor Imbra. – Ale prawo za nami! Obecny tu Bonhart przyobiecał Falkę panu baronowi Casadei. Słowo dał. Niechże się z danego słowa wywiąże!

– Leo? – Houvenaghel zatrząsł policzkami. – Wiesz, o czym on gada?

– Wiem i rację mu przyznaję. – Bonhart wstał, niedbale machnął ręką. – Nie będę oponował ani czynił subiekcji. Dziewczyna ot, gdzie, wszyscy widzą. Komu wola, niech ją bierze.

Windsor Imbra osłupiał, warga zadrgała mu silnie.

– Że jak?

– Dziewczyna – powtórzył Bonhart, mrugając do Houvenaghela – jest dla tego, kto ją zechce z areny zabrać. Żywą lub martwą, podług gustu i smaku.

– Że jak?

– Psiakrew, pacjencję tracę pomału! – Bonhart udatnie udał złość. – Nic, ino jak i jak! Katarynka cholerna! Jak? A tak, jak sobie chcesz! Wola twoja, to mięso zatruj jadem, rzuć jej, jak wilczycy. Ale nie wiem, czy ona zeżre. Na głupią nie wygląda, co? Nie, Imbra. Kto chce ją dostać,

musi się do niej sam pofatygować. Tam, na arenę. Chcesz Falki? To bierz ją!

– Ty mi tę Falkę pod nos podsuwasz, niby sumowi żabę na wędzie – zawarczał Windsor Imbra. – Nie ufam ci, Bonhart. Nosem czuję, że żelazny hak w tej przynęcie ukryty siedzi!

– Czułego na żelazo nosa pogratulować. – Bonhart wyjął spod ławy otrzymany w Fano miecz, wyciągnął go z pochwy i rzucił na arenę, tak zręcznie, że brzeszczot wbił się w piasek pionowo, dwa kroki przed Ciri. – Ot, jest i żelazo. Jawne, wcale nie ukryte. Bo ja o tę dziewkę nie stoję, kto chce, niech ją bierze. Jeśli ją wziąć zdoła.

Markiza de Nementh-Uyvar zaśmiała się nerwowo.

– Jeśli ją wziąć zdoła! – powtórzyła swym przepitym kontraltem. – Bo teraz już ciałeczko ma miecz. Brawo, mości Bonhart. Wstrętnym mi się zdawało ciałeczko bezbronne wydać na pastwę tych łapserdaków.

– Panie Houvenaghel – Windsor Imbra wziął się pod boki, nie zaszczycając chudej arystokratki nawet spojrzeniem. – To pod pańską się auspicją te jasełka wyprawia, bo wżdy teatrum wasze. Rzeknijcie mi jeno, wedle czyich reguł i prawideł igrać tu mamy, waszychli czy też Bonhartowych?

– Według teatralnych – zarechotał Houvenaghel, trzęsąc brzuchem i buldożymi policzkami. – Bo choć prawdą jest, że teatrum moje, to wszakże klient nasz pan, on płaci, on wymaga! To klient ustanawia reguły. My zaś, kupcy, wedle tych reguł postępować musimy: czego klient żąda, to trzeba jemu dać.

– Klient? Znaczy, te ludzie? – Windsor Imbra szerokim gestem powiódł po wypełnionych ławach. – Te wszystkie ludzie przyszli tu i zapłacili, by się dziwowisku dziwować?

– Interes jest interes – odrzekł Houvenaghel. – Jeśli jest na coś popyt, czemu tego nie sprzedawać? Płacą ludzie za bój wilków? Za walki endriag i aardvarków? Za szczwanie psów na borsuka w beczce albo na wiwernę? Czemu ty się tak dziwisz, Imbra? Ludziom igrzyska i hece są jak chleb potrzebne, ba, bardziej aniżeli chleb. Wielu z tych, co tu przyszli, od ust sobie odjęło. A spójrz na nich, jak im się oczy świecą. Doczekać się nie mogą, by się heca zaczęła.

– Ale na hecy – dodał Bonhart, uśmiechnięty zjadliwie – pozory choć sportu zachowane być muszą. Jaźwiec nim go sobaki z beczki wywleką,

może kąsać zębiskami, tak jest sportowo. A dziewczyna ma klingę. Niech i tu będzie sportowo. Co, dobrzy ludzie? Mam rację?

Dobrzy ludzie nieskładnym, acz gromkim i radosnym chórem potwierdzili, że Bonhart ma rację w całej rozciągłości.

– Baron Casadei – rzekł wolno Windsor Imbra – nierad będzie, panie Houvenaghel, ręczę wam, że będzie nierad. Nie wiem, czy warto wam w zwadę z nim wchodzić.

– Interes jest interes – powtórzył Houvenaghel i poruszył policzkami. – Baron Casadei wie o tym dobrze, siła pieniędzy on u mnie na mały procent pożyczył, a gdy przyjdzie, by jeszcze pożyczyć, wtedy jakoś nasze zwady załadzimy. Ale nie będzie mi się jakiś zagraniczny pan baron wtrącał w prywatną i indywidualną przedsiębiorczość. Tu są zakłady porobione, a ludzie za wejście zapłacili. W ten piasek, tam, na arenie, musi wsiąknąć krew.

– Musi? – rozdarł się Windsor Imbra. – Łajno psie! Ot, korci mnie, by wam pokazać, że nie musi wcale! Ot, wyjdę stąd i precz sobie pojadę, wstecz się ani oglądając. Wtedy własną se tu krew wytaczajcie! Mnie mierzi sama myśl, by motłochowi uciechy przysparzać!

– Niechże idzie. – Z tłumu wystąpił nagle zarośnięty aż po oczy typ w kubraku z końskiej skóry. – Niechże idzie, jeśli jego mierzi. Mnie tam nie mierzi. Mówili, że kto tę Szczurzycę usiecze, weźmie nagrodę. Ja się zgłaszam i na arenę wchodzę.

– A takiego! – zawrzasnął nagle jeden z ludzi Imbry, niewysoki, lecz żylasty i mocno zbudowany mężczyzna. Włosy miał bujne, potargane i skołtunione. – Myśwa pierwsi byli! Prawda, chłopy?

– Ba, wierę! – zawtórował drugi, chudy, ze spiczastą bródką. – Przy nas pierwszeństwo! A ty się honorem nie unoś, Windsor! Co z tego, że czerń się przygląda? Falka na arenie, wystarczy rękę wyciągnąć i wziąć. A chamstwo niech wytrzeszcza gały, nam pluć na to!

– I jeszcze nam coś skapnąć na boku gotowo! – zarżał trzeci, ustrojony w dublet o żywej barwie amarantu. – Jak sport, to sport, nie tak li, panie Houvenaghel? Jak heca, to heca! Była tu o jakiejsi nagrodzie mowa!

Houvenaghel uśmiechnął się szeroko i przytaknął kiwnięciem głowy, dumnie i majestatycznie trzęsąc obwisłymi policzkami.

– A jak – zaciekawił się ten z bródką – zakłady stoją?

– Na razie – zaśmiał się kupiec – wyniku walki jeszcze się nie obstawia! Na razie jeno trzy do jednego stoi, że ni jeden z was nie ośmieli się wejść do ogrodzieńca.

– Phuuuu! – wrzasnął Końska Skóra. – Ja się ośmielę! Jam gotów!

– Usuń się, rzekłem! – odwrzasnął Kołtun. – Myświa pierwsi byli i przy nas pierwszeństwo. Dalejże, na co czekamy?

– W ilu możem tam do niej, na plac? – Amarant okręcił pas. – Azali tylko pojedyńczo lża?

– Ach, wy skurwysyny! – ryknął nagle całkiem niespodziewanie pastelowy burmistrz, byczym głosem zupełnie nie przystającym do postury. – Może w dziesięciu chcecie na nią samojedną? Może konno? Może na rydwanach? Może wam katapultę z cekhauzu wypożyczyć, byście z daleka głazami w dziewkę miotać mogli? Co?

– Dobra, dobra – przerwał Bonhart, konsultując coś szybko z Houvenaghelem. – Niechaj będzie sport, ale i uciecha jakaś też niech będzie. Można po dwu. Parą, znaczy.

– Ale nagroda – uprzedził Houvenaghel – nie będzie podwojona! Jeśli we dwu, to będzie się trzeba podzielić.

– Jaką parą? Jakie we dwu? – Kołtun gwałtownym ruchem strząsnął z ramion płaszcz. – Nie wstyd wam, chłopy? Toż to tylko dziewka! Tfu! Odsuńta się. Sam pójdę i położę ją. Wielki mi szysz!

– Ja chcę Falkę mieć żywą! – zaprotestował Windsor Imbra. – Cholera na wasze walki i pojedynki! Ja na Bonhartową hecę nie pójdę, ja chcę dziewki! Żywej! Pójdziecie we dwu, ty i Stavro. I wywleczecie ją stamtąd.

– Dla mnie – powtórzył Stavro, ten z bródką – despekt jest we dwóch iść na tego chuderlawca.

– Baron ci ten despekt florenami osłodzi. Ale tylko za żywą!

– Znaczy się, baron jest skąpiec – zarechotał Houvenaghel, trzęsąc brzuchem i buldożymi policzkami. – I ducha sportowego nie ma w nim ni krztyny. Ani woli, by u innych ducha nagradzać! Ja zaś sport popieram. I niniejszym nagrodę podwyższam. Kto samojeden na tę arenę wejdzie i sam, na własnych nogach, z niej zejdzie, tą oto ręką, z tego oto puzdra nie dwadzieścia, ale trzydzieści florenów mu wypłacę.

– Na co tedy czekamy? – wrzasnął Stavro. – Ja idę pierwszy!

– Wolnego! – zaryczał znowu mały burmistrz. – Dziewka ma jeno cienki len na grzbiecie! Skiń tedy i ty brygantynę, żołnierzu. To jest sport!

– Mór na was! – Stavro zdarł z siebie nabijany żelazem kaftan, po czym ściągnął koszulę poprzez głowę, odsłaniając chude, zarośnięte jak u pawiana ramiona i pierś. – Mór na was, wielmożni, i na wasz sport zasrany! Tak pójdę, z gołą skórą! O wa! Portki też zdjąć?

– Zdejmij i femurały! – wychrypiała seksownie markiza de Nementh-Uyvar. – Okaże się, czyliś męski nie jedynie w gębie!

Nagrodzony hucznym aplauzem goły do pasa Stavro dobył broni, przełożył nogę przez bale bariery, uważnie obserwując Ciri. Ciri skrzyżowała ręce na piersi. Nie zrobiła nawet kroku w stronę wbitego w piasek miecza. Stavro zawahał się.

– Nie rób tego – powiedziała Ciri bardzo cicho. – Nie zmuszaj mnie... Ja nie pozwolę się dotknąć.

– Nie miej żalu, dziewko. – Stavro przeskoczył przez barierę. – Nic do ciebie nie mam. Ale interes jest interes...

Nie dokończył, bo Ciri już była przy nim, już miała w ręku Jaskółkę – tak już w myśli nazywała gnomi gwyhyr. Zastosowała najprostszy, dziecinny wręcz wypad, fintę zwaną „trzy kroczki" – ale Stavro dał się na to złapać. Zrobił krok do tyłu i odruchowo uniósł miecz, a wtedy był już na jej łasce – po odskoku oparł się plecami o ogradzające arenę bale, a ostrze Jaskółki miał o cal od czubka nosa.

– Ta sztuczka – wyjaśnił Bonhart markizie, przekrzykując ryk i brawa – nazywa się „trzy kroczki, zmyłka i wypad tercją". Tani numer, oczekiwałem od dziewki czegoś bardziej wyrafinowanego. Ale trzeba przyznać – gdyby chciała, typek już by nie żył.

– Zabij go! Zabij! – darli się widzowie, a Houvenaghel i burmistrz Pennycuick pokazywali kciuk skierowany w dół. Z twarzy Stavro odpłynęła krew, na policzkach brzydko uwidoczniły się pryszcze i dzioby po ospie.

– Mówiłam ci, nie zmuszaj mnie – syknęła Ciri. – Nie chcę cię zabijać! Ale nie pozwolę się dotknąć. Wracaj tam, skądżeś przyszedł.

Cofnęła się, odwróciła, opuściła miecz i spojrzała w górę, w stronę loży.

– Bawicie się mną? – krzyknęła łamiącym się głosem. – Chcecie mnie zmusić do walki? Do zabijania? Nie zmusicie! Nie będę walczyć!

– Słyszałeś, Imbra? – rozbrzmiał w ciszy drwiący głos Bonharta. – Czysty zysk! I żadnego ryzyka! Ona nie będzie walczyć. Można ją więc

zabrać z areny i zawieźć żywą baronowi Casadei, by sobie z nią poigrał do woli. Można ją brać bez hazardu! Gołą ręką!

Windsor Imbra splunął. Wciąż przyciśnięty plecami do bali Stavro dyszał, ściskając miecz w dłoni. Bonhart zaśmiał się.

– Ale ja, Imbra, stawiam brylanty przeciw orzechom, że się wam to nie uda.

Stavro odetchnął mocno. Wydało mu się, że odwrócona do niego plecami dziewczyna jest rozkojarzona, zdekoncentrowana. Wrzał z gniewu, wstydu i nienawiści. I nie wytrzymał. Zaatakował. Szybko i zdradziecko.

Widownia nie zauważyła uniku i odwrotnego ciosu. Zobaczyła tylko, jak rzucający się na Falkę Stavro wykonuje nagle iście baletowy podskok, po którym w mało baletowy sposób pada brzuchem i twarzą w piach, a piach momentalnie nasiąka krwią.

– Instynkty biorą górę! – przekrzyczał tłum Bonhart. – Odruchy działają! Co, Houvenaghel? Nie mówiłem? Zobaczysz, brytany nie będą potrzebne!

– Cóż za piękne i zyskowne widowisko. – Houvenaghel aż zmrużył oczy z rozkoszy.

Stavro uniósł się na drgających z wysiłku ramionach, zaszamotał głową, zakrzyczał, zachrypiał, rzygnął krwią i opadł na piasek.

– Jak się nazywał ten cios, mości Bonhart? – seksownie wychrypiała markiza de Nementh-Uyvar, pocierając kolanem o kolano.

– To była improwizacja. – Spod wargi łowcy nagród, który w ogóle na markizę nie patrzył, błysnęły zęby. – Piękna, twórcza i wręcz, rzekłbym, wisceralna improwizacja. Słyszałem o miejscu, gdzie uczą takiego improwizowanego wypruwania flaków. Założę się, że nasza panienka zna to miejsce. Ja już wiem, kim ona jest.

– Nie zmuszajcie mnie! – wrzasnęła Ciri, a w głosie jej zadygotała iście upiorna nuta. – Nie chcę! Rozumiecie? Nie chcę!

– Ty dziwko z piekła rodem! – Amarant zwinnie przeskoczył barierę, momentalnie okrążając arenę, by odwrócić uwagę Ciri od wskakującego z przeciwnej strony Kołtuna. Za Kołtunem barierę przesadził Końska Skóra.

– Nieczysta gra! – zaryczał czuły na czystość gier mały jak niziołek burmistrz Pennycuick, a wraz z nim ryczał tłum.

– Trzech na nią idzie! Nieczysta gra!

Bonhart zaśmiał się. Markiza oblizała wargi i zaczęła mocniej przebierać nogami.

Plan trójki był prosty – przyprzeć cofającą się dziewczynę do bali, a potem dwóch blokuje, trzeci zabija. Nic z tego nie wyszło. Z prostej przyczyny. Dziewczyna nie cofnęła się, lecz zaatakowała.

Wśliznęła się między nich baletowym piruetem, tak zwiewnie, że prawie nie znacząc piasku. Kołtuna uderzyła w przelocie, dokładnie tam, gdzie należało uderzyć. W tętnicę szyjną. Cięcie było tak lekkie, że nie straciła rytmu, tanecznie wywinęła się w odwrotny zwód tak szybko, że nie spadła na nią nawet kropla krwi, buchającej z szyi Kołtuna strumieniem długim niemal na sążeń. Amarant, który znalazł się za nią, chciał rąbnąć ją w kark, ale zdradziecki cios zadzwonił o błyskawiczną paradę wyrzuconej za plecy klingi. Ciri odwinęła się jak sprężyna, cięła oburącz, wzmacniając siłę ciosu ostrym skrętem bioder. Ciemna gnomia klinga była jak brzytwa, rozchlastała brzuch z sykiem i mlaśnięciem. Amarant zawył i runął na piach, zwijając się w kłębek. Końska Skóra, doskakując, zadał dziewczynie sztych w gardło, ona zaś wywinęła się w uniku, obróciła płynnie i krótko sieknęła go środkiem klingi w twarz, rozwalając oko, nos, usta i podbródek.

Widownia wrzeszczała, gwizdała, tupała i wyła. Markiza de Nementh-Uyvar włożyła obie dłonie pomiędzy ściśnięte uda, oblizywała błyszczące wargi i śmiała się przepitym, nerwowym kontraltem. Nilfgaardzki rotmistrz rezerwy był blady jak welinowy papier. Jakaś kobieta próbowała zasłonić oczy wyrywającemu się dzieciakowi. Siwy staruszek z pierwszego rzędu wymiotował gwałtownie i głośno, opuściwszy głowę między kolana.

Końska Skóra łkał, trzymając się za twarz, spod palców lała się zmieszana ze śliną i śluzem posoka. Amarant tarzał się i kwiczał jak wieprz. Kołtun przestał drapać bale, śliskie od krwi, posikującej z niego w takt skurczów serca.

– Ratuuujtaaaa! – wył Amarant, kurczowo przytrzymując wywalające się z brzucha wnętrzności. – Kamraaaty! Ratuuuuujtaaaaa!

– Phyyy.. bhuuu... bhyyy... – pluł i smarkał krwią Końska Skóra.

– Za-bij-go! Za-bij-go! – skandowała widownia, tupiąc do rytmu. Rzygającego staruszka zepchnięto z ławki i wykopano do galerii.

– Brylanty przeciw orzechom – rozległ się wśród rejwachu drwiący bas Bonharta – że nikt już nie odważy się wejść na arenę. Brylanty

przeciw orzechom, Imbra! A, co mi tam – nawet przeciw pustym orzechom!

– Za-bić! – Ryk, tupanie, klaskanie. – Za-bić!

– Mościa panno! – zawrzasnął Windsor Imbra, gestami przywołując podkomendnych. – Poranionych pozwól zabrać! Pozwól wejść na arenę i zabrać ich, nim się wykrwawią i pomrą! Bądźże ludzka, mościa panno!

– Ludzka – powtórzyła z wysiłkiem Ciri, czując, jak dopiero teraz zaczyna bić w nią adrenalina. Opanowała się szybko, serią wyuczonych oddechów.

– Wejdźcie i zabierzcie ich – powiedziała. – Ale wejdźcie bez broni. Bądźcie i wy ludzcy. Chociaż raz.

– Nieeeee! – ryczał i skandował tłum. – Za-bić! Za-bić!

– Wy podłe bydlaki! – Ciri odwróciła się tanecznie, wiodąc wzrokiem po trybunach i ławkach. – Wy nikczemne świnie! Wy kanalie! Wy skurwysyny parszywe! Chcecie krwi? Chodźcie tu, zejdźcie, posmakujcie i powąchajcie! Wyliżcie, póki nie skrzepła! Bydlaki! Wampiry!

Markiza jęknęła, zadygotała, przewróciła oczami i miękko przylgnęła do Bonharta, nie wyjmując rąk spomiędzy ud. Bonhart skrzywił się i odsunął ją od siebie, wcale nie siląc się na delikatność. Tłum wył. Ktoś rzucił na arenę pogryzioną kiełbasę, ktoś inny but, jeszcze ktoś cisnął ogórkiem, celując w Ciri. Rozsiekła ogórek uderzeniem miecza, wzbudzając jeszcze głośniejszy ryk.

Windsor Imbra i jego ludzie podnieśli Amaranta i Końską Skórę. Amarant, gdy go ruszono, zaryczał, Końska Skóra natomiast zemdlał. Kołtun i Stavro nie dawali już żadnych znaków życia. Ciri cofnęła się tak, by stać jak najdalej, jak tylko pozwalała arena. Ludzie Imbry też starali się trzymać od niej na dystans.

Windsor Imbra stał nieruchomo. Czekał, aż wytaszczą rannych i zabitych. Patrzył na Ciri spod zmrużonych powiek, a dłoń miał na rękojeści miecza, którego mimo przyrzeczenia nie odpasał, wchodząc na arenę.

– Nie – ostrzegła, ledwo poruszając wargami. – Nie zmuszaj mnie. Proszę.

Imbra był blady. Tłum tupał, ryczał i wył.

– Nie słuchaj jej! – Bonhart znowu przekrzyczał rejwach. – Dobądź miecza! W przeciwnym razie pójdzie w świat, żeś tchórz i zasraniec! Od

Alby po Jarugę głośno będzie, że Windsor Imbra uciekł przed małoletnią dziewczyną, podkuliwszy ogon jak kundel!

Klinga Imbry na cal wysunęła się z pochwy.

– Nie – powiedziała Ciri.

Klinga schowała się.

– Tchórz! – zaryczał ktoś z tłumu. – Gównojad! Zajęcza skóra!

Imbra z kamienną twarzą podszedł do skraju areny. Nim chwycił wyciągnięte z góry ręce kamratów, odwrócił się jeszcze raz.

– Chyba wiesz, co cię czeka, dziewko – powiedział cicho. – Chyba już wiesz, kim jest Leo Bonhart. Chyba już wiesz, co Leo Bonhart potrafi. Co go podnieca. Będziesz wypychana na areny. Będziesz zabijać na uciechę takim świniom i swołoczom, jak te tutaj. I jeszcze gorszym od nich. A gdy już to, że ty zabijasz, przestanie ich bawić, gdy Bonharta znudzi zadawany ci gwałt, wtedy zabiją ciebie. Wypuszczą na arenę tylu, że nie zdołasz obronić pleców. Albo wypuszczą psy. I psy cię roztargają, a czerń na widowni będzie niuchać krew i bić brawo. A ty zdechniesz na ubroczonym piasku. Tak, jak dzisiaj ci, których posiekałaś. Wspomnisz moje słowa.

Dziwne, ale dopiero teraz zwróciła uwagę na niewielką tarczę herbową na jego emaliowanym ryngrafie.

Srebrny wspięty jednorożec na czarnym polu.

Jednorożec.

Ciri opuściła głowę. Patrzyła na ażurową klingę miecza.

Nagle zrobiło się bardzo cicho.

– Na Wielkie Słońce – odezwał się nagle milczący do tej pory Declan Ros aep Maelchlad, nilfgaardzki rotmistrz rezerwy. – Nie. Nie rób tego, dziewczyno. *Ne tuv'en que'ss, luned!*

Ciri powoli obróciła Jaskółkę w dłoni, oparła głowicę o piasek. Zgięła kolano. Przytrzymując brzeszczot prawą dłonią, lewą precyzyjnie wycelowała sztych pod mostek. Ostrze momentalnie przebiło odzież, ukłuło.

Tylko się nie rozpłakać, pomyślała Ciri, coraz silniej napierając na miecz. Tylko nie płakać, nie ma po czym i nad czym. Jeden mocny ruch i będzie po wszystkim... Po wszystkim...

– Nie zdołasz – rozległ się w zupełnej ciszy głos Bonharta. – Nie zdołasz, wiedźminko. W Kaer Morhen nauczyli cię zabijać, więc zabijasz

jak maszyna. Odruchowo. Do tego, by zabić siebie, trzeba charakteru, siły, determinacji i odwagi. A tego oni nie mogli cię nauczyć.

•

– Jak widzisz, miał rację – powiedziała z wysiłkiem Ciri. – Nie zdołałam.

Vysogota milczał. Trzymał skórkę nutrii. Nieruchomo. Od dłuższego czasu. Niemal zapomniał o tej skórce, słuchając.

– Stchórzyłam. Byłam tchórzem. I zapłaciłam za to. Tak, jak płaci każdy tchórz. Bólem, hańbą, paskudnym upokorzeniem. I okropnym wstrętem do siebie samej.

Vysogota milczał.

•

Gdyby tej nocy ktoś podkradł się do chaty z zapadniętą strzechą, gdyby zajrzał przez szparę w okiennicy, zobaczyłby w skąpo oświetlonym wnętrzu białobrodego starca i popielatowłosą dziewczynę, siedzących przy kominie. Spostrzegłby, że oboje milczą, zapatrzeni w żarzące się rubinowo węgle.

Ale tego nikt nie mógł zobaczyć. Chata z zapadniętą i omszałą strzechą była dobrze ukryta wśród mgieł i oparów, wśród bezkresnych trzcinowisk, na moczarach Pereplutu, dokąd nikt nie odważał się zapuszczać.

Kto przelewa krew człowieka, tego krew przez człowieka będzie przelana.

Genesis, 9,6

Wielu spośród żyjących zasługuje na śmierć. A niejeden z tych, którzy umierają, zasługuje na życie. Czy możesz ich nim obdarzyć? Nie bądź więc tak pochopny w ferowaniu wyroków śmierci. Nawet bowiem najmądrzejszy z Mędrców nie wszystko wie.

John Ronald Reuel Tolkien

Zaiste, wielkiego trzeba zadufania i wielkiego zaślepienia, by posokę lejącą się z szafotu nazywać sprawiedliwością.

Vysogota z Corvo

Rozdział piąty

– Czego wiedźmin szuka na moim terenie? – powtórzył pytanie Fulko Artevelde, prefekt z Riedbrune, wyraźnie już zniecierpliwiony przedłużającą się ciszą. – Skąd wiedźmin przybywa? Dokąd zmierza? W jakim celu?

Tak oto kończy się zabawa w dobre uczynki, pomyślał Geralt, patrząc na poznaczone zgrubiałymi bliznami oblicze prefekta. Tak kończy się odgrywanie szlachetnego wiedźmina gwoli miłosierdzia dla bandy zafajdanych leśnych ludzi. Tak kończy się pragnienie luksusu i nocowanie w oberżach, w których zawsze znajdzie się szpicel. Takie są skutki podróżowania z gadułą wierszokletą. Oto siedzę teraz w przypominającym celę pomieszczeniu bez okien, na twardym, przymocowanym do podłogi krześle dla przesłuchiwanych, a na oparciu tego krzesła, nie sposób tego nie zauważyć, są uchwyty i skórzane paski. Do skrępowania rąk i unieruchomienia szyi. Na razie nie użyto ich, ale są.

I jak, do jasnej cholery, mam się teraz z wywinąć z tej kabały?

•

Gdy po pięciu dniach wędrówki z zarzeckimi bartnikami wychynęli wreszcie z puszczy i weszli na podmokłe czahary, deszcz przestał padać, wiatr rozgonił opar i mokrą mgłę, słońce przebiło się przez chmury. A w słońcu błysnęły śnieżną bielą szczyty gór.

Jeśli jeszcze nie tak dawno rzeka Jaruga była dla nich wyraźną cezurą, granicą, której przekroczenie stanowiło rzucające się w oczy przejście do dalszego, poważniejszego etapu wyprawy, tak teraz jeszcze silniej poczuli, że oto zbliżają się do kresu, do bariery, do miejsca, z którego można już tylko się cofać. Czuli to wszyscy, z Geraltem na czele – nie można było inaczej, od rana do wieczora mając przed oczyma wznoszący się na południu i zagradzający szlak potężny, zębaty, jarzący się śniegami i lodowcami łańcuch górski. Góry Amell. I wznoszący się nawet ponad piłę Amellu groźnie majestatyczny, graniasty jak ostrze mizerykordii obelisk Gorgony, Góry Diabła. Nie rozmawiali na ten temat, nie dyskutowali, ale Geralt czuł, co wszyscy myślą. Bo jemu, gdy patrzył na łańcuch Amellu i Gorgonę, myśl o kontynuowaniu marszu na południe również zdawała się najczystszej wody wariactwem.

Szczęściem, nagle okazało się, że nie będzie musu iść dalej na południe.

Wiadomość tę przyniósł im ów kudłaty puszczański bartnik, za sprawą którego przez pięć ostatnich dni występowali jako zbrojna eskorta pochodu. Ów małżonek i ojciec urodziwych hamadriad, przy których wyglądał jak dzik przy klaczach. Ten, który próbował ołgać ich, twierdząc, że druidzi z Caed Dhu powędrowali na Stoki.

Było to nazajutrz po przybyciu do rojnego jak mrowisko miasteczka Riedbrune będącego celem marszu bartników i traperów z Zarzecza. Było to nazajutrz po pożegnaniu z eskortowanymi bartnikami, którym wiedźmin nie był już potrzebny i dlatego nie spodziewał się już więcej nikogo z nich oglądać. Tym większe było jego zdumienie.

Bartnik bowiem zaczął od wylewnych wyrazów podzięki i wręczenia Geraltowi mieszka pełnego raczej drobnych pieniędzy, jego wiedźmińskiej zapłaty. Przyjął, czując na sobie drwiący nieco wzrok Regisa i Cahira, którym nieraz podczas marszu uskarżał się na niewdzięczność ludzką i podkreślał bezsens tudzież głupotę bezinteresownego altruizmu.

I wtedy podekscytowany bartnik wręcz wykrzyczał nowinę: ten tego, jemiolarze, znaczy druidzi, siedzą, panie wiedźminie kochany, ten tego,

w dąbrowach nad jeziorem Loc Monduirn, które to jezioro znajduje się, ten tego, trzydzieści pięć mil w kierunku zachodnim.

Wieści te bartnik zdobył w punkcie skupu miodu i wosku od mieszkającego w Riedbrune krewniaka, a krewniak z kolei miał te informacje od znajomego, będącego poszukiwaczem diamentów. Gdy zaś bartnik dowiedział się o druidach, co tchu pobiegł, by powiadomić. I teraz aż promieniał szczęściem, dumą i poczuciem ważności, jak każdy łgarz, gdy jego łgarstwo przypadkowo okazuje się prawdą.

Geralt miał początkowo zamiar ruszyć nad Loc Monduirn bez chwili zwłoki, ale kompania żywo zaprotestowała. Dysponując pieniędzmi od bartników, oświadczyli Regis i Cahir, i znajdując się w mieście, gdzie handluje się wszystkim, należy uzupełnić prowiant i ekwipunek. I dokupić strzał, dodała Milva, bo od niej ciągle wymaga się dziczyzny, a ona nie będzie strzelać zastruganymi patykami. Chociaż jedną noc przespać się w łóżku w zajeździe, dodał Jaskier, położywszy się do tego łóżka po kąpieli i z miłym piwnym rauszem.

Druidzi, uznali wszyscy chórem, nie uciekną.

– Choć jest to absolutny zbieg okoliczności – dodał z dziwnym uśmiechem wampir Regis – ale nasza drużyna jest na absolutnie właściwej drodze, zmierza w absolutnie właściwym kierunku. Jest nam zatem ewidentnie i absolutnie przeznaczone, by do druidów trafić, dzień lub dwa zwłoki nie mają znaczenia.

– Co się zaś tyczy pośpiechu – dołożył filozoficznie – to wrażenie, że czas okropnie nagli, jest zazwyczaj sygnałem alarmowym, nakazującym zwolnić tempo, działać pomału i z należytym rozmysłem.

Geralt nie oponował i nie kłócił się. Z filozofią wampira też nie, chociaż nawiedzające go nocami dziwaczne senne koszmary raczej skłaniały do pośpiechu. Pomimo faktu, że treści tych koszmarów nie był sobie w stanie przypomnieć po przebudzeniu.

Był siedemnasty września, pełnia. Do jesiennego Ekwinokcjum zostawało sześć dni.

•

Milva, Regis i Cahir wzięli na siebie zadanie poczynienia zakupów i skompletowania ekwipunku. Geralt i Jaskier mieli zaś przeprowadzić wywiad i zasięgnąć języka w miasteczku Riedbrune.

Położone w zakolu rzeki Newi Riedbrune było miasteczkiem niewielkim, jeśli brać pod uwagę zwartą murowaną i drewnianą zabudowę wewnątrz pierścienia najeżonych palisadą wałów ziemnych. Ale zwarta zabudowa za wałami stanowiła obecnie tylko centrum miasta, a żyć mogła tu nie więcej niż jedna dziesiąta populacji. Dziewięć dziesiątych bytowało zaś w hałaśliwym morzu otaczających wały chat, chałup, szałasów, bud, szop, namiotów i służących jako mieszkania wozów.

Za cicerone służył wiedźminowi i poecie krewniak bartnika, młody, cwany i arogancki, typowy egzemplarz miejskiego obijbruka, który w rynsztoku się rodził, w niejednym rynsztoku się kąpał i w niejednym pragnienie gasił. W miejskim zgiełku, tłoku, brudzie i smrodzie czuł się ów młodzian jak pstrąg w krystalicznej górskiej bystrzynie, a możliwość oprowadzenia kogoś po swym odrażającym mieście ewidentnie go radowała. Nie przejmując się faktem, że nikt o nic go nie pyta, ulicznik z zapałem udzielał wyjaśnień. Wyjaśnił, że Riedbrune stanowi ważny etap dla osadników nilfgaardzkich, wędrujących na północ po przyobiecane przez cesarza nadanie: cztery łany, czyli lekko licząc pięćset mórg. I do tego jeszcze dziesięcioletnią wolniznę podatkową. Riedbrune leży bowiem w wylocie przecinającej Góry Amell doliny Dol Newi, poprzez przełęcz Theodulę łączącej Stoki i Zarzecze z Mag Turga, Geso, Metinną i Maecht, krajami już od dawna podległymi nilfgaardzkiemu imperium. Miasto Riedbrune, wyjaśnił ulicznik, jest dla osadników ostatnim miejscem, w którym mogą jeszcze liczyć na coś więcej niż tylko na siebie, na swą babę i na to, co mają na wozach. Dlatego też większość osadników dość długo koczuje pod miastem, nabierając oddechu do ostatniego skoku nad Jarugę i za Jarugę. A sporo z nich, dodał ulicznik z dumą rynsztokowego patrioty, zostaje w mieście na stałe, bo miasto to ho-ho, kultura, nie jakieś wiejskie, cuchnące gnojem zadupie.

Miasto Riedbrune tęgo cuchnęło, gnojem również.

Geralt był tu kiedyś, przed laty, ale nie poznawał. Za dużo się zmieniło. Dawniej nie widziało się tylu kawalerzystów w czarnych pancerzach i płaszczach, ze srebrnymi emblematami na naramiennikach. Dawniej nie rozbrzmiewała zewsząd nilfgaardzka mowa. Dawniej nie było tuż pod miastem kamieniołomu, w którym obdarci, brudni, wynędzniali i pokrwawieni ludzie łupali głazy na cios i tłuczeń, smagani batami przez czarno odzianych nadzorców.

Stacjonuje tu sporo nilfgaardzkiego wojska, wyjaśnił ulicznik, ale nie na stałe, tylko w czasie przerw w przemarszach i pościgach za partyzantami z organizacji „Wolne Stoki". Silną nilfgaardzką załogę przyślą tutaj, gdy stanie już wielka murowana twierdza w miejscu starego gródka. Twierdza z kamienia dobywanego w kamieniołomie. Ci, co łupią kamień, to jeńcy wojenni. Z Lyrii, z Aedirn, ostatnio z Sodden, Brugge, Angrenu. I z Temerii. Tu, w Riedbrune, trudzą się ze cztery setki jeńców. Dobrych pięć setek pracuje w rudokopach, minach i karierach w okolicy Belhaven, a ponad tysiąc buduje mosty i równa drogi na przełęczy Theodula.

Na rynku miasteczka również za czasów Geralta był szafot, ale znacznie skromniejszy. Nie było na nim tylu wywołujących paskudne skojarzenia urządzeń, a na szubienicach, palach, widłach i tykach nie wisiało tyle budzących obrzydzenie i woniejących zgnilizną dekoracji.

To pan Fulko Artevelde, niedawno mianowany przez władze wojskowe prefekt, wyjaśnił ulicznik, patrząc na szafot i zdobiące go fragmenty ludzkiej anatomii. To znowu pan Fulko dał kogoś katu. Żartów z panem Fulkiem nie ma, dodał. Srogi to pan.

Poszukiwacz diamentów, znajomek ulicznika, którego odnaleźli w gospodzie, nie zrobił na Geralcie dobrego wrażenia. Znajdował się bowiem w owym dygotliwie bladym, pół trzeźwym, pół pijanym, pół realnym, bliskim sennej mary stanie, w który wprawia człeka picie przez kilka dni i nocy bez ustanku. W wiedźminie momentalnie upadło serce. Wyglądało, że sensacyjne wieści o druidach mogły mieć źródło w zwykłym *delirium tremens*.

Przepity poszukiwacz odpowiadał jednak na pytania przytomnie i z sensem. Zarzut Jaskra, że nie wygląda na poszukiwacza diamentów, odparł dowcipnie, mówiąc, że gdy choć jeden diament znajdzie, to będzie wyglądał. Miejsce bytowania druidów nad jeziorem Monduirn określił konkretnie i dokładnie, bez konfabulacyjnej malowniczości i dętej mitomańskiej maniery. Pozwolił sobie na pytanie, czegóż to interlokutorzy szukają u druidów, a potraktowany pogardliwym milczeniem ostrzegł, że wejście do druidzkich dąbrów to pewna śmierć, albowiem druidzi zwykli intruzów chwytać, wsadzać do kukły zwanej Wiklinową Babą i palić żywcem przy akompaniamencie modłów, śpiewów i inkantacji. Bezpodstawna plotka i głupi zabobon, jak

wynikało, wędrowały razem z druidami, dzielnie dotrzymując kroku, nawet na pół stajania nie zostając w tyle.

Dalszą rozmowę przerwało dziewięciu uzbrojonych w gizarmy żołnierzy w czarnych uniformach, noszących na naramiennikach znak słońca.

– Wyście są – spytał dowodzący żołnierzami podoficer, uderzając się po łydce dębową pałką – wiedźmin, zwany Geraltem?

– Tak – odpowiedział po chwili zastanowienia Geralt. – Myśmy są.

– Zechcecie tedy udać się z nami.

– Skąd pewność, że zechcę? Czy jestem aresztowany?

Żołnierz w zdającym się nie mieć końca milczeniu patrzył na niego, a patrzył dziwnie jakoś bez szacunku. Nie ulegało wątpliwości, że to jego ośmioosobowa eskorta daje mu czoło do takiego patrzenia.

– Nie – powiedział wreszcie. – Nie jesteście aresztowani. Nie było rozkazu, by was aresztować. Gdyby był taki rozkaz, inaczej bym was pytał, mości panie. Zupełnie inaczej.

Geralt poprawił pas miecza, dość demonstracyjnie.

– A ja – powiedział zimno – inaczej bym odpowiadał.

– No, no, panowie. – Jaskier zdecydował się wkroczyć, przywołując na twarz coś, co w jego mniemaniu było uśmiechem wytrawnego dyplomaty. – Po co ten ton? Jesteśmy ludźmi uczciwymi, władzy bać się nie musimy, ba, z chęcią władzy pomagamy. Ilekroć trafi się okazja, ma się rozumieć. Ale z tego tytułu i nam się coś od władzy należy, nieprawdaż, panie wojskowy? Choćby rzecz tak maleńka, jak wyjaśnienie powodów, dla których ograniczać się chce nasze swobody obywatelskie.

– Jest wojna, panie – odparł żołnierz, wcale nie speszony potokiem wymowy. – Swobody, jak z samej nazwy wypływa, to rzecz na czas pokoju. Powody zaś wszelakie wyjaśni wam pan prefekt. Ja wykonuję rozkazy i nie wchodzić mi w dysputy.

– Co prawda, to prawda – przyznał wiedźmin i mrugnął lekko do trubadura. – Wiedźcie tedy do prefektury, panie żołnierzu. Ty, Jaskier, wracaj do reszty, powiedz, co się stało. Róbcie, co należy. Regis już będzie wiedział, co.

•

– Co wiedźmin robi na Stokach? Czego tu szuka?

Tym, który pytanie zadał, był barczysty ciemnowłosy mężczyzna z twarzą przyozdobioną bruzdami blizn i skórzaną klapką zakrywającą lewy oczodół. W ciemnej uliczce widok tej cyklopiej twarzy zdolen był wydrzeć jęk zgrozy z niejednej piersi. A jakże niesłusznie, zważywszy, że była to twarz pana Fulka Artevelde, prefekta Riedbrune, najwyższego rangą stróża prawa i porządku w całej okolicy.

– Czego wiedźmin szuka na Stokach? – powtórzył najwyższy rangą stróż prawa w całej okolicy.

Geralt westchnął, wzruszył ramionami, udając obojętność.

– Znacie wszakże odpowiedź na wasze pytanie, panie prefekcie. O tym, że jestem wiedźminem, mogliście wszak dowiedzieć się wyłącznie od bartników z Zarzecza, którzy wynajęli mnie dla ochrony przemarszu. A będąc wiedźminem, na Stokach, czy gdzie indziej, szukam z reguły możliwości zarobku. Wędruję zaś w kierunku, który wskażą mi wynajmujący mnie mocodawcy.

– Logiczne – kiwnął głową Fulko Artevelde. – Przynajmniej pozornie. Z bartnikami rozstaliście się dwa dni temu. Ale zamierzacie kontynuować marsz na południe, w dziwnej nieco kompanii. W jakim celu?

Geralt nie spuścił oczu, wytrzymał palące spojrzenie jedynego oka prefekta.

– Czy jestem aresztowany?

– Nie. Na razie nie.

– A zatem cel i kierunek mojego marszu to moja prywatna sprawa. Jak domniemywam.

– Sugerowałbym jednak szczerość i otwartość. Ot, choćby po to, by udowodnić, że nie poczuwacie się do żadnych win i nie lękacie ani prawa, ani stojących na jego straży władz. Spróbuję powtórzyć pytanie: jaki cel przyświeca waszej wyprawie, wiedźminie?

Geralt zastanawiał się krótko.

– Próbuję dotrzeć do druidów, którzy niegdyś bytowali w Angrenie, a teraz podobno przenieśli się w te okolice. Nietrudno było się tego dowiedzieć od bartników, których eskortowałem.

– Ktoś was wynajął na druidów? Czyżby obrońcy przyrody spalili w Wiklinowej Babie o jedną osobę za dużo?

– Bajki, plotki, zabobony, dziwne u człowieka światłego. Ja szukam u druidów informacji, nie ich krwi. Ale doprawdy, panie prefekcie, wydaje

mi się, że byłem już aż nadto szczery, by udowodnić, że nie poczuwam się do żadnych win.

– Nie o wasze winy idzie. Przynajmniej nie tylko o nie. Chciałbym jednak, by w naszej rozmowie zaczęły dominować tony wzajemnej życzliwości. Wbrew pozorom bowiem celem tej rozmowy jest, między innymi, ocalenie życia tobie i twoim towarzyszom.

– Wywołaliście – odpowiedział nie od razu Geralt – moje wielkie zaciekawienie, panie prefekcie. Między innymi. Z prawdziwie wielką uwagą wysłucham wyjaśnień.

– Nie wątpię. Dojdziemy do tych wyjaśnień, ale stopniowo. Etapami. Słyszeliście kiedyś, panie wiedźminie, o instytucji świadka koronnego? Wiecie, kto to taki?

– Wiem. Ktoś, kto chce się wykpić z odpowiedzialności, sypiąc kamratów.

– Potężne uproszczenie – rzekł bez uśmiechu Fulko Artevelde – typowe zresztą dla Nordlinga. Wy często luki w wykształceniu maskujecie sarkastycznym albo karykaturalnym uproszczeniem, które uważacie za dowcip. Tutaj, na Stokach, panie wiedźminie, działa prawo Imperium. Ściślej, tu będzie działać prawo Imperium, gdy do cna wypleni się szerzące się tu bezprawie. Najlepszym sposobem tępienia bezprawia i bandytyzmu jest szafot, który z pewnością widzieliście na rynku. Ale niekiedy sprawdza się też instytucja świadka koronnego.

Zrobił efektowną pauzę. Geralt nie przerywał.

– Nie tak dawno – podjął prefekt – udało nam się wciągnąć w zasadzkę szajkę młodocianych przestępców. Bandyci stawiali opór i zginęli...

– Ale nie wszyscy, prawda? – obcesowo domyślił się Geralt, którego zaczynało już trochę nudzić to całe krasomówstwo. – Jednego wzięto żywcem. Przyrzeczono mu ułaskawienie, jeśli zostanie świadkiem koronnym. To znaczy, jeśli zacznie sypać. I wsypał mnie.

– Skąd taki wniosek? Mieliście jakieś kontakty z miejscowym światem przestępczym? Teraz lub dawniej?

– Nie. Nie miałem. Ani teraz, ani dawniej. Dlatego wybaczcie, panie prefekcie, ale cała ta afera jest albo totalnym nieporozumieniem, albo humbugiem. Albo wymierzoną przeciw mnie prowokacją. W tym ostatnim przypadku proponowałbym nie marnować czasu i przejść do sedna sprawy.

– Myśl o wymierzonej przeciw wam prowokacji zdaje się was nie opuszczać – zauważył prefekt, marszcząc zniekształconą przez bliznę brew. – Czyżbyście, mimo zapewnień, mieli jednak powody, by lękać się prawa?

– Nie. Zaczynam natomiast lękać się, że walka z przestępczością prowadzona jest tu szybko, hurtowo i mało drobiazgowo, bez żmudnego dociekania: winien czy nie winien. Ale cóż, może to tylko karykaturalne uproszczenie, typowe dla tępego Nordlinga. Który to Nordling nadal nie rozumie, w jakiż to sposób prefekt z Riedbrune ocala mu życie.

Fulko Artevelde przez chwilę przyglądał mu się w milczeniu. Potem klasnął w dłonie.

– Przyprowadzić ją – rozkazał przywołanym żołnierzom.

Geralt uspokoił się kilkoma oddechami, albowiem nagle pewna myśl wywołała u niego przyspieszone bicie serca i wzmożone wydzielanie adrenaliny. Za chwilę musiał zrobić następnych kilka oddechów, musiał nawet – niebywałe – skrytą pod stołem dłonią wykonać Znak. A rezultat – niebywałe – był żaden. Zrobiło mu się gorąco. I zimno.

Bo strażnicy wepchnęli do izby Ciri.

– O, popatrzcie tylko – powiedziała Ciri, zaraz po tym, gdy posadzono ją na krześle i skuto ręce z tyłu, za oparciem. – Popatrzcie, co też kot przyniósł!

Artevelde wykonał krótki gest. Jeden ze strażników, wielki chłop o twarzy niezbyt rozgarniętego dziecka, odwinął rękę w niespiesznym zamachu i trzasnął Ciri w twarz tak, że aż zydel się zakolebał.

– Wybaczcie jej, wasza wielmożność – rzekł strażnik przepraszająco i zaskakująco łagodnie. – Młode to, głupie. Płoche.

– Angoulême – powiedział wolno i dobitnie Artevelde. – Obiecałem, że cię wysłucham. Ale to znaczyło, że będę słuchał twoich odpowiedzi na moje pytania. Twoich krotochwili słuchać nie zamierzam. Będziesz za nie karcona. Zrozumiałaś?

– Tak, wujciu.

Gest. Klasnęło. Zydel zakolebał się.

– Młode to – bąknął strażnik, rozcierając dłoń o biodro. – Płoche...

Z zadartego nosa dziewczyny – Geralt widział już, że to nie Ciri i nadziwić się nie mógł swej pomyłce – pociekła cienka strużka krwi. Dziewczyna mocno pociągnęła nosem i uśmiechnęła się drapieżnie.

– Angoulême – powtórzył prefekt. – Zrozumiałaś mnie?

– Tak jest, panie Fulko.

– Kto to jest, Angoulême?

Dziewczyna znowu pociągnęła nosem, pochyliła głowę, wytrzeszczyła na Geralta wielkie oczy. Orzechowe, nie zielone. Potem potrząsnęła nieporządną grzywą jaśniutkich jak słoma włosów, nieposłusznymi pasemkami spadających na brwi.

– W życiu go nie widziałam – oblizała krew, która ściekła jej na wargę. – Ale wiem, kto on zacz. Już wam to zresztą mówiłam, panie Fulko, teraz wiecie, że nie łgałam. On nazywa się Geralt. Jest wiedźminem. Jakieś dziesięć dni temu przekroczył Jarugę i zmierza w kierunku Toussaint. Zgadza się, białowłosy wujciu?

– Młode to... Płoche... – powiedział szybko strażnik, z niejakim niepokojem patrząc na prefekta. Ale Fulko Artevelde skrzywił się tylko i pokręcił głową.

– Ty jeszcze na szafocie będziesz firleje stroić, Angoulême. Dobra, jedziemy dalej. Z kim, według ciebie, tenże wiedźmin Geralt podróżuje?

– Też wam już mówiłam! Z przystojniakiem o imieniu Jaskier, który jest trubadurem i wozi ze sobą lutnię. Z młodą kobietą, która ma włosy ciemnoblond, obcięte na karku. Jej imienia nie znam. I z mężczyzną jednym, bez opisu, imię też nie było wymieniane. Razem jest ich czwórka.

Geralt oparł podbródek na knykciach, z zainteresowaniem przyglądając się dziewczynie. Angoulême nie spuściła wzroku.

– Ależ ty masz oczy – powiedziała. – Oczy-dziwoczy!

– Dalej, dalej, Angoulême – ponaglił, krzywiąc się, pan Fulko. – Kto jeszcze należy do tej wiedźmińskiej kompanii?

– Nikt. Mówiłam, jest ich czworo. Uszu nie masz, wujciu?

Gest, klasnęło, pociekło. Strażnik pomasował dłoń o biodro, powstrzymując się od uwag o płochości młodzieży.

– Łżesz, Angoulême – powiedział prefekt. – Ilu ich jest, pytam po raz wtóry?

– Jak sobie chcecie, panie Fulko. Jak sobie chcecie. Wasza wola. Jest ich dwustu. Trzystu! Sześciuset!

– Panie prefekcie – Geralt szybko i ostro uprzedził rozkaz bicia. – Zostawmy to, jeśli można. To, co powiedziała, jest na tyle precyzyjne, że o kłamstwie mowy być nie może, raczej o niedoinformowaniu. Ale skąd

ona ma informacje? Sama przyznała, że widzi mnie po raz pierwszy w życiu. Ja ją też widzę po raz pierwszy. Zaręczam wam.

– Dziękuję – Artevelde spojrzał na niego krzywo – za pomoc w śledztwie. Jakże cenną. Gdy zacznę przesłuchiwać was, liczę, że okażecie się równie wymowni. Angoulême, słyszałaś, co powiedział pan wiedźmin? Mów. I nie każ się ponaglać.

– Było powiedziane – dziewczyna oblizała cieknącą z nosa krew – że jeśli władzom donieść o jakiejś planowanej zbrodni, jeśli wydać, kto planuje jakieś łotrostwo, to będzie łaska okazana. No, to ja mówię, nie? Wiem o szykowanej zbrodni, chcę zapobiec złemu czynowi. Słuchajcie, co powiem: Słowik i jego hanza czekają w Belhaven na tego tu wiedźmina i mają go tam utłuc. Nadał im ten kontrakt jeden półelf, obcy, czart wie skąd przybyły, nikt go nie zna. Wszystko powiedział ten półelf: kto, jak wygląda, skąd przybędzie, kiedy przybędzie, w jakiej kompanii. Uprzedził, że to wiedźmin, że nie byle frajer, lecz ćwik, żeby nie grać zuchów, ale w plecy pchnąć, z kuszy ustrzelić, a najlepiej otruć, gdyby gdzieś w Belhaven jadł albo pił. Dał półelf na to Słowikowi pieniądze. Duże pieniądze. A po robocie obiecał więcej.

– Po robocie – zauważył Fulko Artevelde. – A zatem ten półelf wciąż jest w Belhaven? Z bandą Słowika?

– Może. Nie wiem tego. Już ponad dwa tygodnie, jak uciekłam ze Słowikowej hanzy.

– To byłby więc powód, dla którego ich sypiesz? – uśmiechnął się wiedźmin. – Osobiste porachunki?

Oczy dziewczyny zwęziły się, napuchnięte usta skrzywiły paskudnie.

– Gówno ci do moich porachunków, wujciu! A tym, że sypię, życie ci ratuję, nie? Podziękować by wypadało!

– Dziękuję – Geralt znowu uprzedził rozkaz bicia. – Chciałem jedynie zauważyć, że jeśli to porachunki, twoja wiarygodność maleje, koronny świadku. Ludzie sypią, by ocalić skórę i życie, ale kłamią, gdy chcą się zemścić.

– Nasza Angoulême nie ma żadnych szans, by ocalić życie – przerwał Fulko Artevelde. – Ale skórę, owszem, chce ocalić. Dla mnie jest to absolutnie wiarygodny motyw. Co, Angoulême? Chcesz ocalić skórę, prawda?

Dziewczyna zacięła usta. I wyraźnie zbladła.

– Bandycka odwaga – rzekł z pogardą prefekt. – I gówniarska zarazem. Napadać w przewadze, ograbiać słabych, zabijać bezbronnych, owszem. Spojrzeć śmierci w oczy, o, to już trudniej. Tego już nie potraficie.

– Jeszcze zobaczymy – warknęła.

– Zobaczymy – przytaknął poważnie Fulko. – I usłyszymy. Płuca wykrzyczysz na szafocie, Angoulême.

– Obiecaliście łaskę.

– I dotrzymam obietnicy. Jeśli to, co zeznałaś, okaże się prawdą.

Angoulême szarpnęła się na zydlu, pokazując na Geralta ruchem, zdawałoby się, całego szczupłego ciała.

– A to – wrzasnęła – co jest? Nie prawda? Niech zaprzeczy, że nie wiedźmin i że nie Geralt! Będzie mi tu gadał, żem niewiarygodna! A niech jedzie do Belhaven, to pokaże się lepszy dowód, że nie łżę! Trupa jego rankiem w rynsztoku znajdziecie. Tylko że wtedy powiecie, żem przestępstwu nie zapobiegła, więc z łaski nici! Tak? Szachraje, kurwa, jesteście! Szachraje i tyle!

– Nie bijcie jej – powiedział Geralt. – Proszę.

W jego głosie było coś takiego, co zatrzymało w pół drogi podniesione ręce prefekta i strażnika. Angoulême pociągnęła nosem, patrząc na niego przenikliwie.

– Dzięki, wujciu – powiedziała. – Ale bicie to mała rzecz, jeśli chcą, niech biją. Mnie od małej bili, przywykłam. Chcesz być dobry, to potwierdź, że prawdę mówię. Niech dotrzymają słowa. Niech mnie, kurwa, powieszą.

– Zabierzcie ją – rozkazał Fulko, gestem uciszając usiłującego protestować Geralta.

– Nie jest nam już potrzebna – wyjaśnił, gdy zostali sami. – Ja wiem o wszystkim i udzielę wam wyjaśnień. A potem poproszę o wzajemność.

– Wpierw – głos wiedźmina był zimny – wyjaśnijcie, o co chodziło w tym hałaśliwym finale. Zakończonym dziwną prośbą o powieszenie. Jako świadek koronny dziewczyna zrobiła przecież swoje.

– Jeszcze nie.

– Jak to?

– Homer Straggen, zwany Słowikiem, to wyjątkowo niebezpieczny łotr. Okrutny i bezczelny, przebiegły i niegłupi, a przy tym mający szczęście. Jego bezkarność zachęca innych. Muszę z tym skończyć.

Dlatego poszedłem na układy z Angoulême. Obiecałem, że jeśli skutkiem jej wyznania Słowik zostanie ujęty, a jego szajka rozbita, Angoulême zostanie powieszona.

– Słucham? – Wiedźmin nie przesadził ze zdziwieniem. – To tak tu wygląda instytucja koronnego świadka? W zamian za współpracę z władzami: stryczek? A za odmowę współpracy, co?

– Pal. Poprzedzony wyłupieniem oczu i szarpaniem piersi rozpalonymi obcęgami.

Wiedźmin nie powiedział ani słowa.

– To się nazywa: przykład grozy – podjął po chwili Fulko Artevelde. – Rzecz absolutnie konieczna w walce z bandytyzmem. Czemuż to zaciskacie pięści, że niemal słyszę chrzęst knykci? Jesteście może zwolennikiem zabijania humanitarnego? Stać was na ten luksus, walczycie przecież głównie z istotami, które, jakby to śmiesznie nie brzmiało, też zabijają humanitarnie. Mnie na taki luksus nie stać. Ja widziałem kupieckie karawany i domy ograbione przez Słowika i jemu podobnych. Widziałem, co robiono ludziom, by wskazali skrytki lub wydali magiczne hasła szkatuł i kas. Widziałem kobiety, u których Słowik nożem sprawdzał, czy nie ukryły kosztowności. Widziałem ludzi, którym jeszcze gorsze rzeczy robiono tylko gwoli zbójeckiej zabawy. Angoulême, której los tak was wzrusza, brała udział w takich zabawach, to pewne. Dostatecznie długo była w bandzie. A gdyby nie czysty przypadek, gdyby nie to, że z bandy uciekła, nikt nie dowiedziałby się o zasadzce w Belhaven, a wy poznalibyście ją w inny sposób. Może to ona strzeliłaby wam w plecy z kuszy.

– Nie lubię gdybania. Znany jest wam powód, dla którego uciekła z szajki?

– Jej zeznania były w tej kwestii mętne, a moim ludziom nie chciało się dywulgować. Ale wszyscy wiedzą, że Słowik należy do mężczyzn sprowadzających kobiety do roli, powiedziałbym, pierwotnie naturalnej. Jeśli inaczej mu nie wychodzi, narzuca kobietom tę rolę siłą. Do tego doszły z pewnością konflikty pokoleniowe. Słowik to mężczyzna dojrzały, a ostatnia kompania Angoulême to szczeniaki takie same jak ona. Ale to są spekulacje, w gruncie rzeczy nic mnie to nie obchodzi. A was, pozwolę sobie spytać, dlaczego to tak obchodzi? Dlaczego od pierwszego wejrzenia Angoulême wywołuje w was tak żywe emocje?

– Dziwne pytanie. Dziewczyna donosi o zamachu, jakoby szykowanym na mnie przez jej byłych kamratów na zlecenie jakiegoś półelfa. Rzecz sama w sobie sensacyjna, albowiem nie mam żadnych zadawnionych waśni z żadnymi półelfami. Dziewczyna nadto wie, w jakim towarzystwie podróżuję. Z takimi szczegółami jak to, że trubadur ma na imię Jaskier, a kobieta ma obcięty warkocz. Ten warkocz właśnie sprawia, że podejrzewam w tym wszystkim kłamstwo lub prowokację. To byłaby żadna sztuka, dopaść i wypytać któregoś z leśnych bartników, z którymi wędrowałem ostatni tydzień. I szybko zainscenizować...

– Dość! – Artevelde huknął pięścią w stół. – Nadto mi się tu rozpędzacie, mój panie. Znaczy, to ja miałbym niby coś tu inscenizować? A w jakim to celu? By was oszukać, usidlić? A kim to wy jesteście, by się tak lękać prowokacji i usidlania? Tylko na złodzieju czapka gore, panie wiedźminie. Tylko na złodzieju!

– Podajcie mi inne wytłumaczenie.

– Nie, to wy mi je podajcie!

– Przykro mi. Nie mam takowego.

– Mógłbym coś podpowiedzieć – prefekt uśmiechnął się złośliwie. – Ale po co? Postawmy sprawę jasno. Mnie nie interesuje, kto chce widzieć was martwymi i dlaczego. Nie obchodzi mnie, skąd ten ktoś ma o was takie świetne informacje, do koloru i długości włosów włącznie. Powiem jeszcze więcej: ja mógłbym w ogóle nie powiadamiać cię o tym zamachu, wiedźminie. Mógłbym spokojnie potraktować waszą kompanię jako nieświadomą niczego przynętę na Słowika. Śledzić, czekać, aż Słowik połknie haczyk, linkę, ciężarek i spławik. I wtedy wziąć go jak swego. Bo to o niego mi idzie, na nim mi zależy. A że wówczas wy już gryźlibyście ziemię? Ha, zło konieczne, koszty własne!

Zamilkł. Geralt nie komentował.

– Wiedzcie, mój panie wiedźminie – podjął po chwili prefekt – że ja poprzysiągłem sobie, że na tym terenie zapanuje prawo. Za wszelką cenę i wszelkimi metodami, *per fas et nefas*. Bo prawo to nie jurysprudencja, nie gruba książka pełna paragrafów, to nie filozoficzne traktaty, nie naburmuszone brednie o sprawiedliwości, nie wyświechtane frazesy o moralności i etyce. Prawo to bezpieczne drogi i gościńce. To miejskie zaułki, którymi można spacerować nawet po zachodzie słońca. To zajazdy i karczmy, z których można wyjść do wychodka zostawiając sakiewkę na stole, a żonę przy stole. Prawo to

spokojny sen ludzi pewnych, że zbudzi ich pianie kura, a nie czerwony kur! A dla tych, co prawo łamią: stryczek, topór, pal i czerwone żelazo! Kara, odstraszająca innych. Tych, którzy prawo łamią, należy chwytać i karać. Wszelkimi dostępnymi środkami i metodami... Ejże, wiedźminie! Czy dezaprobata, malująca się na twoim obliczu, odnosi się do celu, czy metod? Myślę, że do metod! Bo metody krytykować łatwo, ale w bezpiecznym świecie chciałoby się żyć, co? No, odpowiedz!

– Nie ma o czym gadać.

– Ja myślę, że jest.

– Mnie, panie Fulko – rzekł spokojnie Geralt – nawet podoba się świat z twojej wizji i twojej idei.

– Doprawdy? Twoja mina świadczy o czymś przeciwnym.

– Świat z twojej idei to świat akurat dla wiedźmina. Nigdy nie zabraknie w nim dla wiedźmina roboty. Zamiast kodeksów, paragrafów i naburmuszonych frazesów o sprawiedliwości twoja idea daje bezprawie, anarchię, samowolę i prywatę królewiąt i sobiepanków, nadgorliwość chcących przypodobać się zwierzchnikom karierowiczów, zaślepioną mściwość fanatyków, okrucieństwo siepaczy, rewanż i sadystyczną zemstę. Twoja wizja to świat strachu, świat, w którym ludzie boją się wychodzić po zmierzchu nie z lęku przed bandytami, ale przed stróżami prawa, bo wszakże efektem wielkich łowów na bandziorów zawsze jest to, że bandziory gremialnie wstępują w szeregi stróżów prawa. Twoja wizja to świat łapownictwa, szantażu i prowokacji, świat świadków koronnych i świadków fałszywych. Świat szpiclostwa i wymuszonych zeznań. Donosicielstwa i strachu przed donosem. I nieuchronnie przyjdzie dzień, gdy w twoim świecie poszarpie się obcęgami piersi niewłaściwej osoby, gdy niewinnie się kogoś powiesi lub wbije na pal. A wtedy to już będzie świat zbrodni.

– Krótko mówiąc – dokończył – świat, w którym wiedźmin czułby się jak ryba w wodzie.

– Proszę – powiedział po chwili milczenia Fulko Artevelde, trąc przysłonięty skórzaną klapką oczodół. – Idealista! Wiedźmin. Profesjonał. Zawodowiec od zabijania. A jednak idealista. I moralista. Niebezpieczne to w twoim fachu, wiedźminie. Znak to, że zaczynasz z twego fachu wyrastać. Któregoś dnia zawahasz się, czy ciąć strzygę: bo a nuż to niewinna strzyga? Bo a nuż to ślepa zemsta i ślepy fanatyzm?

Nie życzę ci, by do tego doszło. A gdyby kiedyś... nie życzę ci tego również, ale to przecież możliwe, ktoś w okrutny i sadystyczny sposób skrzywdził bliską ci osobę, wówczas z chęcią wróciłbym do tej naszej rozmowy, do problematyki kary proporcjonalnej do winy. Kto wie, czy wówczas też tak bardzo różnilibyśmy się w poglądach? Ale dziś, tutaj, teraz, nie będzie to przedmiotem konsyderacji ani debaty. Dziś będziemy mówili o konkretach. A konkretem jesteś ty.

Geralt uniósł lekko brwi.

– Choć szyderczo wypowiedziałeś się o moich metodach i o mojej wizji świata prawa, posłużysz, mój drogi wiedźminie, wizji tej urzeczywistnieniu. Powtórzę: ja poprzysiągłem sobie, że ci, co łamią prawo, dostaną za swoje. Wszyscy. Od tego drobnego, co fałszuje na targu odważniki, po tego, co rąbnął gdzieś po drodze transport łuków i strzał dla wojska. Rozbójnicy, rzezimieszki, złodzieje, grasanci. Szumnie nazywający się bojownikami o wolność terroryści z organizacji „Wolne Stoki". I Słowik. Przede wszystkim Słowik. Słowika musi spotkać kara, metoda obojętna. Byle szybko. Zanim ogłoszą amnestię, a on się wykpi... Wiedźminie, ja od miesięcy czekam na coś, co pozwoli mi wyprzedzić go o ruch. Co pozwoli mi pokierować nim, sprawić, by popełnił błąd, ten jeden decydujący błąd, który go zgubi. Mam mówić dalej, czy już odgadłeś?

– Odgadłem, ale mówcie.

– Tajemniczy półelf, jakoby inicjator i instygator zamachu, ostrzegał Słowika przed wiedźminem, zalecał ostrożność, odradzał niefrasobliwość, buńczuczną arogancję i fanfaronadę. Wiem, że nie bez powodu. Ostrzeżenie pójdzie jednak na marne. Słowik popełni błąd. Zaatakuje wiedźmina ostrzeżonego i gotowego do obrony. Zaatakuje wiedźmina, który na atak czeka. I to będzie koniec rozbójnika Słowika. Chcę zawrzeć z tobą układ, Geralt. Będziesz moim koronnym wiedźminem. Nie przerywaj. Układ prosty, każda strona się zobowiązuje, każda dotrzymuje zobowiązań. Ty wykańczasz Słowika. Ja natomiast w zamian...

Zamilkł na chwilę, uśmiechnął się chytrze.

– Nie zapytam, kim jesteście, skąd przybywacie, dokąd i po co wędrujecie. Nie zapytam, dlaczego jeden z was mówi z ledwo zauważalnym nilfgaardzkim akcentem, a na drugiego boczą się niekiedy psy i konie. Nie każę odebrać trubadurowi Jaskrowi tubusa z zapiskami,

nie sprawdzę, o czym te zapiski traktują. A cesarski kontrwywiad poinformuję o was dopiero wtedy, gdy Słowik będzie martwy lub w moim lochu. Nawet później, po co się spieszyć? Dam wam czas. I szanse.

– Szanse na co?

– Na dotarcie do Toussaint. Do tego śmiesznego księstwa z bajki, granic którego nawet nilfgaardzki kontrwywiad nie ośmieli się naruszyć. Potem zaś dużo może się zmienić. Będzie amnestia. Będzie może rozejm za Jarugą. Może nawet trwały pokój.

Wiedźmin milczał długo. Pokaleczona twarz prefekta była nieruchoma, jego oko płonęło.

– Zgoda – powiedział wreszcie Geralt.

– Bez targów? Bez warunków?

– Z dwoma.

– Jakżeby inaczej. Słucham.

– Muszę wprzód pojechać na kilka dni na zachód. Nad jezioro Monduirn. Do druidów, albowiem...

– Czy ty durnia ze mnie robisz? – przerwał gwałtownie Fulko Artevelde. – Czy ty chcesz mnie wykołować? Jaki zachód? Dokąd wiedzie twój szlak, każdy wie! W tej liczbie i Słowik, który właśnie na twoim szlaku zastawia zasadzkę. Na południu, w Belhaven, w miejscu, gdzie dolinę Newi przecina dolina Sansretour wiodąca do Toussaint.

– Czy to ma znaczyć...

– ...że druidów nie ma nad Loc Monduirn. Od blisko miesiąca. Powędrowali doliną Sansretour do Toussaint, pod opiekuńcze skrzydła księżnej Anarietty z Beauclair, mającej słabość do przeróżnych cudaków, pomyleńców i rarogów. Chętnie udzielającej takowym azylu w swoim bajkowym kraiku. Ty przecież o tym wiesz, wiedźminie. Nie rób ze mnie durnia. Nie próbuj mnie wykiwać!

– Nie będę próbował – powiedział wolno Geralt. – Daję słowo, że nie będę. Jutro ruszam do Belhaven.

– Nie zapomniałeś aby o czymś?

– Nie, nie zapomniałem. Drugi mój warunek: chcę Angoulême. Przyspieszysz dla niej amnestię i wypuścisz z ciemnicy. Wiedźminowi koronnemu potrzebny jest twój świadek koronny. Szybko, godzisz się czy nie?

– Godzę – odrzekł prawie natychmiast Fulko Artevelde. – Nie mam wyjścia. Angoulême jest twoja. Bo przecież wiem, że przystajesz na

współpracę ze mną tylko dla niej.

•

Jadący bok w bok z Geraltem wampir słuchał uważnie, nie przerywał. Wiedźmin nie zawiódł się na jego przenikliwości.

– Jest nas piątka, a nie czwórka – podsumował szybko, gdy tylko Geralt skończył opowiadać. – Wędrujemy w pięcioro od końca sierpnia, w pięcioro przekroczyliśmy Jarugę. A warkocz Milva obcięła sobie dopiero na Zarzeczu. Jakiś tydzień temu. Twoja jasnowłosa protegowana wie o warkoczu Milvy. A nie doliczyła się pięciorga. Dziwne.

– Czy najdziwniejsze w całej tej dziwnej historii?

– Bynajmniej. Najdziwniejsze jest Belhaven. Miasteczko, w którym jakoby zastawiono na nas zasadzkę. Miasteczko położone głęboko w górach, na szlaku doliny Newi i przełęczy Theodula...

– Dokąd nigdy nie planowaliśmy jechać – dokończył wiedźmin, popędzając zaczynającą zostawać w tyle Płotkę. – Trzy tygodnie temu, kiedy ów rozbójnik Słowik przyjmował od jakiegoś półelfa zlecenie na zabicie mnie, byliśmy w Angrenie, zmierzaliśmy do Caed Dhu, lękając się bagien Ysgith. Nie wiedzieliśmy nawet, że przyjdzie nam przekroczyć Jarugę. Do diabła, my jeszcze dziś rano nie wiedzieliśmy...

– Wiedzieliśmy – przerwał mu wampir. – Wiedzieliśmy, że szukamy druidów. Tak samo dziś rano, jak trzy tygodnie temu. Ten tajemniczy półelf organizuje zasadzkę na drodze wiodącej do druidów, pewny, że tą właśnie drogą pojedziemy. On po prostu...

– ...wie lepiej od nas, którędy ta droga wiedzie – wiedźmin zrewanżował się wpadaniem w słowo. – Skąd on to wie?

– To jego trzeba będzie zapytać. Dlatego właśnie przystałeś na propozycję prefekta, nieprawdaż?

– Owszem. Liczę, że uda mi się trochę pogawędzić z tym panem półelfem – uśmiechnął się paskudnie Geralt. – Nim jednak do tego dojdzie, nie narzuca ci się jakieś wyjaśnienie? Czy jakieś nie prosi się wręcz samo?

Wampir czas jakiś przyglądał mu się w milczeniu.

– Nie podoba mi się to, co mówisz, Geralt – powiedział wreszcie. – Nie podoba mi się to, co myślisz. Uważam tę myśl za niełądną. Powziętą

pospiesznie, bez zastanowienia. Wynikającą z uprzedzeń i resentymentów.

– Czym wobec tego wytłumaczyć...

– Czymkolwiek – Regis przerwał mu tonem, jakiego Geralt nigdy u niego nie słyszał. – Czymkolwiek, byle nie tym. Czy nie bierzesz, dla przykładu, pod uwagę możliwości, że twoja jasnowłosa protegowana po prostu kłamie?

– No, no, wujciu! – zawołała Angoulême, jadąca za nimi na mule o imieniu Draakul. – Nie zadawaj mi kłamu, jeśli mi go nie możesz dowieść!

– Nie jestem twoim wujciem, drogie dziecko.

– A ja nie jestem twoim drogim dzieckiem, wujciu!

– Angoulême – odwrócił się w siodle wiedźmin. – Zamilknij.

– Jak każesz – Angoulême momentalnie uspokoiła się. – Tobie wolno rozkazywać. Tyś mnie wydobył z jamy, wyrwał z pana Fulkowych pazurów. Ciebie słucham, tyś teraz herszt, głowa hanzy...

– Zamilknij, proszę.

Angoulême zamruczała pod nosem, przestała popędzać Draakula i została z tyłu, tym bardziej że Regis i Geralt przyspieszyli, doganiając jadących w awangardzie Jaskra, Cahira i Milvę. Jechali w stronę gór, brzegiem rzeki Newi, wartko toczącej po kamieniach i progach mętne i żółtobrązowe po ostatnich deszczach wody. Nie byli sami. Dość często mijali bądź wyprzedzali szwadrony nilfgaardzkiej kawalerii, samotnych jeźdźców, wozy osadników i karawany kupców.

Na południu, coraz bliżej i coraz groźniej, wznosiły się góry Amell. I spiczasta iglica Gorgony, Góry Diabła, tonąca w chmurach szybko zasnuwających całe niebo.

– Kiedy im powiesz? – spytał wampir, wzrokiem pokazując jadącą w przodzie trójkę.

– Na biwaku.

•

Jaskier był pierwszy, który zabrał głos, gdy Geralt skończył opowiadać.

– Skoryguj mnie, jeśli się mylę – powiedział. – Ta dziewczyna, Angoulême, którą ochoczo i niefrasobliwie dołączyłeś do naszej drużyny, to kryminalistka. By ocalić ją od kary, zresztą zasłużonej,

zgodziłeś się kolaborować z Nilfgaardczykami. Dałeś się wynająć. Ba, nie tylko siebie, nas wszystkich wynająłeś. Mamy wszyscy dopomóc Nilfgaardczykom schwytać lub uśmiercić jakiegoś lokalnego zbójcę. Krótko: ty, Geralt, zostałeś nilfgaardzkim najemnikiem, łowcą nagród, płatnym zabójcą. A my awansowaliśmy na twoich akolitów... Czy też famulusów...

– Masz nieprawdopodobny talent do upraszczania, Jaskier – mruknął Cahir. – Czyżbyś naprawdę nie pojmował, o co chodzi? Czy też gadasz dla samego gadania?

– Milcz, Nilfgaardczyku. Geralt?

– Zacznijmy od tego – wiedźmin wrzucił do ogniska patyk, którym bawił się od dłuższego czasu – że w tym, co zamierzyłem, nikt nie musi mi pomagać. Mogę to załatwić sam. Bez akolitów i famulusów.

– Zuchwały jesteś, wujciu – odezwała się Angoulême. – Ale hanza Słowika to dwudziestu i czterech dobrych zuchów, owi nawet wiedźmina nie zlękną się tak łacno, a jeśli o mieczową sprawę idzie, to choćby i prawdą było, co o wiedźminach gadają, nikt samojeden nie dostoi dwóm tuzinom. Uratowałeś mi życie, więc ja ci odpłacę tym samym. Ostrzeżeniem. I pomocą.

– Co to jest, u diabła, hanza?

– *Aen hanse* – wyjaśnił Cahir – to w naszym języku zbrojna drużyna, ale taka, którą łączą więzy przyjaźni...

– Kompania?

– O, właśnie. Słowo, jak widzę, weszło do tutejszego żargonu...

– Hanza jest hanza – przerwała Angoulême. – A po naszemu: hulajpartia albo hassa. O czym tu gadać? Ja ostrzegałam poważnie. Nie ma szans jeden przeciw całej hanzie. Na domiar złego nie znający ani Słowika, ani w ogóle nikogo w Belhaven i okolicy, ni wrogów, ni przyjaciół albo sprzymierzeńców. Nie znający dróg, które do miasta prowadzą, a prowadzą różne. Ja mówię tak: nie da sobie wiedźmin sam rady. Nie wiem, jakie u was panują obyczaje, ale ja wiedźmina samego nie zostawię. On mnie, jak to powiedział wujcio Jaskier, ochoczo i niefrasobliwie przyjął do drużyny waszej, chociaż jestem kryminalistka... Bo wciąż jeszcze mi włosy kryminałem śmierdzą, umyć nie było jak... Wiedźmin, nie kto inny, mnie z tego kryminału wydobył na światło dzienne. Za co mu wdzięczna jestem. Dlatego ja jego samego nie

zostawię. Poprowadzę go do Belhaven, na Słowika i na tego półelfa. Razem z nim idę.

– Ja też – rzekł natychmiast Cahir.

– I ja takoż! – rzekła gwałtownie Milva.

Jaskier przycisnął do piersi tubus z rękopisami, z którym ostatnio nie rozstawał się nawet na moment. Opuścił głowę. Widać było, że bije się z myślami. A myśli wygrywają.

– Nie medytuj, poeto – powiedział łagodnie Regis. – Przecież nie ma się czego wstydzić. Do uczestnictwa w krwawym boju na miecze i noże nadajesz się jeszcze mniej niż ja. Nie uczono nas kaleczenia bliźnich żelazem. Nadto... Ja nadto...

Podniósł na wiedźmina i Milvę błyszczące oczy.

– Jestem tchórzem – wyznał krótko. – Jeśli nie będę musiał, nie chcę już przeżyć tego, co wtedy na promie i moście. Nigdy. Dlatego proszę o wyłączenie mnie z grupy bojowej idącej do Belhaven.

– Z tego promu i mostu – odezwała się głucho Milva – wytaszczyłeś mnie na plecach, gdy mi słabość nogi odjęła. Byłby tam miast ciebie jaki tchórz, to by mię tamój ostawił i uciekł. Ale nie było tam nijakiego tchórza. Byłeś za to ty, Regis.

– Dobrze powiedziane, ciotka – rzekła z przekonaniem Angoulême. – Słabo się domyślam, w czym rzecz, ale dobrze powiedziane.

– Nie jestem ci ciotką żadną! – oczy Milvy błysnęły złowrogo. – Bacz, panna! Jeszcze raz mnie tak nazwiesz, obaczysz!

– Co zobaczę?

– Spokój! – szczeknął ostro wiedźmin. – Dość tego, Angoulême! Was wszystkich też, widzę, trzeba przywołać do porządku. Skończył się czas wędrowania na oślep, ku widnokręgowi, bo a nuż coś tam jest, za widnokręgiem. Przyszedł czas działań konkretnych. Czas podrzynania gardeł. Bo nareszcie jest komu podrzynać. Ci, którzy dotychczas nie zrozumieli, niech pojmą: mamy wreszcie w zasięgu ręki konkretnego wroga. Półelfa, który chce naszej śmierci, jest więc agentem wrogich nam sił. Dzięki Angoulême jesteśmy uprzedzeni, a uprzedzony to uzbrojony, jak głosi przysłowie. Muszę dopaść tego półelfa i wydusić z niego, na czyj rozkaz działa. Czyś nareszcie zrozumiał, Jaskier?

– Zdaje się – rzekł spokojnie poeta – że rozumiem więcej i lepiej niż ty. Bez żadnego dopadania i wyduszania domyślam się, że ów tajemniczy półelf działa na rozkaz Dijkstry, którego na moich oczach

okulawiłeś na Thanedd, gruchocząc mu staw w kostce. Dijkstra po relacji marszałka Vissegerda niewątpliwie ma nas za nilfgaardzkich szpiegów. A po naszej ucieczce z korpusu lyrijskich partyzantów królowa Meve niechybnie dopisała kilka punktów do listy naszych zbrodni...

– Błąd, Jaskier – wtrącił cicho Regis. – To nie Dijkstra. Ani Vissegerd. Ani Meve.

– Któż więc?

– Każdy sąd i wniosek byłby przedwczesny.

– Zgadza się – wycedził zimno wiedźmin. – Dlatego rzecz trzeba zbadać na miejscu. A wnioski wyciągnąć z autopsji.

– A ja – nie rezygnował Jaskier – nadal uważam, że to pomysł głupi i ryzykowny. Dobrze się stało, że zostaliśmy ostrzeżeni przed zasadzką, że wiemy o niej. Jeśli wiemy, omińmy ją szerokim łukiem. Niechaj ten elf czy półelf czeka na nas do woli, my zaś spieszmy swoją drogą...

– Nie – przerwał wiedźmin. – Koniec dyskursów, moi drodzy. Koniec anarchii. Nadszedł czas, by nasza... hanza... miała wreszcie prowodyra.

Wszyscy, nie wyłączając Angoulême, patrzyli na niego w pełnym wyczekiwania milczeniu.

– Ja, Angoulême i Milva – powiedział – jedziemy do Belhaven. Cahir, Regis i Jaskier skręcają w dolinę Sansretour i jadą do Toussaint.

– Nie – powiedział szybko Jaskier, mocniej ściskając swój tubus. – Za nic. Ja nie mogę...

– Zamknij się. To nie jest dysputa. To był rozkaz herszta hanzy! Jedziecie do Toussaint, ty, Regis i Cahir. Tam czekacie na nas.

– Toussaint to dla mnie śmierć – oznajmił bez emfazy trubadur. – Gdy mnie rozpoznają w Beauclair, na zamku, to po mnie. Muszę wam wyjawić...

– Nie musisz – przerwał obcesowo wiedźmin. – Za późno. Mogłeś się wycofać, nie chciałeś. Zostałeś w drużynie. Żeby ratować Ciri. Nie tak?

– Tak.

– Pojedziesz zatem z Regisem i Cahirem doliną Sansretour. Zaczekacie na nas w górach, na razie nie przekraczając granic Toussaint. Ale jeśli... Jeśli zajdzie konieczność, musicie przekroczyć granicę. Bo w Toussaint są podobno druidzi, ci z Caed Dhu, znajomi Regisa. Jeśli zajdzie konieczność, zdobędziecie od druidów informacje i ruszycie po Ciri... sami.

– Jak to: sami? Ty przewidujesz...

– Nie przewiduję, uwzględniam możliwość. Tak zwany wszelki wypadek. Ostateczność, jeśli wolisz. Może wszystko pójdzie dobrze i nie będziemy musieli pokazywać się w Toussaint. Ale w razie czego... Ważne jest to, że do Toussaint nie pójdzie za wami nilfgaardzki pościg.

– Ano, nie pójdzie – wtrąciła Angoulême. – Dziwne to, ale Nilfgaard szanuje rubieże Toussaint. Ja też się tam raz przed pościgiem ukryłam. Ale tamtejsi rycerze nie lepsi od Czarnych! Wytworni, grzeczni w mowie, ale szybcy do kopii i miecza. A granicę patrolują bez ustanku. Nazywają się: błędni. Pojedynczo jeżdżą, po dwóch albo trzech. I tępią hultajstwo. Znaczy się: nas. Wiedźminie, jedna rzecz w tych twoich planach jest do zmiany.

– Co?

– Jeśli mamy ruszyć ku Belhaven i zadrzeć ze Słowikiem, pojedziesz ze mną ty i pan Cahir. A z nimi niech jedzie ciotka.

– A to dlaczego? – Geralt gestem uspokoił Milvę.

– Do tej roboty trzeba chłopów. Czego się pieklisz, ciotka? Ja wiem, co gadam! Przyjdzie co do czego, trzeba będzie może bardziej postrachem działać, niźli samą siłą. A żaden z hanzy Słowika nie zlęknie się trójki, w której na jednego chłopa przypadają dwie baby.

– Pojedzie z nami Milva. – Geralt zacisnął palce na przedramieniu rozwścieczonej nie na żarty łuczniczki. – Milva, nie Cahir. Z Cahirem jechać nie chcę.

– A to czemu? – spytali prawie jednocześnie Angoulême i Cahir.

– Właśnie – powiedział wolno Regis. – Czemu?

– Bo nie mam do niego zaufania – oznajmił krótko wiedźmin.

Milczenie, które zapadło, było nieprzyjemne, ciężkie, lepkie niemal. Od strony lasu, pod którym obozowała karawana kupiecka i grupa innych podróżnych, dobiegały podniesione głosy, okrzyki i śpiewy.

– Wyjaśnij – powiedział wreszcie Cahir.

– Ktoś nas zdradził – rzekł sucho wiedźmin. – Po rozmowie z prefektem i po rewelacjach Angoulême nie ma co do tego wątpliwości. A gdy się dobrze zastanowić, dochodzi się do wniosku, że zdrajca jest wśród nas. A do tego, by zgadnąć, kto nim jest, wcale nie trzeba się długo zastanawiać.

– Ty, jak mi się zdaje – zmarszczył brew Cahir – pozwoliłeś sobie zasugerować, że tym zdrajcą jestem ja?

– Nie ukrywam – głos wiedźmina był zimny – że mnie taka myśl napadła, i owszem. Wiele na to wskazuje. Wiele by to wyjaśniało. Bardzo wiele.

– Geralt – rzekł Jaskier. – Czy ty nie posuwasz się odrobinkę za daleko?

– Niech mówi – wydął wargi Cahir. – Niech mówi. Niech się nie krępuje.

– Zastanawiało nas – Geralt potoczył wzrokiem po twarzach kompanów – jak mogło dojść do rzekomego błędu w rachunku. Wiecie, o czym mowa. O tym, że jest nas piątka, a nie czwórka. Myśleliśmy, że ktoś się po prostu pomylił: tajemniczy półelf, rozbójnik Słowik albo Angoulême. A jeśli odrzucić wersję błędu? Wtedy nasuwa się wersja następująca: drużyna liczy pięć osób, ale Słowik ma zabić tylko cztery. Bo piąta to sprzymierzeniec zamachowców. Ktoś, kto stale ich informuje o ruchach drużyny. Od początku, od momentu, kiedy po zjedzeniu słynnej rybnej zupy drużyna się sformowała. Przyjmując do swego składu Nilfgaardczyka. Nilfgaardczyka, który musi dopaść Ciri, musi ją oddać cesarzowi Emhyrowi, bo od tego zależy jego życie i dalsza kariera...

– A więc jednak nie myliłem się – powiedział wolno Cahir. – Jednak jestem zdrajcą. Podłym, dwulicowym sprzedawczykiem?

– Geralt – odezwał się znowu Regis. – Wybacz szczerość, ale twoja teoria jest dziurawa jak stare rzeszoto. A twoja myśl, mówiłem ci to już, jest niełądna.

– Jestem zdrajcą – powtórzył Cahir, jak gdyby nie słyszał słów wampira. – Jak jednak rozumiem, dowodów mojej zdrady nie ma żadnych, są jedynie mętne poszlaki i wiedźmińskie domysły. Jak rozumiem, to na mnie spadnie ciężar udowodnienia mojej niewinności. To ja będę musiał dowieść, że nie jestem koniem. Tak?

– Bez patosu, Nilfgaardczyku – warknął Geralt, stając przed Cahirem i uderzając go wzrokiem. – Gdybym miał dowód twojej winy, nie traciłbym czasu na gadanie, lecz rozpłatał cię na dzwonka jak śledzia! Znasz zasadę *cui bono*? To odpowiedz mi: kto, oprócz ciebie, miał choćby najmniejszy powód, by zdradzić? Kto, oprócz ciebie, zyskałby na zdradzie cokolwiek?

Od strony obozującej kupieckiej karawany rozległ się głośny i przeciągły trzask. Na czarnym niebie gwiaździście eksplodował

czerwono-złoty szmermel, race wystrzeliły rojem złotych pszczół, opadły kolorowym deszczem.

– Nie jestem koniem – powiedział młody Nilfgaardczyk dźwięcznym, mocnym głosem. – Niestety, udowodnić tego nie mogę. Mogę zrobić coś innego. To, co mi przystoi, to, co zrobić muszę, gdy się mnie lży i znieważa, gdy plami się mój honor i kala moją godność.

Jego ruch był szybki jak błyskawica, mimo tego nie zaskoczyłby wiedźmina, gdyby nie jego obolałe, komplikujące ruchy kolano. Unik nie udał się jednak Geraltowi, a pięść w jeździeckiej rękawicy trzasnęła go w szczękę z taką siłą, że poleciał w tył i runął wprost w ognisko, wzbijając kurzawę iskier. Zerwał się, przez ból w kolanie znowu za wolno. Cahir już był przy nim. I tym razem wiedźmin nie zdążył nawet się uchylić, pięść huknęła go w bok głowy, a w oczach rozbłysły kolorowe fajerwerki, piękniejsze nawet od tych wystrzeliwanych przez kupców. Geralt zaklął plugawie i rzucił się na Cahira, oplótł go ramionami i zwalił na ziemię, potoczyli się po żwirze, okładając pięściami, aż huczało.

A wszystko to w upiornym i nienaturalnym świetle rozbryzgujących się na niebie sztucznych ogni.

– Zaprzestańcie! – wrzeszczał Jaskier. – Zaprzestańcie, wy cholerni idioci!

Cahir zręcznie wybił Geraltowi ziemię spod nóg, próbującego się podnieść, walnął w zęby. I poprawił, aż zadzwoniło. Geralt zwinął się, sprężył i kopnął go, w krocze nie trafił, trafił w udo. Zwarli się znowu, przewrócili, poturlali, grzmocąc jeden drugiego, gdzie popadło, oślepieni przez ciosy i włażący do oczu kurz i piach.

I nagle rozłączyli się, potoczyli w przeciwne strony, kuląc się i chroniąc głowy przed świszczącymi razami.

Milva, odpasawszy z bioder gruby skórzany pas, chwyciwszy za klamrę, owinąwszy wokół napięstka, dopadła wojowników i zaczęła ich łoić, od ucha, z całej siły, nie żałując ni rzemienia, ni ręki. Pas świstał i z suchym trzaskiem spadał na ręce, barki, plecy i ramiona już to Cahira, już to Geralta. Gdy rozdzielili się, Milva skakała od jednego do drugiego jak pasikonik, nadal piorąc ich sprawiedliwie, tak by żaden nie dostał ani mniej, ani więcej od drugiego.

– Wy głuptaki głupie! – wrzasnęła, z trzaskiem waląc Geralta przez plecy. – Wy durnie durnowate! Ja was rozumu nauczę, obydwu!

– Już? – wrzasnęła jeszcze głośniej, smagając Cahira po rękach, którymi zasłaniał głowę. – Przeszło wam? Uspokoili się?

– Już! – zawył wiedźmin. – Dość!

– Dość! – zawtórował zwinięty w kłębek Cahir. – Wystarczy!

– Wystarczy – powiedział wampir. – Naprawdę już wystarczy, Milvo.

Łuczniczka dyszała ciężko, ocierając czoło owiniętą pasem pięścią.

– Brawo – odezwała się Angoulême. – Brawo, ciotka.

Milva odwróciła się na pięcie i z całej siły smagnęła ją pasem przez bark. Angoulême krzyknęła, usiadła i rozpłakała się.

– Mówiła żem – wydyszała Milva – żebyś na mię tak nie wołała. Mówiła żem!

– Nic się nie stało! – Jaskier nieco roztrzęsionym głosem uspokajał kupców i podróżnych, którzy nadbiegli od sąsiednich ognisk. – Ot, małe towarzyskie nieporozumienie. Przyjacielska sprzeczka. Już zażegnana!

Wiedźmin dotknął językiem ruszającego się zęba, wypluł krew cieknącą z przeciętej wargi. Czuł, jak na plecach i ramionach rosną mu już wałki, jak puchnie – do rozmiarów chyba kalafiora – chlaśnięte rzemieniem ucho. Obok niezgrabnie gramolił się z ziemi Cahir, trzymając się za policzek. Na jego odsłoniętym przedramieniu w oczach wręcz wyrastały i nabrzmiewały szerokie czerwone pręgi.

Na ziemię opadł śmierdzący siarką deszcz, popiół z ostatniego fajerwerku.

Angoulême łkała żałośnie, trzymając się za bark. Milva odrzuciła pas, po chwili wahania uklękła przy niej, objęła i przytuliła bez słowa.

– Proponuję – odezwał się zimnym głosem wampir – abyście podali sobie ręce. Proponuję, aby nigdy, przenigdy już nie wracać do tamtej sprawy.

Niespodziewanie zadął i zaszumiał zbiegający z gór wicher, w którym, wydawałoby się, brzmiały jakieś upiorne wycia, krzyki i zawodzenia. Pędzone po niebie chmury przybrały fantastyczne kształty. Sierp księżyca zrobił się czerwony jak krew.

•

Wściekły chór i furkot skrzydeł lelków kozodojów zbudziły ich przed świtem.

Wyruszyli tuż po wschodzie słońca, które oślepiającym ogniem zapaliło później śniegi na szczytach gór. Wyruszyli na długo przed tym,

zanim słońce zdołało ukazać się zza szczytów. Zresztą zanim się ukazało, niebo zasnuły chmury.

Jechali wśród lasów, a droga wiodła coraz wyżej i wyżej, co dało się miarkować po zmianach w drzewostanie. Dęby i graby skończyły się nagle, wjechali w mrok bukowin, wysłanych opadłym liściem, pachnących pleśnią, pajęczyną i grzybami. Grzybów było w bród. Mokry koniec lata prawdziwie obrodził jesiennym grzybem. Poszycie bukowin miejscami znikało wręcz pod kapeluszami borowików, rydzów i muchomorów.

Bukowiny były ciche, wyglądało, że większość ptaków śpiewających odleciała już na wyraj. Tylko zmokłe wrony krakały na skrajach zarośli.

Potem skończyły się buki, zjawił się świerk. Zapachniało żywicą.

Coraz częściej trafiały się łyse pagóry i gołoborza, wśród których dopadał ich wicher. Rzeka Newi pieniła się na progach i kaskadach, jej wody – mimo deszczów – stały się krystalicznie przejrzyste.

Na horyzoncie wznosiła się Gorgona. Coraz bliżej.

Z kanciastych boków potężnej góry jak rok długi spływały lodowce i śniegi, przez co Gorgona wyglądała zawsze jakby przepasana białymi szarfami. Szczyt Diablej Góry, niby głowę i szyję tajemniczej oblubienicy, nieustannie spowijały woale chmur. Niekiedy zaś Gorgona jak tancerka potrząsała swą białą przyodziewą – widok był piękny, ale niósł śmierć – z urwistych ścian góry szły oto lawiny zmiatające na swej drodze wszystko, aż do rumowisk podnóża i dalej w dół, zboczem, aż po najwyższe świerkowe regle nad przełęczą Theodula, nad dolinami Newi i Sansretour, nad czarnymi oczkami górskich jeziorek.

Słońce, które mimo wszystko zdołało przebić chmury, zaszło o wiele za szybko – po prostu skryło się za góry na zachodzie, podpalając je purpurowo-złotą łuną.

Przenocowali. Słońce wzeszło.

I przyszedł czas, aby się rozdzielić.

•

Dokładnie owinął głowę jedwabną chustką Milvy. Nałożył kapelusz Regisa. Po raz kolejny sprawdził ułożenie sihilla na plecach i obu sztyletów w cholewach.

Obok Cahir ostrzył swój długi nilfgaardzki miecz. Angoulême przepasała czoło wełnianą opaską, wsunęła do cholewy myśliwski nóż,

prezent od Milvy. Łuczniczka i Regis siodłali im konie. Wampir oddał Angoulême swego karosza, sam przesiadał się na muła Draakula.

Byli gotowi. Tylko jedna jeszcze rzecz pozostawała do załatwienia.

– Chodźcie tutaj, wszyscy.

Podeszli.

– Cahirze, synu Ceallacha – zaczął Geralt, starając się nie być patetycznym. – Skrzywdziłem cię niesłusznym podejrzeniem i zachowałem się wobec ciebie podle. Niniejszym deprekuję, przy wszystkich, schyliwszy głowę. Deprekuję i proszę cię, byś mi wybaczył. Was wszystkich też proszę o wybaczenie, bo to było podłe, kazać wam na to patrzeć i słuchać.

– Wyładowałem na Cahirze i na was mój gniew, moją złość i mój żal. Płynące z tego, że ja wiem, kto nas zdradził. Wiem, kto zdradził i porwał Ciri, którą my chcemy uratować. Mój gniew bierze się stąd, że mowa o osobie, która była mi niegdyś bardzo bliska.

– Gdzie jesteśmy, co zamierzamy, którędy idziemy i dokąd się kierujemy... wszystko to zostało wykryte za pomocą magii skanującej, wychwytującej. To niezbyt trudne dla mistrzyni magii, wychwycić i obserwować z odległości osobę niegdyś dobrze znaną i bliską, z którą miało się długotrwały kontakt psychiczny pozwalający na wytworzenie matrycy. Ale czarodziejka i czarodziej, o których mówię, popełnili błąd. Zdemaskowali się. Pomylili się, licząc członków drużyny, a pomyłka ta ich zdradziła. Powiedz im, Regis.

– Geralt może mieć rację – powiedział wolno Regis. – Jak każdy wampir, jestem niewidzialny dla magicznej sondy wizyjnej i skanowania, czyli czaru wychwytującego. Można wyśledzić wampira czarem analitycznym, z bliska, natomiast nie jest możliwe, aby wampira wykryć na odległość czarem skanującym. Czar skanujący wampira nie pokaże. Tam, gdzie jest wampir, wychwyt odpowie, że nie ma nikogo. Tylko czarodziej mógł się więc tak pomylić w stosunku do nas: wyskanować czworo tam, gdzie w istocie jest pięcioro, to znaczy, czworo ludzi i jeden wampir.

– Skorzystamy z tej pomyłki czarodziejów – podjął znowu wiedźmin. – Ja, Cahir i Angoulême pojedziemy do Belhaven na rozmowę z półelfem, który wynajmuje na nas morderców. Zapytamy półelfa nie o to, na czyj rozkaz działa, bo to już wiemy. Zapytamy go, gdzie znajdują się

czarodzieje, na których rozkaz półelf działa. Gdy dowiemy się, gdzie to jest, pojedziemy tam. I dokonamy zemsty.

Wszyscy milczeli.

– Przestaliśmy liczyć daty, dlatego nawet nie zauważyliśmy, że mamy już dwudziesty piąty września. Dwa dni temu była noc Zrównania. Ekwinokcjum. Tak, to była właśnie ta noc, o której myślicie. Widzę wasze przygnębienie, widzę to, co macie w oczach. Odebraliście sygnał, wtedy, tej paskudnej nocy, gdy obozujący obok nas kupcy dodawali sobie animuszu okowitą, śpiewem i fajerwerkami. Zapewne odebraliście przeczucie mniej wyraźnie, niż ja i Cahir, ale przecież domyślacie się. Podejrzewacie. I boję się, że podejrzewacie słusznie.

Zakrakały wrony przelatujące nad gołoborzem.

– Wszystko wskazuje na to, że Ciri nie żyje. Dwie noce temu, w Ekwinokcjum, poniosła śmierć. Gdzieś daleko stąd, samotna, sama wśród wrogich i obcych sobie ludzi.

– A nam pozostała tylko zemsta. Zemsta krwawa i okrutna, o której jeszcze za sto lat krążyć będą opowieści. Opowieści, których ludzie bali się będą słuchać po zapadnięciu zmroku. A tym, którzy chcieliby powtórzyć taką zbrodnię, zadrży ręka na myśl o naszej zemście. Damy odstraszający przykład grozy! Metodą pana Fulka Artevelde, mądrego pana Fulka, który wie, jak należy traktować szubrawców i łotrów. Przykład grozy, który damy my, zadziwi nawet jego!

– Zaczynamy więc i niech piekło nam dopomaga! Cahir, Angoulême, do koni. Jedziemy w górę Newi, ku Belhaven. Jaskier, Milva, Regis, wy kierujecie się ku Sansretour, ku granicom Toussaint. Nie zabłądzicie, drogę wytyczy wam Gorgona. Do zobaczenia.

•

Ciri głaskała czarnego kota, który obyczajem wszystkich kotów świata wrócił do chaty na moczarach, gdy umiłowanie wolności i łajdaczenia się zostały zachwiane przez chłód, głód i niewygody. Teraz leżał na kolanach dziewczyny i podstawiał kark pod jej dłoń z mrukiem świadczącym o głębokiej rozkoszy.

To, o czym dziewczyna opowiadała, kota nie obchodziło za grosz.

– To był jedyny raz, kiedy śniłam o Geralcie – podjęła Ciri. – Od tamtego czasu, od rozstania na wyspie Thanedd, od Wieży Mewy, nigdy nie widziałam go we śnie. Dlatego sądziłam, że nie żyje. I nagle spłynął

ten sen, taki, jakie miewałam dawniej, sny, o których Yennefer mówiła, że są wieszcze, prekognicyjne, że pokazują albo przeszłość, albo przyszłość. To było w przeddzień Ekwinokcjum. W miasteczku, którego nazwy nie pamiętam. W piwnicy, w której zamknął mnie Bonhart. Po tym, jak mnie skatował i zmusił, bym wyznała, kim jestem.

– Zdradziłaś mu, kim jesteś? – uniósł głowę Vysogota. – Powiedziałaś mu wszystko?

– Za tchórzostwo – przełknęła ślinę – zapłaciłam upokorzeniem i pogardą do samej siebie.

– Opowiedz o twoim śnie.

– Widziałam w nim górę, wielką, stromą, kanciastą jak kamienny nóż. Widziałam Geralta. Słyszałam, co mówił. Dokładnie. Każde słowo, jakbym była tuż–tuż. Pamiętam, chciałam wołać, że to wcale nie tak, że to wszystko nieprawda, że się okropnie pomylił... Że wszystko pomylił! Że przecież jeszcze nie było wcale Ekwinokcjum, więc nawet jeśli i stało się tak, że ja w Ekwinokcjum umarłam, to nie wolno mu ogłaszać mnie martwą wcześniej, gdy jeszcze żyję. I nie wolno mu oskarżać Yennefer i mówić o niej takich rzeczy...

Zamilkła na chwilę, pogłaskała kota, mocno pociągnęła nosem.

– Ale nie mogłam dobyć głosu. Nie mogłam nawet oddychać... Jakbym się topiła. I obudziłam się. Ostatnie, co widziałam, co pamiętam z tego snu, to była trójka jeźdźców. Geralt i jeszcze dwoje, cwałujący wąwozem, z którego ścian spadały siklawy...

Vysogota milczał.

•

Gdyby po zmroku ktoś podkradł się do chaty z zapadniętą strzechą, gdyby zajrzał przez szparę w okiennicy, zobaczyłby w skąpo oświetlonym wnętrzu białobrodego starca, w skupieniu słuchającego opowieści popielatowłosej dziewczyny z policzkiem zeszpeconym paskudną blizną.

Zobaczyłby czarnego kota, leżącego na kolanach dziewczyny, leniwie mruczącego, dopraszającego się głaskania – ku uciesze harcujących po izbie myszy.

Ale tego nikt nie mógł zobaczyć. Chata z zapadniętą i omszałą strzechą była dobrze ukryta wśród mgieł, na bezkresnych bagnach Pereplutu, na które nikt nie odważał się zapuszczać.

Wiadomym jest, że wiedźmin, gdy mękę, cierpienie i śmierć zadaje, to takiej similissime lubości i rozkoszy doznaje, jaką człek pobożny i normalny tylko wtenczas ma, gdy z małżonką swą ślubną obcuje, ibidem cum eiaculatio. Z tego jasno wypływa, że i w tej materii wiedźmin naturze przeciwnym jest stworem, niemoralnym i plugawym zwyrodnialcem, z dna piekła najczarniejszego i najsmrodliwszego się rodzącym, albowiem z cierpienia i męki sam chyba tylko diabeł rozkosz czerpać może.

Anonim, *Monstrum albo wiedźmina opisanie*

Rozdział szósty

Zjechali z głównego szlaku wiodącego doliną Newi, pojechali na skróty, przez góry. Jechali tak szybko, jak pozwalała ścieżka, wąska, kręta, przytulona do skał o fantastycznych kształtach, pokrytych liszajem różnokolorowych mchów i porostów. Jechali wśród pionowych skalistych urwisk, z których spadały postrzępione wstęgi siklaw i wodospadów. Przejeżdżali przez wąwozy i jary, przez chybotliwe mostki nad przepaściami, na dnie których białą pianą kotłowały się strumienie.

Graniasta klinga Gorgony zdawała się wznosić tuż nad ich głowami. Szczytu Diablej Góry nie mogli widzieć – utonął w chmurach i mgłach zasnuwających niebo. Pogoda – jak to w górach – popsuła się w ciągu kilku godzin, zaczęło siąpić, siąpić dotkliwie i wrednie.

Gdy zaczynało mieć się na zmierzch, wszyscy troje niecierpliwie i nerwowo rozglądali się za pasterskim szałasem, zrujnowaną owczarnią lub choćby jaskinią. Za czymkolwiek, co uchroniłoby w nocy od kapiącej z nieba wody.

•

– Przestało chyba padać – powiedziała z nadzieją w głosie Angoulême. – Kapie już tylko z dziur w dachu szałasu. Jutro, na szczęście, będziemy już w bliskości Belhaven, a na podgrodziu zawsze można przenocować w jakiejś szopie albo stodole.

– Nie wjedziemy do miasta?

– O wjechaniu i mowy nie ma. Obcy na koniach rzucają się w oczy, a Słowik ma w mieście kupę informatorów.

– Rozważaliśmy plan, by świadomie wystawić się na przynętę...

– Nie – przerwała. – To kiepski plan. To, że jesteśmy razem, wzbudzi podejrzenia. Słowik to przebiegły drań, a wieść o moim pojmaniu na pewno już się rozeszła. Jeśli zaś coś zaniepokoi Słowika, to i do półelfa dojdzie.

– Co więc proponujesz?

– Objedziemy miasto łukiem od wschodu, od wylotu doliny Sansretour. Tam są kopalnie rudy. W jednej z tych kopalni mam znajomka. Odwiedzimy go. Kto wie, jeśli będziemy mieli szczęście, to może opłaci się nam ta wizyta?

– Możesz mówić jaśniej?

– Powiem jutro. W kopalni. Żeby nie zapeszyć.

Cahir dorzucił do ogniska brzozowych gałęzi. Padało cały dzień, innym drewnem nie dałoby się palić. Ale brzezina, choć mokra, troszkę tylko poskwierczała i zaraz buchnęła wysokim sinawym płomieniem.

– Skąd pochodzisz, Angoulême?

– Z Cintry, wiedźminie. To taki kraj nad morzem, przy ujściu Jarugi...

– Wiem, gdzie leży Cintra.

– To czemu pytasz, jeśli tyle wiesz? Tak cię bardzo zajmuję?

– Powiedzmy, że trochę.

Milczeli. Ogień potrzaskiwał.

– Moja matka – przemówiła wreszcie Angoulême, patrząc w płomienie – była w Cintrze szlachcianką i to bodaj wysokiego rodu. W herbie miał ten ród kota morskiego, pokazałabym ci, bo miałam medalionik z tym ich zafajdanym kotem, od matki, alem go przegrała w kości... Ale ten ród, srał ich morski pies, wyparł się mnie, bo moja matka puściła się podobno z jakimś chamem, bodajże stajennym, i ja byłam bastard, srom, hańba i plama na honorze. Oddali mnie na wychowanie dalekim powinowatym, ci wprawdzie w herbie nie mieli ani kota, ani psa, ani innej kurwy, ale nie byli dla mnie źli. Do szkół posłali, w sumie mało bili... Choć dosyć często mi przypominali, kim jestem, jakim to bękartem w pokrzywach spłodzonym. Matka odwiedziła mnie może ze trzy lub cztery razy, gdy byłam mała. Potem przestała mnie odwiedzać. Mnie zresztą gówno zależało...

– Jakim sposobem trafiłaś między przestępców?

– Pytasz jak sędzia śledczy! – parsknęła, wykrzywiając się groteskowo. – Między przestępców, phuuu! Z drogi cnoty, pheee!

Poburczała, pogrzebała za pazuchą, wyciągnęła coś, czego wiedźmin nie widział dokładnie.

– Jednooki Fulko – powiedziała niewyraźnie, zawzięcie wcierając sobie coś w dziąsła i wciągając do nosa – to jednak przyzwoity gość. Co zabrał, to zabrał, ale proch zostawił. Weźmiesz szczyptę, wiedźminie?

– Nie. Wolałbym, żebyś i ty nie brała.

– Dlaczego?

– Bo nie.

– Cahir?

– Nie używam fisstechu.

– Ale mi się świętoszkowie trafili – pokręciła głową. – Zaraz mi pewnie zaczniecie morały prawić, że niby od prochów oślepnę, ogłuchnę i wyłysieję? Że urodzę upośledzone dziecko?

– Zostaw to, Angoulême. I dokończ opowiadania.

Dziewczyna kichnęła potężnie.

– Dobra, jak chcesz. Na czym to ja... Aha. Wybuchła wojna, wiesz, z Nilfgaardem, krewni stracili cały majątek, musieli porzucić dom. Mieli troje własnych dzieci, a ja stałam się dla nich ciężarem, więc oddali mnie do przytułku. Prowadzonego przez kapłanów przy jakiejś świątyni. Wesołe to było miejsce, jak się okazało. Zamtuz zwyczajny, bordel, nic dodać, nic ująć, dla takich, co lubią kwaśny owoc z białą pestką, kapujesz? Młode dziewuszki. I młodych chłopców też. Ja, gdy tam trafiłam, byłam już zbyt wyrośnięta, dorosła, nie było na mnie amatorów...

Całkiem niespodziewanie oblała się rumieńcem, widocznym nawet w świetle ogniska.

– Prawie nie było – dodała przez zęby.

– Ile miałaś wtedy lat?

– Piętnaście. Poznałam tam jedną dziewczynę i pięciu chłopaków, w moim wieku i trochę starszych. I dogadaliśmy się raz-dwa. Znaliśmy, było nie było, legendy i opowieści. O Szalonym Dei, o Czarnobrodym, o braciach Cassini... Zachciało się nam na szlak, na swobodę, na grasantkę! Co to, rzekliśmy sobie, tylko za to, że nas tutaj dwa razy w dzień karmią, to mamy jakimś wstręciuchom na zawołanie dupy dawać...

– Powściągnij słownictwo, Angoulême. Wiesz, co za dużo, to niezdrowo.

Dziewczyna charknęła przeciągle, splunęła w ognisko.

– Aleś świętoszek! Dobra, do rzeczy przejdę, bo mi się gadać nie chce. W przytułkowej kuchni znalazły się noże, wystarczyło je dobrze na kamieniu wyostrzyć i na pasku wywecować. Z toczonych nóg od dębowego krzesła wyszły piękne pały. Potrzebne były tylko konie i pieniądze, więc zaczekaliśmy na przyjazd dwóch zbereźników, stałych bywalców, staruchów, tfu, chyba czterdziestoletnich. Przyjechali, siedli, winko popijali, czekali, aż im kapłani zwykłym obyczajem przywiążą wybraną małolatę do takiego specjalnego sprytnego mebla... Ale nie podudkali sobie tego dnia!

– Angoulême.

– Dobra, dobra. Krótko: zarżnęliśmy i zatłukliśmy obu zbereźnych dziadów, trzech kapłanów i pazia, jedynego, który nie uciekł i koni bronił. Świątynnego szafarza, co nie chciał klucza od szkatuły wydać, ogniem przypiekaliśmy tak długo, aż wydał, ale darowaliśmy życiem, bo miły był staruszek, zawsze życzliwy i dobry. I poszliśmy na zbój, na gościńce. Różne były naszych losów koleje, raz na wozie, raz pod, raz my biliśmy, raz nas bili. Raz było syto, a raz głodno. Ha, głodno częściej. Z tego, co pełza, zjadłam w życiu wszystko, co się dało, kurwa, złowić. A z tego, co fruwa, raz zjadłam nawet latawiec, bo był sklejony klejem z mąki.

Zamilkła, gwałtownie poczochrała swe jaśniutkie jak słoma włosy.

– Ach, co było, to było. Tyle ci powiem: z tych, co ze mną z przytułku uciekli, nie żyje już nikt. Dwóch ostatnich, Owena i Abla, utrupiły parę dni temu knechty pana Fulka. Abel poddał się, jak i ja, ale i tak go zarąbali, choć miecz rzucił. Mnie oszczędzili. Nie myśl, że z dobroci serca. Już mnie na płaszczu na krzyż rozkładali, ale przyleciał oficer i na uciechę nie zezwolił. No, a od szafotu tyś mnie ocalił...

Zamilkła na chwilę.

– Wiedźminie?

– Słucham.

– Ja wiem, jak wdzięczność okazać. Jeśli tylko zechcesz...

– Słucham?

– Zobaczę, co tam u koni – powiedział szybko Cahir i wstał, owijając się płaszczem. – Przejdę się trochę... po okolicy...

Dziewczyna kichnęła, pociągnęła nosem, chrząknęła.

– Ani słowa, Angoulême – uprzedził ją, naprawdę zły, naprawdę zawstydzony, naprawdę zmieszany. – Ani słowa!

Chrząknęła znowu.

– Naprawdę nie masz na mnie ochoty? Ani troszeczkę?

– Od Milvy już dostałaś rzemieniem, smarkulo. Jeśli natychmiast nie zamilkniesz, ode mnie dostaniesz dokładkę.

– Już nic nie mówię.

– Grzeczna dziewczynka.

•

W zboczu porośniętym koślawymi i powykręcanymi sosenkami ziały jamy i dziury, ostemplowane i oszalowane deskami, połączone kładkami, drabinami i rusztowaniami. Z dziur wystawały wsparte na krzyżujących się słupach pomosty. Po niektórych pomostach uwijali się ludzie pchający wózki i taczki. Zawartość wózków i taczek – którą była, na pierwszy rzut oka, brudna kamienista ziemia – zwalano z pomostów do wielkiego czworokątnego koryta, czy raczej kompleksu coraz to mniejszych, poprzegradzanych deskami koryt. Przez koryta stale i szumnie lała się woda doprowadzona od strony lesistego pagóra za pomocą wspartych na niskich krzyżakach drewnianych rynien. I podobnie wyprowadzana, w dół, na urwisko.

Angoulême zsiadła z konia, dała znak, by Geralt i Cahir zsiedli również. Zostawiwszy wierzchowce przy płocie, poszli w kierunku zabudowań, brnąc w błocie obok nieszczelnych rynien i rur.

– Wypłuczka żelaznej rudy – powiedziała Angoulême, pokazując na urządzenie. – Stamtąd, o, z szybów rudokopu, wywozi się urobek, wygruża do koryt i płucze wodą braną ze strumienia. Ruda osiada na rząpnicach, stamtąd się ją wybiera. Dookoła Belhaven jest mnóstwo kopalni i takich płuczek. A rudę wozi się w doliny, do Mag Turga, tam są dymarki i huty, bo tam jest więcej lasów, a do wytopu trzeba drewna...

– Dziękuję za lekcję – uciął kwaśno Geralt. – Widziałem już w życiu kilka kopalni rud i wiem, czego trzeba do wytopu. Kiedy wreszcie nam zdradzisz, w jakim celu tu przyjechaliśmy?

– W celu pogawędzenia z jednym moim znajomkiem. Tutejszym sztygarem. Chodźcie za mną. Ha, już go widzę! O, tam, pod stolarnią. Chodźmy.

– To ten krasnolud?

– Tak. Nazywa się Golan Drozdeck. Jest, jak mówiłam...

– Tutejszym sztygarem. Mówiłaś. Nie mówiłaś natomiast, o czym chcesz z nim gawędzić.

– Obejrzyjcie sobie wasze buty.

Geralt i Cahir posłusznie przyjrzeli się obuwiu, utytłanemu w szlamie o dziwnej czerwonawej barwie.

– Półelf, którego szukamy – uprzedziła pytania Angoulême – miał podczas rozmowy ze Słowikiem takie samiutkie czerwoniutkie błotko na kamaszach. Kapujecie?

– Teraz tak. A krasnolud?

– Nie odzywajcie się do niego w ogóle. Ja biorę na siebie gadanie. Was natomiast ma on mieć za takich, co nie gadają, ale rąbią. Przybierzcie groźne miny.

Nie musieli przybierać specjalnych min. Niektórzy z przyglądających się gwarków szybko odwracali oczy, inni zamierali z otwartymi ustami. Ci, którzy znaleźli się na ich drodze, pospiesznie z niej schodzili. Geralt domyślał się, dlaczego. Na twarzy Cahira i jego własnej wciąż znać było sińce, krwiaki, skaleczenia i opuchlizny – malownicze ślady bójki i lania, jakie spuściła im Milva. Wyglądali zatem na osobników, którzy znajdują upodobanie w praniu po gębach siebie wzajem, a do dania w mordę osobie trzeciej też nie trzeba ich długo namawiać.

Krasnolud, znajomek Angoulême, stał pod budynkiem z napisem: „Stolarnia” i malował coś na tablicy zbitej z dwóch heblowanych desek. Zobaczył nadchodzących, odłożył pędzel, odstawił kubełek z farbą, przyjrzał się spode łba. Na jego ozdobionej poplamioną brodą fizjonomii odmalował się nagle wyraz srogiego zdumienia.

– Angoulême?

– Sie masz, Drozdeck.

– To ty? – krasnolud rozdziawił brodatą gębę. – To naprawdę ty?

– Nie. To nie ja. To świeżo zmartwychwstały prorok Lebioda. Zadaj jeszcze jakieś pytanie, Golan. Dla odmiany może jakieś mądrzejsze.

– Ty nie kpij, Jasna. Ja już się ciebie ujrzeć nie spodziewałem więcej. Był tu pięć dni temu nazad Mulica, prawił, że capnęli cię i na pal wbili w Riedbrune. Klął się, że to prawda!

– Z wszystkiego jest pożytek – wzruszyła ramionami dziewczyna. – Będzie teraz Mulica pieniądze pożyczał i klął się, że odda, to ty już

wiedział będziesz, ile jego klątwy warte.

– Jam to już wprzódy wiedział – odparł krasnolud, szybko mrugając i poruszając nosem zupełnie jak królik. – Ja by jemu i szeląga złamanego nie pożyczył, choćby on mi tu usrał się i ziemię jadł. Ale żeś ty żywa i cała, cieszę się, cieszę, hej! Może i zdarzy się, że mi dług oddasz, a?

– Może. Kto wie?

– A któż to jest z tobą, Jasna?

– Druhy dobre.

– Ech, mordy... A dokąd bogi prowadzą?

– Jak zwykle, na manowce. – Angoulême, za nic sobie mając piorunujące spojrzenia wiedźmina, wciągnęła do nosa szczyptę fisstechu, resztę wtarła w dziąsło. – Niuchniesz, Golan?

– No chyba. – Krasnolud podstawił dłoń, wciągnął podarowaną szczyptę narkotyku do nozdrza.

– Tak po prawdzie – podjęła dziewczyna – to myślę do Belhaven. Nie wiesz, czy tam aby gdzie Słowik z hanzą nie leży?

Golan Drozdeck przechylił głowę.

– Tobie, Jasna, Słowika unikać. Rozeźlony on, mówią, na ciebie jak ta rosomaka, gdy ją zimową porą rozbudzić.

– O wa! A gdy go wieść doszła, że mnie na ostry kół dwukonnym sprzężajem nawlekli, serca nie odmienił? Nie pożałował? Łezki nie uronił, brodziska nie obsmarkał?

– Nijak nie. Powiadają, rzekł tak: ma, pry, Angoulême to, co się jej z dawna należało: w rzyci tyczkę.

– Ot, grubianin. Wulgarny chamski ryj. Pan prefekt Fulko rzekłby: dół społeczny. Ja zaś rzeknę: dół kloaczny!

– Lepiej tobie, Jasna, takie rzeczy za oczami jemu mówić. I wedle Belhaven nie kręcić się, łukiem miasto omijać. A jeśli do miasta, tedy lepiej w przebraniu...

– Ty, Golan, nie ucz dziada, jak charchać.

– Gdzieżbym ta śmiał.

– Słuchaj no, krasnoludzie. – Angoulême oparła but o stopień schodów stolarni. – Pytanie ci postawię. Z odpowiedzią nie spiesz. Pomyśl wpierw dobrze.

– Pytaj.

– Półelf pewien w oko tobie ostatnio nie wpadł przypadkiem? Obcy, nietutejszy?

Golan Drozdeck wciągnął powietrze, kichnął potężnie, otarł nos nadgarstkiem.

– Półelf, powiadasz? Jaki półelf?

– Ty nie udawaj głupka, Drozdeck. Taki, który Słowika do pewnej roboty najął. Na mokry kontrakt. Na pewnego wiedźmina...

– Wiedźmina? – zaśmiał się Golan Drozdeck, podnosząc z ziemi swą deskę. – A to ci dopiero! Toż my, ciekawostka, właśnie wiedźmina szukamy, o, takie właśnie szyldy malujemy i wieszamy w okolicy. Popatrz, o: wiedźmin potrzebny, zapłata dobra, do tego wikt i kwatera, szczegóły w zarządzie rudokopu „Mała Babette”... Jak się właściwie pisze: „szczegóły” czy „strzegóły”?

– Napisz: „detale”. A po co wam na kopalni wiedźmin?

– Ot, zapytała. Na co, jeśli nie na potwory?

– Na jakie?

– Na pukacze i barbegazi. Strasznie się rozpanoszyły na dolnych chodnikach.

Angoulême rzuciła okiem na Geralta, który skinieniem głowy potwierdził, że wie, o co chodzi. A znaczącym chrząknięciem dał znać, że warto by wrócić do tematu.

– Wracając do tematu... – Dziewczyna pojęła w lot. – Co ci wiadomo o tym półelfie?

– Nie wiadomo mi o żadnym półelfie nic.

– Mówiłam, żebyś dobrze pomyślał.

– Takem i uczynił. – Golan Drozdeck przybrał nagle chytrą minę. – I wymyśliłem, że to nie kalkuluje się, coś o tej sprawie wiedzieć.

– Znaczy?

– Znaczy, tu niespokojnie jest. Teren niespokojny i czas niespokojny. Bandy, Nilfgaardczyki, partyzanty z „Wolnych Stoków”... I różne obce elementy, półelfy. Każden jeden aż się pali, by dyzgust uczynić...

– Znaczy? – zmarszczyła nosek Angoulême.

– Znaczy, ty mi pieniądze winna jesteś, Jasna. Miasto oddać, nowe długi chcesz zaciągać. Poważne długi, bo za to, o co pytasz, można po łbie wziąć, i to nie gołą ręką, a siekierką. Co to dla mnie za interes? Czy mi się będzie opłacało, jeśli będę coś o półelfie wiedział, hę? Czy dostanę cosik? Bo jeśli tylko ryzyko, a zysku żadnego...

Geralt miał dość. Nudziła go rozmowa, drażniły żargon i maniera. Błyskawicznym ruchem chwycił krasnoluda za brodę, szarpnął i pchnął.

Golan Drozdeck potknął się o wiadro z farbą, upadł. Wiedźmin podskoczył do niego, oparł kolano o pierś i zaświecił nożem w oczy.

– Zyskać – zawarczał – możesz to, że z życiem ujdziesz. Gadaj.

Oczy Golana, wydawało się, za chwilę wyjdą z orbit i pójdą sobie pospacerować po okolicy.

– Gadaj – powtórzył Geralt. – Gadaj, co wiesz. Inaczej tak ci przerżnę grdykę, że wcześniej się utopisz, niż wykrwawisz.

– „Rialto”... – wystękał krasnolud. – W kopalni „Rialto”...

•

Rudokop „Rialto” niewieloma detalami różnił się od rudokopu „Mała Babette”, jak też od innych kopalni i karierów, które Angoulême, Geralt i Cahir minęli w drodze, a które zwały się „Manifest Jesienny”, „Stara Ruda”, „Nowa Ruda”, „Ruda Julka”, „Celestynka”, „Wspólna sprawa” i „Fortunna Dziura”. We wszystkich wrzała praca, we wszystkich wywożoną z szybów lub wykopów brudną ziemię wywalano na koryta i płukano na rząpnicach. We wszystkich pod dostatkiem było charakterystycznego czerwonego błota.

”Rialto” było kopalnią dużą, umiejscowioną blisko szczytu wzgórza. Szczyt był ścięty i stanowił karier, czyli odkrywkę. Właściwa płuczka mieściła się na wydłubanym w zboczu wzgórza tarasie. Tutaj, pod pionową ścianą, w której ziały otwory szybów i sztolni, były koryta, rząpnice, rynny i inne parafernalia górniczego przemysłu. Tutaj też stało prawdziwe osiedle drewnianych domków, bud, szop i krytych korą chat.

– Nie znam tu nikogo – powiedziała dziewczyna, przywiązując wodze do płotu. – Ale spróbujemy pogadać z rządcą. Geralt, jeśli możesz, nie chwytaj go od razu za gardło i nie groź majchrem. Najpierw pogadamy...

– Nie ucz dziada, jak charchać, Angoulême.

Nie zdążyli pogadać. Nie zdążyli nawet podejść do budynku, w którym podejrzewali siedzibę rządcy. Na placyku, gdzie ładowano rudę na wozy, wpakowali się prosto na piątkę konnych.

– O, cholera – powiedziała Angoulême. – O, cholera. Popatrzcie, co też kot przyniósł.

– O co chodzi?

– To ludzie Słowika. Przyjechali ściągać haracz. Już mnie zauważyli i rozpoznali... Psia mać! Aleśmy wpadli...

– Zdołasz się wyłgać? – mruknął Cahir.

– Nie liczcie na to.

– Bo?

– Okradłam Słowika, uciekając z hanzy. Nie darują mi tego. Ale spróbuję... Wy milczcie. Miejcie oczy otwarte i bądźcie gotowi. Na wszystko.

Konni zbliżyli się. Przodem jechało dwóch – długowłosy szpakowaty typ w wilczurze i młody drągal z brodą, ewidentnie zapuszczoną, by skryć zeszpecenia po trądziku. Udawali obojętnych, ale Geralt dostrzegł tajone błyski nienawiści we wzroku, którym mierzyli Angoulême.

– Jasna.

– Novosad. Yirrel. Witajcie. Ładny dzień dzisiaj. Szkoda tylko, że pada.

Szpakowaty zsiadł, a raczej zeskoczył z kulbaki, zamaszyście przerzucając prawą nogę nad końskim łbem. Pozostali zsiedli również. Szpakowaty oddał wodze drągalowi z brodą, nazwanemu Yirrelem, sam podszedł bliżej.

– Proszę – powiedział. – Nasza sroczka gadatliwa. Pokazuje się, żyjesz i zdrowaś?

– I nogami fikam.

– Smarkulo pyskata! Głosiła plotka, że fikasz, ale na palu. Głosiła plotka, chycił cię Jednooki Fulko. Głosiła plotka, żeś śpiewała na mękach jak turkawka, wszystko wydała, o co pytali!

– Głosiła plotka – prychnęła Angoulême – że twoja matka, Novosad, wołała od klientów tylko cztery tynfy, a i tak nikt nie chciał dać więcej niż dwa.

Zbójca splunął jej pod nogi z pogardliwą miną. Angoulême prychnęła znowu, zupełnie jak kotka.

– Novosad – powiedziała bezczelnie, biorąc się pod boki. – Do Słowika interes mam.

– Ciekawe. Bo on do ciebie też.

– Zawrzyj gębę i słuchaj, póki mam chęć gadać. Dwa dni temu, milę za Riedbrune, ja i ci oto druhowie moi zarąbaliśmy tego wiedźmina, co był na niego mokry kontrakt. Kapujesz?

Novosad popatrzył znacząco po kamratach, potem podciągnął rękawice, otaksował wzrokiem Geralta i Cahira.

– Twoi nowi druhowie – powtórzył przeciągle. – Ha, widzę po gębach, że nie kapłani to. Wiedźmina zabili, powiadasz? A jak? Sztychem w

plecy? Czy we śnie?

– Jest to nieważny strzegół – Angoulême wykrzywiła się jak małpka. – Ważny strzegół jest natomiast taki, że dany wiedźmin ziemię gryzie. Posłuchaj, Novosad. Ja ze Słowikiem wadzić się nie chcę ni w paradę mu włazić. Ale interes jest interes. Półelf dał wam zaliczkę na kontrakt, o tą się nie upomnę, to wasz pieniądz, na koszta i za fatygę. Ale druga rata, którą półelf po robocie przyrzekł, wedle prawa moja.

– Wedle prawa?

– Tak jest! – Angoulême nie zwróciła uwagi na sarkastyczny ton. – Myśmy to bowiem kontrakt wypełnili, wiedźmina ubili, na co możemy półelfowi dowody pokazać. Wezmę tedy, co moje i pójdę sobie w siną i mglistą dal. Ze Słowikiem, jakem rzekła, konkurować nie chcę, bo dla mnie i dla niego na Stokach za ciasno. To mu przekaż, Novosad.

– Tylko to? – znowu jadowity sarkazm.

– I ucałowania – parsknęła Angoulême. – Możesz mu za mnie wypiąć dupę, *per procura*.

– Na lepszy ci ja koncept wpadłem – oznajmił Novosad, zerkając na kompanów. – Ja mu twoją dupę w oryginale zawiozę, Angoulême. Ja mu ciebie, Angoulême, w pętach dostawię, a on już wtedy z tobą wszystko obgada i załatwi. I ureguluje. Wszystko. Spór o to, komu należy się pieniądz za kontrakt półelfa Schirrú. A i odpłata za to, coś ukradła. A i to, że Stoki dla nas za ciasne. Wszystko się tym sposobem załatwi. Detalicznie.

– Jest szkopuł jeden. – Angoulême opuściła ręce. – Jak ty chcesz mnie do Słowika zaprowadzić, Novosad?

– A ot, tak! – Bandyta wyciągnął rękę. – Za kark!

Geralt błyskawicznym ruchem dobył sihilla i podstawił go Novosadowi pod nos.

– Nie radzę – warknął.

Novosad odskoczył, wyciągnął miecz. Yirrel z sykiem wydobył krzywą szablę z pochwy na plecach. Pozostali poszli za ich przykładem.

– Nie radzę – powtórzył wiedźmin.

Novosad zaklął. Popatrzył po kompanach. Nie był mocny w arytmetyce, ale wyszło mu, że pięciu to znacznie więcej niż troje.

– Bij! – wrzasnął, rzucając się na Geralta. – Zabij!

Wiedźmin półobrotem uniknął ciosu i ciął go na odlew w skroń. Zanim jeszcze Novosad upadł, Angoulême pochyliła się w krótkim

zamachu, nóż świsnął w powietrzu, atakujący Yirrel zatoczył się, spod podbródka sterczała mu kościana rękojeść. Zbój puścił szablę, oburącz wyszarpnął nóż z szyi, bluzgnął krwią, a Angoulême z podskoku kopnęła go w pierś i obaliła na ziemię. W tym czasie Geralt zasiekł drugiego bandytę. Cahir zarąbał następnego, pod potężnym uderzeniem nilfgaardzkiego miecza z czaszki zbójcy odpadło coś na kształt porcji arbuza. Ostatni zbir zrejterował, skoczył do konia. Cahir podrzucił miecz, chwycił za klingę i cisnął jak oszczepem, trafiając zbója równo między łopatki. Koń zarżał i szarpnął głową, przysiadł, zatupał, wlokąc po czerwonym błocie trupa z ręką zadzierzgniętą w rzemień wodzy.

Wszystko trwało nie dłużej niż pięć uderzeń serca.

– Ludzieeee! – wrzasnął ktoś spomiędzy budynków. – Ludzieee! Na pomoooc! Mord, mord, mordują!

– Wojsko! Wezwać wojsko! – krzyknął drugi górnik, odpędzając dzieci, które odwiecznym obyczajem wszystkich dzieci świata zjawiły się nie wiedzieć skąd, by przyglądać się i pętać pod nogami.

– Niech ktoś bieży po wojsko!

Angoulême podniosła swój nóż, wytarła go i wsunęła do cholewy.

– A niech bieży, proszę bardzo! – odwrzasnęła, rozglądając się. – Co wy, gwarkowie, ślepi, czy jak? To była samoobrona! Napadli na nas, opryszki jedne! A bo to ich nie znacie? Mało wam złego narobili? Mało z was haraczu ściągnęli?

Kichnęła mocno. Potem zdarła drgającemu jeszcze Novosadowi sakiewkę z paska, pochyliła się nad Yirrelem.

– Angoulême.

– Co?

– Zostaw.

– Dlaczego niby? To zdobycz! Masz za dużo pieniędzy?

– Angoulême...

– Hej, wy – rozległ się nagle dźwięczny głos. – Pozwólcie no tu.

W otwartych wrotach baraku, będącego magazynem narzędzi, stało trzech mężczyzn. Dwaj byli krótko ostrzyżonymi osiłkami o niskich czołach i niezawodnie niskim pomyślunku. Trzecim – tym, który ich okrzyknął – był niezwykle wysoki, ciemnowłosy, przystojny mężczyzna.

– Niechcący słyszałem rozmowę, która poprzedziła zajście – powiedział mężczyzna. – Nie bardzo chciało mi się wierzyć w zabicie

wiedźmina, myślałem, że to czcze przechwałki. Teraz już tak nie myślę. Wejdźcie tu, do baraku.

Angoulême słyszalnie wciągnęła powietrze. Spojrzała na wiedźmina i ledwo dostrzegalnie kiwnęła głową.

Mężczyzna był półelfem.

•

Półelf Schirrú był wysoki – miał dobrze ponad sześć stóp wzrostu. Długie ciemne włosy nosił związane na karku w opadający na plecy koński ogon. Mieszaną krew zdradzały oczy – duże, kształtu migdałów, zielonożółte jak u kota.

– Wyście więc zabili wiedźmina – powtórzył, uśmiechając się niełądnie. – Uprzedzając Homera Straggena, zwanego Słowikiem? Ciekawe, ciekawe. Jednym słowem, to wam mam zapłacić pięćdziesiąt florenów. Drugą ratę. Straggen dostał więc swoje pół setki za darmo. Bo chyba nie przypuszczacie, że wam odda.

– Jak ja się ze Słowikiem ułożę, to już moja rzecz – powiedziała Angoulême, siedząca na skrzyni i machająca nogami. – A umowa względem wiedźmina była o dzieło. I to myśmy tego dzieła dokonali. My, nie Słowik. Wiedźmin w ziemi. Jego kompani, wszyscy troje, w ziemi. Wychodzi, kontrakt wykonany.

– Tak przynajmniej twierdzicie. Jak to się odbyło?

Angoulême nie przerwała machania nogami.

– Na starość – oznajmiła swym zwykłym bezczelnym tonem – spiszę historię mego żywota. Opiszę w niej, jak odbywało się to, jak tamto, a jak owamto. Do tego czasu musicie wziąć na wstrzymanie, panie Schirrú.

– Aż tak się tego wstydzicie – zauważył zimno mieszaniec. – Więc aż tak wrednie i zdradziecko tego dokonaliście.

– Przeszkadza wam to? – odezwał się Geralt.

Schirrú spojrzał na niego bacznie.

– Nie – odrzekł po chwili. – Wiedźmin Geralt z Rivii nie zasługiwał na lepszy los. Był to naiwniak i głupiec. Gdyby miał ładniejszą, uczciwszą, honorową śmierć, powstałyby legendy. A on nie zasługiwał na legendę.

– Śmierć jest zawsze taka sama.

– Nie zawsze – pokręcił głową półelf, wciąż usiłując zajrzeć w skryte cieniem kaptura oczy Geralta. – Zapewniam, że nie zawsze. Domyślam

się, że to ty zadałeś śmiertelny cios.

Geralt nie odpowiedział. Czuł przemożną ochotę, by chwycić metysa za koński ogon, zwalić na podłogę i wydusić z niego wszystko, co wie, kolejno wybijając zęby głowicą miecza. Powstrzymywał się. Rozsądek podpowiadał, że wymyślona przez Angoulême mistyfikacja mogła dać lepsze rezultaty.

– Jak chcecie – rzekł Schirrú, nie doczekawszy się odpowiedzi. – Nie będę nalegał na relację z przebiegu zdarzenia. Najwyraźniej niesporo wam jakoś mówić o tym, najwyraźniej nie bardzo jest się czym chwalić. Jeśli, oczywista, wasze milczenie nie wynika z czegoś zupełnie innego... Na przykład z tego, że w ogóle nic się nie zdarzyło. Macie może jakieś dowody na prawdziwość waszych słów?

– Obcięliśmy zabitemu wiedźminowi prawą dłoń – odparła beznamiętnie Angoulême. – Ale później porwał ją szop pracz i zeżarł.

– Mamy więc tylko to. – Geralt wolno rozpiął koszulę i wyciągnął medalion z głową wilka. – Wiedźmin nosił to na szyi.

– Poproszę.

Geralt nie wahał się długo. Półelf zważył medalion w dłoni.

– Teraz wierzę – powiedział wolno. – Bibelot silnie emanuje magią. Coś takiego mógł mieć tylko wiedźmin.

– A wiedźmin – dokończyła Angoulême – nie dałby go sobie zdjąć, gdyby jeszcze dychał. Znaczy się, to jest dowód murowany. Kładźcie więc, panku, forsę na stół.

Schirrú pieczołowicie schował medalion, wyjął zza pazuchy zwitek papierów, położył je na stole i rozprostował dłonią.

– Proszę pozwolić.

Angoulême zeskoczyła ze skrzyni, podeszła, małpując i kręcąc biodrami. Pochyliła się nad stołem. A Schirrú błyskawicznie ucapił ją za włosy, zwalił na blat stołu i przyłożył nóż do gardła. Dziewczyna nie zdążyła nawet wrzasnąć.

Geralt i Cahir mieli już miecze w dłoniach. Ale za późno.

Pomocnicy półelfa, osiłki o niskich czołach, dzierżyli w rękach żelazne haki. Ale nie kwapili się podchodzić.

– Miecze na podłogę – warknął Schirrú. – Obaj, miecze na podłogę. Inaczej poszerzę tej dziwce uśmiech.

– Nie słuchaj... – zaczęła Angoulême i skończyła wrzaskiem, bo półelf zakręcił wpitą w jej włosy pięścią. I nadciął skórę puginałem, bo po szyi

dziewczyny pociekł lśniący czerwony wężyk.

– Miecze na ziemię! Ja nie żartuję!

– A może się jakoś dogadamy? – Geralt, nie bacząc na wrzący w nim gniew, zdecydował się grać na zwłokę. – Jak ludzie kulturalni?

Półelf zaśmiał się jadowicie.

– Dogadać? Z tobą, wiedźminie? Mnie tu przysłano, bym z tobą skończył, nie gadał. Tak, tak, odmieńcze. Tyś tu udawał, jasełki odgrywał, a ja rozpoznałem cię od razu, od pierwszego rzutu oka. Dokładnie mi cię opisano. Domyślasz się, kto mi cię tak dokładnie opisał? Kto dał mi dokładne wskazówki, gdzie i w jakiej kompanii cię znajdę? O, z pewnością się domyślasz.

– Puść dziewczynę.

– Ale ja cię znam nie tylko z opisu – kontynuował Schirrú, ani myśląc puścić Angoulême. – Ja cię już widziałem. Ja cię nawet kiedyś śledziłem. W Temerii. W lipcu. Jechałem za tobą aż do miasta Dorian. Do siedziby jurystów Codringhera i Fenna. Kojarzysz?

Geralt obrócił miecz tak, by klinga zaświeciła w oczy półelfa.

– Ciekaw jestem – powiedział zimno – jak zamierzasz wybrnąć z tej patowej sytuacji, Schirrú. Ja widzę dwa wyjścia. Pierwsze: natychmiast puścisz dziewczynę. Drugie: zabijesz dziewczynę... A w sekundę później twoja krew pięknie ubarwi ściany i sufit.

– Wasza broń – Schirrú brutalnie szarpnął Angoulême za włosy – ma znaleźć się na ziemi, zanim doliczę do trzech. Potem zacznę dziwkę kroić.

– Zobaczymy, ile zdążysz ukroić. Ja myślę, że niedużo.

– Raz!

– Dwa! – zaczął własne liczenie Geralt, zawijając sihillem syczącego młyńca.

Z zewnątrz dobiegł ich łomot kopyt, rżenie i prychanie koni, okrzyki.

– I co teraz? – zaśmiał się Schirrú. – Na to czekałem. To już nie pat, lecz mat! Przybyli moi przyjaciele.

– Doprawdy? – powiedział Cahir, wyglądając oknem. – Widzę uniformy cesarskiej lekkiej kawalerii.

– A więc to mat, ale dla ciebie – rzekł Geralt. – Przegrałeś, Schirrú. Puść dziewczynę.

– Akurat.

Drzwi baraku ustąpiły pod kopnięciami, do środka wkroczyło kilkunastu ludzi, w większości czarno i jednolicie umundurowanych. Wiódł ich jasnowłosy brodacz ze srebrnym niedźwiedziem na naramienniku.

– *Que aen suecc's?* – spytał groźnie. – Co się tu dzieje? Kto odpowiada za tę rozróbę? Za te trupy na dziedzińcu? Gadać mi tu natychmiast!

– Panie dowódco...

– *Glaeddyvan vort!* Rzucić miecze!

Posłuchali. Bo mierzono do nich z kusz i arbaletów. Puszczona przez Schirrú Angoulême chciała zerwać się ze stołu, ale nagle znalazła się w uścisku krępego, kolorowo odzianego draba o wyłupiastych jak u żaby oczach. Chciała krzyknąć, ale drab zacisnął jej na ustach urękawiczoną pięść.

– Powstrzymajmy się od przemocy – zaproponował chłodno Geralt dowódcy z niedźwiedziem. – Nie jesteśmy przestępcami.

– A to ci dopiero.

– Działamy za wiedzą i zgodą pana Fulka Artevelde, prefekta z Riedbrune.

– A to ci dopiero – powtórzył Niedźwiedź, dając znać, by podniesiono i zabrano miecze Geralta i Cahira. – Za wiedzą i zgodą. Pana Fulka Artevelde. Ważnego pana Artevelde. Słyszeliście, chłopcy?

Jego ludzie – ci czarni i ci kolorowi – zarechotali chórem.

Angoulême zaszamotała się w uścisku żabiookiego, nadaremnie usiłując krzyczeć. Niepotrzebnie. Geralt już wiedział. Zanim jeszcze uśmiechnięty Schirrú zaczął ściskać podawane mu prawice. Zanim czterech czarnych Nilfgaardczyków chwyciło Cahira, a trzech innych skierowało kusze prosto w jego twarz.

Żabiooki pchnął Angoulême w ręce kamratów. Dziewczyna zawisła w ich chwycie jak szmaciana lalka. Nawet nie próbowała stawiać oporu.

Niedźwiedź wolno podszedł do Geralta i nagle łupnął go w krocze pięścią w pancernej rękawicy. Geralt zgiął się, ale nie upadł. Na nogach trzymała go zimna wściekłość.

– Może pocieszy cię wieść – powiedział Niedźwiedź – że nie jesteście pierwszymi durniami, których Jednooki Fulko wykorzystał do własnych celów. Solą w oku są mu zyskowne interesy, jakie ja tutaj prowadzę z panem Homerem Straggenem, przez niektórych zwanym Słowikiem. Fulka szlag trafia, że w ramach tych interesów przyjąłem Homera

Straggena na służbę cesarską i mianowałem dowódcą ochotniczej kompanii ochrony górnictwa. Nie mogąc więc mścić się oficjalnie, najmuje różnych łotrzyków.

– I wiedźminów – wtrącił zjadliwie uśmiechnięty Schirrú.

– Na zewnątrz – rzekł głośno Niedźwiedź – moknie na deszczu pięć trupów. Zamordowaliście ludzi będących w służbie cesarskiej! Zakłóciliście pracę w kopalni! Nie mam żadnych wątpliwości: jesteście szpiedzy, dywersanci i terroryści. Na tym terenie obowiązuje prawo wojenne. Niniejszym w trybie doraźnym skazuję was na śmierć.

Żabiooki zarechotał. Podszedł do podtrzymywanej przez bandytów Angoulême, szybkim ruchem chwycił ją za pierś. I mocno ścisnął.

– No i co, Jasna? – zaskrzeczał, a głos, okazało się, miał jeszcze bardziej żabi aniżeli oczy. Bandycki sobrykiet, o ile sam go sobie nadał, dowodził poczucia humoru. A jeśli miał to być mający kamuflować alias, to sprawdzał się ekstraordynaryjnie.

– Spotkaliśmy się jednak znowu! – zaskrzeczał znowu żabi Słowik, szczypiąc Angoulême w pierś. – Cieszysz się?

Dziewczyna jęknęła boleśnie.

– Gdzie masz, kurwo, perły i kamienie, któreś mi ukradła?

– Wziął je w depozyt Jednooki Fulko! – wrzasnęła Angoulême, nieudolnie udając, że się nie boi. – Zgłoś się do niego po odbiór!

Słowik zaskrzeczał i wybałuszył oczy – wyglądał teraz jak najprawdziwsza żaba, tylko było patrzeć, jak zacznie łowić muchy językiem. Jeszcze mocniej uszczypnął Angoulême, która zaszamotała się i jęknęła jeszcze boleśniej. Zza czerwonej mgły wściekłości, która zasnuła oczy Geralta, dziewczyna znowu zaczęła przypominać Ciri.

– Brać ich – rozkazał zniecierpliwiony Niedźwiedź. – Na podwórze z nimi.

– To wiedźmin – rzekł niepewnie jeden z bandytów ze Słowikowej kompanii ochrony górnictwa. – Charakternik! Jak tu jego gołą ręką brać? Gotów nas jakim urokiem zaczarować albo czym inszym...

– Nie ma strachu. – uśmiechnięty Schirrú poklepał okolice kieszeni. – Bez wiedźmińskiego amuletu nie wydoli czarować, a amulet mam ja. Bierzcie go śmiało.

•

Na podwórzu czekali dalsi zbrojni Nilfgaardczycy w czarnych płaszczach i kolorowa Słowikowa hassa. Zebrała się też grupka górników. Kręciły się wszędobylskie dzieci i psy.

Słowik stracił nagle panowanie nad sobą. Zupełnie jakby diabeł w niego wstąpił. Skrzecząc wściekle zdzielił Angoulême pięścią, gdy upadła, kopnął ją kilkakrotnie. Geralt zaszarpał się w uścisku bandytów, za co dostał w kark czymś twardym.

– Mówili – skrzeczał Słowik, skacząc nad Angoulême jak oszalała ropucha – że cię w Riedbrune wbili na pal przez zadek, ty mała gamratko! Był ci tedy pal pisany! I na palu zdechniesz! Hej, chłopy, wyszukajcie tu gdzie jaki drążek i zasieczcie go w szpic. Żywo!

– Panie Straggen – skrzywił się Niedźwiedź. – Nie widzę powodu, by bawić się w tak czasochłonne i bestialskie egzekucje. Jeńców należy zwyczajnie powiesić...

Zamilkł pod złym spojrzeniem żabich oczu.

– Bądźcie no cicho, kapitanie – skrzeknął bandyta. – Za dużo wam płacę, byście mi uwagi niestosowne czynili. Ja Angoulême złą śmierć przyrzekłem i teraz sobie z nią poigram. Chcecie, to powieście se tych dwóch. O nich nie stoję.

– Ale ja o nich stoję – wtrącił się Schirrú. – Obaj są mi potrzebni. Zwłaszcza wiedźmin. Zwłaszcza on. A ponieważ nawlekanie dziewczyny potrwa trochę, ten czas i ja wykorzystam.

Podszedł, utkwił w Geralcie swe kocie oczy.

– Trzeba ci wiedzieć, odmieńcze – powiedział – że to ja wykończyłem twego druha Codringhera w Dorian. Zrobiłem to z rozkazu mego pana, mistrza Vilgefortza, któremu służę od lat. Ale zrobiłem to z wielką przyjemnością.

– Stary łajdak Codringher – podjął półelf, nie doczekawszy się reakcji – miał czelność wścibić nos w sprawy mistrza Vilgefortza. Wybebeszyłem go nożem. A tego obmierzłego potworka Fenna podpaliłem wśród jego papierów i upiekłem żywcem. Mogłem go zwyczajnie zadźgać, ale poświęciłem trochę czasu i zachodu, by posłuchać, jak wyje i kwiczy. A wył i kwiczał, powiadam ci, jak zarzynane prosię. Nic, absolutnie nic ludzkiego nie było w tym wyciu.

– Wiesz, dlaczego ci o tym wszystkim mówię? Bo ciebie mógłbym również po prostu zadźgać albo kazać zadźgać. Ale poświęcę trochę czasu i zachodu. Posłucham sobie, jak ty będziesz wył. Mówiłeś, że

śmierć jest zawsze taka sama? Zobaczysz zaraz, że nie każda. Podpalcie, chłopcy, smołę w maźnicy. I przynieście jakiś łańcuch.

Coś rozbiło się o węgieł baraku i natychmiast eksplodowało ogniście i ze straszliwym hukiem.

Drugie naczynie z olejem skalnym – Geralt rozpoznał po zapachu – trafiło prosto w maźnicę, trzecie roztrzaskało się tuż obok trzymających konie. Huknęło, płomień buchnął, konie wpadły w szał. Zakotłowało się, z kotłowiska wypadł płonący i wyjący pies. Jeden z bandytów Słowika rozłożył nagle ręce i plasnął w błoto ze strzałą w plecach.

– Niech żyją Wolne Stoki!

Na szczycie wzgórza, na rusztowaniach i pomostach, zamajaczyły sylwetki w szarych opończach i futrzanych czapkach. Na ludzi, konie i kopalniane baraki poleciały dalsze pociski zapalające, niczym szmermele wlokące za sobą warkocze ognia i dymu. Dwa wpadły do warsztatu, na podłogę usłaną wiórami i trocinami.

– Niech żyją Wolne Stoki! Śmierć nilfgaardzkim okupantom!

Zaśpiewały lotki strzał i bełtów.

Runął pod konia jeden z czarnych Nilfgaardczyków, zwalił się z przebitym gardłem jeden ze Słowikowych bandytów, upadł z bełtem w karku jeden z ostrzyżonych osiłków. Upadł z makabrycznym jękiem Niedźwiedź. Strzała trafiła go w pierś, pod mostek, poniżej ryngrafu. Była to – choć nikt wiedzieć tego nie mógł – strzała ukradziona z wojskowego transportu, standardowy wzór cesarskiej armii, lekko przerobiony. Szeroki dwubrzeszczotowy grot został w kilku miejscach nadpiłowany celem uzyskania efektu rozprysku.

Grot pięknie rozprysnął się w trzewiach Niedźwiedzia.

– Precz z tyranem Emhyrem! Wolne Stoki!

Słowik skrzeknął, chwytając się za draśnięte bełtem ramię.

Pokulał się w czerwonym błocie jeden z dzieciaków, przeszyty na wylot strzałą któregoś z gorzej celujących bojowników o wolność. Padł jeden z trzymających Geralta. Zwalił się jeden z trzymających Angoulême. Dziewczyna wyrwała się drugiemu, błyskawicznie wyciągnęła nóż z cholewy, cięła z szerokiego rozmachu. Z gorącości chybiła gardło Słowika, ale pięknie rozwaliła mu policzek, niemal do samych zębów. Słowik zaskrzeczał jeszcze skrzekliwiej niż zazwyczaj, a oczy wyłupił jeszcze wyłupiaściej. Osunął się na kolana, bluzgając krwią spomiędzy dłoni, którymi trzymał się za twarz. Angoulême zawyła

potępieńczo, doskoczyła, by dokończyć dzieła, ale nie zdołała, bo między nią a Słowikiem eksplodowała kolejna bomba, buchając ogniem i kłębami smrodliwego dymu.

Dookoła już huczał pożar i panowało ogniste pandemonium. Konie szalały, rżały i wierzgały. Bandyci i Nilfgaardczycy wrzeszczeli. Górnicy biegali w popłochu – jedni uciekali, drudzy usiłowali gasić płonące budynki.

Geralt zdążył już podnieść upuszczony przez Niedźwiedzia sihill. Wysoką kobietę w kolczudze, która zamierzała się na wstającą Angoulême morgensternem, krótko ciął w czoło. Czarnemu Nilfgaardczykowi, nadbiegającemu ze szpontonem, rozpłatał udo. Następnemu, który po prostu znalazł się na drodze, rozsiekł gardło.

Tuż obok szalejący, poparzony, pędzący na oślep koń obalił i stratował drugiego dzieciaka.

– Łap konia! Łap konia! – Cahir znalazł się tuż obok niego, czynił im obu rum zamaszystymi ciosami miecza. Geralt nie słuchał, nie patrzył. Zarąbał następnego Nilfgaardczyka. Rozglądał się za Schirrú.

Angoulême, na kolanach, z odległości trzech kroków strzeliła z podniesionej kuszy, pakując bełt w podbrzusze atakującego ją bandyty z kompanii ochrony górnictwa. Potem zerwała się i uwiesiła uździenicy biegnącego obok konia.

– Łap jakiegoś, Geralt! – krzyknął Cahir. – I w nogi!

Wiedźmin rozpłatał kolejnego Nilfgaardczyka, cięciem z góry, od mostka do biodra. Gwałtownym szarpnięciem głowy strząsnął krew z brwi i rzęs. Schirrú! Gdzie jesteś, draniu?

Cięcie. Krzyk. Ciepłe krople na twarzy.

– Litości! – zawył klęczący w błocie chłopak w czarnym uniformie. Wiedźmin zawahał się.

– Opamiętaj się! – ryknął Cahir, chwytając go za ramiona i potrząsając mocno. – Opamiętaj się! W szał wpadłeś?

Wracała galopem Angoulême, ciągnąc za wodze drugiego konia. Ścigali ją dwaj jeźdźcy. Jeden spadł trafiony strzałą bojownika o wolność Stoków. Drugiego zmiótł z siodła miecz Cahira.

Geralt wskoczył na kulbakę. I wtedy w świetle pożaru zobaczył Schirrú, skrzykującego do siebie spanikowanych Nilfgaardczyków. Obok półelfa skrzeczał i wywrzaskiwał klątwy Słowik, wyglądający z zakrwawioną gębą jak istny troll ludojad.

Geralt ryknął wściekle, obrócił konia, zamłynkował mieczem.

Obok Cahir krzyknął i zaklął, zachwiał się w siodle, krew z czoła momentalnie zalała mu oczy i twarz.

– Geralt! Pomóż!

Schirrú skupił wokół siebie grupę, wrzeszczał, rozkazywał strzelać z kusz. Geralt trzepnął konia płazem po zadzie, gotów do samobójczej szarży. Schirrú musiał umrzeć. Reszta nie miała znaczenia. Nie liczyła się. Cahir się nie liczył. Angoulême się nie liczyła...

– Geralt! – wrzasnęła Angoulême. – Pomóż Cahirowi!

Opamiętał się. I zawstydził.

Podtrzymał go, wsparł. Cahir wytarł oczy rękawem, a krew natychmiast znowu mu je zalała.

– To nic, draśnięcie... – głos mu dygotał. – W konie, wiedźminie... W cwał, za Angoulême... W cwał!

Od podnóża góry rozbrzmiewał wielki krzyk, nadbiegał stamtąd uzbrojony w oskardy, łomy i siekiery tłum. To na pomoc kumplom i kumotrom z rudokopu „Rialto" spieszyli górnicy z sąsiednich kopalni – z „Fortunnej Dziury" lub „Wspólnej Sprawy". Lub z jakiejś innej. Któż to mógł wiedzieć?

Geralt uderzył konia piętami. Poszli w cwał, w szaleńczy *ventre à terre*.

•

Gnali nie oglądając się, przytuleni do końskich karków. Najlepszy koń trafił się Angoulême, mały, ale rączy bandycki bachmacik. Koń Geralta, gniadosz z nilfgaardzkim rzędem, zaczynał już chrapać i rzęzić, miał kłopoty z trzymaniem łba w górze. Koń Cahira, również wojskowy, był silniejszy i bardziej wytrzymały, co z tego, kiedy jeździec sprawiał kłopoty, kolebiąc się w siodle, machinalnie ściskając uda i mocno brocząc krwią na grzywę i szyję wierzchowca.

Ale cwałowali nadal.

Wysforowana na czoło Angoulême czekała na nich na zakręcie, w miejscu, skąd droga biegła w dół, wijąc się wśród skał.

– Pościg... – wydyszała, rozmazując brud na twarzy. – Będą nas gonić, nie darują... Górnicy widzieli, którędy uciekamy. Nie powinniśmy zostawać na gościńcu... Musimy wyskoczyć w lasy, na bezdroża... Zgubić ich...

– Nie – zaprotestował wiedźmin, z niepokojem słuchając wyrywających się z płuc konia dźwięków. – Musimy gościńcem... Najprostszą i najkrótszą drogą do Sansretour...

– Czemu?

– Nie ma teraz czasu na gadanie. Jazda! Wyduście z koni, ile się da...

Cwałowali. Gniadosz wiedźmina chrapał.

•

Gniadosz nie nadawał się do dalszej jazdy. Ledwo szedł na zesztywniałych jak kołki nogach, potężnie robił bokami, powietrze wychodziło z niego z chrapliwym rzężeniem. Wreszcie padł na bok, wierzgnął sztywno, patrzył na jeźdźca, a w jego zmętniałym oku był wyrzut.

Koń Cahira był w nieco lepszym stanie, ale za to Cahir był w gorszym. Z siodła po prostu spadł, podniósł się, ale tylko na czworaki, zwymiotował gwałtownie, choć nie bardzo miał czym.

Gdy Geralt i Angoulême spróbowali dotknąć jego zakrwawionej głowy, zakrzyczał.

– Jasna cholera – powiedziała dziewczyna. – Ale mu fryzurę zafundowali.

Skóra nad czołem i skronią młodego Nilfgaardczyka, wraz z włosami, była na znacznej długości oddzielona od kości czaszki. Gdyby nie to, że krew utworzyła już klejący skrzep, luźny płat opadłby chyba aż na ucho. Widok był makabryczny.

– Jak to się stało?

– Rzucili mu prosto w łeb toporkiem. Żeby było śmieszniej, to nie był ani Czarny, ani nikt od Słowika, ale któryś z kopalnianych gwarków.

– Jest akurat obojętne, kto rzucił. – Wiedźmin ciasno owinął głowę Cahira udartym rękawem koszuli. – Ważne i szczęśliwe, że kiepski był to miotacz, oskalpował tylko, a mógł rozwalić czaszkę. Ale kości czerepu też się mocno dostało. A i mózg to odczuł. On nie utrzyma się w siodle, nawet gdyby koń zdołał unieść jego ciężar.

– Co tedy poczniemy? Twój koń zdechł, jego prawie zdechł, a z mojego aż kapie... A za nami pogoń. Nie możemy tu zostać...

– Musimy tu zostać. Ja i Cahir. I koń Cahira. Ty jedź dalej. Ostro. Twój koń jest mocny, wytrzyma galop. A nawet gdybyś miała go zajeździć... Angoulême, gdzieś w dolinie Sansretour czekają na nas Regis, Milva i

Jaskier. O niczym nie wiedzą i mogą wpaść Schirrú w łapy. Musisz ich odnaleźć i uprzedzić, a potem wszyscy czworo co sił w koniach walcie do Toussaint. Tam nie będą was ścigać. Mam nadzieję.

– A ty i Cahir? – Angoulême zagryzła wargi. – Co będzie z wami? Słowik nie jest głupi, gdy zobaczy półzdechłego luzaka, przeryje każdy wykrot w okolicy! A ty daleko z Cahirem nie ujdziesz!

– Schirrú, bo to on nas ściga, pojedzie za tobą.

– Tak myślisz?

– Jestem pewien. Jedź.

– Co ciotka powie, gdy się bez was pojawię?

– Wytłumaczysz. Nie Milvie, tylko Regisowi. Regis będzie wiedział, co należy zrobić. A my... Gdy Cahirowi czupryna nieco mocniej przyschnie do czerepu, powędrujemy ku Toussaint. Tam się jakoś odnajdziemy. No, nie mitręż, dziewczyno. Na koń i jazda. Nie daj pogoni się zbliżyć. Nie pozwól, by ścigali cię na oko.

– Nie ucz dziada, jak charchać! Trzymajcie się! Do zobaczenia!

– Do zobaczenia, Angoulême.

•

Nie oddalił się od drogi zbyt daleko. Nie mógł sobie odmówić rzucenia okiem na ścigających. A w gruncie rzeczy nie obawiał się żadnych akcji z ich strony, wiedział, że nie tracąc czasu, pojadą za Angoulême.

Nie pomylił się.

Jeźdźcy, którzy wpadli na przełęcz po mniej niż ćwierć godzinie, zatrzymali się, co prawda, na widok leżącego konia, powrzeszczeli, pokłócili się, obkłusowali przydrożne krzaki, ale prawie natychmiast wznowili pogoń drogą. Niewątpliwie uznali, że z trójki uciekających dwoje jedzie teraz na jednym koniu i będzie można szybko ich dopaść, jeśli nie będzie się mitrężyć. Geralt widział, że niektóre konie pościgu też nie były w najlepszym stanie.

Wśród ścigających niezbyt wiele było czarnych płaszczy nilfgaardzkiej lekkiej jazdy, dominowali kolorowi zbójcy Słowika. Geralt nie mógł dojrzeć, czy sam Słowik bierze udział w pogoni, czy też został i kuruje posieczoną gębę.

Gdy tętent oddalającego się pościgu ścichł, Geralt wstał z kryjówki w paprociach, podniósł i podtrzymał stękającego i pojękującego Cahira.

– Koń jest za słaby, by cię nieść. Będziesz mógł iść?

Nilfgaardczyk wydał odgłos, mogący być równie dobrze potwierdzeniem, jak zaprzeczeniem. Albo czymś innym. Ale nogi przestawiał, a o to głównie szło.

Zeszli do jaru, do koryta strumienia. Cahir ostatnie kilkanaście stóp śliskiej stromizny pokonał dość bezładnym zjazdem. Dopełzł do potoku, pił, obficie zlewał lodowatą wodą opatrunek na głowie. Wiedźmin nie ponaglał go, sam oddychał głęboko, zbierając siły.

Szedł w górę strumienia, podtrzymując Cahira i jednocześnie ciągnąc konia, brodząc w wodzie, potykając się na otoczakach i zwalonych pniach. Cahir po jakimś czasie odmówił współpracy – nie przestawiał już posłusznie nóg, przestał nimi w ogóle poruszać, wiedźmin zwyczajnie go wlókł. Tak dalej iść się nie dało, tym bardziej że koryto strumienia zatarasowały progi i wodospady. Geralt stęknął, wziął rannego na plecy. Ciągnięty koń też życia nie ułatwiał. Gdy więc wreszcie wydostali się z jaru, wiedźmin po prostu zwalił się na mokre poszycie i leżał, dysząc, kompletnie wycieńczony, obok jęczącego Cahira. Leżał długo. Kolano znowu zaczęło pulsować wściekłym bólem.

Nareszcie Cahir dał znowu znaki życia, a wkrótce potem – o dziwo – wstał, klnąc i trzymając się za głowę. Poszli. Cahir początkowo szedł dzielnie. Potem zwolnił. Potem padł.

Geralt wziął go na plecy i taszczył, stękając, osuwając się na kamieniach. Kolano rwał ból, w oczach latały mu czarne i ogniste pszczoły.

– Jeszcze miesiąc temu... – zajęczał z jego pleców Cahir. – Kto by wówczas pomyślał, że będziesz mnie taszczył na grzbiecie...

– Milcz, Nilfgaardczyku... Gdy gadasz, robisz się cięższy...

Gdy wreszcie dotarli do skał i skalnych ścian, było już prawie ciemno. Wiedźmin ani nie szukał jaskini, ani jej nie znalazł – padł bez sił przy pierwszej napotkanej dziurze.

•

Na spągu jaskini walały się ludzkie czaszki, żebra, miednice i inne kości. Ale – co ważniejsze – były tu i suche gałęzie.

Cahir gorączkował, dygotał, trząsł się w dreszczach. Przyszywanie płata skóry do czaszki za pomocą dratwy i krzywej igły zniósł mężnie i przytomnie. Kryzys przyszedł później, w nocy. Geralt rozpalił w jaskini

ognisko, lekceważąc względy bezpieczeństwa. Na zewnątrz mżył zresztą deszcz i wył wicher, mało było prawdopodobne, by ktoś krążył po okolicy i wypatrywał odblasku ognia. A Cahir musiał się ogrzać.

Gorączkował całą noc. Dygotał, jęczał, bredził. Geralt nie zaznał snu – podsycał ogień. A kolano bolało jak cholera.

•

Chłopisko młode i silne, Cahir rankiem doszedł do siebie. Był blady i spocony, czuło się bijącą od niego gorączkę. Artykulację komplikowały nieco dzwoniące zęby. Ale dało się zrozumieć, co mówił. A mówił przytomnie. Narzekał na ból głowy – objaw raczej normalny u kogoś, komu siekiera zdarła z czaszki skórę wraz z włosami.

Geralt dzielił czas pomiędzy niespokojne drzemki a łapanie ściekającej ze skał deszczówki w zmajstrowane z brzozowej kory kubeczki. I jego, i Cahira dręczyło pragnienie.

•

– Geralt?

– Słucham?

Cahir poprawił drwa w ognisku za pomocą znalezionej kości udowej.

– W kopalni, gdyśmy się bili... Przestraszyłem się, wiesz?

– Wiem.

– Przez chwilę wyglądało, że wpadłeś w morderczy szał. Że nic już się dla ciebie nie liczy... Oprócz mordowania...

– Wiem.

– Bałem się – dokończył spokojnie – że w amoku zasieczesz tego Schirrú. A z zabitego nie wyciągnęlibyśmy przecież informacji.

Geralt chrząknął. Młody Nilfgaardczyk coraz bardziej mu się podobał. Był nie tylko mężny, ale i inteligentny.

– Słusznie zrobiłeś, odsyłając Angoulême – ciągnął Cahir, lekko tylko dzwoniąc zębami. – To nie dla dziewcząt... Nawet takich jak ona. My to sami załatwimy, we dwu. Pójdziemy za pościgiem. Ale nie po to, by mordować w berserkerskim szale. To, co wtedy mówiłeś o zemście... Geralt, nawet w zemście musi być jakaś metoda. Dopadniemy tego półelfa... Zmusimy go, by powiedział, gdzie jest Ciri...

– Ciri nie żyje.

– Nieprawda. Nie wierzę w jej śmierć... I ty też nie wierzysz. Przyznaj.

– Nie chcę wierzyć.

Na zewnątrz świszczał wicher, szumiał deszcz. W jaskini było przytulnie.

– Geralt?

– Słucham.

– Ciri żyje. Miałem znowu sny... Owszem, coś wydarzyło się w Ekwinokcjum, coś fatalnego... Tak, bez wątpienia, ja też to czułem i widziałem... Ale ona żyje... Żyje z pewnością. Spieszmy się... Ale nie do zemsty i mordu. Do niej.

– Tak. Tak, Cahir. Masz rację.

– A ty? Ty nie miewasz już snów?

– Miewam – powiedział z goryczą. – Ale od przekroczenia Jarugi bardzo rzadko. I w ogóle ich nie pamiętam po przebudzeniu. Coś się we mnie skończyło, Cahir. Coś się wypaliło. Coś się we mnie urwało...

– To nic, Geralt. Ja będę śnił za nas obu.

•

O świcie wyruszyli. Deszcz przestał padać, wydawało się nawet, że słońce próbuje znaleźć jakąś dziurę w zasnuwającej niebo szarości.

Jechali wolno, obaj na jednym koniu z wojskowym nilfgaardzkim rzędem.

Koń człapał po otoczakach, idąc stępa brzegiem Sansretour, rzeczki wiodącej do Toussaint. Geralt znał drogę. Był tu niegdyś. Bardzo dawno temu, wiele się od tego czasu zmieniło. Ale nie zmieniła się dolina i rzeczka Sansretour, która im dalej, tym bardziej stawała się rzeką Sansretour. Nie zmieniły się Góry Amell i górujący nad nimi obelisk Gorgony, Góry Diabła.

Pewne rzeczy miały to do siebie, że po prostu się nie zmieniały.

•

– Żołnierz nie kwestionuje rozkazów – mówił Cahir, obmacując opatrunek na głowie. – Nie analizuje ich, nie zastanawia się nad nimi, nie czeka, by mu objaśniano ich sens. To jest pierwsza rzecz, której u nas uczą żołnierza. Możesz się więc domyślić, że nawet przez sekundę nie zastanawiałem się nad rozkazem, który mi wydano. Pytanie, dlaczego to właśnie ja mam pojmać tę cintryjską królewnę czy księżniczkę, nawet mi przez myśl nie przemknęło. Rozkaz to rozkaz. Zły byłem, owszem, bo chciałem zaznać sławy, bijąc się z rycerstwem, z regularnym wojskiem... Ale praca dla wywiadu też jest u nas traktowana

jako zaszczyt. Gdybyż tylko jeszcze chodziło o jakieś trudniejsze zadanie, o jakiegoś ważniejszego jeńca... Ale dziewczyna?

Geralt wrzucił do ogniska kręgosłup pstrąga. Przed wieczorem złowili we wpadającym do Sansretour strumyku dość ryb, by się najeść. Pstrągi były na tarle i łatwo dawało się je złapać.

Słuchał opowieści Cahira, a ciekawość walczyła w nim z uczuciem głębokiej przykrości.

– W sumie to był przypadek – opowiadał Cahir, patrząc w płomienie. – Najczystszy przypadek. Mieliśmy, jak się później dowiedziałem, na cintryjskim dworze szpiega, kamerjunkra. Gdyśmy zdobywali miasto i szykowali się do opasania zamku, szpieg ów wykradł się i dał znać, że będzie się próbowało wywieźć księżniczkę z miasta. Utworzono kilka takich grup jak moja. Przez przypadek to na moją grupę wpadli wiozący Ciri.

– Zaczęła się gonitwa po ulicach, w kwartale, który już się palił. To było istne piekło. Nic, tylko ryk płomieni, ściany ognia. Konie nie chciały iść, a ludzie, co tu dużo gadać, też nie kwapili się ich popędzać. Moi podwładni, miałem ich czterech, zaczęli pomstować, krzyczeć, że postradałem zmysły, że wiodę ich na zgubę... Ledwo udało mi się odzyskać kontrolę...

– Ścigaliśmy ich dalej przez ten ognisty kocioł i doścignęliśmy. Nagle mieliśmy ich tuż przed sobą – pięciu konnych Cintryjczyków. I zaczęła się sieczka, zanim zdążyłem krzyknąć, żeby uważać na dziewczynę. Która zresztą momentalnie wylądowała na ziemi, ten, który ją wiózł na łęku, zginął pierwszy. Jeden z moich podniósł ją i wciągnął na konia, ale daleko nie ujechał, któryś z Cintryjczyków pchnął go w plecy i przebił. Widziałem, jak ostrze przeszło o cal od głowy Ciri, która znowu spadła w błoto. Była półprzytomna ze strachu, widziałem, jak tuli się do zabitego, jak usiłuje pod niego wpełznąć... Jak kocię przy zabitej kotce...

Zamilkł, słyszalnie przełknął ślinę.

– Nawet nie wiedziała, że tuli się do wroga. Do znienawidzonego Nilfgaardczyka.

– Zostaliśmy sami – podjął po chwili. – Ja i ona, a dookoła były trupy i ogień. Ciri pełzała w kałuży, a woda i krew zaczynały już mocno parować. Dom się zawalił, mało już widziałem przez iskry i dym. Koń nie chciał tam podejść. Wołałem ją, wzywałem, by przyszła do mnie, zachrypłem, przekrzykując ryk pożaru. Widziała mnie i słyszała, ale nie

reagowała. Koń nie chciał iść, a ja nie mogłem go opanować. Musiałem zsiąść. Za nic nie mogłem jej podnieść jedną ręką, a drugą musiałem trzymać wodze, koń się szarpał tak, że mało mnie nie obalił. Gdy ją podnosiłem, zaczęła krzyczeć. Potem wyprężyła się i zemdlała. Owinąłem ją płaszczem, który zamoczyłem w kałuży, w błocie, gnojówce i krwi. I pojechaliśmy. Prosto przez ogień.

– Sam nie wiem, jakim cudem udało się nam stamtąd wydostać. Ale nagle pojawiła się wyrwa w murze i znaleźliśmy się nad rzeką. Pechowo, w miejscu, które akurat wybrali uciekający Nordlingowie. Zrzuciłem oficerski hełm, bo po hełmie, choć skrzydła się opaliły, rozpoznaliby mnie natychmiast. Resztę ubioru miałem tak osmaloną, że nie mogła mnie zdradzić. Ale gdyby dziewczyna była przytomna, gdyby krzyknęła, roznieśliby mnie na mieczach. Miałem szczęście.

– Jechałem z nimi ze dwa stajania, potem zostałem z tyłu i ukryłem się w krzakach, nad rzeką niosącą trupy.

Zamilkł, zachrząkał, oburącz pomacał obandażowaną głowę. I zaczerwienił się. A może był to tylko odblask płomienia?

– Ciri była okropnie ubrudzona. Musiałem ją rozebrać... Nie broniła się, nie krzyczała. Dygotała tylko, oczy miała zamknięte. Ilekroć jej dotknąłem, by umyć lub wytrzeć, prężyła się i sztywniała... Wiem, trzeba było mówić do niej, uspokajać... Ale nagle nie mogłem znaleźć słów w waszym języku... W języku mojej matki, który znam od dziecka. Nie mogąc znaleźć słów, chciałem uspokoić ją dotykiem, delikatnością... Ale ona sztywniała i kwiliła... Jak pisklę...

– To ją prześladowało w koszmarach – szepnął Geralt.

– Wiem. Mnie też.

– Co było dalej?

– Zasnęła. I ja też. Ze zmęczenia. Gdy się obudziłem, nie było jej przy mnie. Nie było jej nigdzie. Reszty nie pamiętam. Ci, którzy mnie odnaleźli, twierdzą, że biegałem w kółko i wyłem jak wilk. Musieli mnie związać. Gdy się uspokoiłem, wzięli się za mnie ludzie z wywiadu, podwładni Vattiera de Rideaux. Chodziło im o Cirillę. Gdzie jest, gdzie i dokąd uciekła, jakim sposobem mi uciekła, dlaczego pozwoliłem jej uciec. I od nowa, od początku: gdzie jest, dokąd uciekła... Rozwścieczony, wrzasnąłem coś o cesarzu, jak krogulec polującym na małe dziewczynki. Za ten okrzyk ponad rok siedziałem w cytadeli. A potem wróciłem do łask, bo byłem potrzebny. Na Thanedd potrzebny

był ktoś, kto mówił wspólnym i wiedział, jak Ciri wygląda. Cesarz chciał, bym pojechał na Thanedd... I tym razem nie zawiódł. Bym przywiózł mu Ciri.

Zamilkł na chwilę.

– Emhyr dał mi szansę. Mogłem odmówić, zrezygnować z szansy. Oznaczałoby to definitywną, totalną, dożywotnią niełaskę i zapomnienie, ale odmówić mogłem, gdybym chciał. Ale ja nie odmówiłem. Bo widzisz, Geralt... Ja nie mogłem o niej zapomnieć.

– Nie będę cię okłamywał. Ja ją bezustannie widziałem w snach. I nie jako chude dziecko, którym była nad rzeką, gdy ją rozebrałem i myłem. Widziałem ją... I wciąż widzę ją jako kobietę, piękną, świadomą, prowokującą... Z takimi szczegółami, jak pąsowa róża wytatuowana w pachwinie...

– O czym ty mówisz?

– Nie wiem, sam nie wiem... Ale tak było i tak jest nadal. Ja ją nadal widzę w snach, tak samo, jak w snach widziałem ją wtedy... To dlatego zgłosiłem się do misji na Thanedd. Dlatego później chciałem się do was przyłączyć. Ja... Ja chcę ją jeszcze raz... zobaczyć. Chcę jeszcze raz dotknąć jej włosów, spojrzeć w jej oczy... Chcę na nią patrzeć. Zabij mnie, jeśli wola. Ale nie będę dłużej udawał. Ja myślę... Ja myślę, że ja ją kocham. Proszę cię, nie śmiej się.

– Wcale mi nie do śmiechu.

– Dlatego właśnie z wami jadę. Rozumiesz?

– Chcesz jej dla siebie czy dla twego cesarza?

– Jestem realistą – szepnął. – Przecież ona mnie nie zechce. A jako małżonkę cesarza mógłbym ją przynajmniej widywać.

– Jako realista – prychnął wiedźmin – powinieneś wiedzieć, że najpierw musimy ją odnaleźć i ocalić. Założywszy, że twoje sny nie kłamią i Ciri faktycznie jeszcze żyje.

– Wiem o tym. A gdy ją odnajdziemy? Co wtedy?

– Zobaczymy. Zobaczymy, Cahir.

– Nie zwódź mnie. Bądź szczery. Przecież nie pozwolisz, bym ją zabrał.

Nie odpowiedział. Cahir nie ponawiał pytania.

– Do tego czasu – spytał chłodno – możemy być druhami?

– Możemy, Cahir. Jeszcze raz przepraszam cię za tamto. Nie wiem, co we mnie wstąpiło. W gruncie rzeczy nigdy poważnie nie podejrzewałem cię o zdradę czy dwulicowość.

– Ja nie jestem zdrajcą. Ja cię nigdy nie zdradzę, wiedźminie.

•

Jechali głębokim wąwozem, który bystra i szeroka już rzeka Sansretour wyżłobiła wśród wzgórz. Jechali na wschód, ku granicy księstwa Toussaint. Gorgona, Góra Diabła, wznosiła się nad nimi. Żeby popatrzeć na jej wierzchołek, musieliby zadzierać głowy.

Ale nie zadzierali.

•

Najpierw poczuli dym, w chwilę poźniej ujrzeli ognisko, a nad nim rożny, na których piekły się rozpłatane pstrągi. Ujrzeli siedzącego obok ogniska samotnego osobnika.

Jeszcze całkiem niedawno Geralt wydrwiłby, bezlitośnie wykpił i miał za totalnego idiotę każdego, kto śmiałby twierdzić, że on, wiedźmin, dozna wielkiej radości na widok wampira.

– Oho – powiedział spokojnie Emiel Regis Rohellec Terzieff-Godefroy, poprawiając rożny. – Popatrzcie tylko, co też kot przyniósł.

__Pukacz__, takoż zwan knaker, coblynau, polterduk, karkonos, rubezahl, skarbnik a. Pustecki, jest odmianą kobolda, którego wszelako __P.__ rozmiarowzrostem i siłą znacznie przenosi. Noszą też __P.__ zwyczajnie brodziska ogromne, których koboldy naszać nie zwykły. Bytuje __P.__ w sztolniach, szachtach, grużniach, przepaściach, ciemnych jamach, we wnętrzu skał, we wszelakich grotach, jaskiniach i pustaciach kamiennych. Tam, gdzie żywie, niechybnie w ziemi bogactwa są skryte, jak to kruszce, rudy, karbon, sól a. olej skalny. Dlatego też __P.__ częstokroć w kopalniach napotkać można, osobliwie opuszczonych, ale i w czynnych lubi się pokazać. Złośliwy despetnik i szkodnik, przekleństwo i istny dopust boży dla górników i gwarków, których rozpanoszony __P.__ na manowce wodzi, pukaniem w skałę mami i straszy, chodniki zawala, górniczy przyrząd i wszelaką chudobę kradnie i psowa, a od tego, by zza węgła pałą w łeb strzelić, też nie jest.

Ale przekupić go można, by nie psocił nad miarę, położywszy gdzie w chodniku ciemnym lubo w szachcie chleb z masłem, oscypek, połeć wędzonej szołdry – aleć najlepiej gąsiorek okowity, na tę bowiem __P.__ okrutnie jest łakomy.

Physiologus

Rozdział siódmy

– Są bezpieczni – zapewnił wampir, popędzając muła Draakula. – Cała trójka. Milva, Jaskier i oczywiście Angoulême, ma się rozumieć, która w porę dopędziła nas w Dolinie Sansretour i o wszystkim opowiedziała, nie żałując różnych barwnych słów. Nigdy nie mogłem zrozumieć, dlaczego u was, ludzi, większość przekleństw i obelg nawiązuje do sfer erotyki? Przecież seks jest piękny i kojarzy się z pięknem, radością, przyjemnością. Jak można nazwy narządu płciowego używać w charakterze wulgarnego synonimu...

– Trzymaj się tematu, Regis – przerwał Geralt.

– Oczywiście, przepraszam. Ostrzeżeni przez Angoulême przed nadciągającymi bandytami bezzwłocznie przekroczyliśmy rubież Toussaint. Milva, co prawda, nie była zachwycona, rwała się, by zawrócić i iść wam obu na odsiecz. Zdołałem jej to wyperswadować. A

Jaskier, o dziwo, miast radować się z azylu, jaki dają granice księstwa, miał wyraźnie duszę na ramieniu... Czego on się tak lęka w Toussaint, nie wiesz przypadkiem?

– Nie wiem, ale się domyślam – odrzekł kwaśno Geralt. – Bo to nie byłoby pierwsze miejsce, gdzie nasz przyjaciel bard narozrabiał. Teraz to on się trochę ustatkował, bo obraca się w przyzwoitej kompanii, ale za młodu nie było dla niego świętości. Rzekłbym, że bezpieczne były przed nim jeże i te kobiety, które wlazły na sam czubek wysokiego drzewa. A mężowie kobiet często-gęsto mieli to trubadurowi za złe, nie wiedzieć czemu. W Toussaint niechybnie jest jakiś mąż, w którym na widok Jaskra mogą odżyć wspomnienia... Ale to w gruncie rzeczy nieważne. Wróćmy do konkretów. Co z pościgiem? Mam nadzieję, że...

– Nie sądzę – uśmiechnął się Regis – by przeszli za nami do Toussaint. Granica roi się od błędnego rycerstwa, które nudzi się niezwykle i szuka okazji do bitki. Nadto, myśmy wraz z grupą napotkanych na granicy pielgrzymów trafili od razu do świętego gaju Myrkvid. A miejsce to budzi strach. Nawet pielgrzymi i chorzy, którzy z najdalszych zakątków wędrują do Myrkvid po uzdrowienie, zatrzymują się w osiedlu niedaleko skraju lasu, nie śmiejąc wchodzić w głąb. Bo krążą plotki, że kto odważy się wejść do świętych dąbrów, kończy spalony na wolnym ogniu w Wiklinowej Babie.

Geralt wciągnął powietrze.

– Czyżby...

– Oczywiście – wampir znowu nie pozwolił mu dokończyć. – W gaju Myrkvid bytują druidzi. Ci, którzy dawniej mieszkali w Angrenie, w Caed Dhu, potem wywędrowali nad jezioro Monduirn, a wreszcie do Myrkvid, do Toussaint. Było nam przeznaczone, że do nich trafimy. Nie pamiętam, mówiłem, że jest nam to przeznaczone?

Geralt odetchnął mocno. Jadący za jego plecami Cahir też.

– Twój znajomy jest wśród tych druidów?

Wampir uśmiechnął się znowu.

– To nie jest znajomy, lecz znajoma – wyjaśnił. – Owszem, jest wśród nich. Nawet awansowała. Przewodzi całemu Kręgowi.

– Hierofantka?

– Flaminika. Tak się nazywa najwyższy druidzki tytuł, gdy nosi go kobieta. Tylko mężczyźni bywają hierofantami.

– Prawda, zapomniałem. Rozumiem, że Milva i reszta...

– Są teraz pod opieką flaminiki i Kręgu – wampir swoim zwyczajem odpowiedział na pytanie w trakcie jego zadawania, po czym natychmiast przystąpił do odpowiedzi na pytania jeszcze nie zadane.

– Ja natomiast pospieszyłem na spotkanie z wami. Albowiem wydarzyła się rzecz zagadkowa. Flaminika, której zacząłem przedstawiać naszą sprawę, nie dała mi dokończyć. Oświadczyła, że wie o wszystkim. Że już od jakiegoś czasu spodziewa się naszego przybycia...

– Słucham?

– Ja też nie mogłem ukryć niedowierzania. – Wampir wstrzymał muła, stanął w strzemionach, rozejrzał się.

– Szukasz kogoś czy czegoś? – spytał Cahir.

– Już nie szukam, znalazłem. Zsiądźmy.

– Wolałbym jak najprędzej...

– Zsiądźmy. Wyjaśnię ci wszystko.

Musieli mówić głośniej, by móc porozumieć się w szumie wodospadu spadającego ze znacznej wysokości po pionowej ścianie skalnego urwiska. W dole, tam gdzie wodospad wypłukał spore jeziorko, w skale ział czarny otwór jaskini.

– Tak, to właśnie tam – Regis potwierdził przypuszczenie wiedźmina. – Wyjechałem ci na spotkanie, bo polecono mi cię tu skierować. Do tej jaskini będziesz musiał wejść. Mówiłem ci, druidzi wiedzieli o tobie, wiedzieli o Ciri, wiedzieli o naszej misji. A dowiedzieli się tego od osoby, która, o, tam mieszka. Osoba ta, jeśli wierzyć druidce, pragnie z tobą porozmawiać.

– Jeśli wierzyć druidce – powtórzył z przekąsem Geralt. – Ja bywałem w tych okolicach. Wiem, co mieszka w głębokich jaskiniach pod Górą Diabła. Mieszkają tam różni mieszkańcy. Ale z przeważającą większością nie da się gawędzić, chyba że mieczem. Co jeszcze powiedziała ta twoja druidka? W co jeszcze mam uwierzyć?

– W sposób wyraźny – wampir utkwił w Geralcie czarne oczy – dała mi do zrozumienia, że nie przepada za osobnikami niszczącymi i zabijającymi żywą przyrodę w ogólności, a za wiedźminami w szczególności. Wyjaśniłem, że w chwili obecnej jesteś wiedźminem raczej tytularnym. Że absolutnie nie naprzykrzasz się żywej przyrodzie, o ile ta ostatnia tobie się nie naprzykrza. Flaminika, trzeba ci wiedzieć, że jest to kobieta niezwykle bystra, zauważyła z miejsca, że wiedźmiństwa zaniechałeś nie wskutek zmian światopoglądowych, lecz

zmuszony okolicznościami. Wiem doskonale, powiedziała, że nieszczęście spotkało bliską wiedźminowi osobę. Wiedźmin zmuszony był więc zaniechać wiedźmiństwa i pospieszyć na ratunek...

Geralt nie skomentował, ale jego spojrzenie było na tyle wymowne, że wampir pospieszył z wyjaśnieniami.

– Oświadczyła, cytuję: „Nie będący wiedźminem wiedźmin udowodni, że stać go na pokorę i poświęcenie. Wstąpi w mroczną czeluść ziemi. Bezbronny. Zostawiwszy wszelki oręż, wszelkie ostre żelazo. Wszelkie ostre myśli. Wszelką agresję, gniew, złość, arogancję. Wejdzie w pokorze. A wówczas tam, w czeluści, pokorny niewiedźmin znajdzie odpowiedzi na pytania, które go dręczą. Znajdzie odpowiedzi na wiele pytań. Ale gdy wiedźmin pozostanie wiedźminem, nie znajdzie niczego."

Geralt splunął w stronę wodospadu i jaskini.

– To zwykła gra – oświadczył. – Zabawa! Figle! Jasnowidztwo, poświęcenie, tajemnicze spotkania w grotach, odpowiedzi na pytania... Tak ograne chwyty można napotkać tylko u wędrownych dziadów bajarzy. Ktoś tu kpi sobie ze mnie. W najlepszym razie. A jeżeli to nie jest kpina...

– Kpiną nie nazwałbym tego w żadnym razie – powiedział stanowczo Regis. – W żadnym, Geralcie z Rivii.

– Co to więc jest? Jedno z osławionych druidzkich dziwactw?

– Nie będziemy wiedzieć – odezwał się Cahir – dopóki się nie przekonamy. Chodź, Geralt, wejdziemy tam razem...

– Nie – pokręcił głową wampir. – Flaminika była w tym względzie kategoryczna. Wiedźmin musi wejść tam sam. Bez broni. Daj mi twój miecz. Zaopiekuję się nim w czasie twej nieobecności.

– Niech mnie diabli... – zaczął Geralt, ale Regis szybkim gestem przerwał mu tok wypowiedzi.

– Daj mi twój miecz. – Wyciągnął rękę. – A jeśli masz jeszcze jakąś broń, zostaw mi ją także. Pamiętaj o słowach flaminiki. Żadnej agresji. Poświęcenie. Pokora.

– Czy ty wiesz, kogo tam napotkam? Kto... lub co czeka na mnie w tej jaskini?

– Nie, nie wiem. Najróżniejsze stwory zamieszkują podziemne korytarze pod Gorgoną.

– Szlag mnie trafi!

Wampir chrząknął cicho.

– Tego wykluczyć nie można – rzekł poważnie. – Ale musisz podjąć to ryzyko. Przecież wiem, że je podejmiesz.

•

Nie zawiódł się – tak, jak oczekiwał, wejście do jaskini zawalone było imponującą stertą czaszek, żeber, piszczeli i gnatów. Nie czuło się jednak smrodu zgnilizny. Doczesne resztki były najwidoczniej wiekowe i pełniły rolę odstraszającej intruzów dekoracji.

Przynajmniej tak sądził.

Wszedł w ciemność, kości zachrzęściły i zachrupały pod stopami.

Wzrok szybko zaadaptował mu się do mroku.

Znajdował się w gigantycznej jaskini, skalnej kawernie, rozmiarów której oko nie było w stanie ogarnąć, albowiem proporcje łamały się i ginęły w lesie stalaktytów zwieszających się ze sklepienia malowniczymi festonami. Z błyszczącego wilgocią i mieniącego się różnobarwnym żwirem spągu wyrastały białe i różowe stalagmity, krępe i przysadziste u podstawy, smuklejące ku górze. Niektóre sięgały wierzchołkami wysoko ponad głowę wiedźmina. Niektóre łączyły się w górze ze stalaktytami, tworząc kolumniaste stalagnaty. Nikt go nie okrzyknął. Jedynym dającym się słyszeć odgłosem były dzwoniące echa pluszczącej i kapiącej wody.

Poszedł, wolno, wprost przed siebie, w mrok, między kolumny stalagnatów. Wiedział, że jest obserwowany.

Brak miecza na plecach dawał się odczuwać silnie, natrętnie i wyraziście – jak brak niedawno wykruszonego zęba.

Zwolnił kroku.

To, co jeszcze przed chwilą brał za leżące u podnóży stalagmitów okrągłe głazy, teraz wybałuszało na niego wielkie jarzące się ślepia. W zbitej masie szaroburych, pokrytych kurzem kudłów otwierały się ogromne paszczęki i błyskały stożkowate kły.

Barbegazi.

Szedł wolno, a stąpał uważnie – barbegazi były wszędzie, duże, średnie i małe, leżały na jego drodze, ani myśląc ustąpić. Jak do tej pory zachowywały się nad wyraz spokojnie, nie był jednak pewien, co będzie, gdy na któregoś nadepnie.

Stalagnaty były jak las, nie sposób było iść prosto, musiał kluczyć. Z góry, z najeżonego igłami sopleńców sklepienia kapała woda.

Barbegazi – zjawiało się ich coraz więcej – towarzyszyły mu w marszu, turlając się i tocząc po spągu. Słyszał ich monotonne gaworzenie i sapanie. Czuł ich ostry, kwaśny zapach.

Musiał się zatrzymać. Na jego drodze, między dwoma stalagmitami, w miejscu, którego ominąć nie mógł, leżał spory echinops, najeżony masą długich kolców. Geralt przełknął ślinę. Wiedział aż nadto dobrze, że echinops potrafił strzelać kolcami na odległość dziesięciu stóp. Kolce miały szczególną właściwość – wbite w ciało łamały się, a ostre końcówki wnikały i „wędrowały" coraz głębiej i głębiej, aż wreszcie dosięgały jakiegoś wrażliwego organu.

– Wiedźmin głupi – usłyszał z mroku. – Wiedźmin tchórzliwy! Ma stracha, ha, ha!

Głos brzmiał osobliwie i obco, ale Geralt słyszał już takie głosy nie jeden i nie dwa razy. Tak mówiły istoty nie przyzwyczajone do porozumiewania się za pomocą mowy artykułowanej – przez to dziwnie akcentujące i intonujące, nienaturalnie przeciągające sylaby.

– Wiedźmin głupi! Wiedźmin głupi!

Powstrzymał się od komentarza. Zagryzł wargi i ostrożnie przeszedł obok echinopsa. Kolce potwora zafalowały jak macki ukwiału. Ale tylko na moment, potem echinops znieruchomiał i znów zaczął przypominać wielką kępę bagiennej trawy.

Dwa ogromne barbegazi przetoczyły się przez jego drogę, szwargocząc i powarkując. Z góry, spod sklepienia, dobiegł łopot błoniastych skrzydeł i syczący chichot, nieomylnie sygnalizujący obecność liścionosów i wespertylów.

– Przyszedł tutaj, morderca, zabijacz! Wiedźmin! – rozległ się w mroku ten sam głos, który słyszał uprzednio. – Wlazł tutaj! Ośmielił się! Ale nie ma miecza, zabijacz. To jak chce zabijać? Wzrokiem? Ha, ha!

– A może – rozległ się drugi głos, z jeszcze bardziej nienaturalną artykulacją – to my jego zabijać? Haaaa?

Barbegazi zagaworzyły głośnym chórem. Jeden, wielki jak dojrzała dynia, przytoczył się bardzo blisko i kłapnął zębami tuż przy piętach Geralta. Wiedźmin stłumił cisnące się na wargi przekleństwo. Poszedł dalej. Ze stalaktytów kapała woda, dzwoniąc srebrzystym echem.

Coś uczepiło się jego nogi. Powstrzymał się, by nie odtrącić gwałtownie.

Stworek był nieduży, niewiele większy od psa pekińczyka. Trochę też pekińczyka przypominał. Z oblicza. Z reszty przypominał małpkę. Geralt nie miał pojęcia, co to jest. W życiu nie widział niczego podobnego.

– Widź-min! – wyartykułował wizgliwie, ale wcale wyraźnie pekińczyk, kurczowo wczepiony w but Geralta. – Widź-min-min. Sukin-syn!

– Odczep się – rzekł przez zaciśnięte zęby. – Odczep się od buta, bo kopnę cię w dupę.

Barbegazi zagaworzyły głośniej, gwałtowniej i groźniej. W ciemnościach coś zaryczało. Geralt nie wiedział, co to było. Brzmiało jak krowa, ale wiedźmin szedł o każdy zakład, że krowa to nie była.

– Widź-min, sukin-syn.

– Puść mój but – powtórzył, z trudem panując nad sobą. – Przyszedłem tu bezbronny, w pokoju. Przeszkadzasz mi...

Urwał i zakrztusił się falą obrzydliwego fetoru, od którego oczy łzawiły, a włosy zwijały się w kędziorki.

Wpity w jego łydkę pekińczykopodobny stworek wybałuszał oczy i defekował mu prosto na but. Ohydnemu smrodowi towarzyszyły jeszcze ohydniejsze odgłosy.

Zaklął adekwatnie do sytuacji i odepchnął nogą nachalne stworzonko. Dużo delikatniej, niż należało. Ale i tak stało się to, czego oczekiwał.

– Kopnął małego! – zaryczało coś z ciemności, ponad huraganowym wręcz szwargotaniem i skowytem barbegazi. – Kopnął małego! Skrzywdził mniejszego od siebie!

Najbliższe barbegazi przyturlały mu się do samych nóg. Poczuł, jak ich sękate i twarde jak kamienie łapska chwytają go i unieruchamiają. Nie bronił się, był zupełnie zrezygnowany. W futro największego i najbardziej agresywnego wytarł obfajdany but. Ciągnięty za ubranie, usiadł.

Coś wielkiego zsunęło się po stalagnacie, zeskakując na spąg. Od razu wiedział, co to jest. Pukacz. Krępy, pękaty, kosmaty, krzywonogi, szeroki w barach chyba na sążeń, z rudą brodą, która była jeszcze szersza.

Zbliżaniu się pukacza towarzyszyły wstrząsy gruntu, jak gdyby to nie pukacz się zbliżał, ale perszeron. Zrogowaciałe i szerokie stopy potwora miały – jakkolwiek by to śmiesznie brzmiało – po półtorej stopy długości każda.

Pukacz pochylił się nad nim i zionął wódką. Szelmy pędzą tu samogon, pomyślał machinalnie Geralt.

– Uderzyłeś mniejszego od siebie, wiedźminie – wyśmierdział mu w twarz pukacz. – Bez dania racji zaatakowałeś i skrzywdziłeś małe, łagodne, niewinne stworzonko. Wiedzieliśmy, że nie można ci ufać. Jesteś agresywny. Masz instynkty mordercy. Ilu naszych zabiłeś, kanalio?

Nie uznał za celowe odpowiadać.

– Ooooo! – Pukacz jeszcze mocniej zionął na niego przetrawionym alkoholem. – Od dziecka o tym marzyłem! Od dziecka! Wreszcie spełniło się moje marzenie. Spójrz w lewo.

Spojrzał jak kto głupi. I dostał prawą pięścią w zęby, tak że ujrzał wielką jasność.

– Oooooo! – Pukacz wyszczerzył z gęstwy śmierdzącej brody wielkie krzywe zębiska. – Od dziecka o tym marzyłem! Spójrz w prawo.

– Dosyć – rozległ się gdzieś z głębi jaskini głośny i dźwięczny rozkaz. – Dosyć tych igraszek i figli. Proszę go puścić.

Geralt wypluł krew z rozciętej wargi. Obmył but w strumyczku ściekającej po skale wody. Skunks z facjatą pekińczyka szczerzył się na niego szyderczo, ale z bezpiecznej odległości. Pukacz też się szczerzył, masując pięść.

– Idź, wiedźminie – zawarczał. – Idź do niego, skoro cię wzywa. Ja poczekam. Bo przecież to tędy będziesz musiał wracać.

•

Jaskinia, do której wszedł, o dziwo, pełna była światła. Przez otwory w jeżącym się od sopleńców sklepieniu wpadały krzyżujące się słupy jasności, wydobywające ze skał i naciekowych formacji feerię blasków i kolorów. W powietrzu wisiała tu nadto płonąca jasnością magiczna kula, wspomagana refleksami kwarcu w ścianach. Mimo całej tej iluminacji kraniec jaskini ginął w mroku, w perspektywie kolumnady stalagnatów czaiła się czarna ciemność.

Na ścianie, którą natura wręcz przygotowała do tego celu, powstawało właśnie olbrzymie naskalne malowidło. Artystą malarzem był wysoki jasnowłosy elf ubrany w przybrudzoną farbą opończę. W magiczno-naturalnym blasku jego głowę wydawała się otaczać świetlista gloria.

– Usiądź. – Elf, nie odrywając wzroku od malowidła, ruchem pędzla wskazał Geraltowi głaz. – Nie zrobili ci krzywdy?

– Nie. Raczej nie.

– Musisz im wybaczyć.

– Faktycznie. Muszę.

– Są trochę jak dzieci. Strasznie cieszyli się na twoje przyjście.

– Zauważyłem.

Elf dopiero teraz spojrzał na niego.

– Usiądź – powtórzył. – Za chwilę będę do twojej dyspozycji. Już kończę.

Tym, co elf kończył, było stylizowane zwierzę, prawdopodobnie bizon. Na razie gotów był jedynie jego kontur – od imponujących rogów po nie mniej wspaniały ogon. Geralt usiadł na wskazanym głazie i poprzysiągł sobie być cierpliwy i pokorny – do granicy możliwości.

Elf, cichuteńko pogwizdując przez zaciśnięte zęby, zanurzył pędzelek w miseczce z farbą i szybkimi ruchami pokolorował swego bizona na fioletowo. Po chwili namysłu namalował na boku zwierza tygrysie pręgi.

Geralt przyglądał się w milczeniu.

Wreszcie elf cofnął się o krok, podziwiając naskalny fresk przedstawiający już całą scenę myśliwską. Fioletowego i pręgowatego bizona ścigały w dzikich podskokach chude, zarysowane niedbałymi ruchami pędzla figurki ludzi z łukami i dzidami.

– Co to ma być? – nie wytrzymał Geralt.

Elf spojrzał na niego przelotnie, wkładając czysty koniec pędzelka do ust.

– Jest to – oznajmił – prehistoryczne malowidło wykonane przez pierwotnych ludzi, którzy mieszkali w tej jaskini przed tysiącami lat i zajmowali się głównie polowaniem na dawno już wymarłe fioletowe bizony. Niektórzy z prehistorycznych łowców byli artystami, odczuwali głęboką potrzebę artystycznego odreagowania. Uwiecznienia tego, co im w duszach grało.

– Fascynujące.

– Pewnie że tak – zgodził się elf. – Wasi uczeni od lat łażą po jaskiniach i szukają śladów praczłowieka. A ilekroć znajdą takowe, są niepomiernie zafascynowani. Znajdują bowiem dowód na to, że na tym lądzie, i w tym świecie zarazem, nie jesteście przybłędami. Dowód na to, że wasi przodkowie zamieszkiwali tu od wieków, do ich spadkobierców

zatem ten świat należy. Cóż, każda rasa ma prawo do jakichś tam korzeni. Nawet wasza, ludzka, której korzeni trzeba wszak szukać na czubkach drzew. Ha, śmieszny kalambur, nie uważasz? Wart epigramatu. Lubisz lekką poezję? Jak myślisz, co by tu jeszcze dorysować?

– Dorysuj praludzkim łowcom wielkie, wzwiedzione fallusy.

– To jest myśl. – Elf zanurzył pędzelek w farbce. – Kult falliczny był typowy dla prymitywnych cywilizacji. Może to również posłużyć powstaniu teorii, że rasa ludzka ulega fizycznej degeneracji. Przodkowie mieli fallusy jak maczugi, potomkom zostały śmieszne, szczątkowe kutasiki... Dziękuję, wiedźminie.

– Nie ma za co. Ot, grało mi w duszy. Farba wygląda bardzo świeżo, jak na prehistoryczną.

– Za trzy, cztery dni barwy zblakną pod wpływem soli, którą wydziela ściana, i malunek zrobi się tak prehistoryczny, że proszę siadać. Wasi uczeni posikają się z radości, gdy to zobaczą. Żaden, głowę daję, nie pozna się na mojej krotochwili.

– Pozna się.

– A to jakim sposobem?

– Przecież nie wytrzymasz, by nie podpisać arcydzieła.

Elf zaśmiał się sucho.

– Celnie! Rozszyfrowałeś mnie bezbłędnie. Ech, ogniu próżności, jakże trudno artyście ugasić cię w sobie. Ja już podpisałem malowidło. O, tutaj.

– To nie jest ważka?

– Nie. To ideogram oznaczający moje imię. Nazywam się Crevan Espane aep Caomhan Macha. Dla wygody używam aliasu Avallac'h i tak też możesz zwracać się do mnie.

– Nie omieszkam.

– Ciebie zaś zwą Geraltem z Rivii. Jesteś wiedźminem. Aktualnie nie gromisz jednak potworów i bestii, zajęty poszukiwaniem zaginionych dziewcząt.

– Zadziwiająco szybko rozchodzą się wieści. Zadziwiająco daleko. I zadziwiająco głęboko. Podobno przewidziałeś, że zjawię się tutaj. Umiesz tedy przepowiadać przyszłość, jak rozumiem?

– Przepowiadać przyszłość – Avallac'h wytarł ręce w szmatkę – potrafi każdy. I każdy to robi, bo to wszakże łatwe. Nie jest żadną sztuką

przepowiadać. Sztuką jest przepowiadać trafnie.

– Wywód zgrabny i wart epigramatu. Ty, jasna rzecz, umiesz przepowiadać trafnie.

– Nader często. Ja, drogi Geralcie, umiem sporo i wiem sporo. Wskazuje zresztą na to mój, jak to powiedzielibyście wy, ludzie, tytuł naukowy. W pełnym brzmieniu: Aen Saevherne.

– Wiedzący.

– W samej rzeczy.

– I zechcący, mam nadzieję, podzielić się wiedzą?

Avallac'h milczał przez chwilę.

– Podzielić się? – powiedział wreszcie przeciągle. – Z tobą? Wiedza, mój drogi, to przywilej, a przywileje dzieli się tylko z równymi sobie. A dlaczegóż to niby ja, elf, Wiedzący, członek elity, miałbym dzielić się czymkolwiek z potomkiem istoty, która zjawiła się we wszechświecie zaledwie pięć milionów lat temu, wyewoluowawszy z małpy, szczura, szakala czy innego ssaka? Istoty, która potrzebowała coś około miliona lat na odkrycie, że za pomocą dwóch włochatych rąk może dokonać jakiejś operacji ogryzioną kością? Po czym wetknęła sobie tę kość w odbytnicę i zakwiliła ze szczęścia?

Elf zamilkł, odwróciwszy się i utkwiwszy oczy w swoim malowidle.

– Dlaczegóż to – powtórzył – ośmielasz się sądzić, że podzielę się z tobą jakąkolwiek wiedzą, człowieku? Powiedz mi!

Geralt wytarł but z resztek gówna.

– Może dlatego – odrzekł sucho – że to nieuniknione?

Elf odwrócił się gwałtownie.

– Co – zapytał przez zaciśnięte zęby – jest nieuniknione?

– Może to – Geraltowi nie chciało się podnosić głosu – że minie dalszych parę lat i ludzie po prostu wezmą sobie każdą wiedzę, nie bacząc, czy ktoś zechce dzielić się nią z nimi, czy nie? W tym także i wiedzę o tym, co ty, elf i Wiedzący, sprytnie ukrywasz za naskalnymi freskami? Licząc na to, że ludzie nie zechcą rozwalać kilofami tej ściany, zamalowanej fałszywym dowodem praludzkiego istnienia? Co? Mój ty ogniu próżności?

Elf parsknął. Wcale wesoło.

– O, tak – powiedział. – Próżnością iście posuniętą do głupoty byłoby mniemać, że czegoś nie rozwalicie. Rozwalicie wszystko. Tylko co z tego? Co z tego, człowieku?

– Nie wiem. Powiedz mi. A jeśli nie uznasz za stosowne, to sobie pójdę. Najchętniej innym wyjściem, bo przy tamtym czekają na mnie twoi swawolni kompani pragnący nadwerężyć mi żeber.

– Proszę. – Elf gwałtownym ruchem rozpostarł ręce, a ściana skalna rozwarła się ze zgrzytem i trzaskiem, brutalnie dzieląc fioletowego bizona przez pół. – Wyjdź tędy. Stąpaj ku światłu. W przenośni czy dosłownie, to z reguły właściwa droga.

– Szkoda trochę – mruknął Geralt. – Mam na myśli fresk.

– Żartujesz chyba – powiedział po chwili milczenia elf, zadziwiająco wręcz łagodnie i przyjaźnie. – Freskowi nic nie będzie. Identycznym zaklęciem zamknę skałę, nawet śladu rysy nie zostanie. Chodź. Wyjdę z tobą, przeprowadzę cię. Doszedłem do wniosku, że mam ci jednak coś do powiedzenia. I do pokazania.

Wewnątrz panowała ciemność, ale wiedźmin z miejsca wiedział, że jaskinia jest ogromna – poznał to po temperaturze i ruchu powietrza. Żwir, po którym szli, był mokry.

Avallac'h wyczarował światło – elfią modą, tylko gestem, bez wypowiadania zaklęcia. Jarząca się kula wzleciała ku sklepieniu, formacje kryształu górskiego w ścianach groty zapłonęły miriadem refleksów i lśnień, zatańczyły cienie. Wiedźmin westchnął mimo woli.

Nie pierwszy raz widział elfie rzeźby i posągi, ale za każdym razem wrażenie było takie samo. Że zastygłe w pół ruchu, w pół drgnienia postaci elfów i elfek nie są dziełem dłuta rzeźbiarza, lecz efektem potężnego czaru, zdolnego zmienić żywą tkankę w biały marmur z Amell.

Najbliższa statua przedstawiała elfkę siedzącą na podkurczonych nogach na bazaltowej płycie. Elfka odwracała głowę, jak gdyby zaalarmowana szmerem zbliżających się kroków. Była zupełnie naga. Biały i wygładzony do mlecznego blasku marmur sprawiał, że wręcz czuło się emanujące z posągu ciepło.

Avallac'h zatrzymał się i oparł o jedną z kolumn, wytyczających drogę wśród alei posągów.

– Po raz drugi – odezwał się cicho – błyskotliwie mnie rozszyfrowałeś, Geralcie. Tak, miałeś rację, bizonie malowidło na skale to był kamuflaż. Mający zniechęcić do rozkuwania i przebijania ściany. Mający uchronić to wszystko tutaj przed grabieżą i dewastacją. Każda rasa, elfia również,

ma prawo do korzeni. To, co widzisz, to są nasze korzenie. Stąpaj, proszę, ostrożnie. To jest w gruncie rzeczy cmentarz.

Tańczące po górskich kryształach refleksy światła wydobywały z mroku dalsze szczegóły – za aleją posągów widać było kolumnady, schody, amfiteatralne krużganki, arkady i perystyle. Wszystko z białego marmuru.

– Chcę – podjął Avallac'h, zatrzymując się i wskazując dłonią – by to przetrwało. Nawet gdy my odejdziemy, gdy cały ten kontynent i cały ten świat znajdzie się pod milową warstwą lodu i śniegu, Tir ná Béa Arainne przetrwa. Odejdziemy stąd, ale kiedyś tu powrócimy. My, elfy. Przyrzeka nam to Aen Ithlinnespeath, proroctwo Ithlinne Aegli aep Aevenien.

– Wy naprawdę w nią wierzycie? W tę wieszczbę? Aż tak głęboki jest wasz fatalizm?

– Wszystko – elf nie patrzył na niego, lecz na marmurowe kolumny pokryte delikatną jak pajęczyna płaskorzeźbą – zostało przewidziane i wyprorokowane. Wasze przybycie na kontynent, wojny, przelew elfiej i ludzkiej krwi. Wzrastanie waszej rasy, dekadencję naszej. Walkę władców Północy i Południa. I powstanie oto król Południa przeciw królom Północy i zaleje ich ziemie jak powódź; będą oni zdruzgotani, a narody ich zniszczone... I tak zacznie się zagłada świata. Pamiętasz tekst Itliny, wiedźminie? Kto jest daleko, umrze od zarazy; kto jest blisko, padnie od miecza; kto uchowa się, umrze z głodu; kto przetrwa, tego zgubi mróz... Albowiem nadejdzie Tedd Deireadh, Czas Końca, Czas Miecza i Topora, Czas Pogardy, Czas Białego Zimna i Wilczej Zamieci...

– Poezja.

– Wolisz mniej poetycko? Wskutek zmiany kąta padania promieni słonecznych przesunie się, i to znacznie, granica wiecznej zmarzliny. Te góry zmiażdży i odepchnie daleko na południe sunący z północy lód. Wszystko przysypie biały śnieżek. Warstwą grubą na ponad milę. I zrobi się bardzo, ale to bardzo zimno.

– Będziemy nosić ciepłe gacie – zapowiedział bez emocji Geralt. – Kożuszki. I futrzane czapki.

– Z ust mi to wyjąłeś – zgodził się spokojnie elf. – I w tych gaciach i czapkach przetrwacie, by któregoś dnia wrócić tu, kopać doły i szperać w tych jaskiniach, by niszczyć i kraść. Wieszczba Itliny tego nie mówi, ale ja to wiem. Nie sposób całkowicie zniszczyć ludzi i karaluchów, zawsze zostanie co najmniej parka. Co do nas, elfów, Itlina jest bardziej

zdecydowana: ocaleją tylko ci, którzy pójdą za Jaskółką. Jaskółka, symbol wiosny, jest wybawicielką, tą, która otworzy Zakazane Drzwi, wskaże drogę wybawienia. I umożliwi odrodzenie świata. Jaskółka, Dziecko Starszej Krwi.

– Czyli Ciri? – nie wytrzymał Geralt. – Albo dziecko Ciri? Jak? I dlaczego?

Avallac'h, zdawałoby się, nie dosłyszał.

– Jaskółka ze Starszej Krwi – powtórzył. – Z jej krwi. Chodź. I spójrz.

Nawet spośród innych niesamowicie wręcz realistycznych, uchwyconych w ruchu lub geście posągów wskazywany przez Avallac'ha wyróżniał się. Biała marmurowa elfka, półleżąca na płycie, sprawiała wrażenie, jak gdyby – przebudzona – miała za chwilę usiąść i wstać. Była obrócona twarzą ku pustemu miejscu u jej boku, a uniesiona dłoń zdawała się dotykać tam czegoś niewidzialnego.

Na twarzy elfki malował się wyraz spokoju i szczęścia.

Długo trwało, zanim Avallac'h przerwał ciszę.

– To jest Lara Dorren aep Shiadhal. Oczywiście to nie grób, lecz cenotaf. Dziwi cię pozycja posągu? Cóż, nie znalazł poparcia projekt, by wykuć w marmurze oboje legendarnych kochanków: Larę i Cregennana z Lod. Cregennan był człowiekiem, byłoby świętokradztwem marnować amellski marmur na jego statuę. Byłoby bluźnierstwem stawiać statuę człowieka tutaj, w Tir ná Béa Arainne. Z drugiej strony, jeszcze większą zbrodnią byłoby z premedytacją niszczyć pamięć o tym uczuciu. Sięgnięto więc po złoty środek. Cregennana... formalnie tutaj nie ma. A jednak jest. W spojrzeniu i pozie Lary. Kochankowie są razem. Nic nie zdołało ich rozdzielić. Ani śmierć, ani niepamięć... Ani nienawiść.

Wiedźminowi zdawało się, że obojętny głos elfa zmienił się na moment. Ale to chyba nie było możliwe.

Avallac'h zbliżył się do posągu, ostrożnym, delikatnym ruchem pogładził marmurowe ramię. Potem odwrócił się, a na jego trójkątnej twarzy zjawił się znowu zwykły, lekko drwiący uśmiech.

– Czy wiesz, wiedźminie, co jest największym minusem długowieczności?

– Nie.

– Seks.

– Co?

– Dobrze słyszałeś. Seks. Po niecałych stu latach staje się nudny. Nie ma w nim już nic, co mogłoby fascynować i ekscytować, co miałoby podniecający urok nowości. Wszystko już było... Takim czy innym sposobem, ale było. I wtedy nagle przychodzi Koniunkcja Sfer i pojawiacie się tutaj wy, ludzie. Pojawiają się tu niedobitki ludzi, przybyłe z innego świata, z waszego dawnego świata, który udało wam się totalnie zniszczyć, waszymi własnymi, wciąż owłosionymi rękami zniszczyć, zaledwie pięć milionów lat po wykształceniu się jako gatunek. Jest was garstka, średnią życia macie śmiesznie niską, wasze przetrwanie zależy więc od tempa rozrodu, wobec tego wyuzdana żądza nigdy was nie opuszcza, seks rządzi wami totalnie, jest to popęd silniejszy nawet niż instynkt samozachowawczy. Umrzeć, czemu nie, jeśli wcześniej da się pochędożyć: oto w niewielkim skrócie cała wasza filozofia.

Geralt nie przerywał i nie komentował, choć ochotę miał wielką.

– I co się nagle okazuje? – podjął Avallac'h. – Elfy, znudzone znudzonymi elfkami, biorą się za zawsze chętne ludzkie kobiety, znudzone elfki oddają się z perwersyjnej ciekawości zawsze pełnym wigoru i werwy ludzkim samcom. I dzieje się coś, czego wytłumaczyć nie potrafi nikt: elfki, które normalnie mają owulację raz na dziesięć, dwadzieścia lat, spółkując z człowiekiem zaczynają owulować przy każdym silnym orgazmie. Zadziałał jakiś ukryty hormon, może kombinacja hormonów. Elfki rozumieją, że dzieci mogą mieć w praktyce tylko z ludźmi. To elfki sprawiły, że nie eksterminowaliśmy was, gdy jeszcze byliśmy silniejsi. A potem już wy byliście silniejsi i zaczęliście eksterminować nas. Ale w elfkach wciąż mieliście sprzymierzeńców. To one były orędowniczkami współżycia, współpracy i współistnienia... i nie chciały się przyznać, że w gruncie rzeczy chodzi o współspanie.

– Co to ma – chrząknął Geralt – wspólnego ze mną?

– Z tobą? Absolutnie nic. Ale z Ciri wiele. Ciri jest wszak potomkiem Lary Dorren aep Shiadhal, a Lara Dorren była orędowniczką współistnienia z ludźmi. Głównie z jednym człowiekiem. Z Cregennanem z Lod, ludzkim czarodziejem. Lara Dorren współistniała z owym Cregennanem często i skutecznie. Mówiąc prościej: zaszła w ciążę.

Wiedźmin i tym razem zachował milczenie.

– Problem tkwił w tym, że Lara Dorren nie była zwykłą elfką. Była ładunkiem genetycznym. Specjalnie przygotowywanym. Rezultatem wieloletnich prac. W połączeniu z innym ładunkiem, elfim, ma się rozumieć, miała urodzić dziecko jeszcze bardziej specjalne. Poczynając z nasienia człowieka, pogrzebała te szanse, zmarnowała rezultaty setek lat planowania i przygotowań. Tak przynajmniej wówczas myślano. Nikt nie przypuszczał, by spłodzony przez Cregennana metys mógł odziedziczyć po pełnowartościowej matce coś pozytywnego. Nie, taki mezalians nie mógł przynieść niczego dobrego...

– I dlatego – wtrącił Geralt – został surowo ukarany.

– Nie tak, jak myślisz. – Avallac'h spojrzał na niego szybko. – Chociaż związek Lary Dorren i Cregennana przyniósł nieobliczalne szkody elfom, a ludziom mógł wyjść tylko na dobre, jednak to ludzie, nie elfy, zamordowali Cregennana. Ludzie, nie elfy, zgubili Larę. Tak właśnie było, mimo tego, że wielu elfów miało powody, by nienawidzić kochanków. Również osobiste.

Geralta już po raz drugi zastanowiła nieznaczna zmiana w głosie elfa.

– Tak czy inaczej – podjął Avallac'h – współistnienie pękło jak bańka mydlana, rasy skoczyły sobie do gardeł. Zaczęła się wojna, która trwa do dziś. A tymczasem materiał genetyczny Lary... Istnieje, jak się już zapewne domyśliłeś. I nawet rozwinął się. Niestety, zmutował. Tak, tak. Twoja Ciri jest mutantem.

Elf i tym razem nie doczekał się komentarza.

– Maczali w tym oczywiście palce wasi czarodzieje, sprytnie łącząc hodowlane osobniki w parki, ale im również wymknęło się to spod kontroli. Mało kto domyśla się, jakim cudem materiał genetyczny Lary Dorren odrodził się tak potężnie w Ciri, co było wyzwalaczem. Myślę, że wie o tym Vilgefortz, ten sam, który na Thanedd porachował ci kości. Czarodzieje, którzy eksperymentowali z potomstwem Lary i Riannon, prowadząc przez czas jakiś regularną hodowlę, nie doszli do oczekiwanych rezultatów, znudzili się i zaniechali eksperymentu. Ale eksperyment trwał, z tym że teraz już samorzutnie. Ciri, córka Pavetty, wnuczka Calanthe, prapraprawnuczka Riannon, była prawdziwym potomkiem Lary Dorren. Vilgefortz dowiedział się o tym, prawdopodobnie przypadkiem. Wie o tym też Emhyr var Emreis, cesarz Nilfgaardu.

– I wiesz o tym ty.

– Ja wiem nawet więcej niż oni obaj. Ale to nie ma znaczenia. Młyn przeznaczenia działa, żarna losu mielą... To, co przeznaczone, musi się stać.

– A co musi się stać?

– To, co przeznaczone. Co zostało ustalone odgórnie, w przenośnym rzecz jasna znaczeniu. Coś, o czym przesądza działanie niezawodnie funkcjonującego mechanizmu, u podstaw którego leżą Cel, Plan i Rezultat.

– To jest albo poezja, albo metafizyka. Albo jedno i drugie, bo czasami trudno rozgraniczyć. Czy możliwe są jakieś konkrety? Choćby minimalne? Chętnie podyskutowałbym z tobą o tym i owym, ale tak się składa, że mi pilno.

Avallac'h zmierzył go przeciągłym spojrzeniem.

– A dokąd to tak ci pilno? Ach, wybacz... Ty, jak mi się zdaje, nie zrozumiałeś nic z tego, co mówiłem. Powiem więc prosto: twoja wielka wyprawa ratunkowa pozbawiona jest już sensu. Całkowicie go straciła.

– Powodów jest kilka – podjął elf, patrząc na kamienną twarz wiedźmina. – Po pierwsze, jest już za późno, zasadnicze zło już się dokonało, nie jesteś już w stanie ocalić przed nim dziewczyny. Po drugie, teraz gdy wstąpiła już na właściwą drogę, Jaskółka świetnie poradzi sobie sama, zbyt potężną moc nosi w sobie, by lękać się czegokolwiek. Twoja pomoc jest jej zbędna. A po trzecie... Hmmm...

– Ja cię cały czas słucham, Avallac'h. Cały czas.

– Po trzecie... Po trzecie, ktoś inny jej teraz pomoże. Chyba nie jesteś aż tak arogancki, by myśleć, że tę dziewczynę tylko i wyłącznie z tobą powiązało przeznaczenie.

– To wszystko?

– Tak.

– Do widzenia zatem.

– Zaczekaj.

– Mówiłem. Pilno mi.

– Załóżmy przez chwilę – rzekł spokojnie elf – że ja faktycznie wiem, co się stanie, że widzę przyszłość. Jeżeli powiem ci, że to, co ma się stać, stanie się i tak, niezależnie od czynionych przez ciebie wysiłków? Od podejmowanych inicjatyw? Jeśli zakomunikuję ci, że mógłbyś wyszukać sobie jakieś spokojne miejsce na ziemi i siedzieć tam, nic nie robiąc,

czekając na nieuniknione konsekwencje biegu wydarzeń, czy zdecydujesz się na coś takiego?

– Nie.

– A jeżeli zakomunikuję ci, że twoja aktywność, świadcząca o braku wiary w niezachwiane mechanizmy Celu, Planu i Rezultatu, może, choć prawdopodobieństwo jest nikłe, rzeczywiście zmienić co nieco, ale wyłącznie na gorsze? Czy przemyślisz sprawę ponownie? Ach, już z twojej miny widzę, że nie. Zapytam więc po prostu: dlaczego nie?

– Naprawdę chcesz wiedzieć?

– Naprawdę.

– Dlatego, że ja zwyczajnie nie wierzę w twoje metafizyczne komunały o celach, planach i odgórnych zamysłach stwórców. Nie wierzę również w waszą słynną wieszczbę Itliny i inne proroctwa. Mam je, wyobraź sobie, za taki sam kit i humbug, jak twoje naskalne malowidło. Fioletowy bizon, Avallac'h. Nic więcej. Nie wiem, czy nie potrafisz, czy też nie chcesz mi pomóc. Nie mam jednak do ciebie żalu...

– Powiadasz, nie potrafię czy też nie chcę ci pomóc. A w jaki sposób mógłbym?

Geralt zastanawiał się przez moment, absolutnie świadom, że od właściwego sformułowania pytania zależy wiele.

– Odzyskam Ciri?

Odpowiedź była natychmiastowa.

– Odzyskasz. Po to tylko, by natychmiast ją utracić. I to na zawsze, nieodwołalnie. Zanim do tego dojdzie, stracisz wszystkich, którzy ci towarzyszą. Jednego z twych towarzyszy stracisz w ciągu najbliższych tygodni, może nawet dni. Może nawet godzin.

– Dziękuję.

– Jeszcze nie skończyłem. Bezpośrednim i rychłym skutkiem twojej ingerencji w mielące żarna Celu i Planu będzie śmierć kilkudziesięciu tysięcy ludzi. Co zresztą nie ma wielkiego znaczenia, albowiem niedługo później życie straci kilkadziesiąt milionów ludzi. Świat, jakim go znasz, po prostu zniknie, przestanie istnieć, by po upływie stosownego czasu odrodzić się w zupełnie odmienionej postaci. Ale na to akurat nikt nie ma i nie będzie miał żadnego wpływu, nikt nie jest w stanie temu zapobiec ani odwrócić kolei rzeczy. Ani ty, ani ja, ani czarodzieje, ani Wiedzący. Ani nawet Ciri. Co ty na to?

– Fioletowy bizon. Tym niemniej dziękuję ci, Avallac'h.

– Swoją drogą – wzruszył ramionami elf – trochę ciekawi mnie, co może zdziałać kamyczek wpadający w tryby żaren... Czy jeszcze coś mogę dla ciebie zrobić?

– Raczej nie. Bo pokazać mi Ciri, jak sądzę, nie możesz?

– Kto tak powiedział?

Geralt wstrzymał oddech.

Avallac'h skierował szybkie kroki w stronę ściany jaskini, dając znak, by wiedźmin szedł za nim.

– Ściany Tir ná Béa Arainne – wskazał na skrzące się górskie kryształy – mają szczególne właściwości. A ja, bez pychy, mam szczególne umiejętności. Połóż na tym ręce. Wpatrz się. Myśl intensywnie. O tym, jak ona bardzo cię teraz potrzebuje. I zadeklaruj, że się tak wyrażę, mentalną chęć pomocy. Myśl o tym, że chcesz biec na ratunek, być u boku, coś w tym guście. Obraz powinien pojawić się sam. I być wyraźny. Patrz, ale powstrzymuj się od gwałtownych reakcji. Nic nie mów. To będzie wizja, nie komunikacja.

Usłuchał.

Pierwsze wizje, wbrew obietnicy, nie były wyraźne. Były niejasne, ale za to tak gwałtowne, że cofnął się odruchowo. Odrąbana ręka na blacie stołu... Krew rozbryzgnięta na szklistej tafli... Kościotrupy na szkieletach koni... Yennefer, zakuta w kajdany...

Wieża? Czarna wieża? A za nią, w tle... Zorza polarna?

I nagle, bez ostrzeżenia, obraz stał się klarowny. Aż nadto klarowny.

– Jaskier! – wrzasnął Geralt. – Milva! Angoulême!

– Hę? – zainteresował się Avallac'h. – Ach, tak. Zdaje mi się, żeś wszystko zepsuł.

Geralt odskoczył od ściany jaskini, o mało nie przewracając się o bazaltowy postument.

– Nieważne, do cholery! – krzyknął. – Słuchaj, Avallac'h, ja muszę jak najprędzej dostać się do tego druidzkiego lasu...

– Caed Myrkvid?

– Bodajże! Moim druhom grozi tam śmiertelne niebezpieczeństwo! Walczą o życie! W zagrożeniu są również inni ludzie... Którędy najprędzej... Ach, do diabła! Wracam po miecz i konia...

– Żaden koń – przerwał spokojnie elf – nie zdoła zanieść cię do Gaju Myrkvid przed zapadnięciem zmroku...

– Ale ja...

– Jeszcze nie skończyłem. Idź po ten twój słynny miecz, a ja tymczasem załatwię ci wierzchowca. Doskonałego wierzchowca na górskie ścieżki. Jest to wierzchowiec trochę, powiedziałbym, nietypowy... Ale dzięki niemu będziesz w Caed Myrkvid za niecałe pół godziny.

•

Pukacz śmierdział jak koń – i tu kończyło się podobieństwo. Geralt oglądał kiedyś w Mahakamie urządzone przez krasnoludy zawody w ujeżdżaniu górskich muflonów i wydało mu się to sportem absolutnie ekstremalnym. Ale dopiero teraz, siedząc na grzbiecie pędzącego jak wariat pukacza, dowiadywał się, czym jest prawdziwa ekstremalność.

Aby nie spaść, kurczowo wpijał palce w szorstkie kudły i ściskał udami kosmate boki potwora. Pukacz śmierdział potem, uryną i wódką. Gnał jak opętany, od uderzeń jego gigantycznych stóp ziemia dudniła, jak gdyby podeszwy miał ze spiżu. W niewielkim stopniu zwalniając, piął się na zbocza, a zbiegał z nich tak szybko, że powietrze wyło w uszach. Pędził po graniach, perciach i półkach tak wąskich, że Geralt zaciskał powieki, by nie patrzeć w dół. Przesadzał wodogrzmoty, kaskady, przepaście i rozpadliny, których nie przeskoczyłby muflon, a każdemu udanemu skokowi towarzyszył dziki i ogłuszający ryk. To znaczy, jeszcze dzikszy i bardziej ogłuszający niż zwykle – pukacz ryczał bowiem praktycznie bez przerwy.

– Nie pędź tak! – Pęd powietrza wciskał słowa z powrotem do gardła.

– Bo co?

– Piłeś!

– Uuuaaahaaaaaaaa!

Gnali. W uszach świszczało.

Pukacz śmierdział.

Łoskot olbrzymich stóp o skałę ścichł, zagrzechotały gołoborza i piargi. Potem grunt zrobił się mniej kamienisty, zielono mignęło coś, co mogło być kosodrzewiną. Potem migało zielono i brązowo, bo pukacz w szalonych susach sadził przez jodłowy las. Zapach żywicy zmieszał się ze smrodem potwora.

– Uaaahaaaaaa!

Jodły się skończyły, zaszumiały opadłe liście. Teraz było czerwono, bordowo, ochrowo i żółto.

– Wolnieeeeej!

– Uaaaahahhahaha!

Pukacz długim susem przesadził stertę zwalonych drzew. Geralt o mało nie odgryzł sobie języka.

•

Dzika jazda skończyła się równie bezceremonialnie, jak się zaczęła. Pukacz wrył pięty w ziemię, zaryczał i zrzucił wiedźmina na usłane liśćmi poszycie. Geralt leżał przez chwilę, z braku tchu nie mogąc nawet złorzeczyć. Potem wstał, sycząc i masując kolano, w którym znowu odezwał się ból.

– Nie spadłeś – stwierdził fakt pukacz, a głos miał zdziwiony. – No, no.

Geralt nie skomentował.

– Jesteśmy na miejscu – pukacz wskazał kosmatą łapą. – Oto Caed Myrkvid.

W dole pod nimi leżała kotlina, szczelnie wypełniona mgłą. Z oparu przeświecały wierzchołki wielkich drzew.

– Ta mgła – uprzedził pytanie pukacz, węsząc – nie jest naturalna. Ponadto czuć stamtąd dym. Na twoim miejscu pospieszyłbym się. Eeech, poszedłbym z tobą... Aż mnie mdli z ochoty do bitki! A już jako dziecko marzyłem, by kiedyś móc zaszarżować na ludzi z wiedźminem na grzbiecie! Ale Avallac'h zabronił mi pokazywać się. Idzie o bezpieczeństwo całej naszej społeczności...

– Wiem.

– Nie miej za złe, że dałem ci w zęby.

– Nie mam.

– Jesteś równy chłop.

– Dziękuję ci. Również za podwiezienie.

Pukacz wyszczerzył zęby z rudej brody i zionął wódką.

– Cała przyjemność po mojej stronie.

•

Mgła zalegająca Las Myrkvid była gęsta i miała nieregularny kształt, przywodzący na myśl kupę bitej śmietany nasadzonej na tort przez kucharkę będącą niespełna rozumu. Mgła ta przypomniała wiedźminowi Brokilon – Las Driad często zasnuwał się podobnie gęstym ochronnym i kamuflującym magicznym oparem. Podobna do

brokilońskiej była też dostojna i groźna atmosfera puszczy, tutaj, na skraju, w przeważającej części składającej się z olch i buków.

I zupełnie jak w Brokilonie, już na skraju lasu, na zasłanej liśćmi drodze, Geralt niemal potknął się o trupy.

•

Okrutnie zarąbani ludzie nie byli druidami ani Nilfgaardczykami, nie należeli też z pewnością do hassy Słowika i Schirrú. Zanim jeszcze Geralt wypatrzył we mgle zarysy wozów, przypomniał sobie, że Regis mówił o pielgrzymach. Wynikało, że dla niektórych pielgrzymów pielgrzymka zakończyła się niezbyt szczęśliwie.

Smród dymu i spalenizny, nieprzyjemny w wilgotnym powietrzu, stawał się coraz wyraźniejszy, wskazywał drogę. Wkrótce potem drogę wskazały też głosy. Okrzyki. I fałszywa, kocia muzyka gęśli.

Geralt przyspieszył kroku.

Na rozkisłej od deszczu drodze stał wóz. Obok jego kół leżały kolejne trupy.

Jeden z bandytów buszował po wozie, wywalając na drogę przedmioty i sprzęty. Drugi trzymał wyprzężone konie, trzeci zdzierał z zabitego pielgrzyma szubę z lisów krzyżaków. Czwarty piłował smykiem znalezione widać wśród łupów gęśle, za nic w świecie nie mogąc wydobyć z instrumentu choćby jednej czystej nuty.

Kakofonia przydała się – stłumiła kroki Geralta.

Muzyka urwała się raptownie, struny gęśli jęknęły rozdzierająco, zbójca runął na liście i zbryzgał je posoką. Trzymający konie nie zdołał nawet krzyknąć, sihill przeciął mu tchawicę. Trzeci zbój nie zdążył zeskoczyć z wozu, spadł, rycząc, z rozsiekaną arterią udową. Ostatni zdołał nawet wydobyć miecz z pochwy. Ale unieść go już nie zdążył.

Geralt strząsnął kciukiem krew ze zbrocza.

– Tak, synkowie – powiedział w kierunku lasu i zapachu dymu. – To był głupi pomysł. Nie należało słuchać Słowika i Schirrú. Trzeba było zostać w domu.

•

Wkrótce natknął się na następne wozy i następnych zabitych. Wśród licznych porąbanych i pokłutych pielgrzymów leżeli również druidzi w ubroczonych białych szatach. Dym z niezbyt już odległego pożaru snuł się nisko przy ziemi.

Tym razem zbójcy byli czujniejsi. Udało mu się podejść tylko jednego, zajętego ściąganiem tandetnych pierścionków i bransolet z zakrwawionych rąk zabitej kobiety. Geralt, nie deliberując, ciął bandytę, bandyta zaryczał, a wówczas pozostali – zbójcy przemieszani z Nilfgaardczykami – rzucili się na niego z wrzaskiem.

Odskoczył w las, pod najbliższe drzewo, by pień chronił mu plecy. Ale nim jeszcze zbójcy dobiegli, załomotały kopyta, a z krzaków i mgły wyłonił się olbrzymi koń okryty kropierzem w złoto-czerwoną ukośną szachownicę. Koń dźwigał jeźdźca w pełnej zbroi, śnieżnobiałym płaszczu i hełmie z wyciągniętą w dziób dziurkowaną zasłoną. Zanim bandyci zdążyli ochłonąć, rycerz już siedział im na karkach i rąbał mieczem w lewo i prawo, a krew sikała fontannami. Piękny był to widok.

Geralt nie miał jednak czasu się przyglądać, sam mając na karku dwóch, zbójcę w wiśniowym kubraku i czarnego Nilfgaardczyka. Zbójcę, który odsłonił się przy wypadzie, ciął przez gębę, Nilfgaardczyk, zobaczywszy latające zęby, wziął nogi za pas i zniknął we mgle.

Geralta omal nie stratował koń w szachownicowym kropierzu. Biegnący bez jeźdźca.

Nie zwlekając, skoczył przez zarośla ku miejscu, z którego dobiegały krzyki, klątwy i łomot.

Rycerza w białym płaszczu trzej bandyci ściągnęli z siodła, teraz usiłowali go ukatrupić. Jeden, stanąwszy w rozkroku, grzmocił toporem, drugi rąbał mieczem, trzeci, mały i rudy, podskakiwał obok jak zając, szukając okazji i nie osłoniętego miejsca, w które mógłby wrazić rohatynę. Obalony rycerz wrzeszczał niezrozumiale z wnętrza hełmu i odbijał razy trzymaną oburącz tarczą. Za każdym ciosem topora tarcza była coraz niżej, już prawie opierała się o napierśnik. Było oczywiste – jeszcze jeden, dwa takie uderzenia i rycerzowi flaki wyjdą wszystkimi szczelinami pancerza.

Geralt w trzech susach znalazł się wśród kłębowiska, ciął w kark podskakującego rudzielca z rohatyną, szeroko chlasnął przez brzuch tego z toporem. Rycerz, zwinny mimo zbroi, wyrżnął trzeciego zbójcę w kolano rantem tarczy, zwalonego trzykrotnie grzmotnął w twarz, aż krew spryskała puklerz. Zerwał się na kolana, macał wśród paproci w poszukiwaniu miecza, bucząc jak ogromny blaszany truteń. Nagle zobaczył Geralta i znieruchomiał.

– W czyimże jestem ręku? – zatrąbił z głębin hełmu.

– W niczyimże. Ci, którzy tu leżą, to również moi wrogowie.

– Aha... – Rycerz usiłował unieść zasłonę hełmu, ale blacha była pogięta i mechanizm się zablokował. – Na honor! Dzięki wam stokrotne za pomoc.

– Wam. Przecież to wyście przyszli z pomocą mnie.

– Doprawdy? Kiedy?

Nic nie widział, pomyślał Geralt. Nawet mnie nie zauważył przez dziurki w tym żelaznym garnku.

– Jak wasze miano? – spytał rycerz.

– Geralt. Z Rivii.

– Herbu?

– Nie czas, panie rycerzu, na heraldykę.

– Na honor, prawiście, mężny kawalerze Geralcie. – Rycerz odnalazł swój miecz, wstał. Jego poszczerbioną tarczę – podobnie jak kropierz konia – zdobiła złoto-czerwona ukośna szachownica, w polach której widniały naprzemiennie litery A i H.

– To nie jest mój rodowy herb – zabuczał wyjaśniająco. – To są inicjały mej suzerenki, księżnej pani Anny Henrietty. Ja zwę się Rycerzem Szachownicy. Jestem rycerzem błędnym. Imienia mego i klejnotu nie wolno mi wyjawiać. Uczyniłem ślub rycerski. Na honor, jeszcze raz dzięki ci za pomoc, kawalerze.

– Cała przyjemność po mojej stronie.

Jeden z powalonych bandytów zajęczał i zaszeleścił w liściach. Rycerz Szachownicy doskoczył i potężnym pchnięciem przygwoździł go do ziemi. Zbój zatrzepał rękami i nogami jak przekłuty szpilką pająk.

– Pospieszajmy – rzekł rycerz. – Hultajstwo jeszcze się tu sroży. Na honor, jeszcze nie czas odpoczywać!

– Prawda – przyznał Geralt. – Banda grasuje po lesie, zabija pielgrzymów i druidów. Moi przyjaciele są w opałach...

– Przepraszam na chwilę.

Drugi zbój dawał znaki życia. Też został zamaszyście przygwożdżony, a zadartymi nogami wywinął takiego hołubca, że aż mu buty pospadały.

– Na honor! – Rycerz Szachownicy wytarł miecz o mech. – Ciężko tym łapserdakom rozstać się z życiem! Niech cię nie dziwi, kawalerze, że ranionych dożgiwam. Na honor, dawniej tego nie czyniłem. Ale ci urwipołcie wracają do zdrowia tak szybko, że uczciwy człowiek może

tylko pozazdrościć. Odkąd z jednym szelmą zdarzyło mi się mieć sprawę trzy razy pod rząd, zacząłem wykańczać ich pieczołowiciej. Tak, żeby już na amen.

– Rozumiem.

– Ja, widzicie, jestem błędny. Ale, na honor, nie obłąkany! O, jest mój koń. Chodź tu, Bucefał!

•

Las zrobił się przestronniejszy i jaśniejszy, zaczęły w nim dominować wielkie dęby o rozłożystych, lecz rzadkich koronach. Dym i smród pożaru czuli już z bliska. A po chwili zobaczyli.

Płonęły kryte trzcinowymi strzechami chaty, całe nieduże osiedle. Płonęły płachty wozów. Między wozami leżały trupy – wiele w widocznych z daleka białych druidzkich szatach.

Bandyci i Nilfgaardczycy, dodając sobie odwagi rykiem i kryjąc się za popychanymi przed sobą wozami, atakowali duży stojący na palach dom, oparty o pień gigantycznego dębu. Dom zbudowany był z solidnych bali i kryty spadzistym gontem, po którym nieszkodliwie staczały się ciskane przez bandytów pochodnie. Oblężony dom bronił się i skutecznie odgryzał – na oczach Geralta jeden ze zbójców niebacznie wychylił się zza wozu i runął, jak rażony gromem, ze strzałą w czaszce.

– Twoi przyjaciele – popisał się domyślnością Rycerz Szachownicy – muszą być w owym budynku! Na honor, w srogiej są obieży! Dalejże, pośpieszajmy z pomocą!

Geralt usłyszał skrzekliwe wrzaski i rozkazy, poznał rozbójnika Słowika z obandażowaną facjatą. Widział też przez moment półelfa Schirrú, kryjącego się za plecami Nilfgaardczyków w czarnych płaszczach.

Nagle zaryczały rogi, aż liść sypnął się z dębów. Zadudniły kopyta bojowych rumaków, zabłysły zbroje i miecze szarżującego rycerstwa. Zbójcy z wrzaskiem rozbiegli się w różne strony.

– Na honor! – ryknął Rycerz Szachownicy, spinając konia. – To moi druhowie! Ubiegli nas! Do ataku, by i nam się trochę chwały dostało! Bij, zabij!

Cwałując na Bucefale, Rycerz Szachownicy wpadł na czmychających zbójców pierwszy, błyskawicznie zarąbał dwóch, resztę rozproszył jak

jastrząb wróble. Dwóch skręciło w stronę nadbiegającego Geralta, wiedźmin rozprawił się z nimi w mgnieniu oka.

A trzeci strzelił do niego z gabriela.

Miniaturowe samostrzały wymyślił i opatentował niejaki Gabriel, rzemieślnik z Verden. Reklamował je sloganem: „Obroń się sam". Dookoła srożą się bandytyzm i przemoc, głosiła reklama. Prawo jest bezsilne i nieporadne. Obroń się sam! Nie wychodź z domu bez poręcznego samostrzału marki „Gabriel". Gabriel to twój stróż, Gabriel uchroni przed bandytą ciebie i twoich bliskich.

Sprzedaże były rekordowe. Wkrótce poręczne przy napadach gabriele nosili wszyscy bandyci.

Geralt był wiedźminem, umiał uchylić się przed bełtem. Ale zapomniał o obolałym kolanie. Unik był o cal spóźniony, liściowaty grot rozorał mu ucho. Ból oślepił, ale tylko na moment. Zbójca nie zdążył napiąć samostrzału i obronić się sam. Rozzłoszczony Geralt rąbnął go po rękach, a potem wypruł z niego kiszki szerokim cięciem sihilla.

Nie zdążył nawet obetrzeć krwi z ucha i szyi, gdy zaatakował go mały i ruchliwy jak łasica typek o nienaturalnie błyszczących oczach, uzbrojony w krzywą zerrikańską saberrę, którą obracał z podziwu godną wprawą. Sparował już dwa cięcia Geralta, szlachetna stal obu kling dzwoniła i sypała iskrami.

Łasica był bystry i spostrzegawczy – momentalnie zauważył, że wiedźmin kuleje, momentalnie zaczął okrążać i atakować z korzystnej dla siebie strony. Był niesamowicie szybki, ostrze saberry aż wyło w cięciach wykonywanych niebezpieczną krzyżową sztuką. Geralt unikał ciosów z coraz większą trudnością. I coraz bardziej utykał, zmuszany do stawania na obolałą nogę.

Łasica skulił się nagle, skoczył, wykonał zręczny zwód i fintę, ciął od ucha. Geralt sparował ukośnie i odbił. Bandyta wykręcił się zwinnie, już szedł ze złożenia do wrednego dolnego cięcia, gdy nagle wybałuszył oczy, kichnął potężnie i usmarkał się, na moment opuszczając zastawę. Wiedźmin błyskawicznie ciął go w szyję, a ostrze doszło aż do kręgów.

– No i niech mi ktoś powie – wydyszał, patrząc na drgającego trupa – że używanie narkotyków nie jest szkodliwe.

Atakujący go ze wzniesioną maczugą bandyta potknął się i runął nosem w błoto, z potylicy sterczała mu strzała.

– Idę, wiedźminie! – krzyknęła Milva. – Idę! Trzymaj się!

Geralt obrócił się, ale nie było już kogo rąbać. Milva zastrzeliła jedynego zbójcę, który pozostał w okolicy. Reszta uciekła w las, ścigana przez kolorowe rycerstwo. Kilku prześladował na Bucefale Rycerz Szachownicy. Dopadł, bo słychać było z lasu, jak strasznie się sroży.

Jeden z Czarnych Nilfgaardczyków, niedokładnie zabity, zerwał się nagle i rzucił do ucieczki. Milva błyskawicznie podniosła i napięła łuk, zawyły lotki, Nilfgaardczyk padł na liście z szaropiórą strzałą między łopatkami.

Łuczniczka westchnęła ciężko.

– Będziemy wisieć – powiedziała.

– Dlaczego tak sądzisz?

– Tu przecie Nilfgaard. A już drugi miesiąc idzie, jak ja strzelam przeważną miarą do Nilfgaardczyków.

– Tu jest Toussaint, nie Nilfgaard. – Geralt pomacał bok głowy, odjął rękę całą we krwi.

– Cholera. Co tam jest, zobacz, Milva?

Łuczniczka przyjrzała się uważnie i krytycznie.

– Tylko ucho ci urwało – stwierdziła wreszcie. – Nie ma się czym przejmować.

– Łatwo ci mówić. Ja bardzo lubiłem to ucho. Pomóż mi czymś to owiązać, bo mi ciecze za kołnierz. Gdzie są Jaskier i Angoulême?

– W chałupie, z pielgrzymami... O, zaraza...

Załomotały kopyta, z mgły wyłonili się trzej jeźdźcy na bojowych rumakach, powiewający w galopie płaszczami i proporcami. Nim jeszcze przebrzmiał ich bojowy krzyk, Geralt ucapił Milvę za ramię i wciągnął ją pod wóz. Nie było żartów z kimś, kto szarżował uzbrojony w kopię o długości czternastu stóp, dającą efektywny zasięg dziesięciu stóp przed głowę konia.

– Wyłazić! – Rumaki rycerzy ryły podkowami ziemię wokół wozu. – Rzucić broń i wyłazić!

– Będziemy wisieć – mruknęła Milva. Mogła mieć rację.

– Ha, opryszki! – zaryczał brzękliwie jeden z rycerzy, noszący na tarczy czarną byczą głowę na srebrnym polu. – Ha, łajdacy! Na honor, będziecie wisieć!

– Na honor! – zapiał młodzieńczym głosem drugi, z tarczą jednolicie błękitną. – Na miejscu ich rozsiekajmy!

– Hola, hola! Stać!

Z mgły wyłonił się na Bucefale Rycerz Szachownicy. Udało mu się wreszcie podnieść wykrzywioną zasłonę hełmu, spod której wyglądały teraz bujne płowe wąsy.

– Uwolnijcie ich co żywo! – zawołał. – To nie są grasanci, lecz prawi i uczciwi ludzie. Niewiasta mężnie stawała w obronie pielgrzymów. A ten kawaler to dobry rycerz!

– Dobry rycerz? – Bycza Głowa podniósł zasłonę hełmu, przyjrzał się Geraltowi nader niedowierzająco. – Na honor! Nie może to być!

– Na honor! – Rycerz Szachownicy walnął się w napierśnik pancerną pięścią. – Może to być, parol daję! Mężny ten kawaler życie mi zratował w opresji, gdym przez hultajów na ziemię był zwalon. Zwie się Geralt z Rivii.

– Herbu?

– Nie wolno mi wyjawiać – burknął wiedźmin – ni prawdziwego imienia, ni klejnotu. Uczyniłem ślub rycerski. Jestem błędny Geralt.

– Ooo! – wrzasnął nagle znajomy bezczelny głos. – Popatrzcie, co też kot przyniósł! Ha, mówiłam ci, ciotka, że wiedźmin przybędzie nam w sukurs!

– I w samą porę! – krzyknął nadchodzący z Angoulême i grupką przestraszonych pielgrzymów Jaskier, niosący lutnię i swój nieodłączny tubus. – Ni o sekundę za wcześnie. Masz dobre wyczucie dramatyzmu, Geralt. Powinieneś pisać sztuki dla teatrów!

Zamilkł nagle. Bycza Głowa pochylił się w siodle, oczy mu zabłysły.

– Wicehrabia Julian?

– Baron de Peyrac-Peyran?

Zza dębów wyłoniło się następnych dwóch rycerzy. Jeden, w garnczkowym hełmie ozdobionym wielce udatną podobizną białego łabędzia z rozłożonymi skrzydłami, prowadził na arkanie dwóch jeńców. Drugi rycerz, błędny, ale praktyczny, przygotowywał stryczki i wypatrywał dobrej gałęzi.

– Ani Słowik – Angoulême zauważyła spojrzenie wiedźmina – ani Schirrú. Szkoda.

– Szkoda – przyznał Geralt. – Ale spróbujemy naprawić. Panie rycerzu...

Ale Bycza Głowa – czy raczej baron de Peyrac-Peyran – nie zwracał na niego uwagi. Widział, zdawałoby się, tylko Jaskra.

– Na honor – powiedział przeciągle. – Nie myli mnie wzrok! To pan wicehrabia Julian we własnej osobie. Ha! Ucieszy się księżna pani!

– Kto to jest wicehrabia Julian? – zaciekawił się wiedźmin.

– To ja jestem – powiedział półgębkiem Jaskier. – Nie mieszaj się do tego, Geralt.

– Ucieszy się pani Anarietta – powtórzył baron de Peyrac-Peyran. – Ha, na honor! Zabieramy was wszystkich do zamku Beauclair. Tylko bez wymówek, wicehrabio, żadnym wymówkom ucha nie dam!

– Część grasantów zbiegła. – Geralt pozwolił sobie na dość zimny ton. – Najpierw proponuję ich wyłapać. Potem pomyślimy, co robić z tak interesująco zaczętym dniem. Co wy na to, panie baronie?

– Na honor – rzekł Bycza Głowa – nie będzie z tego nic. Pościg jest niemożliwy. Przestępcy zbiegli za strumień, a nam za strumień nogą nawet stąpnąć nie lza, nawet skrawkiem kopyta. Tamta część Lasu Myrkvid jest nietykalnym sanktuarium, a to w myśl kompaktatów zawartych z druidami przez łaskawie panującą nad Toussaint jej miłość księżnę Annę Henriettę...

– Zbójcy tam uciekli, cholera! – przerwał Geralt, robiąc się wściekły. – Będą w tym nietykalnym sanktuarium mordować! A wy mi tu o jakichś kompaktatach...

– Daliśmy słowo rycerskie! – Baronowi de Peyrac-Peyran, jak się okazywało, bardziej przystawałaby w tarczy barania, niż bycza głowa. – Nie wolno! Kompaktaty! Ani krokiem na druidzki teren!

– Komu nie wolno, temu nie wolno – parsknęła Angoulême, ciągnąc za tręzle dwa zbójeckie konie. – Porzuć te puste gadki, wiedźminie. Jedziemy. Ja mam wciąż nie zamknięte rachunki ze Słowikiem, ty, jak mniemam, chciałbyś jeszcze pogawędzić z półelfem!

– Ja z wami – powiedziała Milva. – Zaraz sobie jakąś kobyłę wyszukam.

– Ja też – wybąkał Jaskier. – Ja też z wami...

– O, co to, to nie! – zawołał byczogłowy baron. – Na honor, pan wicehrabia Julian pojedzie z nami do zamku Beauclair. Księżna nie wybaczyłaby nam, gdybyśmy go spotkawszy, nie przywiedli. Was nie zatrzymuję, wolniście w swych planach i zamysłach. Jako kompanionów wicehrabiego Juliana jej łaskawość pani Anarietta z chęcią podjęłaby was godnie i ugościła na zamku, ale cóż, jeśli gardzicie jej gościną...

– Nie gardzimy – przerwał Geralt, groźnym spojrzeniem mitygując Angoulême, która za plecami barona wykonywała zgiętym łokciem różne paskudne i obelżywe gesty. – Dalecy jesteśmy od tego, by gardzić. Nie omieszkamy pokłonić się księżnej i złożyć jej należny hołd. Pierwej jednak załatwimy to, co mamy do załatwienia. My też daliśmy słowo, można powiedzieć, że też zawarliśmy kompaktaty. Gdy się z nich wywiążemy, niezwłocznie skierujemy się do zamku Beauclair. Przybędziemy tam niezawodnie.

– Choćby tylko po to – dodał znacząco i z naciskiem – by dopilnować, by żadna ujma i dyshonor nie spotkały tam naszego druha Jaskra. To znaczy, tfu, Juliana.

– Na honor! – zaśmiał się nagle baron. – Żadna ujma ni dyshonor nie spotkają wicehrabiego Juliana, parol na to dać gotowym! Bom przepomniał wam powiedzieć, wicehrabio, że książęciu Rajmundowi zmarło się dwa lata temu na apopleksję.

– Ha, ha! – zawołał Jaskier, promieniejąc gwałtownie. – Książę kipnął! A to dopiero wspaniała i radosna nowina! To znaczy, chciałem rzec, smutek i żal, szkoda i strata... Niech mu ziemia lekką będzie... Jeśli jednak tak jest, to jedźmy do Beauclair co żywiej, panowie rycerze! Geralt, Milva, Angoulême, do zobaczenia na zamku!

•

Przebrodzili strumień, wpędzili konie w las, między rozłożyste dęby, w sięgające strzemion paprocie. Milva bez trudu znalazła trop uciekającej szajki. Pojechali tak szybko, jak było można – Geralt obawiał się o druidów. Bał się, że niedobitki bandy, poczuwszy się bezpieczne, zechcą wywrzeć na druidach zemstę za pogrom doznany od błędnych rycerzy z Toussaint.

– A to się Jaskrowi trafiło – powiedziała nagle Angoulême. – Gdy nas Słowikowi oblegli w tej chałupie, wyznał mi, przed czym miał w Toussaint stracha.

– Domyślałem się – odrzekł wiedźmin. – Nie wiedziałem tylko, że tak wysoko wycelował. Księżna pani, ho, ho!

– To było ładnych parę lat temu. A książę Rajmund, ten który wykitował, poprzysiągł podobno, że wyrwie poecie serce, każe je upiec, poda niewiernej księżnej na wieczerzę i zmusi, by zjadła. Ma Jaskier

szczęście, że nie wpadł księciu w łapy, gdy jeszcze żył. My też mamy szczęście...

– To się dopiero pokaże.

– Jaskier twierdzi, że owa księżna Anarietta kocha go do szaleństwa.

– Jaskier zawsze tak twierdzi.

– Zawrzyjcie gęby! – warknęła Milva, ściągając wodze i sięgając po łuk.

Klucząc od dębu do dębu pędził w ich stronę zbójca, bez czapki, bez broni, na oślep. Biegł, przewracał się, wstawał, biegł znowu. I krzyczał. Cienko, przeraźliwie, okropnie.

– Co jest? – zdziwiła się Angoulême.

Milva w milczeniu napięła łuk. Nie strzelała, czekała, aż zbójca się przybliży, a ów pędził wprost na nich, jakby nie ich widział. Przebiegł między koniem wiedźmina i koniem Angoulême. Widzieli jego twarz, białą jak twaróg i wykrzywioną zgrozą, widzieli wybałuszone oczy.

– Ki diabeł? – powtórzyła Angoulême.

Milva otrząsnęła się ze zdumienia, odwróciła w siodle i posłała uciekającemu strzałę w krzyże. Zbój zaryczał i runął w paprocie.

Ziemia zatrzęsła się. Tak, że z pobliskiego dębu posypały się żołędzie.

– Ciekawe – powiedziała Angoulême – przed czym on tak wiał...

Ziemia zatrzęsła się znowu. Zaszeleściły krzaki, zatrzeszczały łamane gałęzie.

– Co to jest? – wyjąkała Milva, stając w strzemionach. – Co to jest, wiedźminie?

Geralt spojrzał, zobaczył i westchnął głośno. Angoulême też zobaczyła. I zbladła.

– O, kurwa!

Koń Milvy też zobaczył. Zarżał panicznie, stanął dęba, a potem podrzucił zadem. Łuczniczka wyleciała z siodła i ciężko rymnęła na ziemię. Koń pognał w las. Wierzchowiec wiedźmina bez namysłu popędził za nim, nieszczęśliwie wybierając drogę pod nisko zwisającym konarem dębu. Konar zmiótł wiedźmina z siodła. Wstrząs i ból w kolanie omal nie pozbawiły go przytomności.

Angoulême najdłużej udawało się panować nad rozszalałym koniem, ale wreszcie i ona wylądowała na ziemi, a koń uciekł, o mało co nie tratując wstającej Milvy.

I wówczas dokładniej zobaczyli to coś, co na nich szło. I całkiem, ale to całkiem przestali się dziwić panice zwierząt.

Stwór przypominał gigantyczne drzewo, rosochaty wiekowy dąb – a może i był dębem. Ale bardzo nietypowym dębem. Miast stać sobie gdzieś na polanie wśród opadłych liści i żołędzi, miast pozwalać biegać po sobie wiewiórkom i srać na siebie makolągwom, ten dąb raźno maszerował lasem, miarowo tupał grubaśnymi korzeniskami i wymachiwał konarami. Pękaty pień – lub tułów – potwora miał na oko ze dwa sążnie średnicy, a ziejąca w nim dziupla nie była chyba jednak dziuplą, ale paszczą, bo kłapała z odgłosem przypominającym trzaskanie ciężkimi drzwiami.

Choć pod jego straszliwym ciężarem ziemia dygotała w sposób komplikujący utrzymanie równowagi, stwór sadził przez wądoły nad podziw zwinnie. I nie robił tego bez celu.

Na ich oczach potwór zamachał konarami, świsnął gałęziami i wyłowił z wykrotu ukrywającego się tam bandytę, równie zręcznie, jak bocian wyławia skrytą wśród traw żabę. Opleciony gałęziami opryszek zawisł wśród konarów, wyjąc, aż litość brała. Geralt zobaczył, że potwór niósł już trzech w podobny sposób schwytanych zbójców. I jednego Nilfgaardczyka.

– Uciekajcie... – wystękał, nadaremnie usiłując wstać. Miał odczucie, jakby w kolano ktoś rytmicznymi uderzeniami młota wbijał mu rozpalony do białości gwóźdź. – Milva... Angoulême... Uciekajcie...

– Nie zostawimy cię!

Dębopotwór usłyszał ich, przytupnął radośnie korzeniami i popędził w ich stronę. Angoulême, nadaremnie próbując podnieść Geralta, zaklęła w sposób wyjątkowo szkaradny. Milva drżącymi rękoma usiłowała osadzić strzałę na cięciwie. Całkiem bezsensownie.

– Uciekajcie!

Było za późno. Dębopotwór już był przy nich. Sparaliżowani grozą, widzieli teraz dokładnie jego łup, czterech zbójców, wiszących w oplocie gałęzi. Dwóch żyło, bo wydawali z siebie ochrypłe skrzeki i wierzgali nogami. Trzeci, chyba zemdlony, zwisał bezwładnie. Potwór w oczywisty sposób starał się chwytać żywcem. Ale z czwartym schwytanym mu nie wyszło, chyba przez nieuwagę zbyt mocno ścisnął – co dało się miarkować po wybałuszonych oczach ofiary i języku, wywalonym daleko, aż na zapaprany krwią i wymiociną podbródek.

W następnej sekundzie wisieli już w powietrzu, opleceni gałęziami, wszyscy troje drąc się wniebogłosy.

– Paś, paś, paś – usłyszeli z dołu, od strony korzeni. – Paś, paś, Drzewko.

Za dębopotworem, lekko poganiając go liściastą witką, kroczyła młoda druidka w białej szacie i kwietnym wianuszku na głowie.

– Nie krzywdź, Drzewko, nie ściskaj. Delikatnie. Paś, paś, paś.

– Nie jesteśmy zbójcami... – zastękał z góry Geralt, z ledwością dobywając głosu z miażdżonej oplotem konara piersi. – Każ mu, by nas puścił... Jesteśmy niewinni...

– Wszyscy tak mówią. – Druidka odpędziła motylka, krążącego nad jej brwią. – Paś, paś, paś.

– Posikałam się... – zajęczała Angoulême. – Psiakrew, posikałam się!

Milva tylko zacharczała. Głowa opadła jej na pierś. Geralt zaklął plugawie. Było to jedyne, co mógł zrobić.

Poganiany przez druidkę dębopotwór raźno pobiegł lasem. Podczas tego biegu wszyscy – ci, którzy byli przytomni – dzwonili zębami w rytm podskoków stwora. Aż szło echo.

Po niedługim czasie znaleźli się na obszernej polanie. Geralt zobaczył grupę biało odzianych druidów, a obok nich drugiego dębopotwora. Ten drugi miał słabszy połów – z jego konarów zwisało tylko trzech bandytów, z tego żył chyba tylko jeden.

– Przestępcy, zbrodniarze, ludzie niegodziwi! – przemówił z dołu jeden z druidów, starzec wsparty na długim posochu. – Przyjrzyjcie się dobrze. Popatrzcie, jaka kara spotyka w Lesie Myrkvid zbrodniarzy i niegodziwców. Przypatrzcie się i zapamiętajcie. Wypuścimy was, byście mogli o tym, co za chwilę ujrzycie, opowiedzieć innym. Na przestrogę!

Na samym środku polany piętrzył się wielki stos bierwion i chrustu, a na stosie, wsparta drągami, stała upleciona z wikliny klatka mająca kształt wielkiej pałubowatej kukły. Klatka pełna była wrzeszczących i szamoczących się ludzi. Wiedźmin wyraźnie słyszał żabie, ochrypłe od zgrozy skrzeki rozbójnika Słowika. Widział białą jak płótno i wykrzywioną panicznym strachem twarz półelfa Schirrú, przyprasowaną do wiklinowych splotów.

– Druidzi! – wrzasnął Geralt, mobilizując do tego wrzasku wszystkie siły, by być słyszanym wśród ogólnego rejwachu. – Pani flaminiko! Jestem wiedźmin Geralt!

– Słucham? – odezwała się z dołu wysoka i chuda kobieta z włosami koloru szarej stali, opadającymi na plecy, ściśniętymi na czole wiankiem z jemioły.

– Jestem Geralt... Wiedźmin... Przyjaciel Emiela Regisa...

– Powtórz, bo nie dosłyszałam.

– Geraaaaalt! Przyjaciel wampiiiiira!

– Ach! Trzeba było tak od razu!

Na dany przez stalowowłosą druidkę znak dębopotwór postawił ich na ziemi. Niezbyt delikatnie. Upadli, żadne nie mogło wstać o własnych siłach. Milva była nieprzytomna, krew ciekła jej z nosa. Geralt podniósł się z trudem, ukląkł nad nią.

Stalowowłosa flaminika stanęła obok, chrząknęła. Twarz miała bardzo szczupłą, chudą wręcz, budzącą nieprzyjemne skojarzenia z trupią czaszką obciągniętą skórą. Jej błękitne jak bławatki oczy były miłe i łagodne.

– Ma chyba połamane żebra – powiedziała, patrząc na Milvę. – Ale zaraz temu zaradzimy. Nasi uzdrowiciele niezwłocznie udzielą jej pomocy. Ubolewam nad tym, co się stało. Ale skąd mogłam wiedzieć, kim jesteście? Nie zapraszałam was do Caed Myrkvid i nie udzielałam zgody na wejście do naszego sanktuarium. Emiel Regis ręczył za was, co prawda, ale obecność w naszym lesie wiedźmina, płatnego mordercy żywych stworzeń...

– Wyniosę się stąd bez chwili zwłoki, czcigodna flaminiko – zapewnił Geralt. – Gdy tylko...

Urwał, widząc druidów z zapalonymi łuczywami, podchodzących do stosu i pełnej ludzi wiklinowej kukły.

– Nie! – krzyknął, zaciskając pięści. – Stójcie!

– Ta klatka – powiedziała flaminika, jakby go nie słysząc – miała początkowo służyć jako zimowy paśnik dla głodującej zwierzyny, miała stać w lesie napełniona sianem. Ale gdy schwytaliśmy tych łotrów, przypomniałam sobie wredne plotki i kalumnie, które o nas ludzie rozpowiadają. Dobrze, pomyślałam, będziecie mieli waszą Wiklinową Babę. Samiście ją wyssali z palca, jako budzący zgrozę koszmar, to ja wam ten koszmar zafunduję...

– Każ im się wstrzymać – wydyszał wiedźmin. – Czcigodna flaminiko... Nie podpalajcie... Jeden z tych bandytów ma ważne dla mnie informacje...

Flaminika splotła ręce na piersi. Jej bławatkowe oczy nadal były miękkie i łagodne.

– O, nie – powiedziała sucho. – Nic z tego. Ja nie wierzę w instytucję świadka koronnego. Wymigiwanie się od kary jest niemoralne.

– Stać! – wrzasnął wiedźmin. – Nie podkładać ognia! Sta...

Flaminika wykonała ręką krótki gest, a Drzewko, wciąż stojące w pobliżu, zatupało korzeniami i położyło wiedźminowi konar na ramieniu. Geralt usiadł, i to z rozmachem.

– Podkładać ogień! – rozkazała flaminika. – Przykro mi, wiedźminie, ale tak być musi. My, druidzi, cenimy i czcimy życie pod każdą postacią. Ale darowywanie życiem zbrodniarzy jest zwykłą głupotą. Zbrodniarzy odstrasza wyłącznie groza. Damy im więc przykład grozy. Wielką nadzieję pokładam w tym, że nie będę musiała tego przykładu powtarzać.

Chrust zajął się błyskawicznie, stos buchnął dymem i ożył płomieniami. Dobiegające z Wiklinowej Baby ryki i wrzaski podnosiły włosy na głowie. Oczywiście nie było to możliwe we wzmaganej trzaskiem ognia kakofonii, ale Geraltowi zdawało się, że rozróżnia rozpaczliwe skrzeki Słowika i wysokie, pełne bólu krzyki półelfa Schirrú.

Miał rację, pomyślał. Śmierć nie zawsze jest taka sama.

A potem – po czasie jednak makabrycznie długim – stos i Wiklinowa Baba litościwie eksplodowały piekłem huczącego ognia, ognia, w którym nie mogło przetrwać nic.

– Twój medalion, Geralt – powiedziała stojąca obok niego Angoulême.

– Słucham? – odchrząknął, bo gardło miał ściśnięte. – Co mówiłaś?

– Twój srebrny medalion z wilkiem. Schirrú go miał. Teraz już go straciłeś na amen. Stopił się w tym żarze.

– Trudno – powiedział po chwili, patrząc w bławatkowe oczy flaminiki. – Nie jestem już wiedźminem. Przestałem być wiedźminem. Na Thanedd, w Wieży Mewy. W Brokilonie. Na moście nad Jarugą. W jaskini pod Gorgoną. I tutaj, w Lesie Myrkvid. Nie, ja już nie jestem wiedźminem. Będę się więc musiał nauczyć obywać bez wiedźmińskiego medalionu.

Król bezgranicznie kochał swą małżonkę, królową, a ona całym sercem kochała jego. Coś takiego musiało skończyć się nieszczęściem.

Flourens Delannoy, *Bajki i klechdy*

***Delannoy**, Flourens, językoznawca i historyk, * 1432 w Vicovaro, w latach 1460–1475 sekretarz i bibliotekarz na dworze cesarskim. Niestrudzony badacz legend i baśni ludowych, autor wielu rozpraw uważanych za pomniki dawnego języka i literatury północnych regionów Imperium. Z dzieł jego najważniejsze są: „Mity i legendy ludów Północy", „Bajki i klechdy", „Niespodzianka albo mit Starszej Krwi", „Saga o wiedźminie", oraz „Wiedźmin i wiedźminka, czyli nieustające poszukiwanie". Od roku 1476 profesor akademii w Castell Graupian, gdzie † 1510.*

Effenberg i Talbot,
Encyclopaedia Maxima Mundi, tom IV

Rozdział ósmy

Wicher dął od morza, łopotał żaglami, mżawka boleśnie, niby drobniutki grad, cięła w twarz. Woda w Wielkim Kanale była ołowiana, zmarszczona wiatrem, upstrzona wysypką dżdżu.

– Tędy, panie, pozwólcie. Łódź czeka.

Dijkstra westchnął ciężko. Miał już serdecznie dosyć podróży morskiej, uradowało go te kilka chwil, gdy czuł pod nogami twardy i stabilny kamień nabrzeża, szlag go trafiał na myśl o konieczności wkroczenia znowu na chybotliwy pokład. Ale co było robić – Lan Exeter, zimowa stolica Koviru, różniła się w sposób zasadniczy od innych stolic świata. W porcie Lan Exeter przybywający morzem podróżni wysiadali ze statków na kamienne keje tylko po to, by natychmiast przesiąść się na następną jednostkę pływającą – smukłą wielowiosłową łódź z wysoko zadartym dziobem i niewiele niższą rufą. Lan Exeter było zbudowane na wodzie, w szerokim ujściu rzeki Tango. Zamiast ulic miasto miało kanały – a cała komunikacja miejska dokonywała się na łodziach.

Wsiadł do łodzi, przywitawszy się z redańskim ambasadorem oczekującym na niego przy trapie. Odbito od kei, wiosła równo uderzyły o wodę, łódź ruszyła, nabrała szybkości. Redański ambasador milczał.

Ambasador, pomyślał machinalnie Dijkstra. Od ilu lat Redania wysyła do Koviru ambasadorów? Od stu dwudziestu, góra. Już sto dwadzieścia lat Kovir i Poviss są dla Redanii zagranicą. A przecież nie zawsze były.

Krainy położone na północy, nad Zatoką Praksedy, Redania z dawien dawna traktowała jak swe własne lenno. Kovir i Poviss były – jak to się mówiło na dworze tretogorskim – apanażem w oprawie koronnej. Kolejni rządzący tam hrabiowie apanażyści zwani byli Trojdenidami, wywodzili się bowiem – lub twierdzili, że się wywodzą – od wspólnego przodka, Trojdena. Ówże princ Trojden był rodzonym bratem króla Redanii Radowida I, tego nazwanego później Wielkim. Już w młodości był ów Trojden typem obleśnym i wyjątkowo wrednym. Strach brał, gdy się pomyślało, że z latami się rozwinie. Król Radowid – nie będący pod tym względem wyjątkiem – brata nienawidził jak morowej zarazy. Mianował go więc hrabią apanażystą Koviru – by się go pozbyć, odsunąć jak najdalej od siebie. A dalej niż Kovir nie dało się.

Hrabia apanażysta Trojden był formalnie wasalem Redanii, ale wasalem nietypowym – nie ponoszącym żadnych ciężarów ani powinności lennych. Ba, nie musiał składać nawet ceremonialnej przysięgi lenniczej, zażądano od niego wyłącznie tak zwanej obietnicy nieszkodzenia. Jedni mówili, że Radowid zwyczajnie się zlitował – wiedząc, że kovirskiej „oprawy koronnej" nie stać ni na daninę, ni na służebność. Inni zaś utrzymywali, że Radowid po prostu nie chciał na oczy oglądać hrabiego apanażysty – mdliło go na samą myśl, że braciszek może osobiście zjawić się w Tretogorze z pieniędzmi lub z pomocą wojskową. Jak było naprawdę, nikt nie wiedział, ale jak było, tak zostało. Długie lata po śmierci Radowida I w Redanii nadal obowiązywało prawo promulgowane za czasów wielkiego króla. Po pierwsze: hrabstwo Koviru jest wasalem, ale nie musi ani płacić, ani służyć. Po drugie: apanaż kovirski jest dobrem martwej ręki, a sukcesja jest w wyłącznej gestii domu Trojdenidów. Po trzecie: Tretogor nie miesza się do spraw domu Trojdenidów. Po czwarte: członków domu Trojdenidów nie zaprasza się do Tretogoru na uroczystości obchodów świąt państwowych. Po piąte: ani z żadnych innych okazji.

O tym, co na Północy się dzieje, mało kto w sumie wiedział i mało kogo to interesowało. Do Redanii dochodziły – głównie okrężną drogą, przez Kaedwen – wieści o konfliktach hrabstwa kovirskiego z pomniejszymi północnymi władykami. O przymierzach i wojnach – z Hengfors, Malleore, Creyden, Talgarem i innymi kraikami o trudnych do zapamiętania nazwach. Ktoś tam kogoś podbijał i wchłaniał, ktoś z kimś łączył się w dynastycznym związku, ktoś kogoś pogromił i zhołdował – w sumie nie bardzo było wiadomo, kto, kogo i dlaczego.

Wieści o wojnach i walkach zwabiły jednak na Północ całe mrowie zabijaków, awanturników, łowców przygód i innych niespokojnych duchów szukających łupu i możliwości wyżycia się. Ciągnęli tacy ze wszystkich stron świata, nawet z krajów tak odległych, jak Cintra czy Rivia. Przede wszystkim jednak byli to obywatele Redanii i Kaedwen. Zwłaszcza z Kaedwen szły do Koviru całe komuniki jazdy – plotka rozgłosiła nawet, że na czele jednego pojechała osławiona Aideen, buntownicza nieślubna córka kaedweńskiego monarchy. W Redanii mówiło się nawet, że na dworze w Ard Carraigh rodzą się zamysły aneksji północnego hrabstwa i oderwania go od redańskiej korony. Ktoś tam zaczął nawet wrzeszczeć o potrzebie zbrojnej interwencji.

Tretogor jednak demonstracyjnie oznajmił, że Północ go nie interesuje. Jak uznali królewscy juryści, obowiązuje zasada wzajemności – apanaż kovirski nie ponosi żadnych powinności wobec Korony, tedy Korona nie udziela pomocy Kovirowi. Tym bardziej, że Kovir o żadną pomoc nigdy nie prosił.

Tymczasem z toczonych na północy wojen Kovir i Poviss podniosły się silniejsze i potężniejsze. Mało kto wówczas o tym wiedział. Wyraźniejszym sygnałem rosnącej potęgi Północy był coraz aktywniejszy eksport. O Kovirze przez dziesiątki lat mawiano, że jedynym bogactwem tej krainy jest piach i morska woda. Dowcip przypomniano sobie, gdy produkcja kovirskich hut i salin praktycznie zmonopolizowała światowy rynek szkła i soli.

Ale choć setki ludzi pijały ze szklanic ze znakiem kovirskich hut i soliły zupę povisską solą, wciąż był to w świadomości ludzkiej kraj niebywale odległy, niedostępny, surowy i nieprzyjazny. I przede wszystkim inny.

W Redanii i Kaedwen zamiast „do wszystkich diabłów” mówiło się: „przegonić kogoś do Poviss”. Jak się wam u mnie nie podoba, mawiał mistrz do krnąbrnych czeladników, to wolna droga do Koviru. Nie

będzie tu kovirskich porządków, krzyczał profesor na niesfornie rozdyskutowanych żaków. Do Poviss idź się mądrzyć, wołał rolnik do syna krytykującego pradziadowe radło i żarowy system uprawy.

Komu się nie podobają odwieczne porządki, wolna droga do Koviru!

Adresaci tych wypowiedzi pomału, pomaleńku jęli się zastanawiać i wkrótce zauważyli, że faktycznie, drogi do Koviru i Poviss nic, ale to absolutnie nic nie tarasuje. Na północ ruszyła druga fala emigracji. Tak jak i poprzednia, fala ta głównie składała się z niezadowolonych cudaków, którzy różnili się i chcieli inaczej. Ale tym razem nie byli to skłóceni z życiem i nigdzie nie pasujący awanturnicy. Przynajmniej nie jedynie.

Na północ pociągnęli uczeni, którzy wierzyli w swe teorie, choć teorie te okrzyczano za nierealne i wariackie. Technicy i konstruktorzy, przekonani, że wbrew powszechnej opinii da się jednak zbudować wykoncypowane przez uczonych maszyny i urządzenia. Czarodzieje, dla których stosowanie magii do stawiania falochronów nie było świętokradczym despektem. Kupcy, dla których perspektywa rozwoju obrotu zdolna była rozsadzić sztywne, statyczne i krótkowzroczne granice ryzyka. Rolnicy i hodowcy, przekonani, że nawet z najgorszych gruntów można zrobić dające urodzaj pola, że zawsze da się wyhodować odmiany zwierząt, którym dany klimat służy.

Na północ pociągnęli także górnicy i geologowie, dla których surowość dzikich gór i skał Koviru stanowiła nieomylny sygnał, że jeśli na wierzchu taka bieda, to pod spodem musi być bogactwo. Natura kocha bowiem równowagę.

Pod spodem było bogactwo.

Minęło ćwierć wieku – i Kovir wydobywał tyle kopalin, ile Redania, Aedirn i Kaedwen razem wzięte. Wydobyciem i przeróbką rud żelaza Kovir ustępował tylko Mahakamowi, ale do Mahakamu szły z Koviru transporty metali służących do wykonywania stopów. Na Kovir i Poviss przypadała ćwiartka światowego wydobycia kruszców srebra, niklu, ołowiu, cyny i cynku, połowa wydobycia kruszców miedzi i miedzi rodzimej, trzy czwarte wydobycia kruszców manganu, chromu, tytanu i wolframu, tyleż wydobycia metali występujących tylko w postaci rodzimej: platyny, ferroaurum, kryobelitu i dwimerytu.

I ponad osiemdziesiąt procent światowego wydobycia złota.

Złota, za które Kovir i Poviss kupowały to, co na Północy nie rosło i nie chowało się. I to, czego Kovir i Poviss nie produkowały. Nie dlatego, że nie mogły czy nie umiały. Nie opłacało się. Rzemieślnik z Koviru czy Poviss, syn lub wnuk przybyłego tu z tobołkiem na plecach imigranta, zarabiał teraz czterokrotnie więcej niż jego konfrater w Redanii czy Temerii.

Kovir handlował i chciał handlować z całym światem, na coraz większą skalę. Nie mógł.

Królem Redanii został Radowid III, którego z Radowidem Wielkim, jego pradziadem, łączyło imię – a także chytrość i skąpstwo. Król ten, przez pochlebców i hagiografów nazywany Śmiałym, a przez wszystkich innych Ryżym, zauważył to, czego przed nim nikt jakoś zauważać nie chciał. Dlaczego z gigantycznego handlu, który prowadzi Kovir, Redania nie ma ani szeląga? Przecież Kovir to tylko nic nie znaczące hrabstwo, lenno, mały klejnocik w redańskiej koronie. Czas, by kovirski wasal zaczął służyć suzerenowi!

Zdarzyła się po temu świetna okazja – Redania miała zatarg graniczny z Aedirn, chodziło jak zwykle o Dolinę Pontaru. Radowid III zdecydowany był wystąpić zbrojnie i zaczął się do tego przygotowywać. Promulgował specjalny podatek na cele wojenne, nazwany „pontarską dziesięciną". Mieli go zapłacić wszyscy poddani i wasale. Wszyscy. Apanaż kovirski również. Ryży zacierał ręce – dziesięć procent od dochodów Koviru to było coś!

Do Pont Vanis, o którym mniemano, że to mały gródek z drewnianym ostrokołem, udali się redańscy posłowie. Gdy wrócili, zakomunikowali Ryżemu zaskakujące wieści.

Pont Vanis nie jest gródkiem. Jest ogromnym miastem, letnią stolicą królestwa Koviru, którego władca, król Gedovius, śle niniejszym królowi Radowidowi odpowiedź następującą:

Królestwo Koviru nie jest niczyim wasalem. Pretensje i roszczenia Tretogoru są bezzasadne i opierają się na martwej literze prawa, które nigdy nie miało mocy. Królowie z Tretogoru nigdy nie byli suwerenami władców Koviru, bo władcy Koviru – co łatwo sprawdzić w annałach – nigdy nie płacili Tretogorowi trybutu, nigdy nie pełnili wojennych służebności, a co najważniejsze – nigdy nie byli zapraszani na uroczystości świąt państwowych. Ani żadnych innych.

Gedovius, król Koviru – przekazali posłowie – żałuje, ale nie może uznać króla Radowida za seniora i suzerena ani tym bardziej płacić mu dziesięcin. Nie może też tego uczynić nikt z kovirskich wasali ani arierwasali, podlegających wyłącznie pod kovirski seniorat.

Jednym słowem: niechże Tretogor pilnuje swego nosa i nie wtyka go w sprawy Koviru, niezawisłego królestwa.

W Ryżym wezbrał zimny gniew. Niezawisłe królestwo? Zagranica? Dobrze. Postąpimy z Kovirem jak z domeną cudzoziemską.

Redania i poduszczone przez Ryżego Kaedwen i Temeria zastosowały wobec Koviru retorsyjne cła i bezwzględne prawo składu. Kupiec z Koviru, ciągnący na Południe, musiał, chciał czy nie chciał, cały swój towar wystawić na sprzedaż w którymś z redańskich miast i sprzedać go – lub zawrócić. Ten sam przymus spotykał kupca z dalekiego Południa, zmierzającego do Koviru.

Od towarów, które Kovir transportował morzem, nie zawijając do redańskich czy temerskich portów, Redania zażądała zbójeckich ceł. Statki kovirskie, rzecz jasna, płacić nie chciały – płaciły tylko te, którym nie udało się uciec. W rozpoczętej na morzu zabawie w kotka i myszkę rychło doszło do incydentu. Patrolowiec redański próbował aresztować kovirskiego kupca, zjawiły się dwie kovirskie fregaty, patrolowiec spłonął. Były ofiary.

Miarka się przebrała. Radowid Ryży postanowił nauczyć moresu nieposłusznego wasala. Czterotysięczna armia Redanii sforsowała rzekę Braa, a ekspedycyjny korpus z Kaedwen wkroczył do Caingorn.

Po tygodniu dwa tysiące ocalałych Redańczyków forsowało Braa w drugą stronę, a nędzne niedobitki kaedweńskiego korpusu wlokły się do domu przełęczami Gór Pustulskich. Wyjawił się kolejny cel, któremu posłużyło złoto północnych gór. Stałą armię Koviru stanowiło dwadzieścia pięć tysięcy zaprawionych w bojach – i rozbojach – zawodowców, ściągniętych z najdalszych zakątków świata kondotierów, bezgranicznie wiernych kovirskiej Koronie za niebywale szczodry żołd i zagwarantowaną kontraktem emeryturę. Gotowych na każdy hazard dla niebywale szczodrej premii, wypłacanej za każdą wygraną bitwę. Tych bogatych żołnierzy wiedli zaś do boju doświadczeni, zdolni – i obecnie bardzo bogaci – dowódcy, których Ryży i król Benda z Kaedwen znali świetnie – byli to ci sami, którzy

wcale nie tak dawno służyli w ich własnych armiach, ale niespodziewanie przeszli w stan spoczynku i wyjechali za granicę.

Ryży nie był głupcem i umiał uczyć się na błędach. Uśmierzył buńczucznych generałów domagających się krucjaty, nie dał ucha kupcom żądającym głodowej blokady, ugłaskał Bendę z Kaedwen, żądnego krwi i zemsty za zagładę swej elitarnej jednostki. Ryży zainicjował rokowania. Nie powstrzymało go nawet upokorzenie, gorzka pigułka, którą przyszło przełknąć – Kovir godził się na rozmowy, ale u siebie, w Lan Exeter. Koza musiała przyjść do woza.

Płynęli wówczas do Lan Exeter jak petenci, pomyślał Dijkstra, otulając się płaszczem. Jak uniżeni suplikanci. Zupełnie jak ja dzisiaj.

Redańska eskadra wpłynęła do Zatoki Praksedy i skierowała się ku kovirskiemu wybrzeżu. Z pokładu flagowego okrętu „Alata" Radowid Ryży, Benda z Kaedwen i towarzyszący im w roli mediatora hierarcha Novigradu ze zdumieniem przyglądali się wybiegającym w morze falochronom, nad którymi wznosiły się mury i krępe basteje fortecy strzegącej dostępu do miasta Pont Vanis. A płynąc od Pont Vanis na północ, w stronę ujścia rzeki Tango, królowie widzieli porty przy portach, stocznie obok stoczni, przystanie obok przystani. Widzieli las masztów i kłującą oczy biel żagli. Kovir, jak się okazywało, miał już gotowe remedium na blokady, retorsje i wojny celne. Kovir był ewidentnie gotów do panowania nad morzami.

„Alata" wpłynęła w szerokie ujście Tango i rzuciła kotwicę w kamiennych szczękach awanportów. Ale królów, ku ich zdziwieniu, czekała jeszcze jedna podróż wodą. Miasto Lan Exeter nie miało ulic, lecz kanały. W tym będący główną arterią i osią metropolii Wielki Kanał, wiodący od portu wprost do monarszej rezydencji. Królowie przesiedli się na galery, udekorowane szkarłatno-złotymi girlandami i herbem, na którym Ryży i Benda ze zdumieniem rozpoznawali redańskiego orła i kaedweńskiego jednorożca.

Płynąc Wielkim Kanałem, królowie i ich świta rozglądali się i zachowywali milczenie. Właściwie należałoby powiedzieć, że ich zatkało. Mylili się, sądząc, że wiedzą, co to jest bogactwo i przepych, że nie można ich zaskoczyć przejawami dostatku i żadną demonstracją luksusu.

Płynęli Wielkim Kanałem, mijając imponujący gmach Admiralicji i siedzibę Gildii Kupieckiej. Płynęli wzdłuż promenad, wypełnionych

kolorowym i dostatnio odzianym tłumem. Płynęli w szpalerze wspaniałych magnackich pałacyków i kupieckich kamieniczek, odbijających się w wodzie Kanału tęczą przepysznie zdobionych, acz niebywale wąskich ścian frontowych. W Lan Exeter płaciło się bowiem podatek od frontu domu – im front szerszy, tym podatek progresywnie wyższy.

Na dotykających Kanału schodach pałacu Ensenada, monarszej rezydencji zimowej, jedynego budynku o szerokim froncie, oczekiwał już komitet powitalny i królewska para: Gedovius, władca Koviru i jego małżonka, Gemma. Para przywitała przybyłych dwornie, grzecznie... i nietypowo. Drogi stryjaszku, zwrócił się Gedovius do Radowida. Kochany dziadku, uśmiechnęła się do Bendy Gemma. Gedovius był wszakże Trojdenidą. Gemma zaś, jak się okazało, wiodła swój ród od zbiegłej z Kaedwen buntowniczej Aideen, w żyłach której płynęła krew królów z Ard Carraigh.

Udowodnione pokrewieństwo poprawiło nastroje i wzbudziło sympatię, ale w rokowaniach nie pomogło. W zasadzie to, co nastąpiło, to nie były żadne rokowania. „Dzieci" powiedziały krótko, czego żądają. „Dziadkowie" wysłuchali. I podpisali dokument, przez potomnych nazwany Pierwszym Traktatem Exeterskim. Dla odróżnienia od zawartych później, Pierwszy Traktat nosi też nazwę zgodną z pierwszymi słowami jego preambuły: Mare Liberum Apertum.

Morze jest wolne i otwarte. Handel jest wolny. Zysk jest święty. Kochaj handel i zysk bliźniego jak swój własny. Utrudnianie komuś handlowania i osiągania zysku jest łamaniem praw natury. A Kovir nie jest niczyim wasalem. Jest niezawisłym, samorządnym – i neutralnym królestwem.

Nie wyglądało, by Gedovius i Gemma zechcieli – dla samej choćby grzeczności – uczynić choć jedno, choćby najmniejsze ustępstwo, coś, co uratowałoby honor Radowida i Bendy. Ale jednak zrobili to. Zgodzili się, aby Radowid Ryży – dożywotnio – używał w oficjalnych dokumentach tytułu króla Koviru i Poviss, a Benda – dożywotnio – tytułu króla Caingorn i Malleore.

Oczywista, z zastrzeżeniem *de non preiudicando*.

Gedovius i Gemma panowali przez dwadzieścia pięć lat; na ich synu, Gerardzie, skończyła się królewska gałąź Trojdenidów. Na tron kovirski wstąpił Esteril Thyssen. Założyciel domu Thyssenidów.

W niedługim czasie związani więzami krwi ze wszystkimi pozostałymi dynastiami świata królowie Koviru niezłomnie przestrzegali Traktatów Exeterskich. Nigdy nie mieszali się do spraw sąsiadów. Nigdy nie podnosili spraw obcej sukcesji – choć nieraz zawirowania dziejowe sprawiały, że król czy królewicz kovirski miał wszelkie podstawy uważać się za prawnego sukcesora tronu Redanii, Aedirn, Kaedwen, Cidaris lub nawet Verden czy Rivii. Nigdy potężny Kovir nie próbował aneksji terytorialnych ani podbojów, nie wysyłał uzbrojonych w katapulty i balisty kanonierek na cudze wody terytorialne. Nigdy nie uzurpował sobie przywileju „rządu nad falami". Kovirowi wystarczało Mare Liberum Apertum, morze wolne i otwarte dla handlu. Kovir wyznawał świętość handlu i zysku.

I absolutną, niezachwianą neutralność.

Dijkstra postawił bobrowy kołnierz płaszcza, chroniąc kark przed wiatrem i siekącymi kropelkami deszczu. Rozejrzał się, wyrwany z rozmyślań. Woda w Wielkim Kanale wydawała się czarna. W ślągwie i mgle nawet będący chlubą Lan Exeter budynek Admiralicji wyglądał jak koszary. Nawet kupieckie kamieniczki straciły swój zwykły przepych – a ich wąskie fronty wydawały się węższe niż normalnie. A może i są, cholera, węższe, pomyślał Dijkstra, jeśli król Esterad podwyższył podatek, chytrusy kamienicznicy mogli zwęzić domy.

– Dawno u was taka zadżumiona pogoda, ekscelencjo? – spytał, aby spytać, aby przerwać denerwującą ciszę.

– Od połowy września, hrabio – odrzekł ambasador. – Od pełni. Zanosi się na wczesną zimę. W Talgarze spadły już śniegi.

– Myślałem – powiedział Dijkstra – że w Talgarze śniegi nie topnieją nigdy.

Ambasador spojrzał na niego, jakby upewniając się, że to był żart, a nie ignorancja.

– W Talgarze – sam popisał się dowcipem – zima zaczyna się we wrześniu, a kończy w maju. Pozostałe pory roku to wiosna i jesień. Jest także lato... zazwyczaj wypada w pierwszy wtorek po sierpniowym nowiu. I trwa aż do środy rano.

Dijkstra nie zaśmiał się.

– Ale nawet tam – spochmurniał ambasador – śnieg w końcu października jest ewenementem.

Ambasador, jak większość redańskiej arystokracji, nie znosił Dijkstry. Konieczność goszczenia i podejmowania arcyszpiega uważał za osobisty despekt, a fakt, że Rada Regencyjna zleciła negocjacje z Kovirem Dijkstrze, a nie jemu, za śmiertelną obelgę. Mierziło go, że on, de Ruyter z tej najsławniejszej gałęzi rodu de Ruyterów, grafów od dziewięciu pokoleń, musi tytułować hrabią tego chama i parweniusza. Ale jako wytrawny dyplomata mistrzowsko krył się z resentymentem.

Wiosła wznosiły się i opadały miarowo, łódź szparko sunęła po Kanale. Minęli właśnie maleńki, ale wielce gustowny pałacyk Kultury i Sztuki.

– Płyniemy do Ensenady?

– Tak, hrabio – potwierdził ambasador. – Minister spraw zagranicznych dobitnie zaznaczył, że pragnie widzieć się z wami natychmiast po przybyciu, dlatego wiozę was wprost do Ensenady. Wieczorem zaś przyślę do pałacu łódź, albowiem chciałbym gościć was na wieczerzy...

– Ekscelencja raczy wybaczyć – przerwał Dijkstra – ale obowiązki nie pozwolą mi skorzystać. Spraw do załatwienia mam mnóstwo, a czasu mało, przychodzi gospodarować nim kosztem przyjemności. Powieczerzamy kiedy indziej. W szczęśliwszych, spokojniejszych czasach.

Ambasador ukłonił się i ukradkiem odetchnął z ulgą.

•

Do Ensenady, oczywista, dostał się tylnym wejściem. Z czego był bardzo rad. Do głównego wejścia zimowej monarszej rezydencji, pod wspaniały, wsparty na smukłych kolumnach fronton, wiodły wprost od Wielkiego Kanału imponujące, ale cholernie długie schody z białego marmuru. Schody prowadzące do jednego z licznych tylnych wejść były nieporównanie mniej efektowne, ale też i łatwiejsze do przebycia. Mimo tego Dijkstra, idąc, zagryzał wargi i klął pod nosem cicho, tak, by nie słyszeli eskortujący go gwardziści, lokaje i majordomus.

Wewnątrz pałacu czekały dalsze schody i dalsza wspinaczka. Dijkstra znowu zaklął półgłosem. Zapewne to wilgoć, zimno i niewygodna pozycja w łodzi sprawiły, że noga w zgruchotanej i magicznie wyleczonej kostce zaczęła przypominać się tępym, złośliwym bólem. I złym wspomnieniem. Dijkstra zgrzytnął zębami. Wiedział, że winnemu

jego cierpienia wiedźminowi również połamano kości. Żywił głęboką nadzieję, że wiedźmina też w nich rwie, i życzył mu w duchu, by rwało jak najdłużej i jak najdotkliwiej.

Na zewnątrz zapadł już zmrok, korytarze Ensenady były ciemne. Drogę, którą Dijkstra szedł za milczącym majordomem, oświetlał jednak rzadki szpaler lokajów ze świecznikami. A przed drzwiami komnaty, do której wiódł go majordomus, stali gwardziści z halabardami, wyprężeni i sztywni tak, jakby zapasowe halabardy mieli wetkane w tyłki. Lokaje ze świecami stali tu gęściej, jasność aż oczy kłuła. Dijkstra dziwił się nieco pompie, z jaką go witano.

Wszedł do komnaty i momentalnie przestał się dziwić. Skłonił się głęboko.

– Witaj nam, Dijkstra – powiedział Esterad Thyssen, król Koviru, Poviss, Naroku, Velhadu i Talgaru. – Nie stój przy drzwiach, pozwól tu, bliżej. Etykieta na bok, to nieoficjalna audiencja.

– Najjaśniejsza Pani.

Małżonka Esterada, królowa Zuleyka, lekko roztargnionym skinieniem głowy odpowiedziała na pełen czci ukłon Dijkstry, ani na moment nie przerywając szydełkowania.

Oprócz królewskiej pary w ogromnej komnacie nie było żywej duszy.

– Właśnie tak. – Esterad zauważył spojrzenie. – Pogadamy we czworo, przepraszam, w sześcioro oczu. Coś mi się bowiem zdaje, że tak będzie lepiej.

Dijkstra zasiadł na wskazanym karle, na wprost Esterada. Król miał na ramionach karmazynowy, obszyty gronostajami płaszcz, na głowie zaś pasujące do płaszcza aksamitne *chapeau*. Jak wszyscy mężczyźni z klanu Thyssenidów, był wysoki, potężnie zbudowany i zbójecko przystojny. Wyglądał zawsze krzepko i zdrowo, niby marynarz, który dopiero co wrócił z morza – wręcz czuło się od niego morską wodę i zimny słony wiatr. Jak u wszystkich Thyssenidów, dokładny wiek króla trudny był do określenia. Patrząc na włosy, cerę i dłonie – miejsca najdobitniej mówiące o wieku – Esteradowi można było dać czterdzieści pięć lat. Dijkstra wiedział, że król miał pięćdziesiąt sześć.

– Zuleyka – król pochylił się ku żonie. – Spójrz na niego. Gdybyś nie wiedziała, że to szpieg, dałabyś wiarę?

Królowa Zuleyka była niewysoka, raczej tęgawa i sympatycznie niełądna. Ubierała się na sposób dość typowy dla kobiet o jej urodzie,

polegający na takim dobieraniu elementów przyodziewy, by nikomu nie pozwolić odgadnąć, że nie jest się własną babką. Efekt ten Zuleyka osiągała nosząc suknie luźne, nijakie w kroju i utrzymane w szaroburej tonacji. Na głowę zakładała odziedziczony po antenatkach czepek. Nie stosowała żadnego makijażu i nie nosiła żadnej biżuterii.

– Dobra Księga – przemówiła cichym i milutkim głosikiem – uczy nas, byśmy zachowywali powściągliwość w osądzaniu bliźnich. Bo i nas kiedyś osądzą. I oby nie na podstawie wyglądu.

Esterad Thyssen obdarzył żonę ciepłym spojrzeniem. Powszechnie wiadomym było, że kochał ją bezgranicznie, miłością, która przez dwadzieścia dziewięć lat małżeństwa nie przygasła ni na jotę, przeciwnie, płonęła coraz jaśniej i goręcej. Esterad, jak twierdzono, nigdy nie zdradził Zuleyki. Dijkstra nie bardzo wierzył w coś tak nieprawdopodobnego, ale sam trzykrotnie próbował podstawiać – wręcz podkładać – królowi efektowne agentki, kandydatki na faworyty, wspaniałe źródła informacji. Nic z tego nie wyszło.

– Nie lubię owijać w bawełnę – powiedział król – dlatego z punktu zdradzę ci, Dijkstra, czemu zdecydowałem się osobiście z tobą porozmawiać. Przyczyn jest kilka. Po pierwsze, ja wiem, że ty nie cofasz się przed przekupstwem. W zasadzie pewien jestem moich urzędników, ale po co wystawiać ich na ciężkie próby, wodzić na pokuszenie? Jaką łapówkę miałeś zamiar zaproponować ministrowi spraw zagranicznych?

– Tysiąc novigradzkich koron – odparł bez zmrużenia oka szpieg. – Gdyby się targował, dojechałbym do tysiąca pięciuset.

– I za to cię lubię – powiedział po chwili milczenia Esterad Thyssen. – Straszny z ciebie skurwysyn. Przypominasz mi moją młodość. Patrzę na ciebie i widzę siebie w tym wieku.

Dijkstra podziękował ukłonem. Był od króla młodszy tylko o osiem lat. Był przekonany, że Esterad dokładnie to wie.

– Straszny z ciebie skurwysyn – powtórzył król, poważniejąc. – Ale porządny i przyzwoity skurwysyn. A to rzadkość w tych parszywych czasach.

Dijkstra ukłonił się ponownie.

– Widzisz – ciągnął Esterad – w każdym państwie spotkać można ludzi, którzy są ślepymi fanatykami idei społecznego ładu. Oddani tej idei, gotowi są dla niej na wszystko. Na zbrodnię również, albowiem cel

uświęca według nich środki i zmienia znaczenie pojęć. Oni nie mordują, oni ratują porządek. Oni nie torturują, nie szantażują: oni zabezpieczają rację stanu i walczą o ład. Życie jednostki, jeśli jednostka narusza dogmat ustalonego porządku, nie jest dla takich ludzi warte grosza i wzruszenia ramion. Tego, że społeczeństwo, któremu służą, składa się z właśnie z jednostek, ludzie tacy nie przyjmują do wiadomości. Tacy ludzie dysponują tak zwanym szerokim spojrzeniem... a spojrzenie takie to najpewniejszy sposób, by nie dostrzegać innych ludzi.

– Nicodemus de Boot – nie wytrzymał Dijkstra.

– Blisko, ale niecelnie – król Koviru wyszczerzył alabastrowo białe zęby. – To był Vysogota z Corvo. Mniej znany, ale też dobry etyk i filozof. Poczytaj, polecam. Może została u was jeszcze jakaś jego książka, może nie wszystkie spaliliście? No, ale do rzeczy, do rzeczy. Ty, Dijkstra, też bez skrupułów posługujesz się intrygą, przekupstwem, szantażem i torturami. Okiem nie mrugniesz, skazując kogoś na śmierć lub każąc skrytobójczo zamordować. To, że wszystko robisz dla królestwa, któremu wiernie służysz, nie usprawiedliwia cię i nie czyni w moich oczach sympatyczniejszym. Bynajmniej. Wiedz o tym.

Szpieg kiwnął głową na znak, że wie.

– Ty jednak – ciągnął Esterad – jesteś, jak się rzekło, skurwysynem prawego charakteru. I dlatego cię lubię i szanuję, dlatego udzieliłem ci prywatnej audiencji. Bo ty, Dijkstra, mając miliony okazji, nigdy w życiu nie zrobiłeś niczego dla prywaty i nie ukradłeś nawet szeląga z państwowej kasy. Nawet pół szeląga. Zuleyka, spójrz! Zarumienił się, czy mi się zdaje?

Królowa uniosła głowę znad robótki.

– Po modestii ich poznacie prawość ich – zacytowała ustęp z Dobrej Księgi, choć musiała widzieć, że na twarzy szpiega nie zagościł nawet ślad rumieńca.

– Dobra – rzekł Esterad. – Do rzeczy. Czas przejść do spraw państwowych. On, Zuleyko, przepłynął morze kierowany patriotycznym obowiązkiem. Redania, jego ojczyzna, jest zagrożona. Po tragicznej śmierci króla Vizimira panuje tam chaos. Redanią rządzi banda arystokratycznych idiotów, nazywająca się Radą Regencyjną. Banda ta, moja Zuleyko, nie uczyni dla Redanii nic. W obliczu zagrożenia ucieknie albo zacznie po psiemu łasić się do obszytych perłami ciżm nilfgaardzkiego cesarza. Banda ta pogardza Dijkstrą, bo to szpieg,

morderca, parweniusz i cham. Ale to Dijkstra przepłynął morze, by ratować Redanię. Demonstrując, komu naprawdę na Redanii zależy.

Esterad Thyssen zamilkł, sapnął, zmęczony przemową, poprawił karmazynowo-gronostajowe *chapeau*, które lekko osunęło mu się na nos.

– No, Dijkstra – podjął. – Co dolega twojemu królestwu? Oprócz braku pieniędzy, ma się rozumieć?

– Oprócz braku pieniędzy – twarz szpiega była jak z kamienia – to dziękuję, wszyscy zdrowi.

– Aha – król kiwnął głową, *chapeau* znowu osunęło mu się na nos i znowu trzeba było je poprawiać. – Aha. Pojmuję.

– Pojmuję – ciągnął. – I przyklaskuję idei. Gdy ma się pieniądze, można sobie kupić lekarstwo na każdą inną dolegliwość. Sęk w tym, by pieniądze mieć. Wy nie macie. Gdybyście mieli, to by cię tu nie było. Czy rozumuję prawidłowo?

– Bez zarzutu.

– A ileż to wam trzeba, ciekawość?

– Niewiele. Milion bizantów.

– Niewiele? – Esterad Thyssen przesadnym gestem chwycił się oburącz za *chapeau*. – To ma być niewiele? Aj, aj!

– Dla waszej królewskiej mości – bąknął szpieg – taka suma to wszakże drobiazg...

– Drobiazg? – Król puścił *chapeau* i wzniósł dłonie ku plafonowi. – Aj, aj! Milion bizantów to drobiazg, słyszysz, Zuleyka, co on mówi? A czy ty wiesz, Dijkstra, że mieć milion i nie mieć miliona, to razem dwa miliony? Ja rozumiem, ja pojmuję, że ty i Filippa Eilhart gwałtownie i gorączkowo poszukujecie koncepcji na obronę przed Nilfgaardem, ale co wy chcecie: cały Nilfgaard kupić, czy jak?

Dijkstra nie odpowiedział. Zuleyka szydełkowała zawzięcie. Esterad przez chwilę udawał, że podziwia gołe nimfy na plafonie.

– Chodź no – wstał nagle, skinął na szpiega.

Podeszli do olbrzymiego malowidła przedstawiającego króla Gedoviusa siedzącego na siwym koniu i berłem pokazującego wojsku coś nie mieszczącego się na płótnie, zapewne właściwy kierunek. Esterad wygrzebał z kieszeni malutką pozłacaną różdżkę, dotknął nią ramy obrazu, półgłosem wymówił zaklęcie. Gedovius i siwy koń znikli, pojawiła się plastyczna mapa znanego świata. Król dotknął różdżką

srebrnego guzika w rogu mapy i magicznie zmienił skalę, zawężając widoczną połać świata do Doliny Jarugi i Czterech Królestw.

– Niebieskie to Nilfgaard – wyjaśnił. – Czerwone to wy. Na co się gapisz? Tutaj patrz!

Dijkstra oderwał wzrok od innych obrazów – głównie aktów i scen marynistycznych. Zastanawiał się, który z nich był czarodziejskim kamuflażem dla innej osławionej mapy Esterada – tej, która obrazowała wojenny i handlowy wywiad Koviru, całą siatkę przekupionych informatorów i ludzi szantażowanych, konfidentów, kontaktów operacyjnych, dywersantów, najemnych morderców, agentów „uśpionych" i rezydentów czynnych. Wiedział, że taka mapa istnieje, od dawna bezskutecznie próbował znaleźć do niej dojście.

– Czerwone to wy – powtórzył Esterad Thyssen. – Kiepsko to wygląda, prawda?

Kiepsko, przyznał w myśli Dijkstra. Ostatnio bez przerwy oglądał mapy strategiczne, ale teraz, na plastycznej mapie Esterada, położenie zdawało się być jeszcze gorsze. Niebieskie kwadraciki układały się w kształt straszliwych smoczych szczęk, gotowych w każdej chwili capnąć i zgruchotać zębiskami biedne kwadraciki czerwone.

Esterad Thyssen rozejrzał się za czymś, co mogłoby służyć jako wskaźnik do mapy, wyciągnął wreszcie z najbliższego panoplia ozdobny rapier.

– Nilfgaard – rozpoczął wykład, pokazując rapierem co trzeba – zaatakował Lyrię i Aedirn, jako *casus belli* ogłaszając atak na pograniczny fort Glevitzingen. Nie będę dociekać, kto naprawdę napadł na Glevitzingen i w jakim przebraniu. Za pozbawione sensu uważam też domysły, o ile dni czy godzin zbrojna akcja Emhyra wyprzedziła analogiczne przedsięwzięcie Aedirn i Temerii. Zostawiam to historykom. Bardziej interesuje mnie sytuacja dzisiejsza i to, co będzie jutro. W tej chwili Nilfgaard stoi w Dol Angra i Aedirn, osłonięty buforem w postaci elfiego dominium w Dol Blathanna, graniczącym z tą częścią Aedirn, którą król Henselt z Kaedwen, mówiąc obrazowo, wyrwał Emhyrowi z zębów i sam zeżarł.

Dijkstra nie skomentował.

– Ocenę moralną akcji króla Henselta również zostawiam historykom – podjął Esterad. – Ale jednego spojrzenia na mapę wystarczy, by zobaczyć, że aneksją Północnej Marchii Henselt zagrodził Emhyrowi

drogę do Doliny Pontaru. Zabezpieczył flankę Temerii. A także i wam, Redańczykom. Powinniście mu podziękować.

– Podziękowałem – mruknął Dijkstra. – Ale po cichu. W Tretogorze gościmy króla Demawenda z Aedirn. A Demawend ma dość sprecyzowaną ocenę moralną postępku Henselta. Zwykł był ją wyrażać w krótkich a dźwięcznych słowach.

– Domyślam się – kiwnął głową król Koviru. – Zostawmy to chwilowo, spojrzyjmy na południe, na rzekę Jarugę. Atakując w Dol Angra, Emhyr jednocześnie zabezpieczył sobie flankę zawierając separatystyczny układ z Foltestem z Temerii. Ale natychmiast po zakończeniu działań bojowych w Aedirn cesarz bez ceregieli złamał pakt i uderzył na Brugge i Sodden. Swoimi tchórzliwymi rokowaniami Foltest zyskał dwa tygodnie pokoju. Dokładnie: szesnaście dni. A dziś mamy dwudziestego szóstego października.

– Mamy.

– Zaś stan na dwudziestego szóstego października jest następujący: Brugge i Sodden zajęte. Twierdze Razwan i Mayena padły. Armia Temerii pobita w bitwie pod Mariborem, odepchnięta na północ. Maribor oblężony. Dziś rano jeszcze się trzymał. Ale już mamy późny wieczór, Dijkstra.

– Maribor się utrzyma. Nilfgaardczycy nie zdołali go nawet szczelnie zamknąć.

– To prawda. Zaszli za daleko, zbytnio wyciągnęli linie zaopatrzenia, niebezpiecznie odsłaniają flanki. Przed zimą przerwą oblężenie, cofną się bliżej Jarugi, skrócą front. Ale co będzie wiosną, Dijkstra? Co będzie, gdy trawa wyjrzy spod śniegu? Zbliż się. Popatrz na mapę.

Dijkstra patrzył.

– Popatrz na mapę – powtórzył król. – Powiem ci, co wiosną zrobi Emhyr var Emreis.

•

– Wiosną zacznie się ofensywa na niespotykaną skalę – oznajmiła Carthia van Canten, poprawiając przed zwierciadłem swe złociste loki. – Och, wiem, że to informacja sama w sobie mało sensacyjna, przy każdej miejskiej studni baby umilają sobie pranie opowieściami o wiosennej ofensywie.

Assire var Anahid, wyjątkowo dziś rozdrażniona i zniecierpliwiona, zdołała jednak powstrzymać się od pytania, czemuż to zatem zawraca się jej głowę tak mało sensacyjnymi informacjami. Ale znała Cantarellę. Jeśli Cantarella zaczynała o czymś mówić, to miała powody. A wypowiedzi zwykła kończyć wnioskami.

– Ja jednak wiem trochę więcej od pospólstwa – podjęła Cantarella. – Vattier opowiedział mi wszystko, cały przebieg narady u cesarza. Do tego przyniósł do mnie całą teczkę map, gdy zasnął, obejrzałam je sobie... Mówić dalej?

– Ależ tak – zmrużyła oczy Assire. – Proszę, moja droga.

– Kierunek głównego uderzenia to oczywiście Temeria. Rubież rzeki Pontar, linia Novigrad-Wyzima-Ellander. Uderza Grupa Armii „Środek", pod dowództwem Menno Coehoorna. Flankę zabezpiecza Grupa Armii „Wschód", uderzająca z Aedirn na Dolinę Pontaru i Kaedwen...

– Na Kaedwen? – uniosła brwi Assire. – Czyżby zatem koniec kruchej przyjaźni, zawartej przy dzieleniu łupów?

– Kaedwen zagraża prawej flance – Carthia van Canten leciutko wydęła pełne wargi. Jej buzia laleczki pozostawała w strasznym kontraście do wypowiadanych strategicznych mądrości. – Uderzenie ma charakter prewencyjny. Wydzielone oddziały Grupy Armii „Wschód" mają związać wojsko króla Henselta i wybić mu z głowy ewentualną pomoc dla Temerii.

– Na zachodzie – podjęła blondynka – uderza Specjalna Grupa Operacyjna „Verden", z zadaniem opanowania Cidaris i szczelnego zamknięcia blokady Novigradu, Gors Velen i Wyzimy. Sztab generalny liczy się bowiem z koniecznością oblegania tych trzech twierdz.

– Nie wymieniłaś nazwisk dowódców obu Grup Armii.

– Grupa „Wschód", Ardal aep Dahy – uśmiechnęła się lekko Cantarella. – Grupa „Verden", Joachim de Wett.

Assire wysoko uniosła brwi.

– Ciekawe – powiedziała. – Dwaj książęta, obrażeni wykreśleniem ich córek z planów małżeńskich Emhyra. Nasz cesarz jest albo bardzo naiwny, albo bardzo sprytny.

– Jeżeli Emhyr coś wie o spisku książąt – powiedziała Cantarella – to nie od Vattiera. Vattier nic mu nie powiedział.

– Mów dalej.

– Ofensywa ma mieć skalę dotychczas nie spotykaną. Łącznie, licząc oddziały liniowe, rezerwy, służby pomocnicze i tyłowe, w operacji weźmie udział ponad trzysta tysięcy ludzi. I elfów, ma się rozumieć.

– Data rozpoczęcia?

– Nie ustalono. Sprawą kluczową jest zaopatrzenie, zaopatrzenie to przejezdność dróg, a nikt nie jest w stanie przewidzieć, kiedy skończy się zima.

– O czym jeszcze opowiedział Vattier?

– Żalił się, biedaczek – błysnęła ząbkami Cantarella. – Cesarz znowu go obsobaczył i zrugał. Przy ludziach. Znowu powodem było owo tajemnicze zniknięcie Stefana Skellena i całego jego oddziału. Emhyr publicznie nazwał Vattiera niedołęgą, szefem służb, które zamiast sprawiać, by ludzie znikali bez śladu, są zaskakiwane takimi zniknięciami. Skonstruował na ten temat jakiś złośliwy kalambur, którego Vattier jednak nie umiał dokładnie powtórzyć. Potem cesarz żartem spytał Vattiera, czy to aby nie oznacza, że powstała jakaś inna sekretna organizacja, utajniona nawet przed nim. Bystry jest nasz imperator. Blisko trafia.

– Blisko – mruknęła Assire. – Co jeszcze, Carthia?

– Agent, którego Vattier miał w oddziale Skellena, a który również zniknął, nazywał się Neratin Ceka. Vattier musiał go bardzo cenić, bo jest niezwykle przygnębiony jego zniknięciem.

Ja też, pomyślała Assire, jestem przygnębiona zniknięciem Jediaha Mekessera. Ale ja, w odróżnieniu od Vattiera de Rideaux, wkrótce będę wiedziała, co się wydarzyło.

– A Rience? Vattier nie spotykał się z nim więcej?

– Nie. Nie wspominał.

Obie milczały przez chwilę. Kot na kolanach Assire mruczał głośno.

– Pani Assire.

– Słucham, Carthia.

– Czy długo jeszcze będę musiała grać rolę niemądrej kochanki? Chciałabym wrócić na studia, poświęcić się pracy naukowej...

– Niedługo – przerwała Assire. – Ale jeszcze trochę. Wytrzymaj, dziecko.

Cantarella westchnęła.

Skończyły rozmowę i pożegnały się. Assire var Anahid spędziła kota z fotela, jeszcze raz przeczytała list od Fringilli Vigo, bawiącej w

Toussaint. Zamyśliła się, albowiem list niepokoił. Niósł między wierszami jakieś treści, które Assire wyczuwała, ale ich nie pojmowała. Było już po północy, gdy Assire var Anahid, nilfgaardzka czarodziejka, uruchomiła megaskop i nawiązała telekomunikację z zamkiem Montecalvo w Redanii.

Filippa Eilhart była w króciutkiej nocnej koszuli na cieniutkich ramiączkach, a na policzku i dekolcie miała ślady uszminkowanych ust. Assire najwyższym wysiłkiem woli powstrzymała grymas niesmaku. Nigdy, przenigdy nie zdołam tego zrozumieć, pomyślała. I nie chcę tego rozumieć.

– Możemy mówić swobodnie?

Filippa wykonała dłonią szeroki gest, otaczając się magiczną sferą dyskrecji.

– Teraz tak.

– Mam informacje – zaczęła sucho Assire. – Same w sobie nie są one sensacyjne, mówią o tym nawet baby przy studniach. Wszelakoż...

•

– Cała Redania – powiedział Esterad Thyssen, patrząc na swą mapę – może w tej chwili wystawić trzydzieści pięć tysięcy liniowego żołnierza, z tego cztery tysiące ciężkiej pancernej jazdy. Okrągło licząc, rzecz oczywista.

Dijkstra kiwnął głową. Rachunek był absolutnie precyzyjny.

– Demawend i Meve mieli podobną armię. Emhyr rozwalił ich w dwadzieścia sześć dni. To samo stanie się z wojskami Redanii i Temerii, o ile się nie wzmocnicie. Popieram waszą ideę, Dijkstra, twoją i Filippy Eilhart. Potrzeba wam wojska. Potrzeba wam bitnej, dobrze wyćwiczonej i dobrze wyekwipowanej konnicy. Potrzeba wam takiej konnicy za jakiś milion bizantów.

Szpieg potwierdził kiwnięciem, że i temu rachunkowi nie da się niczego zarzucić.

– Jak ci jednak bez wątpienia wiadomo – podjął sucho król – Kovir zawsze był, jest i będzie neutralny. Z Cesarstwem Nilfgaardzkim wiąże nas traktat, podpisany jeszcze przez mego dziada, Esterila Thyssena, i imperatora Fergusa var Emreisa. Litera tego traktatu nie pozwala Kovirowi wspierać wrogów Nilfgaardu pomocą wojskową. Ani pieniędzmi na wojsko.

– Gdy Emhyr var Emreis zdławi Temerię i Redanię – odchrząknął Dijkstra – wtedy spojrzy na północ. Emhyrowi nie będzie dosyć. Może się okazać, że wasz traktat nagle nie będzie wart funta kłaków. Dopiero co mowa była o Folteście z Temerii, który układami z Nilfgaardem zdołał kupić sobie raptem szesnaście dni pokoju...

– O, mój drogi – żachnął się Esterad. – Tak argumentować nie wolno. Z traktatami jak z małżeństwem: nie zawiera się ich z myślą o zdradzie, a gdy się zawarło, nie podejrzewa się. A komu to nie pasuje, niech się nie żeni. Bo nie można zostać rogaczem, nie będąc żonatym, ale przyznasz, że strach przed rogami to żałosne i dość śmieszne usprawiedliwienie dla wymuszonego celibatu. A rogi nie są w małżeństwie tematem do rozważań: „co by było, gdyby". Dopóki się rogów nie nosi, nie porusza się tej kwestii, a gdy się już nosi, to i nie ma o czym gadać. A skoro już przy rogach jesteśmy, jak się miewa małżonek pięknej Marie, markiz de Mercey, redański minister skarbu?

– Wasza królewska mość – ukłonił się sztywno Dijkstra – ma godnych pozazdroszczenia informatorów.

– Owszem, mam – przyznał król. – Zdziwiłbyś się, ilu i jak bardzo godnych. Ale i ty nie musisz wstydzić się twoich. Tych, których masz na moich dworach, tutaj i w Pont Vanis. O, daję słowo, że każdy z nich zasługuje na najwyższą notę.

Dijkstra nawet okiem nie mrugnął.

– Emhyr var Emreis – ciągnął Esterad, patrząc na nimfy na plafonie – też ma kilku dobrych i dobrze usadowionych agentów. Dlatego powtórzę: racją stanu Koviru jest neutralność i zasada *pacta sunt servanda*. Kovir nie łamie zawartych umów. Kovir nie łamie umowy nawet po to, aby uprzedzić złamanie umowy przez drugą stronę.

– Ośmielę się zauważyć – rzekł Dijkstra – że Redania nie namawia Koviru do łamania paktów. Redania żadną miarą nie zabiega o sojusz czy pomoc wojskową Koviru przeciw Nilfgaardowi. Redania chce... pożyczyć małą sumkę, którą zwrócimy...

– Już to widzę – przerwał król – jak zwracacie. Ale to akademickie rozważania, bo ni szeląga wam nie pożyczę. A obłudną kazuistyką mnie nie racz, Dijkstra, bo pasuje ona do ciebie jak do wilka śliniaczek. Jakieś inne, poważne, mądre i celne argumenty masz?

– Nie mam.

– Poszczęściło ci się – powiedział po chwili milczenia Esterad Thyssen – żeś został szpiegiem. W handlu nie zrobiłbyś kariery.

•

Jak świat długi był i szeroki, wszystkie pary królewskie miewały oddzielne sypialnie. Królowie – z bardzo różną częstotliwością – odwiedzali sypialnie królowych, zdarzało się, że królowe składały niespodziewane wizyty w sypialniach królów. Potem zaś małżonkowie rozchodzili się do własnych komnat i łóż.

Monarsza para Koviru i pod tym względem stanowiła wyjątek. Esterad Thyssen i Zuleyka sypiali zawsze razem – w jednej sypialni, na jednym olbrzymim łożu z olbrzymim baldachimem.

Przed zaśnięciem Zuleyka – włożywszy okulary, w których wstydziła się pokazywać poddanym – zwykle czytywała swą Dobrą Księgę. Esterad Thyssen zwykle gadał.

Tej nocy też nie było inaczej. Esterad włożył szlafmycę, a do ręki wziął berło. Lubił trzymać berło i bawić się nim, a oficjalnie tego nie robił, bo bał się, że poddani okrzykną go pretensjonalnym.

– Wiesz, Zuleyka – gadał – przedziwne mam ostatnio sny. Już któryś raz z rzędu śni mi się ta wiedźma, moja matka. Staje nade mną i powtarza: „Mam żonę dla Tankreda, mam żonę dla Tankreda". I pokazuje mi sympatyczną, ale bardzo młodą dzieweczkę. A wiesz, Zuleyka, kim jest ta dzieweczka? To Ciri, wnuczka Calanthe. Pamiętasz Calanthe, Zuleyko?

– Pamiętam, mój mężu.

– Ciri – gadał dalej Esterad, bawiąc się berłem – to jest ta, z którą jakoby chce się żenić Emhyr var Emreis. Dziwaczny mariaż, zaskakujący... Jakim więc, u czarta, sposobem miałaby to być żona dla Tankreda?

– Tankredowi – głos Zuleyki zmienił się nieco, jak zawsze, gdy mówiła o synu – przydałaby się żona. Może by się ustatkował...

– Może – westchnął Esterad. – Choć wątpię, ale może. W każdym razie małżeństwo jest jakąś szansą. Hmmm... Ta Ciri... Ha! Kovir i Cintra. Ujście Jarugi! Nieźle to brzmi, nieźle. Ładny byłby sojusz... Ładna koligacyjka... No, ale jeśli tę małą upatrzył sobie Emhyr... Tylko dlaczego właśnie ona pojawia mi się w snach? I dlaczego, do diabła, ja w ogóle śnię jakieś głupstwa? W Ekwinokcjum, pamiętasz, wtedy, gdy ciebie też

obudziłem... Brrr, cóż to był za koszmar, rad jestem, że nie mogę przypomnieć sobie szczegółów... Hmmm... Może zawezwać jakiegoś astrologa? Wróżbitę? Medium?

– Pani Sheala de Tancarville jest w Lan Exeter.

– Nie – skrzywił się król. – Tej czarownicy nie chcę. Za mądra. Rośnie mi tu pod bokiem druga Filippa Eilhart! Tym mądrym babom zbyt pachnie władza, nie można rozzuchwalać ich łaskami i poufałością.

– Jak zwykle masz rację, mój mężu.

– Hmfff... Ale te sny...

– Dobra Księga – Zuleyka przewróciła kilka stron – powiada, że gdy człowiek usypia, bogowie otwierają mu uszy i przemawiają do niego. Zaś prorok Lebioda uczy, że widząc sen, widzi się albo wielką mądrość, albo wielką głupotę. Sztuka w tym, by rozpoznać.

– Małżeństwo Tankreda z narzeczoną Emhyra wielką mądrością raczej nie jest – westchnął Esterad. – A jeśli już o mądrości mowa, to ogromnie bym się ucieszył, gdyby spłynęła na mnie we śnie. Chodzi o sprawę, z którą przybył tu Dijkstra. Chodzi o bardzo trudną sprawę. Bo widzisz, najukochańsza moja Zuleyko, rozsądek nie pozwala się cieszyć, gdy Nilfgaard ostro prze na północ i gotów lada dzień zająć Novigrad, bo z Novigradu wszystko, w tym i nasza neutralność, wygląda inaczej niż z dalekiego Południa. Dobrze by więc było, gdyby Redania i Temeria powstrzymały napór Nilfgaardu, by przepędziły najeźdźcę z powrotem za Jarugę. Ale czy dobrze, by zrobiły to za nasze pieniądze? Czy ty mnie słuchasz, najukochańsza żono?

– Słucham cię, mężu.

– I co ty na to?

– Wszelką mądrość mieści w sobie Dobra Księga.

– A mówi twoja Dobra Księga, co czynić, jeśli przychodzi taki Dijkstra i domaga się od ciebie miliona?

– Księga – zamrugała znad okularów Zuleyka – nic nie mówi o niegodziwej mamonie. Ale w jednym z ustępów powiedziane jest: dawać większym jest szczęściem, niźli otrzymywać, a wspieranie ubogiego jałmużną jest szlachetne. Powiedziane jest: rozdaj wszystko, a uczyni to twą duszę szlachetną.

– A mieszek i kałdun uczyni pustymi – mruknął Esterad Thyssen. – Zuleyko, czy oprócz ustępów o szlachetnym rozdawnictwie i

jałmużnictwie zawiera Księga jakieś mądrości dotyczące interesów? Co Księga, dla przykładu, mówi o wymianie ekwiwalentnej?

Królowa poprawiła okulary i jęła szybko kartkować inkunabuł.

– Jak Kuba bogom, tak bogowie Kubie – przeczytała.

Esterad milczał przez dłuższą chwilę.

– A może – powiedział wreszcie przeciągle – coś jeszcze?

Zuleyka wróciła do kartkowania Księgi.

– Znalazłam – oznajmiła nagle – coś wśród mądrości proroka Lebiody. Czy odczytać?

– Bardzo proszę.

– Powiada prorok Lebioda: zaprawdę, ubogiego datkiem wesprzyj. Ale miast dać ubogiemu całego arbuza, daj mu pół arbuza, bo się gotowo ubogiemu we łbie przewrócić od szczęścia.

– Pół arbuza – żachnął się Esterad Thyssen. – Znaczy, pół miliona bizantów? A czy ty wiesz, Zuleyka, że mieć pół miliona i nie mieć pół miliona to jest w sumie cały milion?

– Nie dałeś mi dokończyć – Zuleyka zganiła męża surowym spojrzeniem znad okularów. – Mówi dalej prorok: jeszcze lepiej zaś dać ubogiemu ćwierć arbuza. A najlepiej sprawić, by to kto inny dał ubogiemu arbuza. Albowiem zaprawdę powiadam wam, zawsze znajdzie się taki, kto ma arbuza i skłonny jest nim obdzielić ubogiego, jeśli nie ze szlachetności, to z wyrachowania albo dla inszego pozoru.

– Ha! – król Koviru palnął berłem w nocny stolik. – Zaprawdę, łebskim prorokiem był prorok Lebioda! Miast dać, sprawić, by dał ktoś inny? To mi się podoba, oto słowa prawdziwie miodopłynne! Prześledź mądrości owego proroka, ukochana moja Zuleyko. Pewien jestem, że jeszcze odkryjesz wśród nich coś, co pozwoli mi rozwiązać problem Redanii i armii, którą Redania chce zorganizować za moje pieniądze.

Zuleyka kartkowała księgę bardzo długo, nim wreszcie zaczęła czytać.

– Rzekł razu pewnego do proroka Lebiody uczeń jego: naucz mnie, mistrzu, jak mam postąpić? Zapragnął oto bliźni mój mego ulubionego psa. Jeśli oddam ulubieńca, serce pęknie mi z żałości. Jeśli zasię nie oddam, będę nieszczęśliwy, bo skrzywdzę bliźniego odmową. Co czynić? Czy masz, spytał prorok, coś, co kochasz mniej niż psa ulubieńca? Mam, mistrzu, odrzecze uczeń, kota psotnego, szkodnika utrapionego. I w ogóle go nie kocham. I rzekł prorok Lebioda: Weźmij onego kota psotnego, szkodnika utrapionego, i podaruj go bliźniemu

twemu. Podwójnego wonczas zaznasz zasię szczęścia. Kota się pozbędziesz, a bliźniego uradujesz. Albowiem najczęściej tak jest, że bliźni nie podarku pragnie, lecz być obdarowanym.

Esterad milczał czas jakiś, a czoło miał zmarszczone.

– Zuleyka? – zapytał wreszcie. – Czy to był aby ten sam prorok?

– Weźmij onego kota psotnego...

– Słyszałem za pierwszym razem! – wrzasnął król, ale natychmiast się zmitygował.

– Wybacz, najukochańsza. Rzecz w tym, że ja nie bardzo rozumiem, co mają koty do...

Zamilkł. I zamyślił się głęboko.

•

Po osiemdziesięciu pięciu latach, gdy sytuacja zmieniła się na tyle, by o pewnych sprawach i osobach można już było bezpiecznie mówić, przemówił Guiscard Vermuellen, diuk Creyden, wnuk Esterada Thyssena, syn jego najstarszej córki, Gaudemundy. Diuk Guiscard był sędziwym już starcem, ale wydarzenia, których był świadkiem, pamiętał dobrze. To właśnie diuk Guiscard wyjawił, skąd się wziął milion bizantów, za które Redania wyekwipowała armię konną na wojnę z Nilfgaardem. Milion ów nie pochodził, jak mniemamo, ze skarbca Koviru, lecz ze skarbca hierarchy Novigradu. Esterad Thyssen, zdradził Guiscard, uzyskał novigradzkie pieniądze za udziały w powstających spółkach handlu zamorskiego. Paradoksem było, że owe spółki powstawały przy aktywnej współpracy kupców nilfgaardzkich. Z rewelacji sędziwego diuka wynikało zatem, że sam Nilfgaard – w pewnej mierze – opłacił zorganizowanie redańskiej armii.

– Dziadek – wspominał Guiscard Vermuellen – mówił coś o arbuzach, uśmiechając się szelmowsko. Mówił, że zawsze znajdzie się taki ktoś, kto zechce obdarować biednego, choćby i z wyrachowania. Mówił też, że skoro Nilfgaard sam dokłada się do podnoszenia siły i zdolności bojowej redańskiego wojska, to nie może mieć o to samo pretensji do innych.

– Potem zaś – kontynuował starzec – dziadek wezwał do siebie ojca, który był podówczas szefem wywiadu, i ministra spraw wewnętrznych. Gdy ci dowiedzieli się, jakie rozkazy mają wykonać, wpadli w popłoch. Chodziło bowiem o wypuszczenie z więzień, obozów internowania i

zesłań ponad trzech tysięcy ludzi. Ponad setce miały być cofnięte areszty domowe.

– Nie, nie chodziło tylko o bandytów, zwykłych kryminalistów i najemnych kondotierów. Ułaskawienia obejmowały przede wszystkim dysydentów. Byli wśród ułaskawionych poplecznicy obalonego króla Rhyda i ludzie uzurpatora Idiego, zajadli ich partyzanci. I to nie tylko tacy, co popierali gębą: większość siedziała za dywersję, zamachy, rewolty z bronią w ręku. Minister spraw wewnętrznych był przerażony, tato mocno zaniepokojony.

– Dziadek zaś – opowiadał diuk – śmiał się, jakby to był najlepszy żart. A potem powiedział, pamiętam każde słowo, tak: „Szkoda to wielka, panowie, że nie czytujecie do poduszki Dobrej Księgi. Gdybyście czytywali, rozumielibyście idee waszego monarchy. A tak będziecie wykonywali rozkazy, nie rozumiejąc ich. Ale nie martwcie się niepotrzebnie i na zapas, wasz monarcha wie, co czyni. Teraz zaś idźcie i powypuszczajcie wszystkie moje psotne koty, szkodniki utrapione."

– Tak właśnie powiedział: psotne koty, szkodniki. A chodziło, o czym nikt wówczas wiedzieć nie mógł, o późniejszych bohaterów, dowódców okrytych chwałą i sławą. Tymi „kotami" dziadka byli słynni później kondotierzy: Adam „Adieu" Pangratt, Lorenzo Molla, Juan „Frontino" Guttierez... I Julia Abatemarco, która zasłynęła w Redanii jako „Słodka Trzpiotka"... Wy, młodzi, tego nie pamiętacie, ale za moich czasów, gdyśmy bawili się w wojnę, każdy chłopak chciał być „Adieu" Pangrattem, a każda dziewczyna Julią „Słodką Trzpiotką"... A dla dziadka to były psotne koty, he, he.

– Później zaś – mamlał Guiscard Vermuellen – dziadek wziął mnie za rękę i zabrał na taras, z którego babka Zuleyka karmiła mewy. Dziadek powiedział do niej... Powiedział...

Staruszek powoli i z ogromnym trudem próbował przypomnieć sobie słowa, które wówczas, przed osiemdziesięcioma pięcioma laty, król Esterad Thyssen wyrzekł do żony, królowej Zuleyki, na górującym nad Wielkim Kanałem tarasie pałacu Ensenada.

– Czy wiesz, moja najukochańsza żono, że dostrzegłem jeszcze jedną mądrość pośród mądrości proroka Lebiody? Taką, która da mi jeszcze jedną korzyść z obdarowania Redanii psotnymi kotami? Koty, moja Zuleyko, wrócą do domu. Koty zawsze wracają do domu. No, a gdy moje

koty wrócą, gdy przyniosą żołd, zdobycz, bogactwa... To ja te koty opodatkuję!

•

Gdy król Esterad Thyssen po raz ostatni rozmawiał z Dijkstrą, było to w cztery oczy, nawet bez Zuleyki. Na podłodze gigantycznej sali bawił się wprawdzie dziesięcioletni na oko chłopczyk, ale ten się wszak nie liczył, a ponadto tak był zajęty swymi ołowianymi żołnierzykami, że nie zwracał na rozmawiających żadnej uwagi.

– To Guiscard – wyjaśnił Esterad, wskazując chłopca ruchem głowy. – Mój wnuk, syn mojej Gaudemundy i tego nicponia, księcia Vermuellena. Ale ten malec, Guiscard, to jedyna nadzieja Koviru, gdyby Tankred Thyssen okazał się... Gdyby Tankredowi coś się przydarzyło...

Dijkstra znał problem Koviru. I osobisty problem Esterada. Wiedział, że Tankredowi już się coś przydarzyło. Chłopak, jeżeli w ogóle miał zadatki na króla, to tylko na bardzo złego.

– Twoja sprawa – przemówił Esterad – jest już w zasadzie załatwiona. Możesz już zacząć rozważać sposób najefektywniejszego spożytkowania miliona bizantów, który wkrótce trafi do tretogorskiego skarbca.

Pochylił się i ukradkiem podniósł jednego z ołowianych i jaskrawo pomalowanych żołnierzyków Guiscarda, kawalerzystę ze wzniesionym pałaszem.

– Weź to i dobrze schowaj. Ten, kto pokaże ci drugiego takiego wojaka, identycznego, będzie moim wysłannikiem, choćby nie wyglądał, choćbyś wiary nie mógł dać, że to mój człowiek i zna sprawę naszego miliona. Każdy inny będzie prowokatorem i potraktuj go jak prowokatora.

– Redania – ukłonił się Dijkstra – nie zapomni tego Waszej Królewskiej Mości. Ja zaś, we własnym imieniu, chciałbym zapewnić o mojej osobistej wdzięczności.

– Nie zapewniaj, ale dawaj tu ten tysiąc, za pomocą którego planowałeś zyskać przychylność mego ministra. Cóż to, przychylność króla nie zasługuje na łapówkę?

– Wasza Królewska Mość zniży się...

– Zniży, zniży. Dawaj pieniądze, Dijkstra. Mieć tysiąc i nie mieć tysiąca...

– ...to razem dwa tysiące. Wiem.

•

W odległym skrzydle Ensenady, w komnacie o znacznie mniejszych gabarytach, czarodziejka Sheala de Tancarville w skupieniu i z powagą wysłuchała relacji królowej Zuleyki.

– Doskonale – kiwnęła głową. – Doskonale, Wasza Królewska Wysokość.

– Zrobiłam wszystko tak, jak poleciłaś, pani Shealo.

– Dziękuję za to. I zapewniam raz jeszcze – działałyśmy w sprawie słusznej. Dla dobra kraju. I dynastii.

Królowa Zuleyka odchrząknęła, głos zmienił się jej lekko.

– A... A Tankred, pani Shealo?

– Dałam słowo – powiedziała zimno Sheala de Tancarville. – Dałam moje słowo, że za pomoc odwzajemnię się pomocą. Wasza Królewska Wysokość może spać spokojnie.

– Bardzo bym pragnęła – westchnęła Zuleyka. – Bardzo. Jeśli już jesteśmy przy snach... Król zaczyna coś podejrzewać. Te sny dziwią go, a król, gdy coś go dziwi, robi się podejrzliwy.

– Zaprzestanę zatem na czas jakiś zsyłać królowi sny – obiecała czarodziejka. – Wracając zaś do snu królowej, powtarzam, może on być spokojny. Królewicz Tankred rozstanie się ze złym towarzystwem. Nie będzie już bywał na zamku barona Surcratasse. Ani u pani de Lisemore. Ani u redańskiej ambasadorowej.

– Nie będzie już odwiedzał tych person? Nigdy?

– Persony, o których mowa – w ciemnych oczach Sheali de Tancarville zapalił się dziwny błysk – nie odważą się już zapraszać i bałamucić królewicza Tankreda. Nie odważą się na to już nigdy. Będą bowiem świadome konsekwencji. Ręczę za to, co mówię. Ręczę też za to, że królewicz Tankred wznowi naukę i będzie pilnym uczniem, poważnym i statecznym młodzieńcem. Przestanie też uganiać się za spódniczkami. Straci zapał... do momentu, gdy przedstawimy mu Cirillę, księżniczkę Cintry.

– Ach, gdybym mogła w to uwierzyć! – Zuleyka załamała ręce, wzniosła oczy. – Gdybym mogła w to uwierzyć!

– W potęgę magii – Sheala de Tancarville uśmiechnęła się, niespodziewanie nawet dla siebie – czasami trudno uwierzyć, Wasza Królewska Wysokość. I tak zresztą być powinno.

•

Filippa Eilhart poprawiła cieniutkie jak pajęczyna ramiączka przejrzystej nocnej koszuli, starła z dekoltu resztkę śladu szminki. Taka mądra kobieta, pomyślała z lekkim niesmakiem Sheala de Tancarville, a nie umie utrzymać hormonów na wodzy.

– Możemy rozmawiać?

Filippa otoczyła się sferą dyskrecji.

– Teraz tak.

– W Kovirze wszystko załatwione. Pozytywnie.

– Dziękuję. Dijkstra już odpłynął?

– Jeszcze nie.

– Dlaczego zwleka?

– Prowadzi długie konwersacje z Esteradem Thyssenem – skrzywiła wargi Sheala de Tancarville. – Dziwnie przypadli sobie do gustu, król i szpieg.

•

– Znasz te żarty o naszej pogodzie, Dijkstra? O tym, że w Kovirze są tylko dwie pory roku...

– Zima i sierpień. Znam.

– A wiesz, jak poznać, że w Kovirze już nastało lato?

– Nie. Jak?

– Deszcz robi się trochę cieplejszy.

– Ha, ha.

– Żarty żartami – rzekł poważnie Esterad Thyssen – ale te coraz to wcześniejsze i dłużej trwające zimy nieco mnie niepokoją. To było prorokowane. Czytałeś, jak mniemam, przepowiednię Itliny? Mówi się tam, że nadejdą dziesiątki lat nieustającego zimna. Niektórzy twierdzą, że to jakieś alegorie, ale ja trochę się obawiam. W Kovirze mieliśmy kiedyś cztery lata zimna, słoty i nieurodzaju. Gdyby nie potężny import żywności z Nilfgaardu, ludzie zaczęliby masowo umierać z głodu. Wyobrażasz to sobie?

– Szczerze mówiąc, nie.

– A ja tak. Oziębienie klimatu może nas wszystkich zagłodzić. Głód to wróg, z którym cholernie trudno walczyć.

Szpieg kiwnął głową, zamyślony.

– Dijkstra?

– Wasza Królewska Mość?

– Wewnątrz kraju masz już spokój?

– Nie bardzo. Ale staram się.

– Wiem, głośno o tym. Z tych, którzy zdradzili na Thanedd, żywy został tylko Vilgefortz.

– Po śmierci Yennefer, tak. Wiesz, królu, że Yennefer poniosła śmierć? Zginęła ostatniego dnia sierpnia, w zagadkowych okolicznościach, na osławionej Głębi Sedny, między Wyspami Skellige a przylądkiem Peixe de Mar.

– Yennefer z Vengerbergu – powiedział wolno Esterad – nie była zdrajczynią. Nie była wspólniczką Vilgefortza. Jeśli chcesz, dostarczę ci na to dowodów.

– Nie chcę – odparł po chwili milczenia Dijkstra. – A może zechcę, ale nie teraz. Teraz wygodniejsza jest dla mnie jako zdrajczyni.

– Pojmuję. Nie ufaj czarodziejkom, Dijkstra. Filippie zwłaszcza.

– Nigdy jej nie ufałem. Ale musimy współpracować. Bez nas Redania pogrąży się w chaosie i zginie.

– To prawda. Ale jeśli mogę ci radzić, pofolguj nieco. Wiesz, o czym mówię. Szafoty i izby tortur w całym kraju, okrucieństwa popełniane na elfach... I ten straszny fort, Drakenborg. Wiem, że robisz to z patriotyzmu. Ale budujesz sobie złą legendę. Jesteś w niej wilkołakiem, chłepcącym niewinną krew.

– Ktoś to musi robić.

– I na kimś musi się skrupić. Wiem, że starasz się być sprawiedliwy, ale przecież nie unikniesz pomyłek, bo nie da się ich uniknąć. Nie da się też pozostać czystym, babrając się we krwi. Wiem, żeś nigdy nie skrzywdził nikogo dla prywaty, ale kto w to uwierzy? Kto będzie chciał w to wierzyć? W dniu, gdy los się odwróci, przypiszą ci mordowanie niewinnych i czerpanie z tego korzyści. A kłamstwo lepi się do człowieka jak smoła.

– Wiem.

– Nie dadzą ci szansy na obronę. Takim jak ty nigdy nie daje się szansy. Oblepią cię smołą... później. Po fakcie. Strzeż się, Dijkstra.

– Strzegę się. Nie dostaną mnie.

– Dostali twego króla, Vizimira. Słyszałem, sztylet w bok aż po gardę...

– Króla łatwiej ugodzić niż szpiega. Mnie nie dostaną. Nigdy mnie nie dostaną.

– I nie powinni. A wiesz, dlaczego, Dijkstra? Bo na tym świecie musi być, kurwa, jakaś sprawiedliwość.

Przyszedł taki dzień, gdy przypomnieli sobie tę rozmowę. Obaj. Król i szpieg. Dijkstra przypomniał sobie słowa Esterada w Tretogorze, gdy nadsłuchiwał kroków morderców nadchodzących ze wszystkich stron, wszystkimi korytarzami zamku. Esterad przypomniał sobie słowa Dijkstry na reprezentacyjnych marmurowych schodach, wiodących z Ensenady do Wielkiego Kanału.

•

– Mógł walczyć – zamglone, niewidzące oczy Guiscarda Vermuellena patrzyły w otchłań wspomnień. – Zamachowców było tylko trzech, dziadek był silnym mężczyzną. Mógł walczyć, bronić się do chwili, gdy nadbiegłaby straż. Mógł też po prostu uciec. Ale była tam babka Zuleyka. Dziadek osłaniał i chronił Zuleykę, tylko Zuleykę, o siebie nie dbał. Gdy wreszcie przyszła pomoc, Zuleyka nie była nawet draśnięta. Esterad dostał ponad dwadzieścia pchnięć. Umarł po trzech godzinach, nie odzyskawszy przytomności.

•

– Czytałeś kiedy Dobrą Księgę, Dijkstra?

– Nie, Wasza Królewska Mość. Ale wiem, co tam jest napisane.

– Ja, wyobraź sobie, wczoraj otworzyłem na chybił trafił. I trafiłem na takie zdanie: Na drodze do wieczności każdy stąpać będzie po swych własnych schodach, niosąc swoje własne brzemię. Co o tym myślisz?

– Czas na mnie, królu Esteradzie. Pora nieść własne brzemię.

– Bywaj w zdrowiu, szpiegu.

– Bywaj w zdrowiu, królu.

Od grodu starożytnego i sławnego Assengardu uszliśmy może ze sześć setek stajań na południe, do kraju zwanego Stojeziory. Gdy ze wzgórz na ten kraj poglądnąć, ujrzy się one liczne jeziora sztuczną zaiste rzeczy koleją ułożone we wzory rozmaite. Wśród tychże wzorów przewodnik nasz, elf Avallac'h, kazał takiego szukać, któren podobny jest do liścia trifolium. I w rzeczy samej, takowy wypatrzyliśmy. Przy czym wyjawiło się, że nie trzy, ale cztery jest jezior, bo jedno, podługowate, z południa na północ się ciągnące, jest jakoby onego liścia szypułką. Jezioro to, zwące się Tarn Mira, czarnym jest otoczone lasem, a u północnego jego krańca baszta owa tajemna wznosić się jakoby miała, Wieżycą Jaskółki nazywana, w elfów zaś mowie: Tor Zireael.

Zrazu jednakowoż nie widzieliśmy nic, jeno mgłę. Jużem się sposobił, by elfa Avallac'ha o wieżę ową zagadnąć, gdy tenże dał znak milczenia, sam zaś w te słowa rzekł: „Czekać i mieć nadzieję. Nadzieja powróci ze światłem i z dobrą wróżbą. Baczcie na bezmiar wód, tam ujrzycie posłów dobrej nowiny."

Buyvid Backhuysen,
Peregrynacje po szlakach i miejscach magicznych

Ta książka to od początku do końca humbug. Ruiny nad jeziorem Tarn Mira były wielokrotnie badane. Nie są magiczne, wbrew enuncjacjom B. Backhuysena nie mogą tedy być pozostałością legendarnej Wieży Jaskółki.

Ars Magica, Ed. XIV

Rozdział dziewiąty

– Płyną! Płyną!

Yennefer oburącz przytrzymała targane mokrym wiatrem włosy, stanęła przy balustradzie schodów, usuwając się z drogi zbiegających na nabrzeże kobiet. Pchany zachodnim wiatrem przybój z łomotem rozbijał się o brzeg, z rozpadlin między skałami co i rusz strzelały białe pióropusze piany.

– Płyną! Płyną!

Z górnych tarasów cytadeli Kaer Trolde, głównej warowni Ard Skellig, widać było cały bez mała archipelag. Na wprost, za cieśniną, leżała An Skellig, od strony południowej niska i płaska, od niewidocznej północnej urwista i pocięta fiordami. Po lewej, daleko, ostrymi kłami raf rozbijała fale wysoka i zielona Spikeroog, z górami o szczytach tonących w chmurach. Po prawej widać było strome klify wyspy Undvik, rojące się od mew, petreli, kormoranów i głuptaków. Zza Undvik wyłaniał się lesisty stożek Hindarsfjall, najmniejszej wysepki archipelagu. Gdyby zaś wejść na sam szczyt którejś z wież Kaer Trolde i spojrzeć w kierunku południowym, ujrzałoby się samotną, oddaloną od pozostałych wyspę Faroe, sterczącą z wody niby grzbiet olbrzymiej ryby, dla której ocean jest za płytki.

Yennefer zeszła na niższy taras, zatrzymując się przy grupie kobiet, którym duma i pozycja społeczna nie pozwalały na łeb na szyję biec na nabrzeże i mieszać się z podekscytowanym motłochem. W dole, pod nimi, leżało miasto portowe, czarne i bezkształtne jak wyrzucony przez fale wielki morski skorupiak.

Z cieśniny między An Skellig i Spikeroog kolejno wypływały drakkary. Żagle zapłonęły w słońcu bielą i czerwienią, zalśniły mosiądzem umby zawieszonych na burtach tarcz.

– „Ringhorn” idzie pierwszy – stwierdziła któraś z kobiet. – Za nim „Fenris”...

– „Trigla” – rozpoznała podnieconym głosem druga. – Za nią „Drac”... Z tyłu za nimi „Havfrue”...

– „Anghira”... „Tamara”... „Daria”... Nie, to „Scorpena”... Nie ma „Darii”. Nie ma „Darii”...

Młoda kobieta z grubym jasnym warkoczem, podtrzymująca oburącz bardzo zaawansowaną ciążę, jęknęła głucho, zbladła i zemdlała, osuwając się na płyty tarasu jak zerwana z kółek kotara. Yennefer przyskoczyła natychmiast, padła na kolana, oparła palce o brzuch kobiety i wykrzyczała zaklęcie, tłumiąc spazmy i skurcze, mocno i pewnie spajając grożącą zerwaniem więź macicy i łożyska. Dla pewności rzuciła jeszcze uspokajający i ochronny czar na dziecko, którego kopnięcia czuła pod dłonią.

Kobietę, by nie marnować energii magicznej, ocuciła uderzeniem w twarz.

– Zabierzcie ją. Ostrożnie.

– Niemądra... – powiedziała jedna ze starszych kobiet. – Mało brakowało...

– Panikara... Jej Nils może żyje, może jest na innym drakkarze...

– Dzięki wam za pomoc, pani magiczko.

– Zabierzcie ją – powtórzyła Yennefer, wstając. Przełknęła przekleństwo, stwierdziwszy, że przy klękaniu suknia puściła w szwie.

Zeszła na jeszcze niższy taras. Drakkary kolejno dobijały do nabrzeża, wojownicy schodzili na brzeg. Brodaci, obwieszeni bronią berserkerzy ze Skellige. Wielu wyróżniała biel bandaży, wielu, by móc iść, musiało korzystać z pomocy towarzyszy. Niektórych trzeba było nieść.

Stłoczone na nabrzeżu kobiety ze Skellige rozpoznawały, krzyczały i płakały ze szczęścia, jeśli miały szczęście. Jeśli nie miały, mdlały. Lub odchodziły, wolno, cicho, bez słowa skargi. Czasem oglądały się, w nadziei, że w sundzie błyśnie bielą i czerwienią żagiel „Darii".

Nie było „Darii".

Yennefer dostrzegła górującą nad innymi głowami rudą czuprynę Cracha an Craite, jarla Skellige, jako jeden z ostatnich schodzącego z pokładu „Ringhorna". Jarl wykrzykiwał rozkazy, wydawał polecenia, sprawdzał, troszczył się. Dwie wpatrzone w niego kobiety, jedna jasnowłosa, druga ciemna, płakały. Ze szczęścia. Jarl, pewny wreszcie, że wszystkiego dopilnował i o wszystko zadbał, podszedł do niewiast, zgarnął obie niedźwiedzim uściskiem, obie ucałował. A potem podniósł głowę i zobaczył Yennefer. Jego oczy zapłonęły, ogorzała twarz stwardniała jak kamień rafy, jak mosiężny umb tarczy.

Wie, pomyślała czarodziejka. Wieści rozchodzą się szybko. Jarl wiedział, płynąc, o przedwczorajszym wyłowieniu mnie siecią w sundzie za Spikeroog. Wiedział, że mnie zastanie w Kaer Trolde.

Magia czy gołębie pocztowe?

Podszedł do niej, nie spiesząc się. Pachniał morzem, solą, smołą, zmęczeniem. Spojrzała w jego jasne oczy i natychmiast rozbrzmiał jej w uszach bojowy okrzyk berserkerów, łomot tarcz, szczęk mieczów i toporów. Wrzask mordowanych. Wrzask ludzi, skaczących do morza z płonącej „Darii".

– Yennefer z Vengerbergu.

– Crach an Craite, jarl Skellige – skłoniła się przed nim lekko.

Nie odwzajemnił ukłonu. Źle, pomyślała.

Natychmiast zobaczył siniak, pamiątkę po uderzeniu wiosłem, jego twarz stężała znowu, wargi drgnęły, na sekundę odsłaniając zęby.

– Ten, kto cię bił, odpowie za to.

– Nikt mnie nie bił. Potknęłam się na schodach.

Spojrzał na nią bacznie, po czym wzruszył ramionami.

– Nie chcesz się skarżyć, twoja wola. Ja nie mam czasu wszczynać śledztwa. A teraz posłuchaj, co mam ci do powiedzenia. Uważnie, bo to będą jedyne słowa, jakie do ciebie wypowiem.

– Słucham.

– Jutro zostaniesz wsadzona na drakkar i zawieziona do Novigradu. Tam zostaniesz przekazana władzom miasta, a później władzom temerskim lub redańskim, kto się pierwszy zgłosi. A wiem, że i jedni, i drudzy równie mocno cię pożądają.

– To wszystko?

– Prawie. Jeszcze tylko wyjaśnienie, które należy ci się przecież. Zdarzało się wcale często, że Skellige dawały azyl ściganym przez prawo. Nie brakuje na Wyspach możliwości ni okazji, by odkupić winy ciężką pracą, męstwem, poświęceniem, krwią. Ale nie w twoim przypadku, Yennefer. Tobie azylu nie udzielę, jeśli na to liczyłaś, przeliczyłaś się. Ja nienawidzę takich jak ty. Nienawidzę ludzi, którzy dla zdobycia władzy warcholą, którzy prywat dochodzą, którzy spiskują z wrogiem i zdradzają tych, którym winni nie tylko posłuszeństwo, ale i wdzięczność. Nienawidzę cię, Yennefer, albowiem właśnie gdy ty razem z twymi konfratrami rebelizantami wszczęłaś za nilfgaardzkim poduszczeniem bunt na Thanedd, moje drakkary były pod Attre, moi chłopcy nieśli pomoc tamtejszym powstańcom. Trzystu moich chłopców stanęło przeciwko dwóm tysiącom Czarnych! Musi być nagroda za męstwo i wierność, musi być kara za podłość i zdradę! Jak mam nagrodzić tych, którzy polegli? Cenotafami? Napisami kutymi na obeliskach? Nie! Nagrodzę i uczczę poległych inaczej. Za ich krew, która wsiąkła w wydmy Attre, twoja krew, Yennefer, pocieknie przez deski szafotu.

– Nie jestem winna. Nie uczestniczyłam w spisku Vilgefortza.

– Dowody na to przedstawisz sędziom. Ja cię sądzić nie będę.

– Tyś mnie nie tylko już osądził. Tyś nawet wydał wyrok.

– Dość gadania! Powiedziałem, jutro o świcie pożeglujesz w kajdanach do Novigradu, przed królewski sąd. Po sprawiedliwą karę. A

teraz daj mi słowo, że nie będziesz próbowała używać magii.

– A jeśli nie dam?

– Marquard, nasz czarodziej, zginął na Thanedd, nie mamy tu teraz magika, który mógłby wziąć cię pod kontrolę. Ale wiedz, że będziesz pod bezustanną obserwacją najlepszych łuczników Skellige. Jeśli choćby ręką ruszysz w podejrzany sposób, zostaniesz zastrzelona.

– Jasne – kiwnęła głową. – Daję więc słowo.

– Doskonale. Dziękuję. Żegnaj, Yennefer. Nie będę cię jutro odprowadzał.

– Crach.

Odwrócił się na pięcie.

– Słucham.

– Nie mam najmniejszego zamiaru wsiadać na statek płynący do Novigradu. Nie mam czasu, by udowadniać Dijkstrze, że jestem niewinna. Nie mogę ryzykować, że już spreparowano dowody mojej winy. Nie mogę ryzykować, że krótko po aresztowaniu umrę na nagły wylew krwi do mózgu lub w jakiś spektakularny sposób popełnię w celi samobójstwo. Nie mogę tracić czasu i podejmować takiego ryzyka. Nie mogę też wyjaśniać ci, dlaczego to dla mnie tak ryzykowne. Nie popłynę do Novigradu.

Patrzył na nią długo.

– Nie popłyniesz – powtórzył. – Cóż takiego pozwala ci tak mniemać? Czyżby to, że niegdyś łączyły nas miłosne uniesienia? Nie licz na to, Yennefer. Co było, a nie jest, nie pisze się w rejestr.

– Wiem i nie liczę. Nie popłynę do Novigradu, jarlu, dlatego, że mi pilno wyruszyć na pomoc osobie, której poprzysięgłam, że nigdy nie zostawię jej samej i bez pomocy. A ty, Crachu an Craite, jarlu Skellige, dopomożesz mi w moim przedsięwzięciu. Bo i ty złożyłeś podobną przysięgę. Dziesięć lat temu. Dokładnie tu, gdzie stoimy, na tym nabrzeżu. Tej samej osobie. Ciri, wnuczce Calanthe. Lwiątku z Cintry. Ja, Yennefer z Vengerbergu, uważam Ciri za mą córkę. Dlatego w jej imieniu żądam, byś dotrzymał twojej przysięgi. Dotrzymaj jej, Crachu an Craite, jarlu Skellige.

•

– Naprawdę? – jeszcze raz upewnił się Crach an Craite. – Nawet nie skosztujesz? Żadnego z tych przysmaków?

– Naprawdę.

Jarl nie nalegał, sam zdjął z półmiska homara, położył go na desce i rozłupał wzdłuż potężnym, acz precyzyjnie celnym uderzeniem tasaka. Pokropiwszy obficie cytryną i sosem czosnkowym, zaczął wyjadać mięso ze skorupy. Palcami.

Yennefer jadła dystyngowanie, srebrnym nożem i widelcem – a jadła barani kotlet ze szpinakiem, specjalnie dla niej przygotowany przez zdumionego i chyba lekko urażonego kucharza. Czarodziejka nie chciała bowiem ani ostryg, ani muli, ani marynowanego we własnym soku łososia, ani zupy z trigli i muszli sercówek, ani duszonego ogona żaby morskiej, ani pieczonego włócznika, ani smażonej mureny, ani ośmiornic, ani krabów, ani homarów, ani jeżowców. Ani – zwłaszcza – świeżych wodorostów.

Wszystko, co choćby ulotnie pachniało morzem, kojarzyło się jej z Fringillą Vigo i Filippą Eilhart, z wariacko ryzykowną teleportacją, upadkiem w fale, łykaną morską wodą, zarzuconą na nią siecią – do której, nawiasem mówiąc, przyczepione były glony i algi wypisz wymaluj takie, jak te na półmisku. Glony i algi, miażdżone na jej głowie i ramionach paraliżująco bolesnymi uderzeniami sosnowego wiosła.

– Tak więc – wznowił konwersację Crach, wysysając mięso z przełamywanych między stawami odnóży homara – postanowiłem dać ci wiarę, Yennefer. Nie robię tego jednak dla ciebie, wiedz o tym. Bloedgeas, przysięga krwi, jaką złożyłem Calanthe, faktycznie wiąże mi ręce. Jeśli więc prawdziwy i szczery jest, a zakładam, że taki jest, twój zamiar niesienia pomocy Ciri, nie mam wyjścia: muszę dopomóc ci w tym zamiarze...

– Dziękuję. Ale wyzbądź się, proszę, tego patetycznego tonu. Powtarzam: nie brałam udziału w spisku na Thanedd. Uwierz mi.

– Czy aż tak ważne jest – żachnął się – w co ja uwierzę? Należałoby zacząć raczej od królów, od Dijkstry, którego agenci tropią cię wzdłuż i wszerz świata. Od Filippy Eilhart i wiernych królom czarodziejów. Przed którymi, jak sama wyznałaś, zbiegłaś tu, na Skellige. To im należało przedstawić dowody...

– Nie mam dowodów – przerwała, ze złością dziobiąc widelcem brukselkę, którą urażony kucharz przyrządził do baraniego kotleta. – A gdybym miała, nie pozwolono by mi ich przedstawić. Nie mogę ci tego

wyjaśnić, obowiązuje mnie nakaz milczenia. Uwierz mi jednak na słowo, Crach. Proszę cię.

– Powiedziałem...

– Powiedziałeś – przerwała. – Zadeklarowałeś pomoc. Dziękuję. Ale wciąż nie wierzysz w moją niewinność. Uwierz.

Crach odrzucił wyssane skorupy homara, podsunął sobie miskę muli. Grzebał, grzechocząc, wybierał co większe.

– Zgoda – powiedział wreszcie, wycierając ręce w obrus. – Wierzę. Bo chcę wierzyć. Ale azylu i schronienia ci nie udzielę. Nie mogę. Ty możesz jednak opuścić Skellige kiedy zechcesz i udać się dokąd zechcesz. Sugerowałbym pośpiech. Przybyłaś tu, że się tak wyrażę, na skrzydłach magii. Inni mogą przybyć twoim śladem. Też znają zaklęcia.

– Ja nie szukam azylu ani bezpiecznej kryjówki, jarlu. Ja muszę iść na ratunek Ciri.

– Ciri – powtórzył, zamyślony. – Lwiątko... Dziwne to było dziecko.

– Było?

– Och – żachnął się znowu. – Źle się wyraziłem. Było, bo już nie jest dzieckiem. To miałem na myśli. Tylko to. Cirilla, Lwiątko z Cintry... Spędzała na Skellige lata i zimy. Nieraz narozrabiała, że ho-ho! Diablątko to było, nie Lwiątko... Psiakrew, już drugi raz powiedziałem „było”... Yennefer, różne plotki docierają tu z lądu... Jedni mówią, że Ciri jest w Nilfgaardzie...

– Nie ma jej w Nilfgaardzie.

– Drudzy mówią, że dziewczyna nie żyje.

Yennefer milczała, gryząc wargi.

– Ale tej drugiej plotce – powiedział twardo jarl – zaprzeczę ja. Ciri żyje. Jestem tego pewien. Nie było żadnych znaków... Ona żyje!

Yennefer uniosła brwi. Ale pytania nie zadała. Milczeli długo, wsłuchani w ryk fal grzmocących w skały Ard Skellig.

– Yennefer – powiedział po chwili milczenia Crach. – Dotarły z kontynentu inne jeszcze wieści. Wiadomo mi, że twój wiedźmin, który po drace na Thanedd ukrywał się w Brokilonie, wyruszył stamtąd z zamiarem dotarcia do Nilfgaardu i wyzwolenia Ciri.

– Powtarzam, Ciri nie ma w Nilfgaardzie. Co zamierza mój, jak to zechciałeś określić, wiedźmin, nie wiem. Ale on... Crach, nie jest tajemnicą, że ja go... darzę sympatią. Ale wiem, że on Ciri nie uratuje, nie osiągnie niczego. Ja go znam. On zaplącze się, zagubi, zacznie

filozofować i użalać się nad sobą. Potem wyładuje gniew, rąbiąc mieczem co i kogo popadło. Potem, w ramach ekspiacji, dokona jakiegoś szlachetnego, acz bezsensownego wyczynu. W końcu zaś pewnie zostanie zabity, głupio, bezsensownie, zapewne ciosem w plecy...

– Mówią – wtrącił prędko Crach, przestraszony złowrogo zmieniającym się, dziwnie dygoczącym głosem czarodziejki. – Mówią, że Ciri jest mu przeznaczona. Sam widziałem, wtedy, w Cintrze, podczas zaręczyn Pavetty...

– Przeznaczenie – przerwała ostro Yennefer – może być bardzo różnie interpretowane. Bardzo różnie. Szkoda zresztą czasu na dywagacje. Powtarzam, nie wiem, co Geralt zamierza i czy cokolwiek zamierza. Mam zamiar wziąć się do dzieła sama. Moimi metodami. I aktywnie, Crach, aktywnie. Ja nie zwykłam siedzieć i płakać, chwyciwszy się oburącz za głowę. Ja działam!

Jarl uniósł brwi, ale nic nie powiedział.

– Będę działać – powtórzyła czarodziejka. – Już obmyśliłam plan. A ty, Crach, dopomożesz mi w tym, zgodnie z przysięgą, którą złożyłeś.

– Jestem gotów – oświadczył twardo. – Na wszystko. Drakkary stoją w porcie. Rozkazuj, Yennefer.

Nie wytrzymała, by nie parsknąć śmiechem.

– Zawsze taki sam. Nie, Crach, żadnych dowodów męstwa i męskości. Nie trzeba będzie płynąć do Nilfgaardu i walić toporem we wrzeciądze Miasta o Złotych Wieżach. Potrzebna mi pomoc mniej spektakularna. Ale bardziej konkretna... Jak tam u ciebie ze stanem skarbca?

– Słucham?

– Jarlu Crachu an Craite. Pomoc, której potrzebuję, jest przeliczalna na walutę.

•

Zaczęło się nazajutrz, od świtu. W oddanych do dyspozycji Yennefer komnatach trwał szaleńczy rozgardiasz, nad którym z najwyższym trudem panował przydzielony czarodziejce seneszal Guthlaf.

Yennefer siedziała za stołem, prawie nie unosząc głowy znad papierów. Liczyła, sumowała kolumny, sporządzała rachunki, z którymi natychmiast pędzono do skarbca i wyspiarskiej filii banku Cianfanellich.

Rysowała i kreśliła, a rysunki i wykresy natychmiast trafiały do rąk rzemieślników – alchemików, złotników, szklarzy, jubilerów.

Jakiś czas wszystko szło sprawnie, potem zaczęły się kłopoty.

•

– Przykro mi, mościa czarodziejko – wycedził seneszal Guthlaf. – Ale jeśli nie ma, to nie ma. Daliśmy wam wszystko, co mieliśmy. Cudów i czarów robić nie umiemy! A pozwolę sobie zauważyć, że to, co leży przed wami, to są diamenty o łącznej wartości...

– Co mi po ich łącznej wartości? – parsknęła. – Ja potrzebuję jednego, ale odpowiednio dużego. Jak dużego, mistrzu?

Szlifierz kamieni jeszcze raz popatrzył na rysunek.

– Żeby wykonać taki szlif i takie fasetki? Minimum trzydzieści karatów.

– Takiego kamienia – stwierdził kategorycznie Guthlaf – nie ma na całym Skellige.

– Nieprawda – zaprzeczył jubiler. – Jest.

•

– Jak ty sobie to wyobrażasz, Yennefer? – zmarszczył brwi Crach an Craite. – Mam wysłać zbrojnych, by wzięli szturmem i ograbili tę świątynię? Mam zagrozić kapłankom moim gniewem, jeśli nie wydadzą brylantu? To nie wchodzi w grę. Nie jestem specjalnie religijny, ale świątynia to świątynia, a kapłanki to kapłanki. Mogę je tylko grzecznie poprosić. Dać do zrozumienia, jak bardzo mi zależy i jak wielka będzie moja wdzięczność. Ale to zawsze będzie tylko prośba. Uniżona suplika.

– Którą można potraktować odmownie?

– Tak jest. Ale spróbować nie zawadzi. Czym ryzykujemy? Płyńmy we dwoje na Hindarsfjall, przedstawmy tę suplikę. Ja dam kapłankom do zrozumienia, co należy. A potem już wszystko w twoich rękach. Negocjuj. Przedstaw argumenty. Próbuj przekupstwa. Drażnij ambicje. Odwołaj się do wyższych racji. Rozpaczaj, płacz, spazmuj, bierz na litość... Do wszystkich morskich diabłów, mam cię uczyć, Yennefer?

– To wszystko na nic, Crach. Czarodziejka nigdy nie dogada się z kapłankami. Zbyt ostre są pewne podziały... światopoglądowe. A w kwestii, by pozwolić czarodziejce użyć „świętego” reliktu czy artefaktu... Nie, zapomnieć trzeba o tym. Nie ma szans...

– Do czego ci właściwie ten brylant?

– Do budowy „okna”. To znaczy telekomunikacyjnego megaskopu. Muszę porozumieć się z kilkoma osobami.

– Magicznie? Na odległość?

– Gdyby wystarczyło wejść na szczyt Kaer Trolde i głośno wołać, nie zawracałabym ci głowy.

•

Darły się krążące nad wodą mewy i petrele. Przeraźliwie piszczały gnieżdżące się na stromych skałach i rafach Hindarsfjall czerwonodziobe ostrygojady, chrapliwie skrzeczały i gęgały żółtogłowe głuptaki. Czarne czubate morskie kormorany obserwowały przepływający barkas uważnym spojrzeniem swych zielono połyskujących oczu.

– Ta duża zwieszona nad wodą skała – wskazał oparty o reling Crach an Craite – to Kaer Hemdall, Czatownia Hemdalla. Hemdall to nasz mityczny bohater. Legenda mówi, że gdy nadejdzie Tedd Deireadh, Czas Końca, Czas Białego Mrozu i Wilczej Zamieci, Hemdall stawi czoło złym mocom z krainy Morhögg, upiorom, demonom i widmom Chaosu. Stanie na Tęczowym Moście i zadmie w róg na znak, że czas chwytać za broń i stawać w ordynku. Do Ragh nar Roog, Ostatniej Bitwy, która zadecyduje, czy zapadnie noc, czy nastanie świt.

Barkas zwinnie przeskoczył po fali, wpływając na spokojniejsze wody zatoki, między Czatownię Hemdalla a drugą skałę o równie fantastycznych kształtach.

– Ta mniejsza skała to Kambi – wyjaśnił jarl. – W naszych mitach imię Kambi nosi czarodziejski złoty kogut, który swym pianiem ostrzeże Hemdalla, że nadpływa Naglfar, piekielny drakkar wiozący armię Ciemności: demony i upiory z Morhöggu. Naglfar zbudowany jest z trupich paznokci. Nie uwierzysz, Yennefer, ale wciąż jeszcze są na Skellige ludzie, którzy przed pochówkiem obcinają zmarłym paznokcie, by nie przysparzać upiorom Morhöggu budulca.

– Uwierzę. Znam siłę legend.

Fiord zasłonił ich nieco od wiatru, żagiel załopotał.

– Dmijcie w róg – rozkazał załodze Crach. – Przybijamy do brzegu, trzeba dać znać świątobliwym paniom, że przybywamy w gości.

•

Położony na szczycie długich kamiennych schodów gmach wyglądał jak gigantyczny jeż – tak obrośnięty był mchem, bluszczem i krzakami. Na jego dachu, jak zauważyła Yennefer, rosły nie tylko krzaki, ale nawet małe drzewka.

– Oto i świątynia – potwierdził Crach. – Gaj, który ją otacza, zwie się Hindar i też jest miejscem kultu. To stąd bierze się świętą jemiołę, a na Skellige, jak wiesz, jemiołą przybiera się i dekoruje wszystko, od kołyski noworodka po mogiłę... Uważaj, schody są śliskie... Religia, he, he, mocno obrasta mchem... Pozwól, wezmę cię pod ramię... Wciąż ten sam rodzaj perfum... Yenna...

– Crach. Proszę cię. Co było, a nie jest, nie pisze się w rejestr.

– Wybacz. Chodźmy.

Przed świątynią czekało kilka młodych i milczących kapłanek. Jarl pozdrowił je uprzejmie, wyraził chęć rozmowy z ich przełożoną, którą nazywał Modron Sigrdrifą. Weszli do środka, do wnętrza rozświetlanego słupami światła bijącymi z wysoko umieszczonych witraży. Jeden z takich słupów oświetlał ołtarz.

– Do stu morskich diabłów – mruknął Crach an Craite. – Zapomniałem, jaki on jest wielki, ten Brisingamen. Nie byłem tu od dziecka... Za to można by chyba kupić wszystkie stocznie z Cidaris. Razem z pracownikami i roczną produkcją.

Jarl przesadzał. Ale nie bardzo.

Nad skromnym marmurowym ołtarzem, nad figurkami kotów i sokołów, nad kamienną misą wotywnych darów, górowała statua Modron Freyji, Wielkiej Matki, w jej typowym aspekcie maternalnym – kobiety w luźnych szatach zdradzających przesadnie podkreśloną przez rzeźbiarza ciążę. Z pochyloną głową i zakrytymi chustą rysami twarzy. Nad złożonymi na piersi dłońmi bogini widoczny był brylant, element złotego naszyjnika. Brylant był lekko błękitny w zabarwieniu. Najczystszej wody. Duży.

Na oko jakieś sto pięćdziesiąt karatów.

– Jego nawet nie trzeba by było ciąć – szepnęła Yennefer. – Ma szlif w rozetę, dokładnie taki, jakiego potrzebuję. Akuratne fasetki do defrakcji światła...

– To znaczy, że mamy szczęście.

– Wątpię. Za chwilę zjawią się kapłanki, a ja, jako bezbożnica, zostanę zelżona i wyrzucona stąd na zbity pysk.

– Przesadzasz?

– Ani trochę.

– Witam, jarlu, w świątyni Matki. Witam i ciebie, szanowna Yennefer z Vengerbergu.

Crach an Craite skłonił się.

– Bądź pozdrowiona, czcigodna matko Sigrdrifo.

Kapłanka była wysoka, prawie tak wysoka jak Crach – a to oznaczało, że Yennefer przewyższała o głowę. Miała jasne włosy i oczy, pociągłą, niezbyt ładną i niezbyt kobiecą twarz.

Gdzieś ją już widziałam, pomyślała Yennefer. Niedawno. Gdzie?

– Na schodach Kaer Trolde, prowadzących do portu – przypomniała z uśmiechem kapłanka. – Gdy drakkary wypływały z sundu. Stałam nad tobą, gdy niosłaś pomoc zaczynającej już ronić brzemiennej kobiecie. Na kolanach, nie troszcząc się o suknię z bardzo drogiego kamlotu. Widziałam to. I nigdy nie dam już ucha opowieściom o nieczułych i wyrachowanych czarodziejkach.

Yennefer chrząknęła, pochyliła głowę w ukłonie.

– Stoisz przed ołtarzem Matki, Yennefer. Niechaj więc spłynie na ciebie jej łaska.

– Czcigodna, ja... Chciałam cię uniżenie prosić...

– Nic nie mów. Jarlu, z pewnością masz wiele zajęć. Zostaw nas same, tu, na Hindarsfjall. My zdołamy się porozumieć. My jesteśmy kobietami. Nieważne, czym się trudnimy, kim jesteśmy: zawsze służymy tej, która jest Dziewicą, Matką i Staruchą. Uklęknij przy mnie, Yennefer. Pochyl głowę przed Matką.

•

– Zdjąć bogini z szyi Brisingamen? – powtórzyła Sigrdrifa, a w jej głosie więcej było niedowierzania niż świętego oburzenia. – Nie, Yennefer. To po prostu niemożliwe. Rzecz nawet nie w tym, że nie ośmieliłabym się... Nawet gdybym się odważyła, Brisingamenu zdjąć się nie da. Naszyjnik nie ma zapięcia. Jest trwale spojony z posągiem.

Yennefer długo milczała, mierząc kapłankę spokojnym wzrokiem.

– Gdybym wiedziała – powiedziała zimno – od razu odpłynęłabym wraz z jarlem na Ard Skellig. Nie, nie, czasu spędzonego na rozmowie z tobą bynajmniej nie uważam za stracony. Ale mam go bardzo mało.

Naprawdę bardzo mało. Przyznam, zwiodły mnie nieco twoja życzliwość i serdeczność...

– Jestem ci życzliwa – przerwała bez emocji Sigrdrifa. – Twoim planom również sprzyjam, całym sercem. Znałam Ciri, lubiłam to dziecko, porusza mnie jej los. Podziwiam cię za zdecydowanie, z jakim chcesz iść dziewczynie na ratunek. Spełnię każde twoje życzenie. Ale nie Brisingamen, Yennefer. Nie Brisingamen. O to nie proś.

– Sigrdrifo, by ruszyć Ciri na pomoc, muszę pilnie zdobyć nieco wiedzy. Kilka informacji. Bez nich będę bezsilna. Wiedzę i informacje mogę posiąść wyłącznie w drodze telekomunikacji. Żeby móc komunikować się na odległość, muszę skonstruować za pomocą magii magiczny artefakt: megaskop.

– Urządzenie w rodzaju waszej osławionej kryształowej kuli?

– Znacznie bardziej skomplikowane. Kula umożliwia telekomunikację wyłącznie z inną skorelowaną kulą. Kulę ma nawet tutejszy krasnoludzki bank, do komunikacji z kulą w centrali. Megaskop ma trochę większe możliwości... Ale po co teoretyzować? Bez brylantu i tak nic z tego nie wyjdzie. Cóż, będę się żegnać...

– Nie spiesz się tak.

Sigrdrifa wstała, przeszła przez nawę, zatrzymując się przed ołtarzem i posągiem Modron Freyji.

– Bogini – powiedziała – jest również patronką wieszczek. Jasnowidzek. Telepatek. Symbolizują to jej święte zwierzęta: kot, który słyszy i widzi ukryte, i sokół, który widzi z wysoka. Symbolizuje to klejnot bogini: Brisingamen, naszyjnik jasnowidzenia. Po co budować jakieś patrzące i słyszące urządzenia, Yennefer? Nie prościej zwrócić się o pomoc do bogini?

Yennefer w ostatniej chwili powstrzymała się, by nie zakląć. W końcu było to miejsce kultu.

– Zbliża się czas wieczornej modlitwy – podjęła Sigrdrifa. – Wraz z innymi kapłankami poświęcę się medytacji. Będę prosić boginię o pomoc dla Ciri. Dla Ciri, która nie jeden raz była tu, w tej świątyni, nie jeden raz patrzyła na Brisingamen na szyi Wielkiej Matki. Poświęć jeszcze godzinę lub dwie z twego cennego czasu, Yennefer. Zostań tu, z nami, na czas modłów. Wesprzyj mnie, gdy będę się modliła. Myślą i obecnością.

– Sigrdrifo...

– Proszę. Zrób to dla mnie. I dla Ciri.

•

Klejnot Brisingamen. Na szyi bogini.

Stłumiła ziewnięcie. Gdyby chociaż jakieś śpiewy, pomyślała, jakieś inkantacje, jakieś misteria... Jakiś mistyczny folklor... Byłoby mniej nudno, sen by tak nie morzył. Ale one po prostu klęczą, schyliwszy głowy. Bez ruchu, bez dźwięku.

Ale jednak potrafią, gdy chcą, operować Mocą, nieraz równie dobrze jak my, czarodziejki. Wciąż jest zagadką, jak one to robią. Żadnych przygotowań, żadnej nauki, żadnych studiów... Tylko modlitwa i medytacja. Dywinacja? Rodzaj autohipnozy? Tak twierdziła Tissaia de Vries... Czerpią energię nieświadomie, w transie nabywają zdolności jej przetworzenia analogicznej do naszych zaklęć. Przetwarzają energię, traktując to jako dar i łaskę bóstwa. Wiara daje im siłę.

Dlaczego nam, czarodziejkom, nigdy nie udało się nic takiego?

Spróbować? Korzystając z atmosfery i aury tego miejsca? Mogłabym przecież sama wprowadzić się w trans... Choćby patrząc na ten brylant... Brisingamen... Intensywnie myśląc o tym, jak świetnie pełniłby swą rolę w moim megaskopie...

Brisingamen... Błyszczy jak gwiazda zaranna, tam, w mroku, w dymie kadzideł i kopcących świec...

– Yennefer.

Poderwała głowę.

W świątyni było ciemno. Intensywnie pachniało dymem.

– Zasnęłam? Wybacz...

– Nie ma nic do wybaczania. Chodź ze mną.

Na zewnątrz nocne niebo pałało migotliwym, zmieniającym się jak w kalejdoskopie światłem. Zorza polarna? Yennefer przetarła oczy w zdumieniu. *Aurora borealis?* W sierpniu?

– Ile jesteś w stanie poświęcić, Yennefer?

– Słucham?

– Jesteś gotowa poświęcić siebie? Swoją bezcenną magię?

– Sigrdrifo – powiedziała ze złością. – Nie próbuj ze mną tych natchnionych sztuczek. Ja mam dziewięćdziesiąt cztery lata. Ale potraktuj to, proszę, jako tajemnicę spowiedzi. Zwierzam ci się tylko dlatego, byś zrozumiała, że nie można traktować mnie jak dziecka.

– Nie odpowiedziałaś na moje pytanie.

– I nie zamierzam. Bo to mistycyzm, którego nie akceptuję. Usnęłam na waszym nabożeństwie. Znużyło mnie i znudziło. Bo nie wierzę w twoją boginię.

Sigrdrifa odwróciła się, a Yennefer wbrew woli wzięła bardzo głęboki wdech.

– Niezbyt jest dla mnie pochlebna twoja niewiara – powiedziała kobieta o oczach wypełnionych płynnym złotem. – Ale czy twoja niewiara cokolwiek zmienia?

Jedynym, co Yennefer była w stanie zrobić, był wydech.

– Przyjdzie czas – powiedziała złotooka kobieta – gdy absolutnie nikt, wliczając dzieci, nie będzie wierzył w czarodziejki. Mówię ci to wyrachowanie złośliwie. W charakterze rewanżu. Chodźmy.

– Nie... – Yennefer udało się wreszcie przełamać pasywne wdychanie i wydychanie. – Nie! Nigdzie nie pójdę. Dość tego! To zauroczenie lub hipnoza. Iluzja! Trans! Mam wykształcone mechanizmy obronne... Mogę to wszystko rozwiać jednym zaklęciem, o, tak! Cholera...

Złotooka kobieta podeszła bliżej. Brylant w jej naszyjniku płonął jak gwiazda zaranna.

– Wasza mowa pomału przestaje służyć porozumieniu – powiedziała. – Staje się sztuką dla sztuki, im bardziej niezrozumiała, tym uważana za głębszą i mądrzejszą. Zaprawdę, wolałam was, gdy umieliście tylko: „E-e" i „Gugu". Chodź.

– To jest iluzja, trans... Nigdzie nie pójdę!

– Nie chcę cię zmuszać. To byłby wstyd. Jesteś przecież dziewczyną inteligentną i dumną, masz charakter.

Równina. Morze traw. Wrzosowisko. Głaz, wystający znad wrzosów jak grzbiet przyczajonego drapieżnika.

– Ty zapragnęłaś mojego klejnotu, Yennefer. Nie mogę ci go dać, nie upewniwszy się uprzednio względem niektórych spraw. Chcę sprawdzić, co w tobie tkwi. Dlatego przywiodłam cię tu, do tego miejsca, od niepamiętnych czasów będącego miejscem Mocy i Potęgi. Twoja bezcenna magia jest podobno wszędzie. Podobno wystarczy wyciągnąć rękę. Nie boisz się jej wyciągnąć?

Yennefer nie mogła wydobyć dźwięku ze ściśniętego gardła.

– Siła zdolna zmieniać świat – powiedziała kobieta, której nie wolno było nazywać imieniem – jest więc według ciebie Chaosem, sztuką i

nauką? Przekleństwem, błogosławieństwem i postępem? A nie jest przypadkiem Wiarą? Miłością? Poświęceniem?

Słyszysz? Pieje kogut Kambi. Fala bije o brzeg, fala pchana dziobem Naglfara. Rozbrzmiewa róg Hemdalla stojącego twarzą ku wrogom na tęczowym łuku Bifrostu. Nadciąga Białe Zimno, nadciąga wichura i zamieć... Ziemia drży od gwałtownych poruszeń Węża...

Wilk pożera słońce. Księżyc czernieje. Jest tylko zimno i ciemność. Nienawiść, zemsta i krew...

Po czyjej stronie staniesz, Yennefer? Czy będziesz na wschodnim, czy zachodnim krańcu Bifrostu? Będziesz z Hemdallem czy przeciw niemu?

Pieje kogut Kambi.

Decyduj, Yennefer. Wybieraj. Bo przecież tylko po to przywrócono cię kiedyś życiu, byś we właściwej chwili mogła dokonać wyboru.

Światło czy Ciemność?

– Dobro i Zło, Światło i Ciemność, Ład i Chaos? To tylko symbole, w rzeczywistości nie istnieje taka biegunowość! Światło i Mrok są w każdym, trochę tego i trochę tego. Bez sensu jest ta rozmowa. Bez sensu. Nie przestawię się na mistycyzm. Dla ciebie i dla Sigrdrify Wilk pożera Słońce. Dla mnie to jest zaćmienie. I niech tak zostanie.

Zostanie? Co?

Poczuła, jak ziemia ucieka jej spod nóg, jak jakaś potworna siła wykręca jej ręce, łamie stawy w barkach i łokciach, napina kręgi jak przy torturze *strappado*. Krzyknęła z bólu, targnęła się, otworzyła oczy. Nie, to nie był sen. To nie mógł być sen. Była na drzewie, wisiała rozpięta na konarach olbrzymiego jesionu. Nad nią, wysoko, kołował sokół, pod nią, w dole, w mroku, słyszała syk węży, chrzęst ocierających się o siebie łusek.

Coś poruszyło się obok niej. Po jej wyprężonym i obolałym ramieniu przebiegła wiewiórka.

– Czy jesteś gotowa? – spytała wiewiórka. – Czy jesteś gotowa na poświęcenie? Co jesteś gotowa poświęcić?

– Nie mam nic! – Ból oślepiał i paraliżował. – A nawet gdybym miała, nie wierzę w sens takiego poświęcenia! Ja nie chcę cierpieć za miliony! Ja nie chcę cierpieć w ogóle! Za nikogo i dla nikogo!

– Nikt nie chce cierpieć. A przecież jest to udziałem każdego. A niektórzy cierpią bardziej. Niekoniecznie z wyboru. Rzecz nie w tym, że znosi się cierpienie. Rzecz w tym, jak się je znosi.

•

Janka! Janeczka!

Zabierz ode mnie tego garbatego potwora! Nie chcę na niego patrzeć!

To twoja córka, tak samo jak moja.

Doprawdy? Dzieci, które ja spłodziłem, są normalne.

Jak śmiesz... Jak śmiesz sugerować...

To w twojej elfiej rodzinie były czarownice. To ty usunęłaś pierwszą ciążę. To przez to. Masz skażoną elfią krew i łono, kobieto. Dlatego rodzisz potwory.

To nieszczęśliwe dziecko... Taka była wola bogów! To twoja córka, tak samo jak i moja! Co miałam zrobić? Udusić ją? Nie podwiązywać pępowiny? Co mam zrobić teraz? Wyprowadzić ją do lasu i zostawić? Czego ty ode mnie chcesz, na bogów?

Tato! Mamo!

Precz, dziwolągu.

Jak śmiesz! Jak śmiesz bić dziecko! Stój! Dokąd idziesz? Dokąd? Do niej, tak? Do niej!

A tak, kobieto. Jestem mężczyzną, wolno mi zaspokajać żądze, gdzie chcę i kiedy chcę, to moje przyrodzone prawo. A ty mnie mierzisz. Ty i owoc twego zwyrodniałego żywota. Nie czekaj z wieczerzą. Nie wrócę na noc.

Mamo...

Dlaczego płaczesz?

Dlaczego mnie bijesz i odpychasz? Przecież byłam grzeczna...

•

Mamo! Mamusiu!

•

– Czy zdolna jesteś do wybaczania?

– Wybaczyłam już dawno.

– Nasyciwszy się pierwej zemstą.

– Tak.

– Żałujesz?

– Nie.

•

Ból, potworny ból masakrowanych dłoni i palców.

– Tak, jestem winna! Czy to chciałaś usłyszeć? Wyznanie i skruchę? Chciałaś usłyszeć, jak Yennefer z Vengerbergu kaja się i korzy? Nie, tej przyjemności ci nie dam. Winy wyznaję i oczekuję kary. Ale ty nie doczekasz się mojej skruchy!

Ból sięga granic tego, co człowiek jest w stanie wytrzymać.

– Wypominasz mi zdradzonych, oszukanych, wykorzystanych, wypominasz mi tych, co umarli przeze mnie z własnej ręki, z mojej ręki... To, że podniosłam kiedyś rękę na siebie? Miałam widać powody! I nie żałuję niczego! Choćbym mogła cofnąć czas... Nie żałuję niczego.

Sokół usiadł na jej ramieniu.

Wieża Jaskółki. Wieża Jaskółki. Spiesz do Wieży Jaskółki.

Córeczko.

•

Pieje kogut Kambi.

•

Ciri na karej klaczy, z szarymi włosami targanymi wiatrem w galopie. Z jej twarzy leje się i pryska krew, jaskrawa, żywa czerwień. Kara klacz wzbija się jak ptak, gładko prześlizguje się nad belką kołowrotu. Ciri chwieje się w siodle, ale nie spada...

Ciri wśród nocy, wśród kamienno-piaszczystego pustkowia, ze wzniesioną ręką, z ręki wylatuje świecąca kula... Jednorożec grzebiący kopytem żwir... Wiele jednorożców... Ogień... Ogień...

Geralt na moście. W walce. W ogniu. Płomień odbija się w ostrzu miecza.

Fringilla Vigo, jej zielone oczy szeroko rozwarte w rozkoszy, jej ciemna ostrzyżona główka na otwartej księdze, na frontyspisie... Widać fragment tytułu: *Uwagi o śmierci niechybnej...*

W oczach Fringilli odbijają się oczy Geralta.

Otchłań. Dym. Schody prowadzące w dół. Schody, którymi trzeba zejść. Coś się kończy. Nadchodzi Tedd Deireadh, Czas Końca...

Ciemność. Wilgoć. Przeraźliwe zimno kamiennych ścian. Zimno żelaza na przegubach rąk, na kostkach nóg. Ból tętniący w zmasakrowanych dłoniach, rwący w zmiażdżonych palcach...

Ciri trzyma ją za rękę. Długi, ciemny korytarz, kamienne kolumny, może posągi... Mrok. W nim szepty, ciche jak szum wiatru.

Drzwi. Nieskończenie wiele drzwi o gigantycznych, ciężkich skrzydłach otwiera się przed nimi bez szmeru. A na końcu, w nieprzebitej ciemności, takie, które nie otworzą się same. Których otworzyć nie wolno.

Jeżeli się boisz, zawróć.

Nie wolno otworzyć tych drzwi. Ty o tym wiesz.

Wiem.

A jednak prowadzisz mnie tam.

Jeżeli się boisz, zawróć. Jeszcze jest czas, by zawrócić. Jeszcze nie jest za późno.

A ty?

Dla mnie jest.

Pieje kogut Kambi.

Nadszedł Tedd Deireadh.

Aurora borealis.

Świt.

•

– Yennefer. Zbudź się.

Poderwała głowę. Spojrzała na dłonie. Miała obie. Całe.

– Sigrdrifa? Zasnęłam...

– Chodź.

– Dokąd? – szepnęła. – Dokąd tym razem?

– Słucham? Nie rozumiem cię. Chodź. Musisz to zobaczyć. Coś się stało... Coś dziwnego. Żadna z nas nie wie, jak i czym to wytłumaczyć. A ja się domyślam. Łaska... Spłynęła na ciebie łaska bogini, Yennefer.

– O co chodzi, Sigrdrifo?

– Spójrz.

Spojrzała. I westchnęła głośno.

Brisingamen, święty klejnot Modron Freyji, nie wisiał już na szyi bogini. Leżał u jej stóp.

•

– Dobrze słyszę? – upewnił się Crach an Craite. – Przenosisz się z twym magicznym warsztatem na Hindarsfjall? Kapłanki udostępnią ci święty brylant? Pozwolą wykorzystać go w twej piekielnej machinie?

– Tak.

– No, no. Yennefer, czy ty się aby nie nawróciłaś? Co się tam wydarzyło, na wyspie?

– Nieważne. Wracam do świątyni i tyle.

– A środki finansowe, o które prosiłaś? Będą potrzebne?

– Raczej tak.

– Seneszal Guthlaf wypełni każde twoje odnośne polecenie. Ale, Yennefer, wydaj te polecenia szybko. Pospiesz się. Odebrałem nowe wieści.

– Cholera, tego się obawiałam. Wiedzą już, gdzie jestem?

– Nie, jeszcze nie wiedzą. Ostrzeżono mnie natomiast, że możesz się pojawić na Skellige, i polecono natychmiast uwięzić. Polecono też brać na wyprawach jeńców i dywulgować z nich informacje, choćby nawet strzępki informacji dotyczące ciebie. Twojej bytności w Nilfgaardzie lub w prowincjach. Yennefer, pospiesz się. Gdyby cię wyśledzili i dopadli tu, na Skellige, znalazłbym się w lekko kłopotliwej sytuacji.

– Zrobię, co w mojej mocy. Także w tym kierunku, by cię nie skompromitować. Nie bój się.

Crach wyszczerzył zęby.

– Powiedziałem: lekko. Ja się ich nie boję. Ani królów, ani czarodziejów. Nic mi nie mogą zrobić, bo jestem im potrzebny. A do tego, by udzielić ci pomocy, byłem zobowiązany przysięgą lenną. Tak, tak, dobrze słyszysz. Formalnie nadal jestem wasalem korony Cintry. A Cirilla ma do tej korony formalne prawa. Reprezentując Cirillę, będąc jej jedyną opiekunką, masz formalne prawo rozkazywać mi, domagać się posłuszeństwa i serwitutów.

– Kazuistyczne sofizmaty.

– No pewnie – parsknął. – Sam to zakrzyknę, wielkim głosem, gdyby mimo wszystko okazało się jednak prawdą, że Emhyr var Emreis zmusił dziewczynę do małżeństwa. Także wtedy, gdyby za pomocą jakichś prawniczych kruczków i zakrętasów wyzuto Ciri z praw do tronu i podstawiono kogoś innego, choćby tego bęcwała Vissegerda. Wtedy bez zwłoki wypowiem posłuszeństwo i przysięgę lenniczą.

– A gdyby – Yennefer zmrużyła oczy – mimo wszystko okazało się, że Ciri nie żyje?

– Ona żyje – rzekł twardo Crach. – Wiem to na pewno.

– Skąd?

– Nie będziesz chciała dać wiary.

– Wypróbuj mnie.

– Krew królowych Cintry – zaczął Crach – przedziwnie związana jest z morzem. Gdy umiera któraś z kobiet tej krwi, morze wpada w istne szaleństwo. Mówi się, że Ard Skellig opłakuje córki Riannon. Bo sztorm jest wtedy tak silny, że bijące od zachodu fale przeciskają się przez szczeliny i jaskinie po stronie wschodniej i nagle ze skały tryskają słone ruczaje. A cała wyspa drży. Prosty lud mówi: oto Ard Skellig szlocha. Znowu ktoś umarł. Umarła krew Riannon. Starsza Krew.

Yennefer milczała.

– To nie jest bajka – podjął Crach. – Sam to widziałem, na własne oczy. Trzykrotnie. Po śmierci Adalii Wróżki, po śmierci Calanthe... I po śmierci Pavetty, matki Ciri.

– Pavetta – zauważyła Yennefer – zginęła właśnie w czasie sztormu, trudno więc mówić...

– Pavetta – przerwał Crach, nadal zamyślony – nie zginęła w czasie sztormu. Sztorm zaczął się po jej śmierci, morze jak zwykle zareagowało na zgon kogoś z cintryjskiej krwi. Badałem tę sprawę dostatecznie długo. I jestem pewien swego.

– To znaczy, czego?

– Statek, którym płynęli Pavetta i Duny, przepadł na osławionej Głębi Sedny. Nie był to pierwszy statek, który tam przepadł. Z pewnością wiesz o tym.

– Bajki. Statki ulegają katastrofom, to rzecz raczej naturalna...

– Na Skellige – przerwał ostro – wiemy dość o statkach i żegludze, by móc odróżniać katastrofy naturalne od nienaturalnych. Na Głębi Sedny staki giną nienaturalnie. I nieprzypadkowo. To samo dotyczy statku, którym płynęli Pavetta i Duny.

– Nie polemizuję – westchnęła czarodziejka. – Jakie to zresztą ma znaczenie? Po piętnastu bez mała latach?

– Dla mnie ma – zacisnął usta jarl. – Ja wyświetlę tę sprawę. To tylko kwestia czasu. Będę wiedział... Znajdę wyjaśnienia. Znajdę wyjaśnienia wszystkich zagadek. Także tej z czasu rzezi Cintry...

– Jaka to z kolei zagadka?

– Gdy Nilfgaardczycy wdarli się do Cintry – mruknął, patrząc w okno – Calanthe rozkazała tajemnie wywieźć Ciri z miasta. Rzecz w tym, że miasto już płonęło, Czarni byli wszędzie, szanse na wydostanie się z oblężenia były nikłe. Odradzano królowej tę ryzykowną imprezę,

sugerowano, by Ciri formalnie kapitulowała przed hetmanami Nilfgaardu, w ten sposób uratuje życie i cintryjską rację stanu. Na płonących ulicach niechybnie i bezsensownie zginie z rąk żołdackiej tłuszczy. A Lwica... Wiesz, co według naocznych świadków odpowiedziała?

– Nie.

– „Niech lepiej krew dziewczyny popłynie po bruku Cintry, niż by miała być splugawiona". Splugawiona czym?

– Małżeństwem z cesarzem Emhyrem. Plugawym Nilfgaardczykiem. Jarlu, już późno. Jutro o świcie zaczynam... Będę informować cię o postępach.

– Liczę na to. Dobranoc, Yenna... Hmmm....

– Co, Crach?

– Czy nie miałabyś, hmmm, ochoty...

– Nie, jarlu. Co było, a nie jest, nie pisze się w rejestr. Dobranoc.

•

– Proszę, proszę – Crach an Craite przyjrzał się gościowi, przekrzywiwszy głowę. – Triss Merigold we własnej osobie. Cóż za prześliczna suknia. A futro... to szynszyle, prawda? Zapytałbym, cóż to sprowadza cię na Skellige... Gdybym nie wiedział, co cię sprowadza. Ale wiem.

– Świetnie – Triss uśmiechnęła się uwodzicielsko, poprawiła swe piękne kasztanowate włosy. – Świetnie, że wiesz, jarlu. Oszczędzi nam to wstępu i wstępnych wyjaśnień, pozwoli przejść od razu do rzeczy.

– Do jakich rzeczy? – Crach skrzyżował ręce na piersi i zmierzył czarodziejkę zimnym wzrokiem. – Cóż to mielibyśmy poprzedzać wstępami, na jakież to wyjaśnienia liczysz? Kogo ty reprezentujesz, Triss? W czyim imieniu przybywasz? Król Foltest, któremu służyłaś, podziękował ci za służbę banicją. Choć w niczym nie zawiniłaś, wygnał cię z Temerii. Wzięła cię, jak słyszałem, pod skrzydła Filippa Eilhart, obecnie wraz z Dijkstrą sprawująca w Redanii faktyczne rządy. Jak widzę, odwdzięczasz się za azyl, jak możesz najlepiej. Nie wahasz się nawet podejmować roli tajnego agenta do tropienia twej byłej przyjaciółki.

– Obrażasz mnie, jarlu.

– Uniżenie przepraszam. Jeśli się pomyliłem. Pomyliłem się?

Milczeli długo, mierząc się nieufnym wzrokiem. Wreszcie Triss żachnęła się, zaklęła, tupnęła obcasikiem.

– Ach, do diabła! Przestańmy wodzić się wzajem za nosy! Jakie teraz ma znaczenie, kto komu służy, kto z kim trzyma, kto komu dochowuje wiary i z jakich motywacji? Yennefer nie żyje. Nadal nie wiadomo, gdzie i w czyjej mocy jest Ciri... Jaki sens ma ta zabawa w sekrety? Nie przypłynęłam tu jako szpieg, Crach. Przybyłam tu z własnej inicjatywy, jako osoba prywatna. Powodowana troską o Ciri.

– Wszyscy troszczą się o Ciri. Ma dziewczyna szczęście.

Oczy Triss zabłysły.

– Nie drwiłabym z tego. Na twoim miejscu zwłaszcza.

– Wybacz.

Milczeli, patrząc w okno, na czerwone słońce zachodzące za lesiste szczyty Spikeroog.

– Triss Merigold.

– Słucham, jarlu.

– Zapraszam cię na kolację. Aha, kucharz kazał zapytać, czy wszystkie czarodziejki gardzą dobrze przyrządzonymi owocami morza?

•

Triss nie gardziła owocami morza. Przeciwnie, zjadła ich dwa razy więcej, niż zamierzała, i teraz zaczęła się obawiać o talię – o te dwadzieścia dwa cale, z których była tak dumna. Postanowiła wspomóc trawienie białym winem, słynnym Est Est z Toussaint. Podobnie jak Crach, piła je z rogu.

– Tak więc – podjęła rozmowę – Yennefer zjawiła się tu dziewiętnastego sierpnia, spektakularnie spadając z nieba w rybackie sieci. Ty, jako wierny lennik Cintry, udzieliłeś jej azylu. Pomogłeś zbudować megaskop... Z kim i o czym rozmawiała, oczywiście nie wiesz.

Crach an Craite tęgo pociągnął z rogu i stłumił beknięcie.

– Nie wiem – uśmiechnął się chytrze. – Pewnie, że nic nie wiem. Skąd ja, biedny i prosty żeglarz, mógłbym wiedzieć cokolwiek o poczynaniach możnych czarodziejek?

•

Sigrdrifa, kapłanka Modron Freyji, nisko opuściła głowę, jak gdyby pytanie Cracha an Craite przytłoczyło ją tysiącfuntowym ciężarem.

– Ona mi zaufała, jarlu – wymamrotała ledwie słyszalnie. – Nie wymagała składania przysięgi milczenia, ale w sposób oczywisty zależało jej na dyskrecji. Ja naprawdę nie wiem, czy...

– Modron Sigrdrifo – przerwał poważnie Crach an Craite – To, o co cię proszę, to nie donosicielstwo. Podobnie jak ty, sprzyjam Yennefer, podobnie jak ty pragnę, by odnalazła i ocaliła Ciri. Ba, ja złożyłem Bloedgeas, przysięgę krwi! Zaś co do Yennefer, to kieruje mną troska o nią. To kobieta niezwykle dumna. Nawet idąc na bardzo duży hazard, nie zniży się do próśb. Trzeba zatem będzie, nie wykluczam tego, pospieszyć jej z pomocą nieproszoną. Aby móc to zrobić, potrzebuję informacji.

Sigrdrifa odchrząknęła. Minę miała niewyraźną. A gdy zaczęła mówić, jej głos drżał lekko.

– Skonstruowała tę jej machinę... W sumie to wcale nie machina, bo nie ma tam żadnego mechanizmu, tylko dwa zwierciadła, czarna aksamitna kotara, pudło, dwie soczewki, cztery lampy, no i oczywiście Brisingamen... Gdy ona wypowiada zaklęcie, światło z dwóch lamp pada...

– Zostawmy detale. Z kim się komunikowała?

– Rozmawiała z kilkoma osobami. Z czarodziejami... Jarlu, nie słyszałam wszystkiego, ale to, co usłyszałam... Wśród nich są ludzie prawdziwie nikczemni. Żaden nie chciał pomagać bezinteresownie... Żądali pieniędzy... Wszyscy żądali pieniędzy...

– Wiem – mruknął Crach. – Bank poinformował mnie o przekazach, jakie uruchomiła. Ładny, oj, ładny grosz kosztuje mnie moja przysięga! Ale pieniądze to rzecz nabyta. To, co wydałem na Yennefer i Ciri, zrekompensuję sobie na nilfgaardzkich prowincjach. Ale mów dalej, matko Sigrdrifo.

– Niektórych – kapłanka spuściła głowę – Yennefer zwyczajnie szantażowała. Dawała do zrozumienia, że jest w posiadaniu kompromitujących informacji i że wobec odmowy współpracy ujawni je całemu światu... Jarlu... To mądra i w sumie dobra kobieta... Ale skrupułów to ona nie ma żadnych. Jest bezwzględna. I bezlitosna.

– To akurat wiem. O szczegółach szantaży natomiast wiedzieć nie chcę, a i tobie radzę jak najszybciej o nich zapomnieć. To niebezpieczna wiedza. Z takim ogniem postronni nie powinni igrać.

– Wiem, jarlu. Tobie winna jestem posłuszeństwo... I wierzę, że twoje cele uświęcają środki. Nikt inny nie dowie się ode mnie niczego. Ani przyjaciel w przyjacielskiej pogawędce, ani wróg na torturach.

– Dobrze, Modron Sigrdrifo. Bardzo dobrze... Czego dotyczyły pytania Yennefer, pamiętasz?

– Nie zawsze i nie wszystko pojmowałam, jarlu. Posługiwali się żargonem, który ciężko wyrozumieć... Była często mowa o jakimś Vilgefortzu...

– Jakżeby inaczej – Crach słyszalnie zgrzytnął zębami. Kapłanka spojrzała na niego przestraszonym wzrokiem.

– Mówiono też dużo o elfach i o Wiedzących – podjęła. – I o magicznych portalach. Była mowa nawet o Głębi Sedny... Głównie jednak, jak mi się zdaje, chodziło o wieże.

– O wieże?

– Tak. O dwie. Wieżę Mewy i Wieżę Jaskółki.

•

– Tak przypuszczałam – powiedziała Triss. – Yennefer zaczęła od zdobycia tajnego raportu komisji Radcliffe'a, która badała sprawę wypadków na Thanedd. Nie wiem, jakie wieści o tej aferze dotarły tu, na Skellige... Słyszałeś o teleporcie Wieży Mewy? I o komisji Radcliffe'a?

Crach an Craite spojrzał na czarodziejkę podejrzliwie.

– Tu, na wyspy – wykrzywił się – nie dociera ni polityka, ni kultura. Jesteśmy zacofani.

– Komisja Radcliffe'a – Triss uznała za celowe nie zwracać uwagi ani na jego ton, ani minę – szczegółowo zbadała wiodące z Thanedd ślady teleportacyjne. Znajdujący się na wyspie portal Tor Lara, dopóki istniał, negował w znacznym promieniu wszelką magię teleportacyjną. Ale, jak niezawodnie wiesz, Wieża Mewy eksplodowała i rozpadła się, czyniąc teleportację możliwą. Większość uczestników wypadków na Thanedd wydostała się z wyspy za pomocą utworzonych portali.

– W samej rzeczy – uśmiechnął się jarl. – Ty, żeby daleko nie szukać, poleciałaś prosto do Brokilonu. Z wiedźminem na plecach.

– No proszę – Triss spojrzała mu w oczy. – Nie dociera polityka, nie dociera kultura, a plotki docierają. Ale zostawmy to chwilowo, wróćmy do prac komisji Radcliffe'a. Komisji chodziło o dokładne ustalenie, kto się z Thanedd teleportował i dokąd. Użyto tak zwanych synopsów,

czarów zdolnych odtworzyć obraz przeszłych wydarzeń i zestawić wykryte ślady teleportacyjne z kierunkami, do których wiodły, a w konsekwencji przypisać do określonych osób, które portale otwarły. Udało się praktycznie we wszystkich przypadkach. Poza jednym. Jeden ślad teleportacyjny wiódł donikąd. Dokładniej, w morze. Na Głębię Sedny.

– Ktoś – domyślił się z miejsca jarl – teleportował się na czekający w umówionym miejscu statek. Ciekawe tylko, że tak daleko... I w miejsce o tak złej sławie. No, ale jeśli topór wisi nad karkiem...

– Właśnie. Komisja też na to wpadła. I sformułowała wniosek następujący: To Vilgefortz, schwytawszy Ciri i mając odciętą inną drogę ucieczki, skorzystał z wyjścia rezerwowego: wraz z dziewczyną teleportował się na Głębię Sedny, na czekający tam nilfgaardzki okręt. To właśnie według komisji wyjaśnia fakt, że Ciri była przedstawiona na dworze cesarskim w Loc Grim już dziesiątego lipca, zaledwie dziesięć dni po wydarzeniach na Thanedd.

– No, tak – jarl zmrużył oczy. – To wiele wyjaśnia. Ma się rozumieć, pod warunkiem. że komisja się nie pomyliła.

– Owszem. – Czarodziejka wytrzymała spojrzenie, pozwoliła sobie nawet na drwiący uśmieszek. – W Loc Grim, ma się rozumieć, mógł być równie dobrze zaprezentowany sobowtór, nie prawdziwa Ciri. To też może wiele wyjaśniać. Nie wyjaśnia jednak jeszcze jednego faktu, który ustaliła komisja Radcliffe'a. Tak dziwnego, że w pierwszej wersji raportu pominięto go jako zbyt nieprawdopodobny. W drugiej wersji raportu, ściśle utajnionej, ten fakt podano jednak. Jako hipotezę.

– Zamieniłem się w słuch już jakiś czas temu, Triss.

– Hipoteza komisji brzmi: teleport Wieży Mewy był czynny, działał. Ktoś nim przeszedł, a energia tego przejścia była tak silna, że teleport eksplodował i uległ destrukcji.

– Yennefer – podjęła po chwili Triss – musiała się o tym dowiedzieć. O tym, co wykryła komisja Radcliffe'a. Co umieściła w tajnym raporcie. Istnieje mianowicie szansa... Cień szansy... Że Ciri udało się bezpiecznie przejść portalem Tor Lara. Że umknęła przed Nilfgaardem i przed Vilgefortzem...

– Gdzież tedy się znajduje?

– Też chciałabym to wiedzieć.

•

Było diabelnie ciemno, skryty za zwałami chmur księżyc w ogóle nie dawał światła. W porównaniu do poprzednich noc była jednak wyjątkowo mało wietrzna i dzięki temu nie tak zimna. Czółno lekko tylko kołysało się na pomarszczonej falkami powierzchni wody. Pachniało bagnem. Butwiejącym zielskiem. I węgorzym śluzem.

Gdzieś pod brzegiem bóbr strzelił ogonem o wodę, tak, że oboje podskoczyli. Ciri była pewna, że Vysogota zadrzemał, a bóbr go obudził.

– Opowiadaj dalej – powiedziała, wycierając nos czystą, nie pokrytą jeszcze śluzem częścią rękawa. – Nie śpij. Gdy ty przysypiasz, mnie również oczy się kleją, jeszcze prąd nas zniesie i obudzimy się na morzu! Opowiadaj dalej o tych teleportach!

– Uciekając z Thanedd – podjął pustelnik – przeszłaś przez portal Wieży Mewy, Tor Lara. A Geoffrey Monck, największy chyba autorytet w kwestii teleportacji, autor dzieła zatytułowanego *Magia Starszego Ludu*, będącego *opus magnum* wiedzy o elfich teleportach, pisze, że portal Tor Lara wiedzie do Wieży Jaskółki, Tor Zireael...

– Teleport z Thanedd był spaczony – przerwała Ciri. – Może dawniej, nim się popsuł, to wiódł do jakiejś jaskółki. Ale teraz wiedzie na pustynię. To się nazywa: portal chaotyczny. Uczyłam się o tym.

– Ja, wyobraź sobie, też – parsknął staruszek. – Wiele z tych nauk pamiętam. Dlatego też tak zdumiewa mnie twoja opowieść... Niektóre jej fragmenty. Właśnie te, które dotyczą teleportacji...

– Możesz mówić jaśniej?

– Mogę, Ciri. Mogę. Ale teraz czas najwyższy wyciągnąć żak. Już pewnie nalazło do niego węgorzy. Gotowa?

– Gotowa. – Ciri popluła w dłonie i chwyciła bosak. Vysogota ujął za niknący w wodzie sznur.

– Wyciągamy. Raz, dwa... trzy! I do łodzi! Łap je, Ciri, łap! Do kosza, bo pouciekają!

•

Już drugą noc wypływali dłubanką na bagnisty dopływ rzeki, zastawiali żaki i więcierze na węgorze, masami ciągnące ku morzu. Wracali do chałupy grubo po północy, ubabrani śluzem od góry do dołu, mokrzy i zmęczeni jak diabli.

Ale nie kładli się od razu spać. Połów przeznaczony na handel wymienny trzeba było umieścić w skrzyniach i dobrze zabezpieczyć –

gdyby węgorze znalazły najmniejszą szczelinę, rano w skrzyni nie byłoby ani jednego. Po skończonej pracy Vysogota obdzierał ze skóry dwa lub trzy co grubsze węgorzyska, krajał je na dzwonka, obtaczał w mące i smażył na ogromnej patelni. Potem jedli i gadali.

– Widzisz, Ciri, mnie ciągle spać nie daje jedna rzecz. Nie zapomniałem, jak zaraz po twoim wyzdrowieniu nie mogliśmy zgodzić się co do dat, przy czym rana na twoim policzku stanowiła najdokładniejszy z możliwych kalendarz. Rana ta nie mogła być starsza niż dziesięć godzin, ty zaś upierałaś się, że zraniono cię przed czterema dniami. Choć pewien byłem, że chodzi o zwykłą pomyłkę, nie mogłem przestać myśleć o tym, wciąż zadawałem sobie pytanie: gdzie podziały się te zgubione cztery dni?

– No i co? Gdzie one się, twoim zdaniem, podziały?

– Nie wiem.

– To pięknie.

Kot wykonał długi sus, przygwożdżona pazurami mysz zapiszczała cienko. Kocur bez pośpiechu zgryzł jej kark, wypruł wnętrzności i zaczął je z apetytem zjadać. Ciri przyglądała się beznamiętnie.

– Teleport Wieży Mewy – zaczął znowu Vysogota – wiedzie do Wieży Jaskółki. A Wieża Jaskółki...

Kot zjadł całą mysz, ogon zostawiając na deser.

– Teleport Tor Lara – powiedziała Ciri, ziewając szeroko – jest spaczony i wiedzie na pustynię. Mówiłam ci chyba ze sto razy.

– Nie w tym rzecz, ja o czym innym. O tym, że jest połączenie między tymi dwoma teleportami. Portal Tor Lara był spaczony, zgoda. Ale jest jeszcze teleport Tor Zireael. Gdybyś dotarła do Wieży Jaskółki, mogłabyś teleportować się z powrotem na wyspę Thanedd. Znalazłabyś się daleko od grożącego ci niebezpieczeństwa, poza zasięgiem twych wrogów.

– Ha! To by mi pasowało. Jest jednak jeden mały szkopuł. Ja nie mam pojęcia, gdzie jest owa Wieża Jaskółki.

– Na to, być może, znajdę remedium. Wiesz, Ciri, co dają człowiekowi studia uniwersyteckie?

– Nie. Co?

– Umiejętność korzystania ze źródeł.

•

– Wiedziałem – powiedział z dumą Vysogota – że znajdę. Szukałem, szukałem i... O, psiakrew...

Naręcze ciężkich ksiąg wymknęło mu się z palców, inkunabuły rymnęły na polepę, karty wyleciały z zetlałych opraw i rozsypały się bezładnie.

– Co znalazłeś? – Ciri kucnęła obok, pomogła mu pozbierać porozrzucane stronice.

– Wieżę Jaskółki! – Pustelnik odpędził kocura, który bezczelnie usadowił się na jednej ze stronic. – Tor Zireael. Pomóż mi.

– Ależ to obrosło kurzem! Aż się lepi! Vysogoto? Co to jest? Tu, na tym obrazku? Ten człowiek wiszący na drzewie?

– To? – Vysogota przyjrzał się luźnej stronicy. – Scena z legendy o Hemdallu. Heros Hemdall wisiał przez dziewięć dni i dziewięć nocy na Jesionie Światów, by poprzez poświęcenie i ból posiąść wiedzę i moc.

– Kilka razy – Ciri potarła czoło – śniło mi się coś takiego. Człowiek wiszący na drzewie...

– Grawiura wypadła, o, z tej księgi. Jeśli chcesz, możesz później poczytać. Teraz jednak ważniejsze jest... O, nareszcie, mam. *Peregrynacje po szlakach i miejscach magicznych* Buyvida Backhuysena, książka przez niektórych uznawana za apokryf...

– Znaczy, za blagę?

– Mniej więcej. Ale byli i tacy, którzy książkę doceniali... O, posłuchaj... Zaraza, jak tu ciemno...

– Światła jest dość, to ty ze starości ślepniesz – powiedziała Ciri z właściwym młodości beznamiętnym okrucieństwem. – Daj, sama przeczytam. Od którego miejsca?

– Tu – pokazał kościstym palcem. – Czytaj na głos.

•

– Dziwacznym językiem pisał ten cały Buyvid. Assengard to był chyba jakiś zamek, jeśli się nie mylę. Ale co to za kraina: Stojeziory? Nigdy o takiej nie słyszałam. I co to jest trifolium?

– Koniczynka. A o Assengardzie i Stujeziorach opowiem ci, gdy dokończysz czytania.

•

– I jako żywo, ledwie elf Avallac'h one słowa wyrzekł, jak wybiegli spod wód jeziornych ptaszkowie owi mali i czarni, co się na dnie

odmętu całą zimę przed mrozem chronili. Albowiem jaskółka, jak to wiedzą ludzie uczeni, trybem innych ptaków na wyraj nie leci i wiosną nie powraca, lecz pazurkami w wielkie kupy się poszczepiawszy, na dno wód zapada, tam całą zimową porę przepędza i dopiero wiosną spód wód *de profundis* wylata. Jest atoli ten ptak nie tylko wiosny i nadziei symbolem, ale i czystości nieskalanej wzorem, albowiem na ziemi nigdy nie siadywa i z ziemskim brudem i plugastwem styczności nijakiej nie ma.

– Wróćmy jednakoż do jeziora naszego: krążący ptaszkowie mgłę, rzekłbyś, skrzydłeczkami swemi rozproszyli, bo *tandem* niespodzianie wyłoniła się z mgły wieżyca cudowna, czarnoksięska, a myśmy jednym westchnęli podziwu głosem, bo była ona wieżyca jakoby z oparu utkana, mgły mająca za *fundamentum*, a u szczytu zwieńczona lśnieniem zorzy, czarnoksięską *aurora borealis*. Zaiste, potężną magiczną sztuką musiała być owa wieża zbudowana, ponad ludzkie zrozumienie.

– Spostrzegł naszą admiracyję elf Avallac'h i rzekł: „Oto Tor Zireael, Wieża Jaskółki. Oto Brama Światów i Wrota Czasu. Naciesz, człowieku, oczy tym widokiem, bo nie każdemu i nie zawżdy bywa on dany."

– Pytany zaś, azali przybliżyć się można i z bliska na ową Wieżę poglądnąć albo *propria manu* dotknąć, zaśmiał się Avallac'h. „Tor Zireael, rzekł, to dla was marzenie senne, nie dotyka się marzenia. I dobrze to, dobawił, albowiem Wieża służy jedynie Wiedzącym i nielicznym Wybranym, dla których Wrota Czasu są bramami nadziei i odrodzenia. Ale dla profanów są to bramy koszmaru."

– Ledwie te słowa wyrzekł, opadły znowu mgły i prospektu owego czarownego oczom naszym odmówiły...

•

– Kraina Stojeziory – wyjaśnił Vysogota – dzisiaj nazywa się Mil Trachta. Jest to bardzo rozległe, przecięte rzeką Yeleną pojezierze w północnej części Metinny, blisko granicy z Nazairem i Mag Turga. Buyvid Backhuysen pisze, że szli ku jezioru z północy, od strony Assengardu... Dziś nie ma już Assengardu, zostały tylko ruiny, najbliższym miastem jest Neunreuth. Buyvid wyliczył od Assengardu sześćset stajań. Różne stajania bywały w użyciu, ale przyjmijmy najpopularniejszą rachubę, zgodnie z którą sześćset stajań daje na

okrągło pięćdziesiąt mil. Na południe od Assengardu, który od nas, od Pereplutu, oddalony jest o jakieś trzysta pięćdziesiąt mil. Inaczej mówiąc, od Wieży Jaskółki oddziela cię plus minus trzysta mil, Ciri. Na twojej Kelpie to jakieś dwa tygodnie drogi. Oczywiście wiosną. Nie teraz, gdy za dzień lub dwa mogą przyjść mrozy.

– Z Assengardu, o którym czytałam – mruknęła Ciri, marszcząc w zamyśleniu nos – zostały od tamtych czasów ruiny. A ja na własne oczy widziałam elfie miasto Shaerrawedd w Kaedwen, byłam tam. Ludzie wydłubali i wyszabrowali wszystko, zostawili tylko goły kamień. Założę się, że z twojej Wieży Jaskółki też zostały kamienie, te większe, bo mniejsze pewnie pokradli. Jeśli w dodatku był tam portal...

– Tor Zireael była magiczna. Nie dla wszystkich widzialna. A teleporty nigdy nie są widzialne.

– Prawda – przyznała i zamyśliła się. – Ten na Thanedd nie był. Pojawił się nagle na gołej ścianie... W samą porę zresztą się pojawił, bo ten czarownik, który mnie ścigał, już był blisko... Już go słyszałam... I wówczas, jak na zawołanie, pojawił się portal.

– Jestem pewien – powiedział cicho Vysogota – że gdybyś trafiła do Tor Zireael, tamtejszy teleport też ci się objawi. Choćby w ruinach, wśród gołych kamieni. Jestem pewien, że udałoby się ci odnaleźć go i uaktywnić. A on, pewien jestem, usłuchałby twego rozkazu. Bo ja myślę, Ciri, że ty jesteś wybranką.

•

– Twoje włosy, Triss, są jak ogień w świetle świec. A twoje oczy są jak lapis lazuli. Twoje wargi są jak korale...

– Przestań, Crach. Upiłeś się, czy jak? Nalej mi jeszcze wina. I opowiadaj.

– O czym niby?

– Nie udawaj! O tym, jak Yennefer postanowiła popłynąć na Głębię Sedny.

•

– Jak ci idzie? Opowiadaj, Yennefer.

– Wpierw ty odpowiedz mi na pytanie: kim są te dwie kobiety, które niezmiennie spotykam, gdy idę do ciebie? A które zawsze obdarzają mnie spojrzeniami, normalnie zarezerwowanymi dla leżącego na dywanie kociego gówna? Kim one są?

– Czy interesuje cię stan formalno-prawny, czy faktyczny?

– Ten drugi.

– W takim razie to są moje żony.

– Rozumiem. Wyjaśnij im może przy sposobności, że co było, a nie jest, nie pisze się w rejestr.

– Wyjaśniałem. Ale baby, jak to baby. Mniejsza z tym. Opowiadaj, Yennefer. Interesują mnie postępy w twej pracy.

– Niestety – czarodziejka zagryzła wargi – postępy są znikome. A czas ucieka.

– Ucieka – kiwnął głową jarl. – I wciąż przynosi nowe sensacje. Otrzymałem wieści z kontynentu, powinny cię zainteresować. Pochodzą one z korpusu Vissegerda. Wiesz, mam nadzieję, kim jest Vissegerd?

– Generał z Cintry?

– Marszałek. Dowodzi wchodzącym w skład armii temerskiej korpusem złożonym z cintryjskich emigrantów i wolentarzy. Służy tam dość ochotników z Wysp, bym miał wieści z pierwszej ręki.

– I co masz?

– Ty trafiłaś tu, na Skellige, dziewiętnastego sierpnia, dwa dni po pełni. Tego samego dnia, dziewiętnastego, znaczy, korpus Vissegerda w czasie walk nad Iną zagarnął grupę zbiegów, wśród których byli Geralt i ten jego znajomy trubadur...

– Jaskier?

– Właśnie. Vissegerd oskarżył obu o szpiegostwo, uwięził i bodaj zamierzał stracić, ale obaj więźniowie zbiegli i sprowadzili na Vissegerda Nilfgaardczyków, z którymi byli jakoby w zmowie.

– Bzdura.

– Też mi się tak wydaje. Ale chodzi mi po głowie, że wiedźmin, wbrew temu, co sądzisz, realizuje może jakiś sprytny plan. Chcąc ratować Ciri, wkrada się w łaski Nilfgaardu...

– Ciri nie ma w Nilfgaardzie. A Geralt nie realizuje żadnego planu. Planowanie nie jest jego najmocniejszą stroną. Zostawmy to. Ważne jest, że mamy już dwudziestego szóstego sierpnia, a ja nadal wiem zbyt mało. Zbyt mało, by cokolwiek przedsięwziąć... Chyba, żeby...

Zamilkła, wpatrzona w okno, bawiąc się przypiętą do czarnej aksamitki gwiazdą z obsydianu.

– Żeby co? – nie wytrzymał Crach an Craite.

– Miast kpić z Geralta, spróbować jego metody.

– Nie rozumiem.

– Można spróbować poświęcenia, jarlu. Podobno gotowość do poświęceń potrafi zaprocentować, przynieść dobry skutek... W postaci chociażby łaski bogini. Która lubi i ceni poświęcających się i cierpiących za sprawę.

– Nadal nie rozumiem. – Zmarszczył czoło. – Ale nie podoba mi się to, co mówisz, Yennefer.

– Wiem. Mnie też nie. Ale już i tak zaszłam za daleko... Tygrys mógł już usłyszeć pobekiwanie koźlęcia...

•

– Tego się obawiałam – szepnęła Triss. – Tego właśnie się obawiałam.

– Co znaczy, że dobrze wtedy pojąłem. – Mięśnie na żuchwach Cracha an Craite zagrały silnie. – Yennefer wiedziała, że ktoś podsłucha rozmowy, które wiodła za pomocą tej piekielnej machiny. Albo że ktoś z rozmówców zdradzi ją podle...

– Albo jedno i drugie.

– Wiedziała – zgrzytnął zębami Crach. – Ale dalej robiła swoje. Bo to miała być przynęta? Ona sama miała być przynętą? Udawała, że wie więcej, niż wiedziała, by sprowokować wroga? I popłynęła na Głębię Sedny...

– Rzucając wyzwanie. Prowokując. Strasznie ryzykowała, Crach.

– Wiem. Nie chciała narażać nikogo z nas... Poza ochotnikami. Dlatego poprosiła o dwa drakkary...

•

– Mam dla ciebie dwa drakkary, o które prosiłaś. „Alkyone” i „Tamarę”. I drużynę, ma się rozumieć. „Alkyone” dowodził będzie Guthlaf, syn Svena, prosił o ten zaszczyt, przypadłaś mu do gustu, Yennefer. „Tamarą” dowodzi Asa Thjazi, kapitan, do którego mam absolutne zaufanie. Aha, byłbym zapomniał. W załodze „Tamary” będzie też mój syn, Hjalmar Krzywogęby.

– Twój syn? Ile ma lat?

– Dziewiętnaście.

– Wcześnie zaczynałeś.

– Przyganiał kocioł garnkowi. Hjalmar prosił o włączenie go do załogi z powodów osobistych. Nie mogłem odmówić.

– Z powodów osobistych?

– Naprawdę nie znasz tej historii?

– Nie. Opowiedz.

Crach an Craite wychylił róg, zaśmiał się do swoich wspomnień.

– Dzieciaki z Ard Skellig – zaczął – uwielbiają zimą bawić się na łyżwach, doczekać się nie mogą na mróz. Pierwsze wyłażą na lód, ledwo skuje jezioro, na taflę tak cienką, że dorosłych by nie utrzymała. Ma się rozumieć, najlepszą zabawą są wyścigi. Rozpędzić się i gnać, ile sił, z jednego krańca jeziora na drugi. Chłopaki zaś urządzają zawody w tak zwanym „skoku łososia". Polega to na skakaniu na łyżwach przez przybrzeżne skałki, sterczące z lodu jak rekinie zęby. Tak jak łosoś, gdy skacze przez progi wodospadów. Wybiera się odpowiednio długi rząd takich kamieni, bierze rozpęd... Ha, sam tak skakałem jako smarkacz...

Crach an Craite zadumał się, uśmiechnął lekko.

– Oczywista – podjął – takie zawody wygrywał i puszył się potem jak paw ten, kto przeskoczył najdłuższy rząd głazów. W swoim czasie, Yennefer, ten zaszczyt często przypadał twemu uniżonemu słudze i obecnemu rozmówcy, he, he. W czasie, który nas bardziej interesuje, czempionem bywał mój syn, Hjalmar. Skakał przez takie kamienie, przez które żaden z chłopaków nie ośmielał się skoczyć. I chodził z zadartym nosem, wyzywając wszystkich, by próbowali go pokonać. I podjęto jego wyzwanie. Ciri, córka Pavetty z Cintry. Nawet nie wyspiarka, choć się za taką uważała, jako że spędzała tu więcej czasu niż w Cintrze.

– Nawet po wypadku Pavetty? Myślałam, że Calanthe zabroniła jej tu bywać?

– Wiesz o tym? – Spojrzał na nią bystro. – No tak, ty dużo wiesz, Yennefer. Dużo. Gniew i zakazy Calanthe nie trwały dłużej niż pół roku, potem Ciri znowu zaczęła spędzać tu lata i zimy... Na łyżwach jeździła jak czart, ale żeby skakać „łososiem" w zawody z chłopakami? I wyzywać Hjalmara? W głowie się nie mieściło!

– Skoczyła – domyśliła się czarodziejka.

– Skoczyła. Skoczyło to małe cintryjskie półdiablę. Prawdziwe Lwiątko z krwi Lwicy. A Hjalmar, by nie narazić się na pośmiewisko, musiał zaryzykować skok przez jeszcze dłuższy rząd kamieni. Zaryzykował. Złamał nogę, złamał rękę, złamał cztery żebra i rozwalił twarz. Do końca życia zostanie mu blizna. Hjalmar Krzywogęby! I jego słynna narzeczona! He, he!

– Narzeczona?

– O tym też nie wiedziałaś? Tyle wiesz, a tego nie? Przychodziła do niego, gdy po słynnym skoku leżał i kurował się. Czytywała mu, opowiadała, trzymała za rączkę... A gdy kto wchodził do komnaty, czerwienieli oboje jak dwa maki. No, a wreszcie Hjalmar zakomunikował mi, że się zaręczyli. Mało mnie szlag nie trafił. Ja ci, smarkaczu, powiadam na to, dam zaręczyny, ale bizunem z surowca! I strach mnie lekko obleciał, bo miarkowałem, że w Lwiątku gorąca krew, że u niej wszystko szast-prast, bo to ryzykantka, żeby nie powiedzieć: mała wariatka... Szczęściem Hjalmar był cały w łubkach i bandażach, więc głupstw narobić nie mogli...

– Po ile oni wówczas mieli lat?

– On piętnaście, ona niecałe dwanaście.

– Chyba więc trochę przesadziłeś z obawami.

– Może trochę. Ale Calanthe, której musiałem o wszystkim powiedzieć, bynajmniej nie bagatelizowała sprawy. Wiem, że miała plany małżeńskie wobec Ciri, chyba szło o młodego Tankreda Thyssena z Koviru, a może o redańskiego Radowida, pewności nie mam. Ale plotki mogły zaszkodzić projektom mariażu, nawet plotki o niewinnych pocałunkach czy półniewinnych pieszczotkach. Calanthe bez chwili zwłoki zabrała Ciri do Cintry. Dziewczyna awanturowała się, ryczała, smarkała, ale nic nie pomogło. Z Lwicą z Cintry nie było dyskusji. Hjalmar potem dwa dni leżał z twarzą ku ścianie i nie odzywał się do nikogo. Gdy tylko wyzdrowiał, chciał ukraść skif i samojeden płynąć do Cintry. Dostał rzemieniem i przeszło mu. A potem...

Crach an Craite zamilkł, zadumał się.

– Potem przyszło lato, potem jesień i już cała nilfgaardzka potencja waliła na Cintrę od południowej ściany, przez Schody Marnadalskie. A Hjalmar znalazł inną okazję, by stać się mężczyzną. W Marnadalu, pod Cintrą, potem pod Sodden stawał mężnie przeciw Czarnym. Potem też, gdy chodziły drakkary na nilfgaardzkie wybrzeża, Hjalmar z mieczem w dłoni mścił niby-narzeczoną, o której wówczas sądzono, że nie żyje. Ja nie wierzyłem, bo nie wystąpiły fenomeny, o których ci opowiadałem... No, a teraz, gdy Hjalmar dowiedział się o możliwej wyprawie ratunkowej, zgłosił się na ochotnika.

– Dzięki za tę opowieść, Crach. Odpoczęłam, słuchając. Zapomniałam o... zmartwieniach.

– Kiedy wyruszasz, Yennefer?

– W najbliższych dniach. Może nawet jutro. Została mi do przeprowadzenia jeszcze jedna, ostatnia telekomunikacja.

•

Oczy Cracha an Craite były jak oczy jastrzębia. Wierciły głęboko, aż do dna.

– Nie wiesz przypadkiem, Triss Merigold, z kim rozmawiała Yennefer po raz ostatni przed rozmontowaniem piekielnej machiny? Nocą z dwudziestego siódmego na dwudziesty ósmy sierpnia? Z kim? I o czym?

Triss zakryła oczy rzęsami.

•

Złamany przez brylant promień światła ożywił błyskiem powierzchnię zwierciadła. Yennefer wyciągnęła obie ręce, wyskandowała zaklęcie. Oślepiający refleks zamienił się w skłębioną mgłę, z mgły szybko zaczął wyłaniać się obraz. Obraz komnaty o ścianach pokrytych barwną tapiserią.

Ruch w oknie. I niespokojny głos:

– Kto? Kto tam?

– To ja, Triss.

– Yennefer? To ty? Bogowie! Skąd... Gdzie jesteś?

– To nieważne, gdzie jestem. Nie blokuj, bo obraz się chwieje. I zabierz świecznik, bo oślepia.

– Już. Oczywiście.

Choć pora była późna, Triss Merigold nie była ani w negliżu, ani w stroju roboczym. Miała na sobie wyjściową suknię. Jak zwykle zapiętą wysoko pod szyją.

– Możemy rozmawiać swobodnie?

– Oczywiście.

– Jesteś sama?

– Tak.

– Kłamiesz.

– Yennefer...

– Nie oszukasz mnie, smarkulo. Znam tę twoją minkę, napatrzyłam się na nią. Miewałaś taką, gdyś zaczęła za moimi plecami sypiać z Geraltem. Wówczas stroiłaś się w identyczną niewinno-kurewską maseczkę, którą widzę na twojej twarzy teraz. I teraz znaczy ona to samo, co wtedy!

Triss poczerwieniała. A obok niej pojawiła się w oknie Filippa Eilhart ustrojona w granatowy męski wams ze srebrnym haftem.

– Brawo – powiedziała. – Jak zwykle bystra, jak zwykle przenikliwa. Jak zwykle trudna do ogarnięcia i pojęcia. Rada jestem widzieć cię w zdrowiu, Yennefer. Rada jestem, że wariacka teleportacja z Montecalvo nie skończyła się tragicznie.

– Załóżmy, że faktycznie cię to raduje – skrzywiła usta Yennefer. – Chociaż to bardzo śmiałe założenie. Ale zostawmy to. Kto mnie zdradził?

– Czy to ważne? – wzruszyła ramionami Filippa. – Już cztery dni, jak kontaktujesz się ze zdrajcami. Z takimi, dla których sprzedajność i zdrada są drugą naturą. I z takimi, których sama do zdrady zmusiłaś. Jeden z nich zdradził ciebie. Normalna kolej rzeczy. Nie mów mi, że się tego nie spodziewałaś.

– Oczywiście, że się spodziewałam – parsknęła Yennefer. – Najlepszy dowód, że kontaktuję się z wami. Przecież nie musiałam.

– Nie musiałaś. To znaczy, że masz w tym interes.

– Brawo. Jak zwykle bystra, jak zwykle przenikliwa. Kontaktuję się z wami, by upewnić, że tajemnica waszej loży jest u mnie bezpieczna. Nie zdradzę was.

Filippa patrzyła na nią spod opuszczonych rzęs.

– Jeśli liczyłaś – powiedziała wreszcie – że tą deklaracją kupisz sobie czas, spokój i bezpieczeństwo, to przeliczyłaś się. Nie czarujmy się, Yennefer. Uciekając z Montecalvo, dokonałaś wyboru, zdeklarowaś się po określonej stronie barykady. Kto nie jest z lożą, ten jest przeciw loży. Teraz próbujesz ubiec nas w odnalezieniu Ciri, a motywy, które tobą kierują, są względem naszych przeciwstawne. Działasz przeciw nam. Nie chcesz pozwolić, byśmy wykorzystały Ciri do naszych celów politycznych. Wiedz zatem, że my zrobimy wszystko, byś ty nie zdołała wykorzystać dziewczyny do twoich, sentymentalnych.

– A zatem wojna?

– Współzawodnictwo – uśmiechnęła się jadowicie Filippa. – Tylko współzawodnictwo, Yennefer.

– Uczciwe i honorowe?

– Chyba żartujesz.

– No jasne. Niemniej jednak pewną sprawę chciałabym postawić uczciwie i jednoznacznie. Licząc zresztą, że coś z tego będę miała.

– Stawiaj.

– W ciągu kilku najbliższych dni, może nawet jutro, dojdzie do wydarzeń, których następstw nie jestem w stanie przewidzieć. Może być tak, że nasze współzawodnictwo i rywalizacja przestaną nagle mieć znaczenie. Z prostej przyczyny. Nie będzie współzawodnika.

Filippa Eilhart zmrużyła podkreślone błękitnym cieniem oczy.

– Rozumiem.

– Sprawcie wówczas, bym pośmiertnie odzyskała reputację i dobre imię. By nie uważano mnie już za zdrajczynię i wspólniczkę Vilgefortza. Proszę o to lożę. Proszę ciebie osobiście.

Filippa milczała przez chwilę.

– Prośbie odmawiam – powiedziała wreszcie. – Przykro mi, ale twoja rehabilitacja nie leży w interesie loży. Jeżeli umrzesz, umrzesz jako zdrajczyni. Będziesz zdrajczynią i zbrodniarką dla Ciri, bo łatwiej będzie wówczas dziewczyną manipulować.

– Zanim przedsięweźmiesz coś, co grozi śmiercią – wykrztusiła nagle Triss – zostaw dla nas...

– Testament?

– Coś, co pozwoli nam... Kontynuować... Pójść po twoim śladzie. Odnaleźć Ciri. Przecież tu przede wszystkim chodzi o jej dobro! O jej życie! Yennefer, Dijkstra odnalazł... pewne ślady. Jeżeli to Vilgefortz ma Ciri, dziewczynie grozi straszna śmierć.

– Milcz, Triss – szczeknęła ostro Filippa Eilhart. – Tu nie będzie handlu ani przetargów.

– Zostawię wam wskazówki – powiedziała wolno Yennefer. – Zostawię informacje o tym, czego się dowiedziałam i o tym, co przedsięwzięłam. Zostawię wam ślad, po którym będziecie mogły pójść. Ale nie za darmo. Nie chcecie mnie rehabilitować w oczach świata, to do diabła z wami i ze światem. Ale zrehabilitujcie mnie choć w oczach jednego wiedźmina.

– Nie – odrzekła prawie natychmiast Filippa. – To również nie leży w interesie loży. Również dla twojego wiedźmina pozostaniesz zdrajczynią i sprzedajną czarownicą. Nie leży w interesie loży, by rozrabiał, szukając zemsty, a gdy będzie tobą pogardzał, nie będzie chciał mścić. Zresztą on już chyba nie żyje. Albo umrze lada dzień.

– Informacje – rzekła głucho Yennefer – za jego życie. Ocal go, Filippa.

– Nie, Yennefer.

– Bo nie leży to w interesie loży – w oczach czarodziejki zapłonął fioletowy ogień. – Słyszałaś, Triss? Oto twoja loża. Oto jej prawdziwe oblicze, oto jej prawdziwe interesy. I co ty na to? Byłaś dla dziewczyny mentorką, prawie, sama tak mówiłaś, starszą siostrą. A Geralt...

– Nie bierz Triss pod romantyczny włos, Yennefer – Filippa zrewanżowała się ogniem w oczach. – Dziewczynę znajdziemy i uratujemy bez twojej pomocy. A jeśli tobie się powiedzie, to piękne i stokrotne dzięki, wyręczysz nas, zaoszczędzisz fatygi. Ty wyrwiesz dziewczynę z rąk Vilgefortza, my wyrwiemy ją z twoich. A Geralt? Kto to jest Geralt?

– Słyszałaś, Triss?

– Wybacz mi – powiedziała głucho Triss Merigold. – Wybacz, Yennefer.

– O, nie, Triss. Nigdy.

•

Triss patrzyła w podłogę. Oczy Cracha an Craite były jak oczy jastrzębia.

– Nazajutrz po tej ostatniej tajemniczej komunikacji – powiedział wolno jarl Wysp Skellige – tej, o której ty, Triss Merigold, niczego nie wiesz, Yennefer odpłynęła ze Skellige, biorąc kurs na Głębię Sedny. Pytana, czemu płynie właśnie tam, spojrzała mi w oczy i odrzekła, że zamierza sprawdzić, czym katastrofy naturalne różnią się od nienaturalnych. Odpłynęła dwoma drakkarami, „Tamarą" i „Alkyone", z załogami złożonymi wyłącznie z ochotników. To było dwudziestego ósmego sierpnia, dwa tygodnie temu. Więcej jej już nie widziałem.

– Kiedy dowiedziałeś się...

– Pięć dni później – przerwał dość obcesowo. – Trzy dni po wrześniowym nowiu.

•

Siedzący przed jarlem kapitan Asa Thjazi był niespokojny. Oblizywał wargi, wiercił się na ławie, wyłamywał palce tak, że aż strzelały knykcie.

Czerwone słońce, wyrwawszy się nareszcie z zalegających niebo chmur, powoli opuszczało się nad Spikeroog.

– Gadaj, Asa – rozkazał Crach an Craite.

Asa Thjazi odchrząknął mocno.

– Szliśmy ostro – podjął – wiatr sprzyjał, robiliśmy dobre dwanaście węzłów. Tedy już dwudziestego dziewiątego ujrzeliśmy nocą światło latarni z Peixe de Mar. Odbiliśmy nieco na zachód, by nie napatoczyć się na jakiego Nilfgaardczyka... A na dzień przed wrześniowym nowiem, o świcie, przypłynęliśmy w rejon Głębi Sedny. Wtenczas czarodziejka wezwała mnie i Guthlafa...

•

– Potrzebuję ochotników – powiedziała Yennefer. – Tylko ochotników. Nie więcej, niż to konieczne, by przez krótki czas sterować drakkarem. Nie wiem, ilu do tego potrzeba ludzi, nie znam się na tym. Ale proszę, by nie zostawić na „Alkyone" nawet jednego człowieka ponad konieczną liczbę. I powtarzam – sami ochotnicy. To, co zamierzam zrobić... jest bardzo ryzykowne. Bardziej niż morska bitwa.

– Pojmuję – kiwnął głową stary seneszal. – I zgłaszam się pierwszy. Ja, Guthlaf, syn Svena, proszę o ten zaszczyt, pani.

Yennefer długo patrzyła mu w oczy.

– Dobrze – powiedziała. – A zaszczycona jestem ja.

•

– Też się zgłosiłem – powiedział Asa Thjazi. – Ale Guthlaf się nie zgodził. Ktoś, rzekł, musi komendę trzymać na „Tamarze". W rezultacie zgłosiło się piętnastu. W tym Hjalmar, jarlu.

Crach an Craite uniósł brwi.

•

– Ilu potrzeba, Guthlaf? – powtórzyła czarodziejka. – Ilu jest niezbędnych? Proszę, byś to precyzyjnie wyliczył.

Seneszal milczał czas jakiś, kalkulował.

– W ośmiu damy radę – rzekł wreszcie. – Jeśli nie za długo... Ale przecie ci tutaj to sami ochotnicy, nie ma tedy musu...

– Wyznacz ośmiu spośród tych piętnastu – przerwała ostro. – Wyznacz sam. I każ wybranym przejść na „Alkyone". Reszta zostaje na „Tamarze". Aha, jednego, który zostaje, wyznaczę ja. Hjalmar!

– Nie, pani! Nie możesz mi tego uczynić! Zgłosiłem się i będę u twego boku! Chcę być...

– Milcz! Zostajesz na „Tamarze"! To rozkaz! Jeszcze słowo, a każę cię przywiązać do masztu!

•

– Opowiadaj, Asa.

– Magiczka, Guthlaf a owa ósemka ochotników weszli na „Alkyone” i pożeglowali na Głębię. Myśmy, na „Tamarze”, wedle rozkazu na uboczu się trzymali, ale tak, by zanadto nie odstać. Z pogodą zaś, która do tej pory nad podziw nam sprzyjała, jakieś diabelstwo zaczęło się nagle dziać. Tak, iście dobrze gadam, że diabelstwo, bo nieczysta to była siła, jarlu... Niech mnie pod stępką przeciągną, jeśli łżę...

– Opowiadaj.

– Tam, gdzie myśmy byli, „Tamara” znaczy, spokojnie było. Choć wicher trochę świszczał i nieboskłon pociemniał od chmur tak, że z dnia noc się niemal uczyniła. Ale tam, gdzie była „Alkyone”, tam piekło się rozpętało znienacka. Piekło prawdziwe...

•

Żagiel „Alkyone” załopotał nagle tak gwałtownie, że słyszeli to łopotanie mimo dzielącej drakkary odległości. Niebo poczerniało, chmury skłębiły się. Morze, które wokół „Tamary” wydawało się zupełnie spokojne, wzburzyło się i zagotowało grzywaczami przy burtach „Alkyone”. Ktoś krzyknął nagle, ktoś zawtórował, a po chwili krzyczeli wszyscy.

Pod godzącym w nią stożkiem czarnych chmur „Alkyone” tańczyła na fali jak korek, kręcąc się, wirując i podskakując, zapadając w fale już to dziobem, już to rufą. Momentami drakkar zupełnie niemal znikał im z oczu. Momentami widać było tylko pasiasty żagiel.

– To czary! – wywrzeszczał ktoś za plecami Asy. – To diabelska magia!

Wir kręcił „Alkyone” coraz szybciej i szybciej. Tarcze odrywane siłą odśrodkową od burt drakkara zafurczały w powietrzu jak dyski, frunęły na prawo i lewo potrzaskane wiosła.

– Refuj żagiel! – wrzasnął Asa Thjazi. – I do wioseł! Płyniem tam! Na ratunek trza!

Było już jednak za późno.

Niebo nad „Alkyone” zrobiło się czarne, czerń eksplodowała nagle zygzakami błyskawic, które oplotły drakkar niczym macki meduzy. Skłębione w fantastyczne kształty chmury skręciły się w potworny lej. Drakkar kręcił się w kółko z niesamowitą prędkością. Maszt trzasnął jak

zapałka, zerwany żagiel pomknął nad grzywaczami niby ogromny albatros.

– Wiosłuj, wiara!

Przez własne wrzaski, poprzez zagłuszający wszystko huk żywiołów usłyszeli jednak krzyk ludzi z „Alkyone". Krzyk tak niesamowity, że włosy stanęły im dęba. Im, starym wilkom morskim, krwawym berserkerom, żeglarzom, którzy widzieli i słyszeli niejedno.

Puścili wiosła, świadomi bezsiły. Osłupiali, przestali nawet krzyczeć.

„Alkyone", wciąż wirując, powoli wzniosła się nad fale. I wznosiła coraz wyżej i wyżej. Widzieli ociekający wodą, obrośnięty muszlami i glonami kil. Zobaczyli czarny kształt, spadającą w fale sylwetkę. Potem drugą. I trzecią.

– Oni skaczą! – ryknął Asa Thjazi. – Wiosłować, chłopy, nie ustawać! Co sił! Płyniemy na pomoc!

„Alkyone" była już dobre sto łokci nad bulgoczącą jak wrzątek powierzchnią morza. Nadal wirowała, ogromne, ociekające wodą wrzeciono, oplecione ognistą pajęczyną błyskawic, niewidzialną siłą wciągane w skłębione chmury.

Nagle powietrze rozdarła świdrująca uszy eksplozja. Choć pchana do przodu siłą piętnastu par wioseł, „Tamara" podskoczyła nagle i poleciała wstecz, jak staranowana. Thjaziemu pokład uciekł spod nóg. Upadł, uderzając skronią o burtę.

Sam nie mógł wstać, podniesiono go. Był oszołomiony, kręcił i trząsł głową, zataczał się, bełkotał nieskładnie. Wrzaski załogi słyszał jak zza ściany. Podszedł do burty, chwiejąc się jak pijany, wczepił palce w reling.

Wicher ścichł, fale uspokoiły się. Ale niebo nadal było czarne od kłębiących się chmur.

Po „Alkyone" nie zostało nawet śladu.

•

– Nawet śladu nie zostało, jarlu. Ot, kawałeczki takielunku, szmatki jakieś... Więcej nic.

Asa Thjazi przerwał opowieść, patrząc na słońce, znikające za lesistymi szczytami Spikeroog. Crach an Craite, zamyślony, nie ponaglał go.

– Nie wiada – podjął wreszcie Asa Thjazi – ilu zdołało wyskoczyć, zanim wciągnęło „Alkyone” w tą diabelską chmurę. Ale ilu by nie wyskoczyło, żaden nie przeżył. A nam, chociażeśmy nie szczędzili czasu ni sił, udało się wyłowić jeno dwa trupy. Dwa ciała, wodą unoszone. Jeno dwa.

– Czarodziejki – spytał zmienionym głosem jarl – nie było między nimi?

– Nie.

Crach an Craite milczał długo. Słońce całkiem skryło się za Spikeroog.

– Przepadł stary Guthlaf, syn Svena – przemówił znowu Asa Thjazi. – Do ostatniej kosteczki objadły już go pewnie kraby na dnie Sedny... Przepadła z kretesem i magiczka... Jarlu, ludzie zaczynają gadać... Że to wszystko jej wina. I jej kara za zbrodnie...

– Głupie gadanie!

– Zginęła – mruknął Asa – na Głębi Sedny. W tymże samym miejscu, co wtenczas Pavetta i Duny... Ot, przypadek...

– To nie był przypadek – powiedział z przekonaniem Crach an Craite. – Ani wtenczas, ani teraz z pewnością nie był to przypadek.

Słusznym jest, aby nieszczęśliwy cierpiał. Jego ból i upokorzenia wynikają z praw natury, a dla realizacji celów natury potrzebne jest zarówno istnienie cierpiącego, jak też i tych, którzy przysparzając mu strapień sami cieszą się powodzeniami. Ta właśnie prawda powinna stłumić wyrzut sumienia w duszy tyrana czy złoczyńcy. Nie musi się powściągać, winien dopuszczać się śmiało wszystkich czynów, które rodzą się w jego imaginacji, gdyż to głos natury mu je podsuwa.

Jeśli tajemne inspiracje natury wiodą nas do zła, to widocznie zło jest naturze niezbędne.

Donatien Alphonse François de Sade

Rozdział dziesiąty

Huk i szczęk najpierw otwieranych, potem zamykanych drzwi celi zbudził młodszą z sióstr Scarra. Starsza siedziała przy stole, zajęta wyskrobywaniem kaszy przyschniętej do dna cynowej miski.

– No i jak było w sądzie, Kenna?

Joanna Selborne, zwana Kenną, nic nie mówiąc, usiadła na pryczy, oparła łokcie o kolana, a czoło o dłonie.

Młodsza Scarra ziewnęła, beknęła i pierdnęła głośno. Przycupnięty na przeciwległej pryczy Kohut mruknął coś niewyraźnie i odwrócił głowę. Był obrażony na Kennę, na siostry i na cały świat.

W zwykłych więzieniach nadal tradycyjnie dzielono aresztantów według płci. W wojskowych cytadelach było inaczej. Już cesarz Fergus var Emreis, potwierdzając specjalnym dekretem równouprawnienie kobiet w armii cesarskiej, zarządził, że jeżeli emancypacja, to emancypacja, równouprawnienie ma być całą gębą i na całym froncie, bez żadnych wyjątków ani specjalnych przywilejów dla którejkolwiek z płci. Od tamtego czasu w twierdzach i cytadelach więźniowie siedzieli koedukacyjnie.

– No to jak? – powtórzyła starsza Scarra. – Wypuszczają cię?

– Akurat – rzekła gorzko Kenna, nadal z głową opartą o dłonie. – Będę miała szczęście, jeśli nie powieszą. Cholera! Zeznawałam całą prawdę, niczego nie ukryłam, no, prawie niczego, znaczy się. A te sukinsyny jak zaczęły mnie maglować, to najpierw idiotkę ze mnie przed wszystkimi

zrobili, potem okazało się, żem jest osoba niewiarygodna i element przestępczy, a na samym końcu wyszedł współudział w spisku mającym na celu obalenie.

– Obalenie – pokiwała głową starsza Scarra, zupełnie jakby rozumiała, o co chodzi. – Aaa, jeśli obalenie... To dupa blada, Kenna.

– Jakbym nie wiedziała.

Młodsza Scarra przeciągnęła się, ziewnęła znowu, szeroko i głośno niczym lamparcica, zeskoczyła z górnej pryczy, energicznym kopniakiem usunęła zawadzający jej taboret Kohuta, splunęła na podłogę obok taboretu. Kohut zawarczał, ale na nic więcej się nie ośmielił.

Kohut był na Kennę śmiertelnie obrażony. A sióstr się bał.

Gdy przed trzema dniami dokwaterowali mu Kennę do celi, rychło okazało się, że Kohut, jeżeli w ogóle dopuszcza emancypację i równouprawnienie kobiet, to ma na te sprawy własne poglądy. W środku nocy zarzucił Kennie koc na górną połowę ciała i zamierzał posłużyć się dolną połową, co pewnie by mu się udało, gdyby nie fakt, że trafił na empatkę. Kenna wdarła mu się do mózgu tak, że Kohut zawył jak wilkołak i zapląsał po celi jak ukąszony przez tarantulę. Kenna zaś z czystej mściwości zmusiła go telepatycznie, by stanął na czworakach i rytmicznie walił głową w obite blachą drzwi celi. Gdy zaalarmowani strasznym hukiem strażnicy otworzyli drzwi, Kohut tryknął jednego z nich, za co dostał pięć razów okutą pałką i tyleż kopniaków. Reasumując, Kohut nie zaznał tej nocy rozkoszy, na którą liczył. I obraził się na Kennę. O rewanżu nawet nie śmiał myśleć, bo nazajutrz do celi trafiły siostry Scarra. Płeć piękna była zatem w przewadze, a nadto rychło okazało się, że poglądy sióstr na równouprawnienie są zbliżone do Kohutowych, tyle że całkiem odwrotne, jeśli idzie o przypisane płciom role. Młodsza Scarra patrzyła na mężczyznę drapieżnym okiem i wygłaszała niedwuznaczne komentarze, a starsza rechotała, zacierając ręce. Efekt był taki, że Kohut spał z taboretem, którym w razie czego zamierzał bronić swego honoru. Marne miał wszelakoż szanse i widoki – obie Scarra służyły w wojskach liniowych i były weterankami wielu bitew, taboretu by się nie ulękły, jeśli chciały zgwałcić, to zgwałciły, nawet jeśli mężczyzna był uzbrojony w berdysz. Kenna była jednak pewna, że siostry tylko żartowały. No, prawie pewna.

Siostry Scarra siedziały w pudle za pobicie oficera, w sprawie będącego prowiant-majstrem Kohuta trwało zaś śledztwo związane z wielką, słynną i zataczającą coraz to szersze kręgi aferą z kradzieżą wojskowych łuków.

– Dupa blada, Kenna – powtórzyła starsza Scarra. – W ładną kabałę wpakowałaś się wtedy. A raczej to ciebie wpakowali. Żeś się też, do diabła ciężkiego, nie połapała w porę, że to polityczna gra!

– Ba.

Scarra spojrzała na nią, nie bardzo wiedząc, jak rozumieć jednosylabowe stwierdzenie. Kenna uciekła wzrokiem.

Nie powiem wam przecież tego, co przemilczałam przed sędziami, pomyślała. Tego, że wiedziałam, w jaką grę się wplątałam. Ani tego, kiedy i w jaki sposób się dowiedziałam.

– Gęstego sobie piwa nawarzyłaś – stwierdziła mądrze młodsza Scarra, ta znacznie mniej rozgarnięta, która – Kenna była tego pewna – za grosz nie rozumiała, w czym rzecz.

– A jak to w końcu było z tą cintryjską księżniczką? – nie rezygnowała starsza Scarra. – Przecież wreszcie capnęliście ją, nie?

– Capnęliśmy. O ile tak to można nazwać. Którego dziś mamy?

– Dwudziestego drugiego września. Jutro Równonoc.

– Ha. Ot, zbieg przypadków dziwny. To jutro będzie od tamtych wydarzeń równo rok... Już rok...

Kenna wyciągnęła się na pryczy, podkładając splecione dłonie pod kark. Siostry milczały w nadziei, że był to wstęp do opowieści.

Nic z tego, siostrzyczki, pomyślała Kenna, patrząc na nabazgrane na deskach górnej pryczy plugawe rysunki i jeszcze plugawsze napisy. Nie będzie żadnej opowieści. Nawet nie w tym rzecz, że śmierdziel Kohut śmierdzi mi zasranym kapusiem albo innym świadkiem koronnym. Po prostu nie chce mi się o tym gadać. Nie chce mi się tego wspominać.

Tego, co było przed rokiem. Po tym, jak Bonhart wymknął się nam w Claremont.

Przybyliśmy tam dwa dni za późno, przypomniała sobie, trop już zdążył ostygnąć. Dokąd łowca pojechał, nikt nie wiedział. Nikt, oprócz kupca Houvenaghela, znaczy się. Ale Houvenaghel ze Skellenem gadać nie chciał, ani go nawet pod dach nie wpuścił. Przez służbę przekazał, że nie ma czasu i audiencji nie udzieli. Puszczyk dąsał się i zżymał, ale co miał robić? To było Ebbing, nie miał tam jurysdykcji. A inną – naszą –

modą nie szło się za Houvenaghela wziąć, bo on miał tam w Claremont prywatną armię, a przecie nie można było wojny wszczynać...

Boreas Mun węszył, Dacre Silifant i Ola Harsheim próbowali przekupstwa, Til Echrade elfiej magii, ja czujniłam i słuchałam myśli, ale nie na wiele się to zdało. Dowiedzieliśmy się aby tego, że Bonhart wyjechał z miasta południową bramą. A zanim wyjechał...

W Claremont była świątynka malutka, z modrzewia... Przy południowej bramie, przy placyku targowym. Przed odjazdem z Claremont Bonhart na tym placyku, przed tą świątynką, skatował Falkę harapem. Na oczach wszystkich, także kapłanów z tej świątynki. Wykrzykiwał, że udowodni jej, kto jest jej panem i władcą. Że oto ćwiczy ją batogiem, jak chce, a jak zechce, to zaćwiczy na śmierć, bo nikt się za nią nie ujmie, nikt nie da pomocy – ani ludzie, ani bogowie.

Młodsza Scarra wyglądała oknem, wisząc uczepiona krat. Starsza wyjadała kaszę z miski. Kohut wziął taboret, położył się i nakrył kocem.

Rozległ się dzwon z kordegardy, wartownicy okrzyknęli się na murach.

Kenna obróciła się twarzą ku ścianie.

Kilka dni później spotkaliśmy się, pomyślała. Ja i Bonhart. Twarzą w twarz. Patrzyłam w jego nieludzkie, rybie oczy, o tym jednym myśląc – jak tę dziewczynę bił. I w myśli mu zajrzałam... Na moment. A było to tak, jakbym głowę wsadziła w rozgrzebaną mogiłę...

To było w Ekwinokcjum.

A w przeddzień, dwudziestego drugiego września, zorientowałam się, że wkręcił się między nas niewidymka.

•

Stefan Skellen, koroner cesarski, wysłuchał, nie przerywając. Ale Kenna widziała, jak zmienia mu się twarz.

– Powtórz, Selborne – wycedził. – Powtórz, bo nie wierzę własnym uszom.

– Ostrożnie, panie koroner – mruknęła. – Udawajcie gniewnego... Że niby ja do was z prośbą, a wy nie pozwalacie... Dla pozoru, znaczy. Ja nie mylę się, pewna jestem. Od dwóch dni kręci się przy nas jakiś niewidymka. Niewidzialny szpieg.

Puszczyk, trzeba było mu to przyznać, był bystry, łapał w lot.

– Nie, Selborne, odmawiam – rzekł głośno, ale unikając aktorskiej przesady tak w tonie, jak i w minie. – Dyscyplina obowiązuje wszystkich. Nie ma wyjątków. Nie wyrażam zgody!

– Raczcież chociaż wysłuchać, panie koroner. – Kenna nie miała talentu Puszczyka, nie uniknęła sztuczności, ale w odgrywanej scence sztuczność i zakłopotanie petentki były do przyjęcia. – Raczcież chociaż wysłuchać..

– Mów, Selborne. Byle krótko i zwięźle!

– Szpieguje nas od dwóch dni – wymruczała, udając, że uniżenie wykłada swe racje. – Od Claremont. Musi jedzie za nami tajnie, a na biwakach przychodzi, niewidzialny, kręci się wśród ludzi, słucha.

– Słucha, szpieg cholerny. – Skellen nie musiał udawać surowego i rozgniewanego, w jego głosie wręcz wibrowała wściekłość. – Jak go wykryłaś?

– Jakeście przedwczoraj przed karczmą wydawali rozkazy panu Silifantowi, kocur, co na ławie spał, zasyczał i uszy położył. Podejrzane mi się to zdało, bo nikogo nie było w tej stronie... A potem coś wyczujniłam, myśl jakby, obcą myśl i wolę. Gdy dookoła same swojskie myśli, zwyczajne, to dla mnie taka obca myśl, panie koroner, to jakby kto krzyknął głośno... Zaczęłam baczyć, mocno, w dwójnasób, i wyczułam go.

– Możesz go zawsze wyczuć?

– Nie. Nie zawsze. Ma jakąś magiczną ochronę. Czuję go tylko z bardzo bliska, a i to nie za każdym razem. Dlatego trza dawać pozór, bo nie wiadomo, czy akurat nie kryje się w pobliżu.

– Byle go nie spłoszyć – wycedził Puszczyk. – Byle go nie spłoszyć... Ja go chcę żywym, Selborne. Co proponujesz?

– Zrobimy go na pieroga.

– Na pieroga?

– Ciszej, panie koroner.

– Ale... Ach, nieważne. Dobra. Daję ci wolną rękę.

– Jutro sprawcie, byśmy stanęli w jakiejś wsi na kwaterę. Ja już resztę załatwię. A teraz dla pozoru zburczcie mnie srogo, a ja odejdę.

– Nijak mi burczeć – uśmiechnął się do niej oczami i mrugnął lekko, natychmiast przybierając nadętą minę surowego dowódcy. – Bo zadowolony jestem z pani, pani Selborne.

Powiedział „pani". Pani Selborne. Jak do oficera.

Mrugnął znowu.

– Nie! – powiedział i machnął ręką, wybornie grając swą rolę. – Prośbie odmawiam! Odmaszerować!

– Tak jest, panie koroner.

•

Następnego dnia, późnym popołudniem, Skellen zarządził postój w wiosce nad rzeką Lete. Wieś była bogata, otoczona palisadą, wjeżdżało się przez elegancki kołowrót ze świeżych sosnowych belek. Nazywała się ta wieś Goworożec – a brała się ta nazwa od małej kamiennej kapliczki, w której stała wykonana ze słomy kukiełka przedstawiająca jednorożca.

Pamiętam, przypomniała sobie Kenna, jak rechotaliśmy z tego słomianego bożka, a sołtys z poważną miną wyjaśniał, że opiekujący się wsią święty goworożec był przed laty złoty, potem był srebrny, był miedziany, było kilka wersji kościanych i kilka ze szlachetnego drewna. Ale wszystkie rabowali i kradli. Przyjeżdżali z daleka, by zrabować albo ukraść. Dopiero od kiedy goworożec słomiany, jest spokój.

Rozłożyliśmy się we wsi obozem. Skellen, jak było umówione, zajął świetlicę.

Po niecałej godzinie zrobiliśmy niewidzialnego szpiega na pieroga. Klasycznym, podręcznikowym sposobem.

•

– Proszę podejść – polecił głośno Puszczyk. – Proszę podejść i rzucić okiem na ten dokument... Zaraz? Czy wszyscy już są? Żebym nie musiał dwa razy tłumaczyć.

Ola Harsheim, który właśnie upił ze skopka nieco rozcieńczonej zsiadłym mlekiem śmietany, oblizał wargi ze śmietanowych wąsów, odstawił naczynie, rozejrzał się, policzył. Dacre Silifant, Bert Brigden, Neratin Ceka, Til Echrade, Joanna Selborne...

– Nie ma Dufficeya.

– Wołać.

– Kriel! Duffi Kriel! Do dowódcy na odprawę! Po ważne rozkazy! Biegiem!

Dufficey Kriel, zdyszany, wbiegł do izby.

– Wszyscy są, panie koroner – zameldował Ola Harsheim.

– Zostawcie okno otwarte. Śmierdzi tu czosnkiem, że zdechnąć można. Drzwi też otwórzcie, zróbcie przeciąg.

Brigden i Kriel posłusznie otworzyli okno i drzwi. Kenna zaś po raz kolejny stwierdziła, że z Puszczyka byłby naprawdę świetny aktor.

– Proszę podejść, panowie. Otrzymałem od cesarza ten oto dokument, tajny i niezwykłej wagi. Proszę o uwagę...

– Teraz! – wrzasnęła Kenna, wysyłając silny kierunkowy impuls, który oddziaływaniem na zmysły równoważny był bliskiemu uderzeniu pioruna.

Ola Harsheim i Dacre Silifant chwycili skopki i równocześnie chlusnęli śmietaną we wskazywanym przez Kennę kierunku. Til Echrade zamaszyście sypnął skrywanym pod stołem korcem mąki. Na podłodze izby zmaterializował się śmietanowo-mączny kształt, początkowo bezforemny. Ale Bert Brigden czuwał. Bezbłędnie oceniwszy, gdzie może być głowa pieroga, z całej siły przydzwonił w tę głowę żeliwną patelnią.

Potem wszyscy rzucili się na oblepionego śmietaną i mąką szpiega, zdarli mu z głowy czapkę-niewidkę, chwycili za ręce i nogi. Przewróciwszy stół blatem do dołu, przykrępowali kończyny pojmanego do stołowych nóg. Ściągnęli mu buty i onuce, jedną z onuc wtłoczyli w rozwarte do krzyku usta.

Aby uwieńczyć dzieło, Dufficey Kriel z rozmachem kopnął pojmanego w żebra, a pozostali z zadowoleniem przyjrzeli się, jak kopniętemu oczy wylazły na wierzch.

– Piękna robota – ocenił Puszczyk, który przez cały, niebywale krótki czas zajścia nie poruszył się, stojąc ze skrzyżowanymi na piersi rękami.

– Brawo. Gratuluję. Przede wszystkim pani, pani Selborne.

Cholera, pomyślała Kenna. Jak tak dalej pójdzie, naprawdę gotowam zostać oficerem.

– Panie Brigden – powiedział chłodno Stefan Skellen, stając nad rozkrzyżowanym między stołowymi nogami jeńcem – proszę włożyć żelaza w węgle. Panie Echrade, proszę dopilnować, by w pobliżu świetlicy nie kręciły się dzieci.

Pochylił się, zajrzał związanemu w oczy.

– Dawno się nie pokazywałeś, Rience – powiedział. – Już się zaczynałem martwić, że spotkało cię jakieś nieszczęście.

•

Uderzył dzwon kordegardy, sygnał zmiany warty. Siostry Scarra chrapały melodyjnie. Kohut mlaskał przez sen, obejmując taboret.

Grał zucha, przypomniała sobie Kenna, udawał odważnego ten cały Rience. Czarownik Rience zrobiony na pieroga i przywiązany do stołowych nóg z gołymi piętami w górze. Grał zucha, ale nie oszukał nikogo, a mnie już najmniej. Puszczyk uprzedził, że to czarownik, mieszałam mu więc myśli, by nie mógł czarować ani wzywać magicznej pomocy. Przy okazji czytałam go. Bronił dostępu, ale gdy poniuchał dymu węgli paleniska, w którym rozgrzewały się żelaza, jego magiczne ochrony i blokady puściły na wszystkich szwach jak stare gacie, a ja mogłam go czytać podług woli. Jego myśli niczym nie różniły się od myśli innych, których czytałam w takich samych sytuacjach. Myśli ludzi, których za chwilę będą torturować. Myśli rozpierzchłe, rozdygotane, pełne strachu i rozpaczy. Myśli zimne, oślizgłe, mokre i cuchnące. Jak wnętrzności trupa.

Mimo tego, gdy wyciągnięto mu knebel, czarownik Rience próbował udawać zucha.

•

– No, dobra, Skellen! Złapaliście mnie, wasza wzięła! Gratuluję. Niski pokłon przed techniką, fachowością i profesjonalizmem. Świetnie wyszkoleni ludzie, pozazdrościć. A teraz proszę mnie uwolnić z tej niewygodnej pozycji.

Puszczyk podsunął sobie krzesło, usiadł na nim okrakiem, opierając splecione dłonie i podbródek na oparciu. Patrzył na jeńca z góry. I milczał.

– Każ mnie uwolnić, Skellen – powtórzył Rience. – A potem wyproś stąd podwładnych. To, co mam do powiedzenia, przeznaczone jest wyłącznie dla twoich uszu.

– Panie Brigden – spytał Puszczyk, nie odwracając głowy. – Jaki kolor mają żelazka?

– Jeszcze chwila, panie koroner.

– Pani Selborne?

– Kłopotliwie się go teraz czyta – wzruszyła ramionami Kenna. – Zbytnio się boi, strach głuszy wszystkie inne myśli. A jest tych myśli, że hej. W tym kilka takich, które próbuje ukryć. Za magicznymi parawanami. Ale to dla mnie nic trudnego, mogę...

– Nie będzie to potrzebne. Spróbujemy klasycznie, czerwonym żelazem.

– Do diabła! – zawył szpieg. – Skellen! Ty chyba nie zamierzasz...

Puszczyk pochylił się, twarz zmieniła mu się lekko.

– Po pierwsze: panie Skellen – wycedził. – Po drugie: tak, jak najbardziej, zamierzam kazać przypiec ci podeszwy, Rience. Uczynię to z niewymowną satysfakcją. Potraktuję to bowiem jako wyraz sprawiedliwości dziejowej. Założę się, że nie rozumiesz.

Rience milczał, więc Skellen kontynuował.

– Widzisz, Rience, ja radziłem Vattierowi de Rideaux, by przypalił ci pięty już wówczas, siedem lat temu, gdy łasiłeś się do cesarskiego wywiadu jak pies, skamląc o łaskę i przywilej bycia zdrajcą i podwójnym agentem. Ponowiłem radę cztery lata temu, gdyś bez mydła właził w rzyć Emhyrowi, pośrednicząc w kontaktach z Vilgefortzem. Gdyś przy okazji polowania na Cintryjkę awansował ze zwykłego małego sprzedawczyka na pierwszego nieledwie rezydenta. Szedłem o zakład z Vattierem, że przypieczony powiesz, komu służysz... Nie, źle mówię. Że wymienisz wszystkich, którym służysz. I wszystkich, których zdradzasz. A wtedy, mówiłem, zobaczysz, zadziwisz się, Vattier, w ilu punktach zgadzają się obie listy. Ale cóż, Vattier de Rideaux mnie nie posłuchał. I teraz żałuje niechybnie. Ale nic straconego. Ja przypiekę cię tylko trochę, a gdy już będę wiedział, co chcę wiedzieć, odstawię cię do dyspozycji Vattiera. A on skórę z ciebie złupi, po trochu, małymi fragmentami.

Puszczyk wyjął z kieszeni chustkę i flakonik perfum. Obficie pokropił chustkę i przyłożył ją do nosa. Perfumy przyjemnie pachniały piżmem, a jednak Kennie zebrało się na wymioty.

– Żelazo, panie Brigden.

– Śledzę was na polecenie Vilgefortza! – zaryczał Rience. – Chodzi o dziewczynę! Śledząc wasz oddział, miałem nadzieję uprzedzić was, dotrzeć przed wami do tego łowcy nagród! Miałem spróbować wytargować od niego dziewkę! Od niego, nie od was! Bo wy chcecie ją zabić, a Vilgefortzowi potrzebna żywa! Co jeszcze chcecie wiedzieć? Powiem! Wszystko powiem!

– Hola, hola! – zawołał Puszczyk. – Wolnego! Toż głowa może rozboleć od tego hałasu i natłoku informacji. Wyobrażacie sobie, panowie, co będzie, gdy się go przypiecze? Zakrzyczy nas ze szczętem!

Kriel i Silifant zarechotali głośno. Kenna i Neratin Ceka nie dołączyli się do wesołości. Nie dołączył do niej także Bert Brigden, który właśnie wyjął z żaru pręt i przyjrzał mu się krytycznie. Żelazo było rozpalone tak, że wydawało się transparentne, jakby to nie było żelazo, a wypełniona płynnym ogniem szklana rurka.

Rience zobaczył to i zakrakał.

– Ja wiem, jak znaleźć łowcę i dziewczynę! – wrzasnął. – Wiem to! Powiem wam!

– No pewnie.

Kenna, wciąż próbująca czytać w jego myślach, aż skrzywiła się, odbierając falę rozpaczliwej, bezsilnej wściekłości. W mózgu Rience'a znowu coś pękło, jakaś kolejna przegródka. Ze strachu powie coś, pomyślała Kenna, co zamierzał trzymać do końca, jako kartę atutową, asa, którym mógł przebić inne asy w ostatnim, decydującym rozdaniu o najwyższą stawkę. Teraz, ze zwykłego obrzydliwego strachu przed bólem, wyrzuci tego asa na blotkę.

Nagle coś pyknęło jej w głowie, poczuła w skroniach gorąco, potem nagle zimno.

I już wiedziała, znała ukrytą myśl Rience'a.

Bogowie, pomyślała. Ależ wplątałam się w kabałę...

– Powiem! – zawył czarodziej, czerwieniejąc i wpijając wybałuszone oczy w twarz koronera. – Powiem ci coś naprawdę ważnego, Skellen! Vattier de Rideaux...

Kenna nagle usłyszała inną, obcą myśl. Zobaczyła, jak Neratin Ceka z ręką na sztylecie przysuwa się do drzwi.

Załomotały buty, do świetlicy wpadł Boreas Mun.

– Panie koroner! Prędko, panie koroner! Przyjechali... Nie uwierzycie, kto!

Skellen gestem powstrzymał Brigdena schylającego się z żelazem ku piętom szpiega.

– Powinieneś grywać na loterii, Rience – powiedział, patrząc w okno. – W życiu nie spotkałem nikogo, kto miałby równy fart.

Przez okno widać było zbiegowisko, a w środku zbiegowiska parę na koniach. Kenna od razu wiedziała, kto to. Wiedziała, kim jest chudy olbrzym o bladych rybich oczach jadący na rosłym gniadoszu.

I kim jest popielatowłosa dziewczyna na pięknej karej klaczy. Ze związanymi rękoma i obrożą na szyi. Z siniakiem na napuchłym

policzku.

•

Vysogota wrócił do chałupy w paskudnym humorze, przygnębiony, milczący, zły nawet. Sprawiła to rozmowa z wieśniakiem, który przypłynął czółnem po odbiór skór. Może ostatni raz przed wiosną, powiedział wieśniak. Pogoda psuje się z dnia na dzień, słota i wicher taki, że strach na wodę wypływać. Rankami na kałużach lód, tylko patrzeć śnieżyc, a po nich mrozów, tylko patrzeć, jak stanie rzeka i zalewy, wtedy chowaj czółno do szopy, sanie wyciągaj. Ale na Pereplut przecie nawet saniami nie lza, oparzelisko tu na oparzelisku...

Chłop miał rację. Pod wieczór zachmurzyło się, z granatowego nieba posypały się białe płatki. Porywisty wschodni wicher położył suche trzciny, białymi grzywaczami zahulał po powierzchni rozlewiska. Zrobiło się przenikliwie, dotkliwie zimno.

Pojutrze, pomyślał Vysogota, jest święto Saovine. Według elfiego kalendarza za trzy dni będzie już nowy rok. Według kalendarza ludzi, na nowy rok trzeba poczekać jeszcze dwa miesiące.

Kelpie, kara klacz Ciri, tupała i parskała w obórce.

Gdy wszedł do chałupy, zastał Ciri buszującą w kufrach. Pozwolił jej na to, nawet zachęcił. Po pierwsze, było to całkiem nowe zajęcie – po jazdach na Kelpie i wertowaniu ksiąg. Po drugie, w skrzyniach było sporo rzeczy jego córek, a dziewczynie potrzebna była cieplejsza odzież. Kilka zmian odzieży, bo w zimnie i wilgoci mijały długie dni, nim wyprane szmatki wreszcie wyschły.

Ciri wybierała, przymierzała, odrzucała, odkładała. Vysogota siadł za stołem. Zjadł dwa gotowane kartofle i kurze skrzydełko. Milczał.

– Ładna robota. – Pokazała mu przedmioty, których nie widział od lat i nawet zapomniał, że je ma. – Też należały do twojej córki? Lubiła jeździć?

– Uwielbiała. Doczekać się nie mogła zimy.

– Mogę wziąć?

– Bierz, co chcesz – wzruszył ramionami. – Ja z tego nie mam żadnego pożytku. Jeśli tobie przydadzą się i jeśli buty pasują... Ale czy ty się pakujesz, Ciri? Szykujesz się do odjazdu?

Utkwiła wzrok w kupce odzieży.

– Tak, Vysogoto – powiedziała po chwili milczenia. – Tak postanowiłam. Bo widzisz... Nie ma czasu do stracenia.

– Twoje sny.

– Tak – przyznała po chwili. – Widziałam w snach bardzo niełądne rzeczy. Nie jestem pewna, czy już miały miejsce, czy to dopiero przyszłość. Nie mam pojęcia, czy zdołam zapobiec... Ale muszę jechać. Widzisz, ja swego czasu miałam żal do moich bliskich, że nie przyszli mi z pomocą. Że zostawili na łasce losu... A teraz myślę, że to chyba oni potrzebują mojej pomocy. Muszę jechać.

– Idzie zima.

– Właśnie dlatego muszę jechać. Jeśli zostanę, utknę tu aż do wiosny... Aż do wiosny będę się gryzła w bezczynności i niepewności, gnębiona koszmarami. Muszę jechać, jechać zaraz, spróbować znaleźć tę Wieżę Jaskółki. Ten teleport. Sam wyliczyłeś, że do jeziora jest piętnaście dni drogi. Byłabym na miejscu przed listopadową pełnią...

– Nie możesz teraz opuścić kryjówki – wyrzekł z trudem. – Teraz nie. Schwytają cię, Ciri... Twoi prześladowcy... są bardzo blisko. Nie możesz teraz...

Rzuciła na podłogę bluzkę, wstała, jak pchnięta sprężyną.

– Dowiedziałeś się czegoś – ostro stwierdziła fakt. – Od wieśniaka, który wziął skórki. Mów.

– Ciri...

– Mów, proszę!

Powiedział. Później tego żałował.

•

– Diabeł ich chyba zesłał, dobry panie pustelniku – wymruczał chłop, przerywając na chwilę liczenie skórek. – Diabeł chyba. Od samego Zrównania po lasach ganiali, jakiejś dziewki szukali. Straszyli, krzykali, grozili, ale zaraz dalej jechali, nie zdążyli się nigdy zanadto naprzykrzyć. Ale tera inszą inszość wydumali: ostawili po niektórych wsiach i osadach jakieś, jak to... Puste runki czy jakoś tak. Nijakie to nie są runki, dobry panie, ani puste, ani pełne, jeno zwyczajnie trzech albo czterech łotrów szubrawych, utrapienie jedno. Pono będą całą zimę tak czatować, czy dziewka, którą ścigają, nie wychyli się skądsiś z ukrycia i do wsi nie zajrzy. Wtenczas ma ją ten pusty runek chytnąć.

– U was też są?

Chłop spochmurniał, zazgrzytał zębami.

– U nas nie. Mielim szczęście. Ale w Dun Dâre, pół dnia od nas, siedzi czterech. W karczmie na wysiółku kwaterują. Łotry, dobry panie pustelniku, łotry zatracone, paskudniki. Do dziewek się brali, a jak się im chłopy postawiły, to ubili, panie dobry, bez litości. Na śmierć...

– Zabili ludzi?

– Dwóch. Sołtysa i jeszcze jednego. I jest to kara na takich, panie dobry, hultajów? Jest prawo? Nie masz kary ni prawa! Jeden stelmach, co do nas z Dun Dâre z żoną i córką uszedł, rzekał, pry, byli drzewiej na świecie wiedźmini... Oni porządek z wszelakim łotrostwem czynili. Wezwać by do Dun Dâre wiedźmina, co by tych szelmów wytępił...

– Wiedźmini zabijali potwory, nie ludzi.

– To łotry, dobry panie pustelniku, nie żadne ludzie, jeno łotry z piekła wylazłe. Wiedźmina na nich trza, rychtyk wiedźmina... No, ale mnie w drogę czas, dobry panie pustelniku... Uch, idzie zimno! Skoro czółno chowaj, a sanie wyciągaj... A na łotrów z Dun Dâre, panie dobry, wiedźmina trza...

•

– O, racja – powtórzyła przez zaciśnięte zęby Ciri. – O, święta racja. Trzeba wiedźmina... Albo wiedźminki. Czterech, tak? W Dun Dâre, tak? A gdzie jest to całe Dun Dâre? W górze rzeki? Dojechałabym przez kępy?

– Na bogów, Ciri – przeraził się Vysogota. – Ty chyba nie myślisz poważnie...

– Nie zaklinaj się na bogów, jeśli w nich nie wierzysz. A wiem, że nie wierzysz.

– Zostawmy w pokoju mój światopogląd! Ciri, co za diabelskie pomysły lęgną ci się w głowie! Jak w ogóle możesz...

– Teraz ty zostaw w pokoju mój światopogląd, Vysogoto. Ja wiem, co do mnie należy! Jestem wiedźminką!

– Jesteś osobą młodą i niezrównoważoną! – wybuchnął. – Jesteś dzieckiem po traumatycznych przejściach, dzieckiem skrzywdzonym, neurotycznym i bliskim załamania nerwowego. I nade wszystko jesteś chora z pragnienia zemsty! Zaślepiona żądzą odwetu! Czy ty tego nie rozumiesz?

– Rozumiem lepiej niż ty! – wrzasnęła. – Bo ty pojęcia nie masz, co to znaczy być skrzywdzonym! Pojęcia nie masz o zemście, bo nikt nigdy

nie wyrządził ci prawdziwego zła!

Wybiegła z chaty, trzaskając drzwiami, przez które na moment wdarł się do sionki i izby przenikliwie zimny wicher. Po krótkiej chwili usłyszał rżenie i łomot kopyt.

Wzburzony, trzasnął talerzem o stół. Niech jedzie, pomyślał gniewnie, niech wytrzęsie z siebie złość. Bać się o nią nie bał, jeździła wśród bagien często, w dzień i w nocy, znała ścieżki, groble, kępy i grądy. Gdyby zaś i nawet zabłądziła, wystarczyło puścić wodze luzem – kara Kelpie znała drogę do domu, do koziej obórki.

Po jakimś czasie, gdy już mocno się ściemniło, wyszedł, zawiesił latarnię na słupie. Stanął przy żywopłocie, nadstawił uszu na stuk kopyt, na pluśnięcia wody. Wicher i szum trzcin tłumiły jednak wszelkie odgłosy, latarnia na słupie kolebała się jak wściekła, wreszcie zgasła.

I wtedy usłyszał. Z oddali. Nie, nie od strony, w którą pojechała Ciri. Od strony przeciwnej. Od bagien.

Dziki, nieludzki, przeciągły, zawodzący krzyk. Skowyt.

Chwila ciszy.

I znowu. Beann'shie.

Elfi upiór. Zwiastunka śmierci.

Vysogota zadygotał, z zimna i ze strachu. Wrócił szybko pod chałupę, mamrocząc i nucąc pod nosem, by nie usłyszeć, by nie słyszeć, bo tego nie wolno było słyszeć.

Zanim zdążył ponownie zapalić latarnię, z ciemności wyłoniła się Kelpie.

– Wejdź do chaty – powiedziała Ciri, łagodnie i miękko. – I nie wychodź. Paskudna noc.

•

Przy wieczerzy posprzeczali się znowu.

– Zdajesz się dużo wiedzieć o problemach dobra i zła!

– Bo wiem! I to nie z uniwersyteckich ksiąg!

– Nie, oczywiście. Ty wszystko wiesz z własnego doświadczenia. Z praktyki. Zdobyłaś wszak mnóstwo doświadczeń w twym długim, szesnastoletnim życiu.

– Dość ich zdobyłam. Wystarczająco dużo!

– Gratuluję. Koleżanko uczona.

– Ty sobie drwisz – zacisnęła zęby – nawet przedstawienia nie mając, ile niedobrego narobiliście światu wy, zdziadziali uczeni, teoretycy z waszymi księgami, ze stuletnim doświadczeniem czytania traktatów moralnych, tak sumiennie, że nie mieliście czasu nawet z okna zobaczyć, jak naprawdę świat wygląda. Wy, filozofowie, sztucznie podtrzymujący sztuczne filozofie, by brać pensje na uniwersytetach. A że pies z kulawą nogą nie zapłaciłby wam za brzydką prawdę o świecie, wymyśliliście etykę i moralność, nauki ładne i optymistyczne. Tyle że zełgane i szachrajskie!

– Nic bardziej szachrajskiego nad nieprzemyślany osąd, smarkulo! Nad pospieszne i nierozważne wyrokowanie!

– Nie znaleźliście remedium na zło! A ja, smarkata wiedźminka, znalazłam! Niezawodne remedium!

Nie odpowiedział, ale twarz musiała go zdradzić, bo Ciri gwałtownie zerwała się zza stołu.

– Uważasz, że wygaduję głupstwa? Że mówię na wiatr?

– Uważam – odrzekł spokojnie – że mówisz w rozdrażnieniu. Uważam, że planujesz zemstę w rozdrażnieniu. I gorąco cię namawiam, byś się uspokoiła.

– Ja jestem spokojna. A zemsta? Odpowiedz mi: dlaczego nie? Dlaczego mam rezygnować z zemsty? W imię czego? Wyższych racji? A cóż wyższego nad porządek rzeczy, w którym złe uczynki są karane? Dla ciebie, filozofie i etyku, zemsta to czyn niełady, naganny, nieetyczny, wreszcie bezprawny. A ja pytam: gdzie kara za zło? Kto ma ją stwierdzić, orzec i wymierzyć? Kto? Bogowie, w których nie wierzysz? Wielki demiurg-stwórca, którym postanowiłeś bogów zastąpić? A może prawo? Może nilfgaardzka sprawiedliwość, cesarskie sądy, prefekci? Ty naiwny starcze!

– A więc oko za oko, ząb za ząb? Krew za krew? A za tę krew, następna krew? Morze krwi? Chcesz świat we krwi utopić? Naiwna, skrzywdzona dziewczyno? Tak chcesz walczyć ze złem, wiedźminko?

– Tak. Właśnie tak! Bo ja wiem, czego Zło się lęka. Nie etyki twojej, Vysogoto, nie kazań, nie moralnych traktatów o poczciwym życiu. Zło bólu się lęka, kalectwa, cierpienia, śmierci wreszcie! Zranione Zło wyje z bólu jak pies! Tarza się na podłodze i kwiczy, patrząc, jak krew chlusta z żył i arterii, widząc sterczące z kikutów kości, widząc kiszki wypełzające z brzucha, czując, jak wraz z zimnem nadchodzi śmierć. Wtedy i tylko

wtedy Złu włosy dęba stają na łbie i wrzeszczy wtedy Zło: „Litości! Żałuję za grzechy! Dobre już będę i poczciwe, przysięgam! Tylko ratujcie, zatamujcie krew, nie dajcie podle sczeznąć!”

– Tak, pustelniku. W taki sposób zwalcza się Zło! Jeśli Zło chce wyrządzić ci krzywdę, zadać ci ból – uprzedź je, najlepiej wtedy, gdy Zło się nie spodziewa. Jeśli zaś nie zdołałeś Zła uprzedzić, jeśli zostałeś przez Zło skrzywdzony, to odpłać mu! Dopadnij, najlepiej wtedy, gdy już zapomniało, gdy czuje się bezpieczne. Odpłać mu w dwójnasób. W trójnasób. Oko za oko? Nie! Oboje oczu za oko! Ząb za ząb? Nie! Wszystkie zęby za ząb! Odpłać Złu! Spraw, by wyło z bólu, by od tego wycia pękły mu gałki oczne. I wtedy, popatrzywszy na podłogę, możesz śmiało i pewnie powiedzieć: to, co tutaj leży, już nie skrzywdzi nikogo, nikomu nie zagrozi. Bo jak może komuś zagrozić, nie mając oczu? Nie mając obu rąk? Jak może skrzywdzić, gdy jego flaki włóczą się po piachu, a jucha w ten piach wsiąka?

– A ty – powiedział wolno pustelnik – stoisz z zakrwawionym mieczem w dłoni, patrzysz na krew wsiąkającą w piach. I masz czelność myśleć, że oto został rozwiązany ten odwieczny dylemat, osiągnięte zostało marzenie filozofów. Myślisz, że natura Zła została odmieniona?

– A tak – powiedziała buńczucznie. – Bo to, co leży na ziemi i broczy, to już nie jest Zło. Może to jeszcze nie Dobro, ale Zło nie jest to już z pewnością!

– Mówią – powiedział wolno Vysogota – że przyroda nie znosi próżni. To, co leży na ziemi, co broczy, co padło od twego miecza, już nie jest Złem. Co nim tedy jest? Czy zastanawiałaś się kiedyś nad tym?

– Nie. Jestem wiedźminką. Gdy mnie uczono, poprzysięgłam sobie, że będę występować przeciw Złu. Zawsze. I bez zastanowienia.

– Bo gdy się zacznie zastanawiać – dodała głucho – zabijanie przestaje mieć sens. Zemsta przestaje mieć sens. A do tego nie wolno dopuścić.

Pokręcił głową, ale gestem powstrzymała go przed argumentowaniem.

– Czas, bym dokończyła moją opowieść, Vysogoto. Opowiadałam ci przez ponad trzydzieści nocy, od Ekwinokcjum do Saovine. A przecież nie opowiedziałam ci wszystkiego. Zanim odjadę, musisz się dowiedzieć, co wydarzyło się w dzień Ekwinokcjum w wiosce, która nazywała się Goworożec.

•

Jęknęła, gdy ściągał ją z siodła. Biodro, w które ją wczoraj kopnął, bolało.

Szarpnął za łańcuch przy obroży, pociągnął ją w stronę jasnego budynku.

W drzwiach budynku stało kilku uzbrojonych mężczyzn. I jedna wysoka kobieta.

– Bonhart – powiedział jeden z mężczyzn, szczupły brunet o chudej twarzy, trzymający w ręku okutą mosiądzem nahajkę. – Trzeba ci przyznać, potrafisz zaskakiwać.

– Witaj, Skellen.

Nazwany Skellenem czas jakiś patrzył jej prosto w oczy. Zadrżała pod tym spojrzeniem.

– Jak więc? – zwrócił się znów do Bonharta. – Będziesz wyjaśniał od razu czy może po trochu?

– Nie lubię wyjaśniać na majdanie, bo muchy do gęby wpadają. Do izby można wejść?

– Zapraszam.

Bonhart szarpnął za łańcuch obroży.

W izbie czekał jeszcze jeden mężczyzna, rozczochrany i blady, chyba kucharz, bo zajęty czyszczeniem ubrania ze śladów mąki i śmietany. Na widok Ciri oczy mu zabłysły. Podszedł.

To nie był kucharz.

Poznała go od razu, pamiętała te paskudne oczy i piętno na gębie. To był ten, który wraz z Wiewiórkami ścigał ją na Thanedd, to jemu uciekła, wyskakując przez okno, a on kazał elfom skakać za nią. Jak ten elf go nazwał? Rens?

– Proszę, proszę! – powiedział zjadliwie, mocno i boleśnie tkając ją palcem w pierś. – Panna Ciri! Nie widzieliśmy się od Thanedd. Długo, długo panienki szukałem. Aż wreszcie znalazłem!

– Nie wiem, mosterdzieju, kim jesteście – powiedział zimno Bonhart. – Ale to, co jakoby znaleźliście, jest akurat moje, tedy trzymajcie łapy z daleka, jeśli cenicie swe paluszki.

– Nazywam się Rience – oczy czarodzieja błysnęły niełądnie. – Raczcie to łaskawie zapamiętać, panie łowco nagród. A kim jestem, to się wnet okaże. Wnet się też okaże, do kogo ta panna będzie należeć. Ale nie uprzedzajmy wypadków. Na razie chcę jej tylko przekazać pozdrowienia i złożyć pewne przyrzeczenie. Nie macie nic przeciw temu, tuszę?

– Wolno wam tuszyć.

Rience zbliżył się do Ciri, z bliska spojrzał jej w oczy.

– Twoja opiekunka, wiedźma Yennefer – wycedził zjadliwie – naraziła mi się kiedyś. Gdy zatem wpadła w moje ręce, ja, Rience, nauczyłem ją bólu. Tymi rękoma, tymi palcami. I złożyłem jej obietnicę, że gdy ty wpadniesz mi w ręce, królewno, to ciebie też nauczę bólu. Tymi rękoma, tymi palcami...

– Ryzykownie – powiedział cicho Bonhart. – To duże ryzyko, panie Rience, czy jak tam panu, drażnić moją dziewczynkę i grozić jej. Ona mściwa jest, gotowa wam to zapamiętać. Trzymajcie, powtarzam, z daleka od niej wasze ręce, palce i wszelkie inne części ciała.

– Dosyć – uciął Skellen, nie spuszczając z Ciri ciekawego wzroku. – Przestań, Bonhart. Ty, Rience, też się temperuj. Okazałem ci łaskę, ale mogę się rozmyślić i znowu cię każę przywiązać do stołowych nóg. Siadajcie obaj. Pogadajmy jak ludzie kulturalni. We trzech, we trzy pary oczu. Bo jest, jak mi się zdaje, o czym pogadać. A przedmiot rozmów damy chwilowo pod straż. Panie Silifant!

– Tylko dobrze mi jej pilnować. – Bonhart wręczył Silifantowi koniec łańcucha. – Jak oka w głowie.

•

Kenna trzymała się na uboczu. Owszem, chciała przyjrzeć się dziewce, o której tak głośno było ostatnio, ale czuła dziwną odrazę do wpychania się w tłumek otaczający Harsheima i Silifanta, którzy prowadzili zagadkowego jeńca pod słup na majdanie.

Wszyscy tłoczyli się, przepychali, przyglądali. Próbowali nawet pomacać, pchnąć, szarpnąć. Dziewczyna stąpała sztywno, utykała lekko, ale głowę trzymała wysoko. Bił ją, pomyślała Kenna. Ale jej nie złamał.

– Znaczy, to jest ta Falka...

– Dziewuszka ledwo dorosła!

– Dziewuszka, tfu! Rezunka!

– Sześciu chłopów pono zasiekła, bestia, na arenie w Claremont...

– A ilu podobnież wcześniej... Diablica...

– Wilczyca!

– A klacz, jaka klacz, patrzcie. Cudnej krwie koń... A tu, przy Bonharta tybince, jaki miecz... Ha... Cudo!

– Zostawić! – warknął Dacre Silifant. – Nie tykać! Gdzie z łapami do cudzych rzeczy? Dziewczyny też nie ruszać, nie macać, nie czynić wstrętów ni insultów! Okazać nieco kompasji. Nie wiada, czyli nie będziem jej przed świtem musieli kaźnić. Niechże choć do tego czasu zazna spokoju.

– Jeśli dziewka ma iść na śmierć – wyszczerzył zęby Cyprian Fripp Młodszy – to może by tak jej ostatek życia osłodzić i wygodzić jej dobrze? Wziąć na sianko i przechędożyć?

– No! – zarechotał Kabernik Turent. – Można by! Spytajmy Puszczyka, czy wolno...

– Ja wam mówię, że nie wolno! – uciął Dacre. – Wam jedno aby po łbach biega, jebaki wy zatracone! Powiedziałem, dziewczynę w spokoju zostawić. Andres, Stigward, stańcie tu przy niej. Z oka nie spuszczać, na krok się nie oddalać. A tych, gdy który się zbliży, batem!

– O wa! – rzekł Fripp. – Nie, to nie, nam zajedno. Chodźwa, chłopy, pod bróg, do tutejszych, oni tam barana i parsiuka pieką na ucztę. Przecie dziś Równonoc, święto. Póki panowie radzą, my możem poświętować.

– Chodźmy! Wyciąg, Dede, jaki gąsiorek z sepetów. Wypijemy! Można, panie Silifant? Panie Harsheim? Święto dziś, a i tak na noc nigdzie nie pojedziem.

– A to pomysły paradne! – zmarszczył się Silifant. – Biesiady i wypitki im w głowie! A kto tu zostanie, by pomagać dziewki strzec i na zawołanie pana Stefana być?

– Ja zostanę – powiedział Neratin Ceka.

– I ja – powiedziała Kenna.

Dacre Silifant popatrzył na nich uważnie. Wreszcie przyzwalająco machnął ręką. Fripp i kompania podziękowali nieskładnym rykiem.

– Ale uważać mi tam, na tym świętowaniu! – ostrzegł Ola Harsheim. – Do dziewek się nie brać, by którego chłopi widłami w słabiznę nie zmacali!

– O wa! Idziesz z nami, Chloe? A ty, Kenna? Nie namyślisz się?

– Nie. Zostaję.

•

– Zostawili mnie pod słupem, na łańcuchu, ze związanymi rękami. Pilnowało mnie dwóch. A dwoje stojących opodal bez przerwy zerkało,

obserwowało. Wysoka i niebrzydka kobieta. I mężczyzna o takiej jakiejś kobiecej aparycji i ruchach. Dziwny taki.

Kot siedzący na środku izby ziewnął szeroko, znudzony, bo zamęczona mysz przestała być zabawna. Vysogota milczał.

– Bonhart, Rience i ten Skellen-Puszczyk wciąż radzili w świetlicy. Nie wiedziałam, nad czym. Spodziewać się mogłam najgorszego, ale byłam zrezygnowana. Jeszcze jedna arena? Czy zwyczajnie mnie zamordują? A niech tam, myślałam, niech to się wreszcie skończy.

Vysogota milczał.

•

Bonhart westchnął.

– Nie patrz wilkiem, Skellen – powtórzył. – Chciałem zwyczajnie zarobić. Mnie, uważasz, na emeryturę pora, na werandzie siedzieć, na gołębie popatrywać. Dawałeś mi za Szczurzycę sto florenów, koniecznie chciałeś martwą. Zastanowiło mnie to. Ile też ta panna może być naprawdę warta, pomyślałem. I wykombinowałem, że gdy się ją zabije lub odda, z pewnością mniej będzie warta, niż gdyby się ją zatrzymało. Stara zasada ekonomii i handlu. Towar taki jak ona stale przyrasta w wartości. Można się potargować...

Puszczyk zmarszczył nos, jakby w okolicy coś zaśmierdziało.

– Szczery jesteś, Bonhart, do bólu. Ale przejdź do rzeczy. Do wyjaśnień. Uciekasz z dziewczyną przez całe Ebbing, a naraz zjawiasz się i tłumaczysz zasadami ekonomii. Wyjaśnij, co zaszło.

– Co tu wyjaśniać – uśmiechnął się obleśnie Rience. – Pan Bonhart po prostu połapał się wreszcie, kim naprawdę dziewka jest. I ile jest warta.

Skellen nie zaszczycił go spojrzeniem. Patrzył na Bonharta, w jego rybie, pozbawione wyrazu oczy.

– I tę drogocenną dziewczynę – wycedził – tę wartościową zdobycz, mającą zagwarantować emeryturę, wypycha się w Claremont na arenę i każe walczyć na śmierć. Ryzykuje się jej życiem, choć podobno żywa tyle warta. Jak to jest, Bonhart? Bo coś mi tu nie gra.

– Gdyby zginęła na tej arenie – Bonhart nie spuścił oczu – to by znaczyło, że nic nie była warta.

– Rozumiem – Puszczyk zmarszczył lekko brwi. – Ale zamiast zawieźć dziewkę na kolejną arenę, przywiozłeś ją do mnie. Dlaczego, jeśli wolno spytać?

– Powtarzam – wykrzywił się Rience. – Połapał się, kim ona jest.

– Bystrzy jesteście, panie Rience. – Bonhart przeciągnął się, aż zatrzeszczały stawy. – Odgadliście. Tak, prawda to, ze szkoloną w Kaer Morhen wiedźminką wiązała się jeszcze jedna zagadka. W Geso, podczas napadu na szlachciankę, dziewka rozpuściła języczek. Że niby taka ważna i utytułowana, że baronówna to dla niej furda i szysz, kłaniać się nisko powinna. Tedy owa Falka, myślę sobie, to co najmniej hrabianka. Ciekawe. Wiedźminka: to raz. Dużo to widuje się wiedźminek? W bandzie Szczurów: to dwa. Cesarski koroner własną ważną osobą ugania się za nią od Korathu po Ebbing, rozkazuje uśmiercić: trzy. A do tego wszystkiego... szlachcianka jakoby wysokiego rodu. Ha, myślę sobie, trzeba będzie dziewkę wreszcie spytać, kimże to ona naprawdę jest.

Zamilkł na chwilę.

– Początkowo – wytarł nos mankietem – nie chciała gadać. Choć prosiłem. Ręką, nogą, batem prosiłem. Kaleczyć nie chciałem... Ale trzeba trafu, napatoczył się cyrulik. Z przyrządami do rwania zębów. Przywiązałem ją do krzesła...

Skellen słyszalnie przełknął ślinę. Rience uśmiechnął się. Bonhart obejrzał mankiet.

– Wszystko mi powiedziała, zanim... Gdy tylko zobaczyła instrumenty. Te zębne kleszcze i pelikany. Od razu się zrobiła rozmowniejsza. Okazało się, że to...

– Księżniczka Cintry – rzekł Rience, patrząc na Puszczyka. – Spadkobierczyni tronu. Kandydatka na żonę cesarza Emhyra.

– Czego to pan Skellen powiedzieć mi nie raczył – skrzywił usta łowca nagród. – Kazał zwyczajnie ukatrupić, kilka razy to zaznaczał. Zabić na miejscu i bez litości! Jak to, panie Skellen? Zabić królową? Przyszłą ślubną swego cesarza? Z którą, jeśli plotce wierzyć, cesarz tylko patrzeć, jak na kobiercu stanie, po czym będzie wielka amnestia?

Wygłaszając oracje, Bonhart wiercił Skellena wzrokiem. Ale koroner cesarski oczu nie spuścił.

– Ot – podjął łowca – wychodzi: kabała. Tak tedy, choć z żalem, ale ze swoich planów względem tej wiedźminki-księżniczki zrezygnowałem. Przywiozłem całą tę kabałę tutaj, do pana Skellena. By pogadać, poukładać się... Bo ta kabała to troszeczkę jakby za dużo jak na jednego Bonharta...

– Bardzo słuszny wniosek – powiedziało skrzekliwie coś zza pazuchy Rience'a. – Bardzo słuszny wniosek, panie Bonhart. To, co złapaliście, panowie, to trochę za dużo dla was obu. Na wasze szczęście, macie jeszcze mnie.

– Co to jest? – Skellen zerwał się z krzesła. – Co to, cholera, jest?

– Mój mistrz, czarodziej Vilgefortz. – Rience wyjął zza pazuchy malutkie srebrne puzderko. – Dokładniej, głos mego mistrza. Dobiegający z tego oto magicznego urządzenia, zwanego ksenoglozem.

– Witam wszystkich panów – powiedziało puzderko. – Szkoda, że mogę was tylko słyszeć, ale na teleprojekcję lub teleportację nie pozwalają mi pilne zajęcia.

– Tego, psiakrew, jeszcze brakowało – warknął Puszczyk. – Ale mogłem się domyślić. Rience jest za głupi, by działać sam i na własną rękę. Mogłem się domyślić, że cały czas czaisz się gdzieś w mroku, Vilgefortz. Jak stary opasły pająk, czaisz się w ciemności, oczekując drgnięć pajęczyny.

– Cóż za obrazowe porównanie.

Skellen parsknął.

– I nie mydl nam oczu, Vilgefortz. Wysługujesz się Rience'em i jego szkatułką nie z powodu nawału zajęć, ale ze strachu przed armią czarodziejów, twoich dawnych druhów z Kapituły, skanujących cały świat w poszukiwaniu śladów magii o twoim algorytmie. Gdybyś spróbował teleportacji, namierzyliby cię w try miga.

– Cóż za imponująca wiedza.

– Nie byliśmy sobie przedstawieni. – Bonhart dość teatralnie skłonił się przed srebrnym puzderkiem. – Ale to wszakże na wasze polecenie i z waszego upełnomocnienia, panie czarnoksiężniku, mosterdziej Rience przyrzeka dziewczynie męczarnie? Nie mylę się? Słowo daję, z każdą chwilą coraz to bardziej ważna robi się ta dziewczyna. Wszystkim jest, okazuje się, potrzebna.

– Nie byliśmy przedstawieni – powiedział z puzderka Vilgefortz. – Ale ja pana znam, Leo Bonhart, zdziwiłby się pan, jak dobrze. A dziewczyna i owszem, jest ważna. To wszakże Lwiątko z Cintry, Starsza Krew. Zgodnie z przepowiednią Itliny jej potomkowie będą w przyszłości panować nad światem.

– Dlatego tak bardzo wam potrzebna?

– Mnie potrzebna jest tylko jej placenta. Łożysko. Gdy wyjmę z niej łożysko, resztę możecie sobie zabrać. Cóż to ja tam słyszę, jakieś sarkania? Jakieś pełne odrazy westchnienia i sapania? Czyje? Bonharta, który dziewczynę co dnia katuje na wymyślne sposoby, fizycznie i psychicznie? Stefana Skellena, który na rozkaz zdrajców i spiskowców chce dziewczynę zamordować? Hę?

•

Podsłuchiwałam ich, przypomniała sobie Kenna, leżąca na pryczy z dłońmi podłożonymi pod kark. Stałam za węgłem i czujniłam. I włosy mi się jeżyły. Na całym ciele. Naraz zrozumiałam ogrom kabały, w którą popadłam.

•

– Tak, tak – rozległo się z ksenoglozu – zdradziłeś swego cesarza, Skellen. Bez wahania, przy pierwszej sposobności.

Puszczyk parsknął lekceważąco.

– Zarzut zdrady z ust takiego arcyzdrajcy jak ty, Vilgefortz, to naprawdę duża rzecz. Czułbym się zaszczycony. Gdyby nie trąciło to tanim jarmarcznym żartem.

– Ja nie wyrzucam ci zdrady, Skellen, ja wydrwiwam twą naiwność i nieudolność w zdradzaniu. Bo dla kogóż to zdradzasz twego władcę? Dla Ardala aep Dahy i de Wetta, książątek, urażonych w ich chorobliwej dumie, znieważonych tym, że ich córeczki cesarz odtrącił, planując małżeństwo z Cintryjką. A oni liczyli, że to z ich rodów wywiedzie się nowa dynastia, że to ich rody będą w Cesarstwie pierwszymi, że rychło wyrosną nawet ponad tron! Emhyr jednym ruchem pozbawił ich tej nadziei, a wtedy oni postanowili poprawić bieg historii. Ze zbrojnym rokoszem nie są jeszcze gotowi, ale można przecież zgładzić dziewczynę, którą Emhyr przełożył nad ich córki. Własnych arystokratycznych rączek rzecz jasna nie chce się im kalać, znaleźli najemnego zbira, Stefana Skellena, cierpiącego na przerost ambicji. Jak to było, Skellen? Nie zechcesz nam opowiedzieć?

– Po co? – krzyknął Puszczyk. – I komu? Przecież ty jak zwykle wszystko wiesz, wielki magu! Rience jak zwykle nie wie nic i tak ma być, a Bonharta nic to nie obchodzi...

– Ty zaś, jak to już wykazałem, nie bardzo masz się czym chwalić. Książęta kupili cię obietnicami, ale jesteś wszak zbyt inteligentny, by nie

rozumieć, że ci z pankami nie po drodze. Dziś jesteś im potrzebny jako narzędzie do zgładzenia Cintryjki, jutro pozbędą się ciebie, boś nisko urodzony parweniusz. Obiecali ci w nowym Cesarstwie stanowisko Vattiera de Rideaux? Chyba sam w to nie wierzysz, Skellen. Vattier jest im bardziej potrzebny, bo przewroty przewrotami, ale tajne służby zostają zawsze te same. Twoimi rękami chcą tylko mordować, Vattiera potrzebują, by zawładnąć aparatem bezpieczeństwa. Poza tym Vattier jest wicehrabią, a ty nikim.

– Faktycznie – wydął wargi Puszczyk. – Zbyt jestem inteligentny, by tego nie zauważyć. Tak tedy, teraz powinienem zdradzić z kolei Ardala aep Dahy i przystać do ciebie, Vilgefortz? Do tego zmierzasz? Ale ja nie jestem chorągiewką na wieży! Jeśli popieram sprawę rewolucji, to z przekonania i idei. Trzeba skończyć z samowładną tyranią, wprowadzić monarchię konstytucyjną, a po niej demokrację...

– Co?

– Ludowładztwo. Ustrój, w którym rządził będzie lud. Ogół obywateli wszystkich stanów, poprzez wyłonionych w uczciwych wyborach najgodniejszych i najuczciwszych reprezentantów...

Rience ryknął śmiechem. Zaśmiał się dziko Bonhart. Serdecznie, choć trochę skrzekliwie, zaśmiał się z ksenoglozu czarodziej Vilgefortz. Wszyscy trzej długo śmiali się i rechotali, roniąc łzy jak grochy.

– Dobra – przerwał wesołość Bonhart. – Nie na jasełki my tu się zebrali, lecz na handel. Dziewczyna, póki co, nie należy do ogółu uczciwych obywateli wszystkich stanów, lecz do mnie. Ale mogę ją odsprzedać. Co pan czarodziej ma do zaoferowania?

– Władza nad światem interesuje cię?

– Nie.

– Pozwolę ci więc – rzekł wolno Vilgefortz – być obecnym przy tym, co będę robił dziewczynie. Będziesz mógł się przyglądać. Wiem, że przedkładasz takie przyglądanie się ponad wszelkie inne przyjemności.

Oczy Bonharta zapłonęły białym ogniem. Ale był spokojny.

– A bardziej konkretnie?

– A bardziej konkretnie: gotów jestem zapłacić twoją dwudziestokrotną stawkę. Dwa tysiące florenów. Konsyderuj, Bonhart, że to jest worek pieniędzy, którego nie uniesiesz, będziesz potrzebował jucznego muła. Wystarczy ci na emeryturę, werandę, gołębie, a nawet na wódkę i dziwki, jeśli zachowasz rozsądny umiar.

– Zgoda, panie magiku – zaśmiał się pozornie beztrosko łowca. – Tą wódką i tymi dziwkami naisto za serce żeście mnie ujęli. Dobijemy targu. Ale na owo zaproponowane przyglądanie też bym reflektował. Wolałbym, co prawda, patrzeć, jak ona zdycha na arenie, ale na waszą nożową robotę też chętnie rzucę okiem. Dołóżcie rabatem.

– Targ dobity.

– Szybko wam poszło – ocenił cierpko Puszczyk. – Zaprawdę, Vilgefortz, szybko i gładko zawarłeś z Bonhartem spółkę. Spółkę, która wszak jest i będzie *societas leonina*. Ale nie zapomnieliście aby o czymś? Świetlicę, w której siedzicie, i Cintryjkę, którą handlujecie, otaczają dwa tuziny zbrojnych ludzi. Moich ludzi.

– Drogi koronerze Skellen – zabrzmiał z pudełka głos Vilgefortza. – Obraża mnie pan, sądząc, że w wymianie chcę pana skrzywdzić. Wprost przeciwnie. Zamierzam być niezwykle hojny. Nie mogę panu zapewnić owej, jak to pan raczył nazwać, demokracji. Ale zagwarantuję panu pomoc materialną, wsparcie logistyczne i dostęp do informacji, dzięki którym przestanie pan być dla spiskowców narzędziem i sługusem, a stanie się partnerem. Takim, z którego osobą i zdaniem liczyć się będzie książę Joachim de Wett, diuk Ardal aep Dahy, hrabia Broinne, hrabia d'Arvy i cała reszta błękitnokrwistych spiskowców. Co z tego, że to *societas leonina*? Owszem, jeśli łupem jest Cirilla, to lwią część łupu wezmę ja, jak mi się zresztą zdaje, zasłużenie. Aż tak cię to boli? Wszak sam zyski będziesz miał niemałe. Jeśli oddasz mi Cintryjkę, stanowisko Vattiera de Rideaux masz już w kieszeni. A będąc szefem tajnych służb, Stefanie Skellen, można realizować przerozmaite utopie, bodaj nawet demokracje i uczciwe wybory. Jak więc widzisz, za jedną chudą piętnastolatkę daję ci spełnienie życiowych marzeń i ambicji. Widzisz to?

– Nie – pokręcił głową Puszczyk. – Wyłącznie słyszę.

– Rience.

– Słucham, mistrzu.

– Daj panu Skellenowi próbkę jakości naszych informacji. Powiedz, co wydobyłeś od Vattiera.

– W tym oddziale – powiedział Rience – jest szpieg.

– Co?

– To, co słyszysz. Vattier de Rideaux ma tu wtyczkę. Wie o wszystkim, co robisz. Dlaczego to robisz i dla kogo. Vattier wkręcił między was

swojego agenta.

•

Podszedł do niej cicho. Prawie go nie słyszała.

– Kenna.

– Neratin.

– Byłaś czujna na moje myśli. Tam, w świetlicy. Wiesz, o czym myślałem. Wiesz więc, kim jestem.

– Posłuchaj, Neratin...

– Nie. To ty posłuchaj, Joanno Selborne. Stefan Skellen zdradza kraj i cesarza. Spiskuje. Wszyscy, którzy z nim trzymają, skończą na szafocie. Będą rozrywani końmi na placu Tysiąclecia.

– Ja nic nie wiem, Neratin. Ja wykonuję rozkazy... Czego ty ode mnie chcesz? Ja służę koronerowi... A komu ty służysz?

– Cesarstwu. Panu de Rideaux.

– Czego ty ode mnie chcesz?

– Byś wykazała rozsądek.

– Odejdź. Nie zdradzę cię, nie powiem... Ale odejdź, proszę. Ja nie mogę, Neratin. Ja jestem prosta kobieta. Nie na moją to głowę...

•

Nie wiem, co robić. Skellen mówił: „pani Selborne". Jak do oficera. Komu służę? Jemu? Cesarzowi? Cesarstwu?

A skąd mnie to wiedzieć?

Kenna odepchnęła się plecami od węgła chałupy, machnięciem witki i groźnym pomrukiem przepędziła wiejskie dzieciaki, ciekawie przyglądające się siedzącej pod słupem Falce.

Oj, w ładną kabałę się wpakowałam. Oj, zapachniało w powietrzu stryczkiem. I końskim gównem na placu Tysiąclecia.

Nie wiem, czym to się skończy, pomyślała Kenna. Ale muszę w nią wejść. W tę Falkę. Choć przez chwilę poczuć jej myśli. Wiedzieć to, co ona.

Zrozumieć.

•

– Zbliżyła się – powiedziała Ciri, głaszcząc kota. – Była wysoka, zadbana, bardzo różniąca się od reszty tej zgrai... Nawet na swój sposób

ładna. I wzbudzała szacunek. Ci dwaj, którzy mnie pilnowali, wulgarne prostaki, przestali kląć, gdy podeszła.

Vysogota milczał.

– Ona zaś – ciągnęła Ciri – pochyliła się, spojrzała mi w oczy. Od razu poczułam coś... Coś dziwnego... Coś mi tak jakby chrupnęło z tyłu głowy, zabolało. Zaszumiało w uszach. W oczach zrobiło się na moment bardzo jasno... Coś we mnie weszło, obrzydliwie i ośliźle... Ja to znałam. Yennefer pokazywała mi w świątyni... Ale tej kobiecie nie chciałam na to pozwolić... Więc zwyczajnie odepchnęłam to coś, czym mnie penetrowała, odepchnęłam i wyrzuciłam z siebie, z całą mocą, na jaką było mnie stać. A wysoka kobieta wygięła się i zachwiała, jakby dostała pięścią, zrobiła dwa kroki do tyłu... I krew rzuciła się jej z nosa. Z obu dziurek.

Vysogota milczał.

– A ja – Ciri podniosła głowę – zrozumiałam, co się stało. Nagle poczułam w sobie Siłę. Utraciłam ją tam, na pustyni Korath, wyrzekłam się. Nie mogłam później czerpać, nie mogłam korzystać. A ona, ta kobieta, dała mi Siłę, wręcz wepchnęła mi broń do ręki. To była moja szansa.

•

Kenna zatoczyła się i ciężko usiadła na piasku, kiwając się i macając grunt jak pijana. Krew lała się jej z nosa na usta i podbródek.

– Co jest... – Andres Vierny zerwał się, ale nagle chwycił się oburącz za głowę, otworzył usta, z ust wydobył się skrzek. Szeroko otwartymi oczami wpatrywał się w Stigwarda, ale z nosa i uszu pirata też już ciekła krew, a oczy zachodziły mgłą. Andres upadł na kolana, patrząc na Neratina Cekę, stojącego z boku i przyglądającego się spokojnie.

– Nera... tin... Pomóż...

Ceka nie poruszył się. Patrzył na dziewczynę. Ta obróciła na niego oczy, a on zachwiał się.

– Nie trzeba – uprzedził szybko. – Jestem po twojej stronie. Chcę ci pomóc. Daj, przetnę ci więzy... Masz nóż, sama rozetnij obrożę. Ja przyprowadzę konie.

– Ceka... – wydusił ze zdławionej krtani Andres Vierny. – Ty zdraj...

Dziewczyna uderzyła go wzrokiem, a on padł na leżącego bez ruchu Stigwarda i zwinął się w pozycję płodu. Kenna nadal nie mogła wstać.

Krew gęstymi kroplami kapała jej na pierś i brzuch.

– Alarm! – wrzasnęła nagle wychodząca zza chałup Chloe Stitz, upuszczając baranie żebro. – Alaaaaarm! Silifant! Skellen! Dziewczyna ucieka!

Ciri już była w siodle. W ręku miała miecz.

– Yaaaaaa, Kelpie!

– Alaaaaaaarm!

Kenna drapała piasek. Nie mogła wstać. Nogi w ogóle jej nie słuchały, były jak z drewna. Psioniczka, pomyślała. Trafiłam na superpsioniczkę. Dziewczyna jest z dziesięć razy silniejsza ode mnie... Dobrze, że nie zabiła... Jakim cudem ciągle jestem przytomna?

Od strony chałup biegła już kupa, na jej czele Ola Harsheim, Bert Brigden i Til Echrade, spieszyli też na majdan strażnicy spod kołowrotu, Dacre Silifant, Boreas Mun. Ciri zawróciła, wrzasnęła, pocwałowała w stronę rzeki. Ale i stamtąd już biegli uzbrojeni ludzie.

Skellen i Bonhart wypadli ze świetlicy. Bonhart miał w ręku miecz. Neratin Ceka krzyknął, najechał na nich koniem i obu obalił. Potem wprost z siodła rzucił się na Bonharta i przygniótł go do ziemi. Rience wypadł na próg i patrzył ogłupiały.

– Łapać ją! – ryknął Skellen, zrywając się z ziemi. – Łapać albo zabić!

– Żywą! – zawył Rience. – Żyyyyywą!

Kenna widziała, jak Ciri została odpędzona od nadrzecznej palisady, jak zawróciła karą klacz i pomknęła w stronę kołowrotu. Widziała, jak Kabernik Turent doskoczył i chciał zwlec ją z siodła, widziała, jak błysnął miecz, widziała, jak z szyi Turenta siknęła karminowa struga. Dede Vargas i Fripp Młodszy też to widzieli. Nie zdecydowali się zastąpić dziewczynie drogi, zemknęli między chałupy.

Bonhart zerwał się, uderzeniem głowicą miecza odepchnął od siebie Neratina Cekę i ciął strasznie, skośnie przez pierś. I natychmiast skoczył za Ciri. Rozpłatany i broczący krwią Neratin zdołał go jeszcze chwycić za nogi, puścił dopiero przybity sztychem do piasku. Ale tych kilku sekund zwłoki było dość.

Dziewczyna spięła klacz, uchodząc przed Silifantem i Munem. Skellen chyłkiem, jak wilk, zabiegł z lewej, machnął ręką. Kenna widziała, jak coś zalśniło w locie, widziała, jak dziewczyna targnęła się i zachwiała w siodle, a z twarzy fontanną buchnęła jej krew. Odchyliła się w tył tak, że przez chwilę leżała plecami na zadzie klaczy. Ale nie spadła,

wyprostowała się, utrzymała na kulbace, przywierając do końskiej szyi. Kara klacz roztrąciła zbrojnych i gnała wprost na kołowrót. Za nią biegł Mun, Silifant i Chloe Stitz z kuszą.

– Nie przeskoczy! Mamy ją! – wrzasnął triumfalnie Mun. – Siedmiu stóp nie weźmie żaden koń!

– Nie strzelaj, Chloe!

Chloe Stitz nie dosłyszała w ogólnym wrzasku. Zatrzymała się. Przyłożyła kuszę do policzka. Powszechnie wiedziano, że Chloe nie chybia nigdy.

– Trup! – krzyknęła. – Trup!

Kenna widziała, jak nieznany jej z imienia niski mężczyzna podbiegł, podniósł kuszę i z bliska strzelił Chloe w plecy. Bełt przeszedł na wylot w eksplozji krwi. Chloe padła bez jęku.

Kara klacz docwałowała do kołowrotu, cofnęła lekko głowę. I skoczyła. Wzbiła się i wręcz wspięła na bramę, wdzięcznie podgiąwszy przednie nogi przewinęła się po niej jak czarna jedwabna wstęga. Zebrane razem tylne kopyta nawet nie musnęły górnej belki.

– Bogowie! – krzyknął Dacre Silifant. – Bogowie, cóż to za koń! Wart swej wagi w złocie!

– Klacz dla tego, kto ją złapie! – krzyknął Skellen. – Na koń! Na koń i gonić!

Przez otwarty wreszcie kołowrót pogalopowała pogoń, wzbijając kurz. Przed wszystkimi, na czele, cwałowali Bonhart i Boreas Mun.

Kenna wstała z wysiłkiem. I natychmiast zatoczyła się i ciężko siadła na piasku. W nogach boleśnie mrowiło.

Kabernik Turent nie poruszał się, leżał w czerwonej kałuży z szeroko rozrzuconymi rękami i nogami. Andres Vierny usiłował podnieść wciąż nieprzytomnego Stigwarda.

Skurczona na piasku Chloe Stitz wydawała się maleńka jak dziecko.

Ola Harsheim i Bert Brigden przywlekli przed Skellena niskiego mężczyznę, tego, który zabił Chloe. Puszczyk dyszał. I aż dygotał z wściekłości. Z przewieszonego przez pierś bandolieru wyjął drugą stalową gwiazdę, taką samą, jaką przed chwilą zranił w twarz dziewczynę.

– Niech cię piekło pochłonie, Skellen – powiedział niski mężczyzna. Kenna przypomniała sobie jego nazwisko. Mekesser. Jediah Mekesser. Gemmerczyk. Poznała go w Rocayne.

Puszczyk zgarbił się, gwałtownie machnął ręką. Sześciozębna gwiazda zawyła w powietrzu i głęboko wbiła się w twarz Mekessera, między oko a nos. Trafiony nawet nie krzyknął, zaczął tylko silnie i spazmatycznie dygotać w uścisku Harsheima i Brigdena. Dygotał długo, a zęby wyszczerzył tak upiornie, że wszyscy odwrócili głowy. Wszyscy oprócz Puszczyka.

– Wyrwij z niego mój orion, Ola – powiedział Stefan Skellen, gdy wreszcie trup bezwładnie obwisł w trzymających go ramionach. – I zakopcie to ścierwo w gnoju, razem z tym drugim ścierwem, z tym hermafrodytą. Żeby śladu po obu parszywych zdrajcach nie zostało.

Nagle zawył wicher, napłynęły chmury. Nagle zrobiło się mroczno.

•

Straże wołały na murach cytadeli. Siostry Scarra chrapały w duecie. Kohut głośno sikał do pustego kibla.

Kenna podciągnęła koc pod brodę. Wspominała.

Nie dogonili dziewczyny. Znikła. Po prostu znikła. Boreas Mun – niebywałe – zgubił ślad karej klaczy po jakichś trzech milach. Nagle, bez ostrzeżenia zrobiło się ciemno, wicher przygiął drzewa niemal do ziemi. Lunął deszcz, ba, huknęły nawet gromy, zaświeciły błyskawice.

Bonhart nie darował. Wrócili do Goworożca. Wrzeszczeli na siebie, wszyscy, jeden przez drugiego i jeden na drugiego: Bonhart, Puszczyk, Rience i ten czwarty, zagadkowy, nieludzki, skrzeczący głos. Potem podnieśli na siodła całą hanzę, prócz tych, którzy – tak jak ja – nie byli w stanie jechać. Skrzyknęli chłopów z pochodniami, pognali w lasy. Wrócili nad ranem.

Wrócili z niczym. Jeśli nie liczyć zgrozy, którą mieli w oczach.

Gadki, przypomniała sobie Kenna, zaczęły się dopiero po kilku dniach. Początkowo wszyscy zbyt bali się Puszczyka i Bonharta. Ci byli tak wściekli, że lepiej było nie leźć im w oczy. Za jakieś niebaczne słowo nawet Bert Brigden, oficer, wziął przez łeb trzonkiem nahaja.

Ale potem gadano o tym, co działo się wówczas, podczas pościgu. O malutkim słomianym jednorożcu z kapliczki, który nagle urósł do rozmiarów smoka i spłoszył konie tak, że jeźdźcy pospadali, cudem jedynie nie łamiąc karków. O cwałującej po niebie kawalkadzie ognistookich widm na szkieletach koni wiedzionej przez straszliwego króla-kościotrupa, rozkazującego swym sługom-upiorom zacierać ślady

kopyt czarnej klaczy postrzępionymi płaszczami. O makabrycznym chórze lelków kozodojów, wołających: „Liiik-worrr z krwi, liiik-worr z krwi!” O budzącym zgrozę wyciu upiornej beann’shie, zwiastunki śmierci...

Wiatr, deszcz, chmury, krzaki i drzewa o fantastycznych kształtach, do tego strach, któren ma wielkie oczy, komentował Boreas Mun, który przecież tam był. Ot, całe wyjaśnienie. A lelki? Lelki jak to lelki, dodawał, krzyczą zawsze.

A trop, ślady kopyt, które nagle nikną, jakby koń w niebiosa uleciał?

Twarz Boreasa Muna, tropiciela umiejącego wytropić rybę w wodzie, tężała na to pytanie. Wicher, odpowiadał, wicher zawiał ślady piaskiem i listowiem. Innego wytłumaczenia nie ma.

Niektórzy nawet wierzyli, przypomniała sobie Kenna. Niektórzy nawet uwierzyli, że to wszystko były zjawiska naturalne albo przywidzenia. I nawet śmiali się z nich.

Ale przestali się śmiać. Po Dun Dâre. Po Dun Dâre nie śmiał się już nikt.

•

Gdy ją zobaczył, cofnął się odruchowo, wciągając powietrze.

Zmieszała gęsi smalec z sadzami z komina, powstałą tłustą barwiczką uczerniła oczodoły i powieki, przedłużając je długimi liniami aż po uszy i skronie.

Wyglądała jak demon.

– Od czwartej kępy na wysoki las, samym skrajem – powtórzył wskazówki. – Potem wzdłuż rzeki aż do trzech uschłych drzew, od nich grabowym grądem jak strzelił na zachód. Pokażą się sosny, jedź skrajem i licz dukty. Skręcisz w dziewiąty i później nie skręcaj już nigdzie. Potem już będzie osada Dun Dâre, od jej północnej strony jest wysiółek. Kilka chałup. A za nimi, na rozstaju, karczma.

– Pamiętam. Trafię, nie bój się.

– Najpilniej uważaj przy zakolach rzeki. Strzeż się miejsc, gdzie trzcina jest rzadsza. Miejsc porośniętych rdestem. A gdyby jednak przed sosnowym borem zaskoczył cię mrok, zatrzymaj się i przeczekaj do rana. Pod żadnym pozorem nie jedź przez bagna nocą. Już prawie nów, w dodatku chmury...

– Wiem.

– Jeśli chodzi o Kraj Jezior... Kieruj się na północ, przez wzgórza. Unikaj głównych traktów, na głównych traktach pełno wojska. Gdy dotrzesz do rzeki, dużej rzeki, która nazywa się Sylte, to będzie więcej niż połowa drogi.

– Wiem. Mam mapę, którą mi narysowałeś.

– Ach, tak. Prawda.

Ciri po raz kolejny sprawdziła uprząż i juki. Machinalnie. Nie wiedząc, co powiedzieć. Odwlekając to, co należało wreszcie powiedzieć.

– Było mi miło cię gościć – uprzedził ją. – Naprawdę. Żegnaj, wiedźminko.

– Żegnaj, pustelniku. Dziękuję ci za wszystko.

Już była w siodle, już sposobiła się, by cmoknąć na Kelpie, gdy podszedł i chwycił ją za rękę.

– Ciri. Zostań. Przeczekaj zimę...

– Dotrę do jeziora przed mrozami. A potem, jeśli będzie tak, jak mówiłeś, nic już nie będzie miało znaczenia. Wrócę teleportem na Thanedd. Do szkoły w Aretuzie. Do pani Rity... Vysogoto... Jak to było dawno...

– Wieża Jaskółki to legenda. Pamiętaj, to tylko legenda.

– Ja też jestem tylko legenda – powiedziała gorzko. – Od urodzenia. Zireael, Jaskółka, dziecko niespodzianka. Wybranka. Dziecko przeznaczenia. Dziecko Starszej Krwi. Jadę, Vysogoto. Bywaj w zdrowiu.

– Bywaj w zdrowiu, Ciri.

•

Karczma na rozstajach za wysiółkiem była pusta, Cyprian Fripp Młodszy i jego trzej druhowie zakazali wstępu miejscowym i przepędzali przejezdnych. Sami zaś ucztowali i pili całymi dniami, przesiadując w zadymionym i mrocznym lokalu, śmierdzącym tak, jak zwykle śmierdzi karczma w zimie, gdy nie otwiera się okien ani drzwi – potem, kotem, myszami, onucami, sośniną, bździną, tłuszczem, spalenizną i mokrą, parującą odzieżą.

– Srał pies taką dolę – powtórzył po raz chyba setny Yuz Jannowitz, Gemmerczyk, machając w stronę dziewek służebnych, by przyniosły wódki. – Żeby tego Puszczyka pokręciło. W takiej dziurze parszywej kazał siedzieć! Już bych wolał po lasach z patrolami jeździć!

– Toś chyba głupi – odrzekł Dede Vargas. – Na dworze sakramencki ziąb! Ja tam wolę w cieple. I przy pannie!

Z rozmachem klepnął dziewkę w pośladki. Dziewka pisnęła, niezbyt przekonująco i z wyraźnym zobojętnieniem. Była, prawdę powiedziawszy, przygłupawa. Praca w karczmie nauczyła ją tylko tego, że jak klepią albo szczypią, wypada piszczeć.

Cyprian Fripp i jego kompania dobrali się do obu służebnych dziewek już drugiego dnia po przyjeździe. Karczmarz bał się protestować, a dziewki były zbyt mało rozgarnięte, by myśleć o protestach. Życie nauczyło je już, że jeśli dziewka protestuje, to ją biją. Rozumniej więc poczekać, aż się znudzą.

– Ta cała Falka – znudzony Rispat La Pointe podjął kolejny standardowy temat znudzonych wieczornych rozmów – skapiała gdzieś w lasach, powiadam wam. Widziałem, jak ją wtedy Skellen w gębę orionem sieknął, jak z niej jucha fontanną bluzgnęła! Z tego, powiadam wam, nie mogła się wykaraskać!

– Puszczyk chybił jej – orzekł Yuz Jannowitz. – Ledwo zawadził orionem. Gębę i owszem, nieźle jej rozwalił, samem widział. Ale przeszkodziło to dziewce w skoku ponad kołowrót? Spadła z konia? Akurat! A kołowrót zmierzylim potem: siedem stóp i dwa cale, jak w pysk dał. I co? Skoczyła! I jak jeszcze! Między siodło a dupkę klingi noża byś nie wcisnął.

– Krew z niej szła, by z cebra – zaprotestował Rispat La Pointe. – Jechała, mówię wam, jechała, a potem spadła i skapiała w jakim wykrocie, wilcy i ptacy ścierwo zjedli, kuny dokończyli, a mrówcy wyczyścili ślady. Koniec, *deireadh*! Tedy my tu, powiadam wam, na darmo siedzimy i pieniądze przepijamy. I to własne, bo lafy jakoś nie widać!

– Nie może tak być, by po trupie ni śladu, ni znaku nie zostało – rzekł z przekonaniem Dede Vargas. – Zawsze coś zostaje, czerep, miednica, grubszy jaki gnat. Rience, ten czarownik, ostatki Falki wreszcie znajdzie. Wtedy będzie sprawie koniec.

– I może wtedy tak nas pogonią, że z lubością to nieróbstwo i ten parszywy chlew wspomnimy. – Cyprian Fripp Młodszy obrzucił znudzonym spojrzeniem ściany karczmy, na których znał już każdy gwóźdź i każdy zaciek. – I tę gorzałę paskudną. I te o, dwie, co cebulą

śmierdzą, a gdy je chędożysz, to leżą jak cielęta, w powałę patrzą i w zębach sobie dłubią.

– Wszystko lepsze niż ta nuda – zawyrokował Yuz Jannowitz. – Wyć się chce! Zróbmy, kurwa, coś! Cokolwiek! Wieś podpalmy albo co?

Skrzypnęły drzwi. Dźwięk był tak niecodzienny, że wszyscy czterej zerwali się z miejsc.

– Won! – zaryczał Dede Vargas. – Wynocha, dziadu! Żebraku! Śmierdzielu! Won, na dwór!

– Zostaw – machnął ręką znudzony Fripp. – Widzisz, dudy targa. To jeno dziad proszalny, pewnie stary żołnierz, co graniem i śpiewem po zajazdach zarabia. Na dworze słota i ziąb. Niech sobie siędzie...

– Byle dalej od nas – Yuz Jannowitz wskazał dziadowi, gdzie ma usiąść. – Bo nas wszy oblezą. Stąd widzę, jakie po nim łażą okazy. Myślałby kto, nie wszy to, a żółwie.

– Daj mu – władczo skinął Fripp Młodszy – jakiej strawy, gospodarzu! A nam gorzałki!

Dziad ściągnął z głowy wielką futrzaną czapę i dostojnie roztoczył wokół siebie smród.

– Dzięki niech wam będą, moiściewy wielmożni – przemówił. – Toż dziś wilia Saovine, święto. W święto nie godzi się nikogo napędzać, by na dżdżu mókł a marzł. W święto godzi się poczęstować...

– Prawda – palnął się w czoło Rispat La Pointe. – Toż dziś wilia Saovine! Koniec października!

– Noc czarów. – Dziad siorbnął przyniesionej mu wodnistej polewki. – Noc duchów a strachów!

– Oho! – rzekł Yuz Jannowitz. – Dziadek, baczcie, zaraz nas tu dziadowską opowieścią uraczy!

– Niechże uraczy – ziewnął Dede Vargas. – Wszystko lepsze niż ta nuda!

– Saovine – powtórzył zasępiony Cyprian Fripp Młodszy. – Już pięć tygodni od Goworożca. A już dwa tygodnie, jak tu siedzimy. Dwa bite tygodnie! Saovine, ha!

– Noc dziwów. – Dziad oblizał łyżkę, palcem wybrał coś z dna miski i zjadł owo coś. – Noc strachów i czarów!

– A nie mówiłem? – wyszczerzył zęby Yuz Jannowitz. – Będzie dziadowska gadka!

Dziad wyprostował się, podrapał i czknął.

– Wilia Saovine – zaczął z emfazą – ostatnia noc przed nastaniem listopadowego nowiu, jest to u elfów ostatnia noc starego roku. Gdy nowy dzień nastanie, to jest już u elfów rok nowy. Tedy jest u elfów zwyczaj, by w noc Saovine wszystkie ognie w domie i obejściu jedną szczapką smolną podpalić, a resztę szczapki schować dobrze, aż do maja, i tąże samą ogień Belleteyn rozniecić, wtedy, mówią, będzie się wiodło a darzyło. Tak nie jeno elfy, nasi też niektórzy tak czynią. Żeby się od duchów złych uchronić...

– Duchów! – parsknął Yuz. – Słuchajcie jeno, co ten pierdoła gada!

– To noc Saovine! – oznajmił dziad przejętym głosem. – W taką noc duchy chodzą po ziemi! Duchy zmarłych pukają do okien, wpuśćcie nas, jęczą, wpuśćcie. Tedy im trzeba miodu dać a kaszy, a to wszystko wódką pokropić...

– Wódką to ja sobie samemu wolę gardło pokropić – zarechotał Rispat La Pointe. – A twoje duchy, stary, mogą mnie, o, tu pocałować.

– Oj, moiściewy, nie róbcie sobie z duchów żartów, posłyszeć gotowe, a mściwe są! Dziś wilia Saovine, noc strachów i czarów! Nadstawcie uszu, słyszycie, jak dookoła szuści coś i stuka? To umarli przychodzą z zaświatów, chcą wkraść się do domów, by ogrzać się przy ogniu i podjeść sobie suto. Tam, po ogołoconych rżyskach i bezlistnych lasach hula wicher i zamróz, biedne duchy ziębną, ciągną tedy ku domostwom, gdzie ogień i ciepło. Tedy nie zapomnieć wystawić im jadła w miseczce na próg, albo gdzie na gumno, bo jeśli tam zmory niczego nie najdą, po północku same do chałupy wejdą, by poszukać...

– O rety! – szepnęła głośno jedna ze służebnych dziewek i zaraz pisnęła, bo Fripp uszczypnął ją w tyłek.

– Niezła gadka! – powiedział. – Ale jeszcze jej do dobrej daleko! Nalejcie, gospodarzu, staremu kufel grzańca, może dobrą opowie! Dobrą opowieść o duchach, chłopcy, po tym poznacie, że dziewkom zasłuchanym możesz kuku zrobić, ani się spostrzegą!

Mężczyźni zarechotali, rozległy się piski obu dziewcząt, u których sprawdzano stopień zasłuchania. Dziad pociągał grzane piwo, siorbiąc głośno i bekając.

– Aby się tu nie uchlaj i nie uśnij! – ostrzegł groźnie Dede Vargas. – Darmo cię nie poim! Bajaj, śpiewaj, na dudach graj! Wesoło ma być!

Dziad otworzył gębę, w której pojedyńczy ząb bielał niby słup milowy pośród ciemnego stepu.

– Toż to, moiściewy, Saovine! Jaka tu muzyka, jakie granie? Nie lza! Muzyka Saovine to ten za oknem wicher! To wilkołaki wyją i wąpierze, mamuny zawodzą i jęczą, ghule zębami zgrzytają! Beann'shie skowyczy i krzyczy, a kto jej krzyk posłyszy, temu niezawodnie rychły zgon pisany. Wszelki zły duch opuszcza swe ukrycie, wiedźmy lecą na ostatni ich przed zimą zbór! Saovine jest noc strachów, dziwów a zwidów! W las nie chodzić, bo borowy zagryzie! Przez żalnik nie iść, bo umrzyk ucapi! W ogóle z chałupy lepiej nie wychodzić, a dla pewności w próg wbić nowy nóż żelazny, nad takim złe się przestąpić nie ośmieli. Babom zasię pilnie strzec dzieci, albowiem w noc Saovine może dziecko rusałka albo płaczka skraść, podłożyć obmierzłego odmieńca. A która baba brzemienna, niechajże lepiej nie wychodzi na dwór, bo może nocnica płód w łonie zauroczyć! Miast dzieciątka zrodzi się strzyga z żelaznymi zębami...

– O rety!

– Z żelaznymi zębami. Wpierw matce pierś obgryzie. Potem ręce obgryzie. Lico obgryzie... Uch, alem też zgłodniał...

– Naści kość, jest ci na niej jeszcze mięso. Więcej starym jeść niezdrowo, zatknąć się mogą i kopyrtnąć, ha, ha! A, niech tam, przynieś mu jeszcze piwa, dziewko. No, stary, gadaj nam o duchach jeszcze!

– Saovine, moiściewy, jest dla upiorów ostatnia noc, by sobie poswywolić. Później już zamróz siły im odbiera, schodzą więc do Otchłani, pod ziemię, skąd już całą zimę nosa nie wyściubią. Dlatego od Saovine aż do lutego, do święta Imbaelk, najlepszy jest czas na wyprawy do miejsc nawiedzonych, by skarbów tam szukać. Jeśli w ciepły czas, weźmy dla przykładu, przy wichtowym kurhanie gmerać, jak dwa a dwa cztery zbudzi się wicht, wyskoczy rozeźlony i gmeracza zji. A od Saovine do Imbaelk gmeraj a grzeb, ile sił starczy: wicht jak stary niedźwiedź mocno śpi.

– Ot, wydumał, stary piernik!

– Wżdy prawdę ja, moiściewy. Tak, tak. Czarodziejska jest noc Saovine, straszna, ale i zarazem najlepsza do wróżb i wieszczb wszelakich. W taką noc kabały warto stawiać i z kostek wróżyć, i z ręki, i z koguta białego, z cebuli, z sera, z króliczych bebechów, ze zgnitego nietopyrza...

– Tfu!

– Noc Saovine, noc strachów i upiorów... Lepiej po chałupach siedzieć. Całą rodziną... Przy ogniu...

– Całą rodziną – powtórzył Cyprian Fripp, szczerząc nagle drapieżnie zęby do kamratów. – Całą rodziną, miarkujecie? Wraz z tą, co się od tygodnia przed nami chytrze po jakichś komyszach kryje!

– Kowalówna! – domyślił się momentalnie Yuz Jannowitz. – Złotowłosa nadobnisia! Ty masz łeb, Fripp. Dzisiaj ją możem w chałupie przydybać! Co, chłopy? Naskoczymy na kowalową zagrodę?

– Uuuch, choćby zaraz. – Dede Vargas przeciągnął się mocno. – Przed oczyma mam, powiadam wam, tę kowalównę przez wieś idącą, te cycuszki podskakujące, ten tyłeczek kręcący... Trza ją było już wtedy brać, nie czekać, ale Dacre Silifant, głupi służbista... No, ale nynie nie masz tu Silifanta, a kowalówna w chałupie! Czeka!

– Rozszczepiliśmy już w tej wsi sołtysa czekanem – skrzywił się Rispat. – Rozpruliśmy chama, co mu w sukurs szedł. Potrzeba nam więcej trupów? Kowal i syn jego chłopy są jak dęby. Strachem ich nie weźmiemy. Trza ich będzie...

– Pokaleczyć – dokończył spokojnie Fripp. – Tylko trochę pokaleczyć, więcej nic. Kończcie piwo, sposobim się i jedziem do wsi. Urządzimy sobie Saovine! Nadziejemy kożuchy włosem na wierzch, ryczeć będziemy i hałłakować, chamy pomyślą, że to diabły albo wichty!

– Weźmiemy kowalównę tu, na kwaterę, czy zabawimy się po naszemu, po gemmersku, u rodzinki na oczach?

– Jedno drugiego nie wyklucza. – Fripp Młodszy wyjrzał w noc przez błony okna. – Ależ wiuga się zaczęła, psia mać! Aż się topole kłonią!

– O, ho, ho – powiedział znad kufla dziad. – To nie wiatr, moiściewy, nie wiuga to! To czarownice pędzą okrakiem na miotłach, niektóre zasię w moździerzach i stępach, ślady za sobą miotłami zamiatają. Nie wiada, gdy takowa człeku w lesie drogę przetnie i od tylca zachodzi, nie wiada, kiedy napadnie! A zęby ona, o, takie ma!

– Dzieci ci, dziadu, czarownicami straszyć!

– Nie wymówcie, panie, w złą godzinę. Bo jeszcze wam rzeknę, że najgroźniejsze wiedźmy, te wiedźmowego stanu hrabiny i księżne, o, ho, ho, te nie na miotłach, nie na ożogach ni moździerzach jeżdżą, nie! Te cwałują na swych czarnych kotach!

– He, he, he, he!

– Prawda to! Albowiem w wilię Saovine, na tę jedną jedyną noc w roku, zmieniają się koty wiedźm w czarne jak smoła klacze. I biada temu, kto nocą jak kir czarną posłyszy stuk kopyt i ujrzy wiedźmę na karej klaczy. Kto się z taką wiedźmą spotka, nie odejmie się śmierci. Zakręci nim wiedźma jak wieja liściowiem, porwie w zaświaty!

– Gdy wrócimy, dokończysz! A dobrą aby opowieść wykoncypuj, dziadu sakramencki, a dudy wyrychtuj! Gdy wrócimy, będzie tu hulanka! Będzie się tu tańcować i pannę kowalównę obłapiać... Co jest, Rispat?

Rispat La Pointe, który wyszedł na ganek, by ulżyć pęcherzowi, wrócił biegiem, a twarz miał białą jak śnieg. Gwałtownie zagestykulował, wskazując na drzwi. Nie zdążył wykrztusić słowa. I nie było trzeba. Z podwórza donośnie zarżał koń.

– Kara klacz – powiedział Fripp z twarzą niemal przyklejoną do błon okna. – Ta sama kara klacz. To ona.

– Czarownica?

– Falka, durniu.

– To jej duch! – Rispat gwałtownie wciągnął powietrze. – Upiór! Ona nie mogła przeżyć! Umarła i wraca upiorem! W noc Saovine...

– Przybędzie nocą jak kir czarną – zamamrotał dziad, przyciskając pusty kufel do brzucha. – A kto się z nią spotka, nie odejmie się śmierci...

– Broń, brać broń – powiedział gorączkowo Fripp. – Bystro! Drzwi obstawić z obu stron! Nie rozumiecie? Poszczęściło się nam! Falka nie wie o nas, zjechała tu, by się ogrzać, mróz i głód wygnały ją z kryjówki! Prosto w nasze ręce! Puszczyk i Rience złotem nas obsypią! Bierzcie broń...

Skrzypnęły drzwi.

Dziad zgarbił się nad blatem stołu, zmrużył oczy. Widział źle. Oczy miał stare, zrujnowane jaskrą i chronicznym zapaleniem spojówek. Do tego w karczmie było ciemnawo i dymno. Dziad ledwo widział więc szczupłą postać, która wkroczyła do izby z sieni, ubrana w kubrak z piżmaczych skórek, nosząca kaptur i szal zasłaniający twarz. Słuch natomiast dziad miał dobry. Słyszał cichy okrzyk jednej ze służebnych dziewek, stuk sabotów drugiej, półgłośne przekleństwo karczmarza. Słyszał zgrzyt mieczów w pochwach. I cichy, zjadliwy głos Cypriana Frippa:

– Mamy cię, Falka! Nie spodziewałaś się nas tu, co?

– Spodziewałam się – usłyszał dziad. I zadygotał na dźwięk tego głosu.

Zobaczył ruch szczupłej postaci. I usłyszał westchnienia zgrozy. Zduszony krzyk którejś z dziewek. Nie mógł widzieć, że nazwana Falką dziewczyna zdjęła kaptur i szal. Nie mógł widzieć szkaradnie oszpeconej twarzy. I oczu umalowanych dookoła barwiczką z sadzy i tłuszczu tak, że wyglądały jak oczy demona.

– Nie jestem Falką – powiedziała dziewczyna. Dziad znowu zobaczył jej szybki, rozmazany ruch, widział, jak coś płomieniście zalśniło w świetle kaganków.

– Jestem Ciri z Kaer Morhen. Jestem wiedźminką. Przyszłam tu, by zabijać.

Dziad, który w swym życiu widział niejedną karczemną bijatykę, miał wypracowany sposób na uniknięcie obrażeń: dał nura pod stół, skulił się i mocno uczepił stołowych nóg. Z tej pozycji widzieć już, rzecz jasna, niczego nie mógł. I wcale nie chciał. Kurczowo dzierżył się stołu, a stół jeździł już po izbie wraz z pozostałymi meblami, wśród stuku, trzasku i chrupu, łomotu ciężko obutych stóp, przekleństw, krzyków, stęknięć i szczęku stali.

Dziewka służebna wrzeszczała przeraźliwie, bez przerwy.

Na stół ktoś runął, przesuwając mebel wraz z uczepionym dziadem, zwalił się obok na podłogę. Dziad zaryczał, czując, jak bryzga na niego gorąca krew. Dede Vargas, ten, który zrazu chciał go wypędzić – dziad poznał go po mosiężnych guzach na kubraku – skrzeczał makabrycznie, rzucał się, tryskał krwią, tłukł wokół siebie rękoma. Jeden z bezładnych ciosów trafił dziada prosto w oko. Dziad przestał już widzieć cokolwiek. Wrzeszcząca dziewka służebna zachłysnęła się, ucichła, wzięła wdech i zaczęła wrzeszczeć znowu, w cokolwiek wyższej tonacji.

Ktoś z hukiem rymnął na podłogę, znowu po świeżo wymytej sośninie desek rozbryzgnęła się krew. Dziad nie poznał, że tym, który właśnie umierał, był Rispat La Pointe, cięty przez Ciri w bok szyi. Nie widział, jak Ciri wykręciła piruet tuż przed nosami Frippa i Jannowitza, jak przeszła przez ich zastawy jak cień, jak szary dym. Jannowitz wywinął się za nią, szybkim, miękkim, kocim zwrotem. Był wprawnym szermierzem. Pewnie stając na prawą stopę uderzył długą, wyciągniętą primą, mierząc w twarz dziewczyny, wprost w jej paskudną bliznę. Musiał trafić.

Nie trafił.

Zasłonić się nie zdążył. Cięła go z wypadu, z bliska, oburącz, przez pierś i brzuch. I od razu odskoczyła, zawirowała, uchodząc przed ciosem Frippa, chlasnęła zgiętego Jannowitza po szyi. Jannowitz wyrżnął czołem o ławę. Fripp przeskoczył nad ławą i trupem, uderzył zamaszyście. Ciri sparowała ukośnie, wywinęła półpiruet i krótko cięła go w bok nad biodrem. Fripp zatoczył się, runął na stół, łapiąc równowagę, odruchowo wyciągnął przed siebie rękę. Gdy oparł dłoń o blat, Ciri szybkim ciosem odrąbała mu ją.

Fripp podniósł sikający krwią kikut, przyjrzał mu się w skupieniu, potem popatrzył na leżącą na stole dłoń. I nagle upadł – gwałtownie, z rozmachem siadł zadkiem na podłodze, zupełnie jak gdyby pośliznął się na mydle. Siedząc zaryczał, a potem zaczął wyć, dzikim, wysokim, przeciągłym wilczym wyciem.

Skurczony pod stołem, zalany krwią dziad słyszał, jak przez chwilę trwał ten upiorny duet – wrzeszcząca monotonnie dziewka służebna i spazmatycznie wyjący Fripp.

Dziewka umilkła pierwsza, kończąc wrzask nieludzkim, dławiącym się skrzekiem. Fripp po prostu ucichł.

– Mamo... – powiedział nagle, całkiem wyraźnie i przytomnie. – Mamusiu... Jak to tak... Jak to... Co mi... się stało? Co mi... jest?

– Umierasz – powiedziała oszpecona dziewczyna.

Dziadowi resztka włosów stanęła sztorcem na głowie. By powstrzymać dzwonienie zębów, zacisnął je na rękawie sukmany.

Cyprian Fripp Młodszy wydał z siebie odgłos, jak gdyby coś z trudem przełykał. Więcej odgłosów już nie wydawał. Żadnych.

Było zupełnie cicho.

– Coś ty uczyniła... – zajęczał w ciszy karczmarz. – Coś ty uczyniła, dziewczyno...

– Jestem wiedźminką. Zabijam potwory.

– Powieszą nas... Wieś i karczmę spalą!

– Zabijam potwory – powtórzyła, a w jej głosie nagle zjawiło się coś jakby zdziwienie. Jakby wahanie. Niepewność.

Karczmarz zajęczał, zastękał. I zaszlochał.

Dziad powoli wylazł spod stołu, odsuwając się od trupa Dede Vargasa, od jego ohydnie rozrąbanej twarzy.

– Na czarnej klaczy jedziesz... – wymamrotał. – Nocą czarną jak kir... Ślady za sobą zamiatasz...

Dziewczyna odwróciła się, spojrzała na niego. Twarz już zdążyła okręcić szalem, znad szala patrzyły obramowane czarnymi kręgami oczy upiorzycy.

– Kto się z tobą spotka – wybełkotał dziad – ten już nie odejmie się śmierci... Boś ty sama jest śmiercią.

Dziewczyna patrzyła na niego. Długo. I dość obojętnie.

– Masz rację – powiedziała wreszcie.

•

Gdzieś na bagnach, daleko, ale znacznie bliżej niż poprzednio, po raz wtóry rozbrzmiało zawodzące wycie beann'shie.

Vysogota leżał na podłodze, na którą osunął się, gdy wstawał z łóżka. Z przerażeniem stwierdził, że nie może wstać. Jego serce tłukło się, podjeżdżało pod gardło, dławiło.

Wiedział już, czyją śmierć zwiastuje nocny krzyk elfiego widma. Życie było piękne, pomyślał. Mimo wszystko.

– Bogowie... – wyszeptał. – Nie wierzę w was... Ale jeśli jednak istniejecie...

Potworny ból eksplodował mu nagle w piersi, za mostkiem. Gdzieś na bagnach, daleko, ale znacznie bliżej niż poprzednio, beann'shie zaskowyczała dziko po raz trzeci.

– Jeśli istniejecie, miejcie w opiece wiedźminkę na szlaku!

– Mam wielkie ślepia, by cię dobrze widzieć! – zawrzasnęło żelazne wilczysko. – Mam wielkie łapy, by cię nimi chwycić i objąć! Wszystko mam wielkie, wszystko, zaraz się o tym przekonasz dowodnie. Czemu tak dziwnie mi się przypatrujesz, mała dziewczynko? Czemu nie odpowiadasz?

Wiedźminka uśmiechnęła się.

– Mam dla ciebie niespodziankę.

Flourens Delannoy,
Niespodzianka, z tomu *Bajki i klechdy*

Rozdział jedenasty

Adeptki stały przed arcykapłanką nieruchomo, wyprężone jak struny, spięte, nieme, pobladłe lekko. Były gotowe do drogi, przygotowane w najdrobniejszych detalach. Męskie, szare podróżne stroje, ciepłe, ale nie ograniczające ruchów kożuszki, wygodne elfie buty. Włosy ostrzyżone tak, by łatwo było je utrzymać w ładzie i czystości w obozach i podczas przemarszów, by nie zawadzały w pracy. Spakowane tobołki, malutkie, zawierające tylko żywność na drogę i niezbędne wyposażenie. Resztę miała dać im armia. Armia, do której się zaciągnęły.

Twarze obu dziewcząt były spokojne. Pozornie. Triss Merigold widziała, że obydwom leciutko drżą dłonie i wargi.

Wiatr szarpnął gołymi gałęziami drzew świątynnego parku, popędził po płytach dziedzińca zbutwiałe liście. Niebo było granatowe. Śnieżyca wisiała w powietrzu. Czuło się ją.

Nenneke przerwała milczenie.

– Macie już przydział?

– Ja nie – bąknęła Eurneid. – Na razie będę na hibernie w obozie pod Wyzimą. Komisarz od werbunku mówił, że wiosną staną tam oddziały kondotierów z Północy... Mam być felczerką w którymś z tych oddziałów.

– A ja – uśmiechnęła się blado Iola Druga – mam już przydział. Do chirurgii polowej, do pana Milo Vanderbecka.

– Żebyście mi tylko wstydu nie przyniosły. – Nenneke obdarzyła obie adeptki groźnym spojrzeniem. – Żebyście nie zhańbiły mnie, świątyni i

imienia Wielkiej Melitele.

– Na pewno nie, matko.

– I uważać mi na siebie.

– Tak, matko.

– Będziecie przy rannych padać z nóg, nie zaznacie snu. Będziecie się bać, będziecie wątpić, patrząc na ból i śmierć. A wtedy łatwo się sięga po narkotyk albo środek podniecający. Ostrożnie z tym.

– Wiemy, matko.

– Wojna, strach, mord i krew – arcykapłanka przewierciła obie wzrokiem – to także rozluźnienie obyczajów, a dla niektórych nadto silny afrodyzjak. Jak na was zadziała, smarkule, w tej chwili nie wiecie i wiedzieć nie możecie. Proszę uważać mi i z tym. Jeśli zaś już dojdzie co do czego, brać środki zapobiegawcze. Gdyby mimo tego któraś wpadła w kłopoty, wtedy z daleka od pokątnych znachorów i wsiowych babek! Poszukać świątyni, a najlepiej czarodziejki.

– Wiemy, matko.

– To wszystko. Teraz możecie podejść po błogosławieństwo.

Kolejno kładła im dłonie na głowach, kolejno obejmowała i całowała. Eurneid pociągała nosem. Iola Druga zwyczajnie rozbeczała się. Nenneke, choć samej nieco bardziej niż zwykle błyszczało oko, parsknęła.

– Bez scen, bez scen – powiedziała na pozór gniewnie i ostro. – Idziecie na zwyczajną wojnę. Stamtąd się wraca. Brać manatki i do widzenia.

– Do widzenia, matko.

Szły szparko ku bramie świątynnej, nie oglądały się. Odprowadzali je wzrokiem – arcykapłanka Nenneke, czarodziejka Triss Merigold i pisarczyk Jarre.

Ten ostatni natrętnym pochrząkiwaniem zwrócił na siebie uwagę.

– O co chodzi? – Nenneke pokosiła na niego oczy.

– Im zezwoliłaś! – wybuchnął z goryczą chłopiec. – Im, dziewczynom, zezwoliłaś się zaciągnąć! A ja? Dlaczego mnie nie wolno? Mam nadal przewracać zakurzone pergaminy, tu, za tymi murami? Nie jestem kaleką ani tchórzem! To srom dla mnie, siedzieć w świątyni, gdy nawet dziewczyny...

– Te dziewczyny – przerwała arcykapłanka – całe swoje młode życie uczyły się leczenia i uzdrawiania, opieki nad chorymi i rannymi. Idą na

wojnę nie z patriotyzmu czy z żądzy przygód, lecz dlatego, że tam bez liku będzie rannych i chorych. Huk roboty, dniem i nocą! Eurneid i Iola, Myrrha, Katje, Prune, Debora i inne dziewczęta to wkład świątyni w tę wojnę. Świątynia, jako część społeczności, spłaca społeczności dług. Daje armii i wojnie swój wkład: fachowe specjalistki. Rozumiesz to, Jarre? Specjalistki! Nie mięso na rzeź!

– Wszyscy wstępują do wojska! Tylko tchórze zostają w domu!

– Opowiadasz głupstwa, Jarre – powiedziała ostro Triss. – Niczego nie zrozumiałeś.

– Ja chcę iść na wojnę... – głos chłopca załamał się. – Chcę ratować... Ciri...

– Proszę – powiedziała drwiąco Nenneke. – Błędny rycerz chce ruszyć na ratunek damie swego serca. Na białym koniu...

Zamilkła pod spojrzeniem czarodziejki.

– Dosyć mi zresztą o tym, Jarre – zgromiła chłopca spojrzeniem. – Powiedziałam, nie pozwalam! Wracaj do ksiąg! Ucz się. Twoja przyszłość to nauka. Chodź, Triss. Nie trwońmy czasu.

•

Na rozłożonym przed ołtarzem płótnie leżały kościany grzebień, tani pierścionek, książka w podniszczonej oprawie, sprana błękitna szarfa. Schylona nad przedmiotami klęczała Iola Pierwsza, kapłanka o wieszczych zdolnościach.

– Nie spiesz się, Iola – uprzedziła stojąca obok Nenneke. – Koncentruj się powoli. Nie chcemy błyskotliwego proroctwa, nie chcemy enigmy o tysiącu rozwiązań. Chcemy obrazu. Jasnego obrazu. Weź aurę z tych przedmiotów, one należały do Ciri, Ciri ich dotykała. Weź aurę. Powoli. Nie ma pośpiechu.

Na zewnątrz wyła wichura i kłębiła się kurniawa. Dachy i podwórzec świątyni szybko pokrywał śnieg.

Był dziewiętnasty dzień listopada. Pełnia księżyca.

– Jestem gotowa, matko – powiedziała swym melodyjnym głosem Iola Pierwsza.

– Zaczynaj.

– Jedną chwilę! – Triss podniosła się z ławy jak pchnięta sprężyną, zrzuciła z ramion futro z szynszyli. – Jedną chwilę, Nenneke. Chcę wejść w trans razem z nią.

– To nie jest bezpieczne.

– Wiem. Ale ja chcę widzieć. Własnymi oczyma. Jestem jej to winna. Ciri... Ja tę dziewczynę kocham jak młodszą siostrę. W Kaedwen uratowała mi życie, sama ryzykując głową...

Głos czarodziejki załamał się nagle.

– Zupełnie jak Jarre – pokręciła głową arcykapłanka. – Biec na ratunek, na oślep, na złamanie karku, nie wiedząc dokąd i po co. Ale Jarre to naiwny chłopaczek, ty jesteś dojrzałą i mądrą jakoby magiczką. Powinnaś wiedzieć, że wchodząc w trans nie pomożesz Ciri. A sobie możesz zaszkodzić.

– Chcę wejść w trans razem z Iolą – powtórzyła Triss, gryząc wargi. – Pozwól mi, Nenneke. Zresztą czym ryzykuję? Atakiem epilepsji? Nawet gdyby, wyciągniesz mnie z tego przecież.

– Ryzykujesz – powiedziała wolno Nenneke – że zobaczysz to, czego nie powinnaś widzieć.

Wzgórze, pomyślała z przerażeniem Triss, wzgórze Sodden. Na którym kiedyś umarłam. Na którym mnie pochowano i wykuto moje imię na nagrobnym obelisku. Wzgórze i grób, które kiedyś upomną się o mnie.

Wiem to. Już mi to kiedyś wyprorokowano.

– Ja już podjęłam decyzję – powiedziała zimno i wyniośle, wstając i oburącz odrzucając na kark swoje piękne włosy. – Zaczynajmy.

Nenneke uklękła, oparła czoło o złożone razem dłonie.

– Zaczynajmy – powiedziała cicho. – Przygotuj się, Iola. Klęknij obok mnie, Triss. Weź Iolę za rękę.

Na zewnątrz była noc. Wyła wieja, sypało śniegiem.

•

Na Południu, hen za górami Amell, w Metinnie, w krainie zwanej Stojeziory, w miejscu oddalonym od miasta Ellander i świątyni Melitele o pięćset mil lotem wrony, koszmar senny gwałtownie zbudził rybaka Gostę. Przebudzony Gosta za nic nie mógł przypomnieć sobie treści snu, ale dziwny niepokój długo nie pozwalał mu usnąć.

•

Każdy znający swe rzemiosło rybak wie, że jeśli łowić okonia, to tylko na pierwszym lodzie.

Zima tegoroczna, choć niespodzianie wczesna, płatała figle, a kapryśna była, jak ładna i mająca powodzenie dziewucha. Pierwszym mrozem i śnieżycą zaskoczyła wrednie, jak zbój z zasadzki, na początku listopada, tuż po Saovine, wtedy, gdy nikt jeszcze śniegów i mrozów się nie spodziewał, a roboty było huk. Już koło połowy listopada zeszkliło jeziora cieniutką taflą, która już–już, zdawałoby się, ciężar człeka uniesie, gdy zima kapryśnica ustąpiła nagle – wróciła jesień, lunął deszcz, a rozmytą przezeń taflę pogruchotał, zepchnął pod brzegi i roztopił ciepły południowy wiatr. Ki diabeł, dziwowali się włościanie. Być zimie czy nie być?

Nie minęły trzy dni, zima wróciła. Tym razem obyło się bez śniegu, bez kurniawy, za to mróz ścisnął jak kowal obcęgami. Aż zatrzeszczało. Ociekające wodą okapy dachów w ciągu jednej nocy wyszczerzyły się ostrymi zębami sopli, a zaskoczone kaczki o mało nie przymarzły do kaczych bajorek.

A jeziora Mil Trachta westchnęły i stanęły lodem.

Gosta odczekał jeszcze dzień, dla pewności, potem ściągnął ze strychu skrzynkę z rzemieniem do noszenia na ramieniu, w której miał rybackie przyrządy. Porządnie wypchał buty słomą, wdział kożuch, wziął piesznię, worek i pospieszył na jezioro.

Wiadomo, jak na okonia, to najlepiej na pierwszym lodzie.

Lód był mocny. Trochę się pod człowiekiem uginał, trochę trzeszczał, ale trzymał. Gosta doszedł na ploso, wybił piesznią przerębel, siadł na skrzynce, rozmotał linkę z końskiego włosia przytwierdzoną do krótkiego modrzewiowego pręta, doczepił cynową rybkę z hakiem, zapuścił do wody. Pierwszy okoń, półłokciowy, capnął przynętę, zanim jeszcze opadła i napięła linkę.

Nie minęła godzina, a dookoła przerębla leżało więcej niż pół setki zielonych, pręgowatych ryb z czerwonymi jak krew płetwami. Gosta miał więcej okoni, niż potrzebował, ale rybacka euforia nie pozwalała mu zaprzestać łowienia. Ryby, koniec końców, zawsze mógł rozdać sąsiadom.

Usłyszał przeciągłe prychnięcie.

Uniósł głowę znad przerębla. Na brzegu jeziora stał piękny czarny koń, para buchała mu z nozdrzy. Jeździec w futerku z piżmaków miał twarz zasłoniętą szalem.

Gosta przełknął ślinę. Na ucieczkę było za późno. W cichości ducha liczył jednak, że jeździec nie odważy się wjechać koniem na cienki lód.

Wciąż machinalnie poruszał wędką, kolejny okoń targnął linkę. Rybak wyciągnął go, odczepił, rzucił na lód. Kątem oka widział, jak jeździec zeskakuje z kulbaki, zarzuca wodze na bezlistny krzak i idzie ku niemu, ostrożnie stąpając po śliskiej tafli. Okoń trzepał się na lodzie, prężył kolczastą płetwę, ruszał skrzelami. Gosta wstał, schylił się po piesznię, w razie potrzeby mogącą służyć jako broń.

– Bez obaw.

To była dziewczyna. Teraz, gdy zdjęła szal z twarzy, widział jej twarz, zeszpeconą paskudną blizną. Na plecach miała miecz, widział rękojeść pięknej roboty, wystającą znad ramienia.

– Nie zrobię ci nic złego – powiedziała cicho. – Chcę tylko o drogę zapytać.

Akurat, pomyślał Gosta. Jużci. Teraz, w zimie. W mróz. Kto wędruje czy podróżuje? Zbój tylko. Albo wywołaniec.

– Ta kraina, to Mil Trachta?

– Ano... – bąknął, patrząc w przerębel, w czarną wodę. – Mil Trachta. Ale my mówim: Stojeziory.

– A jezioro Tarn Mira? Wiesz o takim?

– Wszyscy wiedzą. – Spojrzał na dziewczynę, przestraszony. – Chocia my je tu zowiem Bezdno. Zaklęte jezioro. Okrutna głębia... Świtezianki tamój żywią, ludzi topią. I upiory mieszkają w starożytnych, zaklętych rozwalinach.

Widział, jak jej zielone oczy zabłysły.

– Są tam ruiny? Wieża może?

– Jaka tam wieża – nie zdołał powstrzymać parsknięcia. – Kamień na kamieniu, kamieniem przywalony, zielskiem zarośnięty. Kupa gruzu...

Okoń przestał podskakiwać, leżał, ruszając skrzelami, wśród swej kolorowej pręgowanej braci. Dziewczyna przypatrywała się, zamyślona.

– Śmierć na lodzie – powiedziała – ma w sobie coś urzekającego.

– Hę?

– Jak daleko jest do tego jeziora z ruinami? Którędy jechać?

Powiedział. Pokazał. Nawet wydrapał na lodzie ostrym końcem pieszni. Kiwała głową, zapamiętując. Klacz na brzegu jeziora waliła kopytami w grudę, prychała, buchała parą z chrap.

•

Patrzył, jak oddala się wzdłuż zachodniego brzegu jeziora, jak cwałuje granią urwiska, na tle bezlistnych olch i brzóz, przez piękny, bajeczny las, udekorowany przez mróz białym lukrem szronu. Kara klacz biegła z nieopisanym wdziękiem, chyżo, a jednocześnie lekko, ledwo słychać było uderzenia kopyt o zmarznięty grunt, ledwo srebrzysty śnieżek prószył z potrącanych gałęzi. Jak gdyby przez ten polukrowany i zastygły w mrozie las z bajki biegł nie zwykły, lecz bajeczny koń, koń zjawa.

A może to była zjawa?

Demon na upiornym koniu, demon, który przybrał postać dziewczyny o ogromnych zielonych oczach i oszpeconej twarzy?

Któż, jeśli nie demon, podróżuje zimą? Pyta o drogę do zaklętych ruin?

Gdy odjechała, Gosta szybko zwinął swój rybacki kramik. Do domu szedł lasem. Nadkładał drogi, ale rozum i instynkt ostrzegały, by nie iść duktem, nie być na widoku. Dziewczyna, podpowiadał rozum, wbrew wszystkim przesłankom upiorem nie była, była człowiekiem. Kara klacz nie była zjawą, lecz koniem. A za takimi, co samotni konno pędzą przez pustkowia, w dodatku zimą, często-gęsto idzie pogoń.

W godzinę później duktem przegalopowała pogoń. Czternaście koni.

•

Rience jeszcze raz potrząsnął srebrnym puzderkiem, zaklął, z wściekłością uderzył o łęk siodła. Ale ksenogloz milczał. Jak zaklęty.

– Magiczne gówno – skomentował zimno Bonhart. – Zepsuła się, sztuczka z jarmarku.

– Albo Vilgefortz demonstruje nam, gdzie nas ma – dodał Stefan Skellen.

Rience uniósł głowę, zmierzył obu złym spojrzeniem.

– Dzięki sztuczce z jarmarku – stwierdził cierpko – jesteśmy na tropie i nie zgubimy go już. Dzięki panu Vilgefortzowi wiemy, dokąd dziewczyna się kieruje. Wiemy, dokąd jedziemy i co mamy uczynić. Uważam, że to wiele. W porównaniu z waszymi działaniami jeszcze sprzed miesiąca.

– Nie gadaj tyle. Hej, Boreas? Co mówią ślady?

Boreas Mun wyprostował się, zakasłał.

– Była tu godzinę przed nami. Gdy może, stara się jechać ostro. Ale to trudny teren. Nawet na tej niebywałej klaczy nie wyprzedza nas o więcej niż pięć, sześć mil.

– A więc jednak pcha się między te jeziora – mruknął Skellen. – Vilgefortz miał rację. A nie wierzyłem mu...

– Ja też nie – przyznał Bonhart. – Ale tylko do chwili, gdy wczoraj chłopi potwierdzili, że nad jeziorem Tarn Mira faktycznie jest jakaś magiczna budowla.

Konie parskały, buchały parą z nozdrzy. Puszczyk rzucił okiem przez lewe ramię, na Joannę Selborne. Od kilku dni nie podobał mu się wyraz twarzy telepatki. Robię się nerwowy, pomyślał. Ten pościg wszystkich nas zmęczył, fizycznie i psychicznie. Czas już z tym skończyć. Czas najwyższy.

Zimny dreszcz przeszedł mu po plecach. Przypomniał sobie sen, który nawiedził go poprzedniej nocy.

– Dobra jest! – otrząsnął się. – Dość medytowania. Po koniach!

•

Boreas Mun zwisał z siodła, wypatrywał śladów. Nie było łatwo. Ziemię skuło na kość, na grudę, sypki, szybko zdmuchiwany wiatrem śnieg utrzymywał się tylko w bruzdach i rozpadlinach. W nich to Boreas wyszukiwał odciski podków karej klaczy. Musiał uważać pilnie, by nie zgubić tropu, zwłaszcza teraz, gdy dobiegający ze srebrnego pudełka magiczny głos zamilkł, przestał udzielać rad i wskazówek.

Był nieludzko zmęczony. I zaniepokojony. Ścigali dziewczynę już blisko trzy tygodnie, od Saovine, od masakry w Dun Dâre. Prawie trzy tygodnie na kulbakach, wciąż w pościgu. A wciąż ani kara klacz, ani jadąca na niej dziewczyna nie słabły, nie zwalniały tempa.

Boreas Mun wypatrywał śladów.

Nie mógł przestać myśleć o śnie, który nawiedził go ostatniej nocy. W tym śnie tonął, topił się. Czarna toń zamknęła się nad jego głową, a on szedł na dno, do gardła i płuc wdzierała mu się lodowata woda. Obudził się spocony, mokry, zgrzany – choć dookoła panowało iście psie zimnisko.

Dosyć już, myślał, zwisając z siodła, wypatrując śladów. Najwyższy czas już z tym skończyć.

•

– Mistrzu? Słyszycie mnie? Mistrzu?

Ksenogloz milczał jak zaklęty.

Rience mocno poruszył ramionami, chuchnął w zgrabiałe dłonie. Kark i plecy kąsało zimno, krzyż i lędźwie bolały, każdy mocniejszy ruch konia przypominał o tym bólu. Nie chciało się już nawet kląć.

Prawie trzy tygodnie w siodłach, w nieustającym pościgu. W przenikliwym zimnie, a od paru dni w trzaskającym mrozie.

A Vilgefortz milczy.

My też milczymy. I patrzymy po sobie wilkiem.

Rience roztarł dłonie, naciągnął rękawice.

Skellen, pomyślał, gdy na mnie spogląda, ma dziwny wzrok. Czyżby knuł zdradę? Coś za szybko i za łatwo zgadał się wtedy z Vilgefortzem... A ten oddział, te rezuny, przecież jemu są wierni, jego rozkazy wykonują. Gdy schwytamy dziewczynę, gotów, nie bacząc na układ, zabić ją albo uprowadzić do tych swoich spiskowców, by wcielać w życie szaleńcze pomysły o demokracji i rządach obywatelskich.

A może Skellenowi już przeszło spiskowanie? Urodzony konformista i koniunkturalista może teraz już myśli o dostarczeniu dziewczyny cesarzowi Emhyrowi?

Dziwnie na mnie spogląda. Puszczyk. I ta cała jego banda... Ta Kenna Selborne...

A Bonhart? Bonhart to nieobliczalny sadysta. Gdy mówi o Ciri, głos drży mu z wściekłości. W zależności od widzimisię pojmaną dziewczynę gotów zakatować albo porwać, by kazać jej walczyć na arenach. Układ z Vilgefortzem? On za nic będzie miał ten układ. Zwłaszcza teraz, gdy Vilgefortz...

Wyjął ksenogloz zza pazuchy.

– Mistrzu? Słyszycie mnie? Tu Rience...

Aparacik milczał. Rience nie miał już nawet ochoty złorzeczyć.

Vilgefortz milczy. Skellen i Rience zawarli z nim pakt. A za dzień lub dwa, gdy dopędzimy dziewczynę, może się okazać, że paktu nie ma. A wtedy ja mogę dostać nożem po gardle. Albo pojechać w pętach do Nilfgaardu jako dowód i zakład Puszczykowej lojalności...

Zaraza!

Vilgefortz milczy. Nie udziela rad. Nie wskazuje drogi. Nie wyjaśnia wątpliwości swym spokojnym, logicznym, trafiającym do głębin duszy głosem. Milczy.

Ksenogloz uległ awarii. Może przez to zimno? A może...

Może Skellen miał rację? Może Vilgefortz naprawdę zajął się czymś innym i nie dba o nas i nasz los?

Do wszystkich diabłów, nie myślałem, że to tak będzie. Gdybym przypuszczał, nie rwałbym się tak do tego zadania... Pojechałbym zabić wiedźmina zamiast Schirrú... Psiakrew! Ja tu marznę, a Schirrú pewnie grzeje się w ciepełku...

Pomyśleć, że sam się napierałem, by to mnie zlecono Ciri, a Schirrú wiedźmina. Sam o to prosiłem...

Wówczas, na początku września, gdy w nasze ręce wpadła Yennefer.

•

Świat, jeszcze przed chwilą będący nierealną, miękką i błotniście lepką czernią, nabrał raptownie twardych powierzchni i konturów. Pojaśniał. Urealnił się.

Yennefer otworzyła oczy, wstrząsana konwulsyjnym dreszczem. Leżała na kamieniach, wśród trupów i smołowanych desek, przywalona resztkami takielunku drakkara „Alkyone". Dookoła widziała nogi. Nogi w ciężkich butach. Jeden z tych butów przed momentem kopnął ją, cucąc.

– Wstawaj, wiedźmo!

Znowu kopniak, odzywający się bólem aż w korzeniach zębów. Zobaczyła pochylającą się nad nią twarz.

– Wstawaj, powiedziałem! Na nogi! Poznajesz mnie?

Zamrugała oczami. Poznała. To był typ, którego kiedyś przypaliła, gdy uciekał przed nią teleportem. Rience.

– Policzymy się – obiecał jej. – Policzymy się za wszystko, dziwko. Nauczę cię bólu. Tymi rękoma i tymi palcami nauczę cię bólu.

Sprężyła się, zacisnęła i rozwarła dłonie, gotowa do rzucenia zaklęcia. I natychmiast zwinęła się w kłębek, krztusząc się, charcząc i dygocząc. Rience zarechotał.

– Nic z tego, co? – usłyszała. – Nie masz nawet krztyny mocy! Nie mierzyć ci się z Vilgefortzem na czary! Wycisnął z ciebie wszystko do ostatniej kropli, jak serwatkę z sera. Nie zdołasz nawet...

Nie dokończył. Yennefer wyciągnęła sztylet z pochwy przypiętej do wewnętrznej strony uda, zerwała się jak kot i dźgnęła na oślep. Nie trafiła, ostrze tylko musnęło cel, rozdarło materiał spodni. Rience odskoczył i przewrócił się.

Natychmiast zwalił się na nią grad ciosów i kopniaków. Zawyła, gdy ciężki but spadł na jej rękę, wygniatając puginał z miażdżonej pięści. Drugi but kopnął ją w podbrzusze. Czarodziejka zwinęła się, charcząc. Poderwano ją z ziemi, wyłamując ręce do tyłu. Zobaczyła lecącą w jej kierunku pięść, świat nagle jaskrawo rozbłysnął, twarz eksplodowała bólem. Ból falą spłynął w dół, do brzucha i krocza, transformował kolana w rzadką galaretę. Obwisła w trzymających ją ramionach. Ktoś chwycił ją z tyłu za włosy, unosząc głowę. Dostała jeszcze raz, w oczodół, znowu wszystko zginęło i rozpłynęło się w oślepiającym błysku.

Nie zemdlała. Czuła. Bito ją. Bito ją mocno, okrutnie, takf jak bije się mężczyznę. Ciosami, które mają nie tylko boleć, lecz takimi, które mają złamać, które mają wytłuc z bitego wszelką energię i wolę oporu. Bito ją, podrygującą w stalowym uścisku wielu rąk.

Chciała zemdleć, ale nie mogła. Czuła.

– Dosyć – usłyszała nagle, z daleka, zza kurtyny bólu. – Oszalałeś, Rience? Chcecie ją zabić? Potrzebna mi jest żywa.

– Obiecałem jej, mistrzu – warknął majaczący przed nią cień, stopniowo przybierający postać i twarz Rience'a. – Obiecałem, że jej odpłacę... Tymi rękoma...

– Mało mnie obchodzi, co jej obiecałeś. Powtarzam, potrzebna mi jest żywa i zdolna do artykułowanej mowy.

– Z kota i wiedźmy – zaśmiał się ten, który trzymał ją za włosy – nie tak łatwo żywot wybić.

– Nie mądrz się, Schirrú. Powiedziałem, wystarczy bicia. Podnieście ją. Jak się masz, Yennefer?

Czarodziejka splunęła czerwono, podniosła puchnącą twarz. W pierwszej chwili nie poznała go. Nosił coś w rodzaju maski, zakrywającej całą lewą stronę głowy. Ale przecież wiedziała, kto to jest.

– Idź do diabła, Vilgefortz – wybełkotała, ostrożnie dotykając językiem przednich zębów i pokaleczonych warg.

– Jak oceniasz moje zaklęcie? Podobało ci się, jak podniosłem cię z morza razem z tą łódką? Podobał ci się lot? Jakimi zaklęciami się zabezpieczyłaś, że zdołałaś przeżyć upadek?

– Idź do diabła.

– Zerwijcie jej z szyi tę gwiazdę. I do laboratorium z nią. Nie marnujmy czasu.

Wleczono ją, ciągnięto, czasami niesiono. Kamienista równina, na niej leżała rozwalona „Alkyone”. I liczne inne wraki, sterczącymi żebrami wręgów przypominające szkielety morskich potworów. Crach miał rację, pomyślała. Statki, które bez wieści zniknęły na Głębi Sedny, nie uległy katastrofom naturalnym. Bogowie... Pavetta i Duny...

Nad równiną, daleko, sterczały w zachmurzone niebo szczyty gór.

Potem były mury, bramy, krużganki, posadzki, schody. Wszystko jakieś dziwnie, nienaturalnie wielkie... Wciąż za mało szczegółów, by mogła zorientować się, gdzie jest, dokąd trafiła, dokąd zaniosło ją zaklęcie. Twarz jej puchła, dodatkowo utrudniając obserwację. Jedynym dostarczającym informacji zmysłem stał się węch – momentalnie wyczuła formalinę, eter, spirytus. I magię. Zapachy laboratorium.

Brutalnie posadzono ją na stalowym fotelu, na przegubach i kostkach boleśnie zatrzasnęły się zimne i ciasne obejmy. Zanim stalowe szczęki imadła ścisnęły skronie i unieruchomiły głowę, zdołała rozejrzeć się po obszernej i jaskrawo oświetlonej sali. Zobaczyła jeszcze jeden fotel, dziwaczną stalową konstrukcję na kamiennym podeście.

– I owszem – usłyszała głos stojącego z tyłu Vilgefortza. – Ten fotelik jest dla twojej Ciri. Czeka już od dawna, nie może się doczekać. Ja też.

Słyszała go z bliska, wręcz czuła jego oddech. Wbijał jej igły w skórę głowy, przypinał coś do małżowin uszu. Potem stanął przed nią i zdjął maskę. Yennefer westchnęła mimowolnie.

– To dzieło właśnie twojej Ciri – powiedział, wskazując swe niegdyś klasycznie piękne, teraz ohydnie zmasakrowane oblicze, okratowane złotymi klamrami i uchwytami podtrzymującymi wielofasetkowy kryształ w lewym oczodole.

– Usiłowałem ją pochwycić, gdy wchodziła w teleport Wieży Mewy – wyjaśnił spokojnie czarodziej. – Chciałem ratować jej życie, pewien, że teleport ją zabije. Naiwny! Przeszła gładko, z taką siłą, że portal wybuchnął, eksplodował mi prosto w twarz. Straciłem oko i lewy policzek, także sporo skóry na twarzy, szyi i piersi. Bardzo przykre, bardzo dolegliwe, bardzo komplikujące życie. I bardzo niełądne, prawda? Ha, trzeba było mnie widzieć, zanim zacząłem to magicznie regenerować.

– Gdybym wierzył w takie rzeczy – podjął, wpychając jej do nosa zagiętą miedzianą rurkę – pomyślałbym, że to zemsta Lydii van Bredevoort. Zza grobu. Regeneruję to, ale powolnie, czasochłonnie i

opornie. Zwłaszcza z regeneracją gałki są trudności... Kryształ, który mam w oczodole, spełnia swą rolę znakomicie, widzę trójwymiarowo, ale jednak to ciało obce, brak naturalnej gałki ocznej czasami doprowadza mnie do prawdziwej pasji. Wtedy, ogarnięty irracjonalną przecież złością, przysięgam sobie, że gdy schwytam Ciri, od razu po schwytaniu każę Rience'owi wyłupić jej jedno z tych wielkich zielonych ocząt. Palcami. Tymi palcami, jak to on zwykł mówić. Milczysz, Yennefer? A czy wiesz, że i tobie mam ochotę wyrwać oko? Albo obydwoje oczu?

Wbijał jej grube igły w żyły na wierzchu dłoni. Niekiedy nie trafiał, kłuł aż do kości. Yennefer zaciskała zęby.

– Narobiłaś mi kłopotów. Zmusiłaś do oderwania się od pracy. Naraziłaś na ryzyko. Pchając się tą łódką na Głębię Sedny, pod mój Wsysacz... Echo naszego krótkiego pojedynku było silne i dalekie, mogło obić się o wścibskie i niepowołane uszy. Ale nie mogłem się powstrzymać. Myśl, że będę cię tu mógł mieć, że będę mógł podłączyć cię do mojego skanera, była zbyt pociągająca.

– Bo chyba nie przypuszczasz – wbił kolejną igłę – że dałem się nabrać na twoją prowokację? Że połknąłem przynętę? Nie, Yennefer. Jeśli tak myślisz, mylisz niebo z gwiazdami odbitymi nocą na powierzchni stawu. Ty tropiłaś mnie, ja natomiast tropiłem ciebie. Wpływając na Głębię, ułatwiłaś mi po prostu zadanie. Bo ja, widzisz, sam nie mogę wyskanować Ciri, nawet za pomocą tego oto, nie mającego sobie równych urządzenia. Dziewczyna ma silne wrodzone mechanizmy obronne, silną własną aurę antymagiczną i supresyjną: w końcu to Starsza Krew... Ale i tak moje superskanery powinny ją wykryć. A nie wykrywają.

Yennefer była już cała omotana siecią srebrnych i miedzianych drucików, obudowana rusztowaniem srebrnych i porcelanowych rurek. Na przystawionych do fotela stojakach chwiały się szklane pojemniki z bezbarwnymi płynami.

– Pomyślałem więc – Vilgefortz wepchnął jej do nosa drugą rurkę, tym razem szklaną – że jedynym sposobem na wyskanowanie Ciri jest sonda empatyczna. Do tego potrzebny był mi jednak ktoś, kto miał z dziewczyną dostatecznie silny kontakt emocjonalny i wypracował empatyczną matrycę, taki, że użyję neologizmu, algorytm uczuć i sympatii wzajemnej. Myślałem o wiedźminie, ale wiedźmin zniknął,

poza tym wiedźmini są marnymi mediami. Miałem zamiar kazać porwać Triss Merigold, naszą Czternastą ze Wzgórza. Zastanawiałem się nad uprowadzeniem Nenneke z Ellander... Ale gdy okazało się, że ty, Yennefer z Vengerbergu, sama wręcz pchasz mi się w ręce... Doprawdy, na nic lepszego liczyć nie mogłem... Podłączona do aparatury wyskanujesz dla mnie Ciri. Operacja wymaga, co prawda, kooperacji z twojej strony... Ale są, jak wiesz, sposoby na zmuszenie do kooperacji.

– Oczywiście – podjął, wycierając ręce – należałoby ci się trochę wyjaśnień. Na przykład – skąd i jak dowiedziałem się o Starszej Krwi? O dziedzictwie Lary Dorren? Czym właściwie jest ten gen? Jak doszło do tego, że Ciri go ma? Kto go jej przekazał? W jaki sposób odbiorę go jej i do czego wykorzystam? Jak działa Wsysacz Sedny, kogo nim wessałem, co z wessanymi uczyniłem i dlaczego? Prawda, że wiele pytań? Aż żal, że nie ma czasu, by ci o wszystkim opowiedzieć, wszystko wyjaśnić. Ba, zadziwić, bo pewien jestem, że kilka faktów zadziwiłoby cię, Yennefer... Ale, jak się rzekło, nie ma czasu. Eliksiry zaczynają działać, czas, żebyś zaczęła się koncentrować.

Czarodziejka zacisnęła zęby, dusząc się głębokim, rwącym się z trzewi jękiem.

– Wiem – kiwnął głową Vilgefortz, przysuwając bliżej duży profesjonalny megaskop, ekran i wielką kryształową kulę na trójnogu, omotaną pajęczyną srebrnych drucików. – Wiem, to bardzo przykre. I bardzo bolesne. Im prędzej przystąpisz do skanowania, tym krócej to będzie trwało. No, Yennefer. Tu, na tym ekranie, chcę widzieć Ciri. Gdzie jest, z kim jest, co robi, co je, z kim i gdzie śpi.

Yennefer zakrzyczała przeraźliwie, dziko, z rozpaczą.

– Boli – domyślił się Vilgefortz, wpijając się w nią żywym okiem i martwym kryształem. – No pewnie, że boli. Skanuj, Yennefer. Nie opieraj się. Nie udawaj bohaterki. Dobrze wiesz, że tego wytrzymać się nie da. Skutek oporu może być opłakany, nastąpi wylew krwi, dostaniesz paraplegii albo w ogóle zamienisz się w warzywo. Skanuj!

Zacisnęła szczęki, aż zatrzeszczały zęby.

– No, Yennefer – rzekł łagodnie czarodziej. – Choćby z ciekawości! Z pewnością ciekawi cię, jak sobie radzi twoja pupilka. A może zagraża jej niebezpieczeństwo? Może jest w potrzebie? Przecież wiesz, jak wielu ludzi życzy Ciri źle i pragnie jej zguby. Skanuj. Gdy będę wiedział, gdzie

dziewczyna jest, ściągnę ją tu. Tutaj będzie bezpieczna... Tutaj nikt jej nie odnajdzie. Nikt.

Jego głos był aksamitny i ciepły.

– Skanuj, Yennefer. Skanuj. Proszę cię. Daję ci słowo: wezmę od Ciri to, czego potrzebuję. A potem obydwu wam zwrócę wolność. Przysięgam.

Yennefer jeszcze mocniej zacisnęła zęby. Strużka krwi pociekła jej po brodzie. Vilgefortz wstał gwałtownie, skinął ręką.

– Rience!

Yennefer poczuła, jak na jej dłoni i palcach zaciska się jakieś urządzenie.

– Czasami – powiedział Vilgefortz, pochylając się nad nią – tam, gdzie zawodzi magia, eliksiry i narkotyki, skutkuje na opornych zwykły, stary, dobry, klasyczny ból. Nie zmuszaj mnie do tego. Skanuj.

– Idź do diabła, Vilgefoooortz!

– Dokręcaj śruby, Rience. Powoli.

•

Vilgefortz spojrzał na bezwładne ciało wleczone po posadzce w kierunku schodów prowadzących do podziemi. Potem podniósł oko na Rience'a i Schirrú.

– Zawsze istnieje ryzyko – powiedział – że któryś z was wpadnie w ręce moich wrogów i będzie przesłuchiwany. Chciałbym wierzyć, że wówczas wykazalibyście się nie mniejszym hartem ciała i ducha. Tak, chciałbym w to wierzyć. Ale nie wierzę.

Rience i Schirrú milczeli. Vilgefortz ponownie uruchomił megaskop, wyświetlił na ekranie obraz generowany przez ogromny kryształ.

– To wszystko, co wyskanowała – powiedział, wskazując. – Ja chciałem Cirilli, ona dała mi wiedźmina. Ciekawe. Nie pozwoliła sobie wydrzeć empatycznej matrycy dziewczyny, ale przy Geralcie pękła. A o jakiekolwiek uczucia względem tego Geralta nie podejrzewałem jej wcale... No, ale zadowolimy się na razie tym, co mamy. Wiedźmin, Cahir aep Ceallach, bard Jaskier, jakaś kobieta? Hmmm... Kto podejmie się tego zadania? Ostatecznego rozwiązania kwestii wiedźmińskiej?

•

Zgłosił się Schirrú, przypomniał sobie Rience, unosząc się w strzemionach, by choć trochę ulżyć obolałym od siodła pośladkom.

Schirrú zgłosił się do zabicia wiedźmina. Znał okolice, w których Yennefer wyskanowała Geralta i jego kompanię, miał tam znajomych czy też krewnych. Mnie zaś Vilgefortz posłał na negocjacje z Vattierem de Rideaux, potem do śledzenia Skellena i Bonharta...

A ja głupi, cieszyłem się wówczas, pewny, że przypadło mi w udziale zadanie dużo łatwiejsze i przyjemniejsze. I takie, z którym uporam się szybko, łatwo i przyjemnie...

•

– Jeśli chłopi nie łgali – Stefan Skellen stanął w strzemionach – to jezioro musi być za tym wzgórzem, w kotlinie.

– Tam też trop wiedzie – potwierdził Boreas Mun.

– Czego tedy stoimy? – Rience potarł zmarznięte ucho. – Koniom ostrogę i jazda!

– Nie tak bystro – wstrzymał go Bonhart. – Rozdzielmy się. Otoczmy kotlinę. Nie wiemy, którym brzegiem jeziora pojechała. Jeśli wybierzemy zły kierunek, może się nagle okazać, że jezioro oddzieli nas od niej.

– Racja święta – przytaknął Boreas.

– Jeziora ściął lód.

– Może być za słaby dla koni. Bonhart ma rację, trzeba się rozdzielić.

Skellen szybko wydał rozkazy. Grupa prowadzona przez Bonharta, Rience'a i Olę Harsheima, licząca do kupy siedem koni, pocwałowała wschodnim brzegiem, szybko niknąc w czarnym lesie.

– Dobra – skomenderował Puszczyk. – Jedziemy, Silifant...

Od razu zorientował się, że coś jest nie tak.

Obrócił konia, trzepnął go nahajem, najechał na Joannę Selborne. Kenna cofnęła swego wierzchowca, a twarz miała jak z kamienia.

– To na nic, panie koroner – powiedziała chrapliwie. – Nie próbujcie nawet. My nie jedziemy z wami. My zawracamy. My tego dosyć mamy.

– My? – wrzasnął Dacre Silifant. – Kto, my? Co to, bunt?

Skellen pochylił się w siodle, splunął na zmarzłą ziemię. Za Kenną stanęli Andres Vierny i Til Echrade, jasnowłosy elf.

– Pani Selborne – powiedział przeciągle i zjadliwie Puszczyk. – Nie w tym rzecz, że marnuje pani pięknie zapowiadającą się karierę, że trwoni i wniwecz obraca pani swą życiową szansę. Rzecz w tym, że będzie pani oddana katu. Razem z tymi durniami, którzy pani posłuchali.

– Co ma wisieć, nie utonie – odrzekła filozoficznie Kenna. – A katem nas nie straszcie, panie koroner. Bo nie wiada, komu bliżej do rusztowania, wam czy nam.

– Tak sądzisz? – oczy Puszczyka błysnęły. – Takiego przekonania nabrałaś, chytrze gdzieś czyjeś myśli podsłuchawszy? Za mądrzejszą cię miałem. A tyś zwyczajnie głupia jest, kobieto. Ze mną zawsze się wygrywa, przeciw mnie zawsze się przegrywa! Zapamiętaj to. Choćbyś mnie już za pogrążonego miała, ja jeszcze zdołam posłać cię na szafot. Słyszycie, wy, wszyscy? Czerwonymi hakami każę odrywać wam mięso od kości!

– Raz matka rodziła, panie koroner – powiedział miękko Til Echrade. – Wyście wybrali waszą drogę, myśmy wybrali naszą. Obie drogi niepewne i ryzykowne. A nie wiadomo, co komu dola przeznaczyła.

– Nie będziecie nas – Kenna dumnie uniosła głowę – jak tych psów szczuć na dziewczynę, panie Skellen. I nie damy się na koniec jak psy ubić, jak Neratin Ceka. A, dość tego gadania. Zawracamy! Boreas! Jedź z nami.

– Nie – pokręcił głową tropiciel, ocierając czoło futrzaną czapką. – Bywajcie w zdrowiu, nie życzę wam źle. Ale zostaję. Służba. Przysięgałem.

– Komu? – zmarszczyła brwi Kenna. – Cesarzowi czy Puszczykowi? Czy czarownikowi gadającemu z puzderka?

– Ja jestem żołnierz. Służba.

– Zaczekajcie – zawołał Dufficey Kriel, wyjeżdżając zza pleców Dacre Silifanta. – Ja z wami. Ja też mam tego dość! Wczoraj w nocy wyśniłem moją własną śmierć. Ja nie chcę zdychać za tę parszywą i podejrzaną sprawę!

– Zdrajcy! – wrzasnął Dacre, czerwieniejąc jak czereśnia, zdawało się, czarna krew tryśnie mu z twarzy. – Przeniewiercy! Podłe sobaki!

– Zamknij gębę. – Puszczyk wciąż patrzył na Kennę, a oczy miał równie paskudne jak ptak, od którego wziął przezwisko. – Oni drogę wybrali, słyszałeś przecież. Nie ma co krzyczeć ani śliny tracić. Ale spotkamy się jeszcze kiedyś. Obiecuję wam.

– Może nawet na jednym szafocie – powiedziała bez zjadliwości Kenna. – Bo was, Skellen, nie z jaśnie książętami przecie kaźnić będą, ale z nami, chamami. Aleście praw, nie ma co śliny tracić. Jedziem. Bywaj, Boreas. Bywajcie, panie Silifant.

Dacre splunął nad uszami konia.

•

– I nadto, com tu rzekła – Joanna Selborne dumnie uniosła głowę, odgarnęła z czoła ciemny lok – nic do dodania nie mam, wielmożny trybunale.

Przewodniczący trybunału patrzył na nią z góry. Twarz miał nieodgadnioną. Oczy siwe. I dobre.

A, co mi tam, pomyślała Kenna, spróbuję. Raz kozie śmierć, wóz albo przewóz. Nie będę gnić w cytadeli i czekać na śmierć. Puszczyk na wiatr nie gadał, on nawet zza grobu gotów się zemścić...

Co mi tam! Może nie zauważą. Wóz albo przewóz!

Przyłożyła dłoń do nosa, niby to ucierając. Spojrzała prosto w siwe oczy przewodniczącego trybunału.

– Straż! – powiedział przewodniczący trybunału. – Proszę odprowadzić świadka Joannę Selborne z powrotem do...

Urwał, zakasłał. Pot nagle wystąpił mu na czoło.

– Do kancelarii – dokończył, mocno pociągając nosem. – Wypisać stosowne dokumenty. I zwolnić. Świadek Selborne nie jest już sądowi potrzebna.

Kenna ukradkiem otarła kroplę krwi, która wyciekła jej z nosa. Uśmiechnęła się uroczo i podziękowała delikatnym ukłonem.

•

– Zdezerterowali? – powtórzył z niedowierzaniem Bonhart. – Następni zdezerterowali? I ot, tak sobie, odjechali? Skellen? Pozwoliłeś?

– Jeśli nas sypną... – zaczął Rience, ale Puszczyk przerwał mu natychmiast.

– Nie sypną, bo im samym głowy miłe! A zresztą co mogłem zrobić? Gdy Kriel do nich dołączył, ze mną zostali tylko Bert i Mun, a ich było czworo...

– Czworo – powiedział złowrogo Bonhart – to wcale nie tak dużo. Niech tylko dognamy dziewczynę, ruszę za nimi. I nakarmię nimi wrony. W imię pewnych pryncypiów.

– Dognajmy ją wpierw – uciął Puszczyk, nahajką popędzając siwka. – Boreas! Pilnuj tropu!

Kotlinę wypełniał gęsty kożuch mgły, ale wiedzieli, że w dole jest jezioro, bo tutaj, w Mil Trachta, w każdej kotlinie było jezioro. To zaś, ku

któremu wiódł ślad kopyt karej klaczy, niezawodnie było tym, którego szukali, tym, którego kazał im szukać Vilgefortz. Które dokładnie im opisał. I podał nazwę.

Tarn Mira.

Jezioro było wąskie, nie szersze niż strzelenie z łuku, wtłoczone lekko zagiętym półksiężycem między wysokie, strome zbocza porośnięte czarnym świerkowiem, pięknie posypanym białym śnieżnym pudrem. Zbocza spowijała cisza, taka, że aż dzwoniło w uszach. Zamilkły nawet wrony, których złowieszcze krakanie od kilkunastu dni towarzyszyło im na szlaku.

– To jest południowy kraniec – stwierdził Bonhart. – Jeśli czarownik nie pokpił sprawy i nie naputał, magiczna wieża jest na krańcu północnym. Pilnuj śladu, Boreas! Jeśli zmylimy trop, jezioro odgrodzi nas od niej!

– Trop jest wyraźny! – krzyknął z dołu Boreas Mun. – I świeży! Wiedzie ku jezioru!

– Jazda. – Skellen opanował boczącego się na stromiznę siwka. – W dół!

Zjechali po pochyłości, ostrożnie, wstrzymując prychające konie. Przedarli się przez czarne, gołe, oblodzone krze, blokujące dostęp do brzegu.

Gniadosz Bonharta ostrożnie wkroczył na lód, z chrzęstem łamiąc sterczące ze szklistej tafli suche trzciny. Lód zatrzeszczał, spod kopyt konia rozbiegły się gwiaździście długie strzałki pęknięć.

– W tył! – Bonhart ściągnął wodze, zawrócił chrapiącego wierzchowca na brzeg. – Z koni! Lód jest cienki.

– Tylko przy brzegu, we trzcinie – ocenił Dacre Silifant, uderzając w lodową skorupę obcasem. – Ale nawet i tu ma z półtora cala. Utrzyma konie jak nic, bojać się nie ma...

Słowa zagłuszyły przekleństwo i rżenie. Siwek Skellena pośliznął się, przysiadł na zadzie, nogi rozjechały się pod nim. Skellen uderzył go ostrogami, zaklął znowu, tym razem klątwie zawtórował ostry chrup pękającego lodu. Siwek załomotał przednimi kopytami, tylne, uwięźnięte, targały się w matni, krusząc taflę i burząc tryskającą spod niej ciemną wodę. Puszczyk zeskoczył z siodła, szarpnął za wodze, ale pośliznął się i wywalił jak długi, cudem nie wpadając pod podkowy własnego konia. Dwaj Gemmerczycy, również już spieszeni, pomogli mu

się podnieść, Ola Harsheim i Bert Brigden wywlekli rżącego siwka na brzeg.

– Z koni, chłopy – powtórzył Bonhart z oczami utkwionymi w mgłę zalegającą jezioro. – Nie ma co ryzykować. Dogonimy dziewkę na piechotę. Ona też zsiadła, też idzie pieszo.

– Prawda święta – potwierdził Boreas Mun, wskazując na jezioro. – Toć widać.

Tylko przy samym brzegu, pod nawisem gałęzi, lodowa skorupa była gładka i półprzejrzysta jak ciemne szkło butelki, widać było pod nią trzciny i zbrązowiałe wodorosty. Dalej, na plosie, lód pokrywała cieniutka warstewka mokrego śniegu. A na niej, jak daleko pozwalała widzieć mgła, ciemniały ślady stóp.

– Mamy ją! – krzyknął zapalczywie Rience, zarzucając wodze na sęk. – Nie taka ona znowu chytra, jak wyglądało! Poszła po lodzie, środkiem jeziora. Gdyby wybrała któryś z brzegów, las, niełacno byłoby ścigać!

– Środkiem jeziora... – powtórzył Bonhart, sprawiając wrażenie zamyślonego. – Właśnie środkiem jeziora prowadzi najkrótsza i najprostsza droga do tej niby magicznej wieży, o której mówił Vilgefortz. Ona o tym wie. Mun? O ile nas wyprzedza?

Boreas Mun, który już był na jeziorze, uklęknął nad odciskiem buta, pochylił się nisko, przyjrzał.

– Godziny pół – ocenił. – Nie więcej. Ciepleje, a ślad nie rozmyty, każdy ćwiek w podeszwie widać.

– Jezioro – mruknął Bonhart, nadaremnie starając się przebić wzrokiem mgłę – ciągnie się ku północy ponad pięć mil. Tak mówił Vilgefortz. Jeśli dziewczyna ma pół godziny przewagi, to jest przed nami jakąś milę.

– Na śliskim lodzie? – pokręcił głową Mun. – I tego nie. Sześć, siedem staj, góra.

– Tym lepiej! Marsz!

– Marsz – powtórzył Puszczyk. – Na lód i marsz, ostro!

Maszerowali, dysząc. Bliskość ofiary podniecała, napełniała euforią jak narkotyk.

– Nie ujdzie nam!

– Byle nie zgubić śladu...

– I byle nas w pole nie wywiodła w tej mgle... Biało jak we mleku... Na dwadzieścia kroków nie widać, zaraza...

– Przebierajcie kulasami – warknął Rience. – Prędzej, prędzej! Póki śnieżek na lodzie, idziemy po śladach...

– Ślady są świeże – zamamrotał nagle Boreas Mun, zatrzymując się i schylając. – Świeżutkie... Każdy ćwiek odciśniony widać... Jest tuż przed nami... Tuż przed nami! Dlaczego jej nie widzimy?

– I czemu jej nie słychać? – zastanowił się Ola Harsheim. – Nasze kroki na lodzie dudnią, śnieg poskrzypuje! Czemu tedy jej nie słyszym?

– Bo gębami kłapiecie – uciął gwałtownie Rience. – Dalej, marsz!

Boreas Mun zdjął czapkę, wytarł nią spocone czoło.

– Ona jest tam, we mgle – powiedział cicho. – Gdzieś tam, we mgle... Ale nie wiedzieć, gdzie. Nie wiedzieć, skąd uderzy... Jak tam... W Dun Dâre... W noc Saovine...

Drżącą ręką zaczął wyciągać miecz z pochwy. Puszczyk przyskoczył do niego, chwycił za ramiona, szarpnął potężnie.

– Zamknij jadaczkę, stary durniu – zasyczał.

Było jednak za późno. Pozostałym udzieliło się przerażenie. Też wyciągnęli miecze, odruchowo stając tak, by mieć za plecami któregoś z towarzyszy.

– Ona nie jest upiorem! – warknął głośno Rience. – Nie jest nawet magiczką! A nas jest dziesięciu! W Dun Dâre było czterech i wszyscy pijani!

– Rozstąpić się – powiedział nagle Bonhart – w lewo i w prawo, w linię. I iść ławą! Ale tak, by się wzajem z oczu nie potracić.

– Ty też? – wykrzywił się Rience. – Tobie też się udzieliło, Bonhart? Miałem cię za mniej przesądnego.

Łowca nagród popatrzył na niego wzrokiem zimniejszym od lodu.

– Rozciągnąć się w ławę – powtórzył, lekceważąc czarodzieja. – Zachować odległości. Ja wracam po konia.

– Co?

Bonhart znowu nie zaszczycił Rience'a odpowiedzią. Rience zaklął, ale Puszczyk szybko położył mu rękę na ramieniu.

– Zostaw – warknął – niech idzie. A my nie traćmy czasu! Ludzi w ławę! Bert i Stigward, w lewo! Ola, w prawo...

– Po co to, Skellen?

– Pod idącymi w kupie – mruknął Boreas Mun – łacniej lód załamać się może niźli pod rozciągniętą ławą. Nadto, jeśli ławą pójdziemy, mniejszy będzie hazard, że się nam dziewka którędyś bokiem wywinie.

– Bokiem? – parsknął Rience. – Jakim sposobem? Ślady przed nami jak na dłoni. Dziewczyna idzie prosto jak strzelił, gdyby na krok próbowała skręcić, trop zdradziłby to!

– Dość gadania – uciął Puszczyk, patrząc w tył, w mgłę, w której zniknął wracający Bonhart. – Naprzód!

Poszli.

– Cieplej się robi – sapnął Boreas Mun. – Lód z wierzchu topnieje, naledź się tworzy...

– Mgła gęstnieje...

– Ale ślady wciąż widać – stwierdził Dacre Silifant. – Zdaje mi się ponadto, że dziewczyna idzie wolniej. Traci siły.

– Tak jak i my. – Rience zerwał czapkę i powachlował się nią.

– Cicho. – Silifant zatrzymał się nagle. – Słyszeliście? Co to było?

– Ja nic nie słyszałem.

– A ja tak... Jakby zgrzyt... Zgrzyt po lodzie... Ale nie stamtąd. – Boreas Mun wskazał we mgłę, w której znikały ślady. – Jakby od lewej, z boku...

– Też słyszałem – potwierdził Puszczyk, rozglądając się niespokojnie. – Ale teraz ucichło. Psiakrew, nie podoba mi się to. Nie podoba mi się to!

– Ślady! – powtórzył ze znudzonym naciskiem Rience. – Wciąż widzimy jej ślady! Oczu nie macie? Ona idzie prosto jak strzelił! Gdyby skręciła choćby na krok, choćby na pół kroku, poznalibyśmy to po śladach! Marsz, szybciej, za chwilę będziemy ją mieli! Zaręczam, za chwilę zobaczymy...

Urwał. Boreas Mun westchnął, aż zagrało mu w płucach. Puszczyk zaklął.

Dziesięć kroków przed nimi, tuż przed wytyczoną przez gęste mleko mgły granicą widzialności, ślady kończyły się. Znikały.

– Zaraza morowa!

– Co jest?

– Uleciała, czy jak?

– Nie – pokręcił głową Boreas Mun. – Nie uleciała. Gorzej.

Rience zaklął wulgarnie, wskazując wycięte w lodowej skorupie rysy.

– Łyżwy – warknął, zaciskając bezwiednie pięści. – Miała łyżwy i założyła je... Teraz pomknie po lodzie jak wicher... Nie dogonimy jej! Gdzie, cholera na jego kark, podziewa się Bonhart? Nie dogonimy dziewczyny bez koni!

Boreas Mun chrząknął głośno, westchnął. Skellen wolno rozpiął kożuszek, odsłaniając skosem przecinający pierś bandolier z rzędem orionów.

– Nie będziemy musieli jej gonić – powiedział zimno. – To ona dogoni nas. Obawiam się, że nie będziemy długo czekać.

– Oszalałeś?

– Bonhart to przewidział. Dlatego zawrócił po konia. Wiedział, że dziewczyna wciąga nas w pułapkę. Uwaga! Nadstawiajcie uszu na zgrzyt łyżew o lód!

Dacre Silifant zbladł, było to widoczne nawet mimo pokraśniałych od mrozu policzków.

– Chłopy! – wrzasnął. – Uwaga! Baczenie mieć! I do kupy, do kupy! Nie gubić się we mgle!

– Zamknij się! – ryknął Puszczyk. – Zachować ciszę! Bezwzględna cisza, bo nie usłyszymy...

Usłyszeli. Z lewego, najodleglejszego krańca ławy, z mgły, dobiegł ich krótki, urwany krzyk. I ostry, chrapliwy zgrzyt łyżew, podnoszący włosy jak pociągnięcie żelazem po szkle.

– Bert! – wrzasnął Puszczyk. – Bert! Co się tam stało?

Usłyszeli niezrozumiały okrzyk, a za moment z mgły wyłonił się Bert Brigden, uciekający na złamanie karku. Już będąc blisko pośliznął się, wywalił, pojechał brzuchem po lodzie.

– Dostała... Stigwarda – wydyszał, wstając z trudem. – Zasiekła... w przelocie... Tak szybko... Że ledwom ją widział... Czarownica...

Skellen zaklął. Silifant i Mun, obaj z mieczami w dłoniach, obracali się, wytrzeszczając oczy we mgłę.

Zgrzyt. Zgrzyt. Zgrzyt. Szybko. Rytmicznie. I coraz wyraźniej. Coraz wyraźniej...

– Skąd to? – zaryczał Boreas Mun, obracając się, wodząc w powietrzu ostrzem trzymanego oburącz miecza. – Skąd to?

– Cicho! – krzyknął Puszczyk, z orionem we wzniesionej dłoni. – Chyba z prawej! Tak! Z prawej! Nadjeżdża z prawej! Uwaga!

Idący na prawym skrzydle Gemmerczyk zaklął nagle, odwrócił się i pobiegł na oślep we mgłę, chlapiąc po topniejącej warstewce lodu. Nie ubiegł daleko, nie zdążył nawet zniknąć im z oczu. Usłyszeli ostry zgrzyt sunących łyżew, dostrzegli rozmazany, ruchliwy cień. I błysk miecza. Gemmerczyk zawył. Widzieli, jak upadł, widzieli szeroki rozbryzg krwi

na lodzie. Ranny rzucał się, zwijał, krzyczał, wył. Potem ucichł i znieruchomiał.

Ale póki wył, zagłuszył zbliżający się zgrzyt łyżew. Nie spodziewali się, że dziewczyna zdoła zawrócić tak szybko.

Wpadła między nich, w sam środek. Olę Harsheima cięła w przelocie, nisko, pod kolano, łamiąc go jak scyzoryk. Zakręciła się w piruecie, zasypując Boreasa Muna gradem kłujących drobin lodu. Skellen odskoczył, pośliznął się, chwycił za rękaw Rience'a. Upadli obaj. Łyżwy zazgrzytały tuż obok nich, ostre zimne okruszki pokąsały im twarze. Jeden z Gemmerczyków wrzasnął, wrzask urwał się dzikim skrzekiem. Puszczyk wiedział, co się stało. Słyszał wielu ludzi, którym podrzynano gardła.

Ola Harsheim krzyczał, tarzając się na lodzie.

Zgrzyt. Zgrzyt. Zgrzyt.

Cisza.

– Panie Stefanie – wybełkotał Dacre Silifant. – Panie Stefanie... W tobie nadzieja... Ratuj... Nie daj przepaść...

– Okulawiła mnie, kurwaaaaa! – darł się Ola Harsheim. – Pomóżcież, mać waszą! Pomóżcież wstaaaać!

– Bonhart! – wrzasnął we mgłę Skellen. – Bonhaaaart! Na pomooooc! Gdzie jesteś, ty sukinsynu? Bonhaaaart!

– Otacza nas – wydyszał Boreas Mun, obracając się i nadsłuchując. – Jeździ kołem we mgle... Uderzy nie wiedzieć skąd... Śmierć! Ta dziewka to śmierć! Zdechniemy tu! Będzie masakra, jak w Dun Dâre, w noc Saovine...

– Trzymajcie się w kupie – jęknął Skellen. – Trzymajcie się w kupie, ona poluje na pojedynczych... Gdy zobaczycie, że nadjeżdża, nie traćcie głowy... Rzucajcie jej pod nogi miecze, sakwy, pasy... Cokolwiek, by ją...

Nie dokończył. Tym razem nawet nie usłyszeli zgrzytu łyżew. Dacre Silifant i Rience ocalili życie, padając plackiem na lód. Boreas Mun zdołał odskoczyć, pośliznął się, wywalił, przewrócił Berta Brigdena. Gdy dziewczyna przemykała obok, Skellen zamachnął się i cisnął orionem. Trafił. Ale niewłaściwą osobę. Ola Harsheim, któremu właśnie udało się unieść, runął w drgawkach na zakrwawioną taflę, jego szeroko rozwarte oczy zdawały się zezować na stalową gwiazdę sterczącą z nasady nosa.

Ostatni z Gemmerczyków rzucił miecz i zaczął szlochać, krótkimi, urywanym spazmami. Skellen przypadł i z całej siły uderzył go w twarz.

– Weź się w garść! – zaryczał. – Weź się w garść, chłopie! To tylko jedna dziewczyna! Tylko jedna dziewczyna!

– Jak w Dun Dâre, w noc Saovine – powiedział cicho Boreas Mun. – Nie zejść nam już z tego lodu, z tego jeziora. Wytężać, wytężać słuch! I usłyszycie, jak sunie na was śmierć.

Skellen podniósł miecz Gemmerczyka i próbował wcisnąć szlochającemu broń do ręki, ale bezskutecznie. Wstrząsany spazmami Gemmerczyk patrzył na niego tępym wzrokiem. Puszczyk rzucił miecz, doskoczył do Rience'a.

– Zrób coś, czarowniku! – ryknął, szarpiąc go za ramiona. Przerażenie zdwoiło jego siły, choć Rience był wyższy, cięższy i potężniejszy, podrygiwał w uścisku Puszczyka jak szmaciana kukła. – Zrób coś! Wzywaj twojego możnego Vilgefortza! Albo czaruj sam! Czaruj, rzucaj gusła, zaklinaj duchy, konjuruj demony! Zrób coś, cokolwiek, ty wyskrobku parszywy, ty gnojku! Zrób coś, zanim ta upiorzyca wszystkich nas pozabija!

Echo jego krzyku przetoczyło się po zalesionych zboczach. Nim przebrzmiało, zazgrzytały łyżwy. Szlochający Gemmerczyk upadł na kolana i zakrył twarz dłońmi. Bert Brigden zawył, cisnął miecz i rzucił się do ucieczki. Poślizgnął się, przewrócił, przez jakiś czas uciekał na czworakach, jak pies.

– Rience!

Czarodziej zaklął, podniósł rękę. Gdy skandował zaklęcie, ręka mu drżała, głos również. Ale udało mu się. Co prawda, nie ze wszystkim.

Tryskająca z jego palców cienka ognista błyskawica przeorała lód, tafla pękła. Ale nie w poprzek, jak powinna, by zagrodzić drogę nadjeżdżającej dziewczynie. Pękła wzdłuż. Skorupa lodu rozwarła się z głośnym trzaskiem, trysnęła i zadudniła czarna woda, szybko rozszerzająca się szczelina pomknęła w kierunku przyglądającego się w osłupieniu Dacre Silifanta.

– Na boki! – wrzasnął Skellen. – Uciekaaaać!

Było za późno. Szczelina wjechała między nogi Silifanta i rozwarła się gwałtownie, lód skruszył się jak szkło, pękł w wielkie kawały. Dacre stracił równowagę, woda zdławiła jego ryk. Wpadł w dziurę Boreas Mun, zniknął pod wodą klęczący Gemmerczyk, zniknął trup Oli

Harsheima. Po nich chlupnął w czarną toń Rience, a zaraz po nim Skellen, w ostatniej chwili zdoławszy ucapić się krawędzi. A dziewczyna odbiła się mocno, przefrunęła nad rozpadliną, wylądowała, aż bryzgnął topniejący lód, pomknęła za uciekającym Brigdenem. Za chwilę do uszu wiszącego na krawędzi kry Puszczyka dobiegł podnoszący włosy wrzask.

Dogoniła.

– Panie... – wystękał Boreas Mun, któremu niewiadomym sposobem udało się wyczołgać na lód. – Dajcie rękę... Panie koroner...

Wyciągnięty Skellen zsiniał i zaczął straszliwie dygotać. Pod Silifantem, który usiłował wyleźć, skraj kry załamał się. Dacre znowu zniknął pod wodą. Ale zaraz wynurzył się, krztusząc się i plując, nadludzkim wysiłkiem wydarł się na lód. Wyczołgał się i padł, wyczerpany do granic. Obok niego rosła kałuża.

Boreas jęknął, zamknął oczy. Skellen dygotał.

– Ratuj... Mun... Pomocy...

Na skraju tafli, zanurzony po pachy, wisiał Rience. Mokre włosy gładko przylegały mu do czaszki. Zęby dzwoniły jak kastaniety, brzmiało to jak upiorna uwertura do jakiegoś infernalnego *danse macabre*.

Zazgrzytały łyżwy. Boreas nie poruszył się. Czekał. Skellen dygotał.

Nadjeżdżała. Wolno. Z jej miecza ściekała krew, znaczyła lód kroplistym śladem. Boreas przełknął ślinę. Choć był do nitki przemoczony lodowatą wodą, zrobiło mu się nagle okropnie gorąco.

Ale dziewczyna nie patrzyła na niego. Patrzyła na Rience'a, nadaremnie usiłującego wydostać się na krę.

– Pomóż... – Rience przemógł szczękanie zębów. – Ratuj...

Dziewczyna wyhamowała, obracając się na łyżwach z taneczną gracją. Stała w lekkim rozkroku, trzymając miecz oburącz, nisko, w poprzek ud.

– Ratuj mnie... – zaskowyczał Rience, wpijając w lód drętwiejące palce. – Uratuj... A powiem ci... Gdzie jest Yennefer... Przysięgam...

Dziewczyna wolno ściągnęła szal z twarzy. I uśmiechnęła się. Boreas Mun zobaczył paskudną szramę i z trudem stłumił krzyk.

– Rience – powiedziała Ciri, wciąż uśmiechnięta. – Ty przecież miałeś mnie nauczyć bólu. Pamiętasz? Tymi rękoma. Tymi palcami. Tymi? Tymi, którymi teraz trzymasz się lodu?

Rience odpowiedział, Boreas nie zrozumiał co, bo zęby czarodzieja dzwoniły i klekotały w sposób uniemożliwiający artykułowaną mowę.

Ciri obróciła się na łyżwach i uniosła rękę z mieczem. Boreas zacisnął zęby, przekonany, że rąbnie Rience'a, ale dziewczyna nabierała tylko impetu do jazdy. Ku ogromnemu zdumieniu tropiciela odjechała, szybko, rozpędzając się ostrymi wyrzutami ramion. Zniknęła we mgle, za moment ścichł też rytmiczny zgrzyt łyżew.

– Mun... Wywywyy... ciągnij... mnie... – wyszczękał Rience, z podbródkiem na krawędzi kry. Wyrzucił obie ręce na lód, próbował uczepić się paznokciami, ale wszystkie już miał zerwane. Rozprostował palce, próbując czepiać się zakrwawionej tafli dłońmi i nadgarstkami. Boreas Mun patrzył na niego i miał pewność, przerażającą pewność...

Zgrzyt łyżew usłyszeli w ostatnim momencie. Dziewczyna nadjeżdżała z niesamowitą prędkością, wręcz rozmazywała się w oczach. Nadjeżdżała samym skrajem kry, mknęła tuż przy krawędzi.

Rience wrzasnął. I zachłysnął się gęstą, ołowianą wodą. I zniknął.

Na krze, na równiutkim śladzie łyżwy, została krew. I palce. Osiem palców.

Boreas Mun wyrzygał się na lód.

•

Bonhart galopował skrajem nadjeziornej skarpy, gnał po wariacku, nie bacząc, że lada moment koń może połamać nogi na przysypanych śniegiem rozpadlinach. Oszronione gałęzie świerków chlastały po twarzy, smagały po ramionach, sypały za kołnierz lodowy pył.

Jeziora nie widział, cała kotlina, jak wrzący kocioł czarownic, wypełniona była mgłą.

Ale Bonhart wiedział, że dziewczyna tam jest.

Czuł to.

•

Pod lodem, głęboko, stado pręgowatych okoni z ciekawością odprowadzało ku dnu jeziora srebrne, fascynująco migoczące puzderko, które wyśliznęło się z kieszeni unoszącego się w toni trupa. Nim puzderko upadło na dno, wzbijając obłoczek mułu, najśmielsze okonie próbowały je nawet trącać pyszczkami. Ale nagle pierzchnęły przerażone.

Pudełko wydawało dziwne, alarmujące drgania.

– Rience? Słyszysz mnie? Co się działo z wami? Dlaczego od dwóch dni nie odpowiadaliście? Proszę o raport! Co z dziewczyną? Nie wolno

wam dopuścić, by weszła do wieży! Słyszysz? Nie możecie dopuścić, by weszła do Wieży Jaskółki... Rience! Odpowiedz, do diabła! Rience!

Rience, naturalnie, odpowiedzieć nie mógł.

•

Skarpa skończyła się, brzeg zrobił się płaski. Koniec jeziora, pomyślał Bonhart, jestem na krańcu. Osaczyłem dziewczynę. Gdzie ona jest? I gdzie jest ta cholerna wieża?

Zasłona mgły pękła nagle, uniosła się. I wtedy ją zobaczył. Była tuż przed nim, siedziała na swej karej klaczy. Czarownica, pomyślał, komunikuje się z tym zwierzakiem. Posłała go na koniec jeziora i kazała na siebie czekać.

Ale i tak nic jej to nie pomoże.

Muszę ją zabić. Niech diabli porwą Vilgefortza. Ja muszę ją zabić. Najpierw sprawię, by błagała o życie... A potem ją zabiję.

Wrzasnął, ukłuł konia ostrogami i poszedł w karkołomny cwał.

I nagle zorientował się, że przegrał. Że jednak wywiodła go w pole.

Dzieliło go od niej nie więcej niż pół stajania – ale po cienkim lodzie. Była po drugiej stronie jeziora. Co więcej, półksiężyc plosa wyginał się teraz w stronę przeciwną – dziewczyna, jadąca po cięciwie łuku, miała do krańca jeziora znacznie bliżej.

Bonhart zaklął, szarpnął wodze i skierował konia na lód.

•

– Pędź, Kelpie!

Spod kopyt karej klaczy sypnęła się zmarznięta gruda.

Ciri przywarła do końskiego karku. Widok ścigającego ją Bonharta przejął ją zgrozą. Bała się tego człowieka. Na myśl o stawieniu mu czoła w walce niewidzialna pięść zaciskała się jej na żołądku.

Nie, nie mogła z nim walczyć. Jeszcze nie.

Wieża. Uratować ją może tylko Wieża. I portal. Tak jak na Thanedd, gdy czarownik Vilgefortz już był tuż-tuż, już wyciągał ku niej rękę...

Jedyny ratunek to Wieża Jaskółki.

Mgła uniosła się.

Ciri ściągnęła wodze, czując, jak oblewa ją nagle potworne gorąco. Nie mogąc uwierzyć w to, co widziała. Co miała przed sobą.

•

Bonhart też zobaczył. I wrzasnął triumfalnie.

Na krańcu jeziora nie było wieży. Nie było nawet ruin wieży, nie było po prostu nic. Tylko ledwo widoczny, ledwo zarysowany pagórek, tylko zarośnięte gołym zmarzłym badylem usypisko głazów.

– Oto twoja wieża! – ryknął. – Oto twoja magiczna wieża! Oto twój ratunek! Kupa kamieni!

Dziewczyna zdawała się nie słyszeć i nie widzieć. Podprowadziła klacz w pobliże pagóra, na kamienne usypisko. Uniosła obie ręce ku niebu, jak gdyby złorzeczyła niebiosom za to, co ją spotykało.

– Mówiłem ci – zaryczał Bonhart, dźgając swego gniadosza ostrogą – że jesteś moja! Że zrobię z tobą, co zechcę! Że nikt mi w tym nie przeszkodzi! Ani ludzie, ani bogowie, ani diabły, ani demony! Ani zaklęte wieże! Jesteś moja, wiedźminko!

Podkowy gniadosza dzwoniły na lodowej tafli.

Mgła nagle skłębiła się, zawrzała pod uderzeniem wichru spadającego nie wiedzieć skąd. Gniadosz zarżał i zatańczył, szczerząc zęby na munsztuku. Bonhart odchylił się w siodle, ściągnął tręzle ze wszystkich sił, bo koń szalał, rzucał łbem, tupał, ślizgał się na lodzie.

Przed nim – między nim a brzegiem, na którym stała Ciri – tańczył na tafli śnieżnobiały jednorożec, stając dęba, przybierając pozę znaną z herbowych tarcz.

– Nie ze mną takie sztuczki! – ryknął łowca, opanowując konia. – Nie mnie czarami straszyć! Dopadnę cię, Ciri! Tym razem cię zabiję, wiedźminko! Jesteś moja!

Mgła skłębiła się znowu, zakotłowała, przybrała dziwne kształty. Kształty stawały się coraz wyraźniejsze. To byli jeźdźcy. Koszmarne sylwetki upiornych jeźdźców.

Bonhart wybałuszył oczy.

Na kościotrupach koni siedziały szkielety jeźdźców, ustrojone w przeżarte rdzą pancerze i kolczugi, strzępy płaszczy, pogięte i skorodowane hełmy, udekorowane bawolimi rogami, resztkami strusich i pawich pióropuszy. Spod okapów hełmów oczy upiorów świeciły sinawym blaskiem. Szumiały podarte proporce.

Na czele demonicznej kawalkady cwałował zbrojny z koroną na hełmie, z naszyjnikiem na piersi, obijającym się o zardzewiały kirys.

Precz, zadudniło w głowie Bonharta. Precz, śmiertelniku. Ona nie jest twoja. Ona jest nasza. Precz!

Jednego nie można było Bonhartowi odmówić: odwagi. Nie przeląkł się widm. Opanował zgrozę, nie poddał się panice.

Ale jego koń okazał się mniej odporny.

Gniady ogier stanął dęba, baletowo zatańczył na tylnych nogach, zarżał dziko, wierzgnął i podskoczył. Pod uderzeniem podków lód pękł z przeraźliwym chrupem, tafle stanęły pionowo, trysnęła woda. Koń zakwiczał, uderzył o krawędź przednimi kopytami, skruszył ją. Bonhart wyszarpnął stopy ze strzemion, skoczył. Za późno.

Woda zamknęła się nad jego głową. W uszach zadudniło i zadzwoniło jak w dzwonnicy. Płuca groziły pęknięciem.

Miał szczęście. Jego kopiące wodę stopy natrafiły na coś, zapewne na idącego na dno konia. Odbił się, z impetem wynurkował, plując i sapiąc. Uchwycił się krawędzi przerębla. Nie ulegając panice, dobył noża, wbił go w lód, wyciągnął się. Leżał, dysząc ciężko, woda ściekała z niego z pluskiem.

Jezioro, lód, ośnieżone zbocza, czarny, biało lukrowany świerkowy las – wszystko zalała raptem nienaturalna, trupia jasność.

Bonhart z ogromnym wysiłkiem uniósł się na kolana.

Nad horyzontem granatowe niebo zapłonęło oślepiającą koroną jasności, świetlistą kopułą, z której wyrosły nagle ogniste słupy i spirale, wystrzeliły tańczące kolumny i wiry światła. Na nieboskłonie zawisły migotliwe, ruchliwe, szybko zmieniające kształty wstęgi i draperie.

Bonhart zaskrzeczał. Na gardle, wydawało mu się, miał żelazną obręcz garoty.

W miejscu, gdzie jeszcze przed chwilą był tylko goły pagór i kupa kamieni, wznosiła się wieża.

Majestatyczna, strzelista i smukła, czarna, gładka, lśniąca, jak gdyby wykuta z jednego kawała bazaltu. Ogień migotał w nielicznych oknach, w zębatych krenelażach szczytu płonęła *aurora borealis*.

Widział dziewczynę, obróconą ku niemu w siodle. Widział jej świetliste oczy i przekreślony linią brzydkiej blizny policzek. Widział, jak dziewczyna popędza karą klacz, jak nie spiesząc się, wjeżdża w czarny mrok, pod kamienny łuk wejścia.

Jak znika.

Aurora borealis eksplodowała oślepiającymi wirami ognia.

Gdy Bonhart zaczął znowu widzieć, wieży już nie było. Był ośnieżony pagór, kupa kamieni, zeschłe czarne badyle.

Klęcząc na lodzie, w kałuży ściekającej z niego wody, łowca nagród zakrzyczał dziko, okropnie. Na klęczkach, wzniósłszy ręce ku niebu, krzyczał, wył, złorzeczył i bluźnił – ludziom, bogom i demonom.

Echo krzyku toczyło się po porośniętych świerkowiem skarpach, niosło się po zamarzniętej tafli jeziora Tarn Mira.

•

Wnętrze wieży zrazu przypomniało jej Kaer Morhen – taki sam długi czarny korytarz za arkadą, taka sama nie kończąca się otchłań w perspektywie kolumn lub posągów. Było nie do pojęcia, jakim sposobem otchłań ta może mieścić się w smukłym obelisku wieży. Ale przecież wiedziała, że nie ma sensu próbować tego analizować – nie w przypadku wieży, która wyrosła z nicości, zjawiła się tam, gdzie jej nie było. W takiej wieży mogło być wszystko i niczemu nie należało się dziwić.

Obejrzała się. Nie wierzyła, by Bonhart ośmielił się – i zdołał – wejść tu za nią. Ale wolała się upewnić.

Arkada, przez którą wjechała, płonęła nienaturalnym blaskiem.

Kelpie zadzwoniła kopytami po posadzce, pod podkowami coś zachrzęściło. Kości. Czaszki, piszczele, klatki żebrowe, femury, miednice. Jechała wśród gigantycznego ossarium. Kaer Morhen, pomyślała, wspominając. Umarłych powinno się zakopywać w ziemi... Jakże to było dawno... Wtedy wierzyłam jeszcze w coś takiego... W majestat śmierci, w szacunek dla zmarłych... A śmierć to po prostu śmierć. A zmarły to tylko zimny trup. Nie jest ważne, gdzie leży, gdzie próchnieją jego kości.

Wjechała w mrok, pod arkady, między kolumny i posągi. Ciemność zafalowała jak dym, uszy wypełniły jej natrętne szepty, westchnienia, ciche inkantacje. Przed nią nagle zapłonęła jasność, otwarły się gigantyczne drzwi. Otwierały się jedne po drugich. Drzwi. Nieskończenie wiele drzwi o ciężkich skrzydłach otwierało się przed nią bez szmeru.

Kelpie szła, dzwoniąc podkowami po posadzce.

Geometria otaczających ją ścian, arkad i kolumn została nagle zakłócona, tak gwałtownie, że Ciri poczuła zawrót głowy. Wydało jej się, że znajduje się wewnątrz jakiejś niemożliwej wielościennej bryły, jakiegoś gigantycznego oktaedru.

Drzwi otwierały się nadal. Ale nie wytyczały już jednego kierunku. Wytyczały nieskończenie wiele kierunków i możliwości.

A Ciri zaczęła widzieć.

Czarnowłosa kobieta, prowadząca za rękę popielatowłosą dziewczynę. Dziewczyna boi się, boi się ciemności, lęka się rosnących w mroku szeptów, przeraża ją dzwonienie podków, które słyszy. Czarnowłosa kobieta ze skrzącą się od brylantów gwiazdą na szyi też się boi. Ale nie daje tego po sobie poznać. Prowadzi dziewczynę dalej. Ku jej przeznaczeniu.

Kelpie kroczy. Następne drzwi.

Iola Druga i Eurneid, w kożuszkach, z tobołkami, maszerują zmarzniętym, ośnieżonym gościńcem. Niebo jest granatowe.

Następne drzwi.

Iola Pierwsza klęczy przed ołtarzem. Obok niej matka Nenneke. Obie patrzą, twarze wykrzywia im grymas przerażenia. Co widzą? Przeszłość czy przyszłość? Prawdę czy nieprawdę?

Nad nimi obiema, Nenneke i Iolą – ręce. Wyciągnięte w geście błogosławieństwa ręce kobiety o złotych oczach. W naszyjniku kobiety brylant, świecący jak gwiada zaranna. Na ramieniu kobiety – kot. Nad jej głową – sokół.

Następne drzwi.

Triss Merigold podtrzymuje swoje piękne kasztanowate włosy, szarpane i plątane porywami wiatru. Przed wiatrem nie ma ucieczki, nic przed wiatrem nie osłania.

Nie tu. Nie na szczycie wzgórza.

Na wzgórze wkracza długi, nie kończący się szereg cieni. Postaci. Idą wolno. Niektórzy odwracają ku niej twarze. Znajome twarze. Vesemir. Eskel. Lambert. Coën. Yarpen Zigrin i Paulie Dahlberg. Fabio Sachs... Jarre... Tissaia de Vries.

Mistle...

Geralt?

Następne drzwi.

Yennefer, zakuta w łańcuchy, przymocowane do ociekających wilgocią ścian lochu. Jej dłonie są jedną masą skrzepłej krwi. Czarne włosy stargane i zmierzwione... Usta rozbite i opuchnięte... Ale w fioletowych oczach wciąż nie zgaszona wola walki i oporu.

– Mamusiu! Trzymaj się! Wytrzymaj! Idę ci na pomoc!

Następne drzwi. Ciri odwraca głowę. Z przykrością. I zażenowaniem.

Geralt. I zielonooka kobieta o czarnych, krótko ostrzyżonych włosach. Oboje nadzy. Zajęci, pochłonięci sobą. Dawaną sobie wzajem rozkoszą.

Ciri opanowuje ściskającą gardło adrenalinę, popędza Kelpie. Kopyta stukają. W ciemności tętnią szepty.

Następne drzwi.

Witaj, Ciri.

– Vysogota?

Wiedziałem, że ci się uda, dzielna panno. Moja mężna Jaskółko. Wyszłaś bez szwanku?

– Pokonałam ich. Na lodzie. Miałam dla nich niespodziankę. Łyżwy twojej córki...

Miałem na myśli szwank psychiczny.

– Powstrzymałam zemstę... Nie zabiłam wszystkich... Nie zabiłam Puszczyka... Choć to on mnie zranił i oszpecił. Opanowałam się.

Wiedziałem, że zwyciężysz, Zireael. I że wejdziesz do wieży. Czytałem przecież o tym. Bo to już zostało opisane... To wszystko już zostało opisane. Wiesz, co dają studia? Umiejętność korzystania ze źródeł.

– Jak to możliwe, że rozmawiamy... Vysogoto... Czy ty...

Tak, Ciri. Umarłem. A, nieważne! Ważniejsze jest, czego się dowiedziałem, na co wpadłem... Ja już wiem, gdzie podziały się stracone dni, co stało się na pustyni Korath, jakim sposobem znikłaś z oczu pogoni...

– I jakim sposobem weszłam tu, do tej wieży, tak?

Starsza Krew, która płynie w twoich żyłach, daje ci władzę nad czasem. I nad przestrzenią. Nad wymiarami i nad sferami. Jesteś teraz Panią Światów, Ciri. Masz potężną Moc. Nie pozwól, by ci ją odebrali i wykorzystywali do własnych celów zbrodniarze i niegodziwcy...

– Nie pozwolę.

Żegnaj, Ciri. Żegnaj, Jaskółko.

– Żegnaj, Stary Kruku.

Następne drzwi. Jasność, oślepiająca jasność.

I przenikliwa woń kwiatów.

•

Na jeziorze leżała mgiełka, leciutki jak puch opar, szybko zwiewany wiatrem. Powierzchnia wody była gładka jak lustro, na zielonych

dywanach płaskich liści grzybienia bielały kwiaty.

Brzegi tonęły w zieleni i kwieciu.

Było ciepło.

Była wiosna.

Ciri nie dziwiła się. Jak mogła się dziwić? Przecież teraz wszystko było możliwe. Listopad, lód, śnieg, zmarznięta gruda, usypisko kamieni na najeżonym badylami pagórze – to było tam. A tutaj jest tu, tutaj strzelista bazaltowa wieża z zębatymi blankami na szczycie odbija się w zielonej, usianej bielą nenufarów wodzie jeziora. Tutaj jest maj, bo przecież w maju kwitnie dzika róża i czeremcha.

Ktoś w pobliżu grał na fujarce lub fletni, wygrywał wesołą, skoczną melodyjkę.

Na brzegu jeziora, przednimi nogami w wodzie, stały, pijąc, dwa śnieżnobiałe konie. Kelpie parsknęła, uderzyła kopytem o skałę. Wtedy konie uniosły głowy i ociekające wodą chrapy, a Ciri westchnęła głośno.

Bo to nie były konie, lecz jednorożce.

Ciri nie dziwiła się. Wzdychała z podziwu, nie ze zdziwienia.

Melodię słychać było coraz wyraźniej, dobiegała zza obwieszonych białym kwieciem krzaków czeremchy. Kelpie ruszyła w tamtą stronę sama, bez żadnego ponaglania. Ciri przełknęła ślinę. Oba jednorożce, nieruchome jak posągi, patrzyły na nią, odbijając się w gładkiej jak lustro tafli wód.

Za krzakiem czeremchy siedział na okrągłym kamieniu jasnowłosy elf o trójkątnej twarzy i ogromnych migdałowych oczach. Grał, zręcznie przebierając palcami po piszczałkach fletni. Choć widział Ciri i Kelpie, choć patrzył na nie, nie przestawał grać.

Białe kwiatuszki pachniały; z czeremchą o tak intensywnym zapachu Ciri nigdy w życiu się jeszcze nie zetknęła. I nic dziwnego, pomyślała zupełnie przytomnie: w świecie, w którym żyłam do tej pory, czeremchy po prostu pachną inaczej.

Bo w tamtym świecie wszystko jest inne.

Elf zakończył melodię przeciągłym wysokim trelem, odjął fletnię od ust, wstał.

– Dlaczego tak długo? – spytał z uśmiechem. – Co cię zatrzymało?

KONIEC TOMU CZWARTEGO